

BEN KANE



DROGA DO
RZYMU

...wiedzie przez cierpienie,
terror, przemoc i zdradę.
I nikomu nie można zaufać

HORYZONT
znak

BEN KANE
DROGA
DO RZYMU

Przekład Arkadiusz Romanek
Znak Horyzont

*Dla Kyrana i Helen Kane, moich wspaniałych rodziców,
z podziękowaniami i wyrazami miłości*



Rozdział I

Egipt



Aleksandria, zima 48 r. p.n.e.

Ruszać się, do cholery! – zawołał *optio*, po czym uderzył płazem miecza w plecy najbliższego z legionistów. – Cezar na nas patrzy!

Dziesięciu żołnierzy tworzących jego oddział nie potrzebowało dodatkowej zachęty. Powierzono im zadanie ochrony Heptastadionu, wąskiej, sztucznej grobli, która łączyła nabrzeża portowe z długą, niewielką wyspą i dzieliła port aleksandryjski na dwie części. Ponieważ po obu stronach grobli znajdowały się baseny portowe, świetnie nadawała się do obrony. Tylko że było ich zaledwie kilku! Biorąc pod uwagę to, co właśnie działo się na nabrzeżu, grobla z pewnością nie była najbezpieczniejszym miejscem pod słońcem.

Jasnożółty blask latarni Faros nie robił już na Romulusie takiego wrażenia, jak wcześniej, bo teraz wydawało się, że całe morze stoi w płomieniach. Okręty egipskiej floty, zacumowane jeden obok drugiego przy nabrzeżu, płonęły żywym ogniem. Wywołany przez ludzi Cezara pożar przenosił się z okrętów na pobliskie magazyny i budynki biblioteki. Zrobiło się jasno jak w dzień. Odparci już raz Egipcjanie przegrupowali się i połączyli siły z towarzyszami, którzy czekali cierpliwie w ciemnych uliczkach na swoją kolej. Teraz razem ponownie ruszyli w kierunku linii wycofujących się legionistów. Były ich tysiące! Wszystko to działo się mniej niż sto kroków od grobli, która mimo wszystko zapewniała lepsze warunki obrony przed wrogiem dysponującym przewagą liczebną.

Przyjaciele ruszyli żwawo za legionistami. Jeśli obcy wojownicy z okrzykami bojowymi na ustach przedrą się przez rzymskie linie, to i tak wszyscy zginą. Jednak jeżeli wróg nawet nie przebije się od razu, również nie będą mieli wielkich szans na przeżycie. Przeciwników było po prostu za dużo, a legioniści nie mieli żadnej bezpiecznej drogi odwrotu. Całe miasto roiło się od nieprzyjaźnie nastawionych do nich mieszkańców Aleksandrii i obcych żołnierzy, a grobla prowadziła na wyspę, z której nie było ucieczki. Mogli wprawdzie przejść na pokłady rzymskich triem, ale z uwagi na wielką liczbę żołnierzy wroga bezpieczne, nieokupione wieloma ofiarami dotarcie do trapów było mało prawdopodobne.

Romulus skrzywił się i rzucił tęskne spojrzenie za oddalającym się okrętem. Trirema właśnie zbliżała się do zachodniego wejścia do portu. Na jej pokładzie znajdowała się Fabiola, jego siostra bliźniaczka. Po dziewięciu latach rozłąki bogowie dali im w swojej łaskawości zaledwie kilka spojrzeń i parę wykrzyczanych na dużą odległość słów. Trirema zmierzała na pełne morze, oddalając się od niebezpieczeństwa i Romulus nie mógł nic z tym zrobić. Co dziwne, nie czuł rozczarowania. Nie załamał się. Wręcz przeciwnie! Wystarczyło mu, że wiedział, iż Fabiola żyje i jest bezpieczna. Ta wiedza sprawiała, że w jego sercu zapanowała radość. Jeśli Mitra pozwolił, usłyszała, że służy w Legionie XXVIII, i któregoś dnia go odnajdzie. Bogowie odpowiedzieli na jego modlitwy o zachowanie w zdrowiu oraz spotkanie (jakkolwiek krótkie) z siostrą, której nie widział tyle lat.

Teraz jednak znów przyjdzie mu walczyć o życie.

Romulusa i Tarkwiniusza zmuszono, aby dołączyli do oddziału legionistów, a teraz stali się częścią wydzielonej grupy bojowej Cezara w Aleksandrii. Małej armii, której właśnie groziło unicestwienie. Mimo niepewnej przyszłości Romulus pocieszał się jednak, że jeśli czeka na niego Elizjum, to odejdzie jako wolny człowiek, a nie niewolnik czy gladiator. Nie jako najemnik ani partyjski jeńiec. Wyprostował plecy.

Nie! Jestem rzymskim legionistą. W końcu. Sam decyduję o własnym losie i Tarkwiniusz nie będzie już mi mówić, co mam robić. Nie dalej jak przed godziną jego płowowłosa przyjaciel wyjawiał, że to on odpowiada za śmierć nobila, z powodu której Romulus i Brennus musieli

uciekać z Rzymu. Wciąż jeszcze nie do końca docierały do niego konsekwencje tego wyznania Tarkwiniusza. Niedowierzenie, złość i ból mieszały się ze sobą, tworząc w umyśle Romulusa toksyczną mieszankę, która przyprawiała go o zawroty głowy. Odepchnął ból, grzebiąc go głęboko. Nie teraz. Później. Przyjdzie jeszcze pora.

Gdy grupka legionistów znalazła się za plecami żołnierzy z ostatnich rzędów formacji, zdążyli już się zmęczyć. Mężczyźni ciężko dyszeli z wysiłku. Szyk składał się zaledwie z sześciu szeregów. Rozkazy, metaliczny brzęk broni i krzyki rannych wypełniały teraz ich uszy z nową intensywnością. *Optio* z ich grupy i wyglądający na zdenerwowanego najbliższy oficer, *tesserarius*, zamienili kilka słów. *Tesserarius* miał na głowie hełm z poprzecznym grzebieniem oraz zbroję łuskową, podobną do tej, którą nosił *optio*. O jego pozycji w centurii przypominała długa laska, służąca do wymuszania posłuszeństwa legionistów. On i inni jemu podobni trzymali się ostatnich szeregów, dbając o to, aby żaden z legionistów nie oddał tyłów, a centurioni zwykle zajmowali pozycje bliżej pierwszej linii, tam gdzie toczyły się najcięższe walki. W trudnych chwilach to właśnie na nich – weteranach i zawodowych żołnierzach – spoczywała odpowiedzialność za utrzymanie wysokiego morale.

W końcu *optio* zwrócił się do swoich ludzi.

– Zostajemy w tym miejscu.

– Musimy zaufać Fortunie – mruknął jeden z żołnierzy. – Jesteśmy w samym środku choleryjnej linii. – *Optio* uśmiechnął się lekko, potwierdzając. Tutaj zginie najwięcej ludzi.

– Macie chwilę na odpoczynek. Możecie być wdzięczni – zażartował *optio*. – Równaj do linii na głębokość dwóch ludzi! Dołączamy do centurii na wprost.

Klnąc cicho, wykonali rozkaz.

Romulus i Tarkwiniusz znaleźli się z czterema innymi legionistami w pierwszym rzędzie małej grupy, która dołączyła do kohorty. Nie protestowali. Jako nowi rekruci niczego innego nie mogli się spodziewać. Romulus był wyższy od pozostałych legionistów i patrzył na zbliżających się wrogów ponad ich głowami, osłoniętymi hełmami z brązu. Tu i ówdzie w liniach wznosiły się insygnia centurii. Dalej, na

prawym skrzydle formacji, stał legionista trzymający w dłoniach drzewce ze srebrnym orłem, talizmanem legionu. Romulus poczuł, że na widok najwspanialszego symbolu Rzymu, który tak ukochał, serce zaczyna bić szybciej. Orzeł legionowy odegrał wielką rolę w uświadomieniu Romulusowi, że jest przede wszystkim Rzymianinem. Orzeł – władczy, dumny i zdystansowany – nie dbał o status człowieka. Liczyły się tylko waleczność i męstwo w bitwie.

Później Romulus przeniósł wzrok na morze nieustępliwych twarzy i lśniąca w rękach wrogów broń. Ta potężna fala za chwilę rozbije się o mur twardych jak skała legionistów.

– Oni mają *scuta*! – zawołał zmieszany. – To Rzymianie?

– Kiedyś byli Rzymianami... – splunął legionista po lewej. – Ale teraz te sukinsyny niewiele różnią się od tutejszych ścierw.

– Myślę, że to ludzie Gabiniusza – powiedział trzeźwo Tarkwiniusz. Jego słowa wywołały kilka niechętnych potwierdzających skinieć głowami. Paru legionistów rzuciło Tarkwiniuszowi zaciekawione spojrzenia – zwłaszcza ci, którzy widzieli lewą stronę jego oszpeconej twarzy. Vahram, *primus pilus* Zapomnianego Legionu, odpowiadał za to, że czerwona blizna w kształcie ostrza noża na policzku Tarkwiniusza nigdy nie pozwoliła mu zapomnieć o torturach, jakie przeszedł.

Dzięki Tarkwiniuszowi Romulus poznał historię Ptolemeusza XII, obalonego ponad dziesięć lat wcześniej ojca obecnie panującego w Egipcie rodzeństwa. Zdesperowany władca zwrócił się do Rzymu, oferując wielkie sumy w złocie za pomoc w odzyskaniu tronu. Ostatecznie misja ta udała się Gabiniuszowi, prokonsulowi Syrii. Działo się to mniej więcej w tym samym czasie, gdy Romulus, Brennus, galijski przyjaciel Romulusa, i Tarkwiniusz służyli w armii Krassusa.

– Słusznie... – mruknął legionista. – Zostali w Egipcie po tym, jak Gabiniusz wrócił w niesławie do Rzymu.

– Ilu ich tu zostało? – zaciekał się Romulus.

– Kilka tysięcy. Ale nie są sami. Wspierają ich przede wszystkim nubijscy harcownicy i najemnicy z Judei. Do tego dodaj kreteńskich łuczników i procarzy. Wszyscy są twardymi draniami.

– No i lekka piechota... – odezwał się inny żołnierz. – Zbiegli niewolnicy z naszych prowincji – te słowa zostały powitane pomrukami

pełnymi niezadowolenia. Romulus i Tarkwiniusz wymienili znaczące spojrzenia. Muszą zadbać, aby status Romulusa pozostał tajemnicą. Niewolnicy nie mogli służyć w regularnej armii. Gdy niewolnik znalazł się w szeregach legionów – co właśnie się stało, choć przecież Romulus nie miał w tym przypadku wiele do powiedzenia – groziła mu kara śmierci.

– Te zdradzieckie mendy nie mają żadnych szans. Przetrzepiemy im tyłki i wybijemy z głów myśl, że są nam równi.

Autor tej wypowiedzi wyraził stanowisko chyba wszystkich legionistów, bo wokół rozległy się pełne zadowolenia okrzyki, a na twarzach wcześniej nieco przygaszonych mężczyzn pojawiły się uśmiechy.

Romulus ugryzł się w język, powstrzymując się z instynktowną ripostą. Ludzie Spartakusa – bądź co bądź w większości, jeśli nie wszyscy, niewolnicy – wiele razy pokonywali rzymskie legiony. On sam był wart tyle, co trzech zwykłych legionistów. Niewolnik czy człowiek wolny – ten, kto broni swojej ojczyzny i własnego świata przed wrogiem, zawsze gotów jest do wielkich poświęceń. Romulus wiedział jednak, że to nie jest właściwa chwila, żeby uświadamiać innym takie sprawy. *A kiedy przyjdzie ten właściwy czas? Nigdy* – skonstatował gorzko.

Czekali z mieczami w dłoniach, a z każdą chwilą ich sytuacja stawała się coraz bardziej beznadziejna. Linie rzymskie zafalowały pod deszczem oszczepów i kamieni. Na początku ani Romulus, ani Tarkwiniusz nie mieli tarcz, dlatego mogli tylko kulić się i modlić, gdy śmiercionośne pociski gwizdały nad ich głowami. Taki brak jakiegokolwiek osłony naprawdę dawał im się we znaki. Szarpał nerwy. Gdy pojawiły się jednak pierwsze ofiary ostrzału, mogli wykorzystać wyposażenie zabitych. Jakiś krępy żołnierz stojący w pierwszym rzędzie padł na ziemię, ugodzony oszczepem w szyję. Romulus szybko sięgnął po hełm, który należał do wijącego się teraz w przedśmiertnych drgawkach żołnierza. Nie miał wyrzutów sumienia. Żywi są ważniejsi od martwych. Nawet mokra od potu warstwa materiału wyściełająca hełm, którą umieścił na głowie przed jego założeniem, dawała wrażenie szczątkowej ochrony. Tarkwiniusz chwycił *scutum* trafionego legionisty.

Romulus nie musiał długo czekać na tarczę, którą przejął po innej ofierze ostrzału.

Optio mruknął z satysfakcją. Ci dwaj obszarpańcy nie tylko dysponowali teraz właściwą bronią, ale też dobrze wiedzieli, jak radzić sobie ze sprzętem i wyposażeniem prawdziwych żołnierzy.

– Tak lepiej... – odezwał się Romulus zza swojej nowej tarczy w kształcie wydłużonego owalu, którą trzymał za poziomy uchwyt. Ostatni raz mieli do swojej dyspozycji pełne wyposażenie podczas bitwy Zapomnianego Legionu cztery lata temu. Skrzywił się. Wciąż jeszcze miał poczucie winy z powodu Brennusa, który poświęcił się, żeby on i Tarkwiniusz mogli uciec.

– Walczyliście wcześniej w legionach?

Zanim Romulus zdążył odpowiedzieć, poczuł na plecach uderzenie metalowego guza tarczy.

– Naprzód! – krzyknął *optio*, który pilnował tylnego rzędu. – Linia przed nami słabnie.

Przesunęli się do przodu, bliżej przeciwników. Żołnierze mocniej chwycili za *gladii*, krótkie, śmiertelnie niebezpieczne rzymskie miecze. Tarcze uniesiono tak, że nad ich krawędziami widać było tylko część twarzy. Wystawały jedynie hełmy z osłonami, spod których błyskały białka oczu. Ruszyli do przodu ramię przy ramieniu. Każdy legionista osłaniany był częściowo przez swoich towarzyszy. Tarkwiniusz znajdował się po prawej stronie Romulusa, a wyjątkowo rozmowny legionista, którego poznali wcześniej, zajmował miejsce po jego lewej stronie. Obaj byli na równi odpowiedzialni za jego bezpieczeństwo, podobnie jak on był odpowiedzialny za nich. Ta cecha wzajemnej osłony była jedną z zalet ściany tarczy. Mimo że Romulus był wściekły na Tarkwiniusza, nie przeszło mu przez głowę, że haruspik mógłby, zaniebując obowiązkiem, świadomie działać na jego niekorzyść.

Wcześniej nie zastanawiał się nad tym, jak słaba jest linia Rzymian. Nagle żołnierz stojący przed nim osunął się na kolana, a zza niego wyskoczył z krzykiem egipski wojownik, zaskakując trochę Romulusa. Przeciwnik miał na głowie tępo zakończony frygijski hełm i zwykłą, zgrzebną tunikę. Nie nosił żadnej zbroi, a osłaniał się owalną tarczą. Jego jedyną bronią była *rhomphaia*, dziwny miecz z długim,

zakrzywionym ostrzem. *Skąd się tu wziął tracki peltasta?* Romulus wiedział od razu, z kim przyjdzie mu walczyć, ale nie zmieniło to faktu, że dał się zaskoczyć.

Bez namysłu napał na przeciwnika, próbując roztrzaskać jego twarz metalowym guzem tarczy. Zamiar ten nie powiódł się, bo tracki wojownik błyskawicznie osłonił się swoją tarczą. Przez kilka uderzeń serca wymieniali szybkie ciosy, walcząc zaciekle o przejęcie inicjatywy. Na razie żadnemu nie udało się zdominować przeciwnika, ale Romulus prędko przekonał się, jak niebezpieczny może być zakrzywiony miecz w rękach doświadczonego fechmistrza. Dzięki jego specyficznemu kształtowi przeciwnik mógł wyprowadzać zdradzieckie ciosy nad krawędzią tarczy lub z boków, powodując poważne obrażenia. W ciągu kilkunastu uderzeń serca młody żołnierz omal nie stracił oka, a potem ledwie uniknął przykrej rany lewego bicepsa.

Romulusowi udało się za to zranić Traka w rękę, w której trzymał miecz. Uśmiechnął się pod nosem z satysfakcją. Chociaż rana nie wyłączyła całkowicie przeciwnika z walki, zmniejszyła jego skuteczność. Sączyła się z niej krew, która spływała na rękojeść miecza peltasty. Gdy ponownie zwarli się, wymieniając ciosy, mężczyzna zaklął. Żaden z nich nie przebił osłony tarczy przeciwnika. Wkrótce jednak Romulus zauważył, że peltasta krzywi się wyraźnie za każdym razem, gdy unosi miecz do ciosu. Zrozumiał, że nadarza się niepowtarzalna szansa zakończenia pojedynku. Nie zamierzał jej zmarnować.

Przesunął do przodu osłoniętą *scutum* lewą nogę, po czym wyprowadził potężny, zamaszysty cios gladiusem po łuku, który groził dekapitacją osłabionego przeciwnika. Peltasta musiał go sparować, bo w przeciwnym razie straciłby całą prawą stronę twarzy. Ostrza ich broni spotkały się jeszcze raz, krzesząc iskry. Teraz jednak siła fizyczna młodego żołnierza okazała się decydująca i *rhomphaia* ześlizgnęła się w dół, ku ziemi. Trak jęknął, a Romulus wiedział, że to koniec. Nadszedł czas, aby wyprowadzić ostatni cios, przed którym nie ochroni już peltastę zdrętwiała z bólu ręka. Osłaniając się tarczą, Romulus całym ciężarem rzucił się do przodu.

Tego było już za wiele dla osłabionego przeciwnika. Mężczyzna

stracił równowagę i przewrócił się na plecy, wypuszczając tarczę z ręki. Romulus dopadł do niego w jednej chwili i przykucnął, z prawą ręką gotową do zadania śmiertelnego ciosu. Wymienili najkrótsze z możliwych spojrzeń, gdy kat spogląda na swoją ofiarę, dostrzegając zaledwie jego lekkie rozszerzenie źrenic. Szybkie pchnięcie w dół. Peltasta był martwy.

Wracając do pionu, Romulus z nawyku uniósł *scutum*. Ten wyćwiczony ruch uratował mu życie. Miejsce peltasty w szeregach wroga zajął bowiem natychmiast zarośnięty, długowłosy mężczyzna w rzymskiej tunice wojskowej. Jeden z ludzi Gabiniusza?

– Zdrajca – syknął Romulus. – Walczysz teraz ze swoimi krajanami?

– Walczę dla mojej ojczyzny – warknął żołnierz. Posługiwał się łaciną, więc podejrzania Romulusa okazały się słuszne.

– Co wy tu w ogóle robicie, do cholery!

Zaskoczony Romulus sam nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Jesteśmy tu dla Cezara – warknął rozmowny legionista walczący u jego boku. – Najlepszego generała na świecie!

Ta uwaga została przyjęta złośliwym prychnięciem. Romulus wykorzystał szansę wynikającą ze zdekoncentrowania przeciwnika. Pchnął, wbijając ostrze ponad krawędź kolczugi w kark i szyję wroga. Mężczyzna zawył i zniknął z pola widzenia. Przez krótką chwilę Romulus miał możliwość objęcia spojrzeniem całej linii wroga. Chyba wolałby tego nie robić. Egipscy żołnierze mrowili się na całym nabrzeżu jak okiem sięgnąć. Wszyscy zdecydowanie parli naprzód.

– Ile właściwie mamy kohort? – zapytał na głos Romulus. – Cztery?

– Tak – rozmowny legionista zacieśnił szyk, stając obok niego. Z powodu ciężkich strat znaleźli się już teraz w pierwszym szeregu. Z Tarkwiniuszem i innymi u boku przygotowywali się na odparcie następnej fali napastników – legionistów i lekkobrojnych Nubijczyków. – Ale wszystkie w niepełnym składzie.

Nowa grupa atakujących składała się z wojowników w samych przepaskach biodrowych. Wielu z nich nosiło we włosach pojedyncze pióra. Czarnoskórzy żołnierze uzbrojeni byli w duże, owalne tarcze i

włócznie zakończone szerokimi ostrzami. Niektórzy z nich, może bardziej zamożni, nosili zdobione opaski i złote pierścienie na ramionach. Krótkie miecze wisiały na pasach z tkaniny, a wielu dysponowało łukami o długich łączyskach. Na lewych ramionach mocowali kołczany ze strzałami. Świadomi ograniczeń zasięgu rzymskich oszczepów łucznicy zatrzymali się pięćdziesiąt kroków od pierwszej linii Rzymian i spokojnie zakładali strzały na cięciwy. Ich towarzysze cierpliwie czekali na rozwój wypadków.

Romulus odetchnął z ulgą, gdy zauważył, że Nubijczycy nie mieli łuków refleksyjnych, takich jak Partowie, których strzały z łatwością przebijały *scuta*. Jednak radość nie trwała długo.

– A właściwie to jak bardzo są przetrzebione? – Romulus rzucił pytanie w przestrzeń.

– Z piątą kohortą, która pilnuje okrętów, jest nas może z półtora tysiąca – legionista dostrzegł zdziwienie rysujące się na twarzy Romulusa. – A czego się spodziewałeś? Wielu z nas uczestniczy w kampaniach od siedmiu lat. Galia, Brytania, znów Galia...

Romulus spojrzał na Tarkwiniusza ponurym wzrokiem. Ci ludzie byli doświadczeni, twardymi weteranami, ale przeciwnik dysponował ogromną przewagą liczebną. Haruspik tylko wzruszył ramionami. Romulus zacisnął zęby. Znów wdał się w jakąś aferę, ponieważ Tarkwiniusz nie chciał go słuchać. Uparł się, żeby dotrzeć do portu, bo musiał zobaczyć bibliotekę. No tak, ale dzięki temu przecież widział Fabiolę! Jeśli dziś zginie, to przynajmniej ze świadomością, że jego siostra żyje i ma się dobrze.

W powietrze poszybowała pierwsza fala strzał nubijskich łuczników. Opadały w dół po wdzięcznym łuku. Ze śmiercionośnym sykiem.

– Tarcze w górę! – rozkrzyczeli się oficerowie.

Chwilę później deszcz pocisków zabębnił o uniesione *scuta* znajomym głuchym *staccato*. Ku uldze Romulusa prawie żadna strzała nie przebiła tarczy i tylko kilku żołnierzy zostało rannych. Jednak jego serce zaczęło bić szybciej, zauważył bowiem, że niektóre kamienne i żelazne groty są wysmarowane jakąś gęstą, ciemną masą. Trucizna! Ostatni raz miał z nią do czynienia wówczas, gdy walczyli ze Scytami w

Margianie. Nawet małe zadrapanie zadziorem na grocie może skutkować długą agonią i śmiercią. Romulus dziękował bogom, że zaciska dłoń na uchwycie *scutum*, którą może się osłaniać.

Kolejna fala strzał dosięgła ich, gdy lekkobrojni Nubijczycy zaczęli nabierać szybkości przed uderzeniem w linie oddziałów Cezara. Wrogowie nieobciążeni niepotrzebnym wyposażeniem jak legioniści stopniowo przyspieszali. Po chwili pędzili już sprintem, wydając z siebie dzikie okrzyki bojowe. Za nimi gnali gabinianie, którzy mieli zadać miazdzący cios przetrzebionym legionistom. Romulus znów zacisnął zęby. Jak bardzo żałował, że nie ma z nimi Brennusa! Formacja wroga miała co najmniej dziesięć szeregów, a ich formacja teraz nie składała się nawet z pełnych pięciu linii.

Odezwały się trąbki, jakby sygnaliści rozumieli znaczenie tej trudnej chwili. Ktoś wykrzyczał pewnym głosem krótki rozkaz.

– Wycofać się do okrętów! – głos był spokojny i stonowany, trochę jakby niepasujący do dramatycznej sytuacji i chaosu walki.

– To Cezar! – na ustach legionisty obok pojawił się uśmiech pełen dumy. – Nigdy nie panikuje.

Od razu linie zaczęły się zwijać do boku i legioniści ruszyli w stronę zachodniej części nabrzeża. Triremy znajdowały się całkiem blisko, ale żołnierze nie mogli pozwolić sobie na zaniechanie ubezpieczenia odwrotu. Na widok ruchu w szeregach przeciwników Nubijczycy zareagowali wściekłymi okrzykami i zwiększyli tempo.

– Nie przerywać marszu – zawołał centurion. – Zatrzymać się dopiero tuż przed uderzeniem. Utrzymamy szyk i odrzucimy ich! Potem znów ruszamy.

Romulus zerknął na triremy. Było ich około dwudziestu. *Miejsca na ich pokładach starczy dla wszystkich. Tylko co dalej?*

Jak zawsze Tarkwiniusz czytał w jego myślach.

– Przetransportują nas na Faros – wskazał latarnię morską. – Tam. W tamtym miejscu grobla ma szerokość zaledwie pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu kroków.

Romulus uśmiechnął się, pokrzepiony na duchu.

– Możemy się tam bronić do końca świata.

Triremy jednak wciąż znajdowały się daleko, a jedno uderzenie

serca później Nubijczycy zderzyli się z formacją Rzymian z taką siłą, że przednie szeregi musiały cofnąć się kilka kroków pod ich naporem. Nocne powietrze znów wypełniło się krzykami rannych i umierających, a legioniści ponownie przeklinali swój los i narzekali na nieprzychylność bogów. Romulus zobaczył, jak legionista po jego lewej stronie zostaje trafiony włócznią w łydkę i opada bezwładnie na ziemię. Ku jego przerażeniu kolejny otrzymał cios mieczem w twarz, tak że ostrze przebiło mu oba policzki i wyszło po drugiej stronie. Gdy napastnik cofnął miecz, krew chlusnęła z rany makabryczną fontanną. Śmiertelnie trafiony mężczyzna upuścił *scutum* i miecz, po czym uniósł obie ręce ku zmiażdżonej twarzy, wydając z siebie cienki, przesywający krzyk. Gdy zalała ich fala Nubijczyków, Romulus stracił z oczu obu rannych legionistów. Z wykrzywionych, złych ust napastników sypały się obelgi w obcym języku. Tarcze Nubijczyków uderzały w ich *scuta*, a szerokie ostrza włóczni migotały w błyskawicznych dźgnięciach, szukając miękkiego ciała, w które mogłyby się zanurzyć. Romulus czuł wyraźnie zapach zastałego potu czarnoskórych wojowników. Klasycznym cięciem pod mostkiem szybko uśmiercił pierwszego wojownika w swoim zasięgu. Kolejny również nie okazał się trudnym przeciwnikiem, bo praktycznie sam nadział się na miecz Romulusa. Nubijczyk był martwy, zanim jeszcze zdał sobie z tego sprawę.

Zajmujący pozycję przy prawym ramieniu Romulusa Tarkwiniusz podobnie łatwo poradził sobie z kolejnymi przeciwnikami, ale rozmowny legionista po lewej przeżywał trudne chwile. Osaczony przez dwóch olbrzymich Nubijczyków nie zdążył uchylić się przed ciosem włóczni, która zagłębiła się w jego prawe ramię. Rana utrudniła mu obronę. Po chwili jeden z wrogów podbił tarczę legionisty, a drugi wraził miecz prosto w jego gardło. To była ostatnia ofiara tego Nubijczyka. Romulus potężnym cięciem odrąbał mu prawą rękę – tę, w której trzymał włócznię – a w ruchu powrotnym otworzył go od pachwiny do ramienia. Legionista z drugiego szeregu błyskawicznie przesunął się do przodu, wypełniając lukę w szeregu. Razem pozbyli się drugiego Nubijczyka.

W miejsce niezdolnych do walki natychmiast pojawiali się nowi legioniści.

Potrzebujemy jazdy – przemknęło przez głowę Romulusowi. – *Albo katapult*. Potrzebowali czegokolwiek, co zmieni warunki starcia, bo sytuacja pogarszała się z każdą chwilą. Niewielka część legionistów dotarła już do triem, ale większość ciągle musiała rozpaczliwie odpierać ataki Egipcjan, tocząc walkę z góry skazaną na porażkę. Morale spadało, a w sercach mężczyzn pojawiły się pierwsze paniczne myśli. Legioniści cofali się instynktownie. Centurioni wykrzykiwali słowa zachęty, ale nie wyglądało to wszystko najlepiej. Znow oddali trochę przestrzeni. Atakujący wyczuli chwilę słabości i podwoili wysiłki.

Nie jest dobrze – myślał Romulus. – *Jeśli szybko nic się nie zmieni...*

– Ruszać się – znow usłyszeli pewny głos dochodzący zza pleców.
– Utrzymać szyk. Odwagi, *commilitones*. Cezar jest z wami!

Romulus zaryzykował spojrzenie przez ramię.

Smukły mężczyzna w połączanej zbroi i czerwonym generalskim płaszczu ruszył w stronę rzymskich linii. Jego hełm, z piękną grzywą z końskiego włosa i złoto-srebrnym filigranem na napolickach, robił piorunujące wrażenie. Cezar w jednej ręce trzymał gladius z bogato zdobioną rękojeścią z kości słoniowej, a w drugiej zwykle *scutum*. Romulus przyglądał się chwilę wąskiej twarzy z wystającymi kośćmi policzkowymi, orlim nosem i ciemnymi oczyma o przeszywającym spojrzeniu. Cezar stąpał pewnie, zarażając legionistów swoim spokojem. Jak zwykły centurion gotów był ryzykować życiem w pierwszej linii. A tam, gdzie stał lider taki jak Cezar, żołnierze nie pierzchali.

Tymczasem zdezorientowany i zadziwiony Tarkwiniusz przenosił wzrok z Romulusa na Cezara i z powrotem.

Jego przyjaciel był zupełnie nieświadom podejrzeń, jakie zaległy się w głowie Tarkwiniusza.

Legioniści powtarzali słowa Cezara. Atmosfera od razu uległa zmianie. Panika ustępowała niczym poranna mgła pod wpływem ciepłych promieni słońca. Niezupełnie zgodnie z rozkazami podniesieni na duchu legioniści rzucili się do kontrataku, zaskakując przeciwników. Wkrótce odzyskali teren, z którego wcześniej się wycofali. Wrogowie zawahali się i odstąpili, dając legionistom chwilę odpoczynku. Pas ziemi niczyjej zasłany był ciałami ofiar, wijącymi się z bólu rannymi i

porzuconą bronią. Teraz przeciwnicy przyglądali się sobie nieufnie z większej odległości. Z ust mężczyzn unosiły się obłoki pary, a pot spływał strumieniami po ciałach i z filcowych okładzin hełmów z brązu.

Ta chwila należała do Cezara.

– Pamiętacie, towarzysze, jak potykaliśmy się z *Nervii*? Zadaliśmy im wtedy bobu, prawda?

Legioniści ryknęli na znak potwierdzenia. Ujarzmienie dzielnego plemienia Nerwiów przyszło im z największym trudem. To chyba były najtrudniejsze momenty w całej galijskiej kampanii.

– A Alezja? Pamiętacie? Galowie oblegli nas niczym chmary much. Ale i tak ich pokonaliśmy!

Kolejne okrzyki.

– Nawet pod Farsalą, gdy nikt nie dawał nam szans, zawróciliśmy z drogi do Hadesu! – Cezar wykonał dramatyczny gest, jakby chciał objąć wszystkich swoich legionistów ramionami. – Wy, *commilitones*, to wy sięgnęliście po te zwycięstwa!

Romulus zobaczył prawdziwą dumę na twarzach otaczających go mężczyzn. Niemal fizycznie poczuł, jak rośnie morale. Cezar był jednym z nich. Żołnierzem. Towarzyszem broni. W oczach Romulusa ten człowiek zasługiwał na wielki szacunek. Był niezwykłym wodzem i liderem.

– Ce-zar! – ryknął szpakowaty weteran.

– Ceee-zaar! – zakrzyknęli legioniści.

Romulus był wśród wiwatujących.

Do chóru głosów dołączył nawet Tarkwiniusz.

Cezar słuchał przez chwilę tych okrzyków, ale potem nakazał im natychmiast wycofać się na pokłady trirem.

A mało brakowało, bo zaskoczeni rzymskim kontratakiem i odważnym zachowaniem Cezara egipscy żołnierze zatrzymali się tylko na dwadzieścia uderzeń serca. Wkrótce krawędź nabrzeża i okręty znalazły się w odległości rzutu kamieniem. Setki legionistów z pomocą załóg statków szybko zajęły miejsca na pokładach. Okręty powoli oddawały cumy i zaczęły przemieszczać się w stronę wyjścia z portu. Ożyły rzędy wiosł, dzięki którym z każdą chwilą przesuwali się dalej i dalej na głębszą wodę. Wreszcie oficerowie wroga – wściekli, że

Rzymianie mogą ujść z zastawionej na nich pułapki – obudzili się z chwilowego letargu. Zachęcając swoich ludzi do ataku, ruszyli biegiem, pociągając za sobą błyskającą ostrzami falę żołnierzy, którzy myśleli tylko o jednym. O unicestwieniu najeźdźców.

– Na boki! – krzyczał Cezar. – Formować linię przed triremami. Jego ludzie pospiesznie próbowali wykonać rozkaz.

Romulus uświadomił sobie z dreszczem przerażenia, że legioniści poruszają się za wolno, żeby na czas rozwinąć szyk. Takich manewrów nie da się wykonać prawidłowo, gdy wróg znajduje się w odległości trzydziestu kroków.

Tarkwiniusz uniósł wzrok w niebo, licząc, że dostrzeże jakiś znak. Skąd wieje wiatr? Czy się zmienia? Musiał wiedzieć. Niestety, nie miał czasu na analizę.

Fala Egipcjan uderzyła w rzymskie linie krótką chwilę później. Zaatakowanie wycofującego się przeciwnika jest jednym z najlepszych sposobów gwarantujących zwycięstwo i napastnicy wyczuwali to instynktownie. Błyskały ostrza włóczy, które trafiały w plecy odwróconych legionistów. Rozrywając mięśnie i stał ze straszliwym chrzęstem, obwieszczają złożenie krwawego pocałunku śmierci. Błyskały głównie *gladii*, wirujące w śmiertelnym tańcu w sprawnych rękach byłych żołnierzy Gabiniusza. Ostrza teraz z łatwością przedzierały się przez osłabione ogniwa kolczug lub trafiały w niechronione zbyt dobrze, wrażliwe na ciosy okolice pachy. Wytrącały tarcze z rąk. Trzaskały pękające brązowe hełmy, odsłaniając kości czaszki. Nad głowami walczących szumiały fale strzał i kamieni. Ten dźwięk i widok spadających rześnistym deszczem pocisków sprawił, że Romulus upadł na duchu. Gdy nieniepokojeni przez nikogo nieprzyjacielscy procarze będą mogli z bliska ostrzeliwać ich formację, liczba ofiar zacznie rosnać w zastraszającym tempie.

Na twarzach większości legionistów pojawił się strach, który zniekształcił ich rysy. Inni rzucali przerażone spojrzenia w niebo i głośno się modlili. Na nic zdały się wysiłki Cezara, który wzywał do odtworzenia szyku. Legionistów po prostu było zbyt mało, żeby mogli liczyć na powstrzymanie Egipcjan. Starcie przekształciło się w szaloną walkę o życie. Romulus ciął i kłuł niczym w transie, utrzymując jeszcze

nerwy na wodzy. Wciąż śmiertelnie niebezpieczny, sprawny i zwinny mimo swoich lat Tarkwiniusz dotrzymywał mu kroku. Legionista, który dołączył do Romulusa, zajmując pozycję po jego lewej ręce, również dobrze znał swój fach. Stworzyli przerażająco skuteczne trio... co jednak nie miało żadnego znaczenia dla rozwoju i losów tej potyczki.

Gdy rzymskie linie zaczęły się cofać pod naporem atakujących, rosły straty. Ściana tarcz słabła. W końcu rozpadła się na części, a wrzeszczący w niebogłosy Nubijczycy wdarli się niepowstrzymanym strumieniem przez szczeliny. Z powodu wyróżniających ich na polu walki czerwonych płaszczy i pozłacanych pancerzy centurioni przyciągali uwagę i padali jako pierwsi, co dodatkowo źle wpływało na morale walczących jeszcze żołnierzy. Pomimo wszystkich starań Cezara jasne było, że bitwa wkrótce zmieni się w pogrom. Cezar wyczuł to i wycofał się w stronę nabrzeża. Strach zajrzał w oczy wszystkim żołnierzom. Mężczyźni odwrócili się i rzucili do panicznej ucieczki, przewracali i tratowali swoich towarzyszy, biegnąc w stronę złudnie bezpiecznych pokładów trirem. Wielu pchanych impetem uciekających spadało z nabrzeża do ciemnej wody. Ciężkie elementy uzbrojenia i pancerze w mgnieniu oka wciągały ofiary pod jej powierzchnię.

– To się nie uda! – krzyknął Tarkwiniusz.

Romulus zerknął przez ramię. Przy nabrzeżu mogło cumować równocześnie tylko kilka jednostek, a spanikowani legionieści nie zamierzali czekać, dlatego pojawiło się ryzyko przeciążenia tych, które akurat znajdowały się najbliżej.

– Głupcy. Potopią się. – Romulus nie zamierzał pozwolić sobie na panikę. – Co możemy zrobić?

– Skoczyć do wody i płynąć wplaw – odpowiedział haruspik. – Może jakoś uda się nam dotrzeć na Faros.

Romulus zadrżał, przypominając sobie, jak ostatnio musieli się ratować skokiem w rwący nurt, zostawiając Brennusa na drugim brzegu rzeki Hydaspes. Ich przyjaciel umarł osamotniony. Romulus nigdy nie zapomniał o poczuciu wstydu, że zostawili towarzysza na niechybną śmierć. Zmusił się, żeby myśleć praktycznie. *To było wtedy. Teraz jest teraz.*

– Idziesz z nami? – zapytał legionistę po lewej.

Ten tylko szybko w milczeniu skinął głową.

Przebijali się z wysiłkiem, rozpychając się wśród otaczających ich zdeorientowanych i przerażonych żołnierzy. W tym zamieszaniu nie mieli wielkiego kłopotu z opuszczeniem formacji i przedostaniem się przez tłum do nabrzeża. A jednak trochę im to zajęło, musieli bowiem uważać na śliskie od krwi kamienne płyty, zasypane bezużytecznym już sprzętem wojskowym, bezkształtnymi fragmentami ciał zabitych i wijących się rannych. Zostawili za plecami płonące magazyny i wkrótce znaleźli się w okrytej cieniem części nabrzeża. Na szczęście okazała się ona w miarę pusta i bezpieczna. Walki toczyły się głównie w bezpośredniej bliskości triem, a egipscy dowódcy nie próbowali wysłać ludzi dalej wzdłuż nabrzeża, aby uniemożliwić wrogom ucieczkę.

To nie ma większego znaczenia dla losów starcia – pomyślał Romulus, gdy spojrzął na rzeź. Ludzie Cezara, którzy jeszcze niedawno dokonywali cudów w walce, teraz zmienili się w spanikowane, bezrozumne zwierzęta. Nikt już nie słuchał rozkazów dowódców. Wszyscy walczyli o przeżycie. Żeby tylko wyrwać się z tej pułapki i bezpiecznie dotrzeć na okręt! Romulus wskazał najbliższą nabrzeża triemę.

– Ona zaraz zatonie.

Towarzyszący im legionista uniósł rękę do oczu i zaklął.

– Tam jest Cezar! – wykrzyknął. – Niech ci brudni Egipcjanie skończą w Hadesie.

Romulus zmrużył oczy, przyzwyczajając się przez chwilę do innego oświetlenia. Dostrzegł dowódcę. *Trierarch* – kapitan jednostki – głośno wykrzykiwał rozkazy, ale nikt go nie słuchał. Coraz więcej żołnierzy wspinało się na pokład triemy.

– Kto będzie nas prowadził, jeśli on zginie? – zawołał legionista.

– Później się będziesz o niego martwił. Najpierw pomyślmy o tym, jak cało wynieść głowy z tej awantury – odpowiedział Romulus zwięźle. Zdjął wszystkie elementy uzbrojenia, zostawiając na sobie tylko starą, podartą tunikę. Po chwili namysłu zapiął z powrotem pas, zatrzymując gladius i *pugio* – sztylet, który służył mu do obrony na krótkim dystansie i przydawał się przy przyrządzaniu jedzenia.

Tarkwiniusz uczynił podobnie.

Legionista przenosił wzrok to na jednego, to na drugiego, zastanawiając się intensywnie, co robić. Po chwili, mrucząc pod nosem straszne przekleństwa, zrobił to samo.

– Nie jestem najlepszym pływakiem – wyjawiał powody swojego wahania.

Romulus uśmiechnął się do niego.

– Możesz trzymać się mnie.

– Człowiek powinien wiedzieć, kto ratuje mu skórę. Nazywam się Fawentiusz Petroniusz – rzekł, wyciągając prawą rękę.

– Romulus. – Chwycili się za przedramiona. – A to Tarkwiniusz.

Nie było czasu na więcej subtelności. Romulus skoczył pierwszy. Nogami do przodu. Za nim do wody wskoczył też haruspik. Petroniusz wzruszył ramionami i poszedł w ich ślady. Dzięki temu, że znaleźli się nieco dalej od miejsca głównych walk, nikt nie zwrócił uwagi na trzy przytłumione pluski. Tarkwiniusz na początku płynął w stronę centralnej części portu, nieco na ukos, żeby oddalić się od nabrzeża. Potrzebowali trochę światła, żeby widzieć, gdzie płyną, ale jednocześnie musieli trzymać się w takiej odległości, żeby znaleźć się poza zasięgiem pocisków. Z uczepionym do siebie Petroniuszem Romulus został trochę z tyłu.

Pracując równomiernie rękoma i nogami, Romulus rozmarzył się – zastanawiał się, czy udałoby się im dopłynąć aż do statku z Fabiolą na pokładzie. *Już dawno zniknął w ciemności. Bez wątpienia zmierzał do Italii.* Przecież od wielu lat myślał o tym, żeby wrócić do Rzymu. Mimo wszystko nigdy nie stracił nadziei, że kiedyś znów znajdzie się w stolicy. Tarkwiniusz jednak powtarzał, że dla niego nie ma powrotu.

Uciekł w świat myśli. Wyobraził sobie, że z każdym zamachem zbliża się do domu i do Fabioli. To było tak, jakby miał kierować się do Elizjum. Przecież miał niezafatwione sprawy. Tarkwiniusz twierdził, że matka od dawna nie żyje, ale to nie zmieniało faktu, że musi ją pomścić. Jednym z elementów zemsty byłoby zabicie kupca Gemellusa – poprzedniego właściciela bliźniaków.

Nowe dźwięki – głośne pluski, po których następowały nieludzkie krzyki – sprawiły, że wrócił myślami do rzeczywistości. Dziesiątki

legionistów zeskakiwały teraz z przeładowanej triremy, która przechylała się pod ciężarem ludzkiej ciżby. W wodzie również czekała śmierć, nie wiadomo, czy nie gorsza od tej na nabrzeżu. Większość legionistów natychmiast tonęła z powodu ciągnących ich na dno ciężkich pancerzy, a ci, którzy byli w stanie utrzymać się na powierzchni, umierali pod gradem pocisków procarzy i łuczników, którzy już swobodnie poruszali się po grobli Heptastadionu.

Romulus czuł smutek, ale nie mógł wiele zrobić.

Petroniusz również oglądał dramat rozgrywający się przy nabrzeżu, nie mogąc oderwać od niego wzroku. Chwilę później jego uścisk stał się mocniejszy.

– Hej! Spokojnie. Chcesz mnie udusić? – zaprotestował Romulus.

– Przepraszam – odpowiedział Petroniusz, rozluźniając uścisk. –

Popatrz tylko! Cezar zaraz zeskoczy ze statku.

Romulus odwrócił głowę. Na tle jasnych płomieni we wschodniej części portu wyraźnie widział niewielką postać mężczyzny, który wcześniej tak sprawnie dowodził legionistami. Cezar nie był już w stanie kontrolować swoich ludzi. I on musiał myśleć o wydostaniu się z otaczającego go piekła. Odrzucił hełm z poprzecznym grzebieniem i piękny czerwony płaszcz, a potem też pozłacany napierśnik. Wraz z grupą legionistów czekał, aż wszyscy będą gotowi. Następnie, trzymając w zaciśniętej dłoni zwój pergaminów, zszedł po bocznym trapie wprost do morza, a za nim do wody skoczyli ludzie z jego straży, wzbijając wysokie fontanny wody. Otoczony ochronnym kordonem zaczął płynąć przez basen portowy w kierunku Faros, ciągle starając się nie zamoczyć dokumentów trzymany w uniesionej ręce.

– Na Mitrę! Ten facet ma jaja – skomentował Romulus.

Petroniusz zaśmiał się urywanym basem.

– Cezar niczego się nie boi.

Lawina strzał i kamieni wpadających do wody w pobliżu przypomniała im, że nie ma czasu do stracenia. Większość egipskich żołnierzy, nadal walczących z kohortą legionistów, utknęła na nabrzeżu, ale część ruszyła wzdłuż grobli. Mogli teraz swobodnie ostrzeliwać bezbronnych przeciwników w wodzie.

Celność procarzy zaskoczyła i przeraziła Romulusa. Spokojna

powierzchnia morza po lewej stronie grobli nie była zbyt dobrze oświetlona. Ponieważ płynęli dalej i niżej, zasłonięci częściowo przez Heptastadion, myślał, że dotrą do wyspy w miarę bezpieczne. Mylił się. Procarze używali kamieni nie większych niż połowa kurzego jaja. Umieszczali je w łątkach na paskach, którymi wymachiwali raz czy dwa nad głową, po czym wypuszczali. Kolejne serie dzieliły może dwa, trzy uderzenia serca. Trzecia i czwarta seria. Kolejne w krótkim odstępie czasu. Wkrótce powietrze nad nimi wypełnił syk pocisków. Kamienie wpadały do wody, wzbijając mniejsze i większe fontanny. Romulus widział na własne oczy, jak kolejni legionieści szli na dno. Skrzywił się na dźwięk uderzeń. Trafieni albo ginęli na miejscu, albo tracili przytomność i szli na dno. Dookoła to w policzek, to w oko kolejnego legionisty trafiał jakiś pocisk.

Wkrótce procarzom i łucznikom zaczęło brakować celów. Grupa z Cezarem na początku odpłynęła nieco dalej w głąb basenu portowego – podobnie jak Romulus i Tarkwiniusz – dlatego nie poniosła na razie żadnych strat. To miało się zmienić. Jako że grobli w tej części nikt już nie bronił, Egipcjanie mogli poruszać się równoległe do nich, bezkarnie ostrzeliwując przeciwników.

– Szybciej! – Tarkwiniusz zachęcił Romulusa do większego wysiłku.

Plusk. Potem drugi. Coraz bliżej. Seria pocisków wylądowała w wodzie nie dalej niż dwadzieścia kroków od nich, sprawiając, że Romulus poczuł szybsze bicie serca. Oddech Petroniusza palił jego szyję. Zostali dostrzeżeni. Pracował jeszcze mocniej, żeby jak najszybciej zwiększyć dzielący ich od napastników dystans. Starał się nie patrzeć na boki.

– Ci procarze potrafią trafić w wiecheć słomy z sześciuset kroków – wymamrotał Petroniusz.

Znowu w pobliżu wylądowała salwa kamieni. Było ich coraz więcej. Romulus musiał spojrzeć na ostro zarysowane na tle pożogi postaci wrogów, przygotowujących śmiertelne pociski, chociaż wcale tego nie chciał. Usłyszał, że się śmieją. Skórzane pasy wirowały hipnotycznie nad ich głowami. A potem wyciągnięcie ramion i kolejne pociski poszybowały w ich kierunku.

Na szczęście wyspa była już coraz bliżej. Cezar wy dostał się już na brzeg i wykrzykiwał rozkazy, wysyłając swoich ludzi w prawo, żeby zabezpieczyć drugi koniec grobli. Romulus pozwolił sobie na westchnienie ulgi. Wyglądało na to, że byli bezpieczni, i gdy tylko odeprą Egipcjan, bez wątpienia będą mogli odpocząć. A wtedy zmusi Tarkwiniusza, żeby powiedział mu wszystko na temat tamtej walki pod Lupanarem.

Płynący przed nim haruspik odwrócił się i już otwierał usta, żeby coś powiedzieć. Ich oczy się spotkały. Nie uszło jego uwagi, że Romulus patrzy na niego pewnie, zdeterminowany i przekonany o słuszności swoich osądów. Głos zamarł mu w gardle i po prostu przez jakiś czas mierzyli się wzrokiem. Ta cicha wymiana spojrzeń była bardzo znacząca i Romulus poczuł, jak rozpierają go emocje. *Tak wiele mu zawdzięczam. A jednak to z jego powodu musiałem uciekać z Rzymu! Gdyby nie on, wiódlbym teraz inne życie.* Skrzywił się na myśl o drewnianym mieczu Cotty, dawnego trenera w *ludus*. Gdyby nie Tarkwiniusz, już dawno miałby własny *rudis*.

Tarkwiniusz stanął na nogach. Dotarł do płycizny.

Sfrustrowani procarze zaczęli krzyczeć. Załadowali nowe kamienie i z jeszcze większym zapalem ostrzeliwali trójkę legionistów. Pospiesznie wypuszczone kamienie lądowały za ich plecami, nie czyniąc nikomu szkody.

Romulus podciągnął nogi, opuścił je pionowo i poczuł, że jego *caligae* zagłębiają się w muł na dnie. Petroniusz odetchnął z nieukrywana ulgą. Uderzył dwa razy rękoma i po chwili on też mógł stanąć na nogach. Puścił Romulusa, a po chwili uderzył go mocno po ramionach.

– Dziękuję, chłopcze. Zawdzięczam ci życie.

Romulus wskazał główne siły Egipcjan, którzy przygotowywali się do frontального ataku wzdłuż Heptastadionu.

– Nie będziesz musiał długo czekać, żeby spłacić dług.

– Wszyscy do mnie! Potrzebujemy każdego ostrza! – wrzasnął centurion jakby na zawołanie.

– Lepiej go posłuchajmy – poradził Tarkwiniusz.

To były jego ostatnie słowa.

Od strony grobli nadleciał kamień. Romulus przez pół uderzenia serca usłyszał niemal hipnotyczny szum, po czym kątem oka dostrzegł cień przemieszczający się pomiędzy nim i Petroniuszem. Kamień trafił prosto w lewą stronę twarzy Tarkwiniusza, łamiąc mu ze straszliwym chrzęstem kość policzkową. Trafiony mężczyzna otworzył usta w bezgłośnym krzyku, obrócił się wokół własnej osi pchnięty siłą impetu pocisku, po czym padł tyłem do sięgającej mu do pasa wody. Ta szybko wypełniła mu usta.

Rozdział II

Jowina



Okolice Rzymu, zima 48 r. p.n.e.

Fabiola! Już niedaleko – głos Brutusa wyrwał ją z zamyślenia.

Docilosa uniosła tkaninę, która była iluzoryczną przegrodą oddzielającą podróżujących w lektyce od zewnętrznego świata, żeby jej pani mogła się rozejrzeć. Poranne słońce dopiero nieśmiało opromieniało horyzont wąską nitką przymglonego jeszcze światła, ale oni już od ponad dwóch godzin byli w drodze. Ani ona, ani Fabiola nie protestowały, mimo że trzeba było wstać bardzo wcześnie. Obie bardzo chciały jak najszybciej dotrzeć do stolicy. Podobnie jak Decimus Brutus, oblubieniec Fabioli. Juliusz Cezar wysłał go do Rzymu z tajną misją. Brutus miał naradzić się z Markiem Antoniuszem, którego wcześniej dyktator mianował *magister equitum*. Cezar potrzebował wsparcia nowymi oddziałami, żeby znieść blokadę Aleksandrii, z której Fabiola i Brutus ledwo uszli z życiem. Dyktator z kilkoma tysiącami żołnierzy znalazł się w potrzasku w stolicy Egiptu.

Między wysokimi cyprysami po obu stronach drogi Fabiola widziała coraz więcej ceglanych grobowców bogatych mieszkańców miasta. Jej serce zabiło szybciej na ten widok. Na takie kosztowne cenotafy na przedmieściach mogli pozwolić sobie tylko ci, którym naprawdę na niczym nie zbywało. Wiele tutejszych grobowców było prawdziwymi dziełami sztuki, przyciągającymi uwagę przechodniów. Umożliwiały w ten sposób zachowanie kruchej pamięci o tych, którzy odeszli. Brutus się nie mylił. Zbliżali się do miasta. Najwięcej

mauzoleów możliwych rodzin znajdowało się przy Via Appia, prowadzącej z Rzymu na południe, ale można je było spotkać na wszystkich drogach wiodących do stolicy Republiki. Na drodze, którą zmierzali – z Ostii do Rzymu – było nie inaczej. Ozdobione malowanymi posągami bogów i przodków zmarłych grobowce często stawały się jednak domami dla wszelkiego rodzaju wyrzutków z marginesu rzymskiego społeczeństwa: złodziei, rzezimieszków i tanich dziwek. Mało kto odważył się zapuszczać w te rejony w nocy. Nawet słabe promyki światła przed świtem nie zmieniały atmosfery tego ponurego miejsca, gdzie drzewa szeptały niepokojąco, a budowle wydawały się pochylać nad wędrowcami, jakby im groziły. Fabiola nie po raz pierwszy dziękowała bogom, że ich grupę ubezpiecza duży oddział legionistów: pół centurii weteranów oraz... Sekstus, jej wierny opiekun.

– Wreszcie będziesz mogła się odświeżyć – odezwał się Brutus, który zbliżył się do lektyki.

– Dzięki bogom... – odpowiedziała Fabiola. Czuła, że po długiej podróży jej ubranie lepi się od brudu.

– Posłaniec, którego wczoraj wysłałem, zadba, żeby w *domus* wszystko było gotowe na nasze przybycie.

– Myślisz o wszystkim, moja miłości – obdarzyła Brutusa promiennym uśmiechem.

Mile połączony spiął konia do kłusa i ruszył na przód kolumny. Tak jak Cezar, Brutus nie był człowiekiem, który dowodziłby swoimi ludźmi z tyłów.

Fabiola skrzywiła się, czując w nozdrzach fetor ludzkich odchodów. Ta nieprzyjemna woń również była zwiastunem nieodległego miasta, choć nie tak znajomym, jak znacznie bardziej atrakcyjny zapach świeżo upieczonego chleba, który też zawsze kojarzył się jej z Rzymem. Tak właśnie zapamiętała stolicę. Wszelako smród fekaliów towarzyszył jej od najmłodszych lat i gdy znaleźli się zaledwie milę od murów miasta, pojawił się znowu, przywołując niemiłe wspomnienia. Miasto śmierdziało odchodami, bo niezliczone tysiące zwykłych plebejuszy w zatłoczonej metropolii nie miało dostępu do kanalizacji. W tym akurat aspekcie Rzym bardzo różnił się od czystej Aleksandrii. Nie zapomniała

o tym wymiarze życia w stolicy. Choć poranna bryza znad morza sprawiała, że smród nie wydawał się tak dojmujący, w gorące letnie dni był wszechobecny.

Na początku zachwyciła się perspektywą powrotu. Cztery lata z dala od rodzinnego miasta wystarczyły, żeby za nim zatęsknić. Najnowszy z jej tymczasowych domów – ten w Egipcie – nigdy nie był niczym innym niż po prostu obcym, wrogim miejscem. Mieszkańcy Aleksandrii nienawidzili Rzymian, w których widzieli wyłącznie swoich ciemężycieli. Fabiola na chwilę zapomniała, jak bardzo nienawidzi Egiptu, gdy jej myśli popłynęły ku przyjemniejszemu obrazowi. Na nabrzeżu, gdzie toczyły się ciężkie walki, bogowie nieoczekiwanie dali jej szansę ujrzenia Romulusa! To było tej samej nocy, kiedy opuszczała Aleksandrię. Oczywiście w tym momencie Fabiola niczego mocniej nie pragnęła, jak zostać tam, na miejscu, na obcej ziemi, i pomóc swojemu bliźniakowi. Jej brat żył i służył w rzymskiej armii! Ku jej ogromnej konsternacji Brutus nie zamierzał jednak opóźnić wyjścia okrętu z portu. Oddziały Cezara w porcie znajdowały się w naprawdę ciężkiej sytuacji, desperacko walcząc o przetrwanie. Nie bacząc na prośby Fabioli, Brutus postępował stanowczo. I cóż z tego, że ją przeprosił? Nie mogła nic zrobić. Musiała zaakceptować jego ocenę sytuacji. Bogowie uznali, że Romulus powinien pozostać przy życiu. Minęło tyle lat! Jeśli okażą się łaskawi, któregoś dnia znowu go spotka. Gdybyż tylko zrozumiała, co chciał jej wtedy przekazać... Jego słowa zagłuszyły dźwięki z pokładu triremy, którą uwijająca się jak w ukropie załoga przygotowywała do opuszczenia portu. Mogła tylko przypuszczać, że próbował przekazać jej nazwę jednostki, w której służył. Tak czy inaczej to zaskakujące spotkanie dało Fabioli nową energię. Znowu cieszyła się życiem!

Dzisiaj, po trwającej ponad tydzień ciężkiej podróży, wreszcie mieli dotrzeć do celu. To nieważne, że chronione grubymi tkaninami wewnątrz lektyki wypełniło się śmierdzącym powietrzem.

Poczuła nieprzyjemne palenie w żołądku na myśl o brudnym wiadrze, z którego musiała korzystać w domu Gemellusa. Na dodatek była zmuszona dzielić je z innymi niewolnikami. *Nigdy więcej!* – pomyślała z dumą. – *Jak długą drogę pokonałam od tamtego czasu?*

Nawet w Lupanarze, do którego sprzedał mnie kupiec, mogłam korzystać z czystych toalet. Tylko że ta odrobina zbytku bladła w perspektywie degradacji jej osobowości, gdyż musiała oddawać się obcym ludziom, którzy traktowali jej ciało jak przedmiot. Brutalna rzeczywistość życia w burdelu złamałaby ducha większości kobiet. Ale nie Fabioli. *Przeżyłam, bo musiałam.* Marzyła tylko o zemście na Gemellusie i o odkryciu tożsamości swojego ojca. Była zdeterminowana i wiedziała, że musi wydostać się z bagna, w którym się znalazła. Jakoś. Każdy sposób był dobry.

Największe nadzieje pokładała w bogatych i wpływowych mężczyznach, którzy odwiedzali dom rozkoszy. Zaprzyjaźniona koleżanka po fachu udzieliła jej wielu przydatnych wskazówek i podpowiedziała, jak postępować, aby owinąć wokół palca każdego mężczyznę. Fabiola zarzucała sieci, wabiąc i nęcąc klientów, wykorzystując swoje wdzięki, żeby usidlić kilku potencjalnych, niczego niepodejrzewających „kandydatów na zbawcę”.

Wyciągnęła rękę i sama uniosła ciężką tkaninę, żeby spojrzeć ukradkiem na Brutusa, który znów znalazł się w pobliżu lektyki. Najpierw jednak jej wzrok padł na Sekstusa. W ciągu dnia nie odstępował jej na krok. Nocami spał pod drzwiami jej sypialni. Fabiola skinęła delikatnie głową, zadowolona, że zawsze może liczyć na tego wiernego ochroniarza. Wtedy zauważył ją Brutus. Na jego twarzy od razu pojawił się szeroki uśmiech. Przesłała mu całusa. Brutus, zawodowy żołnierz i powiernik Cezara, był człowiekiem odważnym i można go było polubić. Po kilku wizytach w Lupanarze zadurzył się w niej bez pamięci. Ostatecznie jednak to nie z tego powodu go wybrała.

W podjęciu decyzji istotną rolę odegrała wiedza o bliskich relacjach Brutusa z Cezarem. Czy to był instynkt? Nie była pewna nawet po tylu latach. Na szczęście ryzyko się opłaciło. Przed pięciu laty Brutus wykupił ją z Lupanaru. Zabrał jako swoją kobietę do nowo kupionego domu, położonego w okolicach Pompei.

Z wielkim zdumieniem odkryła, że poprzednim właścicielem tej nieruchomości był nie kto inny jak Gemellus! Usta Fabioli ułożyły się na tę myśl w triumfalnym uśmiechu. Świadomość, że jej oprawca stracił wszystko, zawsze poprawiała jej humor i miała smak słodkiej zemsty.

Nie to, że przepuściłaby okazję, gdyby mogła sama zabić tego skurwysyna. Próbowała go odnaleźć, ale wysiłki nie przyniosły żadnych efektów. Obraz Gemellusa z czasem coraz bardziej ginął w mrokach niepamięci, tak samo jak rozwiewała się większa część obrazów z jej przeszłości. Za to wspomnienia wydarzeń tuż przed opuszczeniem latyfundium stale pozostawały żywe. Poczula strach, który wykręcał trzewia. Rozejrzała się po drodze.

Mijali wielu podróżnych podążających w obu kierunkach. Kupcy prowadzili długie szeregi obładowanych mułów. Rolnicy zmierzali ze swoimi produktami na zatłoczone rynki. Dzieci pilnowały stad kóz i owiec, które miały trafić na pastwiska. Od czasu do czasu pojawił się jakiś trędowaty, kuśtykający na skleconych samodzielnie kulach. Widziała też zwolnionych ze służby weteranów, którzy zwykle wracali do domów grupami. Minęli jakiegoś pogrążonego w transie kazania kapłana o irytującym wyglądzie, otoczonego akolitami z ogolonymi głowami. Muskularny mężczyzna w skórzanym kaftanie, z biczem w ręce, prowadził długą kolumnę niewolników, żałośnie pobrzękujących łańcuchami. Po obu stronach kolumny szli uzbrojeni strażnicy, którzy pilnowali, aby żaden z jeńców nie próbował wyrwać się na wolność. Ta grupa nie wzbudzała specjalnego zainteresowania. Bądź co bądź był to często spotykany widok w Rzymie, wiecznie cierpiącym na brak niewolników. Gdy mijali szurających nogami posępnych mężczyzn i kobiety, Fabiola wzdrygnęła się i cofnęła za zasłonę lektyki. Poczula, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Mimo że minęły ponad cztery lata, myśl o Scewoli – bezwzględnym łowcy niewolników, z którym zadarła – wciąż ją przerażała.

Nie pozwolę, żeby powstrzymały mnie jakieś durne lęki.

Zanim nie zobaczyła Romulusa w Aleksandrii, żyła myślą o zemście. Była przekonana, że odkryła tożsamość swojego ojca. Wprawdzie tylko raz przebywała sam na sam z Cezarem, ale nie mogła nie zauważyć, jak bardzo przypomina Romulusa. I na dodatek próbował ją zgwałcić! Jednak o winie dowódcy rzymskich wojsk przekonało Fabiolę nie tylko pożądanie, jakie dojrzała w jego oczach. Pamiętała jego groźbę: „Bądź cicho albo pożałujesz”. Te słowa ciągle rozbrzmiewały w jej uszach. Wtedy, tam w namiocie, wiedziała, że Cezar zachowywał się

tak nie po raz pierwszy. Czuła to sercem. To był dla niej wystarczający dowód. Dlatego wyczekiwała. I szukała okazji do zemsty, bacznie wszystko obserwując. Przyjdzie taki dzień...

Cezar przeżywał właśnie trudne chwile w Aleksandrii, ale Fabiola nie chciała, aby dokonał żywota w Egipcie. Śmierć z rąk wściekłego tłumu? To nie było zgodne z jej wyobrażeniem o zemście, jaka go czeka. A jeśli jednak Cezarowi uda się uciec, Rzym zostanie wciągnięty w kolejne wojny. Republikanie wciąż dysponowali dużymi siłami w Afryce i Hiszpanii. Ale przecież wracała do stolicy. Teraz będzie miała dość czasu, aby odpowiednio się przygotować. Znajdzie ludzi, którzy zabiją Cezara, gdy tylko wróci z Egiptu. Przekona się, kto będzie do tego zadania najlepszy, gdy zobaczy reakcję na swoje słowa. Te same, które wypowiedziała w obecności Brutusa. Cezar pragnie zostać nowym królem Rzymu.

Każdy obywatel uważał taki pomysł za coś więcej niż przekleństwo. Tylko że *domus* Brutusa to nie było dobre miejsce na siedzibę spiskowców. Fabiola uśmiechnęła się i stwierdziła, że zaufa bogom. Pomogą jej znaleźć lepszą bazę.

Musiało minąć kilka tygodni, zanim Fabiola poczuła się na tyle pewnie, by myśleć o wyruszeniu do miasta bez Brutusa. Powrót do Rzymu przypomniał jej o strachu przed zemstą Scewoli. Gdy wyobraziła sobie, że miałaby przebywać sama poza domem, ogarniała ją panika. Woląла zająć się sprawami domowymi, bezpieczna za murami *domus*. A było wiele do zrobienia. Dbała o gospodarstwo, przygotowywała uczyty dla przyjaciół Brutusa. Zatrudniła greckiego nauczyciela i pilnie się uczyła. Umiała już biegle czytać i pisać, co bardzo dobrze wpłynęło na jej pewność siebie. Zachłannie przyswajała każdy manuskrypt, który tylko wpadł jej w ręce. Dobrze teraz rozumiała, dlaczego Jowina pilnowała, aby jej prostytutki były analfabetkami. Tkwiące w niewiedzy i ignorancji kobiety łatwiej było kontrolować i uzależnić od siebie. Brutus wracał każdego dnia do domu wyczerpany, ale zawsze był pod wrażeniem jej dociekliwych pytań dotyczących polityki, filozofii i historii.

Od przekazania Markowi Antoniuszowi wieści na temat ciężkiego położenia Cezara Brutus zaangażował się w działania administracyjne,

pomagając oficjalnemu zastępcy dyktatora oraz jego zwolennikom w rządzeniu. Miał pełne ręce roboty. W Rzymie wrzało. Zaniepokojona brakiem informacji o losach Cezara – wszak zanim w Rzymie nie pojawił się Brutus, przez ponad trzy miesiące nikt nie wiedział, co się dzieje z dyktatorem – ludność Rzymu znów wyszła na ulice. Zachęceni do działania przez kilku żądnych władzy polityków, niezadowoleni arystokraci domagali się spłaty ich długów i abolicji, obiecanej przez Cezara, kpiąc z wcześniej wydanego edyktu o częściowym zniesieniu ich zobowiązań. Niezadowolenie pchnęło nawet kilku z nich do zmiany obozów i ogłoszenia swojego poparcia dla republikanów. Na domiar złego do Rzymu wróciły setki weteranów z jednego z ulubionych legionów Cezara, Legionu X, co nie sprzyjało uspokojeniu sytuacji. Żołnierze burzyli się z powodu opóźnień w realizacji obietnic dotyczących zasłużonych pieniędzy i ziemi. Regularnie wychodzili na ulice, by protestować.

Marek Antoniusz zareagował ze zwykłą sobie brutalnością. Do rozproszenia wicherzycieli wysłał wojsko. Znów doszło do rozlewu krwi na ulicach. Działania Marka Antoniusza bardziej przypominały te znane z czasów tłumienia powstań zbuntowanych Galów. A to przecież byli rzymscy obywatele! Brutus nie potrafił tego zrozumieć i często skarżył się Fabioli. Chociaż ryzyko buntu zwolenników Pompejusza zostało zażegnane, *magister equitum* nie zrobił nic, żeby choć trochę uspokoić weteranów. To musiało skończyć się źle. Brutus – lepiej radzący sobie z dyplomacją niż zapalczywy Marek Antoniusz – spotkał się z dowódcami Legionu X i jakoś udało mu się na razie załagodzić konflikt. Jednak sytuacja była daleka od stabilizacji.

Fabiola cieszyła się, że wraz z nastaniem lata Brutus był coraz bardziej zajęty swoimi sprawami. Scewola nie dawał znaku życia. Doszła do wniosku, że powinna zajrzeć do Lupanaru, domu publicznego, w którym pracowała. Teraz nadeszła właściwa chwila. A byłoby lepiej, gdyby Brutus pozostał nieświadomy tej wizyty. Na razie im mniej wiedział, tym lepiej. Niestety, konieczność zachowania tajemnicy oznaczała, że nie mógł jej w mieście towarzyszyć żaden z legionistów, których Brutus zostawił w domu dla ochrony. Strach ścisnął gardło Fabioli na myśl, że przyjdzie jej poruszać się po ulicach niebezpiecznego

miasta tylko w towarzystwie Sekstusa. Musiała sobie z tym poradzić. Nie mogła wiecznie kryć się za grubymi murami rezydencji ani też zawsze polegać na oddziałach regularnej armii, gdy tylko przyjdzie jej wyjść z domu do ludzi.

Najważniejsze, żeby nikt nie dowiedział się o tej eskapadzie.

Zignorowała zaciśnięte usta Docilosy i narzekania *optio*, dowodzącego żołnierzami Brutusa. Wybrała się z Sekstusem na Palatyn. Dzielnicę tę zamieszkiwali głównie bogaci obywatele, ale i tu – jak wszędzie w całym Rzymie – pełno było *insulae*, wysokich drewnianych budynków z mieszkaniami na wynajem, w których żyła większość ludności miasta. Na parterach tych domów znajdowały się sklepy, ale budynki wznosiły się na wysokość trzech, a nawet pięciu pięter. Słabo oświetlone, zaszczurzone i nieposiadające żadnych urządzeń sanitarnych oraz ogrzewane prymitywnymi piecykami *insulae* bywały też śmiertelnymi pułapkami. Stanowiły siedliska chorób, takich jak cholera, czerwonka czy ospa. Często zdarzało się też, że budynki tego typu waliły się zupełnie bez powodu lub płonęły, grzebiąc w zgliszczach wszystkich mieszkańców. To, że znajdowały się blisko siebie, oznaczało, że do wąskich, zatłoczonych i błotnistych uliczek docierało niewiele światła. Tylko największe arterie w stolicy miały utwardzoną powierzchnię, a zaledwie kilka z nich liczyło więcej niż dziesięć kroków szerokości. Tłoczyli się w nich obywatele, przedsiębiorcy, niewolnicy i złodzieje, zwiększając klaustrofobiczną atmosferę.

Chociaż Fabiola wychowywała się w mieście, od razu pokochała otwarte przestrzenie wokół jej latyfundium pod Pompejami. Sądziła jednak, że nie będzie miała problemów z przystosowaniem się na nowo do zatłoczonych uliczek. Wszystko wydawało się w porządku, dopóki nie pokonali z Sekstusem pierwszych stu kroków, zostawiając *domus* za plecami. Atakowana ze wszystkich stron dźwiękami rojnej metropolii Fabiola niemal wpadła w panikę. Natychmiast w jej głowie pojawił się obraz Scewoli. Robiła, co mogła, ale nie potrafiła się go pozbyć. Nogi nie chciały jej słuchać i poruszała się coraz wolniej.

Sekstus dostrzegł jej niepewny wyraz twarzy. Położył dłoń na rękójści gladiusa.

– Co się dzieje, pani?

– Wszystko w porządku – odpowiedziała, naciągając szczelniej na głowę kaptur peleryny. – To tylko złe wspomnienia.

Mężczyzna wyciągnął rękę, aby dotknąć opaski osłaniającej pusty oczodół, pamiątki po zasadzce urządzonej przez Scewolę.

– Rozumiem... – mruknął. – Lepiej, żebyśmy się nie ociągali. Nie powinniśmy zwracać na siebie uwagi.

Fabiola nie mogła pozwolić, aby strach przejął nad nią kontrolę. Ruszyła za Sekstusem pewniejszym krokiem. *Czego się tu bać? Toć to biały dzień. Przedpołudnie. Najbezpieczniejsza pora dnia, gdy prości ludzie załatwiają swoje interesy w mieście.* Kobiety i niewolnicy kupowali produkty spożywcze, uwijając się wśród straganów piekarzy, rzeźników i handlarzy warzyw. Sprzedawcy wina zachwalali jakość swoich produktów, kłamiąc jak najęci przy ich opisywaniu. Oferowali przy tym łyżeczek napitku każdemu, kto tylko spojrział w ich stronę. Kowale trudzili się nad kowadłami, a stolarze i garncarze spędzali czas na pogawędkach z sąsiadami nad pucharkiem *acetum*. Powietrze wypełniała gryząca woń środków stosowanych w pobliskiej garbarni i warsztatach foluszników. Przy niskich stolikach siedzieli mężczyźni zajmujący się rozmienianiem pieniędzy, zerkający z ukosa na kuśtykające kaleki, zachłannie spoglądające na ich zgrabnie ułożone stosy drobnych monet. Zamieszanie pogłębiały czeredy kręcących się w tłumie czy ganiających się obdartych dzieci, które kradły, co się tylko dało. Nic nie wskazywało na to, że ten dzień w Rzymie miał być szczególny.

Może tylko nie bardzo pasują tu te grupy legionistów Antoniusza – pomyślała Fabiola. Dawne prawo zabraniające wejścia do miasta żołnierzom pod bronią zostało uchylone przez samego Cezara. Z powodu dużego zagrożenia zamieszkami żołnierzy było w Rzymie więcej niż kiedykolwiek. Ten widok jednak jakoś ją uspokajał. *Legioniści i Sekstus. Nic mi się nie stanie.* Fabiola uniosła głowę. Lupanar nie był daleko.

– Chodźmy!

Sekstus uśmiechnął się szeroko. Tego właśnie spodziewał się po Fabioli.

Niedługo potem dotarli do ulicy, którą Fabiola знаła lepiej niż wszystkie inne w Rzymie. To właśnie tu, w pobliżu forum, mieścił się

luksusowy dom publiczny zwany Lupanarem. Znów zwolniła, ale tym razem trzymała swój strach w ryzach. Nie była już przerażoną trzynastolatką, zaciągniętą tu na siłę. Ofiarą prowadzoną na rzeź. Przedmiotem pożądania dla ludzi, dla których liczyło się tylko jej ciało. Wkrótce w miejscu nerwowości pojawiło się podekscytowanie. Wyprzedziła Sekstusa.

– Pani!

Zignorowała go. Jeszcze kilka kroków i tłum już nie zasłaniał jej wejścia do Lupanaru. Aż otworzyła usta ze zdumienia. Nic się nie zmieniło. Jaskrawo pomalowane, wyprostowane kamienne penisy wciąż sterczały po obu stronach ozdobionego łukiem wejścia, jasno dając każdemu przechodniowi do zrozumienia, czego może spodziewać się wewnątrz. Przed bramą stał wielki jak dąb mężczyzna z ogoloną głową, dzierżący obitą stalowymi obręczami pałkę.

– Wettiusz... – głos łamał się jej z emocji.

Osilek nie zareagował.

Odrzuciła kaptur płaszczu i podeszła bliżej.

– Wettiusz?

Mężczyzna zmarszczył brwi na dźwięk swojego imienia. Rozejrzał się niespokojnie na boki.

– Nie poznajesz mnie? Czy aż tak bardzo się zmieniłam?

– Fabiola? – odezwał się niepewnie. – Czy to naprawdę ty?

Skinęła głową, czując, jak w jej oczach pojawiają się łzy szczęścia. Wettiusz był jednym z jej najwierniejszych przyjaciół. Gdy Brutus wręczył jej *manumissio*, długo walczyła o to, aby uwolnić też dwóch ochroniarzy z Lupanaru. Chociaż Jowina zawsze potrafiła wykorzystać każdą okazję do wzbogacenia się, w tym przypadku odrzuciła wszystkie propozycje Fabioli. Wettiusz i Benignusz byli po prostu dla niej zbyt cenni z uwagi na charakter prowadzonej przez nią działalności. Z bólem serca Fabiola musiała przyjąć to do wiadomości.

Wettiusz rzucił się ku niej, ale nagle stanął jak wryty.

Sekstus wystrzelił do przodu i zmaterializował się tuż przed Fabiolą, broniąc dostępu do niej własnym ciałem. Choć był znacznie niższy niż ochroniarz Lupanaru, niemniej jednak szybko wyciągnął miecz i był gotowy do walki.

– Nie zbliżaj się – warknął.

Po krótkiej chwili wyraz twarzy Wettiusza się zmienił. Zniknęło zaskoczenie, a pojawiła się na niej złość. Jednak zanim zdążył wykonać ruch, Fabiola położyła rękę na ramieniu Sekstusa.

– To przyjaciel – wyjaśniła, ignorując zdziwienie rysujące się na twarzy jednookiego mężczyzny. Sekstus niechętnie odsunął się na bok i pozwolił, żeby Fabiola uważnie przyjrzała się swojemu dawnemu opiekunowi.

– Szmata czasu... – odezwała się ciepłym głosem.

Świadomy swego niskiego statusu osiłek pilnujący drzwi nie próbował już jej uściskać. Zamiast tego niezręcznie się uklonił.

– Na Jowisza! Jak ja się cieszę, że cię widzę, Fabiolo – odezwał się wzruszonym głosem. – Bogowie musieli wysłuchać moich modlitw.

Fabiola od razu wyczuła troskę w jego głosie. Poczowała nieokreślony lęk.

– Czy z Benignuszem wszystko w porządku?

– Oczywiście! – Na pokrytej szczecina twarzą Wettiusza wykwił szeroki uśmiech. – Ten wielki głupol jest w środku. Pewnie smacznie chrapie. W nocy miał dyżur.

– Łaskawy Mitro... – szepnęła. – To o co chodzi? Widzę, że coś cię trapi.

Wettiusz rozejrzał się niespokojnie.

To musi mieć coś wspólnego z Jowiną – stwierdziła Fabiola, przypominając sobie własną ostrożność, gdy jeszcze tu pracowała. Jak widać, mimo upływu lat ta wredna starucha wciąż musiała mieć dobry słuch.

Wettiusz pochylił się nisko i wyszeptał jej do ucha.

– Od kilku miesięcy nie dzieje się dobrze. Ogólnie jest niewesoło. Straciliśmy też większość naszych klientów.

Fabiola nie potrafiła ukryć zdziwienia. W swoim czasie Lupanar cieszył się dużym zainteresowaniem niemal przez całą dobę.

– Jak to możliwe?

Ochroniarz nie miał szansy odpowiedzieć.

– Wettiusz!

Fabiola poczuła, jak zalewa ją fala mdłości. Przez prawie cztery

lata ten jędzowaty głos był dla niej symbolem poniżenia, gdy właścicielka Lupanaru wzywała ją do siebie, żeby pokazać potencjalnym klientom.

– Wettiusz! Chodźże tutaj, jełopie! – Jowina wydawała się poirytowana.

Wettiusz zrobił przepaszający gest i odwrócił się, żeby wykonać polecenie swojej właścicielki. Fabiola z Sekstusem natychmiast ruszyli za nim.

Pokryta mozaiką podłoga wewnątrz Lupanaru była równie zniewalająca, jak zapamiętała ją Fabiola. Ściany domu od góry do dołu bogato udekorowano malunkami przedstawiającymi lasy, rzeki i góry. Gdziekolwiek pojawiały się wkomponowane małe, pulchne aniołki, satyry i różne inne bóstwa, które nieśmiało zerkały na gości. Najbardziej znanym z bogów był Priapus, przedstawiony z wielkim członkiem we wzwodzie. Na jednej ze ścian umieszczono obrazy pozycji seksualnych, ponumerowanych tak, aby klienci mogli łatwo, bez zażenowania wybrać swoje ulubione. W centralnym miejscu stał duży pomalowany posąg nagiej dziewczyny, splecionej w miłosnym uścisku z łabędziem. Całość zrobiła na Fabioli jednak nieco przygnębiające wrażenie przebrzmiałego przepychu. Uznała, że temu miejscu przydałoby się dobre, porządne sprzątanie. Zaczęła rozumieć, o co chodziło Wettiuszowi.

Pod jedną ze ścian stała drobna kobieta w mocno wydekoltowanej stoli. Serce Fabioli podskoczyło na widok jej byłej właścicielki. Nie widziała jej od pięciu lat. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że niewiele się zmieniła. Jowina odkrywała się chętnie, mimo że jej skóra na szyi i dekolcie wiotczała już ze starości. Wyłupiaste oczy wciąż błyszczały, kontrastując z bladymi policzkami, pokrytymi pastą z ołowiu, ochry i antymonu. Usta miała pomalowane na jaskrawoczerwony kolor. Na szyi, nadgarstkach i palcach skrzyła się droga biżuteria ze złota, srebra i kamieni szlachetnych. Jowina słynęła ze swojej dyskrecji, a kosztowności otrzymane od bogatych gości tego przybytku były dowodem ich wdzięczności.

– Idź i obudź tego półgłówek Benignusza – warknęła. – Musi coś dla mnie załatwić w mieście.

– Tak jest, pani – mruknął Wettiusz. Ruszył w kierunku drzwi

prowadzących na tyły budynku.

– Witaj, Jowino – w tej samej chwili Fabiola wychyłała zza wielkich pleców Wettiusza.

Na początku starucha nie była w stanie ukryć zdumienia. Uniosła pomarszczoną dłoń do ust, po czym szybko ją opuściła.

– Fabiola?

Sekstus aż uniósł brwi ze zdziwienia i niedowierzania. Oto właśnie poznawał wstrząsające szczegóły poprzedniego życia jego pani.

– We własnej osobie. Na starych śmieciach... – powiedziała po prostu.

– Witamy, witamy – odrzekła Jowina już pewniejszym głosem. – Czy mogę zaproponować ci coś do picia? Może coś zjesz? A może masz ochotę na dziewczynę? – zachichotała z własnego żartu, wywołując paroksyzm kaszlu.

– Dziękuję. Może poproszę trochę wina. – Fabiola uśmiechnęła się. W duchu musiała przyznać, że jest zatrwożona tym, jak mizernie wygląda Jowina. Zawsze wydawała się niezniszczalna, ale była już dość stara nawet wtedy, gdy Fabiola pojawiła się w Lupanarze po raz pierwszy. A teraz... wyglądała na jeszcze starszą, niż ją zapamiętała... i chorą. Nigdy nie miała zbyt dużo ciała, ale teraz spod pomarszczonej skóry wystawały kości. Można było odnieść wrażenie, że patrzy się na chodzący szkielet. Fabiola spodziewała się niemal, że może zobaczyć Orkusa, boga podziemi, czającego się gdzieś w kącie, aż właścicielka domu uciech wyzionie ducha.

Madame na chwilę niemal zniknęła z pola widzenia, pochyliwszy się za dużym biurkiem, które stało w recepcji. Wyciągnęła czerwono-czarny gliniany dzbanek i cztery drobne niebieskie kielichy oraz kilka małych talerzyków z oliwkami i chlebem. To był poczęstunek dla tych klientów domu, których Jowina uznawała za godnych tego wyróżnienia.

Podchodząc do Fabioli z dwoma wypełnionymi trunkiem kielichami, Jowina potknęła się i omal nie upadła. Na jej twarzy pojawił się lekki uśmiech skruszenia.

– Przepraszam za moją niezdarność...

Starucha naprawdę jest chora.

– Proszę, proszę... – wymruczała Jowina. – Jak za dawnych czasów.

– Nie do końca – odparła wesoło Fabiola. – Teraz jestem obywatelką.

– I kobietą ni mniej, ni więcej, tylko Decimusa Brutusa. Zapłacił za ciebie dużo pieniędzy... – odezwała się sondująco Jowina.

– Niech bogom będą dzięki. A ja odwdzięczam się mu za to każdego dnia.

– Wspaniale. Naprawdę szczęśliwe zakończenie! – skwitowała właścicielka domu rozkoszy z fałszywym uśmiechem na ustach.

Kobiety uprzejmie rozmawiały przez chwilę, popijając wino. Obserwowały się. Jowina zastanawiała się, co też sprowadza do niej była niewolnicę, a Fabiola starała się wybadać, jaka jest sytuacja Lupanaru. Jednak w ten sposób żadna z nich nie dowiedziała się niczego istotnego. Nieuchronnie rozmowa przeszła na temat wojny domowej i zdobycia władzy przez Cezara. Niezależnie od swoich prawdziwych zapatrywań politycznych Jowina zasypywała przełożonego Brutusa pochwałami.

– Mówi się, że utknął w Aleksandrii – powiedziała w końcu. – Pewnie to tylko plotki?

– Nie. To prawda. On i jego ludzie wpadli w pułapkę i są zablokowani w Aleksandrii przez posiadających wielką przewagę liczebną Egipcjan. Z trudem udało nam się z Brutusem opuścić to miejsce.

Jowina wstrzymała oddech.

– Ale Cezar jest tak doskonałym wodzem. Jak to możliwe?

Fabiola nie zamierzała wdawać się w szczegóły.

Cezar zachował się tak, jak zwykł czynić zawsze. Po bitwie pod Farsalos od razu ruszył w pościg za Pompejuszem, prowadząc jedynie niewielką część swojej armii, żeby nie opóźnić pogoni. Ta strategia – wyprowadzania szybkich ciosów, do których wróg nie był przygotowany – zwykle świetnie się sprawdzała. Tym razem jednak coś poszło nie tak. Egipcjanie ostro zareagowali na jego pojawienie się w Aleksandrii, sprawiając mu wiele problemów.

– Gdy wypływaliśmy, z Pergamonu i Judei podobno już nadciągały posiłki. A wczoraj z Ostii wypłynął do Egiptu legion wysłany z pomocą

przez Marka Antoniusza. Blokada wkrótce zostanie zniesiona.

– Dziękujemy Jowiszowi – powiedziała Jowina, unosząc kieliszek. – I Fortunie.

– Słusznie... – odrzekła Fabiola, mimo że w jej głowie już wirowały ciemne myśli dotyczące zemsty. *Gdy wojna domowa dobiegnie końca, a Cezar powróci do Rzymu w glorii zwycięzcy, będę na niego czekała.*

Nadejście Wettiusza i Benignusza poprzedził głośny stukot sandałów. Obaj aż promieniali z radości.

– Fabiola! – zawołał Benignusz. Rzucił się jej do nóg, żeby chwycić i ucałować rąbek sukni niczym dworzanin królowej.

Jowina ostentacyjnie zignorowała zachowanie swoich ochroniarzy, chociaż widać było, że nie jest zadowolona.

– Wstańże przecież... – Fabiola odezwała się czule, chwytając rękami Benignusza. – Bardzo się cieszę, że cię widzę. – Zmarszczyła brwi, zauważywszy, że zniknęły grube złote bransoletki mężczyzny, które nosił na nadgarstkach. Pozostały po nich tylko blade ślady, a przecież Benignusz zawsze bardzo cenił sobie te nagrody. Jowina rzeczywiście musiała być w poważnych tarapatach.

Zupełnie nieświadoma tej konstatacji właścicielka Lupanaru udawała, że zajęły ją jakieś dokumenty leżące na biurku. Zabezpieczyła je woskową pieczęcią, po czym oddała Benignuszowi ze słowami:

– Wiesz, co masz z tym zrobić.

Osilek wyglądał na nieco zdezorientowanego.

– Do lichwiarzy? Tych co zwykle? Na forum?

– Tak, oczywiście – warknęła Jowina, machając rękami. – Nie ociągaj się!

Benignusz pokiwał głową i skierował się do drzwi. Na pożegnanie rzucił Fabioli uśmiech, po czym zniknął. Wettiusz podążył za nim i zajął swoje stanowisko na ulicy. Sekstus też opuścił kobiety. Stał przy wejściu, żeby mieć na wszystko oko.

Fabiola intensywnie myślała. Jowinie wyraźnie nie spodobało się, że Benignusz nieopatrznie wyjawiał, iż spotyka się z lichwiarzami w jej imieniu. Nagle zaświtał jej w głowie szalony pomysł.

– Jak idą interesy? – zapytała jakby od niechcena.

Jowina od razu stała się ostrożniejsza.

– Dobrze. Jak zawsze... – odparła. Po chwili kolejny atak ciężkiego kaszlu sprawił, że jej mała klatka piersiowa przez dłuższy czas trzęsła się jak w konwulsjach, zwiększając podejrzenia Fabioli. – Dlaczego pytasz? – wyszeptała.

Fabiola spojrzała na właścicielkę Lupanaru wzrokiem, z którego, jak mniemała, przebijała troska.

– Prowadzenie tego przybytku musi być bardzo ciężką pracą. Wyglądasz na wyczerpaną.

– Czuję się dobrze – wymruczała. Zmusiła się do uśmiechu, ale gnijące zęby i zaczerwienione dziąsła jakoś przeczyły jej słowom. – Jednak faktycznie interesy nie idą za dobrze.

Wyczuwając pęknięcie w twardej zbroi Jowiny, Fabiola zaatakowała.

– Naprawdę?

Jowina opuściła głowę.

– W gruncie rzeczy... jest naprawdę kiepsko – przyznała, pozwalając, żeby Fabiola pomogła jej usiąść. – Jakiś rok temu trzy ulice dalej otwarto nowy burdel. Właścicielka jest młoda i piękna. A jej partner w interesach... nie wróży nam dobrze. – Na umalowanej twarzy kobiety pojawił się gorzki grymas. – Mają też dobre kontakty na targach niewolników. Zdobywają najlepsze niewolnice, jeszcze zanim trafiają do sprzedaży. Od miesięcy nie udało mi się kupić przyzwoicie wyglądającej kobiety, która zastąpiłaby te odchodzące. Jak w ogóle z nimi konkurować? To błędne koło. Przy normalnym odpływie siły roboczej mam teraz raptem dwadzieścia dziewcząt.

– A co z Benignuszem i Wettiuszem? Widzę, że ciągle są w dobrej formie. Powinni sobie poradzić z każdym problemem... – próbowała pocieszać Jowinę, w której zmęczonych oczach na chwilę pojawiła się iskra życia.

– To prawda. Ale sami niewiele działają. Kilkunastu oprychów z nożami i mieczami to za dużo nawet dla nich.

Tym razem Fabiola nie musiała udawać zaskoczenia. Wyglądało na to, że w tych pełnych brutalności czasach prostytutka była jeszcze cięższym kawałkiem chleba niż dawniej.

– Daj im pieniądze. Niech zatrudnią więcej ludzi – poradziła, sama zdziwiona tym, jak wielki gniew czuła, myśląc o nieuczciwych działaniach nowej konkurencji dla Lupanaru. – Albo zatrudnij kilku gladiatorów. To nie jest trudne.

Jowina tylko westchnęła.

– Jestem zmęczona, Fabiolo. Nie mam już takiego zdrowia. Miałabym prowadzić wojnę z konkurencją... – zamilkła. Wyglądała na pokonaną.

Fabiola z trudem ukryła zdumienie. *Czy to ta sama kobieta, która przez dziesięciolecia prowadziła najlepszy dom publiczny w Rzymie? Ta sama, która kupiła mnie od Gemellusa, sprawdzała osobiście moje dziewictwo w najbardziej intymny sposób, a potem zarobiła małą fortunę, oferując mnie wybranemu klientowi?* Ostra jak brzytwa Jowina prowadziła Lupanar żelazną ręką. W gruncie rzeczy jednak nie powinna się dziwić, jasne było, że któregoś dnia w końcu straci siły. Fabiola myślała racjonalnie, ale stwierdziła z konsternacją, że mimo wszystko widok tej kobiety, chorej i skurczonej, wciąż ją szokuje. Powiedziała sobie, że to nie czas ani miejsce na współczucie. Nic jej nie była winna.

Zapadła niezręczna cisza. Fabiola nagle zdała sobie sprawę, że od czasu, gdy weszła do Lupanaru, nie pojawił się ani jeden klient. Normalnie można się było spodziewać już kilku.

– Jak źle idą interesy? Konkretnie.

– Jeśli Fortuna się do nas uśmiecha, widzimy tu więcej niż pół tuzina klientów dziennie – wyszeptała, zupełnie rezygnując z walki.

Fabiolę to, co usłyszała, naprawdę zatrwożyło. Jednak opanowała się na tyle, żeby zachować niewzruszoną twarz.

– Aż tak mało?

– Próbowałam wszystkiego. Oferty, rabaty, chłopcy. Zmusiłam nawet dziewczyny, żeby zaoferowały specjalne usługi, jeśli wiesz, co mam na myśli...

Fabiola wzdrygnęła się, ale wołała nie pytać o szczegóły.

– Nic nie działa – ciągnęła Jowina. – Wszyscy biegną tylko do tamtej suki. Jowina zacisnęła usta po krótkim ożywieniu. – Całe życie pracowałam na ten dom... i tak to się skończy.

– I naprawdę nic się nie da zrobić?

– Modliłam się w wielu świątyniach. Zostawiłam w nich prawdziwą fortunę z hojnych ofiar. Co jeszcze miałabym uczynić? – zapytała Jowina. Znów na jej twarzy uwidoczniło się wielkie zmęczenie.

Fabiola poczuła przyływ adrenaliny. *Wykorzystaj chwilę! Przejmij kontrolę nad sytuacją.* Zawahała się, nagle niepewna. To, co powie, musi sformułować w odpowiedni sposób, bo w przeciwnym razie Jowina od razu odrzuci jej pomysł. Nie była jeszcze całkiem bezbronna. Nagle w jej planie pojawił się kluczowy element. Lupanar może okazać się niezbędny do realizacji zadania, jakim będzie doprowadzenie Cezara do upadku. Zainspirowana Fabiola nie pozwoliła sobie na najmniejsze drżenie warg.

– Czy kiedykolwiek myślałaś o tym... żeby zrezygnować? – spytała tak delikatnie, jak tylko potrafiła. – Dać sobie z tym spokój?

Jowina prychnęła zniecierpliwiona. Ale po chwili paciorki jej oczu wpatrywały się w Fabiolę tak jak oczy orła, skupiającego wzrok na swojej ofierze. Tylko że ona nie miała już tyle siły co królewski ptak.

– Kto miałby przejąć ten przybytek? Ty, jak sądzę?

– To tylko taka myśl, która właśnie wpadła mi do głowy. Zapłaciłabym oczywiście dobre pieniądze. Ignorując aktualny stan ksiąg i oceniając przedsięwzięcie na podstawie poprzedniego roku. – Fabiola zrobiła nieokreślony gest. – Jeśli zechcesz, będziesz mogła zostać w czasie nadzorowania okresu przejściowego. – Wiedza i doświadczenie Jowiny mogą okazać się niezbędne, zanim nie pozna wszystkich sztuczek i kruczków codziennego zarządzania.

Jowina wydawała się zaszokowana.

– O co ci właściwie chodzi? Po tym wszystkim, co tu przeszłaś, teraz mi mówisz, że chciałabyś przejąć interes?

Fabiola przypatrywała się swoim wypielęgnowanym paznokciom z wystudiowaną uwagą.

– Nudzę się... – oznajmiła po chwili. I właściwie to wcale nie było kłamstwo. – Potrzebuję czegoś, czym mogłabym zabić czas. A to jest rzecz, na której się znam.

– A co z Brutusem?

– Pozwala mi robić, co chcę. Towarzyszyłam mu przez wiele lat kampanii, a teraz wygląda na to, że ta cholerna wojna domowa jeszcze

trochę potrwa. Byłam z nim w Grecji i Egipcie. Okropne. Nie zamierzam teraz wybierać się do Afryki czy Hiszpanii.

Jowina bawiła się grubą złotą bransoletką na nadgarstku.

– A cena?

Fabiola policzyła już wszystko w głowie, gdy tylko Jowina przyznała, jak niewielu klientów zagląda ostatnio do Lupanaru.

– Myślę, że wystarczy sto pięćdziesiąt tysięcy *denarii* – pozwoliła, żeby jej słowa wybrzmiały. – Pięć tysięcy za każdą dziewczynę, pięćdziesiąt tysięcy za budynek. Wszelkie zaległe długi powinny być uregulowane przez ciebie.

Oczy Jowiny omal nie wyskoczyły jej z orbit. Zaproponowana kwota była bardziej niż hojna.

– Masz tyle?

Fabiola uśmiechnęła się z wyższością.

– Brutus ma więcej pieniędzy, niż możesz sobie wyobrazić.

Zapłaci, ile będzie trzeba, żeby mnie uszczęśliwić.

Jowina siedziała nieruchomo, zastanawiając się nad otwierającymi się przed nią możliwościami.

Nastąpiła długa cisza, podczas której Fabiola obserwowała Jowinę kątem oka. Stara jędza umiała się targować i potrafiła zwiertzyć okazję. Gdy na jej twarzy pojawił się chytry wyraz, nadszedł czas na zadanie ostatniego ciosu.

– Nie zapłacę ani asa więcej – powiedziała oschłym tonem, w którym nie czuć już było sympatii. – Tak dobrą ofertę składam tylko jeden raz.

Jowina zapadła się w fotelu.

– Daj mi trochę czasu – poprosiła cicho. – Kilka dni.

Teraz cię mam! – pomyślała radośnie Fabiola.

– Nic z tego. Dwie godziny powinny wystarczyć.

– W porządku – Jowina niechętnie skinęła głową.

Fabiola dopiła wino, wstała i skierowała się w stronę drzwi.

– Wrócę przed *hora sexta*.

Poczuła przepełniające ją poczucie triumfu. *Wreszcie wszystko idzie dobrze. Romulus odnalazł się w armii, więc któregoś dnia wróci do Rzymu. Brutus może i służy Cezarowi, ale jest absolutnie lojalny wobec*

mnie. Za dwie godziny Lupanar będzie mój, a wraz z nim kobiety, które będą mogła wykorzystać do swoich celów. Pomogą mi pozyskać innych wpływowych ludzi. Fabiola była tak pogrążona w myślach, że nie od razu zareagowała na słowa Sekstusa, który nagle pojawił się w drzwiach. Dopiero kiedy stanął jej na drodze i zabronił wychodzić z pomieszczenia, zrozumiała, że dzieje się coś złego.

Widziała, że jest bardzo zaniepokojony.

– Co się dzieje?

– Kłopoty – mruknął, wyciągając gladius z pochwy.

Fabiola próbowała wyrzeć na zewnątrz, ale Sekstus jej na to nie pozwolił.

Nagle usłyszała dochodzące zza bramy głośnie głosy. Jeden z nich należał do Wettiusza.

– Odwal się!

– Wejdziemy do środka, czy ci się to podoba, czy nie – usłyszała jakiś obcy męski głos. – Mój pan chce porozmawiać z tą starą suką. Teraz.

– Po moim trupie.

Odpowiedź Wettiusza została skwitowana salwą śmiechu i Fabiola wiedziała już, że ochroniarz jest sam przeciwko kilku lub nawet kilkunastu wrogom. W następnej chwili usłyszała charakterystyczny syk stali wyciąganej z pochew. Zaklęła. Nie mogą tak po prostu stać i czekać na to, co się wydarzy. *Gdzie Benignusz?* Spojrzała na Jowinę, która pod makijażem zrobiła się szara.

– Co to za ludzie?

– Warchoły z nowego burdelu.

– Damy ci jeszcze jedną szansę, głupcze – odezwał się przeciwnik Wettiusza. – Z drogi!

– Pierdol się. Pozabijam was wszystkich.

Serce Fabioli urosło z dumy. Zachowanie Wettiusza mogło w jakiejś części wynikać z tego, że to właśnie ona była w środku. Z przerażeniem myślała jednak o tym, co może się za chwilę wydarzyć.

Usłyszeli kolejne gniewne okrzyki i poruszenie.

– Wettiusz! – głos Jowiny jakoś przebił się przez ten gwar. – Niech wejdą.

Na zewnątrz zapadła cisza.

Fabiola czekała z zapartym tchem.

Ktoś stanął w drzwiach. Fabiola skuliła się za Sekstusem, który osłaniał ją swoim ciałem, przypierając lekko do ściany. Po człowieku, który ukrywał swoją twarz pod kapturem, przez bramę weszło pięciu dobrze umięśnionych mężczyzn z obnażonymi mieczami w dłoniach. Za nimi pojawił się Wettiusz, dzierżący uniesioną pałkę. Zobaczył, że Fabioli nic się nie stało, a potem też stanął przed nią. Jak dotąd żaden z intruzów nie zwrócił uwagi ani na nią, ani na Sekstusa. Krople potu spływały po szyi Fabioli i wydawało się jej, że stopy wrosły jej w ziemię.

Wzrok lidera padł najpierw na Jowinę. Ta wyraźnie zadrżała.

– Czego chcesz? – spytała piskliwym tonem. – Czy nie wystarczy, że doprowadziłeś Lupanar do ruiny?

– Jowino... – zakapturzona postać udawała, że te ostre słowa ją ranią. – Chciałem tylko zapytać o twoje zdrowie. Na mieście mówi się, że nie czujesz się za dobrze.

– Jesteś bezczelny i arogancki – prychnęła Jowina. – A ja czuję się dobrze.

– Doskonale – intruz pochylił się w pełnym szyderstwa ukłonie. Serce Fabioli zamarło. Gdzieś już widziała te ruchy. Podobnie jak masywne srebrne bransoletki na nadgarstku. Zanim zdążyła zebrać myśli, postać ta odezwała się ponownie.

– A jednak martwimy się o ciebie. Wydaje nam się, że powinnaś opuścić Lupanar. Wyjechać gdzieś. Szybko.

Wcześniejszy wybuch Jowiny wyczerpał chyba wszystkie rezerwy energii, jakie miała.

– To mój interes... – powiedziała cicho. – Co się stanie z tym domem? Z moimi dziewczętami?

– Wszystkim się zajmiemy. Budynkiem, ochroniarzami, a zwłaszcza ladacznicami – odezwał się mężczyzna, zerkając na swoich towarzyszy. – Czy nie tak, chłopcy?

Towarzyszące mu draby zaśmiały się nieprzyjemnie

Fabiola poczuła gorzki smak żółci w ustach. Dobrze wiedziała, z kim ma do czynienia. Scewola. *Fugitivarius*. Poczuła gorycz

podchodzącą do gardła. Musiała zakaszleć, żeby nie zwymiotować.

Na ten dźwięk przybysz obrócił się na pięcie. Obrzucił Wettiusza i Sekstusa pogardliwym spojrzeniem, ale na widok Fabioli jego oczy zrobiły się wielkie jak spodki. Na jego ustach pojawił się okrutny uśmiech.

– Na wszystkich bogów... – wyszeptał. – Kto by uwierzył?

Oszołomiona Fabiola czuła zawroty głowy. Musiała położyć dłoń na ramieniu Sekstusa. Inaczej pewnie osunęłaby się na ziemię.

Rozdział III

Farnakes



Pont, północna część Azji Mniejszej, lato 47 r. p.n.e.

Jedną ręką odwiązał pas podbródkowy, a drugą lekko uniósł hełm z filcową wkładką. Otarł czoło. Lepiej. Na kilka uderzeń serca. Podrzucił przygniatającą mu plecy ciężką faszynę. Z rozkazu Cezara każdy żołnierz miał zabrać ze sobą podczas tego marszu gruby pęk chrustu. W efekcie, mimo że przemierzali górzysty teren przy niezbyt wysokiej temperaturze, wszyscy legionieści obficie się pocili. Jeszcze przed świtem armia wymaszerowała z obozu tymczasowego w pobliżu miasta Zela. Pokonali już kilka dobrych mil.

Romulus uniósł głowę i spojrzął na tarczę słońca, która zdominowała wielką błękitną taflę nieba. Ani jedna chmurka nie dawała choćby odrobiny cienia. Było jeszcze wcześnie, ale słońce paliło niemiłosiernie, z intensywnością, której nie pamiętał od czasów tamtej eskapady do Królestwa Partów. A będzie jeszcze goręcej. Dzień miał przynieść kolejną bitwę. Znów przyjdzie stanąć do walki na śmierć i życie. *Bogowie, dajcie mi siłę, abym wybaczył Tarkwiniuszowi, nim wypełnią się moje dni. Teraz, gdy zniknął, może już nigdy nie będę miał okazji, żeby z nim porozmawiać.* Wezbrał w nim żal. Romulus nie próbował go tłumić. Zawsze, gdy próbował pozbyć się poczucia winy, tylko pogarszał sprawę.

Pamiętał każdy szczegół ostatniego, pechowego dnia i nocy w Aleksandrii, jakby to było wczoraj. Najbardziej żywe emocje wywoływało wspomnienie tej chwili, gdy Tarkwiniusz niespodziewanie

wyjawił mu, że to on zabił arystokratę, który zaatakował ich wtedy, osiem lat temu, przed bramą domu publicznego w Rzymie. Musieli uciekać, bo obaj sądzili, że Romulus przypadkiem roztrzaskał czaszkę nobilowi.

To, że przez Tarkwiniusza zmuszeni byli do opuszczenia Rzymu w takim pośpiechu, wciąż bolało Romulusa, ale oddałby wszystko, żeby jeszcze raz zobaczyć haruspika o blond włosach, z toporem o dwustronnym ostrzu przewieszonym przez ramię. Tylko że teraz to chyba tylko bogowie wiedzieli, co się z nim dzieje. Równie dobrze mógł przecież być jednym z setek legionistów i marynarzy, którzy zginęli tamtej nocy. *A przecież nam trzem prawie się udało!* – pomyślał gorzko Romulus. – *Gdyby nie ci cholerni procarze, Tarkwiniusz byłby teraz u mego boku.*

Z pomocą Petroniusza udało się wyciągnąć nieprzytomnego haruspika na łachę piasku. Położyli go bezpiecznie na suchym podłożu. Potem jednak, pod wpływem krzyków wściekłych *optiones* i centurionów, przyłączyli się do oddziału, którego zadaniem była obrona jedynej drogi prowadzącej na wyspę. Starcie było krótkie, brutalne i rozstrzygające. Żadna piechota na świecie nie oprze się rzymskim legionom w ograniczonej przestrzeni, takiej jak Heptastadion. Oddziały wroga zostały odrzucone z powrotem na kontynent, ponosząc ciężkie straty. To był słodko-gorzki wniosek wyciągnięty przez Romulusa, który – zakrwawiony i poobijany – wrócił potem na miejsce, gdzie zostawili Tarkwiniusza.

Co dziwne, po haruspiku nie było ani śladu. Może poza pokrytym krwią odciskiem w piasku. W czasie gorączkowo prowadzonych poszukiwań nie udało im się z Petroniuszem natrafić na jakiegokolwiek wskazówki. Mimo blasku latarni i jasnego światła płonących okrętów na wyspie nie byli w stanie przeszukać wszystkich kryjówek wśród głazów na brzegu, gdzie można się było dobrze schować.

W pewnym sensie Romulus wcale nie był zaskoczony, że Tarkwiniusz postanowił odejść. Teraz też rozumie jego powody. Nie miał za dużo czasu, aby kontynuować poszukiwania przyjaciela. Mógł zdezerterować, ale *optiones*, rozgniewani zniknięciem jednego ze swoich nowych rekrutów, bacznie obserwowali Romulusa w dzień i noc. Co

gorsza, następnego popołudnia Cezar ewakuował całą armię i popłynął wzdłuż wybrzeża na wschód. Zrozpaczony Romulus również znalazł się na pokładzie triemy. Próbował pocieszać się, wyobrażając sobie, że Fabiola usłyszała jego krzyk i wkrótce napisze do niego chociaż słowo. Zadziałało. Tylko na jakiś czas.

Cezar nie zapomniał lekcji ze stolicy Egiptu. Ruszył na spotkanie z sojusznikami, dowodzonymi przez Mitrydatesa z Pergamonu. Chociaż człowiek ten nosił to samo imię co król, który zupełnie niedawno wypowiedział posłuszeństwo Rzymowi, nie był w żaden sposób spokrewniony z buntownikiem i od wielu lat uważano go powszechnie za lojalnego sprzymierzeńca Cezara. Jego armia, złożona z żołnierzy syryjskich i judejskich, starła się już raz z głównymi siłami Egiptu, dowodzonymi przez nastoletniego króla Ptolemeusza i jego doradców. Po pierwszym niepowodzeniu Mitrydates wysłał prośbę o pomoc do Cezara, który z radością opuścił klaustrofobiczne ulice Aleksandrii. Jego legioniści czuli to samo... Wszyscy poza Romulusem. Nie poprawiło mu nastroju nawet wspaniałe zwycięstwo odniesione nad Egipcjanami w bitwie, w której zginęły tysiące żołnierzy wroga, a młody król utonął.

Po odzyskaniu kontroli nad Egiptem Cezar powrócił do Aleksandrii. I do Kleopatry, królewskiej siostry, która została jego kochanką. Dlatego nikt się nie dziwił, że zadbał o to, żeby Kleopatra została nową królową Egiptu. Te sprawy jednak zupełnie nie interesowały Romulusa, który – ze złamanym sercem i niemal z obłędem w oczach – wznowił na miejscu poszukiwania Tarkwiniusza. Jednak od czasu bitwy w porcie minęło kilka tygodni i wszelkie ślady – jeśli takowe były – już dawno zniknęły. No bo jakie było prawdopodobieństwo odnalezienia człowieka w mieście, w którym mieszka ponad milion osób? Pieniądze pożyczane od nowych towarzyszy Romulus wydawał w świątyniach i na targowiskach, aby zbierać informacje i prosić bogów o łaskę wiedzy. Mimo wszystko łudził się, że uda mu się czegoś dowiedzieć.

Na próżno.

Dwa miesiące później, gdy legiony znów opuszczały Aleksandrię, długi Romulusa miały wartość rocznej pensji. *Zrobiłem, co w mojej mocy* – pomyślał ze znużeniem. – *Niewiele więcej da się zrobić.*

Zabrzmiały *bucinae*, sprowadzając Romulusa z powrotem do rzeczywistości. Sygnał oznaczał, że wróg znajduje się w zasięgu wzroku. Kolumna zatrzymała się w miejscu. Faszyny padały na ziemię przy akompaniamencie głuchych tąpnięć. Romulus spojrział na Petroniusza, który maszerował w zewnętrznym rzędzie. Dzięki temu, że nie szczędził sił, aby uratować mu życie, Petroniusz został jego wiernym przyjacielem. Pomagał mu nawet szukać Tarkwiniusza, z czego Romulus był niezwykle rad.

– Widzisz coś?

Każdy chciał znać przyczynę tego postoju. W oczach wszystkich mężczyzn widać było głód zdarzeń. Bitwa wreszcie sprawi, że skończy się okres nudy, ciągnący się przez kilka ostatnich miesięcy. Cezar bardzo chciał przejąć kontrolę nad wszystkimi terytoriami należącymi do wasalów Rzymu. W pierwszej kolejności wybrał się do Judei i Syrii. Na widok wojsk rzymskich lokalni władcy zaczęli prześcigać się z deklaracjami wierności. Legiony, obciążone skrzyniami z trybutem, kontynuowały marsz aż po Cylicję na wybrzeżach Azji Mniejszej.

Następnie Cezar skierował się do Bitynii i Pontu, dążąc do konfrontacji z królem Farnakesem, który sprawiał Rzymowi wiele kłopotów. Farnakes był synem Mitrydatesa, zwanego Lwem Pontu. Tego samego, który sprzeciwił się Rzymowi dwadzieścia lat wcześniej. Syn miał równie wojowniczy charakter, co jego ojciec. Gdy Cezar i jego ludzie byli uwięzieni w Aleksandrii, Farnakes zebrał armię i rozpoczął brutalną wojnę z Kalwinusem, rzymskim zarządcą prowincji. Najeźdźcy splądrowali rozległe terytorium, zadali duże straty armii rzymskiej i dopuścili się wielu okrucieństw, na przykład kastrując wszystkich obywateli Rzymu, którzy wpadli w ich ręce.

I to właśnie dlatego Romulus i jego towarzysze dzisiejszego poranka znaleźli się w otoczonej wysokimi wzniesieniami dolinie w północnym Poncie. Cezar nie mógł zignorować takiej zniewagi, a że jego legionie od kilku miesięcy nie brali udziału nawet w niewielkich potyczkach, ludzie nudzili się i byli niespokojni. Żołnierze nawet ucieszyli się, że coraz bardziej energiczne wysiłki Farnakesa zmierzające do wynegocjowania pokoju zostały zignorowane. Teraz polowali na jego armię, prąc do konfrontacji. Republikanie z Afryki i Hiszpanii oraz

wszelkie sprawy polityczne w Rzymie musiały poczekać. Teraz trzeba było zająć się buntownikami.

Usłyszawszy, że wróg rozbił obóz w pobliżu Zeli, Cezar poprowadził legiony szybkim marszem na północ. Pokonał prawie dwieście mil w mniej niż dwa tygodnie. Romulusowi przypominała się ostatnia część fatalnej w skutkach ekspedycji armii pod dowództwem Krassusa. Tylko że w tym przypadku było oczywiste, że dowodzi nimi militarny geniusz. Niegdysiejszy partner Cezara w triumwiracie, Krassus, na pewno na takie miano nie zasługiwał. Czy katastrofa na miarę Carrhae mogłaby przytrafić się generałowi, który na każdym kroku wydawał się kpić ze śmierci i klęski? Służba w legionach Cezara była przyjemnością.

Zanim dotarli do Pontu, przemaszerowali przez Galację. Dejotar I Filoromajos, tetrarcha tych ziem, był lojalnym długoletnim sojusznikiem Rzymu, ale przed bitwą pod Farsalą stanął po stronie Pompejusza. Po klęsce błagał Cezara o darowanie win. Ten postanowił mu wybaczyć. Dzięki temu wyborna jazda galacyjjska i dziesięć kohort piechoty okazały się istotnym wsparciem dla trzech wyczerpanych kampaniami legionów z niepełnymi stanami. Wyszukoleni na rzymski sposób żołnierze sprzymierzeńca wykazywali się lojalnością i odwagą.

Połączone siły podeszły wczoraj pod Zelę i stanęły obozem na zachód od miasta. Zwiadowcy Dejotara rozpoznali okolicę, donosząc Cezarowi, że siły Farnakesa znajdują się kilka mil na północ. Buntownik zajął ze swoimi oddziałami wzgórze, zabezpieczając drogę prowadzącą do pontyjskiej stolicy, Amasii. W tym samym miejscu pokolenie wcześniej doszło do bitwy, w której Mitrydates rozbił doszczętnie wielką rzymską armię. Bez wątplenia to działanie było celowe, ale mimo że niewielu legionistów uznało to za dobry omen, nikt nie miał wątpliwości, kto wyjdzie z tego starcia zwycięsko. Czyż Mitrydates ostatecznie nie ukorzył się przed Republiką?

– Tam! – Petroniusz zawołał triumfalnie, wskazując na wzgórze położone nieco z boku. – To musi być to.

Romulus walczył z paskiem hełmu i próbował zorientować się, co dzieje się na płaskim szczycie. Wzniesienie znajdowało się na drugiej stronie prawie suchego koryta jakiejś rzeczki. Na jego szczycie

dostrzegał zarysy setek namiotów. Gdyby się dobrze wsłuchać, dałoby się nawet rozróżnić dochodzące z oddali rzenie koni zmieszane z dźwiękiem okrzyków zaalarmowanych wartowników. Wkrótce z namiotów wylali się żołnierze wroga. Sygnały alarmowe zagłuszyły wszelkie inne odgłosy. Legioniści zaczęli rozmawiać ze sobą z podekscytowaniem. Ich przybycie najwyraźniej zaskoczyło armię Farnakesa.

Uświadamiając sobie zasady strategii Cezara, Romulus uśmiechnął się pod nosem. Już na arenie zrozumiał, że rozpoznanie i lepsze przygotowanie do starcia znacząco przyczynia się do sukcesu. Innym czynnikiem decydującym o sukcesie była umiejętność błyskawicznego wykorzystania nadarzających się okazji. Cezar po mistrzowsku wykorzystywał wszystkie trzy swoje zalety. Rozkaz zabrania faszyn być może i spotkał się z narzekaniami, ale tak naprawdę nikt nie był z tego powodu jakoś specjalnie nieszczęśliwy. W dużych ilościach staną się podstawą świetnego wału ziemnego, wykorzystywanego do obrony i ochrony własnych oddziałów.

Romulus zastanawiał się, jaki pomysł na bitwę zmaterializował się w głowie Cezara. Od opuszczenia Zeli maszerowali po drodze do Amasii, prowadzącej wzdłuż wąskiego strumienia, którego koryto na przemian pojawiało się raz po lewej, raz po prawej stronie. W tej chwili znajdowali się na wschodnim brzegu. Romulus widział też, że u podnóża wzniesienia zajmowanego przez wroga również znajdował się jakiś ciek wodny. Był on prawdopodobnie dopływem rzeczki, wzdłuż której się poruszali, ale żadna z tych przeszkód nie była na tyle głęboka, aby jakoś specjalnie utrudnić walkę. Dolina, którą przemierzali, rozchodziła się nieco dalej na kształt litery „T”. Strumień poniżej wzniesienia z obozem wroga dochodził do rzeczki po lewym ramieniu, a droga nadal biegła prosto na północ, w kierunku wyższych wzgórz. Nikt nie mógł przemieszczać się tą drogą, nie ryzykując odsłonięcia flanki. *No tak... ale Cezar na pewno nie będzie unikał walki.*

– Te skurwysyny na pewno nie oddadzą łatwo pozycji na wzniesieniu – oświadczył Petroniusz. – Liczą, że zaatakujemy ich pod górę. Po zboczu.

– Cezar jest zbyt inteligentny, żeby tego próbować – odezwał się

żołnierz w tylnym rzędzie. – Nawet gdybyśmy mieli złapać ich na popołudniowej drzemce.

Jego komentarz został przywitany zgodnymi śmiechami i głośnymi pomrukami.

Romulus wskazał ręką zbocza po lewej.

– Pozycja na wzniesieniu. Równie dobra jak ta Farnakesa.

Mężczyźni odwrócili głowy, żeby zobaczyć, kto wypowiedział te słowa. Dolina, która zapewniała jako takie bezpieczeństwo wrogom, może pomóc również armii rzymskiej. W takiej sytuacji obie strony będą mogły długo się sobie przyglądać. Pat może trwać kilka dni. Pod Farsalą przeciwnicy przez tydzień oceniali swoje siły, zanim doszło do bitwy.

– To znaczy, że będziemy musieli zataskać te przekłete faszyny na samą górę – usłyszeli czyjeś narzekania.

– Głupcze! Jeśli wrogowie zaatakują, jeszcze będziesz się cieszył, że to targaleś – Petroniusz zrugął marudzącego żołnierza.

Na nieznanego legionistę poleciały steki przekleństw i szyderstw. Znów zabrzmiały *bucinae*, uciszając wszystkich.

– Przygotować się do zwrotu – wykrzyczał jeden z centurionów. – Wyrównać szeregi. Frontem w kierunku zachodnim!

Po niecałej godzinie cała armia dotarła na szczyt wzgórza. Połowę piechoty i jazdę galicyjską oddelegowano do osłony, a reszta żołnierzy przystąpiła do przygotowywania umocnień obozowych. Ziemia z wykopów i faszyny pozwoliły wznieść wały wyższe od człowieka. Rzymscy legioniści zajęli się umacnianiem przedniej i tylnej ściany fortu, a żołnierze Dejotara mieli pracować na jego bokach. Efekt ich wysiłków nie robił na razie dużego wrażenia i boczne wały nie wytrzymałyby impetu frontalnego ataku, ale lepsze to niż nic.

Jakiś czas później drogą w dolinie przybył transport mułów, które niosły na grzbietach namioty i jarzma żołnierzy. Przekazanie ich taborowi sprawiło, że legioniści w każdej chwili byli gotowi do walki. Romulus wiedział, że Cezar często stosował taki manewr. *Zaskocz nieprzyjaciela, a sięgniesz po zwycięstwo* – powiedział do siebie, gdy maszerowali w dół zbocza, by eskortować transport. – *Tylko jak dokonać tego tu, gdy widać nas jak na dłoni?*

Przeciwnicy śledzili ich ruchy przez resztę dnia. Jeźdźcy

galopowali to w jedną, to w drugą stronę, oddalając się od przeciwnego wzgórza, przekazując wiadomości i rozkazy dowódcom oddziałów sojuszników Farnakesa, znajdujących się w okolicy. Jazda Dejotara przeprowadzała wypad, docierając aż pod pontyjskie fortyfikacje, żeby zebrać jak najwięcej wiadomości z wrogiego obozu. Konni zwiadowcy Farnakesa robili to samo, podjeżdżając blisko umocnień rzymskiego fortu. Zanim zapadły ciemności, legionieści wiedzieli już, że przeciwnik dysponuje co najmniej trzykrotną przewagą liczebną. Farnakes miał doskonałą jazdę, większą liczbę oddziałów pieszych i innych jednostek pomocniczych, z których nie mógł korzystać Cezar. Jego siły wzmocnili bowiem traccy peltaści, *thureophoroi*, harcownicy z Judei i procarze z Rodos. Buntownicy dysponowali nawet kilkoma oddziałami ciężkiej jazdy, podobnej do partyjskich katafraktów, oraz sporą liczbą rydwanów z ostrzami na piastach kół. Rzymianie powinni za wszelką cenę unikać konfrontacji na płaskim terenie. Szturm na silnie ufortyfikowaną pozycję wroga również nie wydawał się dobrym rozwiązaniem. Romulus poczuł pierwsze ukłucia niepokoju.

Zaszło słońce, zalewając ziemię szkarłatem. Błyskały napierśniki legionistów przechadzających się po wale. Nikt nie ukryje swoich ruchów, wyprowadzając zaskakujący atak pod osłoną ciemności. Reszta żołnierzy wyległa z namiotów. Ludzie dzielili się *acetum*, kwaśnym winem o niezbyt dobrej renomie, i *bucellatum*, twardymi sucharami, stanowiącymi podstawę wyżywienia armii w czasie kampanii. Petroniusz i sześciu innych żołnierzy z *contubernium* Romulusa odpoczywali przy małym ognisku, śmiejąc się i żartując. Takie same sielskie sceny można było obserwować w całym obozie, ale Romulus z jakiegoś powodu nie czuł się zbyt dobrze. Mimo że przez ostatnie tygodnie udało mu się zbudować pewnego rodzaju braterską więź z towarzyszami, samotność wciąż zżerała go od środka. W takiej chwili bardzo pragnął, aby Brennus żył, a Tarkwiniusz nie zniknął.

Oczywiście jego życzenia nie miały mocy zmieniania rzeczywistości. Romulus westchnął. Nawet Petroniusz, któremu gotów był powierzyć swoje życie, nie mógł poznać prawdy o jego przeszłości. Dzisiejszej nocy nie miał ochoty dzielić się z nikim wspomnieniami z życia niewolnika. Zastanawiał się nad czymś innym. Nie potrafił

zrozumieć, skąd brała się arogancja żołnierzy Cezara, którzy byli pewni, że Farnakes zostanie pokonany, a jego potężna armia rozbita. Czy nie tak samo mówiła większość żołnierzy uczestniczących w wyprawie Krassusa przed Carrhae?

Gdyby zwerbalizował swoje obawy i wspomniął o doświadczeniach z kampanii partyjskiej, ściągnąłby na siebie uwagę najbardziej niepożądanego rodzaju. W najlepszym wypadku zostałby okrzyknięty kłamcą. W najgorszym: dezercerem. Mógł tylko trzymać gębę na kłódkę i wierzyć w geniusz Cezara.

Poranek następnego dnia przywitał ich czystym niebem i rześkim powietrzem, zapowiadając kolejny słoneczny dzień. Zabrzmiały trąbki, jak zwykle budzące obóz do życia. Nie rezygnowano z rutynowych działań w armii tylko dlatego, że wróg znajdował się w pobliżu. Po lekkim śniadaniu większość żołnierzy wysłano do wzmacniania wału, który otaczał obóz. Chociaż faszyna i doły w ziemi dały legionom poczucie względnego bezpieczeństwa, wciąż było jeszcze wiele do zrobienia. Na zewnętrznych fragmentach fortyfikacji, tuż poniżej stanowisk wartowników, wbijano w ziemię zaostrzone bale. Kopano różnej wielkości doły, rozmieszczane w nieregularnych rzędach, wypełniając je ostrymi żelaznymi kolczatkami. Inni legionieści pracowali z mozołem młotami i dłutami, przygotowując skalne zęby, co powodowało, że teraz fortyfikacje wyglądały jak rozwarta szczęka gigantycznego demona. Romulus z zafascynowaniem słuchał, jak legionieści opowiadali, że takie same umocnienia budowano pod Alezją. Tam ciągnęły się przez piętnaście mil. Z tym że pod Alezją trzeba było ponadto zabezpieczyć wały z obu stron do obrony okrężnej!

Oczywiście wszystkie te zabezpieczenia miały odegrać ważną rolę w nadchodzącej bitwie. Ogromna armia, z którą mieli się zmierzyć, składała się z zajadłych wojowników, którzy już posmakowali rzymskiej krwi. Znajdowali się także na poświęconej ziemi, w miejscu historycznego zwycięstwa Mitrydatesa, odniesionym nad rzymskimi legionami. Gdy przeciwnik posiada tak ważne atuty, zawsze tylko szczegóły decydują o sukcesie lub porażce.

Rozebrane na części w celu łatwiejszego transportu, *ballistae* teraz zostały zmontowane. Stały na *intervallum* – otwartym terenie za murami

ziemnych fortyfikacji – zwrócone na północ, w stronę armii Farnakesa. Wysłano specjalne zespoły z mułami, żeby zebrały odpowiednią ilość kamieni, nadających się do dwuramiennych katapult. Prawdopodobnie jedyną przewagą i atutem armii Cezara była właśnie artyleria. Romulus dobrze pamiętał, jak skuteczne okazały się balisty użyte przez Zapomniany Legion w czasie ostatniej bitwy.

To wspomnienie znów sprawiło, że poczuł ukłucie smutku i wyrzuty sumienia. Jak zawsze potem pojawiła się wdzięczność. *Nie byłoby mnie tutaj, gdyby Brennus nie poświęcił swojego życia.* Ta gorzka konstatacja nie poprawiła mu jednak nastroju. Sprawiała raczej, że czuł się jeszcze bardziej winny tego, co się stało z Tarkwiniuszem. I znów przypomniał sobie, że to właśnie haruspik nalegał, aby udali się na zwiady do stolicy Egiptu. Mógł tylko wzruszyć ramionami. Każdy człowiek jest panem własnego losu, a Tarkwiniusz nie był wyjątkiem.

Jasne słońce w końcu rozwiało jego smutki. Na szczęście Legion XXVIII otrzymał rozkazy zabezpieczania prac ziemnych w obozie. Chociaż towarzyszyły im niektóre jednostki jazdy Dejotara, większość konnicy wysłano w mniejszych grupach za zwiady w celu rozpoznania okolicy. Zadowoleni, że powierzono im łatwe zadanie, żołnierze legionu obserwowali ciężko pracujących towarzyszy. A gdy oficerowie nie widzieli, pozwalali sobie nawet na szerokie uśmiechy.

W pewnej chwili Romulus podniósł wzrok na pozycje wrogiej armii.

– Na jaja Jowisza! Ruszyli się! – zawołał.

Petroniusz zaklął szpetnie. Po drugiej stronie doliny długie kolumny właśnie wychodziły zza fortyfikacji i formowały się na płaskim terenie. W promieniach porannego słońca stał obnażonych ostrzy rzucała jasne refleksy, a skrzypienie kół rydwanów i głośno wykrzykiwane rozkazy wypełniały powietrze. Wkrótce stało się jasne, że cała armia Farnakesa wyruszała do walki.

Reakcja rzymskich oficerów była natychmiastowa.

– Ciasny szyk! Tarcze w górę! – rozległy się nawoływania, przekazywane coraz dalej i dalej do kolejnych szeregów. Zaciskający palce na oszczepach legioniści usłuchali wszyscy jak jeden mąż. Chociaż stok przed nimi był dość stromy, atak frontalny mógł okazać się

niebezpieczny. Mimo to nie było powodów do paniki. Zejście do doliny poniżej, a następnie dotarcie do ich pozycji zajmie wrogowi trochę czasu. Ich towarzysze pracujący na wałach zdążą do nich dołączyć.

– To musi być parada – stwierdził Petroniusz pogardliwie. – Ich dowódca chce pokazać swoim żołnierzom, jacy są dzielni.

– Może chce wymusić na Cezarze, żeby wysłał tu więcej ludzi – zastanawiał się głośno Romulus.

Petroniusz zmarszczył brwi.

– Żeby spowolnić budowę fortyfikacji?

Romulus pokiwał głową. Jeśli duże siły będą musiały stale osłaniać obóz, nie będzie komu budować umocnień.

– Pewnie po prostu popisuje się swoimi żołnierzami. Chce poprawić morale ludzi. Mają dużą przewagę liczebną – mruknął Petroniusz.

Było to dość prawdopodobne. Romulus cieszył się w duchu z przewagi psychologicznej rzymskiego legionisty nad przeciwnikiem.

Odwrócili się, żeby sprawdzić, co się dzieje w obozie Rzymian. Jak zareaguje ich wódz? Nie musieli długo czekać. Mężczyzna w czerwonym płaszczu wspinał się na wały w towarzystwie grupy wyższych oficerów i trębacza. Pojawienie się dowódcy zostało przywitane głośnym wiwatem. Cezar musiał się pokazać. Chciał mieć lepszy widok na dolinę, aby i w ten sposób wpłynąć na poprawę morale swoich oddziałów. Uniósł rękę, żeby osłonić oczy. Przez dłuższy czas analizował szyk Farnakesa.

Tak samo jak Romulus. Na samym przedzie zobaczył grupy procarzy i łuczników, oddziały walczące na dystans, zasypujące wrogów deszczem kamieni i strzał. Ich celem było spowodowanie jak największych strat u przeciwnika przed rozpoczęciem walki w zwarciu. Głębiej w centrum formacji widać było rydwany bojowe. A niewiele dalej za nimi ciągnęły się długie szeregi peltastów i *thureophoroi*, ustawione w ciasny prostokąt. Na lewym skrzydle dostrzegli ciężką kawalerię pontyjską, a na drugim – masę lekko uzbrojonych trackich jeźdźców.

– To mi wygląda na szyk bojowy – mruknął Romulus.

– Rzeczywiście – zgodził się z nim Petroniusz podejrzanie

chrapliwym głosem. – A oto i sam Farnakes.

Jak urzeczeni wpatrywali się w jeźdźca na wspaniałym czarnym ogierze, który ukazał się w bramie fortu. Przywitały go gorące okrzyki żołnierzy. Za nim rozwinęła się długa kolumna ciężko opancerzonych gwardzistów na podobnych koniach. Farnakes zaczął coś mówić do swoich ludzi, przemierzając się powoli wzdłuż pierwszej linii. W odpowiedzi na jego słowa odezwały się głośnie, pełne uwielbienia okrzyki. A potem rozległ się charakterystyczny dźwięk mieczy uderzających o tarcze, dźwięki cymbałów i bębny. Tak jak w każdej armii, właśnie w ten sposób pontyjscy żołnierze okazywali, że cieszą się z poświęconej im uwagi dowódcy. Po dotarciu do centrum formacji Farnakes spędził dłuższy czas, przemawiając do ludzi siedzących w rydwanach. Romulus czuł coraz większy niepokój. Zanim król dotarł do drugiego skrzydła, hałas po drugiej stronie doliny osiągnął przerażające *crescendo*.

– Niech sobie krzyczą – powiedział Petroniusz z pogardą w głosie.
– Nie mają z nami szans.

Poruszony Romulus znów zerknął w stronę Cezara, który nie ruszył się z miejsca. *Wygląda na to, że nic nie jest w stanie zburzyć jego spokoju* – pomyślał z ulgą. Cezar zwrócił się do swoich oficerów i wymienił z nimi kilka zdań. Po dłuższej chwili przemówił do żołnierzy Legionu XXVIII, którzy śledzili każdy jego ruch.

– Po prostu się popisują, *commilitones* – oświadczył z przekonaniem. – Nie ma się czym martwić. Dziś bitwy nie będzie. Najważniejsze jest dokończenie prac fortyfikacyjnych.

Po jego słowach dało się słyszeć gremialne westchnienie ulgi. Zadowolony Cezar opuścił swoje miejsce na wałach i zniknął na *intervallum*.

– Słyszeliście! Wracać do pracy – rozkrzyczeli się oficerowie.

Kilofy i łopaty znów zaczęły się wznosić i opadać. Muły, dźwigające ładunek kamieni dla balist, nic sobie nie robiły z zamieszania i ryczały jak wcześniej. Nadzorujący prace ziemne inżynier pojawił się w bramie, pogrążony w rozmowie z kolegą. Za nim dreptał niewolnik, ściskając *groma*, urządzenie, dzięki któremu każdego dnia jego pan idealnie wyznaczał prostokątną siatkę obozu. Składało się z pary

skrzyżowanych prostych kijków na pionowym słupie, z obciążnikami na końcach czterech ramion.

Petroniusz wyraźnie się rozluźnił. Podobnie jak reszta towarzyszy Romulusa. Wszyscy zajęli się swoimi sprawami. Śmiali się. Rozmawiali. Cóż, naprawdę mieli dziś farta, że przypadło im w udziale najłatwiejsze zadanie. *Optiones* i centurionowie nie próbowali utrzymać porządku w szeregach. Jeśli Cezar się nie przejmie, to oni też nie muszą.

Romulus nie przestawał obserwować wroga. Farnakes kontynuował przemowę i wreszcie rozległ się długi, porywający wiat żołnierzy. Zaklął.

– Cezar źle ocenił sytuację. Te dranie naprawdę mają zamiar nas zaatakować!

Petroniusz rzucił mu pełne niedowierzania spojrzenie. Jednak wyraz jego twarzy zmienił się, gdy sam poświęcił kilka chwil, aby przyjrzeć się szeregom rozwiniętym do ataku na stoku przeciwległego wzgórza. Inni legionieści też zaczęli zerkać na buntowników z coraz większą podejrzliwością.

Farnakes dotarł już do ostatnich szeregów, nakazując procarzom i łucznikom rozpoczęcie ataku. Ci lekkozbrojni wojownicy zeszli ze stoku jako pierwsi. Po nich ruszyły się wydające skrzypiące dźwięki rydwany. Ubezpieczała je ciężka jazda i lekka konnica tracka, składające się na drugą falę mężczyzn i rumaków. Za nimi drgnęły szeregi peltastów i reszta sił wroga ruszyła w stronę dna doliny. Romulus obawiał się przede wszystkim właśnie pontyjskich rydwanów i wielkich formacji konnych wojowników na każdym skrzydle. Jeśli armia Farnakesa naprawdę miała zamiar rozpocząć szaleńczy szturm pod górę, on i jego towarzysze będą mieli problemy z powstrzymaniem zmasowanego ataku. Będą potrzebowali o wiele większego wsparcia osłaniającej ich jazdy Dejotara. A większa część tych oddziałów znajdowała się daleko od nich.

Wkrótce falujące mrowie rydwanów i jeźdźców osiągnęło równinę. Tam żołnierze zatrzymali się. W tym czasie chyba wszyscy towarzysze Romulusa z Legionu XXVIII wstrzymali oddechy. Czy wróg wykona zwrot i zacznie wycofywać się po dnie doliny, czy dowódca nieprzyjacielskiej armii naprawdę podjął brzemienne w skutkach

decyzję, aby skierować swoich ludzi do ataku w górę zbocza?

Romulus z zadowoleniem stwierdził, że ich *optio* teraz też uważnie obserwuje ruchy wroga, ale ani on, ani żaden z centurionów nie wydawał się zaniepokojony. Nie dziwił się. Atak pod górę byłby naprawdę nierozsądnym posunięciem. Skrzywił się. Miał przecucie, że patrzą na coś więcej niż zwykły manewr z użyciem dużych mas wojska. Przecież nikomu nic by się nie stało, gdyby się przygotowali. Ostrzegli Cezara. Czy wiara oficerów w nieomylność swojego wodza była tak wielka, że nie potrafili sami oceniać i wyciągać wniosków z tego, co działo się na ich oczach?

W następnej chwili procarze i łucznicy odważnie wskoczyli do strumienia. Przez cały czas wpatrzeni w rzymskie pozycje unosili łuki i proce nad głowy, żeby zabezpieczyć je przed działaniami wilgoci. Zmuszone do pokonania przeszkody konie rżały, ale ciężka jazda potrafiła utrzymać porządek podczas przekraczania płytkiej wody. Oddziały pieszych Traków przeprowadzały się z typową dla oddziałów nieregularnych niefrasobliwością, w chaotycznym tłumie, wśród krzyków i jazgotliwych rechotów. Rozległ się głośny huk kół toczących się po kamieniach, a potem pluski, gdy konie bez wahania pokonywały strumień z wodą sięgającą im ledwo do pęcin. Na równym terenie po drugiej stronie pontyjscy żołnierze wyrównali szyki, odtwarzając pierwotną formację. Teraz wszyscy spoglądali w górę. Ich oficerowie wskazywali szczyt wzniesienia, na którym znajdował się Legion XXVIII, i wykrzykiwali jakieś komendy.

– Nie mogą być aż tak głupi... – Petroniusz westchnął ciężko.

– Nie byłbym tego taki pewien – odparł Romulus ponurym głosem.

Nastąpiła krótka przerwa, zanim ostatni nieprzyjacielski jeździec nie zajął swojego miejsca w linii. Znowu rozległo się wycie dobiegające z tysięcy gardeł tych, którzy powozili rydwanami. Nieprzyjacielska armia ruszyła. W górę zbocza.

– Na Jowisza! – zawołał Petroniusz. – Toż to szaleństwo.

Centurionowie legionu w końcu zaczęli działać.

– Jesteśmy atakowani! Grać na alarm!

Najbliższy jego trębacz uniósł instrument do ust i wypuścił z niego serię ostrych, krótkich dźwięków. Potem powtarzał ją w kółko raz za

razem. Reakcja żołnierzy była szybka. Oficerowie ustawiali kohorty w ścisłym szyku, zmniejszając szczeliny pomiędzy poszczególnymi elementami. Wyraźnie zaniepokojeni jeźdźcy Dejotara – w liczbie zaledwie stu – zbili się w jedną grupę. Legioniści pracujący przy kopaniu rowów i wałów wreszcie obrócili głowy i dostrzegli zwarte szeregi nieprzyjacielskich żołnierzy wspinających się po stoku. Prowadzeni przez swoich oficerów natychmiast rzucili się na *intervallum* po tarcze i *pila*.

Za wolno. O wiele za późno.

Ośłona, jakiej teraz potrzebowali – reszta kawalerii Dejotara – była rozproszona po okolicy. Minie z pół godziny, zanim legioniści dotrą do obozu i zbiorą oporządzenie oraz przygotowują się do walki. W tym czasie Legion XXVIII zostanie unicestwiony. Rozglądając się wokół, Romulus zrozumiał, że wszyscy stojący obok niego legioniści wiedzieli, co ich czeka. A jednak musieli utrzymać pozycje. W przeciwnym razie nieprzygotowani do walki towarzysze w obozie podzielą ich los.

Nie było już ani śladu po atmosferze pewności siebie i beztraski, jaka panowała przez cały ranek. Zadanie, które wydawało się łatwizną, oznaczało w rzeczy samej wyrok śmierci dla nich wszystkich. Towarzysze Romulusa w milczeniu obserwowali, jak przeciwnicy wspinają się pod górę. Niespiesznie, aby oszczędzać energię i nie zmęczyć koni. Walczyli już wcześniej z Rzymianami i wiedzieli, że legioniści nie użyją oszczepów, zanim nie zbliżą się do nich na trzydzieści kroków. Może pięćdziesiąt, przy tak ostrym zboczu. *Ballistae* wciąż znajdowały się na placu w głównym obozie. Nie musieli zatem lękać się ostrzału z dystansu. Nieniepokojeni wspinali się spokojnie na wzgórze, gdzie miało się wszystko rozstrzygnąć. Pontyjska jazda będzie miała dużo czasu, żeby się przegrupować przed szarżą. Romulus poczuł suchość w ustach.

Panowała pełna niepewności cisza. Z obozu dochodziły do nich gniewne krzyki i wrzaski, gdy reszta armii w szaleńczym pośpiechu próbowała przygotować się do walki. Sześć centurii, około osiemdziesięciu mężczyzn musiało stworzyć szereg kohorty. Dziesięć kohort tworzyło legion. Chociaż proces formowania był wielokrotnie przećwiczony, wymagał czasu. *Dobry generał nie pozwala sobie na*

wprowadzenie swoich ludzi do walki nieprzygotowanych. On i jego towarzysze z Legionu XXVIII po prostu będą musieli przez ten czas liczyć tylko na siebie.

Nie musieli długo czekać, by wrogowie znaleźli się w odległości około dwustu kroków od ich pozycji. Teraz Romulus bez trudu dostrzegał już szczegóły ubiorów i wyposażenia procarzy i łuczników. Ci pierwsi, odziani w proste wełniane tuniki, przypominali najemników, którzy walczyli w Egipcie. Każdy niósł dwa pasy. Jeden używany na krótkim dystansie i drugi – do ostrzału z dalszej odległości. Zapasowy pas owijano wokół szyi, podczas gdy skórzane woreczki z amunicją wisiały przy pasach. Wielu miało również krótkie noże. Ubrani w białe tuniki łucznicy byli lepiej uzbrojeni. Nieśli nie tylko łuki kompozytowe, ale i miecze zawieszane na czerwonych skórzanych pasach. Zdarzało się, że niektórzy z nich mieli na sobie również osłony – napierśniki lub hełmy – wykonane z niewyprawionej skóry lub lniane i watowane. Te oddziały miały nie zbliżać się za bardzo do wroga, ale zadać mu jak najwięcej strat podczas ostrzału z dystansu.

Jednak ani procarze, ani łucznicy nie będą stanowić największego zagrożenia dla ściany tarcz formowanych przez legionistów. Najbardziej niebezpieczne były zbliżające się za nimi rydwany i ciężkozbrojni jeźdźcy na skrzydłach. Chociaż Romulus słyszał o nieudanej próbie użycia przez Persów rydwanów z ostrzami zamocowanymi na piastach przeciwko Aleksandrowi pod Gaugamelą, wcale nie poczuł się z tą świadomością lepiej. Otaczający go żołnierze nie wiedzieli, jak z nimi walczyć, w przeciwieństwie do tych, którzy tworzyli trzon armii Aleksandra. Ciągnięte przez cztery opancerzone konie kwadrygi powożone przez jednego wojownika wyróżniały się długimi zakrzywionymi ostrzami, wystającymi z osi kół. Wyglądały bardzo groźnie i z pewnością mogły siać śmierć i zniszczenie na polach bitew.

Perskie rydwany nie były też osłaniane przez ciężką jazdę, tak jak pontyjskie. Konnica z łatwością wyjdzie na tyły legionu i tym samym uniemożliwi odwrót. Na wspomnienie szarży katafraktów na czole Romulusa wystąpił zimny pot. Przeciwnicy w stożkowych żelaznych hełmach i łuskowej zbroi, sięgającej poniżej kolan, z długimi lancami do kłucia, przypominali mu jeźdźców, którzy z taką łatwością rozbijali

szyki legionów Krassusa. Promienie słoneczne odbijały się od blaszek kolczug, przykrywających piersi i końskie boki, rażąc legionistów refleksami.

Wszyscy wokół Romulusa zdali sobie sprawę, że czeka ich ciężka walka. Mężczyźni patrzyli po sobie niepewnie. *Gdyby wiedzieli, co widziałem pod Carrhae, wielu teraz rzuciłoby się do ucieczki.* Na szczęście tak się nie stało, więc ich linia, choć falowała, nie została rozerwana. *Optio* spojrzął na centuriona, który odchrząknął na wpół świadomy tego, co robi.

– Spokojnie, chłopaki. Nie będziemy musieli powstrzymywać tych sukinsynów zbyt długo. Cezar już nadciąga z odsieczą.

– Niech to kurwa lepiej będzie prawda... – odezwał się *Petroniusz*.

W szeregach rozległy się nerwowe śmiechy.

Nie dane im było zbyt długo podziwiać śmiertelnego piękna tej masy ludzi, bo łucznicy i procarze poczęli zasypywać ich deszczem pocisków. Setki strzał i kamieni wystrzeliły w powietrze. Niebo pociemniało. To był gambit charakterystyczny dla większości bitew. Oddziały strzelców miały spowodować jak największe straty i osłabić wroga przed głównym uderzeniem. Mimo że tarcze legionistów były wykonane z kilku warstw utwardzonego drewna i pokryte skórą, *Romulus* nieświadomie zacisnął szczękę.

– Pierwszy rząd na kolana! – krzyknął oficer. – Reszta osłona!

Setki *scuta* zderzyły się ze sobą z potężnym trzaskiem, gdy żołnierze w pośpiechu tworzyli ścianę, która miała ich ochronić. Ci znajdujący się na samym przedzie, w tym *Romulus* i *Petroniusz*, przypadli do ziemi, dzięki czemu tarcze osłaniały ich całkowicie, podczas gdy żołnierze w drugim rzędzie ustawili swoje tarcze ukośnie nad nimi. Ci bardziej z tyłu unieśli *scuta* bezpośrednio nad ich głowami. Była to taktyka stosowana przez Zapomniany Legion podczas ostrzału Partów. *Romulus* z zadowoleniem stwierdził, że oto właśnie ten sam manewr zastosował Cezar. W standardowej wersji tego ustawienia legioniści w pierwszym rzędzie stali, przez co w konsekwencji ostrzału – jeśli tylko napastnicy wiedzieli, gdzie celować – wielu z nich odnosiło urazy nóg.

Jedno uderzenie serca i powietrze wypełniło się sykiem i gwizdem

strzał. Chwilę później rozległy się głośnie trzaski kamieni uderzających w tarcze. Romulus czekał cierpliwie, mając mięśnie napięte do granic wytrzymałości, na to, co nieuchronnie musi nadejść. Wiedział, jakich dźwięków się spodziewać. Nienawidził tej chwili równie mocno teraz, jak wtedy, gdy brał udział w wielkiej bitwie po raz pierwszy.

Wysłuchiwanie okrzyków rannych było o wiele trudniejsze, gdy musiał stać bezczynnie, niż podczas bezpośredniej walki jeden na jeden, kiedy wiele odgłosów ginie i rozmywa się w krwawym chaosie bitwy.

I rzeczywiście wokół rozległy się zduszone krzyki bólu. Żołnierze upadali bezwładnie na ziemię, chwytając rękami wystające z ciała strzały w miejscach, gdzie dotarły pociski wroga, wwiercając się w szczeliny między tarczami. Inne zostały wystrzelone z tak wielką siłą, że jakimś sposobem przebijały *scuta* legionistów, raniąc ręce i twarze. Na szczęście większość kamieni tylko z brzękiem odskakiwała od tarcz. Niektóre jednak znalazły cele, łamiąc kości i roztrzaskując hełmy. Biorąc pod uwagę liczbę pocisków, straty były nieuniknione. Ofiar śmiertelnych nie było wiele, co nie zmienia faktu, że trafieni pechowcy osuwali się na ziemię nieprzytomni, ranni lub martwi.

Marzenie Romulusa o powrocie do Rzymu oddalało się coraz bardziej. Spojrzał niepewnie na nieprzebrane szeregi wroga i zmówił krótką modlitwę, prosząc Mitrę o ocalenie.

Wszyscy legioniści robili to samo. Modlili się do ulubionych bogów.

Po wykonanej pracy łucznicy i procarze wycofali się. Nadszedł czas na uderzenie rydwanów. Romulus doliczył się ich co najmniej pięćdziesięciu. Wystarczy, żeby zająć czoło legionu, podczas gdy tracka i pontyjska jazda objedzie ich szerokim łukiem i uderzy na nich od tyłu. Sytuacja Legionu XXVIII była naprawdę ciężka. Niemal beznadziejna. Wciąż nie było śladu po Cezarze i pozostałych legionach.

Powozący rydwanami wojownicy zaczęli popędzać konie. Kwadrygi zbliżały się nieuchronnie. W końcu znalazły się tak blisko, że Romulus mógł się im dobrze przyjrzeć. Wojownicy mieli na sobie zbroje łuskowe i płytowe osłony ramion, a czubate attyckie hełmy były bardzo podobne do noszonych przez młodszych oficerów rzymskich. Każdy mocno dzierżył w dłoniach bicz z długimi uchwyty, które służyły

teraz do zachęcania wierzchowców do kłusa. Chwilę później konie przeszły w galop. Wcześniej oszczędzali ich energię. Teraz rumaki mogły wreszcie pokazać, na co je stać. Dzwoniąc i pobrzękując elementami uprzęży, błyskając kręcącymi się szaleńczo ostrzami, kwadrygi parły niepowstrzymanie w kierunku rzymskich linii. Chociaż Rzymianie zajęli pozycje na dość stromym zboczu, nie było na nim wiele nierówności i rydwany pędziły po nim dość szybko. Z głośnymi nawoływaniami i okrzykami jazda rozdzieliła się na dwie części, odchodząc na boki, aby przeprowadzić manewr okrążający. Za nimi pędziły tysiące peltastów i *thureophoroi* z bronią gotową do użycia. Przypadnie im w udziale zadanie ostatecznego rozbicia rzymskich linii, po tym, jak rydwany i jeźdźcy zrobią swoje, a także zapobieżenie wszelkim próbom przegrupowania.

Strach legionistów stał się niemal namacalny i linie legionu znów zaczęły się chwiać, pomimo że oficerowie wykrzykiwali zapewnienia o rychłej pomocy i grozili wszystkim tchórzom natychmiastową egzekucją. Coraz więcej centurionów zajmowało miejsca w pierwszym szeregu, a chorążowie z insygniami unieśli je w górę tak, żeby wszyscy dobrze widzieli symbole legionu. Te działania na razie się opłaciły. Nikt nie rzucił się do ucieczki. Jeszcze nie. A jednak ludzie rozglądali się niepewnie, zerkając nerwowo na swoich towarzyszy, mrucząc coś do siebie lub kończąc niespokojne modlitwy do bogów. Wynik tego starcia mógł być tylko jeden. Umrą posiekani przez ostrza rydwanów lub wycięci w pień na miejscu przez jazdę. Gdzie, na Hades, podziewał się Cezar?

W końcu centurioni na tyłach rozkazali żołnierzom zwrot i przygotowanie się do obrony okrężnej. Musieli stawić czoła wrogowi nacierającemu na nich ze wszystkich stron.

Gdybyśmy tylko mieli takie długie włócznie, których użył Zapomniany Legion. Dzięki nim moglibyśmy powstrzymać każdą jazdę. Niestety, mogli liczyć tylko na swoje *scuta*, miecze i parę oszczepów. W niecałe dwadzieścia uderzeń serca wrogowie wbijają się w ich linie. Następnie z tyłu uderzą na nich setki jeźdźców, a potem piechota dokończy dzieła. Romulus splunął na ziemię. Mógł tylko mieć nadzieję, że ich śmierć da reszcie wystarczająco dużo czasu, żeby Cezar i inne

legiony pojawili się na polu walki dobrze przygotowani.

Linie dzieliło teraz od rydwanów mniej niż sto kroków. Nie mieli nawet możliwości manewru. Co im pozostało? Dać się stratować albo posiekać w zabójczym wirze ostrzy. Powożący kwadrygami również dobrze wiedzieli, co się za chwilę stanie. Uśmiechali się z zadowoleniem, zmuszając swoje rumaki do jeszcze większego wysiłku.

– Gotuj pila! – ryczeli centurionowie. Żołnierze zareagowali, ale w powietrzu wyczuwało się ich niepewność. Odchylali się z oszczepami w dłoniach w wyćwiczonym przez lata nawyku.

Teraz już całkiem wyraźnie widzieli rozdęte nozdrza rumaków, ciągnących z wysiłkiem platformy bojowe. Ich kopyta darły twardą ziemię. Huk kół narastał. Uprząż dzwoniła. Romulusowi wydawało się, że słyszy syk wydawany przez wirujące ostrza, zamocowane na piastach kół.

Zostało pięćdziesiąt kroków do uderzenia. Czas zaczął płynąć przeraźliwie wolno.

Nagle koło jednego z rydwanów podskoczyło na kamieniu. Pojazd przekręcił się w powietrzu pod jakimś dziwnym kątem. Powożący wystrzelił z niego w górę, jak z katapulty, żeby po chwili spaść ciężko na ziemię. Konie zmieniły kierunek biegu, zbliżając się niebezpiecznie do rydwanu pędzącego obok. Pojazdy zderzyły się ze sobą z potężnym łoskotem, co zostało przywitane ochryplym krzykiem przez legionistów. Jednak reszta niesamowicie szybko nadal zbliżała się do rzymskich linii. Jakiś mężczyzna stojący za Romulusem przeklinał swojego pecha, Cezara i wszystkich bogów. Inny zaczął wyć ze strachu. Petroniusz przestępował z nogi na nogę, chcąc jak najszybciej zrobić użytek ze swojego oszczepu.

Dwadzieścia pięć kroków. Teraz Romulus widział już wyraźnie zarost na twarzy kierującego najbliższym rydwanem. Dobra odległość dla *pila*, które na tym dystansie mają śmiertelną skuteczność. Unieszkodliwienie kilku pojazdów było ich jedyną szansą, żeby choć trochę osłabić impet tego ataku. Spojrzał na centuriona, który już otwierał usta, aby wykrzyknąć rozkaz. Zanim jednak zdążył wydać z siebie głos, w sam środek jego czoła trafiła zbląkana ołowiana kula. To musiał być ostatni strzał jakiegoś procarza wycofującego się na

bezpieczną pozycję za liniami towarzyszy. Romulus nigdy wcześniej nie widział, żeby ktokolwiek kiedykolwiek wystrzelił z tak zabójczą celnością. Trzask pękającej kości czaszki, jaki usłyszał, nie pozostawiał złudzeń, że ten kawałek metalu uciszył centuriona na zawsze.

Mężczyzna zwał się na ziemię bezgłośnie. Rozkaz nie zabrzmiał.

Romulus rozglądał się gorączkowo, szukając wzrokiem *optio*, który powinien przejąć dowodzenie, ale ten akurat znajdował się w tylnym szeregu. Obok niego stał *tesserarius*. Razem dbali o to, żeby nikt nie próbował uciekać.

Tymczasem w powietrzu ponad wszystkimi sąsiednimi centuriami zaroilo się od oszczepów. Długie na wysokość człowieka drewniane pręty zakończone były żelaznymi grotami w kształcie piramidy, które mogły przebijać tarcze i zbroje, zadając śmiertelne rany. Fala pocisków z wdziękiem uniosła się wysoko nad linie Rzymian, by po chwili opaść na rydwany śmiercionośnym prysznicem. Wielu wojowników wroga zginęło na miejscu, inni zostali ciężko ranni i stracili kontrolę nad kwadrygami. Konie wpadały w panikę i skręcały, zderzając się ze sobą w poplątanej masie mięsa, drewna i metalu. Jednak trzy rydwany zmierzające wprost na kohortę Romulusa pędziły dalej nieustępliwie, a na twarzach ich woźniców wykwitły pełne satysfakcji uśmiechy. Za nimi postępowały tysiące peltastów i innej, wymieszanej piechoty. Cezar nie zdąży przybyć z pomocą.

Rozdział IV

Świątynia Orkusa



Lupanar, Rzym

Jowina nie dosłyszała cichych słów Scewoli. Jednak korzystając z okazji, czym prędzej opuściła swoje miejsce przy biurku i przesunęła się bliżej Fabioli. I jej opiekunów.

– To jest nowa właścicielka Lupanaru – oznajmiła z błyskiem szczerzej złośliwości. – Jeszcze dziś mamy podpisać umowę.

Stara zdzira – pomyślała zaskoczona takim obrotem sprawy Fabiola. – *Teraz to szybko podjęła decyzję o sprzedaży...*

Scewola uniósł brwi.

– To mówisz, że teraz z tą kurwą powinienem rozmawiać?

Na twarzy Jowiny oszołomienie mieszało się teraz z wyrazem triumfu.

– Znasz Fabiolę?

– Powiedzmy, że... nasze losy już się raz splotły w uścisku... – zaśmiał się nieprzyjemnie. – Czy nie tak, ślicznotko?

Jego ludzie łypali na Fabiolę z pożądaniem w oczach. Szczerząc się bezwstydnie, odsłaniali czarne, zgniłe zęby. Wszyscy nieogoleni, z połamanymi nosami... robili straszne wrażenie.

Jowina uznała, że nadarza się dobra okazja, aby zniknąć.

Policzki Fabioli płonęły w bezsilnej wściekłości. Sekstus i Wettiusz przesunęli się do przodu. Wsparła się lekko rękoma na ich ramionach, zastanawiając się, jak skończy się ta konfrontacja. Było ich dwóch na sześciu... Troje na sześciu, gdyby sama wzięła udział w

walce. Nie byli bez szans, ale Fabiola czuła, że to nie jest odpowiednia chwila, żeby rozprawić się ze Scewolą. Miała teraz inne priorytety niż unieszkodliwienie tego śmiecia. Ale nie zamierza pierwsza opuścić pola walki z podkulonym ogonem.

Stwierdziła, że *fugitivarius* obserwuje ją uważnie, szukając oznak strachu.

Nie dam mu tej satysfakcji. Muszę przejść do ofensywy. Złapać go na wykroku.

– Ty brudny sukinsynu... – syknęła. – Wynocha mi stąd! Teraz to moja nieruchomość.

Scewola nawet nie drgnął.

– Tym razem nie broni cię czterdziestu niewolników, co? – zaśmiał się szczekliwie. – Zatem Jowina mówiła prawdę. Dobrze... Zrujnowanie twojego burdelu zamiast jej będzie jeszcze bardziej satysfakcjonujące.

– Rychło zobaczymy, kto będzie górą – odpowiedziała pewnie Fabiola. Próbowwała nie zwracać uwagi na to, jak mocno bije jej serce. Przypomniała sobie nagle, na kogo wcześniej powoływał się Scewola.

– Wszyscy, którym udowodni się konszachty z Pompejuszem, zostaną straceni.

– Z Pompejuszem? – *fugitivarius* zrobił minę niewiniątka. – Nie mam z nim nic wspólnego. – Uśmiechnął się na widok zdziwienia malującego się na twarzy Fabioli. Mrugnął. – W rzeczywistości moim... naszym zleceniodawcą jest *magister equitum*. Pracujemy dla niego, zachowując dyskrecję. Rozumiesz, ptaszynko?

Usłyszawszy to, Fabiola spochmurniała. Ten lawirant jest ekspertem w swoim fachu. Umie poruszać się po ciemnych zakamarkach brudnego świata polityki, gdzie toczy się walka o władzę. Zmienił obozy. Mogła się tylko domyślać, jakiego typu zadania zlecał mu Marek Antoniusz. Na przykład mordowanie niewinnych ludzi w wąskich zaułkach.

– Od naszego ostatniego razu często o tobie myślałem, kochanie – odezwał się Scewola, oblizując wargi. – Prosiłem bogów, żeby nasze ścieżki kiedyś się jeszcze skrzyżowały. Teraz moje modlitwy zostały wysłuchane! Mam zamiar nacieszyć się twoim krzykiem – złapał się za krocze i przesunął po nim obscenicznie ręką. Jego ludzie wybuchnęli

śmiechem.

Fabioli zrobiło się niedobrze. Straciła odwagę. Kilka lat temu omal nie została przez niego zgwałcona. To było jedno z najbardziej przerażających wspomnień.

Sekstus też dobrze pamiętał tamtą zasadzkę. Wyciągnął miecz. Wettiusz mocniej chwycił za swoją pałkę, ale również pięciu mężczyzn Scewoli przygotowało się do walki. W nagłym przypiływie energii Jowina rzuciła się do korytarza, gdzie zatrzymała się i zerkała niepewnie przez ramię z pomarszczoną twarzą przestraszonego dziecka.

– Stójcie. Jeszcze nie – Fabiola powstrzymała swoich ludzi. *Pomóż mi, Mitro! Co mam robić?*

Przeciwnicy przypatrywali się sobie spod przeciwległych ścian, gotowi do działania w każdej chwili. Pomieszczenie wydało się im nagle wyjątkowo małe. Znaleźli się w impasie. Zajmujący pozycje przy drzwiach wejściowych Wettiusz i Sekstus uniemożliwiali Scewoli i jego zbirom opuszczenie budynku, ale gdyby ci zaatakowali, musieliby też liczyć się ze stratami.

Fugitivarius rozciągnął usta w grymasie, który mógł uchodzić za uśmiech.

– Możemy tu czekać cały dzień. Ale może wolelibyście raczej rozstrzygnąć wszystko tu i teraz?

– Wettiusz? Wchodzę...

Fabiola nigdy wcześniej nie czuła tak wielkiej ulgi na dźwięk głosu Benignusza. Olbrzym pochylił głowę pod łukiem wejściowym, po czym, gdy tylko podniósł wzrok, zrozumiał powagę sytuacji. Zmrużył oczy i natychmiast zajął miejsce obok Sekstusa i Wettiusza w obronnej pozycji. W jednej ręce trzymał obity metalem kij, taki sam jak drugi z ochroniarzy Lupanaru, w drugiej – sztylet o szerokim ostrzu. Fabiola poczuła się pewniej. Jej ochroniarze wyglądali przy ludziach Scewoli na olbrzymów, a Sekstus, mimo niepełnej sprawności, świetnie radził sobie w walce na miecze.

– Moglibyśmy ich unieszkodliwić, jeśli musielibyśmy – powiedziała cicho Fabiola. Scewola i jego zbiry mieli teraz nietęgę minę. Jeśli zaatakują, co najmniej połowa z nich umrze. Tylko głupiec gotów byłby ponieść taką cenę. – Dajmy tym psom szansę wycofania

się, a uciekną z podkulonymi ogonami. Przesuńcie się w stronę Jowiny, ale trzymajcie się razem.

Usłuchali. Starali się przy tym osłaniać ją swoimi ciałami. Ludzie Scewoli instynktownie przesunęli się bliżej drzwi. Te ruchy odbywały się w ciszy, ale atmosfera w pomieszczeniu była tak gęsta, że powietrze można było ciąć nożem.

Scewola wymruczał rozkaz. Jego gang wycofał się na zewnątrz. Sam poczekał, aż wszyscy wyjdą, pokazując Fabioli, że nie boi się bez nich stawić czoła jej ludziom.

– Wrócimy do sprawy później – powiedział cichym, pełnym emocji głosem. Skłonił się. Fabiola знаła już ten kpiący gest i szczerze go nienawidziła. Usłyszeli jeszcze z zewnątrz, jak zaryczał na towarzyszy, żeby się pospieszyli.

Oparła się o ścianę, nagle pozbawiona sił.

– To paskudny sukinsyn – odezwała się Jowina ze swojego bezpiecznego miejsca w korytarzu. Zaciśnęła wargi. – Niebezpieczny.

– A niech cię szlag! Sekstus i ja wiemy to lepiej niż ktokolwiek inny! – Fabiola dała upust swojej złości. – Po co w ogóle wygadałaś się, że Lupanar ma nowego właściciela? Nawet nie sporządziłyśmy umowy!

Jowina próbowała zrobić minę niewiniątka. Po chwili jednak zrozumiała, że nie ma to żadnego sensu.

– Powinam po prostu stąd wyjść! Zostawić cię z tym gównem. Bo na to zasługujesz!

– Nie! – w kaprawych oczach Jowiny pojawiły się łzy. Kobieta uniosła złożone dłonie w błagalnym geście. – Proszę... – szepnęła. – Jestem już zmęczona. Mam swoje lata. On tak bardzo mnie przeraża.

Fabiola uznała, że jej gniew nic nie zmieni. Jowinie nie wolno było ufać, ale nie musiała nic robić ani mówić przedwcześnie. Do czasu, zanim nie pozna wszystkich tajników prowadzenia Lupanaru. Po trzydziestu latach w branży była właścicielką musiała być prawdziwą kopalnią wiedzy i istotnych szczegółów. Trzeba ją po prostu trzymać na krótkiej smyczy.

– Doszłam do wniosku... – zaczęła pełnym głosem – że lepiej będzie, jak zapłacę ci połowę uzgodnionej kwoty z góry, a resztę ratami przez dwanaście miesięcy. Oczywiście w zależności od tego, jak dobrze

będą szły interesy.

Jowina wyglądała na nieszczęśliwą. Skurczyła się pod niewzruszonym spojrzeniem Fabioli. Nie mogła liczyć na wiele – jeśli w ogóle – podobnych ofert.

– Bardzo dobrze – przywołała na usta dobrze znany Fabioli sztuczny uśmiech. – To dla mnie bez znaczenia.

– W porządku. Zapisz to, co uzgodniłyśmy.

Kobieta potulnie podreptała do swojego biurka. Znalazła czysty pergamin, zanurzyła rysik w szklanym kałamarzu i szybko napisała kilka linijek umowy, pod którą się podpisała. Czekwała w milczeniu, licząc, że Fabiola uczyni to samo.

– Zadowolona?

Fabiola chwyciła umowę i tylko pobieżnie rzuciła na nią wzrokiem, po czym schowała bezpiecznie w fałdach stoli. Nie podejrzewała, że Jowina chce ją oszukać, ale nie znała się na sztuczkach i kruczkach umów. Do tego potrzebowała eksperta od prawniczej terminologii. W tym przypadku nie mogła sobie pozwolić na błąd.

– Mój skryba sprawdzi dokument. Jeśli nie będzie miał żadnych zastrzeżeń, następnego dnia dostaniesz pieniądze.

Wyglądało na to, że Jowina spodziewała się takiego obrotu rzeczy. Skinęła głową.

– Interes przejmę natychmiast. Czy chcesz z nami zostać dłużej? Jowina miała coś odpowiedzieć, ale przeszkodził jej ciężki atak kaszlu.

– Czy zdrowie ci na to pozwoli?

Kobieta wyprostowała się dumnie, ocierając ślinę z ust.

– Bogowie zadecydują. Zostanę, jeśli mi pozwolisz. Krótko.

Fabiola widziała, że Jowina stara się zachować godność. Pozwoli jej na to.

– Dobrze... Na nas już czas.

Fabiola pokazała gestem, żeby Sekstus sprawdził sytuację na zewnątrz. Podeszła do drzwi.

– Wrócę za dwa dni.

Jowina pokiwała głową z akceptacją.

– Jest bezpiecznie, pani – zakomunikował Sekstus.

Z Wettiuszem za plecami Fabiola wyszła na ruchliwą ulicę. Nie dostrzegła ani Scewoli, ani jego ludzi. Spojrzała po twarzach wszystkich przechodniów w zasięgu wzroku, ale z ulgą stwierdziła, że nikogo nie rozpoznaje.

Szli wąską alejką, na której nie było gdzie się skryć. *Po co ktoś miałby mnie śledzić?* – pomyślała, czując ogarniające ją odrętwienie. – *Ten drań i tak wie, że w przyszłości znajdzie mnie tu każdego dnia.* Znow przepełnił ją dobrze znany strach. Jak ma obronić Lupanar przed takimi bandytami jak Scewola? Jak sprawić, żeby to przedsięwzięcie znow dobrze prosperowało? *Fugitivarius* będzie chciał się na niej zemścić. Ze wstydem stwierdziła, że myśli o tym, aby zniknąć i nigdy tu nie wrócić. Jowina niczego jej nie udowodni, a Scewola nigdy nie odważy się zaatakować jej w domu Brutusa. W ten sposób wszystkie jej problemy znikną.

Ta myśl zepsuła jej humor. Wydawało jej się, że nadarza się świetna okazja. Może nawet bogowie mieszały w tym swoje palce. Spojrzała w niebo, szukając jakiegoś znaku. Nie dostrzegła go. Być może nic z tego nie wyjdzie. Zastanawiając się nad ostatnimi wydarzeniami, czuła się jak kompletny tchórz. Bo była przerażona! Czy mogła postąpić inaczej?

Potknęła się na nierównym terenie, tracąc równowagę tak, że prawie upadła.

Sekstus złapał ją w ostatniej chwili. Spojrzał na nią z z troskaniem. Fabiola podziękowała mu cicho. Wymienili spojrzenia. Jej ochroniarz dostrzegł w jej oczach lęk.

– Nie martw się, pani – odezwał się pewnym głosem. – Pomyśl o tych wszystkich trudnych chwilach, które za nami, od kiedy po raz pierwszy spotkaliśmy tego skurwysyna. Bogowie nas teraz nie opuszczą.

Fabiola zdobyła się na uśmiech. *Sekstus ma rację. Naprawdę wiele przetrwaliśmy dzięki łasce bogów.* Czerpiąc siłę z jego słów, ruszyła w kierunku *domus*. Powinna raczej zastanowić się, jak zakomunikować o wszystkim Brutusowi. Jak zareaguje na jej zakup? Nawet jeśli uzna, że zrobiła dobrze, nie będzie chciał, żeby jego legionści stali na straży przed burdelem. Jej mężczyzna miał działać na rzecz popularności Cezara, a nie ryzykować takimi niegodnymi dla legionistów działaniami.

A jednak będzie musiała pomyśleć o ochronie przed Scewolą. Przyszło jej do głowy, czy nie zwrócić się do Sekundusa, weterana, który wielokrotnie pomagał jej w trudnych chwilach, ale od razu zrezygnowała z tego pomysłu. On i jego ludzie byli lojalni wobec Cezara, bo zostali przez niego wynagrodzeni i zyskali sobie jego uznanie.

Mogła liczyć tylko na Sekstusa i ochroniarzy Lupanaru. Znów będzie musiała radzić sobie ze wszystkim sama. Jednak podjęła decyzję. Nadszedł czas, by wykorzystać pomoc wszystkich bóstw, a nie tylko ulubionych – Jowisza i Mitry. Był bóg ciemniejszy i straszniejszy niż ci czczeni w wielu świątyniach w Rzymie. *Złożę ofiarę Orkusowi* – zdecydowała. Znów poczuła strach. Mimo wszystkich kłopotów do tej pory nie musiała uciekać się do tak niebezpiecznych działań.

Sytuacja zmusiła ją do złożenia ofiary bogu podziemi.

Gdy dotarli do *domus*, okazało się, że Brutus jeszcze nie wrócił. Fabiola przyjęła to z zadowoleniem. Nie pozbiierała się jeszcze całkowicie i nie próbowała wcale udawać, że jest inaczej. Za dużo działało się w jej głowie. Mogła nie zdradzić się przed sługami i legionistami pilnującymi domu, ale nie miała wątpliwości, że Docilosa potrafi czytać z niej jak z otwartej księgi. Od kiedy zaprzyjaźniły się w Lupanarze lata temu, wiele razem przeszły. Niewysoka, bezpośrednia i wiekiem bliska jej matce, była niewolnica Jowiny, a teraz bliska przyjaciółka Fabioli stała się powierniczką jej sekretów. Dlatego Fabiola nie była zaskoczona reakcją Docilosy. Wystarczyło, że ta tylko na nią spojrzała i od razu dostrzegła jej kiepski nastrój.

– Co się stało?! – wykrzyknęła. Zamiast powitać serdecznie Wettiusza, spojrzała na niego groźnie. – Co on tu robi? Czy ten dryblas sprawił ci jakieś kłopoty? Docilosa była jedyną osobą, która wiedziała, gdzie Fabiola wybrała się z Sekstusem.

– Nic mi nie jest. Ale Jowina jest chora. Powiedziałabym, że niewiele dzieli ją od bram Hadesu.

Wettiusz skinął głową. Nie wydawał się specjalnie tym zasmucony.

– Mała strata... – Docilosa wzruszyła ramionami. Miała tyle samo powodów co Fabiola, jeśli nie więcej, by nienawidzić właścicielki Lupanaru.

– Ta starucha nie ma już siły walczyć – ciągnęła Fabiola, która

czuła, że musi opowiedzieć komuś o swoim... sukcesie? – Zmusiłam ją, żeby sprzedała mi Lupanar. Na moich warunkach.

Zdumiona Docilosa uniosła brwi.

– Czy to na pewno jest dobry pomysł? Jeżeli uciekłaś z tamtego świata, lepiej do niego nie wracać.

– To jest inna sprawa – odpowiedziała Fabiola, starając się brzmieć przekonująco. – Jestem teraz właścicielką przybytku, a nie prostytutką. Nie będę już stała pod ścianą i czekała, aż ktoś mnie wybierze do łoża.

– Niektórzy głupcy i tak będą próbować – skwitowała cierpko Docilosa. – Będiesz tam najpiękniejszą kobietą.

Fabiola uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Wtedy będą mieli do czynienia z Wettiuszem i Benignuszem.

Oraz Sekstusem.

W tym momencie przed oczyma stanął jej Scewola. Pewność siebie Fabioli od razu zniknęła jak kamfora. Flirtujący politycy i przymilający się kupcy będą jej najmniejszym zmartwieniem.

– Co się stało? Wyglądasz na przerażoną.

Drżał jej podbródek.

– Ktoś się pojawił, gdy byliśmy w środku.

– Kto? Memor?

Wettiusz chrząknął groźnie.

– Nie on... – Fabiola aż się zatrzęsła.

Zimny i brutalny lanista, o ciele pokrytym bliznami, odwiedzał ją dość często w ostatnich tygodniach pobytu w Lupanarze. Oczywiście jego upodobanie do Fabioli nie było odwzajemnione. Memor miał być dla niej przede wszystkim źródłem informacji. Ostatecznie nawet okazał się przydatny, gdy opowiedział jej o losach swojego gladiatora. To były pierwsze wieści o Romulusie od czasu ich traumatycznego rozdzielenia. Chociaż spółkowanie z lanistą było nieprzyjemne, to bladło w perspektywie tego, co może zrobić z nią Scewola.

– Ktoś o wiele gorszy... – szepnęła.

Docilosa zmarszczyła brwi. Kto mógłby wzbudzić taki strach w na ogół nadzwyczaj opanowanej Fabioli? Wpatrywała się w nią dłuższą chwilę.

– Czy to Scewola? – zapytała w końcu.

Wettiusz wyglądał na zdezorientowanego, bo nie miał zielonego pojęcia, przez co przeszła Fabiola.

Fabiola, niezdolna do powstrzymania łez, skinęła głową.

– On wie, że jestem nową właścicielką Lupanaru.

Docilosa skrzywiła się. Zastanawiała się.

– Ile jest kopii umowy sprzedaży?

– Nie jestem głupia. Jedna. I mam ją tutaj.

– Nie podpisałaś jej jeszcze? Ani nie została poświadczona?

– Oczywiście, że nie.

– Podrzyj ją. Spal to cholerstwo lub wyrzuć do kanałów! Bez umowy Jowina nie jest w stanie ci niczego udowodnić. Zachowuj się, jakby nigdy nie doszło do żadnej transakcji! Wtedy będziesz mogła tu zostać – powiodła ręką po łuku, wskazując legionistów, którzy wylegiwali się na dziedzińcu. – Scewola nie skrzywdzi cię w tych murach.

Fabiola nie odpowiadała. Wielkie wrażenie zrobił na niej wyraz twarzy Wettiusza. Jeśli nie kupi Lupanaru, los jego i Benignusza będzie niepewny. Już to, że zostawiła ich, gdy odzyskała wolność, wydało się trudne do zaakceptowania. Oczywiście wtedy nie mogła wiele zrobić, bo Jowina nie chciała ich sprzedać, ale pozostawienie ich teraz samym sobie? To byłoby tak, jakby ich zdradziła. Dla niej oznaczałoby to również zrezygnowanie z tego, czego chciała najbardziej. I to z powodu Scewoli. Fabiola zacisnęła zęby.

Docilosa od razu zauważyła zmianę jej nastawienia. Jej oczy miały błyskawice.

– Chcesz tego? Za wszelką cenę? Dlaczego?

– Nie zrozumiesz... – odpowiedziała monotonnym głosem. Nikt, nawet Docilosa, nie może jeszcze poznać jej planów zgładzenia Cezara.
– Lupanar jest częścią mojej przyszłości.

Wettiusz wyraźnie się ucieszył. Docilosa patrzyła na nią wilkiem, a oczy Fabioli znów zapłonęły blaskiem. Nie było w nich śladu łez. Podjęła decyzję. Doświadczenie nauczyło Docilosę, że w takich momentach nie warto dyskutować z tą dziewczyną, którą kochała jak córkę.

– Jeśli jesteś pewna... – skwitowała cicho pod nosem.

– Jestem – Fabiola wyprostowała się. – Jutro złożę dar w świątyni Orkusa. W zamian poproszę o śmierć Scewoli.

Na twarzy Docilosy pojawił się blady odcień szarości. Prośb do mrocznych bóstw nie wolno traktować zbyt lekko. Kobieta złożyła palce, umieszczając kciuk między palcem wskazującym a trzecim, w znak mający chronić przed złem.

– Nie proszę cię, żebyś poszła ze mną. Jeśli chcesz odejść, zwolnię cię z wszelkich obowiązków.

– Nie – odrzekła stanowczo Docilosa. – Jeśli jesteś zdecydowana, trzeba przebłagać bogów. Pójdę z tobą.

– Przygotuj mi w takim razie trzy kawałki ołowiu.

Modlitwy i przekleństwa dla bogów podziemia często umieszczano na małych paskach szarego metalu, które następnie składano. Wraz z monetami i innymi ofiarami tysiące takich życzeń trafiały codziennie do fontann w świątyniach całego Rzymu. Obywatele tego miasta często potrzebowali boskiej pomocy.

Docilosa, nic nie powiedziawszy, zostawiła ją samą.

Chwilę później Fabiola oddaliła Wettiusza, obiecując zachwyconemu osiłkowi, że wkrótce znów zobaczą się w Lupanarze. Gdy została sama, zadumała się. Prośbę do Orkusa trzeba było dobrze przemyśleć. Tego rodzaju bóstwa znane były ze złośliwości. Potrafiły grać ludziom na nosie, po swojemu interpretując ich życzenia. Nie chciała doprowadzić do śmierci Scewoli, a potem ponieść jakąś straszną karę za swój uczynek.

Następnego dnia ciężkie, nisko wiszące chmury zwiastowały pogorszenie pogody. Bogowie nie omieszkali skorzystać z okazji, aby oczyścić ziemię. Zanim Fabiola była gotowa do wyjścia, woda lała się z nieba strumieniami. Każdy, kto był na tyle głupi, by opuścić ciepłe cztery kąty, wracał przemoczony do suchej nitki. Otwarty dziedziniec willi wkrótce zaczął przypominać basen. Mimo wczesnego poranka można było odnieść wrażenie, że słońce za chwilę zajdzie i nastaną wieczne ciemności. Od czasu do czasu po niebie przetaczał się groźny grzmot, a błyskawice zalewały bielą szare ulice. Pogoda sprawiała, że wszystkim udzielał się posępny nastrój.

– Idziesz na spotkanie śmierci – narzekała Docilosa, pomagając

jednocześnie okutać Fabiolę w duży wojskowy płaszcz z kapturem, pożyczony od jednego z legionistów Brutusa. –Wpadniesz do Tybru i się utopisz.

– Przestań gderać... – odezwała się Fabiola, wzruszona do żywego zatroskaniem swojej powiernicy.

Sekstus czekał już na nią gotowy. Ubrał się podobnie jak Fabiola, ale dzisiaj był uzbrojony po zęby, zabrał bowiem ze sobą dwa sztylety i miecz. Fabiola też nie chciała czuć się bezbronna. Pod płaszczem miała skórzany pas, przewieszony przez lewe ramię, na którym w misternie zdobionej pochwie wisiał zwykły, ale bardzo poręczny *pugio*. Wiedziała, jak się nim posługiwać, bo już dawno temu Sekstus wszystkiego ją nauczył. *Każdy, kto mnie zaatakuje, musi się liczyć ze śmiercią. Sama decyduję o swoim losie, a decyzja o zakupie Lupanaru jest częścią mojej ścieżki.* To były wspaniałe idee, ale w rzeczywistości za każdym razem, gdy pomyślała o Scewoli, czuła pętlę zaciskającą się na żołądku. *Optio* dowodzący ludźmi Brutusa zaproponował jej eskortę, ale odmówiła, podobnie jak dzień wcześniej. Jej wizyta w świątyni Orkusa była sprawą osobistą i lepiej, żeby nie pojawiły się żadne plotki. Lepiej, aby nikt nie zastanawiał się, dlaczego odwiedza to złowrogie miejsce. Jako że Brutus zajmował się swoimi sprawami i nie było go w domu, *optio* zaakceptował jej decyzję bez szemrania. A jego żołnierze odetchnęli z ulgą, bo nikt bez potrzeby nie chciał wychodzić w taką pogodę

– Idę z tobą – oświadczyła Docilosa, zdejmując własny płaszcz z żelaznego haka na ścianie.

– Nie – Fabiola była stanowcza. – Zostaniesz w *domus*. To moja sprawa. I nikogo więcej. – Widziała ból w oczach kobiety, dlatego dokończyła łagodniejszym tonem. – Nic złego nam się nie stanie. Neptun będzie nas chronił!

– Wygląda na to, że naprawdę odwiedził dziś Rzym, zalewając go wodą – przyznała niechętnie Docilosa, lekko się uśmiechając. Przytuliła Fabiolę, a potem odepchnęła niezgrabnie. – Idź – wymamrotała załamującym się głosem. – Im szybciej wyjdiesz, tym szybciej wrócisz.

– Racja – przelżykając gulę podchodzącą jej do gardła, Fabiola pospieszyła za Sekstusem do wyjścia. Legionista na służbie przy wejściu rozejrzał się za bramą, zanim ich wypuścił. Potem dał im sygnał, że nie

ma żadnego niebezpieczeństwa. Gdy tylko znaleźli się na ulicy, brama zatrzasnęła się za ich plecami z głuchym łoskotem. Fabioli wydawało się, że oto zamknęły się za nimi bramy Hadesu. Zaciśnęła pięści, starając się pozbyć złych przeczuc.

Oboje z Sekstusem przemokli już po przejściu stu kroków. Ziemia pod stopami zmieniała się w kleisty szlam, który utrudniał szybkie poruszanie się. Błoto wlewało się do sandałów, zostawiając na nogach śmierdzącą warstwę brązowej mazi. Fabiola starała się nie oddychać nosem i nie przyglądać za bardzo temu, co przykleja się do jej skóry. Hałdy obornika z zalanych wodą uliczek po obu stronach miały spory udział w tworzeniu się tego, co teraz płynęło po wszystkich ulicach, gdziekolwiek by się nie udali. *Skup się na marszu, nie patrz na te brudy* – myślała ponuro. – *Umyjesz się później.*

Okropna pogoda sprawiała, że ulice były prawie puste. W sklepach, które znajdowały się na parterach większości mijanych budynków, mimo otwartych fasad z rzadka tylko udawało się zauważyć jakiegoś klienta. Ze świecą szukać kramarzy, okupujących zazwyczaj wszystkie zaułki wąskich uliczek. Nikt nie kupi mokrego towaru. Z ulic zniknęli nawet żebracy, złodzieje i kalecy, którzy zapewne szukali schronienia pod arkadami lub portykami świątyń. Niewolnicy przedzierali się z trudem przez zalane ulice niczym podtopione szczury, mimo ulewy wykonując jakieś polecenia swoich panów w sprawach niecierpiących zwłoki. Nikt nie zwolnił też z obowiązku patrolujących ulice żołnierzy. Ci starali się trzymać w większych grupach, chowając się pod tarczami tak, żeby osłaniały ich ciała przed siekącym deszczem.

Ich cel znajdował się na Palatynie, podobnie jak *domus* Brutusa, co oznaczało, że przynajmniej nie musieli długo moknąć. Mieli oczy szeroko otwarte, szukając niczym niewyróżniającej się ulicy niedaleko forum. Gdy skręcili we właściwą alejkę, poczuli fizyczną zmianę atmosfery. Powietrze stało się zimniejsze i jakby mniej przyjazne. Fabiola podejrzewała, że to dlatego, iż niewielka ulica została zdominowana przez jeden budynek. Świątynię Orkusa. Domy bezpośrednio przylegające do niej stały opuszczone, co wydatnie wpływało na atmosferę miejsca. Uchylone drzwi skrzypiały w podmuchach wiatru, a woda lała się strumieniami z dachów, w których

brakowało już zgniłych rynien.

Zwykle okolice rzymskich świątyń zatłoczone były handlarzami, rolnikami zachwalającymi swoje produkty, akrobatami, zonglerami i wróżbitami. Ich klienci – czciciele Orkusa – najwyraźniej dzisiaj woleli zostać w domu. To akurat bardzo odpowiadało Fabioli. Sekstus również wyglądał na zadowolonego. O wiele łatwiej było oceniać sytuację i unikać niebezpieczeństw, gdy w pobliżu kręciło się mniej ludzi.

Na centralnym miejscu przed samą świątynią znajdował się prosty ołtarz, wyrzeźbiony z dużego kawałka granitu. Jego powierzchnię pokrywały niepokojące czerwono-brązowe plamy, których nie był w stanie zmyć żaden deszcz. Fabiola wolała nie przyglądać się za długo kamiennej płycie. Przeniosła wzrok na rzeźbione kolumny, które zdobiły trójkątny portyk. Były krótsze i mniej okazałe niż te w wielu innych sanktuariach. Schodów prowadzących do wejścia chyba nikt od wieków nie czyścił. Na ścianach jednak wyraźnie widać było malunki przedstawiające demony i złe duchy. Ostre rogi, długie języki, paszcze pełne ostrych zębów i dziwna broń lub narzędzia tortur. Fabiola poznała Charona, etruskiego demona śmierci o niebieskiej skórze, z pierzastymi skrzydłami i masywnym młotem. Podczas walk gladiatorów, na które zabierał ją Brutus, widziała człowieka odgrywającego ku uciesze tłumów rolę Charona. Tam jego rola była jak najbardziej rzeczywista i... makabryczna. Fabiolę wciąż prześladowały obrazy młota rozbijającego czaszki poległych, aby upewnić się, że naprawdę nie żyją.

Postać pochylająca się nad ich głowami wyglądała z pewnością na zdolną do najgorszych czynów, ale malowidło ukazujące Charona i tak robiło na niej mniejsze wrażenie niż znajdujące się obok przedstawienie samego Orkusa. Wizerunek zajmował centralną część trójkątnego portyku. Surowa, brodata twarz boga była tak wielka, że w jego paszczy zmieściłyby się dwa wozy ciągnięte przez wołu. Ciemne oczy boga zła wpatrywały się w nią z tak wielką intensywnością, że Fabiola przez chwilę zastygła w bezruchu jak porażona. Nie mogła się zmusić, aby przyrzeć się bliżej włosom boga, bo wiły się w nich pierścienie węży. Od czasu, gdy prostytutka, którą wcześniej uważała za swoją przyjaciółkę, umieściła w jej łóżu jadowitego węża, bała się ich

śmiertelnie.

Aż podskoczyła, gdy Sekstus dotknął jej łokcia.

– Wejdźmy do środka, pani. Przez ten deszcz dostaniemy gorączki.

Teraz już nie mogła się cofnąć. Modląc się, żeby jej plan nie obrócił się przeciwko niej, Fabiola wspięła się po schodach do wejścia. Tuż za nią szedł jej niewolnik. Minęli rzędy karbowanych kolumn i dotarli do dwojga wysokich drzwi, wzmocnionych na powierzchni paskami żelaza. Były zamknięte. Fabiola zadrżała. *Czy za nimi czeka Cerberus, który pragnie mnie pożreć? Daj spokój* – pomyślała ze złością. – *Żyję. Nie jestem w świecie umarłych.* Zebrawszy się na odwagę, podeszła bliżej i uderzyła w bramę pięścią.

Odpowiedzią było tylko bębnienie deszczu.

Drugi raz uderzyła mocniej.

– Otworzyć! Pragnę złożyć ofiarę!

Nastąpiła długa cisza. Fabiola się skrzywiła. W środku z pewnością byli jacyś ludzie. Wiedziała, że ktoś tam musi być. Ten duży kompleks świątynny nie różnił się od wielu podobnych w Rzymie. Mieszkali w nim kapłani i akolici. Jedli, spali i modlili się. Poza kilkoma wyjątkowymi dniami – a dziś nie było żadnego święta – świątynie były otwarte dla wszystkich. Podniosła rękę jeszcze raz, ale w chwili, gdy już opuszczała pięść, drzwi właśnie się otwały. Zaskoczona Fabiola zastygła z uniesioną ręką i zrobiła krok do tyłu.

W drzwiach pojawiła się kapłanka w szarej szacie. Była młoda. Może nawet w tym samym wieku co Fabiola. Długie brązowe włosy niewysokiej kobiety zostały upięte z tyłu głowy. Miała szeroką twarz i krótki nos. Przenikliwe, niepokojąco zielone oczy świdrowały badawczo Fabiolę.

– Wejdz... – przesunęła się na bok.

Przez głowę przemknęła jej myśl, że ta kobieta kogoś jej przypomina. Była jednak tak zdenerwowana, że nie poświęciła tej myśli więcej uwagi. Opuściła kaptur płaszcza i przekroczyła próg świątyni, modląc się do Mitry o ochronę. W tym momencie nie czuła, że postępuje niewłaściwie. Nie było niczym niezwykłym staranie się o łaskę różnych bogów.

Prowadzący głębiej korytarz ginął w mroku. Na hakach wbitych w

ściany wisiało kilka lampek oliwnych, dających niewiele światła, rzucających długie cienie na nagą, kamienną posadzkę. Ściany pokrywały groteskowe obrazy bogów i demonów. Wydawało się, że ich kończyny poruszały się w tym migoczącym świetle. Fabiola zdała sobie sprawę, że stworzenie tej atmosfery było efektem świadomego działania. Chodziło o to, aby od razu po przekroczeniu tego przybytku gość czuł w sercu niepokój. Z drugiej strony przecież to była świątynia Orkusa, boga podziemi. Odczuwanie lęku w tym miejscu było jak najbardziej na miejscu. Wbrew sobie Fabiola zadrżała. *Nie zapominaj, po co tu jesteś!* – upomniała samą siebie, odsuwając myśli, które powodowały coraz większe przerażenie.

– Chciałabym poprosić bogów o specjalną łaskę. Na osobności – odezwała się, prostując zdrętwiałe palce zaciśniętej dłoni. Ścisnęła w garści trzy starannie zagięte kawałki ołowiu. Spędziła wiele czasu, zapisując na nich prośby do Orkusa. Jako że największe niebezpieczeństwo groziło jej ze strony Scewoli, wszystkie te modlitwy – a raczej przekleństwa – dotyczyły właśnie tego człowieka. Pragnęła jego śmierci. Niech dokona żywota w najstraszniejszy z możliwych sposobów. Na razie na jej liście Cezar znajdował się na drugim miejscu.

Kapłanka nie okazała zdziwienia. Ludzie przychodzili do świątyni Orkusa w różnych celach: z powodu nienawiści, szukając zemsty za wyrządzone im krzywdy, prosząc o to, by bogowie pokarali ich wrogów, odpłacili kochankom lub przełożonym. Wyjątkowo niesprzyjająca pogoda w żaden sposób nie wpływała na osłabienie pragnienia zemsty ani nie zmieniała faktu, że niektórzy goście woleli pozostać anonimowi.

– Chodź za mną – ruszyła przed siebie. W korytarzu rozległ się odgłos jej bosych stóp.

Zdenerwowana Fabiola podążyła za kapłanką z nieodstępującym jej ani na krok Sekstusem. W ciszy mijali kolejne drzwi. Wszystkie były zamknięte. Fabiola zastanawiała się, kto może przebywać w znajdujących się za nimi komnatach. Zza jednych drzwi dochodził niski dźwięk śpiewających chórem mężczyzn. Nie potrafiła rozróżnić poszczególnych słów, ale wyczuła spokojne, pełne żalości tony. W żaden sposób nie pomagało jej to uspokoić skołatanych nerwów.

Kapłanka w końcu się zatrzymała. Spomiędzy fałd szaty

wyciągnęła klucz. Drzwi, naprzeciwko których się zatrzymali, otworzyły się dziwnie bezszelestnie, co spotęgowało jeszcze wrażenie napięcia. Wydawało się, że coś groźnego wisi w powietrzu. Za nimi znajdowało się duże pomieszczenie bez okien. Otynkowane ściany pomalowano na złowieszczy czerwony kolor. Podobnie jak w korytarzu źródłem światła były tutaj jedynie lampki oliwne, zawieszane na ścianach. W środku nie było prawie żadnych mebli, za to wzrok przyciągało zwykłe, otoczone gipsowymi płytami palenisko na kwadratowej platformie z cegieł, znajdujące się w tylnej części pomieszczenia. Fabiola zajrzała do środka i poczuła ciepły prąd powietrza smagający jej policzki oraz silny zapach kadzideł. Głęboki czerwony blask nieosłoniętego ognia był źródłem intensywnego ciepła. Po jednej stronie paleniska znajdował się stos opału, a po drugiej mały ołtarz z rzeźbą Orkusa.

– Tu możesz zostawić dar i zmówić modlitwę – powiedziała młoda kapłanka. – Nikt nie będzie ci przeszkadzał.

Fabiola ścisnęła ołowiane paski tak mocno, że ich krawędzie zaczynały się wyginać. Nagle zaniepokoiła się, że może to mieć wpływ na efekt jej próśb do Orkusa. Nie może sobie pozwolić na błąd. Od tego zależało jej życie. Zdecydowanie kiwnęła głową i weszła do środka. Sekstus podążył tuż za nią.

Kapłanka również weszła do komnaty, zamykając za sobą drzwi. Ruszyła w stronę ołtarza i pochyliła głowę w modlitwie. Niepewna, jak ma postąpić, Fabiola zrobiła to samo. W porównaniu z chłodnym korytarzem i zalanymi deszczem ulicami to pomieszczenie przypominało *caldarium*, najgorętsze miejsce w łaźni. Z powodu zapalonych kadzideł powietrze w środku było ciężkie i przesycone ziołowym zapachem. Mimo że Fabiola miała na sobie przemoczoną odzież, czuła, jak jej ciało pokrywa się potem. Znała już zatęchłą atmosferę skrytego pod ziemią ciepłego mitreum, ale tu czuła coś zupełnie innego. W niektórych świątyniach rozpalano ogień, do którego wrzucało się pomniejszych ofiary, ale nigdy nie widziała, żeby takie palenisko dawało tyle ciepła! Mogło się zdawać, że znalazła się w przedsionku Hadesu. Znów poczuła paralizujący lęk, ale zmusiła się do zachowania spokoju. Orkus nie był zwykłym bogiem. Przynoszone mu dary rzucano w ogień, który je łąpczywie pożerał. Stąd to palenisko.

Orkusie... – Fabiola uniosła oczy i spojrzała na rzeźbę. Bóg spoglądał wprost na nią twardym, nieprzejeđnanym wzrokiem. – *Potężna istoto, władająca podziemiem, wysłuchaj mnie. Scewola znów mi zagraża. To zły człowiek i morderca, który nie powstrzyma się przed najgorszym bezceństwem. Nie znam sposobu, żeby go powstrzymać. Dlatego potrzebna jest mi twoja pomoc. Uwolnij mnie od tego złoczyńcy, a na zawsze zostanę twoją dłużniczką. Zbuduję ołtarz i przez resztę moich dni będę co roku składać w ofierze jedną kozę.* W ramach dodatkowej zachęty Fabiola położyła obok figurki stos srebrnych monet. Usłyszała, że kapłanka ze świstem wciąga powietrze. Wartość jej daru musiała zrobić na niej wrażenie.

W tym samym momencie w pomieszczeniu rozległ się trzask, a płomienie w palenisku buchnęły z nową siłą. Zaskoczona Fabiola wykręciła głowę, żeby spojrzeć w ogień. Ani Sekstus, ani kapłanka nie zrobili nic, żeby wywołać tę zmianę. A ogień ryczał teraz głośno, jakby kowal naprawdę przyłożył się do miechów. Rozejrzała się wokół, spodziewając się, że zobaczy gdzieś ciężko pracującego demona, ale widziała tylko karmazynowe ściany, które wydawały się przybliżać. Poczowała się jak w grobowcu. Długie żółtopomarańczowe płomienie lizwały łuk paleniska. Przypominały zęby w paszczy drapieżnej mitycznej bestii. Fabiola zamarła ze strachu.

– To jest najlepszy moment – odezwała się kapłanka śpiewnym głosem. – *Złóż ofiarę.*

Na dźwięk tego głosu Fabiola omal nie wyskoczyła ze skóry. Spojrzała na ubraną na szaro dziewczynę i gwałtownie pokiwała głową. *Ona mi kogoś przypomina. To chyba nie jest najlepsza chwila, żeby się nad tym zastanawiać.* W reakcji na ponaglenia kapłanki Fabiola przestała zaciskać palce na kawałkach ołowiu. Leżały teraz płasko na jej dłoni. Wyglądały tak niepozornie. A jednak, podobnie jak głęboko skrywana nienawiść w jej sercu, w tych paskach drzemała ogromna moc zmieniania świata.

– Wrzuć je głęboko do ognia. Najdalej, jak potrafisz – nakazała kapłanka.

Fabiola zbliżyła się do ognia tak, że ledwo wytrzymawała bijący od niego żar. Odwiodła rękę i wrzuciła kawałki metalu. W mgnieniu oka

straciła je z oczu. Westchnęła głośno. To już prawie koniec. Jednak to, co pozostało do zrobienia, było niezmiernie ważne. Fabiola nie chciała ściągnąć na siebie za swój czyn boskiej kary. Jak inni Rzymianie prosiła o pomoc na konkretnych warunkach. Tak mocno skoncentrowała się na tym, żeby teraz, w tej kluczowej chwili, nie popełnić błędu, że zamiast modlić się w myślach, werbalizowała swoje pragnienia głośnym szeptem.

– Zachowaj mnie od złego, wielki Orkusie – prosiła, wpatrując się w płomień. – Zachowaj też tych, którzy są dla mnie ważni. Romulusa. Brutusa. Sekstusa. Benignusza i Wettiusza. Docilosę.

Usłyszała, jak kapłanka tuż za jej plecami znów głośno wciąga powietrze. Zdała sobie sprawę, że jej prośby przestały być tajemnicą. Obejrzała się. Twarz kapłanki zrobiła się biała jak płótno. Przyglądała się teraz jej uważnie dziwnie podekscytowana.

– Kim jest Docilosa?

– To moja służka – odpowiedziała zaskoczona Fabiola. – Dlaczego pytasz?

Wyraźnie rozczarowana kapłanka odpowiedziała jej innym pytaniem.

– Nie jest niewolnicą?

– Kiedyś była – przyznała Fabiola, unikając jakiegokolwiek wzmianki o jej własnych korzeniach. Czuła, że powinna uważać na to, co mówi. – Od prawie sześciu lat jest wolnym człowiekiem.

Na twarzy kapłanki pojawiła się nadzieja.

– Ile ma lat?

Nagle jakieś niejasne wspomnienie pojawiło się i natychmiast zniknęło w zakamarkach pamięci Fabioli, pozostawiając po sobie łaskoczący ślad podejrzeń.

– Nie wiem dokładnie... Prawdopodobnie około czterdziestu.

Pewna siebie i opanowana kapłanka na chwilę zmieniła się w pogrążoną w żalu młodą dziewczynę.

– Kto był jej właścicielem?

– Jowina. Zarządzała Lupanarem.

– Niech dzięki będą Orkusowi... – wydyszała kapłanka. – Matka wciąż żyje!

Tym razem to Fabiola nieświadomie wciągnęła powietrze, dając wyraz swojemu zaskoczeniu.

– Sabina?

Kapłanka zeszywniała.

– Znasz moje imię?

– Docilosa często o tobie wspominała – wyjaśniła Fabiola z uśmiechem. – Opłakiwała każdy dzień od czasu, gdy was rozdzielono. I szukała cię w niezliczonych świątyniach. Nigdy nie straciła nadziei, że kiedyś znów się spotkacie.

Na twarzy jej rozmówczyni pojawił się błysk radości.

– Gdzie ona jest?

– W moim domu. To niedaleko. Moglibyśmy...

Na mgnienie oka rysy Sabiny zmiękły, ale szybko znów ukryła się za swoją maską.

– Dlaczego ci służy? Czy Jowina nie żyje?

Fabiola zdusiła instynktowną ripostę, którą normalnie zareagowałyby na takie przesłuchanie. W innych okolicznościach nie potrafiłaby tolerować nieokrzesania, posuniętego do granic grubiaństwa. Tylko że to wcale nie była normalna sytuacja, a Docilosa bardzo wiele dla niej znaczyła. Ponadto Sekstus znał już jej przeszłość.

– Jowina żyje, choć tylko bogowie wiedzą, jak długo. Dawniej była również moją właścicielką.

– Wnioskuje, że nie byłaś niewolnicą pracującą przy oporządzaniu domu jak moja matka – Sabina prychnęła ironicznie.

Nozdrza Fabioli zadrgały w reakcji na tak arogancką uwagę. Zwykła niewolnica zatrudniana do prac domowych była warta o wiele mniej niż nadobna dziewczyna, dlatego właśnie Gemellus sprzedał ją do Lupanaru. Przecież nie miała żadnego wpływu na to, co się z nią stało.

– Nie. Nie byłam – odpowiedziała cicho, starając się zachować spokój.

Górna warga Sabiny uniosła się z pogardą.

– Gdybyś sama wyglądała trochę lepiej, może spotkałby cię podobny los – stwierdziła Fabiola, rozwścieczona arogancją swojej rozmówczyni. – Możesz dziękować bogom, że tak się nie stało.

Sabina miała się już odgryźć, ale zacisnęła usta.

– Kto cię zatem wykupił?

Fabiola wzięła głęboki oddech.

– Mój kochanek uznał za stosowne wręczyć mi *manumissio*. A ponieważ go o to poprosiłam, wyzwolił także twoją matkę.

Słyszając to, Sabina zrobiła nieco mniej gburowatą minę.

– Dlaczego miałybyś zrobić coś takiego?

– Bo bardzo się polubiłyśmy i Docilosa została moją powiernicą. Zapewne będzie chciała natychmiast tu przyjść i cię zobaczyć. Czy to dozwolone?

– Goście przybywający w prywatnych sprawach nie są zbyt mile widziani, ale są sposoby, żeby obejść ograniczenia – Sabina powiedziała chytrze. – Możemy spotkać się w takim pomieszczeniu jak to. Najlepiej wcześniej o poranku, gdy w świątyni panuje spory ruch. Żaden z kapłanów niczego nie spostrzeże.

– Dobrze – oświadczyła energicznie Fabiola, ukrywając swoją niechęć. – Powiem jej.

Odwróciła się, żeby wyjść.

Sabina jeszcze nie skończyła.

– Musisz mieć ważne powody, żeby odwiedzać świątynię w taką pogodę – odezwała się sondującym głosem.

– Mój powód to moja sprawa. Nic ci do tego – odparowała Fabiola.

– Zapominasz się! – warknęła Sabina. – Jestem tu starszą kapłanką i jako taka znam myśli i wolę Orkusa.

Chociaż Fabiola w środku aż się gotowała z gniewu, przywołała wymuszony wyraz skromności na twarzy. Aby osiągnąć taką pozycję w tak młodym wieku, Sabina musiała wykazać się wieloma talentami. Ponadto rozgniewanie jednej z kapłanek Orkusa nie wydawało się dobrym pomysłem. Mogło niepotrzebnie ściągnąć na nią gniew pana podziemi, co z pewnością miałyby negatywny wpływ na jej prośby.

– Wybacz mi – mruknęła przez zaciśnięte zęby. – To nic wielkiego. Mam problemy z rywalem w interesach.

– Dalej pracujesz w Lupanarze?

– Nie – odpowiedziała szybko. Skrzywiła się na myśl o tym, jak instynktownie chciała się wyprzeć prawdy. – Tak. Wczoraj kupiłam to miejsce od Jowiny.

Sabina zmrużyła oczy.

– Ach tak... Dlaczego?

Fabioli naprawdę nie podobało się to niezdrowe zainteresowanie jej sprawami. Co za nim stoi? Czowała się niepewnie w miejscu, gdzie rządził Orkus i jego nadzwyczaj pewna siebie kapłanka. Nie miała też przygotowanej żadnej łatwej odpowiedzi. Uznała jednak, że nie będzie nic złego w wyjawieniu przynajmniej części prawdy.

– Mój mężczyzna służy w armii Cezara. Od ponad dwóch lat towarzyszę mu podczas kampanii. Miałam już tego dość. Chcę zostać tutaj, w Rzymie. A prowadzenie Lupanaru jest czymś, co jakoś naturalnie nie wydaje mi się trudne.

– Nie będzie... – odezwała się wyniośle Sabina.

Fabiola zapragnęła wydrapać kapłance oczy, ale nie odważyła się na żaden ruch. Wymieniły lodowate spojrzenia. *Ona widzi mój gniew. I rozkoszuje się nim. Jeśli Docilosa nie będzie miała na nią żadnego wpływu, Sabina może stać się groźnym przeciwnikiem.*

Po chwili usłyszała jednak kolejne dociekliwe pytanie.

– Kto jest twoim kochankiem?

– Decimus Brutus.

Sabina uniosła brwi.

– Jeden z oficerów Cezara? Musisz być bardzo... przekonująca.

Fabiola walczyła z gorącem, które sprawiło, że na jej policzkach pojawiły się rumieńce. Tę walkę przegrała. *Co za cholerne dziewczysko! Skąd w niej tyle jadu? Docilosa taka nie jest.* A potem jej wzrok padł na posąg na ołtarzu i dotarło do niej, gdzie się znajduje. Orkus nie był miłym Bachusem ani opiekuńczym Eskulapem. Nawet potężna triada Jowisza, Junony i Minerwy nie wywoływała tyle strachu, ile pan podziemi. Choć ci bogowie byli równie potężni jak Orkus, nie władali duszami ludzi na wieczność. Z jakimi okropnościami musiała mieć do czynienia Sabina, sprzedana do świątyni jako sześciolatnie dziecko? Fabiola się zamyśliła. W tej dziewczynie był upór i zaciętość, której wcześniej nie zauważyła. Może droga do Hadesu nie zawsze prowadzi przez dom publiczny?

– Skoro tak mówisz... – mruknęła, ruszając w kierunku wyjścia.

Sekstus posłał jej uspokajający uśmiech, a ona odwzajemniła się lekkim

uniesieniem kącików ust. Przy odrobinie szczęścia Sabina na tym skończy swoje uszczypliwe komentarze. Co ważniejsze, Fabiola miała nadzieję, że Orkus nie rozgniewa się z powodu starcia z jedną z jego westalek. Trzeba będzie zmówić kilka modlitw, oddając się w opiekę Jowiszowi i Mitrze, z prośbą o boską interwencję u jednego z braci z panteonu.

Dotarli do drzwi w ciszy nieniepokojeni już przez Sabinę. Fabiola nacisnęła klamkę i obejrzała się. Kapłanka klęczała przed ołtarzem, zwrócona do nich plecami. Bił od niej chłód. Dawała im jednoznacznie do zrozumienia, że powinni już sobie pójść. Fabiola upadła na duchu. Nie przyszły jej do głowy żadne słowa pożegnania, więc po prostu zamknęła za sobą drzwi.

Pochłonięta myślami nie zwracała uwagi na to, co dzieje się wokół, zmierzając prosto do wyjścia ze świątyni. *Kto wie, jak złowrogi wpływ może mieć Sabina na moje życie!*

Fabiola obwiniała się później, że nie zachowała należytej ostrożności. Nie była przygotowana na to, co miało się stać.

Gdy mijali kolejne niepozorne drzwi w długim korytarzu, te nagle się otworzyły. Fabiola przede wszystkim chciała zachować anonimowość, dlatego nie odwróciła głowy, lecz tylko naciągnęła szczelniej kaptur, osłaniając twarz. Po chwili jednak usłyszała wściekły jęk Sekstusa i syk jego gladiusa wyciąganego z pochwy. Natychmiast wróciła do rzeczywistości. *Co on robi? Użycie broni w świątyni spotka się z gniewem boga. Każdego! A co dopiero mówić o Orkusie!* Już otwierała usta z reprimendą. Obróciła się akurat w odpowiedniej chwili, aby zobaczyć ostrze zagłębiające się w boku Sekstusa.

Scewola!

Rozdział V

Wizje



Aleksandria, Egipt

Tarkwiniusz spacerował niespiesznie centralną częścią ulicy, wśród wysokich palm i bogato zdobionych fontann, rozkoszując się ciepłymi promieniami słońca. Aleja musiała mieć co najmniej trzydzieści kroków szerokości. Trzy razy więcej niż najszersza ulica w Rzymie. Li tylko dlatego mogła być uznana za imponującą. A jeśliby dodać do tego zaprojektowane z rozmachem ciągi budynków, rzucające przyjemny cień szpalery drzew i szepczące wodą wodotryski, całość robiła naprawdę niezapomniane wrażenie. Pomimo że stolicę Egiptu powszechnie uważano za miasto ze wszech miar wyjątkowe, haruspik nigdy tak naprawdę nie wierzył, że to, co słyszał, ma swoje odzwierciedlenie w rzeczywistości. A jednak to była prawda. Oszalamiająca Droga Kanopijska nie była nawet wyjątkiem w Aleksandrii, w tym najwspanialszym z miast. Równie szeroka i wspaniała była Argeus, główna arteria, która biegła z północy na południe, przecinana przez drogę kanopską w miejscu pełniącym funkcję wspaniałego bulwaru.

Tarkwiniusz nie mógł wyjść z podziwu dla kunsztu architektów. Wszyscy mieszkańcy miasta żyjący w pięciu kwartałach metropolis mogli liczyć na te same standardy. W północnej części miasta znajdowały się liczne królewskie pałace. Bliżej centrum usytuowano uderzające Paneium, sztuczne wzniesienie, zwieńczone świątynią Pana. Tam też znajdowała się Sema, wielki grobowiec o marmurowych

ścianach, przeznaczony dla królów z rodu Ptolemeuszy. Tam też pochowano Aleksandra Macedońskiego. W zachodniej dzielnicy, do której zmierzał Tarkwiniusz, znajdowała się większa część budynków biblioteki oraz Gimnazjon, wspaniała szkoła, w której młodzi ludzie poznawali wartości kultury helleńskiej oraz uprawiali sporty, takie jak biegi, zapasy i rzut oszczepem. Chociaż Tarkwiniusz rzadko dawał się zaskoczyć, gdy pierwszy raz ujrzał ogromne portyki Gimnazjonu, aż otworzył usta ze zdziwienia. Każdy portyk był długi na *stadio* – czyli ciągnął się niemal przez 600 stóp – sprawiając, że Gimnazjon przyćmiewał każdy budynek, jaki widział. Równie wielkie wrażenie zrobiła na nim tylko Faros, potężna latarnia morska u wejścia do portu w Aleksandrii.

Tarkwiniusz zawsze dbał o to, aby nie zwracać na siebie uwagi. Teraz też schował głowę pod kapturem lekkiego wełnianego płaszcza. Jego długie blond włosy i złoty kolczyk przyciągały uwagę. Jednak ludzie czasami gapili się na niego z innego powodu. Uderzenie kamienia musiało złamać kości czaszki tak, że po lewej stronie twarzy powstało trwałe wgniecenie, podkreślane też przez głębokie blizny po rozpalonym do czerwoności nożu, które powstały podczas tortur zadawanych mu przez Vahrama. Tarkwiniusz nie martwił się jednak swoim wyglądem. Wszystkie emocje zostały stłumione przez ciężki koc smutku, który nie opuszczał go od czasu tamtej pamiętnej nocy w porcie.

Gdy po trafieniu kamieniem, opadając półprzytomnie, zanurzył się pod taflą zimnej wody, sądził, że właśnie jego życie dobiega końca. Mylił się. Znów się mylił. Jakaś jego część ciągle nie mogła się z tym pogodzić. Zabicie Celiusza pod Lupanarem było słodką zemstą za śmierć mentora, Olenusa, ale ten czyn miał istotne następstwa. Wtedy wydawało się mu, że postępuje słusznie. Teraz nie był już tego taki pewien. Nie dało się cofnąć czasu, a Romulus pomaszerował z legionami Cezara, zmierzając ku swojemu przeznaczeniu, niezależnie od tego, co szykowali dla niego bogowie. Przy odrobinie szczęścia wróci do Rzymu. Tarkwiniusz skrzywił się. Jeśli i ta wizja nie była pomyłką.

Gdy odzyskał świadomość krótko po tym, jak Romulus i Petroniusz wyciągnęli go na piasek, Tarkwiniusz czuł przytłaczające poczucie winy. Wszystko, czego pragnął, zmieniło się w popiół. Jakoś

doczołgał się na skaliste zbocze przy plaży i zaległ w płytkim wąwozie. Przeleżał tam do następnego ranka, na przemian tracąc i odzyskując przytomność. Czekał, aż Charon zdecyduje się zabrać go do świata zmarłych. Śmierć wydawała mu się jedyną słuszną karą za popełnione grzechy i fatalny wybór czasu swojej spowiedzi. Romulus miał powody, żeby się na niego wściekać i Tarkwiniusz wątpił, że młody żołnierz kiedykolwiek będzie potrafił mu wybaczyć. Ból, jaki widział w jego oczach, zadał mu więcej cierpienia niż kamień procarza. Poczucie winy sprawiało, że nie miał powodów, by żyć. A jednak – opuszczony i ranny – nie umarł. Po wielu dniach agonii, żywiąc się skorupiakami i pijąc zasoloną wodę deszczową ze skalnych oczek, odzyskał siły.

Przynajmniej te fizyczne. Wtedy zrozumiał, że mimo wszystko bogowie muszą mieć wobec niego jakieś plany. Czy to był Tinia, największe bóstwo Etrusków, czy Mitra, jego przewodnik duchowy od czasu Margiany? Nie wiedział, kto za tym stoi. Jednak wolał nie sprzeciwiać się woli istot przewyższających go pod każdym względem.

Gdy haruspik odważył się pokazać w mieście, walki już ustały. Legiony Cezara odpłynęły na wschód, żeby połączyć się z sojusznikami z Pergamonu i kontynuować walkę z Egipcjanami. Pod Pelusium zginął młodociany król Ptolemeusz i tysiące jego żołnierzy. Cezar wrócił do Aleksandrii w glorii. Tron przejęła Kleopatra, a legionieści, którzy wcześniej uciekali z miasta jak niepyszni, teraz paradowali po ulicach, prężąc się dumnie niczym herosi. Tarkwiniusz był zmuszony poszukać kryjówki. Chociaż trafił do armii przypadkiem – a właściwie został do tego zmuszony – z technicznego punktu widzenia był teraz dezertorem. Musiał się również liczyć z tym, że spotka Romulusa, a ta myśl sprawiała mu wielki ból. Jako że nie miał dokąd pójść, postanowił zaszyć się na jakiś czas na rozległej nekropolii, leżącej na południowy zachód od murów miejskich. Tam, wśród ogrodów, gajów i niezliczonych grobowców, towarzyszymi Tarkwiniusza byli tylko kryminaliści, nędzarze, trędowaci i ci, którzy specjalizowali się w balsamowaniu zmarłych. Cieszył się samotnością, wybrawszy za swój tymczasowy dom jakieś rozpadające się mauzoleum dawno zmarłego kupca. Upływające dni zmieniały się w tygodnie, a następnie miesiące, zacierając granice czasu. Większość mieszkańców nekropolii omijała go

szerokim łukiem. Z tymi, którzy weszli mu w drogę, szybko się rozprawiał. Choć starzał się nieubłaganie i jego obrażenia z czasów awanturniczego życia powoli zaczynały dawać mu się we znaki, wciąż potrafił sprawnie odbierać życie i ciągle świetnie posługiwał się zarówno mieczem, jak i toporem o dwóch ostrzach.

Tydzień wcześniej Cezar w końcu ostatecznie opuścił Aleksandrię. Tarkwiniusz teraz codziennie zaglądał do miasta. Czuł ulgę, że wreszcie może się swobodnie poruszać, ale i od czasu do czasu walczył z bólem serca, obwiniając się za to, że nie rozmówił się z Romulusem. Haruspicy, ulubiona metoda odkrywania tego, co planują dla niego bogowie, od jakiegoś czasu zupełnie mu nie wychodziła. Wiatr niemal zawsze wiał z północy, od morza, albo od jeziora Mareotis, znajdującego się na południu. Dla Tarkwiniusza, eksperta od czytania z prądów powietrznych, lokalizacja miasta okazywała się wyjątkowo pechowa. Morska lub jeziorna bryza dawała odrobinę odpoczynku od upałów, ale niewiele więcej. Chmury, które widział, zapewniały trochę wytchnienia od palących promieni słońca, a ptactwo, bardziej zróżnicowane i barwne niż w Italii, również było dla niego co najwyżej urozmaiceniem, a nie źródłem informacji o przyszłości. Po prawie dwudziestu pięciu latach haruspik zdążył się już przyzwyczaić, że od czasu do czasu będzie musiał radzić sobie z brakiem boskich podpowiedzi. Często zdarzało się, że gdy bardzo potrzebował wskazówek, bogowie milczeli, a gdy nie próbował dowiedzieć się niczego nowego, zalewały go szczegółowe wizje. Chociaż nawet w aleksandryjskiej nekropolii trudno było znaleźć miejsce, w którym dałoby się bez większego ryzyka poświęcić jakieś zwierzę w ofierze bogom, Tarkwiniuszowi udało się to dwa razy. Tylko że żaden z tych przypadków nie okazał się jakoś specjalnie owocny. Wystarczyły raptem do tego, by nie stracił wiary w swoje możliwości – jak w Margianie. Miał przeczucie, że znajdzie inny sposób poznania przyszłości. I akurat nadszedł czas, aby wreszcie poznać ów sposób.

Właśnie dlatego Tarkwiniusz codziennie zaglądał do wielkiej Biblioteki Aleksandryjskiej. Na szczęście podczas pożaru budynków portowych w nocy zażartej bitwy oddziałów rzymskich legionistów z egipskimi obrońcami miasta nie doszło do całkowitego zniszczenia skarbów biblioteki. *I to nie dzięki Cezarowi* – pomyślał ponuro.

Dowódcę rzymskich oddziałów interesowało tylko to, żeby doprowadzić do paniki w szeregach wroga, który dysponował znaczną przewagą liczebną. Nie. Zasoby biblioteki przetrwały po prostu dlatego, że rozdzielono je między różne budynki. W tych znajdujących się przy nabrzeżu – które zostały całkowicie strawione przez ogień – znajdowała się tylko niewielka część zbiorów. Większość ważnych dokumentów przechowywano w kompleksie przestronnych budynków w bezpośredniej bliskości Gimnazjonu.

To właśnie tutaj przychodził każdego dnia Tarkwiniusz. Możliwość czerpania z tej krynicy wiedzy była dla niego spełnieniem życiowych marzeń. Gdy tylko przekraczał próg biblioteki, smutek przestawał go przytłaczać. W tym miejscu zgromadzono wszak dziesiątki tysięcy zwojów z poezją, traktatami historycznymi, filozoficznymi i medycznymi, źródła z retoryki i wszelkich innych dziedzin życia. Istniejąca od ponad dwustu lat Biblioteka Aleksandryjska stała się przez ten czas największym i najbardziej znanym źródłem wiedzy o świecie. Tarkwiniusz miał również nadzieję, że dzięki zgromadzonym w niej dokumentom pozna klucz do swojej przyszłości, która miała ścisły związek z historią tajemniczych początków ludu Etrusków. Bo mimo dziesięcioleci poświęconych na poszukiwania na razie haruspik nie był ani odrobinę bliżej odkrycia, skąd przybyli do Italii.

Kompleks budynków, który tak chętnie odwiedzał, był jednak czymś znacznie ważniejszym niż tylko biblioteką lub miejscem przechowywania cennych zwojów. Połączono w tym miejscu funkcje szkoły, sanktuarium i muzeum. Pomiędzy budynkami znajdowały się również cudowne ogrody, zoo, dysponujące licznymi okazami dzikich zwierząt, i obserwatorium astronomiczne. Naturalnie lokalna świątynia nadzorowana przez wysokiego kapłana została poświęcona muzom. Od wielu pokoleń przybywali do Aleksandrii greccy uczeni z całego *Mare Internum*, zatrudniani tu często na płatnych posadach tutorów, współpracując i dzieląc się wiedzą z tymi, którzy jej poszukiwali. Do Aleksandrii przybywali również uczeni mężowie, mędrcy, którzy dysponowali o wiele szerszą wiedzą niż Tarkwiniusz. Biblioteka gościła Archimedesę, który prowadził badania zmian poziomu wód Nilu oraz

wymyślił śrubę, wykorzystywaną do transportowania wody na duże wysokości. Eratostenes z Cyreny zatrzymał się w mieście w drodze z Hiszpanii do Indii. To właśnie on twierdził, że ziemia jest okrągła, a nawet obliczył jej obwód i średnicę. Inni badacze przedstawiali światu nowe teorie dotyczące wpływu Słońca na planety i gwiazdy albo zaskakiwali zaawansowaną wiedzą z dziedziny nauk medycznych i anatomii człowieka.

Gdy Tarkwiniusz spacerował po zadaszonych chodnikach w różnych skrzydłach biblioteki, doznawał nowych, nieznanych mu wcześniej emocji. Czuł coraz większą pokorę wobec nauki i wiedzy. Zrozumiał, że w tym miejscu zmagazynowano o wiele więcej informacji, niż byłby w stanie opanować w ciągu całego swojego życia. W jego mniemaniu półki wypełnione pergaminowymi zwojami, osłoniętymi materiałowymi lub skórzanymi okładkami, warte były o wiele więcej niż złoto i wszystkie klejnoty świata. Jednak pomimo że większość znajdujących się w bibliotece materiałów została skatalogowana, nie znalazł wiele odniesień do Etrusków. Zaledwie kilka wzmianek na rozpadających się papirusach, że lud ten przybył z terenów znajdujących się na granicach Azji Mniejszej. Jeden z autorów wspominał o istnieniu miasta zwanego Resen, leżącego nad Tygrysem. I niewiele więcej. Nie trafił na nic, co pozwoliłoby wypełnić treścią szkielec z informacji, które przekazał Tarkwiniuszowi Olenus. W konsekwencji haruspik zaczął żałować, że nie miał czasu na badania źródeł na Wschodzie po bitwie pod Carrhae. Oczywiście taka możliwość była w dużej części tylko pobożnym życzeniem, ponieważ podobnie jak wszyscy rzymscy jeńcy nie miał wówczas pełnej swobody poruszania się w terenie. Rzymian w Seleucji pilnowano dzień i noc. Nie zmieniało to faktu, że wkrótce Tarkwiniusz zaczął marzyć o powrocie do Partii.

Czy to możliwe, że właśnie tam prowadzi ścieżka jego losu? Podczas gdy jakaś jego część cieszyła się na tę myśl, inna ostrzegała, że udanie się na Wschód nie przyniesie nic dobrego. Bo czy wtedy mógłby mieć nadzieję, że spotka się z Romulusem? Chociaż nawet gdyby został w Aleksandrii, nie było żadnej gwarancji, że zobaczy się jeszcze z przyjacielem. Haruspik nie chciał nigdzie wyruszać dopóty, dopóki nie odkryje lub nie otrzyma jakiegoś jednoznacznego znaku świadczącego o

wyborze właściwego celu.

Przez kilka tygodni Tarkwiniusz koncentrował się na tekstach z tej części biblioteki, w której zebrano dzieła traktujące o astronomii i historii. Na razie poszukiwania nie przynosiły żadnych rezultatów. Niczego istotnego się nie dowiedział. Chcąc za wszelką cenę nie rzucać się w oczy, nie próbował prosić o pomoc bibliotekarzy, tłumaczy i skrybów, którzy – wprawdzie niechętnie – tolerowali jego obecność. Udało mu się uzyskać zgodę na korzystanie z biblioteki tylko dzięki świetnej znajomości języka greckiego i wiedzy medycznej. To jednak nie znaczyło wcale, że opiekunom zbiorów spodobał się ten cichy obcy człowiek, z twarzą pokrytą bliznami, przechadzający się po osłoniętych chodnikach kompleksu lub zwykle spędzający czas w samotności, obserwując debaty uczonych. Nie pasował do tego miejsca.

Był jednak jeden skryba – jak nazywano osoby specjalizujące się w kaligrafii i tłumaczeniach tekstów z pisma hieroglificznego, hieratycznego oraz demotycznego – który akurat cieszył się z obecności Tarkwiniusza. Arystofanes – bo o nim mowa – był tęgim, łysiejącym Grekiem w zaawansowanym wieku średnim, który miał hopla na punkcie astronomii. Podobnie jak jego koledzy Arystofanes nosił niczym niewyróżniającą się, białą, spraną tunikę z krótkimi rękawami. Garbił się nieco od nawyku niskiego pochylania się nad dokumentami, a jego palce zawsze były poplamione czarnym atramentem z trzciniowego rysika. Miał własne stanowisko do pracy, ulokowane przy jednym z niewielkich dziedzińców, graniczącym z korytarzami wypełnionymi półkami z książkami. Rozłożony na macie w otoczeniu zwojów i pergaminów, każdego dnia zajmował się kopiowaniem starożytnych traktatów na czyste kawałki papirusu. W tej części biblioteki haruspik zawsze spędzał mnóstwo czasu. Kiedyś musieli na siebie wpaść i wymienić kilka zdań. Tarkwiniusz szukał konkretnego tekstu o Niniwie, ale nie mógł go znaleźć i zwrócił się do Greka o pomoc. Podczas poszukiwań wdali się w długą dyskusję na temat zalet i wad papirusów oraz pergaminu wyrabianego ze skóry cielęcej. Mimo że nie znaleźli poszukiwanego zwoju, pojawiła się między nimi nić porozumienia, bazująca na wspólnych zainteresowaniach naukowych. Unikali jednak w rozmowach tematów osobistych. Tarkwiniusz nie mówił o swojej przeszłości,

choć wyjawiał, że jest Etruskim. Arystofanes o nic więcej go nie pytał.

Dzisiejszy poranek nie różnił się od wielu innych. Mężczyźni kontynuowali dyskusję rozpoczętą poprzedniego dnia, gdy zastanawiali się, czy możliwe jest dokładne zmierzenie ruchu gwiazd.

– Mówią, że na Rodos powstało specjalne urządzenie, które demonstruje, jak Słońce, Księżyc i planety przemieszczają się po niebie – mówił skryba. – Wykonano je z metalu, z dziesiątkami małych ukrytych kół zębatach i przekładni, które poruszają się jednocześnie. Podobno można dzięki niemu nawet przewidywać zaćmienia Księżyca i Słońca. Sam nie wiem, czy można w to wierzyć.

Tarkwiniusz roześmiał się. Gdy był jakiś czas na Rodos, słyszał pogłoski o istnieniu takiego mechanizmu.

Arystofanes zmarszczył brwi.

– O co chodzi?

– Rozejrzyj się. Pomyśl o bogactwie wiedzy, jaka została tu zgromadzona. Dlaczego to urządzenie miałoby nie istnieć?

– Oczywiście. Masz rację – Arystofanes uśmiechnął się smutno. – Za długo już tu siedzę. Czasami nie jestem w stanie spojrzeć na otaczający nas świat z właściwej perspektywy.

Tarkwiniusz zamyślił się. Choć zgromadzone w bibliotece materiały były naprawdę fascynujące, o wiele za często wydawały się... sterylne. Może nawet martwe.

– Rodos mówisz...

Arystofanes skinął głową.

– W greckiej szkole na wyspie. Wybiorę się tam pewnego dnia... – w jego głosie pojawił się ton smutku.

Może ja też powinienem o tym pomyśleć? Może już niczego więcej się tutaj nie dowiem?

Nagle ciszę biblioteki zakłócił charakterystyczny dźwięk wydawany przez maszerujący oddział żołnierzy. Urwał się na chwilę, gdy żołnierze zatrzymali się przy głównej bramie, ale po chwili usłyszeli łomot uderzeń broni o drewniane odeskowanie odrzwi – głośne nawoływania z wezwaniem do otwarcia wrót.

Arystofanes wyglądał na wzburzonego. Do tej pory nawet podczas

ostatnich walk nikt nie ośmielił się wdzierać siłą do biblioteki, która wydawała się oazą spokoju w ogarniętym szaleńcym mieście.

– Czego, na Zeusa, mogą tutaj szukać?

Tarkwiniusz skoczył na równe nogi. Zanim się zorientował, jego ręką powędrowała do pasa po miecz... ale zawisła w powietrzu, bo nie był uzbrojony. Rozkazy zostały wykrzyczane po łacinie, a nie w języku egipskim. To znaczyło, że przed bramą biblioteki stali rzymscy żołnierze. Zbliżały się kłopoty. Legioniści mogą zadawać niewygodne pytania. Czuł ruch wirującego wokół siebie powietrza.

Niebezpieczeństwo. Czy grozi jemu, czy komuś innemu?

– Co się stało? – Arystofanesowi nie uszła uwadze jego nerwowa reakcja. – Myślisz, że przyszli po ciebie?

Uspokój się. Niewielu Rzymian przebywających w mieście – jeśli w ogóle jacyś – są w stanie mnie rozpoznać. Tarkwiniusz wziął głęboki oddech.

– Nie do końca o to chodzi... – zaczął powoli, nagle zdając sobie sprawę, że wszystkie wyjścia poza główną bramą biblioteki są zablokowane. Sprawdził to już wcześniej, zawczasu myśląc o ewentualnej drodze ucieczki w razie kłopotów. – Po prostu nie lubię żołnierzy. To wszystko.

Greki spojrzeli na niego podejrzliwym wzrokiem. Wiedział, że Tarkwiniusz pochodzi z Italii i łatwo mógł wydedukować, że służył w armii. Jego wygląd mówił o nim więcej, niż by chciał. Jednak podobnie jak większość mieszkańców miasta, czy to Egipcjan, czy Greków, Arystofanes też nie darzył Rzymian wielką miłością z powodu okazywanej wszem i wobec arogancji, surowych obyczajów i skłonności nowych władców tej krainy do rozwiązań siłowych.

– Ukryj się od strony portyku – poradził spokojnym głosem. – Nawet jeśli tu wejda, światło słoneczne jest tak jasne, że na jego tle staniesz się tylko cieniem. Ot, jakiś uczonek studiujący starą księgę.

Tarkwiniusz szybko zwinął traktat o Asyrii, który właśnie analizował, i wdzięczny za podpowiedź ruszył korytarzem. Zwrócony w stronę rzędów półek, zawsze mógł zerkać przez ramię na wszystkich wchodzących do tego skrzydła. *Tylko co potem? Ciągle jestem daleko od wyjścia.* Czuł, że serce wali mu niczym młot. Spojrzał na widoczny z

biblioteki skrawek nieba nad głową. Było spokojnie. Układ chmur nic mu nie mówił. Tarkwiniusz zaklął pod nosem.

Ku jego zaskoczeniu grupa żołnierzy, którzy z łoskotem wtoczyli się na dziedziniec kilka chwil później, była mieszanką Rzymian i Egipcjan. Najpierw pojawiły się dwa rzędy po dziesięciu dobrze prezentujących się gwardzistów z legionów, następnie taka sama liczba strażników królewskich w przepięknych zielonych tunikach, greckich hełmach i napierśnikach z brązu. Oba oddziały natychmiast rozsypały się w tyralierę ochronną, z włóczniami i mieczami gotowymi do działania. Arystofanes został absolutnie zignorowany. Oficer powiódł wzrokiem po zgromadzonych w bibliotece ludziach i wydał komendę, sygnalizując, że wszystko w porządku. I wtedy do środka weszła młoda kobieta w towarzystwie kilku płaszczących się przed nią dworzan i starszych bibliotekarzy. Tarkwiniusz aż otworzył usta ze zdziwienia. Arystofanes uniósł się niezdarnie z trzcinowej maty, potrącając kałamarze z *atramentum*. Nie miał czasu, aby ostrzec Tarkwiniusza. Nie musiał.

To była Kleopatra, siostra zmarłego króla Ptolemeusza. Kochanka Cezara. Obecnie prawdziwa władczyni Egiptu. Dla swoich ludzi była boginią, stąpającą po ziemi. *Co ona tu robi?*

– Ukorzyć się! – zawołał jeden z dworskich urzędników.

Tarkwiniusz pospiesznie opadł na kolana, a następnie, w reakcji na rzucone z ukosa spojrzenie pochylonego Arystofanesa, dotknął czołem kafelek podłogi. Miał tylko kilka uderzeń serca, żeby przyjrzeć się Kleopatrze, ale to wystarczyło, aby jej pewność siebie zrobiła na nim ogromne wrażenie. Królowa odziana była w lekką, kremową lnianą suknię, obszytą srebrną nicią. Włosy zebrała w cienkie warkoczyki. Długie ich spirale opadały po obu stronach bladej twarzy. Skroń zdobiła korona z ureuszem, symbolem egipskich faraonów. Wykonana z litego złota korona była wysadzana klejnotami, a na samym środku znajdowała się rzeźba kobry z otwartą paszczą. Na szyi Kleopatry lśnił naszyjnik z ogromnych pereł, a złote i srebrne bransolety i pierścienie skrzyły się w promieniach słońca na nadgarstkach i palcach. Duże usta i zakrzywiony nos, niedodający jej uroku, kompensowały ponętne linie bioder i kobieca sylwetka. Kusząco pełne piersi wyraźnie rysowały się pod tkaniną sukni, której fałdy opasywały ją w talii, na brzuchu i biodrach. Była tak piękna,

że nie dawało się od niej oderwać wzroku.

– Możecie wstać – oficjel odezwał się ponownie.

Tarkwiniusz uniósł się z kolan, świadomie unikając spojrzenia najbliższych żołnierzy. Nie rozpoznał żadnego z nich, ale nie było sensu kusić losu. Wystarczy, że ktoś nabierze podejrzeń, a nadzieją go na włócznie albo zwiążą jak kurę, która ma trafić do kuchni. A potem będą torturować. Arystofanes znajdował się kilka kroków od Kleopatry. Odważył się zaledwie unieść głowę, ciągle nie wstając z kolan.

– Wasza Wysokość... – odezwał się drżącym głosem. –

Zaszczycasz nas swoją obecnością.

Kleopatra łaskawie pochyliła głowę.

– Przychodzę tu, aby zaczerpnąć z krynicy wiedzy. Koniecznie muszę znaleźć odpowiedzi na dręczące mnie pytania. Wygląda na to, że w bibliotece znajdę właściwe zwoje. – Miała głęboki, aksamitny głos, jednak nie było żadnych wątpliwości, że w tych słowach czaiła się groźba.

Na czoło Arystofanesa wystąpił zimny pot.

– Jakiego typu informacji szukasz, pani?

Nastąpiła długa pauza, którą Tarkwiniusz wykorzystał na bliższe przyjrzenie się Kleopatrze z profilu. Gdy jego wzrok padł na płaski brzuch królowej, poczuł silny wstrząs energii. *Ona jest w ciąży!* Zaskoczył go nie tylko nagły powrót umiejętności wieszczona, lecz także sama informacja. Kleopatra nosi dziecko Cezara. Syna. Człowiek, który ma dzierżyć w swoich rękach stery Rzymu, musi mieć potomka. Kleopatra przybyła tutaj, aby dowiedzieć się, co przyszłość przyniesie dla niej i jej potomstwa. Myśli Tarkwiniusza natychmiast popłynęły w stronę Romulusa. Czy to jest ta groźba, którą wyczuwał w powietrzu?

– To nic wielkiego... – Kleopatra odpowiedziała skromnie. – Po prostu papirusów, które pozwolą mi poznać układ gwiazd na przyszły rok lub dłużej. Oraz horoskopu dla każdego znaku zodiaku.

Arystofanes wyglądał na przerażonego.

– Wasza Wysokość... ale ja nie jestem... ekspertem w tych sprawach – wyjąkał niepewnie.

Kleopatra uśmiechnęła się do niego.

– Musisz tylko znaleźć właściwe zwoje. Ci ludzie zinterpretują dla

mnie wszystkie wskazówki – wskazała grupę mężczyzn w bogatych szatach za swoimi plecami. Teraz oni z kolei nie wyglądali na zbyt pewnych siebie.

Westchnienie ulgi Arystofanesa było odrobinę zbyt głośne, żeby pozostać niezauważone.

– Oczywiście, Wasza Wysokość. Czy będziesz pani skłonna pójść ze mną? – drżącym ramieniem wskazał korytarz znajdujący się za Tarkwiniuszem.

Haruspik zamarł. Nie przewidział tego. Teraz mógł tylko spróbować zachować spokój. Wszelkie gwałtowne ruchy ściągną na niego niechcianą uwagę.

– Prowadź.

W tej samej chwili egipscy strażnicy rozstąpili się, pozwalając Arystofanesowi wyrwać się z kręgu i czym prędzej ruszyć między regały. Żołnierze uformowali się w cztery pięcioosobowe rzędy, z Kleopatą w środku, blokując uniesionymi włóczniami dostęp do swojej władczyni. Połowa z nich od razu poszła za Arystofanesem. Za nimi podążyła królowa i spoceni dworzanie, a następnie pozostała dziesiątka strażników. Niewielka kolumna ruszyła na dziedziniec i dalej w kierunku zadaszonego przejścia pod portykiem, gdzie stał nieruchomy jak posąg Tarkwiniusz. Gdy przechodzili obok niego, poczuł silny zapach potu i naoliwionej skóry. Większość żołnierzy nie poświęciła mu nawet dłuższego spojrzenia. Ot, po prostu kolejny uczoney w piśmie w nędznych łachmanach.

Gdy Kleopatra przechodziła obok, Tarkwiniusz pochylił głowę, ale miał zmysły wyostrzone do granic możliwości. Poczul otaczającą ją radość – dumę z macierzyństwa. *Cóż za partię sobie wybrała! Ni mniej, ni więcej, tylko Juliusza Cezara.* Oczywiście jej decyzje wcale nie były zaskakujące. Dni chwały egipskiej rodziny królewskiej należały do przeszłości. Od wielu lat dynastia uzależniała się od rzymskiej pomocy wojskowej. Kleopatra najpierw uwiodła Cezara, a potem zaszła z nim w ciążę. Chciała zostać władczynią w swoim kraju... i nie tylko. W konsekwencji ostatnich bitew jej nastoletni brat Ptolemeusz zginął. Siostra Arsinoe została uwięziona. Kleopatra nie miała teraz żadnych konkurentów do tronu.

Tarkwiniusz wyczuł w otaczającej ją atmosferze coś więcej. Zamknął oczy. Chciał wykorzystać całą swoją energię i umiejętności, aby dowiedzieć się, o co chodzi. Nowa wizja uderzyła go tak mocno, że aż zakołysał się na piętach. Kleopatra trafi na kilka lat do Rzymu, ale nie będzie rządzić przy boku Cezara. Ich syn umrze młodo. Gwałtowną śmiercią. Zamordowany na rozkaz... chudego arystokraty, którego Tarkwiniusz nie rozpoznał. Dlaczego? Haruspik widział, że ten człowiek kocha Cezara, ale jednak będzie odpowiedzialny za śmierć jego syna. Co oznaczało, że nie będzie również przyjacielem Romulusa. *W centrum tych wszystkich wydarzeń znajduje się Rzym. Czy powinienem się tam udać?*

– Ty! – usłyszał głos jednego z legionistów. Mocno opalony, zarośnięty weteran zmierzył go od stóp do głów. Najwyraźniej nie spodobało mu się to, jak wyglądał w swojej poszarpanej tunice. – Co tu robisz?

Zbyt późno haruspik zdał sobie sprawę, że podczas wizji musiał mruzczyć coś pod nosem.

– Zgłębiam tajemnice starożytnej asyryjskiej cywilizacji, panie – odpowiedział uniżonym tonem, wskazując na leżące przed nim zwoje. Żołnierz zmrużył nieufnie oczy.

Serce Tarkwiniusza stanęło. Koncentrując się na myśli o Romulusie, zaskoczony pytaniem odpowiedział płynnie po łacinie, zamiast użyć bardziej naturalnego w tych okolicznościach języka greckiego. To nie było wprawdzie żadne przestępstwo, ale w sytuacji, gdy większość uczonych w bibliotece miała jakieś związki z Grecją, był to niezwykle znaczący drobiazg.

Legionista też nabrał podejrzeń.

– Pochodzisz z Italii? – zapytał, podchodząc kilka kroków bliżej. Pochylił *pilum* tak, że ostrze oszczepu w kształcie małej piramidki mierzyło prosto w mostek Tarkwiniusza. – Odpowiadaj!

Haruspik nie zamierzał ryzykować. Nie chciał tłumaczyć się, kim jest i dlaczego nie służy w armii.

– Pochodzę z Grecji – skłamał. – Ale kilka lat spędziłem w Italii jako tutor. Czasami równie naturalnie posługuję się łaciną jak moim ojczystym językiem.

– Nauczyciel, mówisz? – na twarzy żołnierza pojawił się chytry wyraz. Mężczyzna wskazał końcówką oszczepu blizny na lewym policzku Tarkwiniusza. – To skąd te ślady?

– Cylicyjscy piraci napadli na miasto, w którym mieszkałem – odparł szybko. – Torturowali mnie, a potem sprzedali jako niewolnika na Rodos. Po jakimś czasie udało mi się uciec i dotarłem tutaj, gdzie zarabiam na życie jako skryba.

Weteran przez jakiś czas zastanawiał się nad wiarygodnością jego słów. Cylicyjscy piraci byli plagą całego basenu *Mare Internum* do czasu, gdy przed dwudziestu laty Pompejusz nie rozbił ich w puch. Zdarzyło się nawet, że mieli czelność splądrować Ostię, miasto portowe leżące w bezpośredniej bliskości Rzymu, a tym samym zagrozili zapasom ziarna zgromadzonym w stolicy. Legionista słyszał podobne opowieści od ojca i najwyraźniej uznał, że ta żalosna postać przed nim jest wystarczająco stara, by uczestniczyć w tamtych wydarzeniach.

W tej chwili dobiegł ich podniesiony głos Kleopatry, która zbliżała się w towarzystwie Arystofanesa. Właściwe zwoje zostały znalezione. Żołnierz odwrócił się i nie dopytywał już o nic Tarkwiniusza, który pozwolił sobie na długie westchnienie ulgi.

Królowa pojawiła się w otoczeniu strażników. Jej policzki płonęły z podekscytowania. Idący krok za nią Arystofanes ścisnął w ramionach kilkanaście walcowatych zwojów, które przy każdym ruchu wyrzucały w powietrze chmury kurzu. Pochód zamykali uczeni w piśmie, którzy teraz wyglądali na naprawdę przerażonych. Gdy udało się znaleźć teksty, których zażądali, ciężar oczekiwań Kleopatry spocznie teraz na nich.

Arystofanes wydawał się dziwnie radosny. Gdy tylko ujrzał Tarkwiniusza, rzucił mu promienny uśmiech.

– Zgadnij, co jeszcze udało mi się znaleźć przy okazji, mój etruski przyjacielu? – zawołał po łacinie. – Ten tekst z Niniwy, którego szukałeś kilka tygodni temu.

Tarkwiniusz w zwolnionym tempie przeniósł spojrzenie na śniadego legionistę.

Wystarczyła chwila, aby słowa skryby dotarły do żołnierza.

– Etruski? – warknął, obracając się w kierunku haruspika. – Ty kłamliwy sukinsynu. Pewnie jesteś republikańskim szpiegiem, co?

Arystofanes od razu zrozumiał, że może przyczynić się do zguby niedawno poznanego mężczyzny. Jego usta złożyły się w wielkie „O”. Tarkwiniusz upuścił papirus, który akurat trzymał, i ruszył pędem przed siebie, myśląc już tylko o ratowaniu skóry.

– Szpieg! – wrzasnął legionista do swoich towarzyszy. – Szpieg!

Tarkwiniusz biegł, jakby po piętach deptał mu sam Cerberus i wszystkie demony Hadesu, ale goniący go uzbrojeni mężczyźni byli młodszy i sprawniejsi od niego. Pomimo pewnej przewagi miał niewielkie szanse dotarcia do głównego wejścia przed ścigającymi, nie mówiąc już o wydostaniu się na ulicę prowadzącą na zewnątrz. Przeklinał swoją nieuwagę i brak koncentracji, gdy odezwał się po łacinie. Strach dodawał mu siły, gdy rwał przez zacienione ogrody, nie zważając na zdziwione spojrzenia niewolników, zajmujących się pielęgnacją klombów i drzew owocowych. Szybko udowodnił mu, że nie jest żadnym skrybą, więc legioniści naprawdę uznają go za wrogię agenta.

Jego prawdziwa historia była zbyt nieprawdopodobna. Ponadto musiał też zachować w tajemnicy swoje zdolności przepowiadania przyszłości. Wynik przesłuchania byłby tylko jeden. Śmierć po torturach. Skrzywił usta, jakby poczuł na nich gorzkość. Powrót jego umiejętności stał się tylko okrutnym żartem bogów, pokazującym mu, że nie może zrobić nic więcej, aby pomóc Romulusowi, któremu zmarnował życie.

I wtedy nagle Tarkwiniusz zauważył w ścianie otwarte drzwi. Nie były dalej niż piętnaście kroków od niego. Koło drzwi stał jakiś przerażony skryba, który próbował uskoczyć przed pędzącym mężczyzną. Gdyby udało mu się przez nie przedostać, istniała szansa, że da się je zatrzasnąć, zanim legioniści dostrzegą, gdzie zniknął.

Zmusił się do najwyższego wysiłku. Miał wrażenie, że za chwilę pęknie mu serce. Pędził wprost do drzwi, nie oglądając się za siebie.

Rozdział VI

„*Veni, vidi, vici*”



Pont, północna część Azji Mniejszej

Wydawanie rozkazów przez szeregowego żołnierza legionów było uważane za ciężkie wykroczenie, ale Romulus zdawał sobie sprawę, że jeśli ktoś szybko nie zareaguje, wówczas on i otaczający go towarzysze zginą marnie w wirze błyskających ostrzy. Trzy rydwany pędziły prosto na nich. Wkrótce wbijają się w rzymską formację, przecinając ją na wylot. Romulus odrzucił głowę do tyłu i krzyknął, ile sił w płucach:

– Mierzyć nisko! *Pila*. Rzuć!

Legioniści wokół niego natychmiast wykonali rozkaz. To było lepsze niż spoglądanie śmierci prosto w oczy. Odprowadzając ramiona i przechylając się nad tarczami, żołnierze rzucili oszczepy, zachowując pełną synchronizację. Tuziny pocisków rozorały powietrze, żeby spaść ciężkim deszczem na rydwany wroga. Z takiej odległości trudno było spudłować. Metalowe ostrza przebijały pancerze osłaniające konie i wbijały się głęboko w ich piersi, szyje i grzbiety, podczas gdy inne zniosły dwóch powożących, którzy wylądowali bezwładnie na twardej ziemi za rydwanami. Nikt już teraz nie kontrolował zataczających się i stojących dęba z bólu rumaków. Jednak zwierzęta nabrały takiego rozpędu, że nadal posuwały się naprzód. Jakimś sposobem żadnego szwanku nie odniósł trzeci rydwan, który znajdował się nieco z tyłu. Woźnica krzyczał na cały głos i potrząsał uzdą, zachęcając konie do jeszcze większego wysiłku.

Pierwsze dwa rydwany wbiły się pomiędzy stojących ramię przy

ramieniu legionistów, tworzących ciągłą linię. Romulus patrzył z przerażeniem, jak ranne wierzchowce w szale skaczą prosto na ścianę tarcz, wciąż ciągnąc za sobą rydwany z niebezpiecznymi ostrzami. Niektórzy żołnierze znajdujący się bezpośrednio przed nimi zostali z impetem odrzuceni na drugą linię, a inni padli na ziemię i zostali stratowani. Jednak najgorszy los czekał tych, którzy znaleźli się kilka kroków z boku. Dosięgła ich wirująca śmierć. Gdy ciemna posoka z rozrywanych ciał i odciętych kończyn spryskała ziemię, powietrze wypełniło się okrzykami.

Romulus z trudem oderwał wzrok od tego pandemonium i spojrzał na ostatni rydwan. Jego źrenice rozszerzyły się z przerażenia. Znajdował się nie dalej niż dziesięć kroków. Konie wbijają się między legionistów, znajdujących się dwa lub trzy miejsca od Petroniusza, który zajmował pozycję po jego prawicy. Ciężkie rumaki bojowe były specjalnie przeszkolone, aby tratować przeciwników. Romulus tak zacisnął dłoń na drzewcu ostatniego *pilum*, że zbieleły mu kłykcie. Czuł się kompletnie bezradny. Ostrza po tej stronie rydwanu potną na plasterki właśnie Petroniusza i jego.

Linia legionistów zachwiała się. Kilku bez rozkazu powtórnie użyło oszczepów, ale kiepsko celowali i pociski przeleciały nad pędzącym prosto na nich rydwanem. Romulus czuł, że grozi mu kompletny paraliż. Zbierało mu się na wymioty. Mięśnie miał tak zeszywniałe, że poruszał się jakby w zwolnionym tempie. *Tak właśnie wygląda ta chwila, gdy widzisz zbliżającą się śmierć.*

– Na ziemię! – usłyszał jak przez mgłę krzyk Petroniusza. – Teraz!

Zareagował. To nie była właściwa chwila, aby martwić się o stojących za nim. Odrzucił tarczę i rozpląszczył się na ziemi pokrytej kamieniami. Kątem oka widział, że Petroniusz robi to samo. Niektórzy mężczyźni próbowali ich naśladować, ale inni spanikowali i rzucili się do ucieczki. Na nią było już za późno. Romulus skulił się i zamknął oczy. Element napoliczka hełmu wbijał się mu w bok twarzy. Ból jednak pomógł w skupieniu się. *Mitro! Nie pozwól mi skończyć żywota w ten sposób. Rozczłonkowany przez ten cholerny pontyjski rydwan. Ziemia, do której przycisnął ucho, rozbrzmiewała hukami kopyt. Ten odgłos sprawiał, że czuł jeszcze większe przerażenie.*

Słyszał, jak z głośnym furkotem minęła go najpierw jedna, a potem druga grupa ostrzy. Gdy legionieści w kolejnych liniach przyjęli na siebie impet uderzenia, w niebo wzbiły się krzyki agonii. Petroniusz leżał nieruchomo tuż obok niego. Romulus miał sucho w ustach. Pomyślał ze smutkiem, że Petroniusz musi być martwy. *Uratował mi życie. Jak Brennus. Oddając swoje życie w zamian.* Chwilę później rydwan zniknął mu z pola widzenia.

Z niedowierzaniem poruszył palcami u rąk i nóg. Wszystkie kończyny znajdowały się na miejscu! Na tę myśl jego serce drgnęło z radości. Jednak już w następnej chwili zadrzało z żalu i poczucia winy, że przeżył, a Petroniuszowi się nie udało.

Nagle ktoś pchnął go tak mocno w plecy, że aż się zachwiał.

– To powinno wystarczyć za uratowanie mi skóry w Aleksandrii!

Grzebień na hełmie Petroniusza został równiutko przycięty, ale na twarzy weterana widniał szeroki uśmiech. Romulus aż podskoczył z radości.

– Byłem pewien, że nie żyjesz.

– Fortuna może i jest kapryśną, starą kurwą. Ale dziś chyba ma dobry humor. Zdaje się, że mam u niej fory!

Spojrzeni na rzymską formację. Rydwan, który przebił się przez pierwsze linie, unicestwiając dziesiątki ludzi, teraz już się nie poruszał. Głęboka formacja w końcu zatrzymała jego impet. Legionieści rzucili się na niego niczym zgraja wygłodniałych wilków, zdesperowanych, by odpłacić się za śmierć towarzyszy, mszcząc się na ludziach i zwierzętach. Konie zwały się na ziemię pod lawiną ciosów w brzuch lub po przecięciu ścięgien. Pechowy woźnica nie był tchórzem. Nie próbował się poddać, lecz sięgnął po miecz. Nie zdążył jednak nawet wyciągnąć go z pochwy. Czterech czy pięciu wrzeszczących legionistów zagłębiło swoje *gladii* w jego karku i ramionach. Gdy wyciągnęli ostrza, ciało woźnicy opadło bezwładnie na bok. Ale oni jeszcze z nim nie skończyli. Jeden z legionistów, powodowany wściekłością na myśl o tym, co mogły uczynić i uczyniły wirujące ostrza rydwanu, zamachnął się mieczem tak, że odciął głowę mężczyzny. Krew trysnęła na jego nogi. Podeszedł bliżej i pochylił się, żeby chwycić głowę za włosy. Zrzucił hełm wroga i uniósł ociekające krwią trofeum w górę, wydając

pierwotny ryk furii, z której przebijała radość ze zwycięstwa. Po chwili wyli już wszyscy, którzy widzieli, co się właśnie stało.

Twarz powożącego rydwan nieprzyjaciela zastygła na zawsze w grymasie zaskoczenia.

Chociaż rydwany zadały Rzymianom ciężkie straty, nie rozbiły formacji. W miejscach, gdzie padli ludzie, ziały jednak wielkie dziury. To mogło się źle skończyć, bitwa bowiem dopiero się rozpoczynała. Luki można było szybko zapełnić, ale nie dana im była nawet chwila spokoju. W uszach zawibrował nowy dźwięk. Czekala ich szarża jazdy. Posypały się gorzkie przekleństwa.

Ponad liniami legionistów ustawionymi do nich plecami Romulus i jego towarzysze ujrzeli nieprzebraną masę pontyjskiej jazdy. Jeźdźcy oskrzydłili formację Legionu XXVIII i za chwilę mieli uderzyć na słabo przygotowane do obrony tyły. Nawet w najbardziej sprzyjających warunkach rzadko zdarzało się, żeby piechurzy wytrzymali szarżę jazdy. Pod Farsalą udało się to specjalnie przeszkolonym legionistom, którzy dźgali oszczepami kawalerzystów po twarzach i tym sposobem zmusili ich do ucieczki. Zapomniany Legion poradził sobie dzięki specjalnie przygotowanym długim pikom, tworzącym jeżący się ostrzami mur, odstraszaający konie. Jednak dzisiaj nie mogli zastosować żadnej z tych metod. W pełni świadomi, że zanim zostaną starci na proch, zdążą może wysłać w kierunku wrogów jedną salwę oszczepów, żołnierze z tyłów krzyczeli ze strachu i bezradności.

Dzisiejszego dnia śmierć zbierze krwawe żniwo – pomyślał Romulus, przypominając sobie o fali nieprzyjaciół biegnących w ślad za rydwanami. Ci z centurionów, którzy przetrwali uderzenie rydwanów, starali się opanować sytuację.

– Trzecia linia w tył zwrot! Pierwsza linia odtworzyć szyk! – krzyczał najbliższy oficer. – Szybko! Wy bezużyteczne dranie!

Romulus natychmiast wykonał rozkaz. Od razu tego pożałował.

Peltaści oraz *thureophoroi*, wymachując mieczami i włóczniami, szybko zbliżali się do pozycji rzymskiej piechoty przy akompaniamencie coraz głośniejszej wrzawy i okrzyków bojowych. Nie udało się jeszcze odtworzyć litej ściany tarcz i wielu legionistów zerkało niepewnie na dowódców, zastanawiając się, czy nadeszła właściwa chwila, aby rzucić

się do ucieczki i ratować skórę. Rzymianie dobrze pamiętali, z jaką wytrzymałością i uporem walczyli najemnicy w Aleksandrii. Jazda wychodząca na tyły legionu i horda piechoty zaciekle atakującej od frontu? Los tego starcia wydawał się przesądzony.

Romulus poczuł się tak, jakby stał się kawałkiem metalu na kowadle, nad którym kowal właśnie unosi swój młot. Gdy ciężki kafar opadnie, zostanie rozbity w drobny mak. Zrozpaczony uniósł oczy do nieba. Jak zwykle nie ujrzał na jasnym nieboskłonie żadnego znaku, z którego można by wyciągnąć wnioski dotyczące przyszłości. Od czasu strasznej wizji Rzymu w Margianie Romulus rzadko próbował wykorzystać swoje umiejętności przepowiadania, które Tarkwiniusz próbował w nim pielęgnować. A gdy już zdarzało się, że podjął próbę, zdawało się, że bogowie droczą się z nim, nie ujawniając żadnych wskazówek. *Niech ich wszystkich trafi szlag! Łatwo odgadnąć, jak będzie wyglądać przyszłość. Nawet głupiec wie, że wszyscy zginiemy.*

Czy centurioni dzielali jego obawy, czy nie, faktem było, że żaden z nich nie spanikował. Ci weterani wielu kampanii byli uosobieniem spokoju, dyscypliny oraz twardym szkieletem, na który mógł liczyć legion w tak niebezpiecznych chwilach jak ta. Oficerowie popędzali żołnierzy i udało się zamknąć dziury w formacji wybite przez rydwany. Romulus wciągnął głośno powietrze z ulgą, gdy uświadomił sobie, że może nie wszystko jest jeszcze stracone. Dowódcy wiedzieli, że mają tylko jedną przewagę i muszą ją maksymalnie wykorzystać. Legion zajmował pozycję na szczycie wzgórza. Dzięki temu miał trochę więcej czasu na manewry i przygotowanie się do starcia. Ponieważ żołnierze wroga musieli biec pod górę, impet natarcia był o wiele mniejszy, niż mógłby być. Biegli przecież wolniej niż konie prowadzące rydwany.

Spojrzał na Petroniusza i poczuł się pewniej.

Weteran posłał mu silnego kuksańca w ramię.

– To o to w tym wszystkim chodzi, chłopaku – wycedził przez zaciśnięte usta. – Dalej! Do ściany! Jeśli mamy umrzeć, to u boku naszych towarzyszy. Nie możemy prosić o nic więcej, co nie?

Kilku ludzi, którzy usłyszeli jego komentarz, pokiwało z zapamiętaniem głowami.

Ta reakcja i łatwość, z jaką przyjmowali śmierć, spowodowała, że w oczach Romulusa pojawiły się łzy dumy. Nikt nie wiedział, że dawniej był niewolnikiem, ale towarzysze z kohorty byli świadkami jego śmiałych czynów na polach bitew. Teraz stał się jednym z nich. Odrzucenie, jakiego doświadczył z Brennusem ze strony legionistów w Margianie, zostawiło głębokie blizny na jego psychice. Tutaj, na jałowej ziemi Pontu, na zboczu góry wysuszonej gorącymi promieniami słońca, uznanie żołnierzy było magicznym, mile widzianym balsamem dla jego duszy. Romulus uniósł brodę z nową determinacją. Jeśli ma umrzeć, to niech to stanie się wśród mężczyzn, którzy uważali go za godnego noszenia gladiusa kompana.

– Elizjum czeka! – zawołał Petroniusz, podnosząc wysoko *pilum*. – I umrzemy dla Cezara!

Głośny, niepokorny okrzyk niósł się daleko. Słowo „Cezar” powtarzano wzdłuż linii jak mantrę. To wyraźnie wzmocniło mur tarcz, który wcześniej drżał niepewnie przed nieprzebranymi masami żołnierzy wroga, pędzącymi w górę zbocza. Do skandowania dołączyli nawet legioniści, którzy już za chwilę mieli zetrzeć się z pontyjską jazdą.

Romulus niemal fizycznie czuł rosnące morale legionu. Od czasu, gdy został na siłę włączony do Legionu XXVIII, nie bardzo rozumiał, skąd brało się uwielbienie i niezachwiane oddanie żołnierzy dla swojego generała. Wiedział, że Cezar sam zapracował sobie na lojalność żołnierzy, dowodząc armią z pierwszej linii, dzieląc trudy zwykłych żołnierzy i dobrze nagradzając ich za wierność, ale tak naprawdę nigdy nie doświadczył tego uczucia osobiście. Nocna bitwa w Aleksandrii była zwykłą jatką, a decydujące zwycięstwo nad siłami Ptolemeusza nie zostało odniesione z wielkim trudem. Romulus na okrągło słyszał, jakim to niesamowitym dowódcą jest Cezar, ale żadne ze starć, w których uczestniczył, nie pozwalało wyciągnąć takiego wniosku. Jeśli miał służyć w jednym z legionów dyktatora przez najbliższe sześć lub więcej lat, to chciałby mieć pewność, że warto poświęcić się dla tego wodza. Teraz to wreszcie do niego dotarło. Na własne oczy widział, jak zachowywali się ludzie, którzy wkrótce mieli umrzeć. To było naprawdę niezwykle doświadczenie.

Wszystkie myśli szybko wywietrzały mu z głowy, gdyż wrogowie

znajdowali się tuż, tuż. Romulus wcześniej nie zwrócił uwagi na to, jak różnorodną masę tworzą żołnierze Farnakesa. W przeciwieństwie do rzymskich legionistów, czy choćby nawet ludzi Dejotara, ubranych i uzbrojonych tak samo, wśród przeciwników, którzy pięli się w górę zbocza, trudno byłoby wskazać dwóch wyglądających tak samo. Ludzie ci – zainteresowani głównie wysokim żołdem najemników i możliwością swobodnej grabieży – przybyli do Pontu z czterech stron świata. Byli wśród nich traccy peltaści, tacy jak ci, których widział Romulus w Aleksandrii. Ci lekkobrojni piechurzy w walce posługiwali się *rhomphaiai* – o długim ostrzu oraz z owalnymi tarczami z kolcami. Jednak nawet oni różnili się pod względem uzbrojenia, niektórzy bowiem nosili kilka włóczni lub zakrzywione noże. Niektórzy wojownicy mieli na sobie watowane płócienne osłony, a inni okrągłe lub półksiężycowe tarcze z wikliny, pokryte owczą skórą. Kilku, bez wątpienia bogatszych, posługiwało się tarczami z polerowanymi okuciami z brązu.

Wśród piechoty znajdowało się dużo *thureophoroi* z Azji Mniejszej i krain leżących dalej na zachód. Osłaniali się ciężkimi, owalnymi lub prostokątnymi tarczami, obitymi skórą. Nosili hełmy macedońskiego typu z czubem i dużymi nاپoliczkami oraz sporych rozmiarów zaokrąglonymi rondami nad czołem. Tylko nieliczni – podobnie jak w przypadku peltastów – mieli na sobie jakiegokolwiek pancerze. W większości opasani byli prostymi tunikami w szerokiej gamie kolorystycznej, od czerwono-brązowych, podobnych do noszonych przez legionistów, po białe, niebieskie lub w kolorze ochry. Większość posługiwała się oszczepami i mieczami, ale niektórzy byli uzbrojeni w długie włócznie.

Lewe skrzydło armii wroga składało się z tysięcy Kapadocjan, zapalczywych brodatych barbarzyńców w spiczastych czapkach z tkaniny, tunikach z długimi rękawami i w spodniach. Ci wyróżniali się również sześciokątnymi tarczami. Posługiwali się długimi mieczami, podobnymi do tego, którego używał Brennus, oraz oszczepami i włóczniami.

Żadna z tych różnorodnych formacji w normalnych okolicznościach sama nie zagrażałaby rzymskiemu legionowi. *Problem*

polega na tym, że tych skurczybyków jest po prostu za dużo. Nawet gdyby w pole wyszła cała nasza armia, sięgnięcie po zwycięstwo byłoby trudne. Los Legionu XXVIII jest przesądzony. Ale co dalej? Jak w takiej sytuacji w ogóle myśleć o wiktorii? Nawet pod rozkazami takiego geniusza militarne go jak Cezar?

Petroniusz zaśmiał się głośno, czym całkowicie zaskoczył Romulusa.

– Są dwie rzeczy, za które możemy być wdzięczni.

Romulus próbował czytać w myślach towarzysza.

– Nieźle się muszą namęczyć, żeby tu dotrzeć, a my po prostu stoimy i czekamy?

– Tak. A *pila* będą o wiele skuteczniejsze rzucone z przewagą wysokości.

Dowódcy w nieprzyjacielskiej armii chyba zdawali sobie z tego sprawę. Choć musieli znieść Legion XXVIII, zanim na polu walki pojawi się reszta oddziałów Cezara, nie widzieli sensu w wysyłaniu do boju zmęczonych ludzi, gdy wróg był wypoczęty i tylko na to czekał. Rozkazy zatrzymały wojowników Farnakesa jakieś sto kroków przed pierwszą linią legionu, dobrze poza zasięgiem rzutu *pilum*. Na razie legionieści mogli tylko się modlić i próbować zignorować straszne dźwięki dochodzące z tyłu, gdzie ich towarzysze z trudem odpierali ataki pontyjskiej ciężkiej jazdy. Co bardziej pomysłowi centurionowie rozkazali swoim ludziom używać *pila* do pchnięć z dołu do góry, wykorzystując oszczepy tak, jak to robiono pod Farsalą, ale ta sztuczka sprawdzała się tylko z ograniczonym powodzeniem. W rzymskich szeregach pojawiały się dziury, które groziły rozczłonkowaniem legionu. *Jeśli tak się stanie, nikt z nas nie wyjdzie cało z tego starcia.*

Romulus poczuł w brzuchu piekący ból szarpiących go pazurów trwogi. Na szczęście nie pozostało mu zbyt wiele czasu, aby się tym przejmować. Wrogowie porządkowali szyk, by znów ruszyć pod górę. Wkrótce ich dosięgną. Po dużym wysiłku, jakiego wymagało wspięcie się do legionistów, najemnicy szybko odzyskali siły. Nie minęło dwadzieścia uderzeń serca, a fala piechoty Farnakesa rzuciła się na Rzymian niczym psy myśliwskie wietrzące zwierzynę. Nie było szczelnej ściany tarcz, w jakiej przywykli walczyć legionieści, lecz masa

drewna, ciał i stali, pulsująca krzykiem ludzi i szczękiem broni. Zapalczywi Kapadocjanie wysforowali się na kilka kroków przed resztę wojsk, ale uderzenie w rzymskie linie na całej długości formacji było już tylko kwestią chwili. Kilku głupców rzuciło swoje włócznie jeszcze w biegu. Te jednak ledwie przeleciały piętnaście kroków, po czym opadły nieszkodliwie na nierówną ziemię. Większość jednak postępowała zgodnie z rozkazami, wstrzymując się z ich użyciem do czasu, aż znajdzie się znacznie bliżej.

Centurionowie nie musieli myśleć o oszczędzaniu oszczepów na lepszą okazję. Strome zbocze, na którym stali legioniści, gwarantowało, że pociski rzucone nawet z większej odległości zbiorą śmiertelne żniwo. Trzeba było zadać atakującym jak najwięcej strat, zanim pontyjska piechota dotrze na szczyt.

– Uwaga! Oszczepy! – rozległy się okrzyki, gdy wróg znajdował się w odległości około pięćdziesięciu kroków. – Mierzyć daleko!

Romulus zamknął lewe oko i skupił wzrok na brodatym peltaście, który znajdował się nieco bliżej niż reszta jego towarzyszy. Osłaniał się pomalowaną na biało owalną tarczą i wymachiwał nietypową, większą i dłuższą niż inne, bojową *rhomphaia*. Wojownik był tak wielki, że pewnie nie miał problemu ze zrobieniem z niej właściwego użytku. Romulus przypomniał sobie, ile problemów sprawił mu przeciwnik uzbrojony w taką broń w Aleksandrii. Łatwo przychodziło mu wyobrażenie sobie ran, jakie mogła powodować. Zacisnął mocno palce na *pilum*, odwiódł ramię i czekał na rozkaz.

Wszyscy wokół zastygli w takich samych pozach.

– Rzuuuuuc!! – oficerowie ryknęli zgodnym chórem.

Oszczepy poszybowały w powietrze ciemną chmurą metalu i drewna. Jako że za plecami stojących na ostrym stoku legionistów widać było tylko błękitne niebo, musiały w powietrzu wyglądać pięknie. Jednak piechota Farnakesa nie miała czasu na przyglądanie się temu zjawisku. Wrogowie biegli z opuszczonymi głowami, aby jak najszybciej dotrzeć na szczyt. Teraz już sprintem.

Romulus obserwował peltastę, w którego celował. *Uda mi się trafić?* Chwilę później, gdy ciężkie *pilum* wbiło się w klatkę piersiową mężczyzny, mógł wiwatować. Oczywiście nie miał pewności, że to

właśnie jego oszczep powalił wojownika, ale wierzył, że tak się właśnie stało. Fala oszczepów przypominała ławicę ryb, a wrogowie w większości biegli z opuszczonymi tarczami, co oznaczało, że każdy pocisk zabijał lub ranił jakiegoś przeciwnika. Było ich tak wielu, że kilkuset mniej nie robiło jednak wielkiej różnicy. Nawet wtedy, gdy spadła na nich druga seria *pila*, zebranych wśród tych, którzy jeszcze nie mieli okazji użyć oszczepów, w liniach atakujących pojawiło się tylko kilka słabych szczerb. Romulus spoglądał na nieprzebraną falę atakujących z niedowierzaniem i strachem. Teraz czas na walkę wręcz przy użyciu *gladii*, które dzierżyli w swoich dłoniach on i jego towarzysze. Mogli polegać tylko na ostrej stali. I osławionej rzymskiej waleczności.

Romulus zaczął uderzać płazem miecza o *scutum*.

Petroniusz wyszczerzył zęby i jął go naśladować. Inni legionieści uczynili to samo. Rytm uderzeń robił się coraz szybszy i szybszy, aż w końcu przemienił się w przerażający huk, który miał podnieść morale Rzymian i osłabić wolę walki armii pontyjskiej.

– Chodźcie, dranie! – krzyczał Romulus, który chciał jak najszybciej przejść od myśli do czynów. Miał dość niepewności. Dość wyczekiwania na nieuchronne. Nadszedł czas walki. Niech decyduje siła mięśni w starciach jeden na jednego.

Każdy centurion, który nie znajdował się na tyłach, kierując obroną przeciwko jeździe, teraz zajął miejsce w pierwszym szeregu. *Aquilifer* stał zaledwie dwadzieścia kroków od Romulusa i Petroniusza. Dzierżył w dłoniach tyczkę z zamocowanym na nim srebrnym orłem, najważniejszym insygnium legionu, symbolizującym odwagę i honor jednostki. Jako że obie ręce miał zajęte, *aquilifer* nie mógł się sam bronić. To oznaczało, że musiał polegać na znajdujących się w pobliżu legionistach, którzy walczyli dwa razy ciężiej. A mimo to wszyscy zawsze pragnęli stać jak najbliżej *aquila*. Utratę orła w bitwie uważano za największą hańbę dla jednostki, a legionieści gotowi byli do wszelkich poświęceń i bohaterskich czynów, aby temu zapobiec. Jeśli legat zdecydował się na przesunięcie orła bliżej pierwszej linii, oznaczało to, że nadchodziła godzina sądu, a ich sytuacja naprawdę była rozpaczliwa. Chociaż Romulus został zmuszony do przyłączenia się do Legionu

XXVIII, teraz jednak również gotów był przelać ostatnią kroplę krwi w obronie orła.

– Ciasny szyk! – ryknęli oficerowie. – Pierwsze szeregi łączyć tarcze! Tylne szeregi tarcze w górę!

Legioniści zacieśnili linię tak, że ich ramiona prawie się o siebie ocierały. Robili to tak wiele razy – na manewrach i w czasie niezliczonych bitew. Te ruchy stały się dla nich naturalne. Klang! Klang! Klang! *Scuta* zbijane w jeden lity mur tarcz trzaskały metalicznie. Ten odgłos wywoływał pocieszające skojarzenia i budził nadzieję. Teraz byli chronieni z przodu, a towarzysze dbali o odpowiednie zabezpieczenie ich głów. Z przodu przed murem wystawały tylko ostrza ich *gladii*. Uniesione tarcze sprawiały, że również tylne szeregi były zabezpieczone przed pociskami wroga.

Pontyjska piechota znalazła się już naprawdę bardzo blisko. Nadszedł wreszcie czas, aby użyli swoich lekkich włóczni i oszczepów. Rzucane na oślep wrogie pociski wypełniły powietrze znajomym furkotem. Dzięki budowie rzymskich tarcz niewiele z nich przedarło się przez ścianę i dosięgło legionistów. Jednak *scuta* wyglądały teraz jak naszpikowane kolcami jeże, a długie drzewce unieruchomione w tarczy utrudniało ich sprawne używanie. Żołnierze w ostatniej chwili próbowali jeszcze gorączkowo usuwać te „kolce”, ale na wszelkie bardziej zorganizowane próby było już za późno. Fala atakujących rozbiła się na murze tarcz z przerażającym hukiem.

Od tej chwili świat Romulusa skurczył się do rozmiarów przestrzeni bezpośrednio przed nim. Wszystko inne stawało się nieistotne. Teraz liczył się tylko on, Petroniusz i legioniści znajdujący się kilka kroków z lewej i z prawej. Pierwszym przeciwnikiem Romulusa był żyłasty, siwy peltasta z poszczerbioną *rhomphaia*. Mimo że musiał mieć ze czterdzieści lat, mięśnie na jego mocno opalonych ramionach i nogach przypominały napięte, twarde włókna sznura. Szczerzący zęby weteran, osłonięty swoją tarczą, wpadł z impetem na *scutum* Romulusa, próbując pozbawić go równowagi. A ponieważ Romulus mocno zaparł się lewą nogą tuż za tarczą, wytrzymał uderzenie bez większego problemu. *Głupie posunięcie. Jestem od ciebie co najmniej o połowę cięższy.*

Okazało się jednak, że peltasta miał zupełnie inny plan.

Gdy tylko zwarli się i zaczęli przepychać tarczami, *rhomphaia* doświadczonego wojownika pontyjskiego zamigotała nad krawędzią *scutum*. Zakrzywione ostrze trafiło w brązowy hełm Romulusa. Bez trudu rozplątało go na dwie części. I weszło głębiej. Siła uderzenia sprawiła, że Romulus zobaczył gwiazdy. Zachwiał się i poczuł, że ma miękkie nogi. Peltasta ze wściekłym grymasem pociągnął za stylisko, aby uwolnić swój oręż, ten bowiem utknął między dwoma krawędziami rozchlastanego hełmu. Na szczęście dla Romulusa nie było to wcale łatwe. Na wpół oszołomiony z bólu wiedział, że musi działać szybko albo kolejny cios przeciwnika sprawi, że jego mózg rozprysnie się na twardej ziemi u jego stóp. Instynkt kazał mu opaść na kolana, pociągając tym samym broń peltasty ponad krawędzią *scutum* i z dala od przeciwnika, który musiałby wyciągnąć daleko ręce, żeby utrzymać uchwyt na stylisku. Głośne przekleństwo utwierdziło go w przekonaniu, że zastosowana taktyka okazała się skuteczna.

Co ważniejsze jednak, Romulus miał teraz dobry widok na niechronione łydki przeciwnika. Gladius wystrzelił do przodu poniżej krawędzi lekko uniesionej tarczy, przecinając ścięgno w lewym kolanie wroga. Cios nie był śmiertelny, ale wcale takowym być nie musiał. Żaden człowiek z takim urazem nie potrafiłby ustać na nogach. Peltasta krzyknął głośno i zrezygnował z prób uwolnienia *rhomphaia* akurat w chwili, gdy ostrze wreszcie wyszło z hełmu Romulusa. Mężczyzna upadł niezgrabnie na ziemię, lądując na boku. Miał na tyle przytomności umysłu, żeby utrzymać tarczę w ręce, którą ciągle jeszcze się osłaniał. Szybko sięgnął po krótki sztylet wiszący u pasa, po czym zaatakował rękę Romulusa, w której trzymał gladius.

Wszystko działo się teraz jakby w zwolnionym tempie. Romulus odchylił się na kolanach do tyłu. *On nie jest żółtodziobem* – pomyślał oszołomiony. Krew z rany na głowie spływała mu na czoło, zalewając oczy, co utrudniało właściwą ocenę sytuacji. Ranny peltasta znów zamachnął się sztyletem, ale na szczęście i tym razem nie trafił. *Żadna pocięcha. Za chwilę ktoś inny wskoczy w lukę między nami i będzie po wszystkim. Muszę wstać!* Romulus zmusił się do nieludzkiego wysiłku i uniósł się na nogi, zasłaniając jednocześnie mieczem i *scutum*.

Zdesperowany przeciwnik musiał podjąć ostatnią próbę wyeliminowania go z walki, atakując teraz tak, żeby przebić nogę.

Zebrawszy wszystkie siły, Romulus przydeptał rękę peltasty stopą w podkutym sandale. Wbił ją w ziemię i usłyszał suchy trzask pękającej kości, która nie wytrzymała konfrontacji z twardą skałą. Mężczyzna zawył z bólu. Upuścił sztylet i tarczę. Teraz był całkowicie bezbronny. Romulus zrobił krok w przód, po czym wbił ostrze gladiusa w szyję nieprzyjaciela, czując, jak przechodzi przez chrząstki jego tchawicy. Krzyk peltasty urwał się gwałtownie, a jego ciałem zaczęły wstrząsać śmiertelne drgawki. Gdy wyciągnął miecz z rany, tryskająca obficie krew zrosiła jego *scutum* szkarłatną mozaiką.

Romulus intuicyjnie uniósł głowę, żeby zlokalizować następnego przeciwnika. Mimo to wiedział, że jego szanse pozostania przy życiu w najbliższych kilku chwilach zależą niemal wyłącznie od szczęścia i łaskawości bogów. Po ciosie w głowę wciąż czuł się oszołomiony i nie był w stanie walczyć z jakimkolwiek znajdującym się na rzeczy przeciwnikiem. Na szczęście krzepki peltasta, który pojawił się w jego polu widzenia, skacząc nad zwłokami swojego towarzysza, potknął się w swojej zapalczywości i wylądował w płataninie kończyn u stóp Romulusa. Tym razem Romulus nie musiał się wysilać. Jednym ruchem zagłębił gladius w bok mężczyzny pomiędzy dolnymi żebrami. Brennus powiedział mu kiedyś: „To dobry sposób odbierania życia. Od razu eliminuje z walki. To także śmiertelny cios. Bo widzisz, uszkodzasz wątrobę. Dochodzi do utraty dużej ilości krwi, co szybko doprowadza do zgonu”. Romulus nigdy nie miał okazji zadania takiego ciosu. Aż do teraz. Przepelniła go wdzięczność za to, czego nauczył go wielki Gal. Bez niego nie przeżyłby miesiąca jako gladiator. A rady Brennusa wciąż okazywały się przydatne.

Usłyszał głos Petroniusza dochodzący do niego jak z gęstej mgły.

– Takie rozkojarzenie szybko przyniesie ci zgubę, chłopcze.

Romulus usiłował zlokalizować źródło dźwięku.

– Co?

Petroniusz zbladł na widok rozbitego hełmu i krwi na twarzy Romulusa.

– Co z tobą? Wszystko w porządku?

– Nie wiem... – wymamrotał Romulus. – Głowa boli mnie jak cholera...

Petroniusz rozejrzył się po polu walki. Jak to się czasem zdarza, akurat na ich odcinku przeciwnicy zostali na chwilę odrzuceni tak, że powstała wąska przestrzeń oddzielająca obie strony. Chyba bogowie zesłali im chwilę wytchnienia. Wrogowie na razie tylko mierzyli się wzrokiem, korzystając z okazji, by wyrównać oddech, zanim znów rzucą się sobie do gardeł.

– Szybko! Zdejmij ten hełm. W dwóch kawałkach i tak do niczego ci się nie przyda.

Romulus zacisnął zęby i pozwolił, żeby przyjaciel pomógł mu w poradzeniu sobie z paskiem na brodzie, usuwając poharataną osłonę głowy. Zdenerwowany czekał, aż Petroniusz zbada jego ranę – trzeba powiedzieć, że niezbyt delikatnie – palcami i wyda werdykt. Z trudem opanował się, żeby nie krzyczeć przy tym z bólu.

– To tylko powierzchowna rana – zawyrokował w końcu Petroniusz. Zdjął z prawego nadgarstka nasączoną potem chustę, którą obwiązał dwukrotnie głowę Romulusa. – Na razie będzie musiało wystarczyć. Potem zobaczy to lekarz.

Romulus zaśmiał się w duchu, uświadamiając sobie absurdalność tej sytuacji. Starł krew z czoła. Wróg miał tak wielką przewagę liczebną, że myśl o tym, iż ktokolwiek jeszcze zajmie się później jego raną, wydawała się niedorzeczna. Stosunek sił w piechocie wynosił więcej niż dziesięć do jednego, abstrahując od tego, co działo się za ich plecami... Dochodzący stamtąd grzmot końskich kopyt był tak głośny, że jazda pontyjska musiała właśnie ruszyć do kolejnej szarży. Kapadocjanom udało się wgryźć w linię nieszczęsnych żołnierzy Legionu XXVIII na prawym skrzydle. Wkrótce ten fragment muru tarcz musi się rozpaść i to będzie koniec. Już niedługo.

Petroniusz od razu zrozumiał, skąd u Romulusa ten wybuch wisielczej radości. Uśmiechnął się.

– Jesteśmy w dupie.

– Zgadzam się. Ale spójrz tam! – Romulus uniósł rękę.

Petroniusz przez chwilę nie rozumiał, o co mu chodzi. Po chwili jednak pojął, co pokazuje mu towarzysz.

– *Aquila* nadal jest w naszych rękach – ryknął z dumą.

Legioniści zerkali za plecy, chętnie chwytając się każdego symbolu dającego chociaż cień nadziei. W pobliżu po ich prawej stronie insygnium Legionu XXVIII uniosło się wyżej w powietrze. Umierający *aquilifer* już miał wypuścić drzewce z rąk, gdy przejął je zwykły legionista, który wykrzykiwał teraz do swoich towarzyszy słowa zachęty. Fale pontyjskiej piechoty nacierały na rzymską linię w szaleńczym wysiłku przelewania się przez mur i pochwycenia orła w swoje ręce. Każdy najemnik pragnął zyskać sobie w ten sposób wieczną chwałę. Nic z tego. Towarzysze nowego chorążego mieli ręce unurzane we krwi po łokcie. Twardo bronili insygnium. Dźgając i kłując wokół niczym opętani, uśmiercali wszystkich śmiałków, którzy znaleźli się w pobliżu orła.

– Nie możemy się jeszcze poddać! Prawda, chłopcy? – wykrzyknął pewnie Romulus.

– Mars nigdy by nam tego nie wybaczył – ogłosił niewysoki legionista z paskudną raną na prawym ramieniu. – Bramy Elizjum otwierają się tylko przed tymi, którzy na to zasłużą.

– Racja! – zawołał Petroniusz. – Co powiedzieliby nasi polegli towarzysze? Mamy się poddać, chociaż *aquila* wciąż znajduje się w naszych rękach?

Romulus zmrużył oczy przed blaskiem promieni słonecznych, które figlowały na rozpostartych skrzydłach orła trzymającego w szponach złotą błyskawicę. Obrazy Brennusa umierającego na brzegu Hydaspesu ciążyły mu na sercu. On i Tarkwiniusz uciekli z pola walki, mimo że orzeł wciąż jeszcze nie upadł. Nigdy więcej.

– Naprzód! – ryknął, czując, że czaszka pulsuje mu bólem. – Za Rzym i za zwycięstwo! – Uniósł *scutum* i rzucił się do szaleńczego kontrataku.

Petroniusz był tylko krok za nim.

– *Roma victrix!* – wykrzyczał.

Te słowa rozpały do białości mężnych towarzyszy, którzy ruszyli za nimi.

Pontyjscy wojownicy nie ulękli się jednak kilkunastu szalonych Rzymian, którzy chcieli popełnić samobójstwo, gdy klęska ich legionu

była nieunikniona. Oni również pragnęli jak najszybciej zakończyć to starcie, dlatego ruszyli im na spotkanie przy akompaniamencie własnych okrzyków bojowych, wydobywających się z zachrypniętych gardeł.

Romulus próbował skupić wzrok na jedynym przeciwniku, którego przynajmniej widział wyraźnie na tle rozmazanej plamy. Był to wielki peltasta z obitą brązem tarczą, ozdobioną twarzą jakiegoś demona. Stworzenie to miało skośne oczy, a wielka paszcza zastygła w grymasie, który mógł być złośliwym uśmiechem. Obiecywała szybką ścieżkę do Elizjum. Nie liczył nawet, że pokona ogromnego mężczyznę, który dźwigał tak ozdobioną tarczę. Romulus wiedział, że w tym stanie fizycznym nie ma z nim szans. *Niech się stanie. Nie będę już musiał się wstydzić, gdy znów spotkam Brennusa. Mam zamiar umrzeć z mieczem w ręku, uderzając na wroga, żeby ze wszystkich sił bronić orła.*

Od śmierci dzieliło go dziesięć kroków. Pięć.

Wielki peltasta uniósł *rhomphaia* w oczekiwaniu na uderzenie.

I w tym momencie Romulus usłyszał dźwięk, który nigdy wcześniej nie wydawał mu się miłszy dla ucha. *Bucinae* zagrały rozkaz ataku. Raz za razem. I znowu! Powietrze wypełniły dźwięki, które bez problemu rozpoznawali wszyscy legioniści.

Cezar przybył z odsieczą!

Zmiana sytuacji na polu walki sprawiła, że wojownicy wroga zwolnili i teraz rozglądali się niespokojnie. Zastanawiali się, gdzie posłane zostaną rzymskie jednostki. Olbrzym przed Romulusem wpatrywał się w prawe skrzydło, tam gdzie Legion XXVIII ugiął się już pod ciężarem uderzenia dzikich Kapadocjan. Na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia. Romulus zaryzykował spojrzenie przez ramię. Ku swojemu zdumieniu ujrzał Legion VI, rozwijający się do wsparcia zagrożonego skrzydła. Po stratach odniesionych podczas wieloletniej kampanii w Galii, a ostatnio także w Egipcie, jego stan liczebny wynosił nie więcej niż dziewięćset legionistów. Ale ci ludzie znaleźli się we właściwym czasie we właściwym miejscu i właśnie atakowali pontyjską piechotę tak, jakby było ich co najmniej dziesięć razy więcej.

Robili to, bo wierzyli w Cezara.

Romulus po raz kolejny poczuł przepelniającą go żelazną determinację. Wpatrywał się w ogromnego peltastę, szukając jego

słabych punktów. Był ranny, nie miał hełmu i był niższy od przeciwnika. Jakie miał szanse wyjść cało z tego starcia? Zerowe. Gdy robił ostatnie kroki z uniesioną wysoko tarczą i gladiusem gotowym do zadania ciosu, żółć wypełniła jego gardło. *I cóż z tego, że na polu bitwy pojawiła się reszta sił Cezara? Mnie i tak zabierze Charon.*

I wtedy zza jego pleców nadleciał kamień wielkości pięści. Gwizdnął mu nad głową tuż obok ucha i trafił peltastę prosto między oczy. Ciężki pocisk rozbił czaszkę mężczyzny niczym dojrzały owoc, a siła uderzenia była tak wielka, że jego ciało pofrunęło do tyłu, jakby był dziecięcą lalką. Mózg peltasty eksplodował w szarej fontannie, spryskując jego towarzyszy po obu stronach. Ich twarze zastygły w wyrazie szoku i przerażenia. Kamień mignął tak szybko, że mogło się wydawać, iż to Romulus w jakiś magiczny sposób rozplątał czaszkę ich ogromnego towarzysza.

I wtedy na szeregi przeciwników spadła cała lawina kolejnych pocisków. Podczas gdy Legion XXVIII walczył o życie, z obozu wyprowadzono *ballistae*, które zajęły pozycje poza wałami. Cezar podjął wielkie ryzyko, rozkazując ostrzał zbitej masy nieprzyjaciół znajdujących się bardzo blisko legionistów, gdyż kamienie mogły trafiać w jego ludzi. To była zuchwała taktyka, która jednak opłaciła się z nawiązką. Dwadzieścia cztery balisty strzelały z odległości nie większej niż dwieście kroków, siejąc spustoszenie w szeregach atakujących. Każdy kamień przynosił śmierć lub zadawał rany, okaleczając wielu wrogów, gdyż dzięki dużej prędkości i impetowi często przedzierał się przez kilka szeregów. Zdumieni pontyjscy żołnierze wydali jeden przeciągły jęk, z którego przebijały przerażenie i konsternacja.

Romulus z trudem uwierzył w swoje szczęście. Był przekonany, że właśnie nadeszła chwila pożegnania się z życiem, ale pojawienie się oddziałów prowadzonych przez Cezara sprawiło, że wszystko się zmieniło. Z nową energią przeskoczył ciało peltasty, uderzając umbem w twarz jakiegoś zaskoczonego wojownika z haczykowatym nosem. Usłyszał stłumiony trzask, gdy pękła chrząstka. Mężczyzna zwałił się na ziemię. Wrzeszczał wniebogłosy, przykrywając dłońmi twarz z rozbitym nosem. Romulus, przekraczając go, przygniótł jeszcze jego twarz stopą do ziemi, po czym obrócił się w stronę następnego wroga.

Po jednej stronie Petroniusz uśmiercił kolejnego z towarzyszy wielkiego peltasty trafionego kamieniem i właśnie parował ciosy następnego. Po drugiej – legionista ze stalowymi niebieskimi oczyma w zimnym zapamiętaniu siekł na prawo i lewo, obalając kolejnych, wyglądających na nieco oszołomionych, *thureophoros*.

Instykt podpowiadał mu, żeby jak najszybciej uderzyć na zdeorientowanych wrogów. Kilka uderzeń serca później na nieprzyjaciół opadła następna salwa kamieni z balist. Tym razem jednak pociski kierowane były w środek pontyjskiej formacji. Wiedząc, że przybyły rzymskie posiłki, żołnierze Farnakesa nie mogli w żaden sposób zareagować. Po prostu umierali w tym śmiertelnym deszczu. Strach wytrzeszczył na nich swoje wielkie oczy, a oni, spanikowani, zaczęli oglądać się za siebie.

Romulus widział te same emocje na twarzach najbliższych peltastów i *thureophoroi*. Jeszcze chwilę wcześniej wydawało się, że wynik tego starcia może być tylko jeden. Unicestwienie Legionu XXVIII wydawało się kwestią czasu. Teraz jednak sytuacja zmieniła się diametralnie. Trzeba było wykorzystać ten moment!

– Do ataku! Te skurwysyny zaraz pójdą w rozsypkę! – wykrzyczał na cały głos.

Słyszając jego wołanie, najbliżsi legioniści zdwoili wysiłki. Za nimi, choć Romulus i jego towarzysze nie mogli tego wiedzieć, pontyjska jazda rozpoczęła odwrót, aby uniknąć otoczenia. Centurioni dowodzący obroną okrężną mogli rozkazać w tył zwrot. Zmęczeni legioniści z tylnych szeregów pędzili teraz ile sił w nogach w dół zbocza, żeby dołączyć do towarzyszy z pierwszej linii.

Tuż za nimi sunęły trzy legiony, prowadzone osobiście przez Cezara.

Tego było za wiele dla pontyjskiej piechoty, która nie była w stanie zrobić już ani kroku więcej pod górę. A po chwili uderzyli na nich ponurzy, bezwzględni weterani z elitarnego legionu. Gdy morale rosło, Rzymianie w pełni wykorzystywali przewagę wysokości, atakując na całej linii z mocą taranów, w które zmieniły się ich tarcze. Wielu wrogów pod wpływem impetu uderzenia traciło równowagę i zwałało się plecami na ziemię. Nawet Kapadocjanie, którzy byli tak blisko

przechylenia szali zwycięstwa na korzyść Farnakesa, dali się zaskoczyć gwałtownością ataku Legionu VI.

Na całej długości formacji męstwo żołnierzy pontyjskich wyparowało, zastąpione przerażeniem.

Romulus widział to i czuł zmianę atmosfery. To był moment, w którym decydują się losy starcia. Na miejsce strachu pojawiło się uniesienie. A ból głowy stał się tylko elementem tła, odsunięty w cień przez adrenalinę bitewnego szału. Jedno uderzenie serca, a wszystko może się zmienić. W ekstazie obserwował, jak spanikowani peltaści i *thureophoroi* zawracają i umykają. Odrzuciwszy broń i tarcze, przepychali się teraz jeden przez drugiego w zapale, którego motorem napędowym był wyłącznie czysty, dziki, pierwotny strach. Chcieli tylko znaleźć się jak najdalej od błyskających mściwych mieczów legionistów Cezara.

Nikt nie dawał pardonu. Niewiele rzeczy na polu walki jest łatwiejsze niż pogoń z górki za uciekającym przeciwnikiem. Wszystko sprowadzało się po prostu do utrzymania tempa. Tysiące ludzi próbowały uciekać w tym samym czasie i nikt nie mógł ich już powstrzymać. *Kto zresztą chciałby zatrzymać się i walczyć, gdy nie robi tego żaden z towarzyszy?* A jednocześnie właśnie ta pierwotna potrzeba ucieczki przed niebezpieczeństwem stała się przyczyną zguby. Zabijanie uchodzących wrogów było teraz tak proste, jak strącanie cytryn z drzewa. Zdyscyplinowani jak nikt inny legioniści z zapamiętaniem ścigali swoich przeciwników i kładli ich pokotem, zachowując przy tym szyk i efektywność sławnej na cały świat ciężkiej piechoty. Umierali setkami.

Przeciwnicy padali pod ciosami w nieosłonięte plecy lub w wyniku przeciętych ścięgien. Legionistom, którzy szli w kolejnych szeregach, wystarczyły wtedy tylko proste pchnięcia *gladii*. Jednak wielka liczba zabitych nie brała się wyłącznie ze sprawności śmiertelnie skutecznych maszyn do uśmiercania, jakimi były legiony. Całe mnóstwo ludzi przewracało się na stromym zboczu, potykało na kępkach trawy czy przez luźne paski sandałów. Gdy upadli, nie mieli szans na podniesienie się. Uciekający towarzysze po prostu ich tratowali, wdeptując w ziemię. Strach był tak przejmujący, że uciekający tracili rozsądek i rozum.

Pontyjscy żołnierze potrafili tylko zapamiętane gnać przed siebie. Byle szybciej. Byle dalej.

Rzeź nie skończyła się nawet wtedy, gdy dotarli do doliny. Romulus patrzył z przerażeniem, jak na brzegu strumienia dziesiątki wojowników – ci, którzy zwolnili w biegu – lądowało w wodzie, tracąc równowagę przez napierających na nich towarzyszy. Wpadali do strumienia, popychani i tratowani przez tych, którzy próbowali jak najszybciej dotrzeć na drugi brzeg. Brodzący po uda w czerwonej od krwi wodzie legionieści zabijali podtopionych z taką łatwością, jak zabija się insekty, po wyprowadzanych jakby od niechcienia ciosach mieczami, a nawet tarczami. Armia Farnakesa nie była już zdolna do stawiania jakiegokolwiek oporu. Wszyscy jego żołnierze ulegli ślepej panice. Pomimo wszystko tysiącom pontyjskich wojowników udało się przebrnąć przez przeszkodę wodną. Ruszyli pod górę ku złudnemu bezpieczeństwu, jakie dawały umocnienia obozu.

Wkrótce na drugim brzegu znalazła się jednak również duża część rzymskich oddziałów. W reakcji na spokojne rozkazy centurionów legionieści przegrupowali się, odbudowali szyki i ruszyli czym prędzej w stronę obozu Farnakesa. Uciekający z przerażeniem stwierdzili, że ich przeciwnicy nie zatrzymali się u podnóża wzniesienia.

Romulus rzucił okiem na trębaczy, którzy wspinali się na przeciwległe zbocze razem z innymi. Czy usłyszeli sygnał do odwrotu? Przecież bitwa została wygrana. Tymczasem *bucinae* milczały. A zatem nie było zgody na zaprzestanie pościgu.

– Dalej! Naprzód! – krzyczeli centurionowie. – Na górę! Trzeba zająć ich pozycję!

Romulus i Petroniusz, wciąż przepełnieni bojowym zapalem, ruszyli razem ze wzbierającą falą rzymskich oddziałów, bezlitośnie ścigających pokonanych wrogów.

Po zaledwie czterech godzinach z okładem od rozpoczęcia bitwy było po wszystkim. Ściganym aż po ich własne fortyfikacje siłom pontyjskim nie dano szansy na przegrupowanie. Po krótkim i wściekłym starciu wały zostały wzięte szturmem, a bramy rozbite. Do obozu wlały się tysiące żądnych krwi i łupów legionistów. Król Farnakes ledwo uniósł cało głowę. Uciekł z grupą kilku jeźdźców i to tylko dlatego, że

zwycięscy żołnierze rzymscy zajęli się plądrowaniem obozu.

Chociaż Farnakes przeżył, to i tak nie ma to znaczenia – myślał Romulus, stojący obok Petroniusza i podziwiający widok, jaki rozciągał się z pontyjskiego obozu na zaścieloną ciałami dolinę. Oba zbocza obsypane były martwymi i umierającymi żołnierzami wroga. Rzymianie też ponieśli straty, ale zamknęły się one zapewne w ułamku ogólnej liczby ofiar. Ci z wrogów, którzy przeżyli tę rzeź, trafili do niewoli. Romulus spojrzął w górę na czyste, błękitne niebo i wielkie słońce, które wydawało się wypełniać je żarem. Zupełnie niedawno słońce znajdowało się w zenicie. Było wczesne popołudnie! Jakże szybko kapryśni bogowie zmienili zdanie w kwestii tego, kogo chcą wspierać w niedawnych zmaganiach! Dzisiaj najwyraźniej jednak cały panteon kibicował Cezarowi i jego armii. Romulus pochylił głowę w niemym uwielbieniu. *Dziękuję ci, Mitro, Sol Invictus. Dziękuję, Jowiszu i Marsie.*

– Co za poranek... – odezwał się Petroniusz. Cała jego twarz, ramiona i gladius pokryte były skrzepami krwi. – Kto by pomyślał, że uda nam się to przeżyć!

Romulus skinął tylko głową, niezdolny do wydania z siebie głosu. Gdy opadł poziom adrenaliny we krwi, ból głowy z powodu rany powrócił ze zdwojoną siłą. Stawał się nie do zniesienia. Romulus kołysał się z boku na bok, jakby po kilku głębszych.

Petroniusz dostrzegł, że dzieje się z nim coś niedobrego.

– Oprzyj się na mnie, chłopaku. Idziemy do strumienia. Trochę się obmyjesz, a potem znajdziemy jakiegoś łapiducha. Przyda się jakiś umięjący szyc.

Romulus nie zamierzał się spierać. Był po prostu wdzięczny Petroniuszowi za pomoc. W pobliżu nie było nikogo z ich centurii. Nic dziwnego, bo podczas szaleńczej pogoni za wrogiem wiele jednostek się przemieszało. Na razie nie miało to żadnego znaczenia. Bitwa dobiegła końca, a kohorty zbiorą się i tak pod namiotami w obozie.

Schodzili długo i powoli ze wzgórza, ale wreszcie znaleźli się w dolince z rzeczką, która została niemal zatkana setkami trupów. Ruszyli w górę strumienia, aby dotrzeć do miejsca, w którym woda nie została jeszcze zanieczyszczona. Tam rozebrali się do naga i wgramolili do wody. Wielu legionistów robiło to samo, chcąc zmyć z ciał pot, brud i

posokę. Słaby i niepewny Romulus trzymał się płytkiej wody. Pozwolił Petroniuszowi oczyścić ranę na głowie. Zimna woda złagodziła trochę ból, ale wciąż nie czuł się najlepiej. Nie widział dobrze i chociaż Petroniusz znajdował się tuż obok niego, jego głos zbliżał się i oddalał, jakby męczyzna obchodził go dookoła.

– Lepiej szybko znajźmy jakiegoś medyka – mruknął Petroniusz, pomagając Romulusowi dotrzeć do brzegu. – Będiesz teraz potrzebował długiego snu.

Romulus uśmiechnął się słabo.

– Najpierw chętnie wypiję kilka kubków wina.

– Znajdzie się też jakiś bukłak – odpowiedział Petroniusz, który nie był w stanie ukryć niepokoju w oczach. – Dobry chłopak.

– Wystarczy mi kilka dni – zaprotestował Romulus, sięgając po tunikę.

– To dopiero ikra! – Romulus usłyszał nieznany głos. – Legioniści Cezara to twarde skurczybyki!

– Zwłaszcza ci z szóstego! – zawołał ktoś inny, a jego zawołanie zostało skwitowane głośnym wiwatem wielu gardeł.

Odwrócili się. Nad brzeg strumienia zdążyła kolejna grupa legionistów, którzy chcieli zmyć z siebie brud bitwy. Romulus nie rozpoznał żadnego z nich. Pancerze ze śladami rdzy, porysowane, popękane kolczugi i ostrza mieczy z wyraźnymi wrębami, a także swobodny styl bycia lub wręcz arogancja. Większość z nich odniosła jakieś obrażenia, ale żaden żołnierz nie został poważnie ranny. To prawdopodobnie oni uderzyli jako pierwsi na Kapadocjan, którzy o mały włos nie rozbiliby prawej flanki Legionu XXVIII. Ci ludzie byli weteranami z Legionu VI.

Ich liderem był mocno zbudowany brutal o ciemnych włosach. Na jego torsie osłoniętym napierśnikiem wisiało kilka brązowych i srebrnych *phalerae*. Podszedł bliżej i dłuższy czas przyglądał się krytycznie długiej, otwartej ranie na głowie Romulusa.

– Niechybnie to *rhomphaia*. Dałeś się zaskoczyć, co?

Zawstydzony Romulus skinął głową.

Żołnierz poklepał go po ramieniu.

– Ale przeżyłeś! I pewnie zarabiałeś śmiecia, który ci to zrobił.

Tak?

– Tak – Romulus oświadczył z dumą.

– I już nigdy ci się nic takiego nie przytrafi – odezwał się jego kompan. – Dobrzy legionieści szybko się uczą. A mogę powiedzieć, że jesteś jednym z nich. Tak jak my.

Przybysze pokiwali z akceptacją głowami, a Romulus czuł, że rośnie z dumy. Oto najlepsi ludzie Cezara uznali go za jednego ze swoich.

– Byłeś wcześniej ranny, jak widzę – odezwał się ponownie krzepki legionista, wskazując grubym palcem purpurową bliznę na prawym udzie Romulusa. – Gdzie się tego dorobiłeś?

Zmęczony i ranny Romulus nie myślał jasno.

– Pamiętka po Gocie... – odpowiedział zgodnie z prawdą. Nie widział zaskoczenia rysującego się na twarzy Petroniusza.

Ciemnowłosy żołnierz zamarł.

– To z którego legionu jesteście, chłopcy?

– Z dwudziestego ósmego – odpowiedział Petroniusz ostrożnie, wyczuwając niebezpieczeństwo. Zaczął odciągać Romulusa. Wolał nie wdawać się w dalsze dyskusje.

– Stójcie! – to był rozkaz, nie prośba.

Petroniusz zatrzymał się, ale starał się unikać kontaktu wzrokowego z weteranami.

– Legion XXVIII nigdy nie walczył w Galii. Ani w Germanii.

– Nie... – Romulus wiedział już co nieco o historii swojej jednostki i odpowiedział bez wahania, choć nie miał pojęcia, w jakim kierunku to wszystko zmierza. – Nie walczył.

– No to gdzie, do cholery, miałeś okazję stawać z jakimś Gotem? – jego rozmówca zapytał groźnie.

Romulus wpatrywał się w legionistę, jakby rozmawiał z małym dzieckiem.

– W *ludus*.

Na twarzy wielkiego legionisty mieszały się zaskoczenie i oburzenie.

– Co powiedziałeś?

Romulus spojrzał na Petroniusza, który wyglądał na równie

oszołomionego. Wreszcie, gdy zrozumiał, co powiedział, jego ręka powędrowała do pasa, szukając gladiusa. Nie znalazła. Nadal był nagi, a jego broń leżała na wierzchu stosu ubrań kilka kroków dalej.

– Nie wierzę... – warknął żołnierz, unosząc zakrwawiony miecz. – Niewolnik w Legionie XXVIII? Nie możemy chyba tak tego zostawić? Jak myślicie, chłopaki?

Kamraci wielkiego legionisty zareagowali okrzykami oburzenia. Otoczyli Romulusa ze wszystkich stron, unieruchamiając jego ramiona. Był za słaby, aby się opierać. A gdy Petroniusz próbował interweniować, posypał się na niego grad ciosów i kopnięć.

Wreszcie do porażonego bólem chłopaka zaczęło docierać, że napytał sobie biedy.

Następne słowa czarnowłosego legionisty były tego dowodem.

– Sądzę, że powinniśmy zakończyć ten dzień miłym akcentem – zawołał. – Nie ma to jak oglądanie ukrzyżowania z bukłakiem zacnego wina w ręce.

Jego kompani zareagowali entuzjastycznym wiwatem.

Rozdział VII

Zauroczenie



Świątynia Orkusa, Rzym

Sekstus ryknął z bólu, gdy Scewola uwalniał ostrze miecza. Wciąż zaciskając palce na własnej broni, upadł bezwładnie na podłogę w korytarzu. Fabiola krzyknęła. Płaszcz i tunika mężczyzny już zaczerwieniły się od krwi. Wokół niego rozlewała się krwawa kałuża, wypełniając drobne przerwy pomiędzy kolorowymi kawałkami mozaiki. Nawet jeśli ta rana nie była śmiertelna, Sekstus umrze szybko w wyniku utraty krwi. Na razie Fabiola musiała jednak myśleć o sobie. Wysunęła z pochwy *pugio*, wyciągając rękę w stronę fugitivariusza. Broń w jej rękę wyglądała na dziecinną zabawkę.

– Nie zbliżaj się... – zniechęciła drżenie w swoim głosie.

– Co jest, suko? – Scewola odezwał się, przestępując rannego Sekstusa, który mógł tylko śledzić go wzrokiem. – Przybyłem tutaj prosić, żebym dostał cię w swoje ręce... I patrzcie! Orkus odpowiedział na moją modlitwę, jeszcze zanim opuściłem podwoje jego świątyni. – Rozciągnął usta w brzydkim uśmiechu, ukazując rząd ostrych, brązowych zębów. – Czy można chcieć czegoś więcej?

Fabiola milczała. Nie miała żadnych szans w starciu ze świetnie władającym mieczem wojownikiem takim jak Scewola, a na dodatek mogła bronić się tylko sztyletem. Czy powinna zostawić Sekstusa i rzucić się do ucieczki? Nie wiedząc, co czynić, zrobiła kilka kroków do tyłu. Gdyby udało się dotrzeć do przedsionka świątyni! Muszą tam być jacyś kapłani, kapłanki lub po prostu inni ludzie. Ktoś na pewno by jej

pomógł.

Wyczuwając, co zamierza zrobić Fabiola, Scewola ruszył za nią z gladiusem w wyprostowanej dłoni.

– Dlaczego nie biegniesz? – szydził. – Mogę ci nawet dać fory.

Jego wyraz twarzy sprawił, że Fabiolą wstrząsnął niekontrolowany dreszcz. Gdzie by nie poszła, *fugitivarius* zawsze zdawał się wyskakiwać zupełnie niespodziewanie zza jakiegoś rogu. Mogła tylko cofać się tyłem. Z szaleństwem w oczach spojrzała przez ramię. Od wielkich drzwi do przedsionka dzieliło ją co najmniej dwadzieścia kroków. Za daleko. Wpadła w rozpacz. *Co sobie myślałam? Prosiłam Orkusa o pomoc, a potem obraziłam jego kapłankę? To była zwykła głupota. I tak bóg mnie karze.* Jakby na zawołanie Scewola zamachnął się mieczem, celując w jej brzuch. Fabiola uskoczyła w bok. Ostrze minęło ją w odległości nie większej niż grubość palca. Mało brakowało, a zostałaby wypatroszona.

Rozgniewałam bogów i teraz za to zapłacę. Umrę w tym ciemnym korytarzu. Cezar nigdy nie rozliczy się ze swoich niecznych czynów. Nigdy nie zobaczę już Romulusa. Ta ostatnia myśl sprawiła jej najwięcej bólu. Zdrętwiała. *Pugio* wysunął się z jej sztywnych palców i uderzył ze stukotem o kafelki mozaiki.

Scewola znalazł się jeszcze bliżej.

– Najpierw cię przebiję... a potem wyniosę na zewnątrz – wyszeptał. – Co powiesz na propozycję ostatniego w swoim życiu pieprzenia? Akurat wtedy, gdy umierasz? Ty mała kurwo!

Fabiola bez słowa wpatrywała się w niego ciemnymi oczyma pełnymi smutku. Nie mogła wyobrazić sobie gorszej śmierci.

Fugitivarius cofnął rękę z mieczem.

– No to może już zaczniemy...

– Stać! – usłyszała pełen wzburzenia głos. – Co ma znaczyć to świętokradztwo?

Oboje obrócili się, szukając źródła dźwięku. Nad ciałem Sekstusa pochylała się Sabina z rękoma unurzanyymi we krwi. Wściekła.

– On to uczynił... – Fabiola wyjąkała, wskazując na Scewolę. – Zaatakował nas, gdy szliśmy korytarzem.

– Przysięgałem zabić tę kobietę – wyszczeekał *fugitivarius*. –

Przyszedłem tu, żeby się o to pomodlić. I oto sam Orkus sprawił, że wpadła w moje ręce – ze słów Scewoli biła pewność siebie i przekonanie o woli bogów.

– Jak śmiesz zakładać, że wiesz, czego chce Orkus?! – wrzasnęła Sabina, aż z jej ust pofrunęły drobinki śliny. – Tylko jego kapłani i kapłanki mogą mówić w jego imieniu. Gdy robi to ktoś inny, popełnia herezję.

Scewola przełknął ciężko ślinę.

Sabina wskazała go oskarżycielskim palcem.

– Przełałeś już krew w domu modlitwy. A to jest zabronione. Żeby Orkus mógł ci wybaczyć, będziesz musiał złożyć wielką ofiarę. A jeśli ten człowiek umrze – powiedziała, wskazując Sekstusa – spadnie na ciebie straszna kara, której nawet nie jesteś sobie w stanie teraz wyobrazić. Będziesz przeklęty na całą wieczność.

Scewola przeniósł wzrok na Fabiolę. W tym spojrzeniu czaiła się obietnica gwałtu i morderstwa.

Z trudem walczyła, żeby nie stracić kontroli nad pęcherzem moczowym.

– To samo czeka cię, jeśli zaatakujesz ją w tym świętym miejscu – syknęła Sabina, a w jej głosie brzmiało ostrzeżenie. – Dobrze się zastanów.

Scewola wzdrygnął się jakby wbrew sobie. Nawet mordercy żyli w świecie pełnym przesądów.

Krzyki Sabiny zwabiły paru kapłanów, którzy zbliżali się teraz od strony głównego korytarza. Kilku z nich aż jęknęło z przerażenia na widok zakrwawionego miecza skierowanego w stronę Fabioli.

– Powiadomcie *lictors*. Niech aresztują tego śmiecia – krzyknęła Sabina. – Ciężko ranił niewolnika i grozi zamordowaniem tej oto obywatelki i wiernej Orkusa.

Jeden z kapłanów popędził od razu do wyjścia, rzucając przez ramię przerażone spojrzenia. Pozostali zaszurali głośno nogami, nie bardzo wiedząc, co powinni zrobić. Byli ludźmi wiary i żaden z nich nie był ani uzbrojony, ani szkolony do walki z ludźmi takimi jak Scewola.

Niemniej jednak *fugitivarius* opuścił gladius.

– Znowu ci się upiekło... – splunął na Fabiolę z twarzą czerwoną z

wściekłości. – Ale przysięgam, że to ostatni raz. Od teraz lepiej pilnuj się w dzień i w nocy. Obiecuję, że zanim poderżnę ci gardło, spędzimy razem mile trochę czasu.

Uświadomiwszy sobie, że nie umrze jeszcze teraz, Fabiola nabrała odwagi.

– Wynoś się stąd – odparła głucho, głosem pozbawionym emocji. – Ty robaku...

Rozzłoszczony *fugitivarius* odchrząknął i splunął flegmą wprost na jej twarz. Potem z uniesionym groźnie mieczem wyminął kapłanów i ruszył w stronę drzwi. Onieśmieleni jego pewnością siebie mężczyźni nie próbowali go zatrzymać.

Fabiola wytarła plwocinę rękawem i czym prędzej podbiegła do Sekstusa. Sabina już zdążyła rozerwać jego tunikę, żeby zbadać obrażenia. Niewolnik wciąż obficie krwawił, ale nie to było najgorsze. Fabiola zagryzła wargę, aby powstrzymać drżenie ust. Ostrze gladiusa Scewoli przebiło prawą część brzucha ofiary, tuż nad kością krzyżową. Zagłębiwszy się daleko w ciało, ostry sztych uszkodził najważniejsze organy. Rana była śmiertelna i patrząc w oczy mężczyzny, Fabiola wiedziała, że Sekstus też o tym wie. Dławiła się smutkiem, nie mogąc wypowiedzieć ani słowa. To przez nią jej niewolnik leżał na tej podłodze i dogorywał! Pomyślała z goryczą, że powinna była zabrać ze sobą kilku legionistów Brutusa.

– Przepraszam, pani... – Sekstus odezwał się cicho. – W ogóle go nie zauważyłem. A potem było za późno.

– Przestań – krzyknęła, czując się jeszcze gorzej. – Nikt nie mógł przewidzieć, że Scewola pojawi się w takim miejscu. Teraz oszczędzaj siły i nic nie mów. Poślę po najlepszego medyka w Rzymie.

Sekstus się uśmiechnął pomimo przeszywającego bólu. Ten uśmiech ranił jej serce.

– Oszczędź te pieniądze, pani. Sam Eskulap nic tu nie poradzi – zatrząsł nim dreszcz. Po chwili Sekstus zebrał się jeszcze w sobie ostatkiem świadomości. – Ale mam prośbę...

Fabiola zwiesiła głowę, nie mogąc znieść jego szczerego, pełnego akceptacji wzroku.

– O co chodzi? – zapytała szeptem, mimo że знаła odpowiedź.

Pamiętała, o co prosił ją Sekstus w czasie walki, gdy wpadli w pierwszą zasadzkę zaplanowaną przez Scewolę. Zdawało się jej, że od tego czasu upłynęły wieki.

– Prosty grób wystarczy. Tylko nie pozwól, pani, aby zostawili moje ciało na Eskwilinie.

– Przysięgam – powiedziała Fabiola, pochylając się, żeby uściskać jego dłoń. Łzy zalewały jej oczy. – Zadbam też o tablicę. Najbardziej wierny niewolnik w Rzymie zasługuje na odpowiednie uhonorowanie.

– Dziękuję... – wymamrotał Sekstus, zamykając oczy.

Fabiola z całych sił próbowała nie poddać się przepelniającym ją emocjom. Przykryła Sekstusa swoim płaszczem. Jej wierny sługa był bliski śmierci, a Scewola nadal znajdował się na wolności. Chociaż groźba aresztowania przez *lictores* może sprawić, że zaszyje się gdzieś na kilka dni, okrutny *fugitivarius* zapewne nie zamierza się poddać i nie zrezygnuje z tego, co zaplanował. Wystarczyło tylko spojrzeć na Sekstusa, żeby wiedzieć, iż groźba Scewoli była prawdziwa. Na jej skórze pojawiła się gęsia skórka na myśl o tym, co może zrobić jej ten okrutnik. Z wielkim wysiłkiem wyparła te straszliwe obrazy ze swojej głowy. To wszystko mogło się już wydarzyć, tu, w tym korytarzu, ale Orkus uznał za stosowne wysłać swoją kapłankę na pomoc. Mogła czerpać z tego odrobinę otuchy.

– Zawdzięczam ci życie – zwróciła się do Sabiny. – Dziękuję. Sabina przesłała jej w odpowiedzi słaby uśmiech.

– To, co zrobił, było oburzające. Postąpiłabym tak samo w każdym przypadku – ton głosu kapłanki sprawił, że Fabiola poczuła się mała i niemile widziana. Dlaczego w Sabinie jest tyle złości? Nie miała pojęcia. Jednak bezduszna kapłanka była w tej chwili najmniejszym z jej zmartwień.

– Gdybyś mogła wysłać posłańca do mojego *domus*... Niech przyślą tu legionistów i lektykę, żebym mogła zabrać do siebie tego nieszczęśnika.

Sabina pokazała gestem jednemu z kapłanów, żeby się tym zajął.

– Powiedz mu tylko, gdzie ma się udać. Ja zajmę się przygotowaniem ceremonii rzucenia klątwy na tę podłą kreaturę, która cię zaatakowała. Powiedz mi, jakie on nosi imię?

– Scewola. – Przez jej ciało przeszedł dreszcz na myśl o tym, jakiej kary może zażądać ta młoda kapłanka od Orkusa. – Zajmuje się różnymi podejrzanymi sprawami. To *fugitivarius*.

– Rozumiem... – Sabina nie wydawała się zaskoczona. – Odwróciła się, by odejść, ale po chwili zatrzymała się w pół kroku. – A moja matka? Kiedy może mnie odwiedzić?

– Jutro – zapewniła ją Fabiola.

Na twarzy kapłanki pojawił się nieznaczny uśmiech zadowolenia.

Okazało się jednak, że Docilosa nie była w stanie pojawić się w świątyni Orkusa następnego dnia.

Fabiola wróciła do willi Brutusa w towarzystwie dwudziestu legionistów. Nieprzytomny Sekstus, niesiony w jej lektyce, błędził na krawędzi jawy i snu. Gdy tylko przeniesiono rannego do sypialni znajdującej się obok jej własnej i gdy wybrała kilku ludzi wyłącznie do opieki nad rannym, Fabiola udała się na poszukiwania Docilosy.

Znalazła ją w łóżku. Od razu zauważyła, że policzki Docilosy są podejrzenie czerwone, a ona cała bardzo rozpalona. Jej powierniczka była tak skołowaciała z gorączki, że ledwo ją rozpoznała. Dlatego postanowiła nie wspominać jej o spotkaniu z Sabiną. Uznała, że opowie jej o wszystkim dopiero wtedy, gdy Docilosa poczuje się lepiej i będzie mogła od razu odwiedzić tak długo niewidzianą córkę.

Gdy Brutus usłyszał, co się stało, był wstrząśnięty i nie mógł wyjść z oburzenia. Obawiając się jego reakcji, Fabiola nie wspomniała, że zaatakował ich właśnie *fugitivarius*. Fabiola chętnie podzieliłaby się z nim swoimi obawami i opowiedziałaby, jak boi się Scewoli, ale nie chciała ryzykować, że w konsekwencji Brutus nie zgodzi się na zakup Lupanaru. Wtedy nie miałyby już żadnych szans, żeby zrealizować swoje plany. Postanowiła jednak nie zatajać faktu, że *fugitivarius* znów pojawił się w Rzymie. Na razie powiedziała Brutusowi, że Sekstus został zraniony przez jakiegoś szaleńca, którego obezwładnili potem akolici. Uwierzył jej. Jak zawsze.

Brutus nie ukrywał jednak zaskoczenia, gdy Fabiola wyjawiała mu swoje plany zakupu Lupanaru. Niemniej jednak dzięki przeprowadzonemu przez Fabiolę ze znanstwem masażowi całego ciała Brutusa udało się jej go urobić i przekonać. Wyjaśniła mu, że prostytutki

będą świetnie nadawać się do wyciągania wszelkich informacji od klientów, dzięki czemu dowiedzą się, kto sympatyzuje z republikanami. Ten pomysł nawet bardzo spodobał się Brutusowi.

– Od czasu Farsali Cezar przyjął pod swoje skrzydła zbyt wielu drani przebranych w owcze skóry – powiedział groźnie Brutus. – Nie ufam żadnemu z nich.

A ja właśnie takich ludzi potrzebuję. Naturalnie nie zdradziła mu prawdziwych przesłanek swoich działań. Zasiała wcześniej ziarno wątpliwości w umyśle Brutusa. Przyjdzie czas, że zakiełkuje. A ona wykorzysta to we właściwym czasie. Tymczasem jednak pojawiła się dobra okazja, żeby wspomnieć o zaangażowaniu Scewoli. Brutus przeraził się na wieść, że *fugitivarius* znów pojawił się na scenie, odpowiadając za ochronę konkurencyjnego domu publicznego.

– Wyślę po prostu kilka oddziałów. Wyciągną go na ulicę i rozprawią się z nim raz na zawsze – ryknął rozzłoszczony. Uspokoił się dopiero, gdy Fabiola wyjawiała, że Scewola ma poparcie Marka Antoniusza. – Niech to szlag! – potarł zmęczone oczy. – Ten kutas Antoniusz nie będzie szczęśliwy, jeśli jeden z jego ludzi zostanie zabity przez moich legionistów. Przepraszam, kochanie, ale będziemy musieli wymyślić jakiś inny sposób.

Fabiola spodziewała się takiej reakcji. Zdecydowanie wolałaby prostsze rozwiązanie, ale jednocześnie czuła, że prędzej czy później znajdzie się metoda, aby pozbyć się Scewoli. Gdyby tylko wiedziała, że sama pozostanie przy życiu na tyle długo... Przeczuwała, że Brutus nie będzie chciał, aby jego legionści zajmowali się ochroną Lupanaru. Oczywiście Brutus zgodził się, żeby zatrudniła tylu najemników, ilu tylko uzna za stosowne.

– Nie chcę też, żebyś spędzała w Lupanarze za dużo czasu. Najbezpieczniejsza będziesz tutaj – powiedział chmurnie. – Uliczne rzezimieszki nie są tak dobrze wyszkoleni, jak zawodowi żołnierze.

Fabiola podziękowała Brutusowi długim pocałunkiem i kłamiąc bez zmrużenia oka, zapewniła go, że zrobi tak, jak sobie życzy. Brutus zajrzał najpierw do Sekstusa, a potem poszedł spać, zostawiając Fabiolę samą z myślami przy łóżku umierającego wiernego sługi w pokoju oświetlanym tylko migotliwym blaskiem lampy oliwnej.

Fabiola kazała podać Sekstusowi duże ilości *papaverum*, więc przez większość czasu jej ochroniarz był nieprzytomny. Jego twarz przybrała woskowszary kolor, który kojarzy się z bliskością śmierci. Czasami mężczyzna otwierał oczy i spoglądał w sufit pustym wzrokiem. Nie sądziła, żeby zdawał sobie sprawę z tego, co dzieje się wokół. Nie cierpiał, ale nic więcej nie mogła zrobić. Trzymając umierającego za pokrytą twardą skórą rękę – rzecz niesłychana i zupełnie dotąd obca Fabioli – analizowała swoją sytuację. Wyglądało na to, że naprawdę znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie.

Próba poradzenia sobie w tej sytuacji bez pełnego zaangażowania Brutusa wydawała się najzwyczajniej w świecie głupia. Miał rację, mówiąc, że ludzie wynajęci na ulicy nie będą równie sprawni w walce ani tak niezawodni jak legionieści. Fabiola mogła liczyć tylko na Benignusza i Wettiusza. A ponieważ Scewola miał do dyspozycji co najmniej kilkunastu rzeźmieszków, był naprawdę śmiertelnie niebezpiecznym wrogiem. Zamienienie Lupanaru w niezdobytą twierdzę było nierealne. To przecież z założenia miało być miejsce użytku publicznego. A to oznaczało, że gdy tylko pojawi się w budynku, nieprzerwanie będzie znajdować się w niebezpieczeństwie. Fabiola zacisnęła zęby. Od początku odrzucała myśl o rezygnacji z tej transakcji i teraz nie zamierza zmieniać zdania. Cezar zgwałcił jej matkę i próbował skrzywdzić także i ją. Gdzie indziej i w jaki inny sposób miałyby znaleźć ludzi gotowych zabić Cezara?

Sekstus zmarł w nocy. Odszedł akurat wtedy, gdy Fabiola na chwilę przysnęła na szezlongu obok jego łóżka. Gdy otworzyła oczy w zimnym świetle poranka i zobaczyła jego nieruchomą twarz, znów opadło ją poczucie winy, że nie towarzyszyła mu w ostatnich chwilach. Ze smutkiem pomyślała, że Sekstus wolał umrzeć tak, jak żył – w najbardziej skromny ze sposobów. Żałowała go. Bardzo go żałowała. W tamtych trudnych dniach walczyli ramię w ramię o życie. Później jednooki niewolnik wspierał ją w każdych okolicznościach. W najbliższych tygodniach Fabioli będzie brakować jego umiejętności. Przypomniała sobie złowrogą twarz Scewoli w świątyni Orkusa i znów poczuła przepełniający ją strach. Czy zakup Lupanaru naprawdę był dobrym pomysłem?

Spojrzała na ciało Sekstusa.

Gdyby teraz zrezygnowała, byłaby bezpieczna. Oznaczałoby to jednak, że Scewola odniósłby zwycięstwo. Ponadto wtedy śmierć jej wiernego niewolnika można będzie uznać za zupełnie niepotrzebną.

– Pomszczę cię, Sekstusie – szepnęła. – Niezależnie od ceny, jaką przyjdzie mi za to zapłacić.

Gdy ustalono już wszystko w kwestii pochówku, Fabiola zajęła się sprawami związanymi z transakcją zakupu Lupanaru. Na początku, ochraniana przez oddział legionistów, wybrała się na *basilicae*, zadaszony rynek na forum. Odnalazła wśród lichwiarzy, skrybów i wróżbitów człowieka uczonego w prawie, którego polecił jej Brutus. Z zadowoleniem przyjęła jego potwierdzenie, że umowa sprzedaży sporządzona przez Jowinę jest prawnie wiążąca i nie zawiera żadnych kruczków. Po tym, jak mężczyzna o tłustych włosach wykonał dwie poświadczone kopie – po jednej dla każdej strony umowy – Fabiola złożyła oryginał w pobliskim banku.

W tym samym, luksusowo zresztą urządzonym, banku – w miejscu ozdobionym pięknymi fontannami i greckimi rzeźbami – przedstawiła pergamin, który otrzymała od Brutusa. Była to zgoda na wypłatę stu siedemdziesięciu pięciu tysięcy *denarii*. Gdy obsługujący ją urzędnik banku odczytał treść polecenia, oczy niemal wyszły mu z orbit. Taki majątek dla kobiety? Oczywiście nie ośmielił się otworzyć ust, by to skomentować, ale po sprawdzeniu u przełożonego, że dokument naprawdę zawiera pieczęć Brutusa, od razu zaczął w ciszy redagować potwierdzenie operacji, którego zażądała młoda, piękna kobieta.

Kiedy skończył, Fabiola zapoznała się ze wszystkimi dokumentami. Jedno potwierdzenie gwarancji bankowych, opiewające na kwotę siedemdziesięciu pięciu tysięcy *denarii*, zostało wystawione na Jowinę. Była to połowa pieniędzy, które ta stara wiedźma miała otrzymać za Lupanar. Nie była to niska kwota. Jeszcze kilka lat temu sama nie mogłaby ogarnąć umysłem takiej sumy pieniędzy. A dzisiaj? Była to tylko część funduszy, jakie Brutus oddał jej do dyspozycji. Zaproponował nawet więcej, ale Fabiola chciała mu pokazać, że nie jest chciwa, więc odmówiła. I tak dostała tyle, że w zupełności wystarczy jej na opłacenie gladiatorów, ulicznych rzezimieszków, członków *collegia* –

kogokolwiek, kogo tylko znajdą jej Benignusz i Wettiusz do obrony Lupanaru.

– Potrzebuję też gotówki – zwróciła się do urzędnika banku.

– Ile, proszę pani?

– Dwadzieścia tysięcy denarów powinno wystarczyć –

odpowiedziała Fabiola, dochodząc do wniosku, że wycieczki takie jak ta najlepiej ograniczyć do minimum. Nie zawsze będzie miała do dyspozycji twardych żołnierzy, a z Lupanaru do banku było daleko. Może się okazać, iż nie będzie mogła często wypłacać pieniędzy.

– Niech połowa będzie w sestercjach.

Zdziwiony bankowiec zamrugał bez słowa. Klienci banku zwykle korzystali z not kredytowych, takich jak ta, którą właśnie przygotował. Nie ośmielił się jednak oponować.

– Oczywiście. Jeśli tylko gotowa jest pani poczekać. To zajmie kilka chwil, bo musimy przeliczyć tak dużą kwotę.

– Wrócę za godzinę – odpowiedziała Fabiola. Uznała, że skoro jest tak blisko świątyni Jowisza na Kapitolu, dobrze będzie złożyć tam krótką wizytę. Teraz potrzebowała pomocy bogów bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, a największy rzymski bóg wielokrotnie już jej pomagał. Tak jak Mitra. Jako że wizyta w świątyni Orkusa nie skończyła się najlepiej, pomyślała, że może dobrze byłoby ponownie wkraść się w łaski tych, na których pomocy się nie zawiodła.

W związku z tym, co się stało w świątyni, Fabiola nie wiedziała, czy prośba przedstawiona bogu podziemia została przyjęta i zaakceptowana. Nie czuła się jednak na razie na siłach wrócić do jego sanktuarium i to sprawdzić. Po śmierci Sekstusa trudno było nie wierzyć, że jej wizyta to wielki błąd. *Przestań!* – Fabiola zbeształa samą siebie. – *Spotkałaś tam Sabine. Docilosa będzie nieziemsko zadowolona, gdy się o tym dowie.* – Natychmiast znów poczuła wyrzuty sumienia. – *Sekstus nie żyje. I to moja wina.*

Nie miała już żadnej odpowiedzi na takie *dictum*.

Kolejne dwa dni minęły jak z bicza strzelił. Fabiola zajęła się gorączkowymi przygotowaniem do objęcia Lupanaru, a maligna Docilosa nie ustępowała. Ciągłe więc nie mogła jej powiedzieć o odnalezionej córce. Na wszelki wypadek wysłała do Sabiny krótki liścik,

wyjaśniając jej przyczyny opóźnienia. Miała nadzieję, że to na razie wystarczy. Sekstus został pochowany na małym cmentarzu przy Via Appia, chociaż oznaczało to dla Fabioli spore wydatki. Nad jego grobem zawisła rzeźbiona kamienna tablica. Znajdował się na niej prosty napis: „Sekstus. Mężczyzna o walecznym sercu i lojalny niewolnik”. Fabiola nie uczestniczyła jednak w pogrzebie. Była za bardzo zajęta. Scewola wciąż ukrywał się przed *lictors*. Czy ktoś wiedział, jak długo to potrwa? Musiała jak najlepiej wykorzystać te chwile swobody. Próbowwała stłumić przy tym wielkie poczucie winy z powodu nieuczestniczenia w pogrzebie, sama przed sobą tłumacząc się nadmiarem obowiązków. Nie udało się.

Bardzo szybko też Fabiola zdała sobie sprawę, że Lupanar tracił klientów nie tylko z powodu aktywnych działań konkurencji. Dom Jowiny był po prostu zaniedbany i brudny. Na tynku pojawiły się pęknięcia, których nikt nie naprawiał. Na wilgotnych ścianach wielu pokoi rozrastał się grzyb. Sfatygowana i brudna pościel nadawała się już raczej do wyrzucenia. Nawet na podłogach pełno było śmieci i kurzu, których nikt nie usuwał. Wyjątkowo nieprzyjemna niespodzianka czekała na Fabiolę w łaźni. Swego czasu lubiła w niej przebywać. Spędzała w basenach i wannach dużo czasu. Teraz na szczelinach między płytkami pojawiła się pleśń, a zielony odcień wody mówił, że nie była wymieniana od miesięcy. Nawet dziewczyny, które zostały w Lupanarze, nie wyglądały zbyt atrakcyjnie. Stare, zmęczone, chore lub po prostu niedbające o swój wygląd kobiety nawet niespecjalnie zwracały uwagę na Fabiolę, zanim Benignusz nie ogłosił, że jest nową właścicielką przybytku. Po krótkiej przemowie, podczas której wyjaśniła wszystkim, jak zmieniają się warunki, Fabiola zostawiła je w spokoju, żeby miały czas na zastanowienie się nad tym, co im powiedziała. Połowa z nich zostanie przeniesiona do kuchni lub sprzedana w charakterze pomocy kuchennej. Pozostałe prostytutki albo podciągną się w swoim fachu i zaczną o siebie dbać, albo podzielą los tych odesłanych do innych prac. To były trudne chwile, ale Fabiola nie widziała innego sposobu, żeby wszystkimi wstrząsnąć. Nie mogła też zamartwiać się bez sensu z powodu opłakanego stanu budynku. Pozostało po prostu zacisnąć zęby, zamknąć Lupanar na tydzień i wyremontować lub odnowić

wszystko od góry do dołu. Potem, gdy zatrudni już wystarczającą liczbę ochroniarzy, zajmie się znalezieniem najlepiej wyglądających kobiet na rynku niewolników.

Gdy Fabiola skończyła wycieczkę po budynku, rozumiała, dlaczego Jowina z taką radością powitała ją, gdy pojawiła się w Lupanarze z pieniędzmi, tak jak obiecała.

– To miejsce potrzebuje po prostu odrobiny świeżej farby – przekonywała Jowina, gdy wróciły do pomieszczenia pełniącego dawniej funkcję jej biura, znajdującego się tuż przy recepcji. Był to duży pokój z biurkiem, nagryzionymi zębem czasu krzesłami i ołtarzykiem, pokrytym ogryzkami świeczek. W kącie umieszczone było repozytorium utargu Lupanaru – duża metalowa skrzynia zabezpieczona kilkoma kłódkami.

– To miejsce... popadło w ruinę – odpowiedziała jej sucho Fabiola.

– Nie czułam się za dobrze – powiedziała cicho Jowina, ściskając w palcach kopię aktu kupna – i niektóre rzeczy mnie przerosły.

– Widzę. Ale dasz sobie radę z nadzorowaniem sprzątaniam, jak sądzę?

– Oczywiście. – Jowina uśmiechnęła się niepewnie, odsłaniając kilka pozostałych jej jeszcze zębów.

– Dziewczyny nie będą miały nic do roboty w czasie, gdy Lupanar zostanie zamknięty, więc z powodzeniem mogą zająć się porządkami. Niewolnicy domowi też się przydadzą. Chcę, żeby sprzątaniam skończyło się jeszcze dzisiaj w nocy, bo jutro rano pojawią się specjaliści, cieśle i murarze... – poinformowała Fabiola. Na chwilę jej twarz pojaśniała, gdy wyobraziła sobie to miejsce przywrócone do dawnej świetności. – Czy to jasne?

Jowina nie protestowała. Jakaś jej część cieszyła się na myśl o nowej krwi w biznesie.

– Tak. Jak najbardziej. – Czy w jej głosie Fabiola wyczuła szacunek? Jeśli tak, to ledwo dostrzegalny.

Jeszcze na to nie zasługuję. Może gdy uda mi się ściągnąć z powrotem klientów... Jeśli tylko Scewola do tego czasu nie zadba, żeby nie pozostał tu kamień na kamieniu. Nie zamierzam pozwolić, żeby te obawy powstrzymały mnie przed zrobieniem wszystkiego, co w mojej mocy. Uśmiechnęła się do Jowiny, ciesząc się w duchu, że ktoś, kto

rządził tu całe życie, okazał uznanie dla jej zdolności.

– W porządku. Benignusz!

Osilek przybiegł natychmiast, opuszczając swoje miejsce przy drzwiach. Od czasu powrotu Fabioli bliźniaczo podobni do siebie ochroniarze Lupanaru niemal przez cały czas się uśmiechali. Opiekowała się nimi tak, jak Jowina nigdy nie potrafiła.

– Pani?

Fabiola chwyciła małą skórzaną sakiewkę leżącą na biurku i rzuciła ją osiłkowi.

Ten, wyraźnie zaskoczony jej wagą, uniósł pytająco brwi.

– Znajdź mi ludzi, którzy umieją walczyć. Spróbuj w *ludi*. Przejdź się też na targ niewolników. Jeśli tam nie dopisze ci szczęście, poszukaj wolnych obywateli – rozkazała. – Masz znaleźć prawdziwych zabijaków.

Benignusz był wniebowzięty.

– Ilu?

– Co najmniej kilkunastu. Może więcej, jeśli tylko uda ci się trafić na odpowiednich ludzi. Duzi, mali, starzy albo młodzi. Nieważne. Nie obchodzi mnie to, jak się będą prezentować. Mają umieć walczyć. I zabijać. Mają mieszkać na miejscu i bronić Lupanaru przed tym robakiem Scewolą. Zaproponuj im piętnaście denarów za miesiąc. – Fabiola zacisnęła szczękę. – Spodziewam się, że za takie pieniądze będą walczyć w każdych okolicznościach. I jeżeli nadejdzie chwila próby, zachowają się jak mężczyźni i oddadzą życie, jeśli to okaże się konieczne.

Na myśl o przelaniu krwi Scewoli Benignusz przytaknął skwapliwie i uniósł swoją pałkę.

– Ty i Wettiusz będziecie nimi dowodzić – dodała. – Możesz nie pytać mnie o pozwolenie, gdy trzeba będzie któremuś z nich dać po łbie. Upewnij się, że wiedzą, iż nie mogą nawet dotknąć żadnej z pracujących tu dziewcząt. Ostrzeż, że pierwszy, który spróbuje to zrobić, pożegna się z życiem.

Teraz Benignusz już promieniał, rozciągając usta szeroko od ucha do ucha. Właśnie czegoś takiego oczekiwali z Wettiuszem po Fabioli.

– Ruszaj! No dalej. Trochę ci to zajmie.

Ochroniarz pokiwał ogoloną głową i wybiegł za drzwi.

Fabiola też skierowała się w stronę drzwi. Za nią podążyła Jowina, jej nowy cień, nieodstępujący nowej właścicielki Lupanaru na krok. Teraz musiała się zastanowić, jak powinna wyglądać nowa recepcja. Poza sypialniami, w których prostytutki zapewniały klientom rozrywkę, to było najważniejsze pomieszczenie w budynku. To właśnie miejsce na odwiedzających Lupanar mężczyznach wywierało złe lub dobre pierwsze wrażenie. Musi wyglądać elegancko i z klasą. To ważny element nowej rzeczywistości wizerunkowej tego miejsca.

Fabiola zastanawiała się nad szczegółami zmian, które trzeba będzie wprowadzić, gdy dotarły do niej odgłosy głośnej wymiany zdań między Wettiuszem i kimś, kto próbował dostać się do środka.

– Przykro mi, panie, ale Lupanar jest zamknięty z powodu remontu – przekonywał wyjątkowo cierpliwie Wettiusz. – Za mniej niż tydzień planujemy nowe otwarcie.

– Czy wiesz, kim jestem? – głos drugiego mężczyzny był głęboki. Z jego intonacji można było wnioskować, że należał do kogoś wykształconego.

– *Magister equitum*. – Wettiusz zakaszłał niezręcznie.

Fabiola uniosła rękę do ust, żeby powstrzymać niekontrolowany jęk. *Co tu robi Marek Antoniusz?*

– No właśnie. A teraz usuń się z drogi.

Fabiola podeszła do drzwi, zaciskając usta. Była zdeterminowana, aby odprawić niepożądanego gościa. Marek Antoniusz był przecież zleceniodawcą Scewoli. I chociaż z pewnością nie wiedział, jak wiele szkód poczynił jej *fugitivarius*, nie chciała mieć z nim nic wspólnego. To przecież najwierniejszy stronnik Cezara!

Wpadła na zakapturzoną postać, która akurat przekroczyła próg. Mało brakowało, a wylądowałyby na ziemi. Na szczęście Antoniusz szybko wyciągnął rękę, ratując ją przed upokorzeniem. Fabiola znalazła się na krótką chwilę twarzą w twarz z drugim po Cezarze najpotężniejszym człowiekiem w Rzymie. Zabrakło jej tchu. Z tak niewielkiej odległości jego zwierzęcy magnetyzm był wprost przytłaczający.

– Marek Antoniusz... – wyjąkała, zaskoczona własną nieporadnością. – Co tu robisz, panie?

Mężczyzna uśmiechnął się, zupełnie ją rozbrajając.

– Mógłbym zadać to samo pytanie. Wygląda na to, że dzisiejszego wieczoru w Lupanarze objawiła się sama Wenus! – Fabiola zaczerwieniła się na ten komplement. Serce waliło jej jak oszalałe. – Nie mów tylko, pani, że tu pracujesz?

– Nie. Jestem właścicielką.

Spojrzał na Jowinę, która zdawała się absolutnie niewrażliwa na jego urok osobisty.

– Od kiedy?

– Kupiłam to miejsce kilka dni temu – odpowiedziała Fabiola wściekła na siebie, że od razu przeszła do defensywy. – To takie moje... nowe przedsięwzięcie.

– A masz jakieś doświadczenie w tej dziedzinie?

Jowina nie opanowała krótkiego nerwowego chichotu, który szybko i niezręcznie próbowała przemienić w kaszel.

Fabiola zgromiła ją wzrokiem.

– Co nieco... – wołała nie zagłębiać się w szczegóły.

– Wygląda na to, że przegapiłem właściwy czas... Cóż za szkoda!

Fabiola zignorowała komentarz Antoniusza. Trudniej jej było zlekceważyć jego świdrujące spojrzenie. Rozbierał ją oczyma. Co gorsza, ona też nie mogła nie podziwiać jego krzepkiego ciała i twardych splotów mięśni. *Jowiszu! Ależ on jest męski!*

– Przepraszam, panie, ale Lupanar będzie zamknięty aż do następnego tygodnia – powiedziała, starając się ukryć drżenie głosu. – Wtedy z radością cię ugościmy.

– Nie rozumiesz... – Fabiola mięknęła pod jego przejmującym spojrzeniem. – Nie miałem kobiety od dwóch dni...

– W takim razie... Jestem pewna, że coś da się w tej sprawie zrobić... – wyszeptała Fabiola. Sama nawet do końca nie wiedziała, co chciała przez to powiedzieć.

– Idź i zajmij się organizacją ekip sprzątających – najpierw musiała oddalić Jowinę.

Zniknęła w korytarzu rozczarowana, że nie dowie się, jak to wszystko się skończy. Nie miała już tu nic do powiedzenia i pozostało jej skrzętnie wykonać polecenia.

Fabiola od razu poprowadziła Antoniusza do swojego biura.

– Usiądź panie i skosztuj wina. Za chwilę sprowadzę moje najlepsze dziewczyny.

Marek Antoniusz zrzucił płaszcz. Ubrany był w prostą wojskową tunikę. Na skórzanym pasie wisiał tylko *pugio* w zdobionej pochwie.

– Czy my się już kiedyś nie spotkaliśmy?

– W Galii. Pod Alezją – odpowiedziała Fabiola, rumieniąc się jak młódka. Zastanawiała się, jak to możliwe, że wtedy nie zwróciła na niego uwagi. Chyba za bardzo cieszyła się ze spotkania z Brutusem.

– Ach tak! Faworyta Decimusa Brutusa! – kąciki jego ust powędrowały w górę w delikatnym uśmiechu. – Przypominam już sobie tę piękną kobietę. I pamiętam twoją śmiałość w towarzystwie Cezara.

Policzki Fabioli zapłonęły z zawstydzenia na wspomnienie tamtego wieczoru.

– Za dużo wina... – zachnęła się.

Patrzyli sobie w oczy przez dłuższą chwilę.

Fabiola była tak oszołomiona, że zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć. Po tych wszystkich mężczyznach, z którymi sypiała, nigdy nie myślała, że przyjdzie dzień, iż ktoś ją tak zauroczy. A jednak każda komórka jej ciała pragnęła Antoniusza. Tu i teraz.

– Pójdę po dziewczyny... – wydukała.

Antoniusz chyba czytał jej w myślach. Wstał i pokonał kilka dzielących ich kroków.

– Nie ma potrzeby. Tu jest wszystko, czego potrzebuję.

– Jestem właścicielką... – Fabiola zaprotestowała słabo. – Nie prostytutką.

Ignorując niezbyt przekonujące protesty Fabioli, Antoniusz przyciągnął ją do siebie. Położył dłoń na jej pełnej piersi i zaczął całować po szyi.

Fabiola przez krótką chwilę rozkoszowała się tym dotykiem, ale później odepchnęła go lekko. Z oporem. *Co się ze mną dzieje!? Nigdy nie tracę kontroli.*

– No chodź... przecież widzę, że mnie pożadasz.

Jakiś dźwięk dochodzący zza drzwi uratował Fabiolę przed nią samą. *Czy to był zduszony kaszel?* Podniosła palec w ostrzegawczym

geście i wskazała w stronę, skąd dobiegł dziwny odgłos. Antoniusz podążył za jej spojrzeniem. Uśmiechając się, patrzył, jak Fabiola podbiega do drzwi i otwiera je na oścież. Ku jej ogromnej uldze ani w korytarzu, ani w recepcji nikogo nie było. Poczła jednak dreszcz strachu, który połaskotał ją po plecach. Zgromiła Antoniusza wzrokiem. Jeśli ktoś – a zwłaszcza Jowina – podsłucha ich rozmowę, Brutus natychmiast o wszystkim się dowie. Fabiola zadrżała na myśl o tym, co gotów byłby zrobić zdradzony kochanek.

– Kiedy się zobaczymy? – zapytał Antoniusz.

– Nie wiem – odpowiedziała, nadal nieco skołowana. Po chwili, wbrew sobie, złożyła pocałunek na jego ustach. – Na pewno nie tu.

– Zapraszam cię zatem, pani, do jednej z moich posiadłości. Przyślę posłańca z wiadomością.

Antoniusz uklonił się głęboko. Fabiola wyrzała szybko na dziedziniec, sprawdzając, czy nikt ich nie widział.

Gdy patrzyła, jak odchodzi, jej serce wypełniło się mieszanką dziwnych emocji. Euforią towarzyszącą pożądaniu, które czuła, i strachem, że ktoś widział lub słyszał, co zaszło. Ale dominującym uczuciem była radość. I fala oczekiwania na ponowne spotkanie z Antoniuszem.

Fabiola uśmiechnęła się do swojej kolejnej myśli.

Jeśli zostanę kochanką Antoniusza, Scewola nie ośmieli się mnie skrzywdzić.

Rozdział VIII

Rodos



Wyspa Rodos, wybrzeża Azji Mniejszej

Tarkwiniusz przemierzał wąską uliczkę prowadzącą z portu do miasta, wspominając chwile, gdy odwiedził wyspę po raz pierwszy. Był tu dekadę wcześniej, jeszcze jako młodzieniec. Spośród wielu miejsc, które widział po śmierci Olenusa, wyprawa na Rodos była jedną z najbardziej interesujących. Wcześniej spędził trochę czasu w legionach, walcząc w Azji Mniejszej zarówno pod Lukullusem, jak i Pompejuszem. W odróżnieniu od spokojnego dzieciństwa i wczesnych lat dorosłości spędzonych w latyfundium, kariera w wojsku sprawiła, że haruspik poznał takie wartości jak braterstwo, nabrał doświadczenia w walce i zmienił sposób patrzenia na świat. Uśmiechnął się do siebie. Cztery ostatnie lata to był dobry czas w jego życiu. Przynajmniej w większej części. Chociaż nienawidził Rzymu za wszystko, co uczynili Rzymianie Etruskom, po tych latach musiał niechętnie przyznać, że podziwia sprawność, odwagę i determinację rzymskich żołnierzy. Czuł to nawet po szczęśliwej ucieczce przed ludźmi Cezara w Aleksandrii.

Tarkwiniusz zmówił szybką modlitwę dziękczynną do Mitry. Chociaż bóg żołnierzy nie pozwolił mu odkryć niczego szczególnego w Bibliotece Aleksandryjskiej, to właśnie jemu musiał zawdzięczać, że teraz właśnie wspina się cały i zdrowy, choć na niepewnych nogach, po tej ostro pnącej się w górę ulicy. Gdy udało mu się wydostać poza mury kompleksu bibliotecznego, Mitra pokierował go akurat do miejsca, gdzie zebrał się tłum protestujący przeciwko obecności Rzymian w mieście.

Ścigający go żołnierze dołączyli do oddziałów tłumiących zamieszki, dzięki czemu haruspik mógł dotrzeć do portu i znaleźć statek płynący na Rodos. Cóż... to, że udało mu się uciec, zawdzięcza bogom. Ale czy ci sami bogowie przypadkiem się nim nie bawią? Rzut oka na bezchmurne niebo wystarczył, aby stwierdzić, iż wciąż nie ma żadnych znaków. I tak od tygodni. Ostatnio potrafił dostrzec tylko ostrzeżenia przed ciemnymi chmurami zbierającymi się nad Rzymem. Jednak gdy tylko próbował dowiedzieć się więcej – kto jest zagrożony i co jest źródłem niebezpieczeństwa – obrazy zniknęły. Dlatego nie miał pojęcia, czy powinien martwić się o Romulusa, jego siostrę Fabiolę, czy może kogoś innego, kogo znał w stolicy. Regularnie za to wracał do niego niepokojący koszmar senny o morderstwie w pobliżu Lupanaru, krwawej bójce, która kończyła się obrazem nieruchomego człowieka, leżącego we krwi. Pochylały się nad nim inne niewyraźne postaci. Tarkwiniusz sądził, że jest to wizja po śmierci Celiusza. Z nią jednak nie wiązała się żadna wskazówka dotycząca przyszłości. Wzruszył ramionami zrezygnowany. Z jakiegoś powodu trafił teraz na Rodos. I zmierzał do ośrodka, w którym zgromadzono wielką wiedzę. Może tutaj znajdzie jakieś odpowiedzi?

Gdy dotarł do placu zdominowanego przez jaskrawo pomalowaną świątynię z doryckimi kolumnami, postanowił chwilę odpocząć. Westchnął z zadowoleniem. Agora. Tętniące życiem serce miasta. Długo wspinał się tu z portowej osady, pokonując siatkę ulic i przedzierając się przez kwartały budynków mieszkalnych. Plac wypełniony straganami był również od lat historycznym miejscem spotkań miejscowych obywateli. Nad agorą górowała świątynia Apollina. Przyciągała wzrok. W pobliżu znajdowało się również wiele innych sanktuariów poświęconych różnym bogom. Tarkwiniusz wybrał się jednak na Rodos w jednym celu. Chciał zapoznać się z dokumentami zgromadzonymi w tutejszej szkole stoików.

Doskonale pamiętał dzień, w którym zobaczył rodyjską agorę po raz pierwszy. To było zaraz po tym, jak zdezerterował z legionów. Strach przed odkryciem tego niecnego występu nie opuszczał go ani na chwilę. Dlaczego porzucił wojaczkę? Może dlatego, że wreszcie zdał sobie sprawę, iż była to daremna próba zapomnienia o Olenusie i jego

naukach. Zrozumiał, że nie może dłużej marnować czasu w armii i powinien zacząć żyć własnym życiem. Gdy poszukiwania śladów Etrusków w Lidii w Azji Mniejszej nie przyniosły żadnego wielkiego przełomu, przybył tu, na Rodos. Tutejsza szkoła stoików od wieków pełniła rolę centrum wiedzy i nauki. Przybywali tu uczeni z całego świata, tacy jak Apoloniusz i Posejdonios z Apamei, którego przemów haruspik miał okazję słuchać przy wielu okazjach. To właśnie na Rodos przybywali również bogaci młodzi Rzymianie, aby poznawać filozofię i ćwiczyć się w retoryce, a także doskonalić swoje umiejętności oratorskie przed objęciem stanowisk w senacie. Uczył się tu sam Sulla. A także Pompejusz i Cezar.

Jednak pierwsza wizyta Tarkwiniusza nie przyniosła spodziewanych efektów. Nie znalazł zbyt wiele informacji na temat pochodzenia i przeszłości Etrusków. Skrzywił się na tę myśl. Mógł mieć tylko nadzieję, że tym razem będzie inaczej – że wreszcie wypełni się jego przeznaczenie, a jego marzenie stanie się faktem. Niespodziewany powrót na wyspę budził jego nadzieję na obiecujące efekty. Bo czyż to nie sami bogowie wysłali go w tę drogę? Gdy zdyszany i zdesperowany dotarł do portu w Aleksandrii, zaokrętował się na pierwszą lepszą jednostkę, której kapitan zgodził się na przyjęcie nietypowego pasażera. Na szczęście miał wystarczająco dużo pieniędzy, aby opłacić podróż. Nie musiał długo przekonywać pragmatycznego fenickiego kapitana. Jednak gdy już znalazł się na pokładzie, a okręt długo trzymał się blisko wybrzeża Judei i Azji Mniejszej, koncentrując się przede wszystkim na działalności kupieckiej, Tarkwiniusza znów zaczęły nachodzić wątpliwości. Co dalej? Podupadł na duchu i przez wiele dni nie potrafił wyrwać się z otępienia. Potem jednak kapitan zdecydował, że czas ruszyć na Rodos. Czy można to nazwać wyłącznie zbiegiem okoliczności? Nie był pewien. Jak to już bywało, próby zbadania przyszłości skutkowały niewieloma użytecznymi wskazówkami. Może cała jego podróż była tylko jednym wielkim żartem bogów, którzy chcieli uzmysłwić mu bezsens jego marnego żywota? Miał nadzieję, że to nieprawda. Z pewnością jego wizje Rzymu i Lupanaru musiały coś znaczyć.

Uraz związany z rozdzieleniem z Romulusem po ucieczce z

Aleksandrii tylko umocnił jego obawy i poczucie zwątpienia. Nic dziwnego. Mimo że podróżował po świecie szlakiem Aleksandra Macedońskiego, nie udało mu się poznać tajemnic swojego ludu. W tym czasie towarzyszący mu przyjaciele – dwaj najodważniejsi mężczyźni, jakich znał – znikali z jego życia, ale w jego przypadku historia zatoczyła koło. Tarkwiniusz wciąż miał się dobrze, mimo że całe jego ciało szpeciły blizny, świadczące o wielu przejściach. Jego świadomość buntowała się przeciwko tej niesprawiedliwości. Brennus wybrał bohaterską śmierć pod ciosami oszalałego z bólu słonia, żeby jego przyjaciele mogli uciec. Romulus żył, ale służył w jednym z legionów Cezara i zapewne codziennie walczył o przetrwanie. Wojna domowa trwała wszak w najlepsze. Tymczasem on szczęśliwie uniknął wszystkich niebezpieczeństw. I był wolny. A jednak życie traciło dla niego sens.

Wiedział, że jeżeli dłużej będzie rozmyślać o tym, czego nie zmieni, wpadnie w otchłań szaleństwa. Musiał to wszystko jakoś sobie logicznie wytłumaczyć i zaakceptować rzeczywistość. To przecież nie jego wina, że Brennus odszedł. Ostatnia bitwa Gała została przepowiedziana już wiele lat temu. Nie tylko przez Tarkwiniusza, ale przede wszystkim przez druida z plemienia Allobrogów. Ponadto wizja Romulusa na tle portu w Ostii była jedną z najsilniejszych, jakich kiedykolwiek doświadczył. Jego protegowany *wróci* któregoś dnia do miasta swoich narodzin. Tarkwiniusz mógł mieć tylko nadzieję, że powrót do domu jest dla Romulusa wszystkim, czego pragnął.

Sam haruspik na początku nie zastanawiał się na poważnie, czy powinien wrócić do Italii. W końcu miał wizje świadczące o tym, że stolicy grozi niebezpieczeństwo. Intuicja podpowiadała mu, że miałyby one znaczenie, gdyby dotyczyły kogoś mu drogiego. Jakby wbrew sobie przyznał, że powrót do stolicy Republiki ma swoje zalety. Może gdyby pojawił się w miejscu, gdzie to się wszystko zaczęło, przed Lupanarem, przed którym zabił Celiusza, wpływając na życie Romulusa, bogowie podsunęliby mu jakieś wskazówki?

Usłyszał za plecami serię wykrzykiwanych zachrypniętymi głosami rozkazów. Odwrócił się. Ulicą pod górę szła kolumna legionistów prowadzonych przez centuriona, za którym podążał *signifer*.

Żołnierze biegli truchtem, ustawieni w dwóch rzędach. Oddział składał się co najmniej z centurii, w pełni uzbrojonej i przygotowanej do walki. Mieszkańcy miasta przyglądali się im nieprzychylnie. Mimo że minęły prawie dwa wieki od czasu, gdy Rzymianie podbili Grecję, ludzie stąd nadal odnosili się do swoich nowych panów z niechęcią. Tarkwiniusz też miał wrażenie, że tych legionistów nie powinno tu być.

Bez wątpienia żołnierze zeszli na ląd z trirem, których pół tuzina widział w porcie. Co tu robili? Nie miał pojęcia. Rodos – od dawna pod rządami Republiki – uważane było za wyspę spokojną i bezpieczną. Nie pojawiali się tu nawet piraci, którzy dawniej chętnie ukrywali się w zatoczkach i jaskiniach skalistego wybrzeża. Pompejusz już się o to postarał. Na Rodos nie było też żadnych stronników przeciwnika Cezara. Populacja wyspy nie zapewniała odpowiedniej liczby rekrutów potrzebnych do walki.

Tarkwiniusz wolał nie ściągać na siebie niczyjej uwagi, dlatego szybko ukrył się w małym sklepiku z otwartym frontem. Wszędzie wokół na stertach słomy leżały różnego typu amfory, często ustawione w trzech lub czterech poziomach, jeden na drugim. Na samym środku pomieszczenia znajdowało się stare biurko, zarzucone zwojami pergaminu, kałamarzami i marmurowymi liczydłami, a wzdłuż jednej ze ścian ustawiono krótką, wykonaną z surowego drewna ladę, pełniącą rolę blatu dla gości winiarni. Słyszał, że właściciel krząta się gdzieś na zapleczu.

Legioniści minęli sklep, nie zwracając na niego uwagi. Za nimi podążała grupa niewolników i kolumna mułów. Tarkwiniusz skonstatował, że wszystkie sakwy niesione przez zwierzęta były puste. Coś tu nie grało. Jednak nie zastanawiał się dłużej nad tym, gdyż właśnie pojawił się sklepikarz, który dzierzył w dłoni jakąś małą, zakurzoną amforę z ciężką woskową pieczęcią.

Rzucił na ostatniego żołnierza w kolumnie złe spojrzenie.

– Cholerne skurwysyny... – zaklął po grecku.

– Masz całkowitą rację – zgodził się Tarkwiniusz, również posługując się płynną greką. – Przynajmniej większość z nich zasłużyła, żeby tak ich nazywać.

Zaskoczony, że poznaczony bliznami nieznajomy gość nie tylko

ma dobry słuch, ale i dobrze mówi w jego ojczystym języku, sklepikarz zbladł.

– Nie chciałem nikogo obrazić – wyjąkał. – Jestem lojalnym poddanym Rzymu.

Tarkwiniusz podniósł ręce w geście pojednania.

– Nie ma się czego obawiać – powiedział. – Dostanę kubek wina?

– Oczywiście... oczywiście. Nikolaos nikomu nie odmawia napitku. – Sklepikarz z westchnieniem ulgi odstawił trzymaną w rękach amforę. Wyciągnął skądś dzban z czerwonej gliny i dwa kubki. Wypełnił je winem i podał jeden kubek Tarkwiniuszowi. – Co cię tu sprowadza? Przyjechałeś do szkoły?

Tarkwiniusz spróbował wina i pokiwał głową z aprobatą. Było dobre.

– Coś w tym rodzaju.

– Jeśli tak, to lepiej módl się, żebyś jutro mógł znaleźć to, po co tu przybyłeś. – Nikolaos wyciągnął rękę. – Ci dranie szli właśnie do szkoły stoików.

Tarkwiniusz prawie zakrztusił się drugim łykiem.

– Jak to? I co tam robią?

– Wywożą wszystko, co nie jest na stałe przymocowane do podłogi. Gdyby resztki po kolosie nie były za duże do transportu, pewnie też by je zabrali.

Tarkwiniusz skrzywił się nieprzyjemnie. Jak wszyscy przybywający na wyspę, on także odwiedził miejsce, gdzie niegdyś stał największy na świecie posąg. Mimo że kolos rozbił się, strącony z postumentu podczas trzęsienia ziemi prawie dwa wieki wcześniej, olbrzymie kawałki wielkiej rzeźby Heliosa nadal znajdowały się tam, gdzie upadły. Nawet one stanowiły imponujący widok. Wielkie płyty z brązu w kształcie części ciała leżały otoczone żelaznymi prętami, kamieniami z wypełnienia i tysiącami nitów. Rozbity kolos dawał wyobrażenie ogromu prac, jakie trzeba było wykonać, aby wznieść taki obiekt. Tylko że teraz te elementy były po prostu złomem, bo nikt nie próbował go naprawić. Za to skarby zgromadzone w szkole łatwo dają się wywozić. A przecież mogły stanowić klucz do ujawnienia tajemnicy jego przyszłości.

Tarkwiniusz nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Jesteś pewien? – zapytał niepewnie.

Sklepikarz skinął głową. Nieznajomy budził w nim jakiś podświadomy lęk.

– Zaczęło się wczoraj. Mówią, że Cezar zbiera bogactwa, które mają pokazać skalę jego triumfów. Rzeźby, obrazy, książki. Jak leci. Zabierają wszystko.

– Jakże ma do tego prawo ten arogancki pies? Pod Farsalą walczył z cholernymi Rzymianami, a nie z Grekami – Tarkwiniusz nie potrafił się powstrzymać przed krzykiem. – Rodos jest od dawna częścią Republiki!

Kilku przechodniów zwróciło uwagę na hałas dobiegający ze sklepu. Spoglądali na Tarkwiniusza z zaciekawieniem. Nikolaos wyglądał na nieszczęśliwego. Takie uwagi były niebezpieczne.

Tarkwiniusz dopił wino i rzucił na stół cztery srebrne monety.

– Nalej mi jeszcze – mruknął.

Twarz sklepikarza od razu pojaśniała. Za takie pieniądze można było kupić amforę dobrego wina. Z usługnym uśmiechem napełnił kubek Tarkwiniusza po brzegi.

Haruspik długo wpatrywał się w powierzchnię szlachetnego trunku. Popijał małymi łykami, ale nie żałował sobie. *Jakby alkohol mógł coś pomóc* – pomyślał ponuro. – *Dlaczego na każdym kroku muszę walczyć z kłodami rzuconymi pod nogi? Działania bogów były naprawdę irytujące. Można by rzec, że brzydki sobie ze mnie żartowali. A jednak jestem wobec nich bezradny.*

– Jeszcze kubek? – zapytał Nikolaos z troską profesjonalisty w swoim fachu.

– Tak. I nalej też jeden dla siebie.

– Dziękuję – Nikolaos pokiwał głową, uznając, że może ten klient wcale nie jest taki zły. – Ubiegłoroczne wino udało się zresztą całkiem dobrze.

Milczeli. Ignorując sklepikarza, Tarkwiniusz stał przy ladzie i wlewał w siebie więcej i więcej wina. Tylko że wcale nie czuł się lepiej. Wręcz przeciwnie. Zaraz po przybyciu na wyspę okazuje się, że jego eskapada jest kompletną stratą czasu. Jeśli Rzymianie splądrują szkołę,

nie znajdzie żadnych wskazówek. Czuł się jak ślepiec, który nie potrafi poruszać się w pomieszczeniu, w którym ktoś poprzestawiał sprzęty. Szukał po omacku drzwi, które ktoś zamurował. *Rzym!* – odezwał się jego wewnętrzny głos. – *Wróć do Rzymu!* Zignorował go.

Upłynęła ponad godzina. Dzbanek musiał się kiedyś opróżnić.

Nikolaos od razu pospieszył z pomocą.

– Pozwól, że go napełnię...

– Nie. Mam dość – odpowiedział szorstko Tarkwiniusz. Czuł się tak okropnie, że nie miałby nic przeciwko spiciu się do nieprzytomności. Najlepiej do zapomnienia. Bachus nie był jednak bogiem, którego spodziewał się zobaczyć w Hadesie.

– Naprawdę chcesz iść do szkoły? Wybierzesz się tam w takim stanie?

Tarkwiniusz roześmiał się sucho.

– Mówisz, że nie ma sensu?

– Mogłem się mylić w kwestii żołnierzy... – sklepikarz poczuł się niezręcznie. – W końcu to tylko plotka.

– Nie. Te skurwysyny nie pchałyby się aż tutaj z nieobciążonymi mułami. Prawda?

– Chyba nie. – Sklepikarz nie odważył się wdawać z Tarkwiniuszem w dyskusję. Nieznajomy był zbyt pewny siebie, a wyglądało na to, że wystający spod płaszcza topór z dwoma ostrzami był często używany, a jego właściciel naprawdę wie, jak się nim sprawnie posługiwać.

Tarkwiniusz zrobił krok w stronę drzwi, a potem odwrócił się, by spojrzeć Nikolaosowi głęboko w oczy.

– Tej rozmowy nigdy nie było. – Jego ciemne źrenice przypominały studnie. – Rozumiemy się?

– Tak jest – odpowiedział niepewnie sklepikarz, połykając ślinę. – Oczywiście, że nie było.

– Dobrze... – Tarkwiniusz wyszedł na ulicę, nie oglądając się za siebie.

Zastanawiał się, którą wybrać drogę. Zdecydował, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby jednak zajrzeć do szkoły. W końcu po to tu przybył. Głupio byłoby nie zobaczyć na własne oczy, co się tam dzieje.

Zobaczyć, czy warto pozostać na wyspie. Ale czuł się zmęczony. Bardziej niż kiedykolwiek w swoim życiu. Przemierzał agorę, powłócząc nogami. W falującym tłumie przechodniów, ludzi interesów i marynarzy z portu był tylko kolejną anonimową postacią. Dziś jednak nie przejmował się za bardzo tym, jak widzą go inni ludzie.

Dotarłszy do rogu placu, skręcił w uliczkę, która prowadziła do szkoły. Bruk był tu bardziej zaniedbany i po kilku krokach Tarkwiniusz potknął się na jakimś krzywym kawałku płyty chodnikowej, zaśmieconej rozbitymi dachówkami. Poleciał do przodu tak, że wylądował na kolanach, zdzierając skórę do krwi. Zaklął, na czym świat stoi, i próbował znów złapać równowagę.

– Trochę za wcześnie, żeby się tak upodlić. Nie sądzisz?

Tarkwiniusz uniósł zaczerwienione oczy. Stał nad nim mężczyzna w wojskowym hełmie z brązu z poprzecznym grzebieniem czerwonych i białych piór. Słońce świeciło z góry, ukrywając w cieniu twarz centuriona. Z kolan Tarkwiniusz widział za to wyraźnie bogato zdobione nagolenniki, chroniące łydki oficera, oraz dobrze wykonane *caligae*.

– Żyjemy w wolnym świecie... A ja nie służę w legionach.

– Wygląda na to, że kiedyś służyłeś – centurion wyciągnął umięśnione ramię, oferując Tarkwiniuszowi pomoc. – Masz tu całkiem groźnie wyglądający labrys.

Tarkwiniusz zawahał się tylko na mgnienie oka. Po czym chwycił wyciągniętą rękę. Nie miał już zamiaru sprzeciwić się temu, co szykował dla niego los.

Centurion stęknął i mocnym pociągnięciem pomógł Tarkwiniuszowi stanąć na nogi. Był to mężczyzna w średnim wieku, naprawdę solidnie zbudowany. Nosił długą kolczugę, skrzyżowane pasy z wiszącymi na nich gladiusem i zdobionym *pugio* oraz paskowany fartuch ochronny, wykończony skórą. Inny pas parciany zwisał z napierśnika. A na nim przyczepione były złote i srebrne *phalerae*.

Haruspik z niepokojem stwierdził, że oficer nie był sam. Towarzyszyła mu grupa żołnierzy, ustawionych karnie w równych szeregach. To była ta sama grupa, którą widział wcześniej na agorze. Za nimi w dół ulicy człapały muły. Tylko że teraz zwierzęta były mocno obciążone ładunkiem. Na twarzach legionistów widział pogardę.

Zawstydził się. Był dumnym człowiekiem, nienawykłym do tego, że śmieją się z niego prości żołnierze.

Ich centurion wydawał się zainteresowany tym dziwnie wyglądającym głupcem z twarzą poraną bliznami, blond włosami i złotym kolczykiem w uchu. To nie był jakiś tutejszy Grek.

– Jak cię zwa?

Haruspik miał już dość kłamstw.

– Tarkwiniusz – bąknął pod nosem. Pęczniała w nim złość na to, czego dopuścili się właśnie Rzymianie.

– Skąd jesteś?

– Z Etrurii.

Zdziwiony centurion zmarszczył brwi. *Ten ochlaptus pochodzi z Italii. Coś takiego!*

– Co cię sprowadza na Rodos?

Tarkwiniusz wskazał oczekujących na zakończenie tej nietypowej rozmowy żołnierzy.

– Chciałem pobierać nauki w szkole stoików... Tylko że dzięki wam, cholery jedne, to już chyba mi się nie uda, co?

Legioniści zaszemrali. Nie mogli pojąć, jak ów nieznajomy może być aż takim impertynentem. A może głupcem?

Centurion uniósł rękę, uspokajając swoich ludzi i prosząc o ciszę.

– Kwestionujesz rozkazy Cezara? – zapytał lodowatym tonem.

Rzymianie i tak zrobią, co będą chcieli. Zawsze tak robili – pomyślał Tarkwiniusz ze znużeniem. – *Nie zmienię tego. W oczach tego centuriona ujrzał śmierć. Są gorsze metody pożegnania się z życiem. Pchnięcie gladiusa? Czyste cięcie nie może bardzo boleć.*

– Odpowiedz mi, na Mitrę!

Słowa centuriona uderzyły w jakąś czułą strunę. Jak błyskawica rozświetlająca mrok rozwiały alkoholową mgłę w umyśle haruspika, który nagle zaczął widzieć świat z przerażającą wyrazistością. Z jakiegoś powodu przypomniał mu się kruk, który zaatakował jednego ze słoni przed bitwą nad Hydaspesem. Jeśli to nie był znak od boga-wojownika, to on nie jest godzien zwać się haruspikiem. A ten znak musi być kolejnym! Nie umrze tego popołudnia.

– Oczywiście, że nie! – wypowiedział głośno i wyraźnie. – Cezar

ma prawo robić, co mu się żywnie podoba.

Wyciągnął prawą rękę w geście, który mógł znać tylko wyznawca mitraizmu.

Centurion spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Czczisz boga-wojownika? – wyszeptał.

– Tak – Tarkwiniusz dotknął blizny w kształcie wydłużonej tarczy na lewym policzku. – To rana, którą otrzymałem, bo nie chciałem się go wyrzec. – Wcale za bardzo nie mijał się z prawdą. Jeszcze raz wyciągnął rękę.

W odpowiedzi oficer chwycił ją i mocno uściskał.

– Kaldus Fabrycjusz, pierwszy centurion, druga kohorta. Legion VI. Miałem cię za wichrzciciela.

– Niesłusznie. – Tarkwiniusz uśmiechnął się. – Sam Mitra musiał sprawić, że na was wpadłem.

– Jeśli nie Bachus... – Fabrycjusz odwzajemnił uśmiech. – Cóż za spotkanie, towarzyszu. Chętnie bym pogawędził, ale trochę się spieszymy. A może zechciałbyś pójść ze mną?

Tarkwiniusz przyjął propozycję wdzięcznym skinieniem głowy. Nagle poczuł dziwną ulgę. *Oczywiście ta lekkomyślna brawura to sprawka wina mieszającego mi w głowie. Ale przecież piłem właśnie dlatego, że dowiedziałem się, iż Rzymianie plądrują szkołę. Zawsze spodziewaj się niespodziewanego. To spotkanie z centurionem było namacalnym dowodem łaski Mitry.*

– W tej szkole natrafiliśmy na naprawdę niesamowite artefakty. Instrumenty i osobliwe metalowe urządzenia, jakich nigdy w życiu nie widziałem. Mam jakieś dziwnie wyglądające pudełko z tarczami z przodu i z tyłu. Nie uwierzysz, ale tam są takie małe ramiona, które poruszają się, pokazując położenie słońca, księżyca i pięciu planet. Niesamowite! Z drugiej strony znajduje się rysunek, który pozwala przewidzieć każde zaćmienie. Stary człowiek płakał, gdy mu to zabierałem. Powiedział, że urządzenie zostało wykonane w Syrakuzach przez ucznia Archimedesesa.

Tarkwiniusz ukrył prawdziwe uczucia za maską jowialności. Dlaczego właściwie miałyby złościć się na tę grabież? Fabrycjusz tylko wykonywał rozkazy. Od razu poczuł podekscytowanie, że urządzenie,

które opisywał Arystofanes, znajduje się w zasięgu ręki. Archimedes potrafił projektować mechanizmy wykraczające poza jego czasy. Wszyscy wiedzieli, czego dokonał ten grecki matematyk w czasie obrony Syrakuz przed Rzymianami podczas drugiej wojny z Kartaginą. Świadomość, że mógł pomagać przy tworzeniu albo może nawet osobiście zaprojektował taką zaawansowaną maszynę, była naprawdę zdumiewająca.

– Masz to tutaj?

Fabrycjusz wskazał kciukiem przez ramię.

– Tak. Jest w sakwie na jednym mułow. Dobrze opakowana, oczywiście, żeby to cholerstwo się nie uszkodziło.

– Wszystko ma trafić do Rzymu?

– Owszem. Na potrzeby triumfu Cezara – odpowiedział centurion z dumą. – Żeby jeszcze raz pokazać ludziom, jak wielkim przywódcą jest Cezar.

Alkohol zupełnie wywietrzył z głowy Tarkwiniusza. Same w sobie obrazy stolicy, nad którą zbierały się czarne chmury, i koszmara pod Lupanarem nie były na tyle przekonujące, aby uznał, iż podróż do Rzymu jest naprawdę dobrym rozwiązaniem. Teraz to zupełnie inna sprawa! Nagle znikąd pojawiło się rozwiązanie tej szarady. Nie mógł zignorować takiego znaku.

– Czy na okręcie nie znalazłoby się miejsce dla jednego pasażera?

– Chcesz wrócić do Italii? Ja o niczym innym nie marzę... – przyznał Fabrycjusz, dając haruspikowi potężnego kuksańca. – Z przyjemnością zabiorę cię ze sobą.

– Dziękuję.

Tarkwiniusz maszerował do portu rozsadzany nową energią. Mitra prowadził go do Rzymu. Popłynie tam na tym samym okręcie, na którym transportowane będą cuda ze szkoły stoików na Rodos.

Kimże był, żeby sprzeciwiać się woli bogów?

Rozdział IX

W niewoli



Pont, północne wybrzeża Azji Mniejszej

Petroniuszowi pozostało tylko pokuśtykać za Romulusem, którego zapalczywi legioniści zaciągnęli do obozu przez pole usiane poległymi żołnierzami z armii Farnakesa. Romulusa uratował przed natychmiastową egzekucją tylko brak materiałów, z których dałoby się zrobić krzyż. Te kilka drzew, które rosły na wzgórzu, ścięto wcześniej i wykorzystano do budowy fortyfikacji. Jednak legioniści musieli jakoś dać wyraz swojej wściekłości, dlatego czterech z nich wyruszyło na poszukiwanie odpowiedniego drzewa w dalszej okolicy. Pozostali rozłożyli się na wzniesieniu, zasłużenie wylegając się w promieniach popołudniowego słońca i popijając dodatkowe racje *acetum*, wydane przez kwatermistrza.

Skrępowany Romulus leżał na ziemi między nimi. Słońce prażyło bezlitośnie, nie dając chwili wytchnienia. W tym upale ból zranionej głowy stawał się nie do zniesienia. W gardle mu zaschło, ale oczywiście nikt nawet nie pomyślał o tym, aby dać mu łyk wody. Na przemian tracił i odzyskiwał przytomność. Przez większość czasu nie był świadomy obecności Petroniusza. O tym, że wokół rozłożyli się oprawcy, przypominał sobie wtedy, gdy któryś z nich zdzielił go nogą. W chwilach przytomności rozmyślał o ironii tej sytuacji. To, że przetrwał tak wiele, a miał skończyć na krzyżu w jakiejś zapadłej dziurze na pustkowiach pod Zelą, wydawało mu się okrutnym żartem bogów. *Jednak taki właśnie kapryśny charakter ma przeznaczenie. Bogowie*

mogą bawić się mną tak, jak chcą.

Tarkwiniusz się mylił. Nie będzie żadnego powrotu do Rzymu.

Po tej konstatacji znów stracił przytomność.

Gdy ją odzyskał, przez dłuższą chwilę nie potrafił zrozumieć, co się wokół niego dzieje. Ktoś nad nim wykrzykiwał wściekle jakieś słowa. Rozpoznał czarnowłosego osiłka i jego towarzyszy, którzy go tu przywlekli. Dźwigali na ramionach pień świeżo ściętego drzewa. Naprzeciwko nich stali Petroniusz, *optio* z Legionu XXVIII i jakiś nieznany centurion. W powietrzu latały obelgi i groźby, którymi obrzucali się nawzajem Petroniusz i weterani z Legionu VI. Jego towarzysz chyba go bronił. Romulus poczuł się odrobinę lepiej, widząc przyjaciela, który walczy w jego imieniu mimo tak trudnych okoliczności.

Optio nie próbował interweniować. Za to centurion w którymś momencie wreszcie uniósł ręce, prosząc o spokój. Weterani natychmiast zamilkli. Wyżsi rangą oficerowie mogli w każdym momencie zastosować najsurowsze kary za wszelkie wykroczenia związane z łamaniem dyscypliny.

Centurion wydawał się ukontentowany, widząc taką reakcję.

– Chciałbym się dowiedzieć, co, na Hades, tu się właściwie dzieje. Niech mówi tylko jeden i niech nikt nikomu nie przerywa! – wskazał swoją trzcinką z winorośli Petroniusza. – Poskarżyłeś się na zachowanie legionistów swojemu *optio*, dlatego zaczniemy od ciebie.

Petroniusz opowiedział w skrócie, jak zaprowadził po bitwie Romulusa nad strumień, i o tym, że zaczepili ich weterani, którzy zwrócili uwagę na jego ranę na głowie.

– To wszystko jest jakimś nieporozumieniem, centurionie. Proszę na niego spojrzeć. Jest na wpół ogłuszony. Pewnie nie wie, z kim dziś walczył, a co dopiero skąd ma starą bliznę na nodze. Ten głupi sukinsyn nigdy nie walczył z Gotem.

Centurion przyglądał się uważnie oszołomionemu Romulusowi, ubranemu w pokrwawioną tunikę. Uśmiechnął się.

– To brzmi wiarygodnie, ale oskarżenie, że jest niewolnikiem, to niebłaha sprawa.

Spojrzał na czarnowłosego prowodyra całego zdarzenia.

– Co masz do powiedzenia?

– Ten pies nie jest tak ciężko ranny – odezwał się weteran z wściekłością. – I on sam przyznał, że ranił go Got. W *ludus*! Jakich innych dowodów można jeszcze chcieć?

Jego kompani wydali z siebie serię gniewnych pomruków, ale nie odważyli się odezwać ani słowem w obecności przełożonego, który jasno określił zasady.

Centurion zmarszczył brwi i obrócił się w stronę *optio*, zezowatego mężczyzny z Kampanii, którego Romulus jakoś nigdy specjalnie nie lubił.

– Jak ten chłopak radził sobie podczas walki? Można go w ogóle nazwać żołnierzem?

– Tak jest. Jest dobrym legionistą – na chwilę Romulus poczuł się podniesiony na duchu – ale przyłączył się do legionu w dziwnych okolicznościach.

Zainteresowany centurion pokazał, żeby kontynuował.

– To było w czasie nocnej bitwy w Aleksandrii. Razem z moimi ludźmi pełniliśmy straż na Heptastadionie, gdy znikąd pojawiła się ta para. Ten tu i jego podejrzanie wyglądający towarzysz. Pochodzili z Italii i byli dobrze uzbrojeni, dlatego zostali siłą wcieleni do oddziału.

Centurion pokiwał głową z aprobatą.

– Skąd się wzięli?

– Mówili, że pracowali dla bestiariusza, który przybył z południa.

– I to jest ten drugi? – zapytał centurion, wskazując Petroniusza.

Optio zmarszczył czoło.

– Nie. Tamten zniknął tej samej nocy. Niestety, przed zakończeniem walk tego nie zauważyłem. Później nie znaleźliśmy po nim żadnego śladu.

– Podejrzane... – mruknął centurion. – Bardzo podejrzane. – Trącił Romulusa nogą. – Czy jesteś zbiegłym niewolnikiem?

Romulus miał trudności, żeby skupić się na kierowanych do niego słowach. Przez chwilę jego wzrok błędził po twarzach wszystkich zgromadzonych. Na wszystkich, poza twarzą Petroniusza, widział nienawiść lub obojętność. Poczuł się znużony. Nie chciał kontynuować tej maskarady.

– Tak. Jednak Petroniusz, mój towarzysz broni, nie miał o tym pojęcia – cedził powoli słowa.

Petroniusz wyglądał na załamane, chociaż przecież Romulus właśnie oczyszczał go z zarzutów.

– Mówiłem! – czarnowłosy żołnierz wykrzyknął z oburzeniem. – Miałem rację. Czy możemy teraz ukrzyżować tego drania?

– Nie. Mam lepszy pomysł – odezwał się centurion. – Cezar zamierza po powrocie do stolicy zorganizować triumf, jakiego Rzym jeszcze nie widział. Będzie potrzebował wielu ludzi na arenie, a nie znajdzie ich tylu w szkołach gladiatorów ani w więzieniach. Może ta szumowina raz już uciekła z areny, ale drugi raz jej się to nie uda. Zakujcie ich. Obaj świetnie sprawdzą się jako *noxii*.

Zadowoleni z obrotu sprawy weterani uśmiechali się teraz od ucha do ucha.

Petroniusz natomiast nie mógł uwierzyć własnym uszom. Zaciśnął pięści. Wysłanie na arenę do walki na śmierć i życie z przestępcami, mordercami i dzikimi zwierzętami było dla niego wielkim poniżeniem. Po chwili spojrział na rozpromienione twarze oprawców. Gdyby chwycił za broń, zginąłby w mgnieniu oka. Uznał, że lepiej zrezygnować z walki, żeby zachować życie. Rozluźnił zaciśnięte palce i nie opierał się, gdy dwaj legioniści związywali go liną.

– Nie... – wychrypiął Romulus, bez powodzenia próbujący wyplątać się z krępujących go więzów. – Petroniusz nie jest niczemu winien!

– Co ty powiesz? Ten głupiec wybrał sobie niewolnika za towarzysza. Zasługuje na równie żałosną śmierć jak ty – szydził centurion.

– Skąd miał wiedzieć! Zostawcie go!

Centurion nie powiedział ani słowa, tylko kopnął Romulusa w głowę wzmocnionymi ćwiekami *caligae*.

Chłopak osunął się w ciemność.

Obudziły go palce myszujące po jego ranie na głowie. Otworzył oczy, żeby stwierdzić, że jest w obozowym *valetudinarium*, składającym się z kilku dużych namiotów medyków, ustawionych w pobliżu kwatery dowódców. Słońce już chowało się za wzgórzami. Kończyny mu

zdrętwiały, bo ciągle był związany. Badał go jakiś mężczyzna o ziemistej cerze, w fartuchu noszącym ślady krwi. Po Petroniuszu nie było śladu. W pobliżu stał tylko wyraźnie znudzony strażnik. Zrozpaczony Romulus zamknął oczy.

Wkrótce lekarz stwierdził – posługując się greką – brak złamania kości czaszki. Oczyszczył ranę *acetum* i użył metalowych klamerek, żeby podciągnąć i połączyć rozcięte kawałki skóry. Zakładanie każdej z nich sprawiało ogromny ból, gdyż medyk obchodził się z nim bez zbędnych ceregieli. Potem obwiązał mu głowę szorstkim bawełnianym bandażem. Ubrany w starą tunikę pacjent został odprawiony i mógł opuścić *valetudinarium*. Na pomoc czekało wielu rannych, którzy bardziej niż on potrzebowali opieki. Romulus został brutalnie podniesiony na nogi, a legionista doprowadził go do więziennej izby, znajdującej się przy drewnianej palisadzie, obok głównej bramy obozu. Został bezceremonialnie wepchnięty do środka. Opadł na podłogę bez sił. Gdy drzwi się zatrzasnęły, Romulus leżał przez chwilę bez ruchu, rozmyślając o tym, w jak trudnej znalazł się sytuacji.

– Romulus? – usłyszał głos Petroniusza, dobiegający gdzieś z bardzo bliska.

Udało mu się przewrócić na brzuch i rozejrzeć po pomieszczeniu. Wewnątrz znajdowało się siedmiu mężczyzn. Jego towarzysz zbliżył się do niego i chwycił w ramiona. Pomógł mu przenieść się bliżej jednego narożnika, z dala od reszty. Siedzieli teraz ramię w ramię na twardym klepisku, opierając się plecami o ścianę.

– Przepraszam cię – pierwszy cicho odezwał się Romulus. – Nie powinno cię tu być. To wszystko moja wina.

Petroniusz westchnął ciężko.

– Nie mogę powiedzieć, że nie byłem na ciebie zły, gdy to się stało. – Romulus już coś zaczął mówić, ale starszy towarzysz uniósł rękę, żeby go uciszyć. – Te dranie zaatakowali mnie jak sfora psów. Obrzydliwe. To dało mi do myślenia. Bo sam byłem kiedyś do nich podobny – kontynuował Petroniusz smutnym głosem. – A przecież jestem obywatelem Rzymu. Tak samo jak oni. Skąd mogłem wiedzieć, że jesteś niewolnikiem? Mieli to w dupie. Nikogo nie obchodziło, że udowodniłeś swoją odwagę nie tylko na moich oczach, ale przed całym

Legionem XXVIII. Niewolnicy walczyli już dawniej dla Rzymu. Na przykład przeciwko Hannibalowi. – Petroniusz westchnął ponownie. – Najwyraźniej nigdy później.

Romulus czekał.

Petroniusz spojrział mu w oczy.

– Zawdzięczam ci więcej, mój towarzyszu, niż jestem winien któremukolwiek z tych drani z szóstego czy centurionowi.

Te pełne akceptacji słowa bardzo wiele znaczyły dla Romulusa. Zneutralizowały poczucie odrzucenia, z jakim się wcześniej zetknął. Teraz byli z Petroniuszem braćmi krwi. Łączyła ich taka więź, jaka dawniej łączyła go z Brennusem. Wzruszenie odebrało mu głos. Dlatego wyciągnął tylko w milczeniu prawą rękę. Petroniusz złapał go za przedramię tak, jak wymieniają uścisk towarzysze broni.

– Wiesz, co z nami będzie? – zapytał Romulus.

– Gdy tylko oczyszczą ten teren z niedobitków, Cezar i Legion VI ruszają w stronę morza. Zabiorą nas ze sobą. Podobno w Italii znów robi się niespokojnie. Nasi nowi towarzysze twierdzą, że weterani burzą się w związku z jakimiś niespełnionymi obietnicami – Petroniusz wskazał głową mężczyzn osadzonych w więzieniu razem z nimi.

– Co oni zrobili? – Romulus pytająco uniósł brwi.

– Złamali formację w czasie walki i próbowali uciec z pola bitwy – rzekł Petroniusz z niesmakiem.

– Dziwię się, że od razu ich nie ukrzyżowali.

– Myślę, że Cezar potrzebuje ofiar. Ludzi, którzy umrą w czasie towarzyszących triumfowi spektakli.

Spojrzeni po sobie, z trudem ukrywając lęk przed tym, co przyniesie jutro.

Mniej więcej miesiąc później Romulus i Petroniusz wraz z innymi więźniami dotarli na południowo-zachodnie wybrzeże Azji Mniejszej, gdzie czekała flota Cezara. Zmuszono ich do marszu za taborem legionu z łańcuchami na rękach i nogach. W milczeniu znosili brutalność oprawców. Wdychali pył, który długo unosił się w powietrzu po przemarszu kohort Legionu VI. Rzadko kiedy dostawali coś do zjedzenia, a racje wody ograniczono do minimum. Jeśli któryś z nich spojrział krzywo na eskortującego strażnika, mógł spodziewać się

bezlitosnego bicia. Lepiej było się nie wychylać i milczeć. I tak właśnie postępowali ci dwaj przyjaciele. Ponadto starali się również trzymać z daleka od towarzyszy niedoli, preferując własne towarzystwo. Woleli nie spoufalać się z tchórzami, którzy uciekli z pola walki. Trudno im jednak było ignorować wizyty ciemnowłosego weterana i jego kompanów. Ci bowiem pojawiali się codziennie, zasypując ich obelgami i obraźliwymi komentarzami. Trwało to dopóty, dopóki oprawcy nie znudzili się albo dyżurny oficer odpowiadający za transport więźniów nie kazał im odejść.

Na szczęście dla Romulusa rana głowy okazała się niegroźna. Cięcie szybko się wygoiło i już po dziesięciu dniach medyk usunął metalowe klipsy. Oczywiście pozostała mu na pamiątkę długa, czerwona szrama, dobrze widoczna na głowie z krótko przystrzyżonymi włosami. Będzie przypominała mu o tym, jak niebezpieczny może okazać się wróg uzbrojony w *rhomphaia*. *Cóż, ta wiedza na wiele mi się nie przyda, bo ileż mi dni życia zostało* – skonstatował gorzko Romulus, spoglądając na flotyllę rzymskich triem, które miały zanieść ich do Italii. Dotychczas rutyna towarzysząca długiemu marszowi i wznoszeniu kolejnych obozów sprawiała, że miał jakieś wrażenie normalności, zapominając na jakiś czas o tym, co ich czeka. Widok okrętów spowodował, że wrócił do smutnej rzeczywistości. Humoru nie poprawiały mu też myśli dotyczące braku jakiegokolwiek wiadomości od Fabioli. Nawet jeśli usłyszała, co chciał jej przekazać, i wysłała do niego jakiś list, nikomu nie przyjdzie do głowy szukać go wśród skazańców, przyszlých *noxii*, ludzi, którzy umrą na arenach. W tym kontekście ich spotkanie w Aleksandrii wydawało mu się okrutnym żartem bogów.

On i Petroniusz nie próbowali jednak wypierać z umysłu nowej rzeczywistości. Poza tym, że każdego dnia pokonywali na piechotę dwadzieścia mil, starali się wykonywać dużo ćwiczeń. Gdy tylko kolumna rozbijała obóz, biegali w miejscu, robili pompki i próbowali swoich sił w zapasach. Byli żołnierzami i to, czy będą mieli kondycję, czy nie, mogło zdecydować o tym, czy będą żyli, czy umrą. A jednak trudno było zignorować myśl, że ta ciężka praca – z uwagi na ich aktualną sytuację – jest tylko niepotrzebnym wysiłkiem. Celem życia, które im pozostało, była śmierć ku uciesze tłumów na arenie. A mimo to

byli zdeterminowani, aby jak najlepiej przygotować się do ostatniej walki.

Gdy wsiadali na pokład triremy w pachnącej żywicą zatoce, Azja Mniejsza żegnała ich cudowną letnią pogodą. Bez przeszkód dotarli do Brundisium. Podczas całej podróży Romulus często wspominał Brennusa i Tarkwiniusza. Przed kilku laty przybył do tego portu w towarzystwie wielkiego Gala, marząc o wydostaniu się z Italii i przygodach. Tam po raz pierwszy spotkali haruspika, który też zaciągnął się do armii Krassusa zmierzającej na podbój Partii. Wówczas był pełen nadziei. Przeżył tak wiele przygód. A teraz wraca tą samą drogą, ale w łańcuchach. Czuł się niewiarygodnie samotny. To wszystko było takie nierzeczywiste. Musi zapomnieć o zemstce na Gemellusie. Nie będzie radosnego spotkania z Fabiolą. Gdy dotrze do Rzymu, czeka go straszna śmierć wśród wrzawy urągającego mu tłumu. Tarkwiniusz miał rację. Wróci do Rzymu. Tyle że to nie będzie szczęśliwe zakończenie jego przygody.

Tylko obecność Petroniusza – mimo tych wszystkich okoliczności ciągle nie tracącego nadziei – podtrzymywała go na duchu i sprawiła, że całkowicie nie zapadł się w siebie. Gdy opuścili pokład triremy, Romulus poczuł się odrobinę lepiej. To, że słyszał wokół siebie ludzi używających łaciny – po raz pierwszy od ośmiu lat – w pewnym sensie działało na niego kojąco. Podobnie jak widok znanych mu budynków w mijanych rzymskich miastach. Pewną przyjemność sprawiało mu nawet podziwianie gospodarstw i okolicy obleczonej w jesienne barwy. O wiele gorzej znosił reakcję Rzymian na widok więźniów w łańcuchach. Weterani z Legionu VI witani byli pełną zachwyty wrzawą oklasków i girlandami kwiatów, a ich spotykały tylko upokorzenia. Drwiono z nich i opluwano.

Po kilku tygodniach Romulus z zadowoleniem skonstatował, że znajdują się już blisko Rzymu. Widział mury stolicy. Jednak Legion VI nie pozbył się swoich więźniów od razu. Wszystkich znowu zamknięto na noc w klatce za palisadą, podczas gdy oddziały gorączkowo przygotowywały się do... walki! Na powitanie Cezara wyszły bowiem zbuntowane legiony. Weterani Legionu IX i X, ale nie tylko, obozowali pod murami miasta. Były ich tysiące. Wieści o tym niemiłym

„powitaniu” docierały do kolumny Legionu VI, gdy tylko opuścili Brundisium i ruszyli na północ. Nawet jeńcy wiedzieli, że coś się święci. Po bitwie pod Farsalą część jednostek została wysłana do Italii, gdzie miały czekać na nie obiecane wynagrodzenie i nagrody. Miały – bo na razie się nie zmaterializowały. Niezadowoleni żołnierze wkrótce zaczęli głośno domagać się uznania ich praw. Z każdym dniem sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Wiedzieli, że Cezar będzie ich potrzebować, wszyscy bowiem zdawali sobie sprawę, iż trzeba będzie jeszcze rozprawić się z pompejańczykami w Afryce. Tymczasem jednak oficerowie wysłani do wicherzycieli przez Marka Antoniusza zostali obrzuceni kamieniami. W sprawę zaangażował się Salustiusz, charyzmatyczny sprzymierzeniec Cezara. Jednak nawet jemu nie udało się dogadać z protestującymi weteranami. Miał szczęście, że uniósł cało głowę.

Buntownicy nie zmienili nastawienia, nawet gdy dowiedzieli się, że do Italii wrócił sam Cezar. Pomaszerowali na Rzym. Uzbrojeni po zęby byli realnym zagrożeniem dla porządku w Republice. Cezar zdawał się nie widzieć lub nie rozumieć tego zagrożenia. Rozkazał, aby Legion VI rozbił obóz w odległości zaledwie mili od pozycji buntowników. To, że być może przyjdzie im walczyć z posiadającym sporą przewagę liczebną nieprzyjacielem, przyjęto w legionie z dużym niepokojem. Nieprzyjacielem? To byli ich krajanie! Więcej. Towarzysze broni! Tej nocy jednak nie doszło do żadnych walk. Mimo że Romulus czuł na karku oddech śmierci, zastanawiał się zaciekawiony, co też takiego uczyni generał. Tymczasem jednak – co niewiarygodne – przed południem następnego dnia było już po wszystkim! Rozradowani strażnicy zdali relację z wydarzeń.

Wczesnym, chłodnym jesiennym świtem Cezar wybrał się do obozu buntowników w towarzystwie tylko kilku zaufanych ludzi. Tam wspiął się na przygotowane dla niego podium i przemówił do żołnierzy. Gdy tylko w obozie buntowników rozeszła się wieść o jego przybyciu, ludzie tłumnie wylegli z namiotów, żeby usłyszeć, co ma do powiedzenia. Ci, którzy z nim poszli, relacjonowali, że na początku Cezar po prostu zapytał żołnierzy, czego pragną. Ci zasypali go skargami, aż w końcu zaczęli domagać się również zgody na

demobilizację. Jako że Cezar był doświadczonym i wytrawnym mówcą, świetnie wybrał chwilę i obiecał natychmiastowe zwolnienie każdego z nich z obowiązku walki dla Rzymu oraz wypłatę zaległego żołdu. Był to dobrze przemyślany manewr, który całkowicie rozbroił buntowników, nastawionych na trudną walkę. Cezar umiejętnie grał na podtekstach: zwracał się do buntowników, używając słowa „obywatele”, a nie „towarzysze broni”, żeby im uzmysłowił, że od tej chwili nie są już częścią jego armii.

Zaskoczeni legioniści zaczęli go wtedy błagać, aby zechciał przyjąć ich pomoc w czasie nadchodzącej kampanii w Afryce. Cezar wielokrotnie odmawiał. Próbował nawet zakończyć to spotkanie i zbierał się do odejścia. Jednak apele żołnierzy stawały się coraz bardziej żarliwe. Obiecywali, że nie będzie potrzebował żadnych innych wojsk do sięgnięcia po zwycięstwo. Mistrzowską zagrywką Cezara okazała się zgoda na przyjęcie z powrotem do służby wszystkich, poza żołnierzami z Legionu X. Dyktator stwierdził, że najmocniej zawiódł się właśnie na tej jednostce. Legion X był bowiem najbardziej uprzywilejowaną i najczęściej nagradzaną jednostką armii rzymskiej, dlatego żołnierze tego legionu powinni bez zwłoki przejść na zasłużoną wojskową emeryturę. Wtedy ci dumni żołnierze padli na kolana i prosili, aby ich dowódca zdziesiątkował legion w zamian za zgodę na przyłączenie do jego armii. Wtedy niby w ostatecznym geście wielkoduszności i pojednania Cezar przyjął łaskawie cały Legion X z powrotem do armii niczym gromadę krnąbrnych dzieci tulonych do piersi, kończąc bunt, zanim ten wymknął się spod kontroli.

Usłyszawszy tę historię, Romulus nie mógł wyjść z podziwu dla pomysłowości dyktatora. Miał coraz więcej uznania dla Cezara. Przez ostatnie tygodnie Petroniusz opowiadał mu o Alezji, Farsali i innych odniesionych przez niego zwycięstwach. Podczas kampanii w Poncie chłopak widział na własne oczy, jak Cezar odwraca losy starcia i wygrywa bitwę, która już wydawała się przegrana. Jednak to umiejętność radzenia sobie w każdych okolicznościach – i to nie tylko na polu walki, ale i w trudnej sytuacji buntu grożącego eksplozją – sprawiała, że Romulus zaczął patrzeć na dyktatora inaczej. Te umiejętności czyniły go wyjątkowym liderem. Cezar umiał zatem

prorowadzić swoje legiony do walki z przeważającym liczebnie wrogiem i wygrywać te starcia, ale potrafił też po prostu przewodzić ludziom tak, jak nikt inny. Krassus był jego przeciwieństwem. Dowodził bez charyzmy i bez emocji. Mimo że Romulus miał okazję służyć Cezarowi tylko przez kilka miesięcy, z uśmiechem zadowolenia przyjmował to, że dane mu było go poznać przed śmiercią.

Gdy poradzono sobie z buntownikami, żadnych dalszych opóźnień już nie było. Cezar pospieszył do stolicy na spotkanie z Markiem Antoniuszem i członkami senatu. Żołnierze z Legionu VI otrzymali pozwolenie na zdeponowanie broni i zajęcie się własnymi sprawami. Większość z nich natychmiast rozproszyła się po lokalnych tawernach i domach uciech. Po kilku dniach pewnie wrócą do rodzin. Tego samego dnia zdecydował się również los więźniów. Centurion, który orzekł o winie Romulusa i Petroniusza, poprowadził kolumnę kajdaniarzy pod silną eskortą do miasta.

Petroniusz nigdy wcześniej nie widział Rzymu. Dziwiło go wszystko. Widok grubych ścian muru serwiańskiego, ogrom gmachów i liczba mieszkańców. Tymczasem Romulus nie mógł pozbyć się dziwnego niepokoju. Ileż to lat temu przemierzał te ulice na rozkaz Gemellusa jako chłopiec na posyłki! Nie tak wyobrażał sobie powrót do miasta swojego dzieciństwa. Nawet widok ogromnej świątyni Jowisza na szczycie Kapitolu sprokurował zaledwie błysk radości w jego sercu, który natychmiast zniknął w cieniu wspomnień, gdy minęli skrzyżowanie w pobliżu *domus* Gemellusa. Pomimo przejściowych trudności finansowych, o których opowiadał mu Hiero, kupiec mógł wciąż jeszcze tam mieszkać. Romulus poczuł w brzuchu mdlący ucisk. Znajdował się sto kroków od drzwi człowieka, którego poprzysiągł zabić, a nie mógł nic zrobić.

Wkrótce znaleźli się pod bramą *Ludus Magnus*, największej rzymskiej szkoły gladiatorów. Strach, o którym już dawno zapomniał, znów zagościł w jego sercu. Miał wrażenie, że przestało bić. Przecież to właśnie stąd uciekli z Brennusem. Jak się okazało, zupełnie niepotrzebnie. To Tarkwiniusz zabił rudowłosego nobila. Nie Romulus. Minęło tyle czasu od chwili, gdy dowiedział się, co tak naprawdę zaszło pod bramą Lupanaru. Jego ognista wściekłość zmieniła się w sączącą się

gorycz. Wiele razy zastanawiał się, jak potoczyłyby się jego losy, gdyby nie uciekł z Rzymu. Teraz czuł tylko żal. Brennus mógł żyć. Obaj mogli już dorobić się *rudis*. Mogli... Cóż, mimo wszystko Romulus nie był naiwny. Gdzieś w głębi duszy czuł, że Tarkwiniusz postąpił tak, jak postąpił, bo kierował się swoimi priorytetami. Czynił zgodnie z podpowiedziami wiatru i gwiazd. Czy jego przepowiednie nie okazały się trafione w kwestii Carrhae, czy tego, co zdarzyło się w Margianie? Spędzili ze sobą tyle czasu, że Romulus wiedział, iż haruspik ma zasady i nie działa kierowany czystą złośliwością. Na pewno rozmyślnie nie chciałby go skrzywdzić.

Ta świadomość pomogła mu się podnieść. Wyprostował plecy i przeczytał napis wyryty na kamieniu nad główną bramą: *Ludus Magnus*. Gdy zobaczył go po raz pierwszy, był niepiśmiennym, nieumiejącym czytać trzynastolatkiem i tylko domyślał się znaczenia tych słów. Dzięki Tarkwiniuszowi teraz potrafił je przeczytać. To, że znalazł się akurat tu, było niesamowitym zrzędzeniem losu. W Rzymie działały wszak cztery *ludi*. A tymczasem znalazł się właśnie tu, w miejscu, gdzie zaczynał swoją przygodę jako gladiator. Gdy centurion zażądał otwarcia bramy, na chwilę na jego ustach pojawił się wieloznaczny uśmiech.

Chwilę później ich podkute ćwiekami *caligae* zadudniły echem w krótkim korytarzu, który prowadził przez grube mury na otwarty plac ćwiczeń. Na wewnętrznym dziedzińcu roiło się od gladiatorów, którzy w popołudniowym słońcu ćwiczyli walkę w parach i pocili się przy *pali*, grubych drewnianych słupach wysokich na człowieka. Wśród nich po gorącym piasku przechadzali się trenerzy z biczami w rękach. Wykrzykiwali słowa zachęty, przygany lub wydawali polecenia. Wiklinowe tarcze i drewniane miecze ważyły dwa razy tyle, co normalna broń, a mimo to mężczyźni wywijali nimi z zapalem, tańcząc, siekając, dźgając i przeszywając wyimaginowanych wrogów. Romulus nie znał żadnego z trenujących gladiatorów, a jego serce krwawiło. Sekstus, mały Hiszpan, Otho i Antoniusz, dwaj zaprzyjaźnieni gladiatorzy... wszyscy oni już pewnie nie żyli. Zapewne odszedł także Cotta, jego pierwszy trener i przewodnik po świecie gladiatorów. Zerknął na drzwi, które kiedyś prowadziły do pokoju Astorii, nubijskiej kobiety Brennusa. Nie spodziewał się, że ją zobaczy. Na murach, jak dawniej, przechadzali się

groźnie wyglądający łucznicy lanisty, uważnie śledzący to, co dzieje się na placu treningowym, gotowi zareagować na każde naruszenie dyscypliny. *Nic dziwnego, że nie ma tu Astorii* – pomyślał ponuro Romulus. – *Memor na pewno sprzedał ją do burdelu.*

Uwagę Romulusa przykuły dwie grupy gladiatorów. Trakowie ze swoimi kwadratowymi tarczami i zakrzywionymi mieczami oraz *murmillones*, w charakterystycznych hełmach zakończonych rybą. Po chwili dostrzegł też dwie pary *retiarii*, sparujących z taką samą liczbą *secutores*, którzy należeli do tej samej klasy. Zatrzymał się na chwilę, aby przyrzeć im się bliżej. Od razu poczuł jednak uderzenie w plecy.

– Ruszaj się... – warknął jeden z legionistów, szturchając go *pilum*.
– Za centurionem.

Romulus przełknął gniew i wykonał polecenie. Wkrótce wszyscy ustawili się w rzędzie przed... znajomą postacią. Memor, lanista *Ludus Magnus* we własnej osobie. Nigdy by nie pomyślał, że kiedykolwiek spotka go ponownie na swojej drodze. A zatem nie wszystko się zmienia. Może skóra Memora stała się jeszcze ciemniejsza od opalenizny, a ramiona miał lekko przygarbione, ale ruszał się jak dawniej sprężyste, a jego sposób bycia – włącznie z władczym tonem – pozostały bez zmian. Podobnie jak sarkastyczny humor. Romulus poczuł, że na żołądku zaciska mu się jakaś pętla. *Czy Memor mnie rozpozna?*

– Co my tu mamy? – odezwał się lanista przeciągłym głosem. – Dezerterzy?

– Głównie tchórze – odrzekł centurion. – Próbowali wziąć nogi za pas w samym środku bitwy.

Pełen dezaprobaty Memor zamachnął się batem, który wzbijał drobinki kurzu w powietrze.

– No to niezbyt sprawdzą się jako gladiatorzy... Dlaczego tych kundli od razu nie ukrzyżowano?

– Obchody triumfu i święto ogłoszone dla uczczenia niedawnych zwycięstw Cezara będą huczne, a nam brakuje uczestników. Mają wejść na arenę jako *noxii*.

Memor wykrzywił usta z niesmakiem.

– Tylko że to nie moja klasa...

Wyłącznie dlatego, że nie da się na tym zarobić pieniędzy – pomyślał Romulus kwaśno.

– Jeśli ich weźmiesz do siebie i przygotujesz do walki, zrobisz przysługę Cezarowi.

Memor natychmiast się rozpromienił.

– Dlaczego nie mówisz tak od razu? To dla mnie zaszczyt. Zadbam, aby te bękarty były gotowe na śmierć. Może nawet uda mi się sprawić, że się sprawdzą. – Spojrzał na więźniów nieprzyjemnym wzrokiem. Gdy przeniósł wzrok na Romulusa i Petroniusza, przyglądał im się trochę dłużej.

– A ci dwaj? Dlaczego ich tu przyprowadziłeś?

Centurion prychnął.

– Jeden z nich jest cholernym niewolnikiem, który miał czelność dołączyć do legionów.

Zdziwiony Memor uniósł krzaczaste brwi.

– A drugi?

– Jego głupi przyjaciel. Próbował bronić niewolnika, gdy sprawa się wydała.

– Ciekawe... – Memor taksował ich wzrokiem, zerkając to na jednego, to na drugiego. Jego bicz ciągnął się za nim, zostawiając ślad na piasku. Zbliżył się do Petroniusza, wpatrując się w niego tak, jak lampart patrzy na ofiarę.

Weteran odwzajemnił spojrzenie. W jego wzroku widać było pogardę.

– Wciąż dumny, co? – Memor się uśmiechnął. – To się może wkrótce zmienić.

Petroniusz miał dość oleju w głowie, żeby nic nie odpowiedzieć.

Memor stanął teraz przed Romulusem, który licząc, że nie zostanie rozpoznany, odwrócił wzrok. Jednak szpakowaty lanista złapał go za szczękę i wykręcił mu głowę. Romulus poczuł się, jakby znów miał trzynaście lat. Zajrzał swoimi ciemnoniebieskimi oczyma głęboko w czarne studnie oczu Memora. Patrzyli na siebie bez słowa przez dłuższą chwilę.

– Który ma być niewolnikiem? – zapytał nagle Memor.

– Ten, na którego patrzysz.

Memor zamyślił się, marszcząc czoło.

– Duży nos, niebieskie oczy. Dobrze zbudowany.

Puścił brodę Romulusa i podciągnął prawy rękaw jego wojskowej tuniki. Tam, gdzie znajdowała się marka niewolnika, teraz była tylko szeroka, prostokątna blizna, częściowo zasłonięta tatuażem przedstawiającym Mitrę w scenie ofiarowania byka. Każdy znający się na rzeczy człowiek od razu stwierdziłby, że Romulus musiał być niewolnikiem. Brennus postarał się jak mógł, ale daleko mu było do wprawy wykwalifikowanych chirurgów, specjalizujących się w usuwaniu znaku u bogatych niewolników, którzy uzyskali *manumissio*. Natomiast tatuaż, za który Romulus zapłacił w Barbaricum, był zaledwie estetycznym zabiegiem, pomagającym odciągnąć uwagę od blizny. Memor od razu zorientował się, na co patrzy. Zrobił kilka kroków do tyłu i zmierzył Romulusa od stóp do głów.

– Na wszystkich bogów! – Krew napłynęła mu do twarzy – Romulus? Czy nie tak się nazywasz?

Zrezygnowany Romulus skinął głową.

Centurion zdębiał.

– Znasz go?

Memor zaklął straszliwie.

– Ten skurwysyn należy do mnie! Osiem lat temu on i mój najlepszy gladiator bez pozwolenia wybrali się na noc do miasta i zamordowali pewnego arystokratę. Oczywiście potem te dranie zwały z miasta. Rozpłynęli się w powietrzu, chociaż słyszałem plotkę, że dołączyli do oddziałów ekspedycyjnych Krassusa.

Centurion zaśmiał się nieprzyjemnie.

– Nic o tym nie wiem, ale ten tu na pewno znalazł się w jednym z legionów Cezara.

– Byłem w armii Krassusa – mruknął Romulus. – Tysiące naszych trafiło do niewoli pod Carrhae. Mnie i mojemu przyjacielowi udało się uciec kilka miesięcy później.

Petroniusz i centurion spojrzeli na niego nierozumiejącym wzrokiem. Oprócz Kasjusza Longinusa i resztek jego legionu nikt biorący udział w tej katastrofie nie powrócił do Rzymu.

– Ty i ten wielki Gal? Gdzie on jest? – Memor zareagował szybkim

pytaniem.

– Nie on – Romulus westchnął ciężko. – On nie żyje.

Na twarzy lanisty pojawiło się rozczarowanie.

Podczas gdy Romulus znów wrócił myślami do ostatniego pożegnania z Brennusem, widział, jak Memor zaczyna spoglądać na niego innym wzrokiem. Kalkulował. Był wyrachowany. Umiał liczyć. Romulus był przecież świetnym gladiatorem. A trafił tu, gdy miał niespełna czternaście lat. Teraz był dorosłym mężczyzną, z doświadczeniem w armii. Z natury rzeczy musiał zatem być jeszcze lepszy niż dawniej.

– Sądzę, że powinienem odzyskać tego tutaj niewolnika. Nie musi być wysłany na śmierć? – zapytał Memor. Przerwał na chwilę, ale nie mógł się powstrzymać. – Przecież tak czy owak należy do mnie.

– Nie liczyłbym na to. Ten skurwysyn wstąpił do armii jako niewolnik, co oznacza, że aż do śmierci to ja za niego odpowiadam – odezwał się twardym głosem centurion. – Nie dbam o to, czy jest, kurwa, nawet samym Spartakusem. On i jego przyjaciel mają trafić na piasek areny. I już stamtąd nie wrócić.

A zatem nie było żadnej szansy, aby Memor odzyskał pieniądze, które stracił po ucieczce Brennusa i zniknięciu Romulusa. Wściekły uniósł rękę, w której trzymał bat.

– Już ja cię nauczę rozumu... – wysyczał.

– Nie waż się ich uszkodzić – ostrzegł centurion. – Cezar będzie spodziewał się widowiska najwyższej klasy i na pewno nie chce poturbowanych kalek, które natychmiast wyzioną ducha.

Pozbawiony nawet satysfakcji wyzycia się Memor opuścił rękę.

– Nie mogę okazać niewdzięczności. Z przyjemnością popatrzę, jak umierasz – skwitował z okrutnym uśmieszkiem. – Wierzę, że *bestiarii* mają teraz spory wybór dzikich zwierząt. Tygrysy, lwy, niedźwiedzie i tym podobne. Słyszałem, że udało się sprowadzić do Rzymu nawet bardziej egzotyczne bestie.

Piątka dezertarów wymieniła wystraszone spojrzenia. Nawet Petroniusz niepewnie zaszurał *caligae*. Romulus zachował nieprzenikniony wyraz twarzy. On też czuł strach, ale nie chciał dać Memorowi satysfakcji.

– Zostawię tę decyzję tobie – odezwał się pojednawczo centurion. Rzucił Memorowi klucze do kłódek. – Mają być gotowi za dwa dni.

Skinął głową na żołnierzy i ruszył przez dziedziniec bez pożegnania.

– Rozkuj ich – Memor przekazał klucze jednemu ze swoich ludzi, chudemu Judejczykowi z wystającymi zębami i zmierzwioną brodą. – A potem znajdź najgorszą celę. Powiedz kucharzowi, że mają nie dostawać żadnego jedzenia. – Po tych słowach wściekły Memor nie zaszczycił ich nawet jednym spojrzeniem.

Uwolnieni z okowów więźniowie pocierali skórę na szyi, gdzie żelazne klamry zostawiły spore otarcia. Po chwili ruszyli za pomocnikiem lanisty, który zaprowadził ich do śmierdzących pleśnią pomieszczeń. W jednej z takich komórek mogło spać koło siebie co najwyżej dwóch lub trzech mężczyzn, nie mówiąc już o ośmiu. Nie było dla nich żadnych materaców ani nawet koców.

Judejczyk uśmiechnął się nieprzyjemnie i zostawił ich.

Przyjaciele od razu wyszli na zewnątrz. Nie widzieli sensu w spędzaniu w tej klitce więcej czasu, niż to było konieczne. Oparli się plecami o mur, oglądając gladiatorów, którzy po krótkiej przerwie na wizytę niespodziewanych gości wrócili do ćwiczeń.

– Za dwa dni trafimy do Hadesu. Niewiele czasu nam zostało – mruknął Petroniusz.

Walcząc z rozpaczą, Romulus ponuro skinął głową.

Petroniusz zacisnął pięści i uderzył jedną o drugą.

– Dlaczego ten czarnowłosy skurwiel musiał się wmieszać? Gdyby nie on... – westchnął zrezygnowany.

– Nie znamy motywów bogów – odezwał się Romulus. Nawet w jego uszach to stwierdzenie zabrzmiało płytko i pusto.

– Oszczędź mi swojej pobożności – Petroniusz odchrząknął i splunął na piasek. – Wiem, że nie zasługujemy na taki los.

Romulus popadł w apatię.

Byli potępieni.

Rozdział X

Igrzyska Cezara



Dwa dni później...

Fabiola jeszcze raz zsumowała liczby na pergaminie i krzywiąc się, stwierdziła, że nie ma znaczenia, ile razy powtórzy tę samą operację, bo wynik i tak za każdym razem będzie taki sam. Równie przygnębiający jak za pierwszym. Minął już jakiś czas od przejścia przez nią Lupanaru, a wyglądało na to, że interesy wcale nie szły lepiej. *A przecież nie próżnuję!* – pomyślała ze złością. Budynek został odnowiony od góry do dołu. Woda w basenach łaźni – wymieniona. Piętnastu zatrudnionych przez Wettiusza osiłków stale kręciło się w pobliżu wejścia i na ulicy. W każdej chwili byli gotowi do walki. Bez naprawdę znacznej przewagi zaatakowanie Lupanaru byłoby równoznaczne z samobójstwem. Dzięki sowitym łapówkom Fabioli udało się również dobić targu z handlarzami niewolników i kupić nowe kobiety: ciemnookie, śniadoskóre dziewczyny z Judei, pochodzące z Illyrii kobiety o długich kruczoczarnych warkoczach, a także Nubijki o skórze ciemnej jak noc. Znalazła się nawet dla niej piękna dziewczyna z Brytanii, o rudych włosach i śmietankowej cerze, której zazdrościła jej sama Fabiola.

Plakaty reklamujące odnowiony Lupanar pojawiły się w całym Rzymie. Chciała w ten sposób nie tylko przyciągnąć nowych klientów, ale i przekonać starych do powrotu. W normalnych okolicznościach takie działania sprawiłyby, że dom pękałby w szwach od gości. Tymczasem ludzie wprawdzie przybywali do jej przybytku, ale była to zaledwie ciurkająca strużka, a nie spodziewana powódź. Fabiola westchnęła.

Chyba nie doceniła wpływu Scewoli na swoją działalność. Nie mogło być żadnych wątpliwości, że ten niefortunny początek nowej epoki w Lupanarze zawdzięczali właśnie jemu, *fugitivarius* bowiem rozpoczął blokadę Lupanaru już następnego dnia po wizycie Antoniusza. Nadzieje Fabioli, że gdy Scewola dowie się o jej romansie z Markiem Antoniuszem, to po prostu zniknie, okazały się płonne. Chociaż nie sądziła, że Antoniusz był świadomy jej konfliktu ze Scewolą, jednak nie odważyła się jeszcze mu o tym wspomnieć. Za każdym razem, gdy tylko o tym pomyślała, jej nowy kochanek akurat zaczynał opowiadać o działaniach swojego pomocnika – i to w samych superlatywach.

Na początku Scewola działał otwarcie, bezpośrednio zastraszając potencjalnych klientów tuż przed bramą Lupanaru. Oburzona Fabiola od razu wysłała do boju Wettiusza i jego ludzi. W uliczce rozgorzała wówczas regularna bitwa. Było kilka ofiar i *fugitivarius* wycofał się na nieco większą odległość, koncentrując się teraz na blokowaniu okolicznych ulic. Odtąd sytuacja przypominała niespokojne zawieszenie broni, przerywane od czasu do czasu jakąś krwawą potyczką. Chociaż wszelkiego rodzaju starcia z bronią w ręku szkodziły jej interesowi, straty wyrządzone przez Scewolę były jeszcze większe, gdyż okazało się, że nie ma żadnego sposobu, żeby powstrzymać jego ludzi przed zniechęcaniem klientów. Ochroniarze Lupanaru nie mogli zabezpieczać budynku i jednocześnie pilnować wszystkich rogów ulicy o każdej porze dnia i nocy.

To było naprawdę deprymujące, a Fabiola zaczynała z coraz większą niepewnością patrzeć w przyszłość. Fundusze Brutusa kiedyś muszą się skończyć, a Lupanar nie przynosił zysków. Wprawdzie nie przeszkadzało jej, że spędza większość czasu w burdelu, ale niewielkie obroty sprawiały, że niezbyt dobrze szło jej z realizacją ukrytego celu, to znaczy rozpoznawaniem potencjalnych spiskowców na wysokich stanowiskach, dzięki którym mogłaby w jakikolwiek sposób zaszkodzić Cezarowi. Każda z jej prostytutek została poinstruowana, że ma powtarzać jej każde słowo usłyszane od klientów nawiązujące do sytuacji politycznej. Uzbrojona w taką wiedzę Fabiola planowała skupić się na tych mężczyznach, którzy mówiliby źle o Cezarze. Tymczasem okazało się, że goście Lupanaru w ogóle rzadko mówili o sprawach

politycznych. Mogła jedynie przypuszczać, że chcąc uniknąć kłopotów, większość mężczyzn po prostu wołała nie poruszać tych kwestii.

Mijały kolejne tygodnie, a Fabiola marnotrawiła czas w Lupanarze na rozmyślaniach, coraz bardziej pograżając się w rozpacz. Nawet Brutus, który pracował od świtu do zmierzchu, zauważył jej zmianę nastroju.

„Zakup tej cholernej wylęgarni wszy był od samego początku złym pomysłem!” – wykrzyczał podczas jednej z częstych teraz kłótni. Zaniepokojona jednoznaczną reakcją Brutusa Fabiola przeszła do defensywy, próbując rozwiać jego obawy. Jej taktyka się sprawdzała. Przynajmniej na razie. Teraz Fabiola starała się wracać do domu przed Brutusem i poświęcać mu wiele uwagi, gdyż zdążył się już do tego przyzwyczaić. Nie mogła sobie pozwolić na otwarty konflikt w domu, zwłaszcza teraz, gdy Marek Antoniusz został jej kochankiem.

Ten impulsywny ruch uczynił jej życie o wiele bardziej skomplikowanym i niebezpiecznym. Tyle że Fabiola tak po prostu nie mogła się powstrzymać. Wszystko zaczęło się od prostego planu. Chciała, aby *magister equitum* stał się jej zabezpieczeniem, na wypadek gdyby rozstała się z Brutusem lub gdyby okazał się pomocny w realizacji jej planu walki z Cezarem. Oczywiście w głębi duszy czuła, że sama się oszukuje. Wszyscy w Rzymie wiedzieli, że Antoniusz to flirciarz, który z upodobaniem deprawuje żony senatorów. Dlatego raczej mało prawdopodobny był scenariusz, że całkowicie straci dla niej głowę lub zacznie ją faworyzować wśród wszystkich innych kobiet, z którymi sypiał. Antoniusz był też najbardziej oddanym człowiekiem Cezara i potrafił grozić śmiercią każdemu, kto tylko pomyślał o nielojalności wobec dyktatora. Gdyby Fabiola zdradziła mu swoje plany, podpisałaby na siebie wyrok śmierci. Wiedziała, że najlepiej dla niej byłoby zakończyć tę znajomość jak najszybciej.

Fabiola zdała sobie z tego sprawę już po kilku pierwszych dniach od poznania Antoniusza, a jednak nie potrafiła się przełamać. Spotykała się z nim zawsze, gdy tylko ją o to poprosił. Cierpiała z powodu poczucia winy i niewierności, ale nie mogła się powstrzymać przed tym pograżaniem się. Wiedziała, że Brutus nie zasługiwał na takie traktowanie. Tylko że to jakoś do niej nie docierało. Nienawidziła swojej

słabości, ale nie zrobiła nic, żeby to zmienić. W głębi duszy wiedziała dlaczego. Powodem jej zaangażowania w romans z Antoniuszem był zwierzęcy magnetyzm tego mężczyzny, ekscytacja odczuwana w jego obecności i imponujący jej styl bycia. *Magister equitum* był wzorcowym samcem alfa, a Brutus po prostu przyzwoitym człowiekiem. W obecności Antoniusza Fabiola nie zawsze czuła się postacią dominującą. To było dla niej nowe, niezwykle doświadczenie. Po tylu latach kontrolowania otaczających ją mężczyzn zdążyła polubić taką zmianę perspektywy. Rozkoszowała się tym, jak Antoniusz rozbierał ją wzrokiem, jak bładził rękoma po jej nagim ciele, i uwielbiała to uczucie, gdy był głęboko w niej.

Fabiola bała się reakcji Brutusa, który przecież w każdej chwili mógł odkryć jej romans. Nigdy nie lubił Antoniusza, a gdy górę brał temperament Brutusa i wpadał w szał, stawał się nieprzewidywalny. Dlatego przy każdym spotkaniu z Antoniuszem Fabiola stosowała daleko idące środki ostrożności. Wymykała się z Lupanaru tylko w towarzystwie Wettiusza lub Benignusza. Na miejsce ich schadzek wybierali zawsze dyskretne zajazdy gdzieś na obrzeżach Rzymu lub któryś z jego prywatnych domów w mieście. Jowina podejrzewała, że z Fabiolą dzieje się coś dziwnego, ale wolała nie pytać. Teraz, gdy przestała być właścicielką Lupanaru, od razu straciła wszystkie swoje „oczy i uszy” i nikt z niewolników czy prostytutek nie zdradzał jej niczego. Fabiola doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jak łatwo może dojść do katastrofy, gdy niewolnicy zaczynają plotkować między sobą albo komuś wymsknie się jedno niewłaściwe słowo w obecności klienta. Wieść o skandalu obyczajowym, jakim był jej związek z prominentnym urzędnikiem państwowym, mógł rozprzestrzenić się szybciej niż zaraza, dlatego właśnie wszystkie spotkania organizowała poza Lupanarem. Prawdę znała tylko Docilosa i dwóch jej najwierniejszych opiekunów. Benignusz i Wettiusz kochali Fabiolę miłością bezwarunkową i nie obchodziło ich, co wyczyniała, a Docilosa, chociaż powiedziała jej, że postępuje głupio, poświęcała teraz dużo uwagi Sabinie, o której istnieniu Fabiola powiedziała Docilosie zaraz, gdy ta tylko trochę wydobrzała.

Chociaż podczas ich schadzek Antoniusz nie mówił zbyt wiele, od czasu do czasu zdarzało się, że wymknęła mu się jakaś uwaga na temat

aktualnej sytuacji politycznej. Fabiola rzucała się zachłannie na te wskazówki niczym sroka na świecidełka. Wiedziała już teraz, że o spisek przeciwko Cezarowi podejrzewa się pół tuzina mężczyzn. Wielu z nich, to znaczy ludzie pokroju Marka Brutusa i Kasjusza Longinusa, dawniej otwarcie sympatyzowali z republikanami, ale po bitwie pod Farsalą uzyskali przebaczenie Cezara. Te nazwiska krążyły gdzieś w umyśle Fabioli w dzień i w nocy, ogromnie ją frustrując. Jak miałyby poznać ich we właściwych okolicznościach i przekonać do swojej sprawy? Z uwagi na jej płeć i fakt, że była wyzwoloną niewolnicą, nie spędzała zbyt wiele czasu w towarzystwie arystokratów. Oczywiście Brutus zabierał ją na spektakle do teatru oraz na uczy, ale w takich oficjalnych sytuacjach nie miała specjalnie możliwości pracować nad realizacją swojego planu. Musiała sprawić, że ludzie, których potrzebowała, a którzy nienawidzili Cezara, zaczynają odwiedzać Lupanar. Żachnęła się. Gdy Scewola panoszył się na okolicznych ulicach, szanse na to były nikłe. Niesamowicie frustrujące błędne koło, z którego nie mogła wyrwać się już od miesięcy. Był tylko jeden sposób, aby je zatrzymać. Będzie musiała poruszyć temat Scewoli z Antoniuszem.

Z rozmyślań wyrwała ją głośnie rozmowa dochodząca z ulicy. Rozpromieniła się. Tym razem jednak zamiast Scewoli ze zbirami do Lupanaru zmierzali jacyś wyraźnie podekscytowani, rozochoceni alkoholem obywatele. W stolicy zbierały się tysiące ludzi z całej bliższej i dalszej okolicy, którzy cieszyli się na igrzyska organizowane przez Cezara. Dla uczczenia jego ostatniego zwycięstwa nad siłami Farnakesa w Azji Mniejszej ogłoszono, że przez kilka następnych tygodni wszyscy będą mogli świętować. Brutus nie mógł się nachwalić gladiatorów, których ściągnięto do stolicy. Wydawało się, że napływ dużej liczby ludzi do miasta utrudniał zadanie osiłkom Scewoli. Nie dało się wpłynąć na wszystkich, co niezmiernie cieszyło Fabiolę. Zerknęła na mały ołtarz znajdujący się w rogu jej biura. Może Mitra lub Fortuna wreszcie się do niej uśmiechnie i ktoś z listy Antoniusza pojawi się w końcu w jej przybytku?

A co z Romulusem? – Znów opadła ją niepewność i poczucie winy. – *Jak mam o nim zapomnieć?* Przez wiele lat zdecydowanie odmawiała zaakceptowania myśli, że jej brat nie żyje. I ta wiara sprawiała, że sama

widziała i dla siebie sens życia. Kulminacyjnym punktem tej historii okazało się nieoczekiwane spotkanie w Aleksandrii. Od tamtej jednak pory nie miała od niego żadnych wieści. W związku z toczącą się w Republice wojną domową legiony Cezara stale się przemieszczały i – jak się okazało – niełatwe było uzyskanie wiarygodnych informacji o ich lokalizacji, nie mówiąc już o dotarciu do pojedynczego żołnierza. Kwatermistrzowie i wyżsi oficerowie, z którymi się skontaktowała, okazali się mniej niż przydatni. Zajęci swoimi sprawami – zaopatrzeniem armii i rekrutacją nowych ludzi do pokrycia strat oraz przygotowaniem armii do nowych kampanii – mieli pełne ręce roboty i nikt nie poświęcał czasu i energii na wyszukiwanie jednego legionisty wśród wielu tysięcy. Do tego imię Romulus nie było zbyt oryginalne, jak trafnie, choć drwiąco, zauważył jeden z centurionów, z którym rozmawiała osobiście.

Fabiola na dłużej utknęła w Rzymie i musiała pogodzić się z myślą, że zobaczy brata ponownie dopiero wtedy, gdy wojna się skończy i żołnierze Cezara wrócą do domów. Oczywiście, jeśli przeżyje. Nie było gwarancji, że tak się stanie. Znów zalała ją fala poczucia winy. Do wstydu dołączyła się teraz niechęć. Czyż nie robiła wszystkiego, co się dało? Codziennie modliła się za Romulusa. Specjalni posłańcy uzbrojeni w informacje zostali wysłani do wszystkich legionów armii Cezara. Co mogła poradzić na to, że nie znaleźli żadnego tropu? Czy była winna, że pozwala sobie także na odrobinę przyjemności? Przecież nie była westalką w świątyni.

– Pani?

Dźwięk głosu Docilosy docierał do zadumanej Fabioli jakby przez mgłę.

– Wiesz, że nie lubię, jak tak się do mnie zwracasz – upomniała Docilosę po raz tysięczny.

– Przepraszam. Stare nawyki.

Jej powiernica ubrana była w płaszcz z kapturem i wyglądało na to, że się gdzieś wybiera.

– Idziesz zobaczyć się z Sabiną?

– Jeśli mogę... – Docilosa uśmiechnęła się nieśmiało.

– Oczywiście. Biegnij – Fabiola odpowiedziała serdecznie. –

Zawsze możesz do niej wyjść.

Radość Docilosy, która aż z niej promieniowała za każdym razem, gdy wybierała się na spotkanie z Sabiną, ciągle ogrzewała jej serce. Jednocześnie też Fabiola czuła jakąś dziwną nostalgię i smutek. Jakby się czuła, gdyby zobaczyła własną matkę po tylu latach? Nigdy się tego nie dowie.

– Bądź ostrożna. Miej oczy szeroko otwarte i uważaj na Scewolę. Docilosa uniosła kaptur.

– Nie martw się. Wettiusz nie pozwoli mi wyjść, zanim nie będzie miał pewności, że na ulicy jest bezpiecznie. – Podobnie jak wszyscy stali bywalcy Lupanaru Docilosa świetnie opanowała umiejętność znikania w tłumie.

Fabiola skinęła głową. Emocje związane z poczuciem winy i pragnienie, aby zobaczyć Antoniusza, wróciły ze zdwojoną siłą. Nie była świadoma, że emocje te od razu ujawniły się na jej twarzy.

Docilosa nie ruszała się z miejsca.

– Co się stało? – zapytała. – Od kilku dni nie jesteś sobą.

Fabiola zmusiła się do mało przekonującego uśmiechu. *Co wzbudziło nagle zainteresowanie Docilosy?*

– To nic takiego – mruknęła.

Przypatrująca się jej kobieta uniosła brew.

– Mam w to uwierzyć?

– Mam dużo na głowie. Scewola nie daje o sobie zapomnieć.

Interes nie kręci się tak, jak sobie wyobrażałam. Moje zasoby nie są nieograniczone.

– W tej materii robimy wszystko, co można – odpowiedziała spokojnie Docilosa. Dalej przyglądała się nieufnie Fabioli. – Chodzi o coś innego, prawda? Widzę to w twoich oczach.

Fabiola spuściła wzrok, mając nadzieję, że jej służąca po prostu zostawi ją w spokoju. Nie umiała ukrywać emocji przed Docilosą, a nadal nie była gotowa, aby ujawnić jej swój plan zgładzenia Cezara. A teraz miała dwie ciemne tajemnice – radość, jaką czerpała z romansu z Antoniuszem, i jej haniebne poczucie winy z powodu tego, że nie szuka Romulusa tak intensywnie, jak należałoby. W tej chwili jej osobiste myśli wydały się jej zbyt ciężkie, żeby dźwigać wszystkie obawy

samodzielnie. Spojrzała na Docilosę.

– Ja... – zawahała się.

– Powiedz mi. Wysłucham cię.

Powinam jej wszystko wyjaśnić. Wszystko. Każdy najmniejszy szczegół. Zrozumie. Pomogła mi, gdy nie mogłam już poradzić sobie z czarnymi myślami po klęsce armii Krassusa pod Carrhae. Fabiola dobrze pamiętała, w jak złym stanie była akurat tego samego dnia, gdy Brutus pojawił się z *manumissio*. To właśnie Docilosa poświęciła jej wtedy swój czas. Cierpliwie wysłuchiwała. Uspokoiała. I dopiero potem wysłała ją na spotkanie z kochankiem, które okazało się najważniejszym wydarzeniem w jej życiu.

– Chodzi o Cezara... – zaczęła. – I Romulusa. I jeszcze... – zaschło jej w gardle.

Docilosa dokończyła zdanie za Fabiolę.

– Marka Antoniusza?

Skinęła głową. Nie umknęła jej surowa dezaprobata w tonie Docilosy.

Nie było czasu, aby kontynuować rozmowę, gdyż w tej samej chwili pojawił się klient. Wszedł przez próg, wymieniając jeszcze przez ramię jakieś ostatnie słowa w dyskusji z Wettiuszem. Duży, dobrze zbudowany mężczyzna w zwykłym płaszczu i tunice, przy której na pasie wisiał gladius w prostej pochwie. *Bez wątpienia jakiś żołnierz.* I wtedy gość odwrócił głowę w jej kierunku, a Fabiola poczuła mdłości ze zdenerwowania. To był on. Intensywnie niebieskie oczy, długi prosty nos i grzywa kręconych brązowych włosów... Stał przed nią Marek Antoniusz we własnej osobie.

– Niespodzianka! – skłonił się nonszalancko. Czuć było od niego wyraźną woń alkoholu.

– Antoniusz? Co tu robisz? – Fabiola syknęła przez zaciśnięte zęby. Ta wizyta mocno ją zdenerwowała. Jowina akurat znajdowała się w kuchni, ale w każdej chwili mogła pojawić się w korytarzu. Jeśli zobaczy go w tym miejscu, łatwo doda dwa do dwóch. – Jesteś pijany... – zbeształa go, chwytając za rękę i próbując przepchnąć w kierunku drzwi.

Antoniusz ani drgnął.

– Może i wypilem kapkę wina... – przyznał z rozbijającym uśmiechem. – Nic w tym złego.

Fabiola stłumiła swoje zniecierpliwienie. Zdążyła trochę poznać swojego kochanka i dobrze wiedziała, że dużo pije. Antoniusz był człowiekiem wojny. Robił, co chciał, i nie dbał o to, co myślą o nim inni. Często uczestniczył w dysputach politycznych, będąc pod wpływem alkoholu, i zdarzyło się nawet, że zwymiotował podczas wystąpienia przed całym senatem. Teraz jego brawura przywiodła go tu w biały dzień.

– Jesteś sam?

– Oczywiście – wydawał się urażony tym pytaniem. – Nie przyprowadziłem *lictors* ani żadnych strażników. Zostawiłem w domu nawet swój rydwan. – Pociągnął za tunikę, bardziej przypominającą ubranie robotnika niż szaty, które mógłby nosić jako *magister equitum*. – Zobacz, jestem cały twój.

Nonszalancja i humor Antoniusza zawsze robiły na Fabioli wielkie wrażenie. Dotknęła jego policzka. Brytyjski rydwan bojowy był jego dumą i radością. Podobnie powszechnie znane było jego zamiłowanie do noszenia wojskowych ubrań.

– Nikt nie widział cię, jak wchodzisz?

– Całą drogę ukrywałem twarz – oświadczył z żartobliwą powagą, dramatycznie unosząc fałd płaszcza. – Wie o mnie tylko ten ochroniarz przy drzwiach.

– Dobrze... – Fabiola odetchnęła z ulgą, chociaż wcale nie czuła się jeszcze zbyt pewnie. Nawet bez towarzyszącej mu grupy sympatyków czy ochrony Antoniusz był powszechnie rozpoznawalny. Nie miało znaczenia zarzekanie się, że jest inaczej, bo z pewnością nie przebył tak długiej drogi niezauważony. Z drugiej strony może to dobrze, że Scewola widział go, jak wchodzi do Lupanaru. Może teraz zastanowi się dwa razy, zanim zaatakuje. Tak czy owak, wizyta Antoniusza miała i plusy, i minusy. Fabiola nie mogła pozwolić, aby został tu dłużej niż zwykli goście przybytku, inni mężczyźni zabawiani przez jej prostytutki. Będzie musiał też równie dyskretnie opuścić to miejsce albo Brutus dowie się, że *magister equitum*, jego nieprzyjaciel, został regularnym gościem Lupanaru.

Antoniusz spojrział na jej dekolt, a Fabiola poczuła przyływ pożądania.

– Muszę cię mieć... – wymruczał. – Teraz!

Nie miała zamiaru się opierać. Bardzo go pragnęła. Spojrzała na Docilose, która natychmiast zrozumiała wskazówkę.

– Pójdę już i poszukam Jowiny – oznajmiła. – Muszę ją o coś zapytać.

Bogowie, dziękuję wam za taką przyjaciółkę. – Fabiola wiedziała, że Jowina teraz im nie przeszkodzi. – *Docilosa pozostaje lojalna, mimo że nie pochwała tego, co robię. Nie muszę się niczego obawiać i powiem jej o Cezarze. Romulus któregoś dnia wróci do Rzymu. Co bym nie zrobiła, Docilosa stanie przy mnie.* Przestała myśleć logicznie, gdy Antoniusz przyciągnął ją bliżej i ich usta złączyły się w długim, namiętym pocałunku. Fabiola dopiero po dłuższej chwili wyrwała się z jego ramion.

– Nie tutaj! – skarciła go. – Każdy nas może zobaczyć!

– Tym lepiej... – odezwał się pewnie Antoniusz. – Mógłbym cię pieprzyć przy ludziach. Niech cały Rzym się przygląda.

Fabiola wydeła wargi, udając nadąsaną, ale poprowadziła go do pierwszej wolnej sypialni. W przyływie pożądania szybko zrzucili z siebie ubrania. Gdy Antoniusz zaczął całować jej szyję, a potem przesuwając delikatnie opuszkami palców wzdłuż kręgosłupa, docierając aż do pośladków, ramiona Fabioli pokryły się gęsią skórą. Jego ręka znieruchomiała na krótką chwilę, po czym prześlizgnęła się na brzuch. Potem sięgnął prosto ku jej wilgotnej kobiecości. Fabiola z jękiem rozchyliła uda, pozwalając mu na wprowadzenie głębiej całego palca. Wsuwał go i wysuwał powoli, leniwie, pieszcząc jednocześnie językiem jej sutki. To nie mogło jej wystarczyć. Fabiola odsunęła się od niego z westchnieniem, a potem wspięła się na łóżko na czworakach. Odwróciła głowę i spojrzała na niego zachęcająco.

– Hmm... zapraszam.

Antoniusz ruszył ku niej, wydając dzikie chrapnięcie. Wszedł w nią od razu w pierwotnej żądzy. Głęboko i z impetem.

– Bogowie! Tak jest dobrze!

Poruszał biodrami w szybkim tempie. Fabiola sięgnęła jedną ręką

do tyłu, zachęcając go, żeby zanurzył się jeszcze głębiej. W szale zmysłów poruszali się coraz szybciej i szybciej, zapominając o całym bożym świecie. W tej chwili liczyła się tylko ich rozkosz. Fabioli nie pozostało nic innego, jak to zaakceptować. Zanim nie poznała Antoniusza, seks nigdy nie sprawiał jej wielkiej przyjemności. Gdy oddawała swoje ciało za pieniądze, rzadko kiedy osiągała spełnienie. Chyba że zdarzył się jakiś młody klient, troszczący się też o jej potrzeby. Zbliżenia fizyczne z Brutusem były... po prostu przyjemne. Jednak nigdy wcześniej nie było jej dane doświadczać takich emocji. Gdy kochała się z Antoniuszem, wydawało się jej, że ziemia drży. Ich akty miłosne miały w sobie jakiś groźny cień oddania, obezwładnienia i niebezpieczeństwa na granicy kontroli. Jakby bez udziału świadomości Fabioli jej prawa ręka powędrowała ku łonu w poszukiwaniu jeszcze większej przyjemności. Potarła lekko palcami to miejsce, które drażniła, gdy zaspokajała się sama. W zapamiętaniu zaczęła jeszcze mocniej poruszać biodrami i napierać na męskość Antoniusza.

Chwilę później rozległo się ciche pukanie do drzwi. Fabiola wyczuła je bardziej, niż usłyszała.

Antoniusz z całą pewnością nie zwrócił na nie uwagi. Objął ją w pasie i uderzał coraz mocniej i mocniej, na nic nie zważając.

Druga seria stuków była głośniejsza. Fabiola usłyszała też niski głos.

– Pani?

Zamarła.

– Wettiusz? – zapytała na równi zdumiona i zaniepokojona bezceremonialną interwencją ochroniarza.

– Tak, pani...

Nawet będąc po drugiej stronie drzwi, Fabiola wyczuła jego zakłopotanie. Jej irytacja zniknęła. To musiała być ważna sprawa, skoro Wettiusz zdecydował się przerywać jej w takim momencie.

– Coś się stało?

Wettiusz zakaszłał niezręcznie.

– Widziałem na ulicy Brutusa. Idzie w tę stronę. Jest nie dalej niż sto kroków stąd.

– Jesteś pewien? – jej pożądanie natychmiast zgasło w tafli jeziora

lodowatego strachu. *Brutus prawie nigdy nie odwiedzał mnie w Lupanarze. Czego może chcieć?*

– Tak, pani. Mogę zatrzymać go w drzwiach, ale nie na długo.

– Zrób to! – odkrzyknęła stłumionym głosem. – Przestań! – zasyczała już w stronę Antoniusza.

Jej kochanek zdawał się jej nie słyszeć. Z czerwoną z wysiłku twarzą właśnie eksplodował w jej wnętrzu.

Fabiola odsunęła się od niego, a potem stanęła niepewnie nad łóżkiem, nie bardzo wiedząc, co czynić.

– Nie słyszałeś? Brutus będzie tu za kilka chwil.

Antoniusz skrzywił się.

– Co mnie to obchodzi? Jesteś moja. Nie jego. Pozwól, żeby ten pies wszedł tu do nas, a ja szybko pokażę mu, jakie ma do ciebie prawa.

– Nie! – Fabiola z trudem panowała nad emocjami, widząc oczyma wyobraźni, jak wszystkie jej plany rozsypują się w proch. – On tak tego nie zostawi.

– Naprawdę? – Antoniusz zaśmiał się chępliwie i wskazał swój gladius.

Panika ścisnęła jej gardło. Arogancja Antoniusza nie znała granic nawet wtedy, gdy był kompletnie nagi. Zakładając suknię, zastanawiała się, jak wybrnąć z tej sytuacji. Co może dotrzeć do tego człowieka?

– I co na to powie Cezar? Takie zachowanie nie przystoi jego zastępcy – od razu podziałało. Fabiola wiedziała, że trafiła w czuły punkt. Antoniusz wyglądał teraz jak chłopiec zrugany przez ojca. – Czy chcesz przynieść hańbę dyktatorowi? Ledwie wrócił z Azji Mniejszej, a ty ryzykujesz sprowadzenie na niego nieprzychylności opinii publicznej?

Rzuciła Antoniuszowi jego tunikę i z ulgą stwierdziła, że bez zastanowienia zaczął wkładać ją przez głowę. Potem podała mu *licium*, a następnie pas. Kilka uderzeń serca później wypychała go już z recepcji.

– Idź... – ponaglała. – Następnym razem przyślij posłańca.

Przyciągnął ją do siebie, żeby skraść ostatni pocałunek.

– Co mam powiedzieć, gdy Brutus mnie rozpozna? – Teraz Antoniusz stał się uosobieniem niewinności.

– Powiedz mu, że piłeś całą noc i słyszałeś o nowych dziewczętach w Lupanarze. Chciałeś spróbować jednej z nich.

– Powiem, że są warte swojej ceny! – najwyraźniej spodobał mu się ten pomysł.

Fabiola rozpromieniła się.

– Idźże już... Bo inaczej zamienisz moje życie w koszmar.

– Nie mogę na to pozwolić, prawda? – na odchodnym uszczypnął ją jeszcze w pośladek. Ukłonił się i zniknął za drzwiami.

Fabiola wzięła kilka głębokich oddechów. *Uspokój się. Na tej wąskiej ulicy Brutus na pewno nie przegapi Antoniusza. Pewnie zamieni z nim kilka słów.* Mimo to miała mało czasu. Pobiegnęła w te pędy do swojego biura. Spojrzała w małe lustro z brązu, stojące na biurku. Jej twarz była cała czerwona i spocona, a włosy, normalnie nieskazitelnie czyste i nienagannie ułożone, teraz znajdowały się w kompletnym nieładzie. Wyglądała... jak ktoś, kto dopiero co uprawiał seks. Musiała coś z tym zrobić. Szybko! Sięgnęła po jedno z małych glinianych naczyń stojących na biurku. Wtarła w policzki trochę ołowianej pasty. Była ekspertem od makijażu i po chwili zmieniła się nie do poznania. Teraz wyglądała na chorą. Zostawiła włosy w nieładzie, wytarła trochę potu z czoła. Chciała sprawiać wrażenie, jakby miała gorączkę.

Nie musiała długo czekać, żeby usłyszeć Wettiusza rozmawiającego z Brutusem pod drzwiami. Jej opiekun jak zwykle dotrzymał słowa. Opóźnił pojawienie się Brutusa tak długo, jak to było możliwe. Fabiola czuła, że ogarnia ją panika. Nagle przestała być pewna, że uda się jej oszukać kochanka. Musiała!

– Fabiola?

Szybko się zreflektowała i pozwoliła swojej wrodzonej kobiecej intuicji przejąć kontrolę nad wydarzeniami.

– Brutus? Ty tutaj? – odezwała się słabym głosem.

– Co się dzieje? – Brutus stał w drzwiach biura. – Na bogów!

Wyglądasz okropnie. Jesteś chora?

Z ulgą przechodzącą przez nią ogromnymi falami Fabiola skinęła głową.

– Myślę, że mam gorączkę. Zaraziłam się chyba od Docilosy.

Brutus podszedł do niej i uniósł jej podbródek. Przyjrzał się bladej cerze i ciemnym sińcom, które z taką starannością starała się wymalować po oczami. Zaklął.

– Dlaczego w ogóle jesteś na nogach? – zapytał zmartwionym głosem. – Trzeba posłać po lekarza.

– Nic mi nie jest – Fabiola zaprotestowała. – Wystarczy dzień w łóżku i wszystko będzie w porządku.

– Jowina powinna się bardziej postarać, żebyś nie musiała tyle pracować – mruknął.

– Wiem. Przykro mi.

Jego twarz wypogodziła się.

– Nie musisz przeproszać, moja miłości. Ale powinnaś odpoczywać.

Fabiola usiadła na krawędzi biurka z westchnieniem.

– Już mi lepiej. – Wiedziała, że nie uspokoi skołatanego serca, zanim nie pozna przyczyny pojawienia się Brutusa w Lupanarze. – Ale co cię tu sprowadza o tak wczesnej porze?

– Zastanawiam się raczej, czemu tak wcześnie rano widzę tu Antoniusza – Brutus odezwał się, nie skrywając gniewu. – Czego on tu szukał, na Hades?!

Teraz ostrożnie. Pamiętaj, jakich słów kazałaś użyć Antoniuszowi.

– Wiesz, jaki on jest. Podobno spędził całą noc na libacji i pojawił się tu pod wpływem impulsu. Nasze ogłoszenia o nowych prostytutkach chyba okazały się dobrym pomysłem.

Uśmiechnęła się promiennie.

Brutus nie podzielał jednak jej udawanej radości.

– Ten kutas powinien poszukać sobie kobiety gdzie indziej.

– I pewnie tak robi – odezwała się cicho Fabiola. – Ktoś taki jak on rzadko puka do tych samych drzwi dwa razy. – Sama nie zdawała sobie wcześniej sprawy z tego, ile prawdy kryło się w jej słowach. Trafność tej oceny aż ją zdumiała. Dlaczego ryzykuje wszystko dla takiego niebieskiego ptaka?

Na twarzy Brutusa pojawił się grymas niechęci.

– Masz całkowitą rację. – Potem uśmiechnął się szeroko, przeistaczając się od razu w mężczyznę, którego tak lubiła. – Ale ja przyszedłem tu, aby zapytać, czy możesz towarzyszyć mi podczas pokazów zapowiadanych na dzisiaj z okazji igrzysk. Widzę jednak, że jesteś chora. To w ogóle nie wchodzi w grę.

Fabiola nastawiła uszu. Mimo że Romulus nie był już gladiatorem, walki na arenie zawsze jakoś kojarzyły się jej z bratem.

– Czy zaplanowane są jakieś specjalne wydarzenia?

– Mówisz o dzisiejszym ranku? – Brutus wyglądał na zadowolonego z siebie. – Tak. Ma być bestia, którą nazywają etiopskim bykiem. Jest o połowę mniejsza od słonia, ale ma dwa ostre rogi i skórę twardą jak pancerz. Wydaje się niemożliwa do pokonania. Myślałam, że będziesz chciała ją zobaczyć.

Fabiola wiedziała, że zwierzę nie będzie po prostu przechadzało się po piasku po to, żeby je podziwiać.

– Kto będzie z nim walczył?

Brutus wzruszył ramionami.

– Para *noxii*. Myślę, że to dezercerzy z jednego z legionów Cezara. Innymi słowy... mała strata.

Jego brak empatii sprawił, że Fabiola poczuła mdłości. Kto zasłużył na taką śmierć?

– Dziękuję ci, ale chyba nie dam rady... – wyszeptała.

Rozdział XI

Etiopski byk



Godzinę później...

Był dopiero wczesny poranek, ale amfiteatr już pękał w szwach. Z trybun nad głową docierały do nich głośnie okrzyki zniecierpliwienia. Wszyscy więźniowie wiedzieli, czego domagają się ludzie. Strach na dłużej zagościł w ich sercach. Niewielu z nich spało minionej nocy po tym, jak poprzedniego popołudnia dotarły do nich pierwsze plotki. Później Memor postanowił opowiedzieć im osobiście, co ich czeka następnego dnia. Rozkoszował się ich cierpieniem, czerpiąc przyjemność z ich trwogi. Petroniusz wbił wzrok w ścianę i wydawał się niewzruszony. Odmawiając Memorowi satysfakcji, nawet na niego nie spojrzał. Jednak Romulus był zmuszony spojrzeć w oczy laniście. Dwóch gladiatorów złapało go bezceremonialnie za ramiona, podczas gdy trzeci przekreślił jego głowę tak, żeby Memor mógł widzieć, jakie wrażenie zrobiła na nim jego obrazowa opowieść o stworzeniach z ostrymi kłami i pazurami, z którymi mieli walczyć. Z trudem udało się Romulusowi zachować zimną krew w obliczu takiego okrucieństwa.

Wyglądało na to, że Cezar zapłacił bająnskie sumy za najbardziej egzotyczne stworzenia, jakie chodziły po ziemi. Niektórych z nich nigdy wcześniej w Rzymie nie widziano. Plotki budziły powszechne przerażenie, nawet jeśli nie miały wiele wspólnego z rzeczywistością. Memor robił, co mógł, aby jak najdokładniej opisać okoliczności ich ostatniej w życiu walki. Nawet najbardziej popularne zwierzęta mogły zostać tak wykorzystane, żeby pozbawiać życia. A co dopiero lwy,

tygrysy, lamparty i niedźwiedzie czy inne dzikie, śmiertelnie niebezpieczne drapieżniki. Równie groźne były słonie i żyjące na wolności byki. Makabryczne opisy lanisty sprawiły, że w umyśle Romulusa odżyły dawne wspomnienia. Sam kiedyś mógł z bardzo bliska obserwować przebieg walki *venatores* z wielkimi drapieżnymi kotami. Nikt nie przetrwał takiej konfrontacji bez szwanku. A obrażenia zadawane przez zwierzęta były przerażające. Na szczęście udało mu się ukryć prawdziwe emocje przed Memorem, ale całą noc rozpamiętywał, co stało się z pewnym młodzieńcem, któremu jakimś sposobem udało się przeżyć starcie na arenie. I co z tego, skoro i tak poniósł śmierć, ponieważ jego zachowanie nie spodobało się okrutnemu tłumowi. Na co mógł liczyć Romulus, wiedząc, że nawet jeśli cudem poradzi sobie gołymi rękoma z dzikim zwierzęciem, nie ma praktycznie żadnych szans na opuszczenie piasku areny o własnych siłach. O świcie oczy Romulusa były zaczerwienione z wyczerpania i strachu. Wiele by dał, żeby mieć u boku Brennusa lub Tarkwiniusza. Tylko że ich już nie było. Dawno odeszli. A teraz nadszedł czas, by sam ruszył w podróż do Hadesu. Małym pocieszeniem była obecność Petroniusza.

Podczas przemarszu z *ludus* do amfiteatru strażnicy nie robili nic, aby powstrzymać tłum przed wyżywaniem się na biednych skazańcach. Zwykli obywatele atakowali ich z tak wielką nienawiścią, że Romulus poczuł się, jakby znów przemierzał z pojmanymi przez Partów legionistami ulice Seleucji przed egzekucją Krassusa. A jednak to, czego właśnie doświadczał, było jeszcze gorsze. Wszak ludzie, którzy obsypywali ich obelgami, byli Rzymianami i dobrze rozumiał, co do niego krzyczą. Zanim dotarli do wspaniałego kompleksu Pompejusza *Campus Martius* na Polach Marsowych, wszyscy ociekali plwociną oraz mazią ze zgniłych owoców i warzyw. Jako gladiator walczył już na tej arenie. Podobnie jak wtedy nie miał możliwości podziwiania splendoru amfiteatru, ponieważ bardzo szybko pognano ich do korytarzy prowadzących do celu. Kompleks, składający się z ogólnie dostępnego amfiteatru, świątyni Wenus i budynku senatu, był symbolem ekstrawagancji Pompejusza, kosztującej go absolutną fortunę. Mimo to fundatorowi nie udało się zyskać przychylności zwykłych obywateli. Jego luksusowa rezydencja, znajdująca się w pobliżu, teraz stała pusta, a

cudowne fontanny i wdzięczne posągi stanowiły dowód na to, że łaska niestałego tłumu na pstrym koniu jeździ.

Przynajmniej koniec generała w Egipcie był szybki – stwierdził Romulus. – *Nieskończenie lepszy niż to, co mnie dziś czeka i moich współtowarzyszy niedoli, zamkniętych w tych klatkach.* Starał się nie myśleć o tym, jaki ból mogą sprawić pazury lwa rozrywające ciało, rogi byka wdzierające się we wnętrzości czy trąba słonia, nauczonego oddzielania głowy od ciała. Widział, co słoń bojowy potrafił zrobić z Vahramem, okrutnym *primus pilus* Zapomnianego Legionu. Nie mógł ot tak zapomnieć tego obrazu i odgonić straszne myśli o tym, co ich czeka. Romulus przechadzał się nerwowo po klatce, przełykając gorzką żółć podchodzącą mu do gardła. Walczył z potrzebą wymiotowania i jak na razie była to walka udana. Niektórzy więźniowie modlili się do swoich bogów, a inni po prostu siedzieli bez ruchu, wpatrując się w przestrzeń. Petroniusz w zapamiętaniu robił serie pompek. *Jakby to mogło mu w jakiś sposób pomóc* – pomyślał Romulus. Nie skomentował jednak głośno zachowania przyjaciela. Każdy ma prawo na swój sposób przygotowywać się na śmierć i nie zamierzał się z tego śmiać.

Żelazne klatki *noxii* znajdowały się pod trybunami, na których siedzieli widzowie. Niczym nie różniły się od ustawionych w linii podobnych klatek dla gladiatorów, *venatores* i innych uczestników tego spektaklu. Z tyłu za rzędami klatek znajdował się długi korytarz, od którego odchodziły kolejne, prowadzące prosto na piasek areny. Poza strażnikami nie było tu nikogo innego. Gladiatorzy, którzy mieli walczyć później tego samego dnia, jeszcze się nie pojawili, a zwierzęta trzymane w innej części budynku, gdzie zadbano o jeszcze lepsze zabezpieczenia. Romulus wiedział mniej więcej gdzie, trudno było bowiem udawać, że nie słyszy kakofonii ryków, wrzasków i warczenia. Te odgłosy mroziły krew, obiecując śmierć na wiele wyrafinowanych sposobów.

Nie musieli długo czekać na pojawienie się Memora. Mężczyzna wyglądał na zadowolonego z siebie. O jego bezpieczeństwo dbało pół tuzina strażników z włóczniami i łukami. Romulus wiedział, gdzie lanista spędził ostatnie chwile przed pokazem. Ustalał jego szczegóły z mistrzem ceremonii. Decydował o ich losie. Znów poczuł nudności i zachwiał się na nogach. Ustał tylko dlatego, że mocno zaparł się o

ziemię, blokując stawy w kolanach.

– Spokojnie – szepnął mu do ucha Petroniusz. – Nie daj temu skurwielowi żadnej satysfakcji.

Romulus szybko odzyskał kontrolę nad swoim ciałem. Spojrzał na przyjaciela i pokiwał w podziękowaniu głową.

Memor zatrzymał się tuż za kratami klatki i rozciągnął usta w szerokim uśmiechu.

– Kto chce iść pierwszy? Jacyś chętni?

Jakiś mężczyzna za plecami Romulusa nie wytrzymał i zwymiotował całą owsiankę, marne śniadanie, którym po dwóch dniach głodu uraczono ich w *ludus*. Gryzący zapach treści żołądka wypełnił nozdrza skazańców, co tylko zwiększyło ich zdenerwowanie. Nikt się nie odezwał.

Romulus podniósł rękę, ignorując syk Petroniusza. Jakie w końcu ma znaczenie, które zwierzę ich zabije? Chciał po prostu, żeby to się szybko skończyło.

– O nie. Nie ty – warknął lanista. – Ani nie twój przyjaciel.

Wymienili spojrzenia z Petroniuszem. Najwyraźniej Memor zaplanował dla nich coś specjalnego. I raczej na pewno nie będzie to łatwa śmierć.

Nikt inny nie patrzył laniście w oczy. Ten znudził się szybko i wskazał palcem trzech stojących najbliżej.

– Ty, ty i ty... Będziecie aktorami w pierwszym akcie dzisiejszej sztuki. A wasi przeciwnicy? – zawiesił głos dla większej dramaturgii, uśmiechając się okrutnie. – Wataha głodnych wilków.

Romulus spojrział na trzech mężczyzn i od razu tego pożałował. Na ich twarzach zobaczył większy strach niż ten, który widział na polach bitew. Może tylko Krassus przed śmiercią był równie przerażony. Chociaż nie był tego pewien...

Pracownicy amfiteatru już przygotowywali przejście między klatkami. Dwaj strażnicy zajęli się unoszeniem wielkiej kraty, która blokowała wejście. Gdy im się to udało, jeden z nich otworzył szeroko drzwi klatki, podczas gdy jego towarzysze ustawili się w dwie linie z wysuniętymi do przodu włóczniami.

– Wyłazić! Natychmiast! – krzyknął Memor.

Jeden z więźniów podbiegł do bocznej kraty i rozdarł tunikę, odsłaniając pierś.

– Zabij mnie teraz! Na miłość bogów, błagam!

Memor obojętnie oglądał swoje nierówne od obgryzania paznokcie.

– Zabierzcie ich na arenę – warknął. – Szybko.

Strażnicy uzbrojeni w łuki zbliżyli się do krat klatki. Naciągnęli cięciwy, mierząc w nieszczęsnych żołnierzy.

– Zaczną strzelać, gdy doliczę do trzech. Najpierw w nogi, a potem w ramiona. Następnie w krocza – powiedział lanista spokojnym głosem.
– Jeden...

Wybrani *noxii* popatrzyli po sobie. Dwóch z nich rozplakało się jak dzieci.

– Dwa...

Mężczyźni pogodzili się z losem i wyszli z klatki, powłócząc nogami. Ruszyli prosto w stronę blasku promieni jesiennego słońca, bijących od wejścia na arenę.

Gdy strażnicy zatrzasnęli bramę klatki, Memor uśmiechnął się nieprzyjemnie.

Jakby wbrew sobie Romulus i Petroniusz ruszyli w stronę klatki, która znajdowała się najbliżej ceglanego muru areny. Podobnie postąpiła trójka pozostałych skazańców. Przez szczeliny między cegłami widzieli krąg złotego piasku, na którym przelano tyle krwi. Teraz jednak na wierzchu była czysta warstwa, którą świeżo zagrabiono. Wybrańcy Memora wyszli na pustą arenę. Sparaliżowani strachem, trzymali się blisko siebie.

Mistrz ceremonii ogłosił, że są to ekslegioniści, którzy opuścili swych towarzyszy podczas bitwy pod Zelą. Publiczność zareagowała głośnym chórem obelg. W stronę dezertarów poleciały kawałki chleba i owoców, a widzowie zajmujący miejsca w pierwszych rzędach pluli i rzucali monetami. Trzech mężczyzn ruszyło w stronę środka areny, uchylając się przed pociskami, aby znaleźć się jak najdalej od trybun. Z czasem deszcz przedmiotów spadających na arenę zelżał. Mistrz ceremonii czekał na ten moment.

– Tchórze, tacy jak oni, nie zasługują na litość! – zawołał

głębokim, donośnym głosem. – Jakie zwierzę może wymierzyć im sprawiedliwą karę?

Widzowie wykrzykiwali swoje propozycje.

– Bezlitosny zwierz, który jeśli tylko da się mu szansę, potrafi rozszarpać całe stado pasterza. Bestia atakuje nieostrożnych wędrowców, podróżujących zimową porą! Straszliwy wilk!

Widzowie zawyli jak wataha wilków.

Jeden ze skazanych opadł na kolana i wznosił ręce do nieba, co zostało przyjęte jeszcze większą falą gwizdów i kociej muzyki. Nikt nie pomoże już temu biedakowi. Jego towarzysze zdenerwowani szurali nogami, wpatrzeni w przeciwległą część areny. Romulus wreszcie dojrzał to, co przyciągało ich uwagę. Musiał zmienić szparę, przez którą wyglądał, ale w końcu zauważył trzy metalowe klatki, ustawione blisko siebie przy ścianie areny. Właśnie były otwierane. Boki klatek uniesiono za pomocą lin, przymocowanych do wałka znajdującego się na szczycie każdej z nich. Gibkie zwierzęta wybiegły na arenę, poganiane włóczniami przez znajdujących się poza zasięgiem wzroku ludzi z obsługi. Grupa składała się z ośmiu wilków o różnych barwach grubych futer – od szarego przez brązowy po czarny. Zwierzęta były zdecydowanie większe od największych psów. Inteligentne oczy i postawione uszy sprawiały, że robiły niesamowite wrażenie. Takie drapieżniki zamieszkiwały lasy i góry całej Italii.

Romulus wstrzymał oddech. Widywał wilki z rzadka, zazwyczaj przy okazji przemarszu z armią przez jakieś górzyste tereny. W normalnych okolicznościach trzymały się raczej z dala od ludzi. Oczywiście złapanie ich przez myśliwych sprzedających dziką zwierzynę na potrzeby wydarzeń takich jak to, w którym brali właśnie udział, wcale nie było trudne. I mimo że bestie znalazły się w obcym im środowisku, bez wątpienia nie powstrzymają się przed działaniem zgodnym z ich morderczym instynktem, uśmiercając bezradne ofiary w mgnieniu oka. Chociaż nie było tego widać pod ciężkimi futrami, niewątpliwie opiekunowie zadbali, żeby przez dłuższy czas nie dostały niczego do jedzenia. Dzięki temu miały z jeszcze większą werwą zaatakować ludzi na arenie, zapewniając tłumowi interesujące widowisko.

Drapieżniki zrobiły kilka niepewnych kroków na arenie, by po chwili poświęcić całą uwagę ofiarom. Rozdzieliły się, warcząc i mrużąc chrapliwie. Niektóre ruszyły prosto na żołnierzy, podczas gdy inne wykonywały manewr okrążający, starając się osaczyć ludzi ze wszystkich stron. Potem zacieśniały krąg. Skradały się powoli, prawie dotykając brzuchami piasku.

– Widziałem kiedyś, jak osaczyły jelenia. W górach, w pobliżu mojego domu – Petroniusz przerwał ciszę, jaka zapadła w klatce. – To było niesamowite doświadczenie. Polują razem jak drużyna.

Mimo że Romulus walczył z ogarniającym go przerażeniem, nie potrafił odwrócić wzroku. Człowiek, który wcześniej opadł na kolana, modlił się teraz głośno do Marsa, prosząc o przebaczenie. Pozostali dwaj ustawili się do siebie plecami i wymachiwali rękami. Wykrzykując groźby, próbowali odstraszyć wilki. Ta metoda nie mogła zmienić ich losu, a publiczność komentowała z rozbawieniem ich bezradność, dysząc żądzą widoku krwi. Na arenę posybowało więcej żywności i monet, które miały rozzłościć zwierzęta. Te jednak zdawały się nie zwracać na to najmniejszej uwagi.

To nie ma żadnego znaczenia. Widzowie dostaną to, po co tu przyszli, wystarczająco szybko.

Drapieżniki wyczuły, że klęczący więzień będzie łatwą ofiarą. Dwa wilki wzbiły się w powietrze w tym samym momencie, po czym spadły na niego, chwytając za ramię i szyję. Z łatwością powaliły mężczyznę na ziemię. Rozrywały ciało żołnierza potężnymi szczękami, przytrzymując go jednocześnie do czasu, aż zaroilo się nad nim od ich towarzyszy. Ofiara próbowała walczyć, ale miotła się tylko niezręcznie, a powietrze wypełniły jej żalosne krzyki. Na szczęście nie wył z bólu za długo, chociaż i to wystarczyło, aby dwaj pozostali legioniści rzucili się do panicznej ucieczki. Jeden z nich najwyraźniej miał nadzieję, że w ostatniej chwili ktoś wspaniałomyślnie wybawi go od śmierci. Podbiegł do ściany podwyższenia trybuny, gdzie siedział jakiś nobil. Zaczął błagać o darowanie życia. To nie zrobiło jednak żadnego wrażenia na potencjalnym zbawcy, który całkowicie go zignorował. Popijał wino z kielicha i nawet na niego nie spojrział. Gdy żołnierz próbował wspiąć się po ścianie areny, kilku strażników skierowało w jego stronę ostrza

długich włóczy. Ten był jednak głuchy i ślepy ze strachu i skończyło się tak, że został pchnięty włócznią prosto w klatkę piersiową. Spadł na gorący piasek areny. Natychmiast doskoczyły do niego trzy wilki, które rozorały zębami skórę na brzuchu i wywlekły w zapamiętaniu wnętrzości ofiary.

Tymczasem ostatni dezenter rzucił się do miejsca, gdzie znajdowało się wejście do korytarza, z którego wyszedł na arenę. Uderzał w cegły i drapał je gołymi rękami.

– Pomóżcie mi! – krzyczał, przeciskając zakrwawione palce przez wąskie szczeliny w ścianie. – Na litość boską!

Romulus i Petroniusz obserwowali tę dramatyczną scenę z bardzo bliskiej odległości. Mężczyzna znajdował się raptem na wyciągnięcie ramienia! Widzieli, jak na plecy rozpaczającej ofiary skoczył duży samiec. Unieruchamiając mężczyznę wielkimi łapami wbitymi w ramiona, zatopił zęby w jego karku. Żołnierz cofnął się tyłem, mocno chwiejąc się na nogach i nieskładnie wymachując rękami. Był teraz idealnym celem dla innego wilka, który nagle zaatakował go od przodu, zaciskając stalową szczękę na jego kroczu. Mężczyzna krzyknął tak przeraźliwie, że Romulus aż się skrzywił i odwrócił wzrok.

Nie mógł jednak w żaden sposób uciszyć krzyków bólu rozszarpywanego dezentera, który znajdował się kilka kroków od niego, ani oszalałego wycia tłumu na trybunach nad głową. Chociaż nie był w stanie zaakceptować tchórzostwa i działań ludzi, którzy uciekają z pola bitwy, zostawiając na łasce wroga swoich towarzyszy, nie uważał też, żeby zasługiwali na tak niegodną śmierć. Ukrzyżowanie było niewiarygodnie brutalnym sposobem uśmiercania, ale ten sposób był jeszcze gorszy! Jednak dla żądnych krwi obywateli Rzymu śmierć na arenie była sprawiedliwą karą.

Sporo czasu minęło, zanim umilkły wszystkie krzyki. Śmierć dezenterów nie sprawiła, że na arenie zapanowała cisza. Krzyki umierających zostały zastąpione warczeniem wilków walczących o jak najlepszy kęs z ofiar i dźwiękiem kości pękających pod naciskiem potężnych szczęk. Widzowie jednak zaczęli się już nudzić i wkrótce organizatorzy nakazali zapędzenie drapieżników z powrotem do klatek przy pomocy dziesiątek niewolników. Podczas gdy niektórzy z nich

uderzali w bębny i talerze, żeby onieśmielić zwierzęta, pozostali – osłonięci tarczami i płaskimi płytami z drewna – ustawili się w długie linie, żeby zmusić wilki do wycofania się.

W tym czasie w korytarzu przy klatkach ponownie pojawił się Memor. Mrugnął do Romulusa i z okrutnym uśmiechem na ustach wybrał kolejnych trzech żołnierzy. Oni mieli zginąć od ciosów zadanych przez dwa niedźwiedzie i parę dzikich byków. Wciąż nie zdradził ani słowem swoich planów wobec nich i niemal od razu zniknął.

Wnętrznosci Romulusa zwinęły się w ciasny węzeł strachu. Usiadł ciężko na ziemi. Na pewno nie zamierza oglądać kolejnego makabrycznego spektaklu. Czuł, że bardzo niewiele brakuje, żeby się całkowicie załamał. Chociaż od czasu opuszczenia domu Gemellusa każdego dnia musiał liczyć się ze śmiercią, nawet w *Ludus Magnus* zawsze miał jakieś szanse przeżycia. Pokonał starszego, bardziej doświadczonego gladiatora. Przeżył rzeź pod Carrhae i niewolę. Przetrwał zagładę Zapomnianego Legionu, który został rozbity przez potężną indyjską armię. Jednak teraz, gdy jego uszy wypełniały straszne krzyki umierających towarzyszy niedoli, wiedział, że zabrnął w ślepy zaułek. To był koniec.

Spojrzał na Petroniusza, który usiadł obok niego. Weteran zamknął oczy i modlił się szeptem o opiekę Jowisza. *Jest bardziej opanowany niż ja – zauważył Romulus ze zdziwieniem. – A przecież tego biedaka w ogóle nie powinno tu być. Mógł odejść i zostawić mnie swojemu losowi. Prawdziwy przyjaciel. – Zawstydział się. – Jak to możliwe, że Petroniusz spogląda w oczy śmierci jak mężczyzna, podczas gdy ja zachowuję się jak przestraszone dziecko?* Jego towarzysz zasłużył na więcej szacunku.

– Teraz wasza kolej – usłyszał głos Memora.

Romulus podniósł wzrok. Lanista stał kilka kroków od nich z rękami na biodrach i nieschodzącym z ust kpiarskim uśmiechem. Dzieliła ich tylko ściana z metalowych prętów.

– Wiele bym dał, żeby dostać szansę poderżnięcia ci gardła – powiedział Romulus przez zaciśnięte zęby.

Memor głupekowato wyszczerzył zęby.

– Niestety. Nawet gdyby to ci się udało, moi strażnicy zabiliby cię na miejscu. A przecież obywatele Rzymu muszą zobaczyć dziś ostatni

akt tego porannego spektaklu. Nie możemy ich zawieść, prawda?

Romulus wstał.

Petroniusz nie poruszył się, pogrążony w myślach we własnym świecie.

Romulus otrzepał ręce i zbliżył się niespiesznie do krat. *Odtąd Memor zobaczy tylko moją żelazną determinację.*

– Co tam dla nas szykujesz, ty śmierdząca kupo łajna? – zapytał lodowatym tonem.

Zaskoczony jego reakcją Memor cofnął się o krok. Szybko jednak odzyskał rezon.

– Etiopski byk – odparł. – Niektórzy nazywają go nosorożcem.

Petroniusz wreszcie uniósł się z miejsca, ostentacyjnie ignorując lanistę. Patrzył prosto na strażników otwierających drzwi do klatki. O jego zdenerwowaniu świadczyły tylko pracujące kości szczęki. W *ludus* mówiło się o opancerzonym zwierzu, którego potocznie nazywano etiopskim bykiem. Opowieści o jego sile i cechach charakterystycznych mogły przerazić najodważniejszego mężczyznę.

Romulus utrzymywał, że nie wie nic o bestii, z którą przyjdzie im walczyć. Starał się w ten sposób ochronić przyjaciela. Od razu jednak spostrzegł, że było to bezcelowe. Zacisnął palce na prętach klatki, przypominając sobie akcję uwięzienia nosorożca, gdy jeszcze pracował dla Hiero. Potrzebna była pomoc prawie dwudziestu niewolników z linami i siatkami, żeby gigantycznego rogatego stwora unieruchomić, a potem zamknąć w klatce. Co najmniej jeden niewolnik zmarł później z powodu odniesionych ran, a wielu innych poniosło lżejsze obrażenia lub zostało poturbowanych w kolejnych tygodniach i miesiącach. Zwierzę łatwo się irytowało, a rozdrażnione i agresywne szalało w klatce. Hiero uważał, że to jego najcenniejszy skarb. Romulus zdał sobie sprawę, że może właśnie przyjdzie mu się zmierzyć z tym samym nosorożcem! Co za ironia! Zamknął oczy i zmówił modlitwę do Mitry, prosząc go o szybką śmierć.

Memor zarechotał paskudnie.

– Nigdy nie powinieneś być uciekać – powiedział niemal z zalem. – Może z czasem zapracowałbyś na *rudis*. A przy okazji zarobiłbyś dla mnie prawdziwą fortunę. A teraz? Spójrz na siebie...

Romulus usłyszał ciężkie uderzenia o ziemię grubych desek oddzielających wejście od klatek. Oślepiające światło zalało wnętrze, przez co żaden z nich przez chwilę nie był w stanie zobaczyć, co dzieje się na arenie. W przerwach między spektaklami publiczność zwykle trochę się uspokajała i robiło się ciszej. Wyraźnie słychać było za to nawoływania obnośnych sprzedawców żywności, reklamujących swoje kiełbasy, chleb i rozwodnione wino, oraz bukmacherów, oferujących zakłady na walki gladiatorów, które miały rozpocząć się później tego samego dnia.

– Będziesz się smażyć w ogniach Hadesu – Romulus splunął. Nie czekając na odpowiedź, wybiegł truchtem na piasek. To był jedyny gest buntu, na jaki mógł sobie pozwolić. Potem umrze jak mężczyzna.

Petroniusz ruszył za nim, obrzucając lanistę stekiem przekleństw, w których istotną rolę odgrywali jego rodzice.

Memor nie odpowiedział. Zamiast tego kazał natychmiast założyć z powrotem deski, odcinając przyjaciół na arenie. Ludzie zwrócili uwagę na poruszenie na piasku i powoli zaczynało się wpatrywać w nich coraz więcej par oczu.

– Dezerterzy! Śmieci! – krzyczał postawny jegomość w tunice, która lata świetności miała już dawno za sobą.

– Tchórze! – wołał inny.

Tego rodzaju okrzyki były zaraźliwe i wkrótce wszyscy widzowie zasypywali Romulusa i Petroniusza setkami wyzwisk.

To, że akurat oni znaleźli się w tym miejscu nie z powodu dezercji, nie miało dla tłumu żadnego znaczenia. Zaprowadź kogoś do kręgu śmierci i natychmiast wszyscy zakładają, że jest winny. W zasadzie Romulus był winny. Mimo że do Legionu XXVIII został wcielony siłą, świadomie dołączył do armii Krassusa jako zbiegły niewolnik. A jednak nawet w obliczu najbardziej makabrycznej z makabrycznych śmierci cieszył się, że podjął taką, a nie inną decyzję. Bo miał ciekawe życie. Przynajmniej tych osiem ostatnich lat. Zawarł wiele znajomości i znalazł przyjaciół – Brennusa, Tarkwiniusza i Petroniusza. Żałował tylko, że nie mógł porozmawiać z Fabiolą. No i że nie pogodził się z haruspikiem.

– Ta cała bestia z Etiopii... – zaczął Petroniusz. – Czy naprawdę ma taki długi róg jak ramię mężczyzny?

– Tak. – Romulus wciąż miał przed oczyma obraz, który został mu po tym, jak nosorożec przebił jednego z ludzi Hiero. Niewolnik umarł w męczarniach. – Co najmniej.

– Jest dwa razy większy niż największy byk?

– Przynajmniej dwa razy... – przyznał Romulus. – I na dodatek jest agresywny. Za to pewnym pocieszeniem może być to, że jest na wpół ślepy.

– I co nam to pomoże? Nie mamy się gdzie ukryć. – W oczach Petroniusza w końcu pokazał się strach, ale twardy żołnierz nie panikował. – Co robić? – zapytał tonem pełnym szacunku, uznając Romulusa za lidera w nadchodzącej walce.

Romulus rozejrzał się po arenie. Na krawędzi areny nie było żadnych kolców, które uniemożliwiałyby zwierzętom wyskoczenie na zewnątrz, ale na koronie wewnętrznego koła przed trybunami w regularnych odstępach stali włócznicy i łucznicy. Każda próba ucieczki skończy się tak, jak skończyła się dla drugiego z dezertersów podczas pierwszego spektaklu. Romulus spojrział w niebo, licząc mimo wszystko na jakiś znak od bogów. Podpowiedź. Wskazówkę. Cokolwiek. Zawiódł się po raz kolejny. Cóż... niebo wyglądało tak samo jak w każdy piękny jesienny poranek.

– Nie wiem – westchnął ciężko. – Nic mi nie przychodzi do głowy. Petroniusz roześmiał się szczerze.

– Mnie też nie. Mimo wszystko... cieszę się, że cię poznałem.

– Tak jest, towarzyszu – odpowiedział wzruszony Romulus. – Cała przyjemność po mojej stronie.

Ignorując wściekłe okrzyki tłumu, chwycili się za przedramiona.

Przez jakiś czas nic się nie działo. Początkowo Romulus sądził, że jest to jakaś cyniczna sztuczka Memora lub mistrza ceremonii, która ma na celu osłabić ich morale. Widział lanistę, który zmierzał w stronę siedzisk chronionych od słońca *velarium*, dużymi markizami wykonanymi z tkaniny. Jako człowiek odpowiedzialny za przygotowanie *noxii* na śmierć Memor musiał być pod ręką, gdyby *editor*, sponsor tych igrzysk, chciałby go o coś zapytać. Dziś oczywiście spektakl sponsorował nie kto inny, jak sam Cezar. Jednak miejsce przeznaczone dla wielkiego wodza było puste. W specjalnie wydzielonej części trybun

znajdował się tylko spiker, niewysoki mężczyzna z włosami pokrytymi oliwą, którego łatwo można było poznać po aroganckim zachowaniu. Siedziało tam też kilku najwyraźniej znudzonych wyższych oficerów. Cezar prawdopodobnie pojawi się później. Bo czy widok mężczyzn rozrywanych na strzępy przez dzikie zwierzęta może być interesujący? W takich warunkach bezbronni ofiary nie mają nawet jak udowodnić swojej odwagi i umiejętności w walce.

– Dlaczego nie wysłali jeszcze tej bestii na arenę? – dziwił się niespokojny Petroniusz. – Chciałbym, żeby już było po wszystkim.

Romulus powiódł wzrokiem po tłumie w milczeniu.

Zrobiło się jakby ciszej.

Romulus przechylił głowę i słuchał odgłosów dobiegających z trybun.

Chwilę później gdzieś za koroną amfiteatru rozbrzmiały *bucinae*. Tłum zafalował z podekscytowania, a mistrz ceremonii zerwał się na nogi, nieświadomie przyklepując ufryzowane włosy. Memor obejrzał się przez ramię. Romulus nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył.

– To Cezar... – wyszeptał. – Przyszedł, żeby nas obejrzyć.

Na usta Petroniusza wypełził słaby uśmiezek.

– Nas? Przegranych? Prędzej chce zobaczyć tego etiopskiego byka.

Romulus uśmiechnął się krzywo.

– Masz rację.

Najpierw w wydzielonej loży pojawił się oddział legionistów dowodzonych przez jakiegoś obsypanego *phalerae* centuriona. Gdy dowodzący nimi oficer uznał, że wszystko jest w porządku, kiwnął głową do mistrza ceremonii.

Ten zrobił krok do przodu i uniósł ręce, aby przyciągnąć uwagę tłumu.

– Obywatele Rzymu! Wcześniej, niż się spodziewaliśmy, zaszczycił nas *editor* igrzysk! – Mistrz ceremonii przerwał na chwilę, aby zbudować jeszcze większe napięcie.

Na twarzach widzów pojawiło się podekscytowanie i nagle wszystkie oczy zwróciły się na lożę honorową. Kilku ludzi zareagowało bardziej entuzjastycznie, dało się bowiem słyszeć pojedyncze oklaski i wiwaty.

– Poskromiciel Galii, zdobywca Brytanii i Germanii. Zbawiciel Republiki. Zwycięzca bitwy pod Farsalą, wódz, odnoszący sukcesy w Egipcie i w Azji Mniejszej!

Widownia szalała. Rzymianie zawsze chętnie słuchali o sukcesach militarnych i zwycięstwach osiągniętych w ich imieniu, czy choćby o czynach genialnych dowódców. Dzięki dobrze naoliwionej maszynie propagandowej Cezara Rzymianie byli dobrze poinformowani o jego dokonaniach. Kochali go właśnie za nie. Cezar od wielu lat był niezwykle popularny, a jego ostatnie zwycięstwa nad armiami Pompejusza i zatwardziałymi republikanami były postrzegane przez większość Rzymian tak samo, jak jego wcześniejsze sukcesy w zbuntowanych prowincjach. Ten człowiek zwykł nie wyróżniać się spośród swoich żołnierzy, często dzieląc ich niedolę. Wydawał się niepokonany, sięgając po zwycięstwa nawet wtedy, gdy wydawało się to niemożliwe. Cezar był uosobieniem niepokornego charakteru Rzymu.

– Zrodzony z Wenus, największy potomek rodziny patrycjuszowskiej *Iulii* – krzyczał mistrz ceremonii. Machał rękami, próbując wywołać jeszcze większy entuzjazm tłumu. – Oto przed wami zwycięzca w bitwie pod Zelą. Juliusz Cezar!

Teraz rozległ się najgłośniejszy ryk, wychodzący chyba ze wszystkich gardeł.

Na arenie pojawiło się trzech niewolników. Każdy z nich niósł płytę z wypisanym jednym krótkim słowem. Na pierwszej było *Veni*, na drugiej *Vidi*, a na ostatniej *Vici*. Po raz kolejny Romulus musiał przyznać, że jest pod wrażeniem pewności siebie Cezara. Przybyłem, zobaczyłem, zwyciężyłem. Ta zwycięża ocena przebiegu kampanii pontyjskiej robiła furorę w armii Cezara, a teraz sam zwycięzca spod Zeli użył tego chwytliwego sloganu, żeby zdobyć sobie przychylność tłumu. Sądząc po entuzjastycznej reakcji i ta misja zakończyła się powodzeniem.

Po chwili w loży pojawił się sam Cezar, odziany w białą togę z fioletowym paskiem. Pozdrowiał wiwatujących ludzi zdawkowymi ruchami dłoni. Za nim tłoczyła się duża liczba oficerów, senatorów i różnych popleczników. Wszyscy chętnie ogrzewali się w promieniach jego chwały. Oczywiście obywatele zgromadzeni na trybunach widzieli

tylko jednego człowieka. Cezara. Aplauz nie cichł jeszcze długo po tym, jak dyktator zajął swoje miejsce.

Tymczasem Romulus i Petroniusz czekali na gorącym piasku na śmierć.

Niewolnicy z tablicami zeszli z areny po zrobieniu kilku kółek, a wyniosły mistrz ceremonii pomachał rękami, żeby uciszyć ludzi. Ludzie uspokoili się i również zaczęli siadać, z podekscytowaniem czekając na rozpoczęcie kolejnego aktu spektaklu.

– W swej hojności Cezar obdarzył nas dziś zwierzęciem nigdy wcześniej w Rzymie niewidzianym. Zostało ujęte w dziczy wschodniej Afryki i trafiło do stolicy dla naszej uciechy. Wielu ludzi zginęło, żeby ta bestia mogła zaprezentować się w pełnej krasie na tej arenie. A teraz zabije dwóch kolejnych. Mówię o tej dwójce *noxii* przed wami.

Kolejna przerwa też była dobrze przemyślana. Tłum zadrżał z niecierpliwości.

– Większy niż największy z wołu, bardziej agresywny niż lew, z opancerzoną skórą twardszą niż *testudo* legionistów. Cezar przedstawia wam... etiopskiego byka!

Romulus i Petroniusz wymienili spojrzenia pełne lęku, ale i determinacji.

Usłyszeli cichy szum naoliwionych kół i łańcuchów, dochodzący z miejsca znajdującego się naprzeciwko łoża Cezara. Uniosła się duża żelazna krata na ścianie areny. Wkrótce Romulus spoglądał w pustkę wielkiego, ciemnego kwadratu, który był bramą klatki. Przez dłuższą chwilę z bramy nie wychodziło żadne zwierzę i Romulus zaczął nawet fantazjować, że stworzenie po prostu uciekło opiekunom i nie pojawi się na arenie. Szybko jednak głośnie krzyki i szczęk broni uderzającej o pręty klatki, dobiegające głęboko z trzewi amfiteatru, rozwiały jego nadzieje.

Do ich uszu dotarła seria głośnych chrapnięć i pomruków, po czym na piasek wybiegło truchtem wielkie, szare stworzenie. Bezwłose, z wyjątkiem kępki na czubkach uszu i na końcówce ogona. Z długą, opadającą w dół, owalną głową. Na jego nosie sterczały dwa ostre, przerażające rogi. Bestia miała duże, trójpalczaste łapy i wielki garb z kości czaszki między uszami.

Nosorożec przystanął. Mrużąc małe, świńskie oczy, próbował

przystosować się do jasnego światła.

Na widok tej egzotycznej istoty publiczność wydała jeden przeciągły jęk przerażenia. Nosorożec wydawał się dziwniejszy niż żyrafy i zebry, pokazywane tu podczas spektakli inscenizowanych za pieniądze Pompejusza, i bardziej osobliwy niż słonie, które teraz pojawiały się na arenie dość regularnie.

Serce Romulusa zatrzymało się na pół uderzenia. Nosorożec był większy i wydawał się bardziej niebezpieczny, niż to zapamiętał.

– Jeśli nie będziemy się ruszać, to nas nawet nie zobaczy – szepnął do Petroniusza.

– Co nam to da, do cholery?

Memor wiedział, że dwaj byli żołnierze mogą spróbować tej sztuczki. Skinął głową na łuczników, którzy wysłali w powietrze pół tuzina strzał. Mierzyli tak, żeby pociski spadły na piasek kilka kroków od *noxii*. Przekaz był jasny: Ruszcie się albo kolejne strzały zostaną wycelowane już w was.

Romulus zrobił krok do przodu. Czuł suchość w ustach.

Łucznicy rozluźnili się, a na ich ustach pojawiły się szydercze uśmiechy.

Nosorożec zwrócił uwagę na ruch na arenie. Obrócił głowę. Prychnął z podejrzliwością.

Romulus zamarł. Tak samo jak Petroniusz, który zdążył jeszcze chwycić strzałę leżącą na piasku.

Opancerzona bestia kilka razy dziwnie zapiszczała, a potem rozgrzebała piasek wielką nogą. Zostali dostrzeżeni.

Romulus zamknął oczy i modlił się z całą gorliwością, na jaką go było stać. *Wielki Mitro, pozwól mi umrzeć z bronią w ręku. Nie tak.*

Nosorożec opuścił głowę i ruszył do ataku.

Rozdział XII

Romulus i Cezar



Po kilku uderzeniach serca nosorożec pędził już na nich w pełnym galopie. Chociaż arena była spora, mógł znaleźć się tuż przy nich w ciągu kilku chwil. Romulus miał wrażenie, że stopy przykleiły mu się do podłoża. Jego życie właśnie dobiegało końca. Powiódł wzrokiem po rozwrzeszczanym tłumie jakby w zwolnionym tempie. Na trybunach zgromadzili się zarówno bogaci, szlachetnie urodzeni obywatele Rzymu, jak i motłoch, w brudnych i podniszczonych tunikach. Spojrzał na Cezara, siedzącego na aksamitnej poduszce, i towarzyszących mu doradców oraz żołnierzy ze straży przybocznej. Widział tłustego mistrza ceremonii i Memora, który teraz, gdy jego los był już przypieczętowany, obserwował go z zadowoleniem rysującym się na twarzy. Widział też wyraźnie strażników, którzy zajęli miejsca po okręgu na ścianie areny, z włóczniami i łukami trzymanymi na podporządku.

W głowie zaświtał mu śmiały plan.

– Szybko! Weź strzałę – usłyszał cichy głos Petroniusza. –
Przynajmniej będziemy mieli jakąś namiastkę broni.

– Mam lepszy pomysł... Ty uskakujesz w lewo, a ja w prawo.

– Dlaczego?

– Ta bestia będzie mogła pobiec tylko za jednym z nas. Wtedy drugi może spróbować wyrwać włócznię strażnikowi. – Romulus wskazał głową najbliższego mężczyznę. – Zobacz. Włócznicy trzymają broń zwróconą ku dołowi, żeby w razie potrzeby móc jej szybko użyć. Stoją tak prawie wszyscy. Wystarczy podskoczyć. Złapiesz za drzewce,

szarpniesz, a może uda się zdobyć broń, która rzeczywiście okaże się przydatna. Wtedy ten uzbrojony spróbuje jakoś uratować drugiego.

– Łucznicy naszpikują nas strzałami, gdy tylko wyczują, że coś kombinujemy – westchnął Petroniusz. Jednak w jego oczach Romulus dostrzegł iskierkę nadziei. – Mam rację?

– Możliwe. Zatem sztuczka będzie równie niebezpieczna dla każdego z nas.

Zamilkli na chwilę, rozważając oczywiste konsekwencje. Ten, za kim ruszy nosorożec, najpewniej umrze pierwszy.

– Warto spróbować... – rzekł Petroniusz po chwili zastanowienia.

– Lepsze to niż po prostu zaakceptować tchórzliwą śmierć.

– Prawda. – Petroniusz odetchnął głęboko. – Gotowy?

Ziemia trzęsła się im pod stopami. Nosorożec pędził z nisko opuszczoną głową, przedstawiając najbardziej przerażający z widoków. Swoim długim rogiem z łatwością rozerwałby każdego człowieka. A gdyby nie trafił, potężna, szeroka czaszka, poparta szybko poruszającą się masą cielska o wadze czterdziestu mężów, wystarczyłaby, aby rozbić ciało na miazgę, zgnieść żebra i stratować bezradną, bezbronną ofiarę.

– Teraz! – krzyknął Romulus. Zmusił ramiona i nogi do maksymalnego wysiłku. Strach dodał mu skrzydeł. Nie odważył się spojrzeć za plecy, dopóki nie znalazł się w odległości piętnastu czy dwudziestu kroków. Wtedy, jakby dziwiąc się, że jeszcze żyje, poszukał wzrokiem nosorożca. Zaniepokojony stwierdził, że bestia pędzi za Petroniuszem. Była szansa, że gdy się rozdzielią, zatrzyma się zdezorientowana. Nic z tego. Dzięki zręcznemu uskokowi weteranowi udało się w ostatniej chwili uniknąć pierwszego ciosu w plecy. Jednak trudno było mówić o jakimś sukcesie. Ogromna bestia zrobiła elegancki zwrot i już znowu goniła za Petroniuszem. Weteran nie miał gdzie się ukryć. Pytanie brzmiało nie *czy*, lecz *kiedy* dosięgnie go róg nosorożca.

Romulus zwrócił się w stronę ściany areny. Teraz liczyła się każda chwila. Musiał na razie zapomnieć o Petroniuszu, bo w przeciwnym razie obaj skończą jako zakrwawione ochłapy mięsa na arenie.

Najbliższy strażnik pochylał się nad niską balustradą trybun około kilkunastu kroków od niego. Był tak zafascynowany wydarzeniami na środku areny, że nie zwracał uwagi na to, co dzieje się obok niego. Jego

włócznia wydawała się niemal w zasięgu ręki. Romulus udawał, że szuka jakiegoś wyjścia z areny i pobiegł wzdłuż muru, po cichu licząc kroki. Chciał, żeby włócznik, którego sobie upatrzył, nie zwrócił na niego uwagi. Odwrócił głowę.

Słyszał wyraźnie obelgi najbliższych widzów, którzy niewybrednymi epitetami okazywali mu swoją pogardę, biorąc jego zachowanie za przejaw tchórzostwa.

– Nieszczęsny psie! Chcesz ocalić skórę?

– Głupiec! Nędzna łajza!

Romulus ignorował te krzyki. Słyszał dochodzące z oddali wściekłe prychnania nosorożca. Nie towarzyszyły im jednak żadne krzyki Petroniusza, co oznaczało, że jeszcze żył. Dziesięć kroków. Piętnaście.

Zacisnął zęby. Liczył, że strażnik będzie przez cały czas skupiony na tym, co dzieje się z Petroniuszem. W przeciwnym razie nie uda mu się zdobyć włóczni i będzie zgubiony. Dwadzieścia kroków.

Zaryzykował zdawkowe spojrzenie. Szerokie ostrze w kształcie liścia nadal było skierowane w dół, a nieświadomy zagrożenia właściciel włóczni nie zwracał na niego uwagi. *Mitro, pomóż mi!* Jeszcze jeden krok, a potem Romulus ugiął kolana i skoczył w powietrze tak wysoko, jak tylko potrafił. Chwycił drzewce powyżej ostrza i opadając, wyrwał włócznię z rąk mężczyzny. Strażnik wydał zduszony krzyk zaskoczenia, po czym zachwiał się i runął w dół. Wylądował niezręcznie na piasku areny. Gdy uniósł głowę, stwierdził, że wpatruje się w ostrze własnej broni, którą Romulus przytknął do jego piersi, mierząc prosto w serce. Mężczyzna miał na tyle oleju w głowie, by nie sięgnąć po miecz.

– Nie ruszaj się, draniu – warknął Romulus, po czym odwrócił się szybko i popędził ile tchu w płucach na pomoc Petroniuszowi. Słyszał gniewne okrzyki innych strażników i pełne niedowierzania westchnienia widzów. *Zaraz pewnie posypią się na mnie strzały.* Nie mógł o tym myśleć. To, co działo się przed jego oczyma, było znacznie gorsze.

Romulus zaklął. *Że też nie udało mi się szybciej zdobyć włóczni!*

Nosorożec musiał już raz dopaść Petroniusza. Mimo że weteran trzymał się jeszcze na nogach, przechylał się wyraźnie na bok, ściskając ręką żebra. W drugiej dłoni trzymał jedyną broń, jaką miał. Bezużyteczną w walce z ciężko opancerzonym gigantem strzałę z łuku. Zwierz deptał mu

po piętach.

Romulus próbował ocenić dzielącą ich odległość. Co najmniej trzydzieści kroków.

Jeśli teraz rzuci włócznią, pewnie nie uda mu się nawet zranić nosorożca.

Jeśli tego nie zrobi, Petroniusz zginie.

Zwolnił i przymknął lewe oko. Celował w lewy bark opancerzonej bestii. Cisnął włócznią po łuku z największą siłą, na jaką go było stać. I wtedy złapał spojrzenie Petroniusza. Weteran uśmiechnął się smutno. Ten uśmiech miał siłę tysiąca słów pełnych emocji. Romulus wyczytał w nim uznanie, że udało mu się zrealizować plan. Szacunek za odwagę i umiejętności. I braterską miłość, do której zdolni są jedynie towarzysze broni.

Włócznia opadła z impetem, trafiając nosorożca dokładnie między łopatki. Jednak odbiła się od grubej skóry.

– Nieee!

Romulus krzyczał. Róg nosorożca przeszył plecy Petroniusza. Bestia uniosła go wysoko w powietrze. Róg przebił go na wylot i wyszedł nieco poniżej mostka w strugach czerwieni. Petroniusz zawył w agonii. Nadziany niczym dzik na włócznię, walczył szaleńczo, żeby się uwolnić, a nosorożec machał teraz głową z boku na bok.

Tłum szalał. Gdzieś w tle słyszał też wykrzykiwane rozkazy. Walcząc z wszechogarniającym smutkiem, Romulus zatrzymał się i zamarł w bezruchu. Uświadomił sobie, że nikt jeszcze nie próbował do niego strzelać, chociaż nie wiedział, dlaczego tak się dzieje.

Gdy nosorożec opuścił łeb i pozwolił, by ciało Petroniusza ześlizgnęło się z nieprzyjemnym gulgotem z jego rogu, z ust mężczyzny pociekła szkarłatna struga krwi. Bestia cofnęła się i już chciała nabrać rozpędu, aby rozbić swoją ofiarę na miazgę, gdy dostrzegła Romulusa. Grzebiąc w ziemi wielką łapą, zawyła z wściekłości. Oto kolejny kłopotliwy człowiek, którego trzeba rozgnieść jak insekta. Nosorożec ruszył powoli w kierunku Romulusa, chwilowo ignorując ciężko rannego Petroniusza.

To jest ta chwila – pomyślał, spoglądając na włócznię, która leżała na piasku za nosorożcem. – Nie udało się. Za chwilę moja kolej, by

przestąpić bramę Elizjum.

Tymczasem okazało się, że Petroniusz wciąż jeszcze był świadomy. Uniósł się trochę i podparł częściowo na rękach. Z ziejącej dziury na brzuchu wypływała nie tylko krew, ale rozlewały się już poszarpane zwoje jelit i niestrawione do końca jedzenie.

– Hej! Ty brzydki skurwysynie! – krzyczał z poszarzałą twarzą. – Wracaj tu.

Tak jak chciał Petroniusz, uwaga nosorożca znów skupiła się na nim. Dzikie zwierzę obróciło się z chrząknięciem.

Romulus ożył. Petroniusz próbował kupić mu czas nawet wtedy, gdy dla niego nie było już ratunku. Nie mógł tego zmarnować. Gdy bestia zajęła się rozbijaniem ciała jego przyjaciela na miazgę, Romulus poszukał wzrokiem włóczni. Ruszył po nią i chwycił w ręce długi drewniany wał, który nagrzał się od ciepłego piasku. To była ciężka broń, wykorzystywana podczas polowań, z ostrzem w kształcie liścia. Można nią było uśmiercić dzika lub nawet lwa. Nie miał jednak pojęcia, czy wystarczy do unicestwienia potężnego stwora, który pozbawił życia Petroniusza. Bo jego przyjaciel już na pewno nie żył. Nosorożec maltretował ciało Petroniusza, uderzając w nie raz za razem głową. Romulus usłyszał stłumiony krzyk tylko po pierwszym ataku. A później już nic.

Coś kazało Romulusowi popatrzeć na najbliższych widzów. Wcześniej nie zdawał sobie z tego sprawy, ale znalazł się tuż przy łożu najwyższych dygnitarzy. Nie dalej niż dwadzieścia kroków od niego znajdował się sam Juliusz Cezar, który śledził wydarzenia z żywym zainteresowaniem. Romulus spojrzął na strażników. Stali z uniesionymi włóczniami, gotowi do działania. Co ciekawe, nie skupiali się wcale na nim. Zrozumiał z dreszczem emocji, że pozwalają mu walczyć. Gdy skierował wzrok z powrotem na nosorożca, ciarki przeszły mu po plecach. Bestia skończyła już z Petroniuszem, zostawiając za sobą coś, co przypominało teraz zniekształcony stos okrwawionych szmat. Jednak na razie nie zwróciła na niego uwagi. Romulus czekał bez ruchu. Chciał zobaczyć, co zrobi nosorożec.

Parskając przez szerokie nozdrza, bestia potruczała w przeciwnym kierunku, oddalając się od Romulusa.

Naprawdę ma słaby wzrok – pomyślał Romulus w przypiływie podniecenia. Ta wiedza dawała mu odrobinę nadziei. Może będę miał szansę zadania jednego ciosu. Tylko gdzie? Zanim się ruszy na krok, musiał mieć gotowy plan działania. Tymczasem zrozpaczony zdawał sobie sprawę, że pancerz nosorożca jest grubszy niż najlepsza kolczuga legionisty. Nawet jeśli uda mu się trafić gdzieś od strony zadu lub przebić brzuch, nie zabije zwierzęcia i nie rani go tak, żeby zakończyć walkę. Nadzieje go na swój róg lub stratuje. Masywna głowa nosorożca skrywała czaszkę tak twardą, że nie można było marzyć o jej przebiciu, a wielkie sploty mięśni karku również nie dawały wielkiej szansy unicestwienia zwierzęcia. *Serce. Muszę jakoś dotrzeć do jego serca.*

Nosorożec znajdował się teraz w odległości około dwudziestu kroków, a zniecierpliwieni widzowie zaczęli rzucać w zwierzę różnymi przedmiotami, aby zmusić je do zawrócenia. To jednak jeszcze bardziej rozzłościło stworzenie, które pobiegło na drugą stronę areny.

Romulus zrobił krok, a potem drugi. Każdy sprawiał, że kolejny stawał się łatwiejszy. Jednak wkrótce znalazł się w pobliżu zniekształconych zwłok Petroniusza. Romulus nie mógł się powstrzymać przed spojrzaniem na tę krwawą miazgę. Znowu zaczęło zbierać mu się na wymioty. W połamanych kościach i morzu krwi nie dawało się rozpoznać rysów twarzy. Był wściekły. Dlaczego jego lojalny przyjaciel musiał tak umrzeć? To było takie niesprawiedliwe! Co mu pozostało? Musiał zrobić wszystko, żeby zabić nosorożca i pomścić Petroniusza. Chwytał włócznię oburącz z nową determinacją. Zamiast jednak ruszyć do przodu, zaczął wycofywać się w kierunku odeskowania ściany areny. W jego głowie zaświtała prawdziwie desperacka myśl.

Tymczasem widownia zaczęła wydawać z siebie kocie odgłosy i na Romulusa spadła nowa fala szyderstw i kpin.

Wszyscy umilkli, gdy Romulus krzyknął w stronę nosorożca.

– Chodź bydlaku! Tu jestem!

Zwierzę usłyszało jego krzyk, mimo że na trybunach panował straszliwy zgielk. Nosorożec obrócił się z gracją, jakiej Romulus by się po nim nigdy nie spodziewał. Uniósł głowę i zaryczał na znak, że przyjmuje wyzwanie człowieka. Pierwszy róg na całej długości ociekał lepłą krwią. *To jest krew Petroniusza.* Romulus się wzdrygnął. Po chwili

poczuł na plecach ciepłe drewno. Znieruchomiał. Wkrótce moja krew też splami róg zwierzęcia. Choć... może nie, jeśli tylko bogowie okażą się łaskawi. Tak czy inaczej, to ostateczna rozgrywka. Cieszył się, że będzie miał wszystko szybko za sobą. Trudno było dłużej znosić taki strach. Stał na szeroko rozstawionych nogach. Patrzył, jak nosorożec przygotowywał się do szarży. Drapał piasek nogą, opuścił płasko szerokie uszy i prychnął. Uniósł i opuścił kilka razy łeb. I ruszył. Stale zwiększając tempo, pędził z szybkością galopującego konia.

Znów rozległy się okrzyki i wiwaty widzów, którzy w końcu dostali to, czego chcieli. Ich wyrafinowany smak został rozbudzony przez dziwaczny wygląd tego zwierzęcia, ale ta cała biegania była nudna. Wkrótce głupiec na arenie zostanie rozgnieciony o ścianę, a potem wreszcie będzie można oglądać prawdziwych mężczyzn. Gladiatorów, którzy zapewnią im autentyczną rozrywkę.

Romulus nie ruszył się z miejsca, mimo że był absolutnie przerażony. I tak nie miał gdzie uciekać. Przynajmniej teraz mógł się bronić i zostawić po sobie dobre wrażenie, zanim trafi do Elizjum. Serce waliło mu jak młotem. Myśli popłynęły do obrazów tych, których kochał. Matka. Fabiola. Juba. Brennus. Tarkwiniusz. I odważny Petroniusz. Jego siostra była jedyną żywą osobą w tym gronie, ale nigdy już jej nie zobaczy. *Bogowie zadbajcie o Fabiolę. Niech będzie szczęśliwa. Kiedyś spotkam się z nią w raju.* Przygotowywał się na jeden ruch, który zadecyduje o wszystkim. Podrzucił włócznię i chwycił ją mocno prawą ręką. Musiał mieć pewność, że przypadkowo nie wysunie się z mokrej dłoni, gdy przyjdzie czas działania.

Publiczność zareagowała teraz pełnym niedowierzania śmiechem.

– Za bardzo przerażony, żeby jej użyć? – zrozumiał słowa wykrzyczane przez jednego z obserwatorów.

Piasek pod stopami Romulusa zaczął się trząść. Nosorożec stał się coraz większy i większy. Każdy fragment jego ciała instynktownie krzychał, aby rzucił się do ucieczki. Lepiej się ukryć! Zejść mu z drogi. Myślał, że serce wyskoczy mu z piersi, ale nie drgnął nawet. Jeśli ruszy się za wcześnie, nosorożec zmieni kierunek biegu. Wtedy dorwie go i tak. Jeśli uskokczy ułamek uderzenia serca za późno, bestia rozgniecie każdą kość w jego ciele, rozsmarowując go na ścianie.

Cały jego świat skurczył się do wąskiego korytarza bezpośrednio przed nim. A ten wypełniał swoim potężnym cielskiem wściekły nosorożec.

Romulus bał się, że gdy przyjdzie czas działania, mięśnie odmówią mu posłuszeństwa. *Wielki Mitro, daj mi odwagę* – błagał. Przed oczyma pojawił się obraz Brennusa, stojącego samotnie przed słoniem. A potem Petroniusza, który w ostatniej chwili na tym padole ofiarował mu czas. Skrzywił się. Wystarczy już. Jeszcze jeden, ostatni głęboki oddech, zanim opancerzona bestia wpadnie na niego i zakończy tę farsę raz na zawsze.

Wciągnął powietrze.

Nosorożec znajdował się nie dalej niż trzy kroki od niego. Romulus rzucił się na bok i poturlał po ziemi. Za nim rozległ się potężny trzask. Bestia z całym impetem wbiła się w odeskowanie z ciężkich kłód, łamiąc niektóre z nich i uszkadzając inne. Uderzenie było tak potężne, że rogi i przednia połowa łba nosorożca znalazła się po drugiej stronie ściany. Zwierzę przez chwilę było unieruchomione. Latające w powietrzu drzazgi wbijały się w plecy Romulusa, który wylądował na ziemi twarzą w dół. Na szczęście zamknął oczy, więc żółte ziarna piasku spod nóg nosorożca wypełniły tylko jego usta. Usłyszał wściekły ryk bestii. Dobiegał z góry. Zza jego pleców. Zwierz próbował się uwolnić, ale drewniane szczapy przytrzasnęły jego masywny kark. Gniewnemu sapaniu towarzyszyły trzaski resztek odeskowania, przez które na przemian zwierzę próbowało się to przepchnąć, to wycofać. Złowieszcze skrzypiące dźwięki mówiły Romulusowi, że ten spektakl nie będzie trwał wiecznie.

Zdesperowany zebrał się w sobie, podniósł się na kolana, twarzą w stronę przeciwnika. Był tak blisko, że wystarczyło tylko wyciągnąć rękę, by dotknąć zrogowaciałej brązowej skóry. Niestety, podczas szaleńczego uskoku nie udało mu się utrzymać włóczni, która zawieruszyła się gdzieś w piasku. Szukał po omacku, a w tym czasie noga nosorożca o włos minęła jego głowę. *Gdzie to cholerstwo?* Zaczął panikować. Szalejący zwierz był tak niebezpieczny, że nie mógł sobie pozwolić na oderwanie od niego wzroku i spojrzenie w dół. Gdy jego palce wreszcie zacisnęły się na drzewcu włóczni, aż jęknął głośno z ulgą. Podnosząc ją, zaczął

lustrować wielkie połacie grubej skóry zwierzęcia. Ledwo widział zarys żeber klatki piersiowej. Zebrał dość doświadczeń na łowach, żeby wiedzieć, że serce musi znajdować się gdzieś, za lewym ramieniem. Jednak nosorożec tak szaleńczo machał łapą z tej strony, że Romulus nie miał możliwości dokładnie się jej przyjrzeć.

Większa część drewnianej przeszkody pękła z hukiem i nagle nosorożec zrobił jeden krok do tyłu.

Romulus zaklął. Jeśli nie zrobi czegoś teraz, cały jego wysiłek pójdzie na marne. Musiał zaufać swojej ocenie. Wraził włócznię w bok zwierzęcia z całą siłą, na jaką go było stać. Czuł jak ostrze przesuwa się po jednym z żeber, zwalnia na chwilę, a potem zagłębia się dalej w klatkę piersiową. Drzewce niknęło w szarym cielsku zwierzęcia, wchodząc co najmniej na głębokość przedramienia. Na ostatnim etapie Romulus jeszcze przekręcił włócznię, żeby mieć pewność, iż zada bestii jak największe obrażenia. Ostrze będzie musiało przedrzeć się przez płat płuca, otworzyć duże naczynia krwionośne i dotrzeć do serca. Tylko wtedy cios będzie mógł skutecznie unieruchomić tego lewiatana.

Z gardła nosorożca wyrwał się ogłuszający ryk. Zwierzę uwolniło się wreszcie z deskowania i zatoczyło niepewnie do tyłu. Na jego pysku pojawiła się pierwsza bańka krwawej piany. Ku przerażeniu Romulusa nosorożec skierował łeb w jego stronę, wbijając w człowieka spojrzenie swoich wyłupiastych, wielkich ślepi. Nadal znajdował się zaledwie kilka kroków od niego. *Wystarczy jeden ruch, a będę martwy. Miałem swoją szansę, ale ją zmarnowałem.* – Miejsce nadziei w jego sercu zajęła rozpacz. – *Nie byłem wystarczająco dobry.*

Nosorożec zrobił krok w jego stronę, ale przednie nogi ugięły się pod ciężarem wielkiego cielska. Po chwili bestia opadła też na zad, wydając przy tym głuchy jęk. Z pyska zaczął wylewać się jakiś różowy płyn, który zabarwiał piasek. Większy strumień wypływał z okolic rany, częściowo blokowanej przez drzewce włóczni. Jasnoczerwony kolor krwi kazał sądzić, że udało mu się przebić jakąś główną arterię. Jeszcze nie miał pewności, ale wyglądało na to, że jednak zadał śmiertelny cios. Romulus aż ugiął się, przepelnięty poczuciem wdzięczności. Pomścił Petroniusza i złożył mu hołd. Nie wątpił, że za chwilę łucznicy przeszyją go strzałami i tak zakończy swoje życie. Ale gdy znajdzie się w Elizjum,

będzie mógł przynajmniej trzymać głowę wysoko, nawet przechadzając się wśród bohaterów, takich jak Brennus i Petroniusz.

Umierające zwierzę kopnęło jeszcze kilka razy spazmatycznie łapą. Chwilę później wielka głowa z rogiem opadła w przód i znieruchomiała.

W amfiteatrze zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

Romulus spoglądał na oszołomione i wstrząśnięte twarze widzów. Nikt nie mógł uwierzyć w to, co się właśnie stało. Wydawało się nie do pomyślenia, że nieuzbrojony człowiek może przetrwać walkę z tak przerażającym stworzeniem.

Nagle ktoś zaczął klaskać. Najpierw powoli, a potem coraz szybciej.

Kiedy ludzie zobaczyli, kto bije brawo, zaczęli pospiesznie dołączać. Pochwały i okrzyki z gratulacjami zastąpiły pełne nienawiści komentarze, które Romulus słyszał jeszcze przed chwilą. Hipokryzja w tej zmianie była wprost powalająca.

Romulus podniósł wzrok i stwierdził, że owację rozpoczął sam Juliusz Cezar. Duma zaczęła go dławić, a oczy zaszkliły się od łez. Przynajmniej jedna osoba naprawdę doceniła jego męstwo i odwagę. W jakimś sensie to uznanie złagodziło ból po śmierci Petroniusza.

– Kim jest ten człowiek? – zawołał Cezar. – Dajcie go tu zaraz!

Mistrz ceremonii pospieszył ku wyglądającemu na wzburzonego Memorowi i szepnął mu coś do ucha. Bezsilna wściekłość, która zniekształciła na krótko twarz lanisty, szybko zniknęła; ruszył do najbliższego zejścia na arenę. Grzmiące oklaski trwały, natomiast Romulus skorzystał z okazji, aby podejść do ciała Petroniusza. Nie miał tego luksusu w przypadku Brennusa, co sprawiało, że ostatnie pożegnanie z weteranem stało się dla Romulusa jeszcze ważniejsze. Odwrócił się plecami do Cezara i przykucnął, żeby ucisnąć zakrwawione ramię towarzysza broni i przyjaciela.

– Dziękuję ci, *commiles*. Poproszę, aby przed oddaniem twojego ciała ziemi odprawiono właściwe obrzędy. Postaram się, żebyś miał przyzwoity pogrzeb... – wyszeptał. *Żeby nie było tak jak z Brennusem, którego ciało zostało pewnie oskubane do kości przez padlinożerne ptaki.* Gdy delikatnie zamknął oczy Petroniusza, po jego policzkach zaczęły spływać łzy. – Odejdź w spokoju.

Gdy wstał, otoczyła go czwórka ludzi Memora z wyciągniętymi w jego stronę włóczniami. Lanista był tuż za nimi. W ich oczach zobaczył niechętny szacunek. Tylko Memor wyglądał jak wąż, którego pozbawiono właśnie zdobyczy. Romulusa to jednak nie interesowało. Teraz o jego losie zadecydują więksi od lanisty. Włócznicy powiedli go do wejścia pod trybuną, potem poprowadzili obok klatek i znów na zewnątrz trybun. Znaleźli się w części areny przeznaczonej dla widzów. Dla Romulusa to było oczywiście nowe doświadczenie. Nie potrafił ogarnąć umysłem tego, co się dzieje. Wciąż jeszcze nie przyjmował do wiadomości śmierci Petroniusza i ogromu swoich dokonań.

Wyłonili się z ciemności, wychodząc prosto na oświetlony jasnymi promieniami słonecznymi podest. Romulus musiał zmrużyć oczy. Znajdowali się na trybunie przeznaczonej dla arystokracji, otoczeni legionistami i wysokimi rangą oficerami oraz senatorami. W oczach tych ludzi widział różne emocje: szacunek, zdumienie i strach, ale także odrazę i zazdrość. Gdy stanął przed Cezarem, jego serce wypełniła trwoga. Chociaż widział generała wiele razy na polach bitew, nigdy nie znajdował się aż tak blisko niego. Cezar był mężczyzną w średnim wieku, z przeredzonymi już siwymi włosami, wydatnym nosem i wysokimi kośćmi policzkowymi. Nie wyróżniało go nic specjalnego. Może poza pewnością siebie i wyczuwalną władczą aurą. Romulus instynktownie uklonił się w pas.

– Zostawcie nas samych – Cezar nakazał ludziom Memora.

Wyciągnął palec, wskazując pierś lanisty. – Ty zostań.

Strażnicy zniknęli.

– Rozumiem, że ten tu niewolnik miał umrzeć jako *noxius* za to, że bezprawnie dołączył do legionów?

– Tak jest.

Cezar zmarszczył brwi.

– A ten drugi?

– To był jego towarzysz, panie. Wygląda na to, że ten głupiec próbował go bronić, gdy wszystko się wydało.

– Ktoś mówił mi też, że kiedyś byłeś właścicielem tego niewolnika. Czy to prawda?

– To prawda, panie. Kupiłem go jeszcze jako chłopca. Szkolił się

na secutora. Ale uciekł jakieś ponad osiem lat temu. Zgładził arystokratę.
Cezar spojrział uważnie na Romulusa.

– Dwa przestępstwa zagrożone karą śmierci... – powiedział cicho.
Nie mam nic do stracenia.

– Nie zabiłem tamtego nobila, panie – zaprotestował Romulus.

– Każdy by się wypierał – Memor przerwał mu w pół słowa.

– Bądź cicho... – warknął Cezar. Jego niechęć do lanisty była oczywista. – Jeśli nie ty, to kto?

– Zrobił to mój przyjaciel, panie.

– Ten, co tam leży?

– Nie. Inny. Etrusk.

– Gdzie on jest?

– Nie wiem, panie – odpowiedział zgodnie z prawdą Romulus. –

Zniknął w Aleksandrii po tym, jak trafił go kamień egipskiego procarza.

– Widząc zdziwienie Cezara, wyjaśnił. – Obaj byliśmy zmuszeni do przyłączenia się do Legionu XXVIII.

Cezar wydawał się teraz mocno rozbawiony.

– A zatem nie miałeś specjalnego wyboru?

– Nie, panie.

– Czyli twierdzisz, że zostałeś niesłusznie oskarżony w obu tych sprawach? – Cezar postukał palcem o zęby. – To wydaje się naturalna linia obrony.

Legioniści nieprzyjemnie zarechotali.

– Przyznaję, że jestem winny jednego wykroczenia. – Nie chciał już dłużej udawać.

– Czyli?

– Gdy razem z przyjacielem uciekliśmy z *ludus*, dołączyliśmy do kohorty najemników w armii Krassusa. Skłamaliśmy, że pochodzimy z galijskiego plemienia.

– Ta historia robi się coraz ciekawsza! Aż nie chce się wierzyć – zażartował Cezar. Spojrzął na Romulusa i zobaczył, jak Memor próbuje ukryć swoją reakcję. Zacisnął szczękę z zaciętym wyrazem twarzy.

– Gadaj! – rzucił do lanisty.

– Słyszałem takie pogłoski, panie – Memor przyznał niechętnie. – Po tym, jak przysły wieści spod Carrhae, nigdy nie myślałem, że

kiedykolwiek zobaczę jeszcze tego hultaja.

– Nie ma zbyt wielu takich hultajów, którzy potrafiliby jedną ręką zabić nosorożca – zadumał się Cezar. – Więc twierdzisz, że razem z innymi jeńcami trafiliście do Margiany?

– Tak, panie. Tysiąc pięćset mil od Seleucji, aż na krańce ziemi – powiedział Romulus, patrząc prosto w oczy generała. – Nazwaliśmy się Zapomnianym Legionem.

Romulus zobaczył słaby uśmiech akceptacji.

– A jednak uciekłeś. Świetna robota. Sam?

– Było nas dwóch. Uciekłem z towarzyszem. Tym, który zabił arystokratę – odrzekł Romulus, starając się nie wgłębiać w całą historię. Nie było sensu ryzykować, że Cezar straci cierpliwość. – Dotarliśmy do Barbaricum, a potem udało nam się znaleźć transport do Egiptu. Jednak nasz statek rozbił się na wybrzeżu Etiopii. Na szczęście wyszliśmy z katastrofy bez szwanku, a bogowie nadal się do nas uśmiechali.

Zatrudnił nas *bestiarius*, z którym dotarliśmy do Aleksandrii.

– Gdzie dołączyliście do Legionu XXVIII...

Romulus skinął głową.

– Słyszałem wiele niesamowitych historii, ale ta jest z nich najlepsza! – wykrzyknął Cezar. Wśród jego świty rozległo się kilka śmiechów rozbawienia, a Romulus zdał sobie sprawę, że jego los wciąż jeszcze nie był pewny. Następny ruch Cezara jednak go zaskoczył.

– Longinusie! Bywaj tu.

Zbliżył się do nich szpakowaty oficer w kiepsko dopasowanej todze.

– Panie?

– Zapytaj tego niewolnika o Carrhae. Zadawaj pytania, na które odpowiedzieć mógłby tylko ktoś, kto naprawdę uczestniczył w tej bitwie.

Longinus spojrzał spode łba na Romulusa. Cała jego postawa świadczyła o tym, że mu nie wierzy.

– Jak zginął syn Krassusa?

– Publiusz poprowadził szarżę kawalerii, której miała towarzyszyć piechota, panie – Romulus odpowiedział natychmiast. – Wróg udał, że rzuca się do ucieczki, a potem otoczył atakujących i wybił ich prawie do

nogi. Ocalało tylko dwudziestu najemników. Potem ci barbarzyńcy odrąbali Publiuszowi głowę, zatknęli ją na włócznię i paradowali z nią przed całą armią.

Longinus był zbyt prostolinijnym człowiekiem, aby umiejętnie ukryć szczere zdziwienie.

– To prawda...

– Pytaj dalej – nakazał Cezar.

Oficer posłusznie zaczął wypytywać Romulusa o przebieg całej kampanii Krassusa. Romulus odpowiadał płynnie, nie mijając się z prawdą. Wreszcie Longinus się poddał.

– Ten człowiek musiał być na miejscu i widzieć wszystko na własne oczy, panie – przyznał. – Albo rozmawiał ze wszystkimi, którzy wrócili do domu.

– Rozumiem... – Zapadła długa cisza, a Cezar zastanawiał się, co powinien uczynić.

Romulus spojrzał na to, co zostało z ciała Petroniusza.

Prawdopodobnie i on wkrótce dołączy do niego w Elizjum. *Niech tak będzie. Już mi na niczym nie zależy. Zrobiłem, co mogłem.*

– Byłem świadkiem wielu wspaniałych dokonań jako generał i jako lider – głos Cezara niósł się teraz po całym amfiteatrze. – Nigdy nie widziałem takiej odwagi, jaką zaprezentowali ci dwaj *noxii*.

Nieuzbrojeni i wydawałoby się, że skazani na porażkę. A jednak jeden z nich był na tyle zaradny, aby ukraść włócznię przysypiającemu strażnikowi. Nie zważając na własne bezpieczeństwo, próbował zranić nosorożca, aby ocalić swojego przyjaciela. – Cezar rozejrzał się po publiczności, która spijała z jego ust każde słowo.

Romulus był oszołomiony. *Może śnię albo już nie żyję?*

– Nie udało się, ale jego towarzysz zapewnił mu trochę czasu, płacąc za niego własnym życiem. Mimo że ten tu człowiek odzyskał włócznię, sądziłem, że nosorożec i tak go zabije. Ale tak się nie stało! Wbrew tym wielkim przeciwnościom zabił bestię podobną do istot z najczarniejszych koszmarów. A potem odwrócił się do mnie plecami! Do sponsora. Dlaczego to uczynił? Aby oddać cześć przyjacielowi! – Cezar mówił dalej donośnym głosem. – Powiadam wam, że ten mężczyzna jest prawdziwym synem Rzymu! Może urodził się niewolnikiem i wszedł w

zatarg z prawem. Ale ja dziś jednak nazywam go obywatelem!

Romulus aż otworzył usta ze zdumienia. Zamiast śmierci ofiarowano mu życie. Wolność.

Memor wyglądał na zatrwożonego. Oburzonego! Jednak przezornie nie ośmielił się pisać ani słówka.

Po trybunach przetoczyła się burza oklasków. Cezar zwrócił się do Romulusa i podał mu prawą rękę.

– Jak cię zwa?

– Romulus, panie – odparł, chwytając mocno podaną rękę.

– Gdyby wszyscy moi żołnierze byli tak odważni jak ty, potrzebowałbym tylko jednego legionu, aby zakończyć wojnę domową – zażartował Cezar.

Romulus czuł ogromną wdzięczność.

– Ofiaruję ci moje usługi, Cezarze – powiedział, opadając na jedno kolano.

Tym razem to Cezar wyglądał na zaskoczonego.

– Chcesz wrócić do armii? Wkrótce wyruszamy do Afryki, gdzie czeka nas krwawa kampania.

– Nie jestem w stanie wyobrazić sobie większego wyróżnienia, panie.

– Żołnierz taki jak ty zawsze będzie mile widziany w moich legionach – odpowiedział Cezar z zadowoleniem w głosie. – Do której jednostki chciałbyś dołączyć?

– Do Legionu XXVIII!

– Dobry wybór. Niech tak będzie. Twoje życzenie zostanie spełnione. – Przywołał jednego ze swoich oficerów. – Zabierzcie tego tu Romulusa do obozu i porządnie oporządźcie. Najbliższy tydzień może spędzić z twoimi żołnierzami, zanim nie wyślę nowych rozkazów do Legionu XXVIII. Wtedy będzie mógł dołączyć do swoich towarzyszy. Jasne?

– Tak jest, panie!

Cezar się odwrócił.

Oficer skinął głową na Romulusa. Było jasne, że rozmowa z dyktatorem właśnie dobiegła końca. Romulus walczył ze zdenerwowaniem i strachem. *Obiecałem...*

– Panie?

– O co chodzi? – Cezar odwrócił się na pięcie.

– Petroniusz... mój towarzysz. Służył w Legionie XXVIII – zaczął Romulus.

– Tak?

– Był dobrym żołnierzem, panie. Obiecałem mu, że zostanie pochowany z należną czcią, ze wszystkimi odpowiednimi rytuałami.

Cezar był zaskoczony.

– Jesteś uparty, co?

– On był moim prawdziwym przyjacielem, panie – odpowiedział pewnie Romulus.

Otaczający ich oficerowie i senatorowie wydawali się wzburzeni jego zuchwałością.

Cezar wpatrywał się w niego długo poważnym wzrokiem, bez cienia wesołości.

– Świetnie – powiedział w końcu. – Niech tak się stanie. To samo i ja bym zrobił. – Spojrzał na centuriona ze straży przybocznej. – Dopilnuj tej sprawy.

Romulus zasalutował.

– Dziękuję.

– Może bogowie sprawią, że nasze ścieżki jeszcze kiedyś się skrzyżują.

Romulus poczuł, że ktoś chwyta go pod łokieć. Jego rozmowa z dyktatorem właśnie zdecydowanie się skończyła.

– Lanista! – usłyszał za plecami zimny głos Cezara. – Do mnie na słowo, jeśli łaska.

Nie słyszał już, co generał miał do powiedzenia Memorowi. Na przemian zalewał go smutek i ekstaza. W drodze powrotnej z trybun towarzyszył mu chudy, utykający żołnierz.

– Cezar cię lubi – powiedział cicho, gdy opuścili amfiteatr. – Ale nie myśl, że jesteś teraz kimś wyjątkowym. Nie jesteś. Zostałeś zwykłym legionistą. Jak ja. Nigdy więcej nie próbuj niepytany otwierać pierwszy ust w obecności wyższego stopniem. Chyba że lubisz dobrą chłostę...

Romulus skinął głową. To, że nie musiał już ukrywać swojej tożsamości, warte było o wiele więcej niż gotowość do

podporządkowania się surowej dyscyplinie.

– Nie oczekuj też specjalnego traktowania przez swoich towarzyszy. Będą mieli w dupie to, czego dokonałeś dzisiaj na arenie – kontynuował żołnierz. – Wszyscy oni dbają tylko o to, żeby na zawsze uporać się wreszcie z tymi pieprzonymi republikanami w Afryce.

Romulus wyczuł nerwowość w głosie mężczyzny.

– Ciężko jest?

Żołnierz zareagował zrezygnowanym wzruszeniem ramion.

– Tak jak zwykle, gdy walczą ludzie Cezara. W każdej formacji wróg ma przewagę jak dwa lub trzy do jednego. Te dranie mają też dużo numidyjskiej kawalerii, podczas gdy my... właściwie żadnej.

Zrezygnowany Romulus przeniósł wzrok na górującą nad miastem świątynię Jowisza. Nie odwiedzi jej jeszcze. Nie uda mu się też zobaczyć z Fabiolą. Za to może liczyć na to, że już wkrótce znów weźmie się za bary z życiem. W niebezpiecznej Afryce.

Rozdział XIII

Ścieżki Fortuny



Narzekając i utyskując jak marudna staruszka, Brutus zmusił Fabiolę, żeby się położyła. Wspomagany przez Docilosę, zorganizował ciepłe koce, rozwodnione wino i bogaty asortyment preparatów ziołowych.

Czuła się winna. W przeciwieństwie do jej choroby jego zaniepokojenie i zaaferowanie było naturalne i nieudawane. Tymczasem ona musiała kontynuować tę maskaradę. Przynajmniej tego wieczoru. Położyła się na plecach i zamknęła oczy. Starła się nie myśleć o nieuzbrojonych mężczyznach, masakrowanych przez opancerzoną, rogatą bestię. To było trudne. Jednak alternatywa – obserwowanie szczerze zmartwionego Brutusa, który przyglądał się jej ze zmarszczonym czołem – wcale nie była łatwiejsza.

Jowina zastąpiła ją w recepcji, podczas gdy Docilosa kręciła się koło niej. Oblekła twarz w maskę naturalności. Fabiola dobrze wiedziała, że jej powiernica zdejmie ją, gdy tylko zniknie Brutus. Dostrzegła zwiastuny nadchodzącej burzy: rozwarte nozdrza czy sposób, w jaki stawiała na stoliku kielich z winem. Gdy Brutus wyjdzie, Docilosa uwolni swoją furię. *Nie powinnam się dziwić*. Jej romans z Antoniuszem nawet dla niej wydawał się szaleństwem, o które sama siebie nie podejrzewała. Przez takie gierki może skończyć na ulicy. Chociaż o mały włos wszystko by się wydało, Fabiola nie mogła opędzić się od myśli, że czuje dziwną satysfakcję i przyjemność. Nie zostali przyłapani. I to wszystko, co się teraz liczyło. Była panią własnego losu i mogła

robić, co jej się żywnie podoba. Docilosa nie będzie jej dyktować warunków. Za kogo się uważa?

Jakaś jej bardziej logiczna część podpowiadała, że przesadza z reakcją, ale ta wymuszkana prawość Docilosy bardzo ją teraz drażniła. Nie potrafiła odpuścić. Uświadomiła sobie, że nie może liczyć na to, że dziś pozbędzie się obaw i poczucia winy. Najlepiej zrobi, jeśli dobrze wypocznie. Nigdy za wiele snu. Z Docilosą porozmawia jutro.

Spowolniła oddech, udając, że zasnęła. Zadowolony Brutus wydał Docilosie kilka poleceń i wyszedł. Pewnie jeszcze zdąży zobaczyć tego swojego etiopskiego byka.

Docilosa usiadła na stołku przy łóżku z westchnieniem pełnym dezaprobaty. Kilka razy próbowała zagadnąć szeptem Fabiolę. Ta jednak uparła się, by nie odpowiadać, i po prostu ostentacyjnie ją zignorowała. Ostatecznie Docilosa dała za wygraną. Kilka chwil potem Fabiola rzeczywiście zapadła w sen. Praca w Lupanarze naprawdę dawała jej w kość.

Mimo środków nasennych, którymi kazał ją nafaszerować Brutus, drzemka Fabioli okazała się mało odświeżająca. Zanurzyła się w świat ciemnego koszmaru, w którym Antoniusz poznał jej sekret i dowiedział się o planie zamachu. Zaciągnął ją przed oblicze Cezara. Śmiał się z niej, gdy dyktator ją gwałcił. Brutus nie przyszedł jej z pomocą. Fabiola rzucała się po pościeli i przewracała z boku na bok, a straszliwy sen trwał w najlepsze. Gdy Cezar skończył, oddał ją Scewoli. Tego już było za wiele. Fabiola obudziła się zlaną zimnym potem, ściskając w pięściach koc. W pokoju było cicho. Czy była sama? Jej oczy szukały Docilosy. Jednak na stołku, który wcześniej zajmowała, siedział teraz Wettiusz z nieszczęśliwym wyrazem twarzy.

Zerwał się na równe nogi, widząc, że Fabiola nie wygląda najlepiej.

– Czy mam zawołać lekarza, pani?

– Co? – krzyknęła zaskoczona. – Nie. Czuję się lepiej. – Fizycznie może to i była prawda, ale w głowie wciąż wirowały jej pełne grozy obrazy. Usiadła, zagłuszając strach najlepiej, jak potrafiła. – Gdzie Docilosa?

Wettiusz odwrócił wzrok.

- Poszła do córki.
- Kiedy?
- Jakież trzy godziny temu.
- I zostawiła mnie? – Fabiola zawołała z niedowierzaniem. –

Akurat teraz, gdy jestem taka chora?

– Powiedziała, że temperatura spadła – tłumaczył cicho Wettiusz pokornym głosem, jakby to była jego wina. – Kłamała?

Fabiola zastanawiała się chwilę, co odpowiedzieć. Nie było sensu udawać bardziej, niż tego wymagała chwila.

– Nie... – westchnęła, zrzucając pościel. – Nic mi nie jest. Wracaj na swoje miejsce.

Wettiusz rozpromienił się. Nie czuł się najlepiej, pilnując chorej pani. Teraz, kiedy wyglądało na to, że nic jej nie dolega, wszystko wracało do normy. Chwycił pałkę, z którą się nie rozstawał, skłonił się nisko i ruszył do drzwi.

Fabiola odprowadziła go wzrokiem. Na widok potężnych pleców tego wielkoluda znikającego w korytarzu pomyślała, że chciałaby wieść tak nieskomplikowane życie.

Kilkadziesiąt kroków od Lupanaru Tarkwiniusz kuczał niemal w tym samym miejscu, gdzie siadywał osiem lat temu. To miejsce przywoływało mieszane wspomnienia. Wtedy czekał na Rufusa Celiusza, znenawidzonego nobila, przez którego zginął Olenus. Nie zdziwił się zbyt, że jest w stanie odtworzyć niemal każdy szczegół tamtej potyczki spod bramy domu publicznego. Próbował wyrzucić z pamięci wspomnienie jednego pchnięcia nożem, któremu wówczas towarzyszyły takie przyjemne emocje. Chociaż haruspik uważał, że to przeznaczenie kierowało jego ręką, myśl o skutkach jego działania nadal sprawiała mu ból. Dobrze pamiętał wyrzut w spojrzeniu Romulusa, gdy przyznał się do wszystkiego. Między innymi właśnie te niezbyt miłe myśli sprowadziły go ponownie do tego miejsca, gdzie znów przyszło mu udawać żebraka.

To dziwne, jak życie zatacza kręgi.

Fabrycjusz dotrzymał słowa i zabrał Tarkwiniusza do portu, gdzie cumowała mała flotylla jednostek zmierzających do Rzymu. Uparł się, że jego nowy znajomy powinien podróżować na tym samym okręcie co

on. Tarkwiniusz skwapliwie przyjął tę propozycję. Wszystko wydawało się świetnie układać. Dzięki interwencji Mitry mógł wrócić do Italii we względnym komforcie, ciesząc się dostępem do dokumentów i starożytnych artefaktów. Wkrótce po wypłynięciu z portu okazało się jednak, że większość źródeł, z którymi chciałby się zapoznać, znajdowała się akurat na innych triemach. Tym samym jedna decyzja zaważyła o tym, że nie zrealizował części swojego planu. Miał nadzieję, że podczas tej podróży spędzi tyle czasu na studiowaniu dokumentów, ile tylko się da. Tymczasem podział ładunku między okrętami okazał się szczęściem w nieszczęściu. Gdy jesienny sztorm uderzył w ich niewielką flotyllę, która znajdowała się akurat u wybrzeży maleńkiej wyspy Antykithira, to właśnie triemy z cennym ładunkiem poszły na dno, a nie okręt z Fabrycjuszem i Tarkwiniuszem na pokładzie. Nie znaczy to jednak, że ich triema nie ucierpiała. Wręcz przeciwnie. Potężne fale żywiołu zalewały pokład przez kilka godzin przy akompaniamencie przerażających grzmotów i w świetle tańca błyskawic. Jednak triema w końcu doczłapała się do Brundisium z kikutem zamiast głównego masztu. Stracili co najmniej kilkunastu członków załogi, zmytych za burtę.

Radując się tym, że wbrew wszelkim przeciwnościom wyszedł z kolejnej przygody bez szwanku, haruspik interpretował ostatnie zdarzenia tak, jak uczyniłaby to większość wierzących. Czuwał nad nim Mitra. Chociaż nie znał swojego celu, miał teraz powody, by wierzyć, że jednak bogowie zaplanowali dla niego jeszcze jakieś zadanie do wypełnienia. Był im za to wdzięczny. Nie znalazł się w Rzymie przypadkiem.

Fabrycjusz również dziękował Mitrze za cudowne ocalenie. Jednak zanim opuścili port w Brundisium, złożył też ofiarę w świątyni Neptuna.

– Muszę dbać o to, aby wszyscy bogowie byli zadowoleni. Czyż nie mam racji?

Rzymianie powszechnie czcili wiele istot boskich, w zależności od konkretnych potrzeb. Podobnie postępowali dawniej Etruskowie. Tarkwiniusz nie był tu żadnym wyjątkiem.

Gdy dotarli do Rzymu, centurion zaproponował Tarkwiniuszowi gościnę. Mieszkał w dużym domu na Palatynie.

– To mój obowiązek – nalegał. – W tym miejscu przynajmniej dobrze odpoczniesz po trudach podróży.

Budynek okazał się siedzibą grupy weteranów, wyznawców Mitry. Tam, w podziemnym mitreum, Fabrycjusz przedstawił Tarkwiniusza Sekundusowi, który opiekował się świątynią jako *pater*. Trzeba przyznać, że haruspik nie spodziewał się świętego sanktuarium w samym sercu Rzymu. Jednak nie posiadał się ze zdumienia, gdy w osobie Sekundusa rozpoznał dawnego towarzysza, z którym przed wielu laty spędził sporo czasu, żebrząc właśnie na chodniku pod Lupanarem. W przeciwieństwie do niego *pater* nie wydawał się zaskoczony.

Spotkanie Fabrycjusza i przetrwanie sztormu przywróciło wiarę Tarkwiniusza w bogów. Gdy wydawało się już, że przeszkody na jego drodze są zbyt trudne do pokonania, oni je usuwali. Przez całą podróż miewał wizje przedstawiające Rzym przysłonięty cieniem burzowych chmur. Ich kolor mówił haruspikowi, że czyjeś życie znajduje się w niebezpieczeństwie, ale nie miał pojęcia, o kogo może chodzić. Równie często wracało do niego żywe wspomnienie tego, co uczynił pod bramą Lupanaru. I dlatego właśnie wybrał się w to miejsce następnego dnia zaraz po przebudzeniu.

Wkrótce z osłupieniem odkrył, że nową właścicielką Lupanaru została siostra Romulusa! Nikt nie potrafił zgadnąć, dlaczego zdecydowała się na taki krok, ale ta zmiana wydawała się Tarkwiniuszowi niezwykle istotna. Czyżby miało to jakieś znaczenie dla jego przyszłości? Dowiedział się też, że Fabiola jest faworytą Decimusa Brutusa, jednego z zaufanych ludzi Cezara.

Haruspik nie zamierzał tak po prostu udać się do Fabioli i przedstawić się jako przyjaciel jej brata. To nie byłoby w jego stylu. Zamiast tego znalazł sobie dobry punkt obserwacyjny i zajął się zbieraniem informacji. Uważnie przyglądał się wszystkim gościom przybytku. Chciał najpierw wyrobić sobie jakąś opinię na temat tego, co właściwie się dzieje. Po kilku godzinach wiedział już, że sprawy nie wyglądają za dobrze. Lupanar był znany w całym mieście z umiejętności dostępnych tu dziewczyn, ale każdego dnia jego progi przekraczało zaledwie kilkudziesięciu klientów. Wydawało się również, że obiekt ochrania nieproporcjonalnie duża liczba uzbrojonych strażników,

twardych zbirów z nożami, ciężkimi pałkami, używanymi do walki na krótkim dystansie, i mieczami. Ci ludzie patrolowali prawie pustą uliczkę, wypatrując wszelkich śladów niebezpieczeństwa. Aby nie zwracać na siebie uwagi, Tarkwiniusz udawał kalekę ze ślinotokiem i niekontrolowanymi drgawkami. Udało mu się ich oszukać. Po pierwszym spotkaniu omijali go zazwyczaj szerokim łukiem.

Dzięki temu mógł przez nikogo nieniepokoiony obserwować otoczenie. I wyciągać wnioski z tego, co widział. Uznał, że liczba uzbrojonych strażników jakoś nie bardzo współgra z sytuacją biznesową Lupanaru. Zatrudnienie ich musiało być reakcją na jakieś zagrożenie. A mężczyźni szukający odprężenia i miłości cielesnej nie zniechęcają się łatwo widokiem uzbrojonych ochroniarzy. Okazało się też, że Lupanar odwiedzały ważne postaci świata polityki. Pewna zakapturzona postać, którą widział w uliczce jakiś czas temu, miała być podobno ni mniej, ni więcej, tylko Markiem Antoniuszem. Tak przynajmniej szeptali między sobą przypadkowi przechodnie. Antoniusz chyba szybko załatwił to, po co tu przyszedł, bo mogło upłynąć zaledwie z ćwierć godziny, gdy pojawił się ponownie w bramie Lupanaru. Nikt nie ośmielił się go zaczepić. Nikt poza mężczyzną o raczej przyjemnej fizjonomii, średniej budowy ciała, który rozpoznałszy Antoniusza, wydawał się wyraźnie niezadowolony z tego spotkania. *Czy niebezpieczeństwo, które widzę w wizjach, może dotyczyć któregoś z nich? Czy to ma jakieś znaczenie? Czy wpłynie na życie Fabioli?* Haruspik był sfrustrowany i zafascynowany jednocześnie. Jeśli siostra Romulusa jest zagrożona, czuł się zobowiązany do udzielenia jej pomocy.

Więcej wskazówek zebrał po południu, gdy pokuśtykał na poszukiwanie czegoś do zjedzenia. Na kilku okolicznych ulicach haruspik zauważył grupy uzbrojonych mężczyzn. Zachowywali się dziwnie. Ludzie, dowodzeni przez dobrze zbudowanego mężczyznę o brązowych włosach, tworzyli coś w rodzaju sieci punktów kontrolnych, których zadaniem było ograniczenie lub uniemożliwienie dostępu do Lupanaru! Przez takie punkty udawało się przedostać tylko najbardziej zdeterminowanym przechodniom – choćby takim jak kobieta w średnim wieku, którą przed chwilą minął. Haruspik doszedł do wniosku, że ma tu do czynienia z jakimś ukrytym konfliktem i wojną podjazdową.

Nie był jeszcze pewien, czy powinien się w nią zaangażować.

Uważał, że na razie powinien uzbroić się w cierpliwość i wszystko uważnie obserwować.

Gdy Docilosa wróciła do Lupanaru, zastała Fabiolę siedzącą z ponurą miną przy biurku w recepcji. Słońce już zachodziło, co oznaczało, że jej sługa spędziła w świątyni Orkusa kilka godzin. Z uśmiechu na twarzy Docilosy można było wywnioskować, że spotkanie z córką przebiegło w miłej atmosferze. Jednak gdy kobiety spojrzały sobie w oczy, rysy jej powiernicy stwardniały.

– Widzę, że odzyskałaś siły? – zapytała Docilosa. *Czy mi się wydaje, czy w głosie służącej wyczuwam troskę?*

W tym z pozoru niewinnym pytaniu czaił się wyrzut. Igła umiejętnie ukryta w aksamitnej poduszce. Fabiola aż się zjeżyła.

– Tak... Nie dzięki tobie.

Docilosa wydała z siebie ciche pogardliwe westchnienie i minęła recepcję, znikając w korytarzu.

– Będę na tyłach. Zajmę się praniem.

Wściekła Fabiola ugryzła się w język. Przedpokój kilka kroków dalej był pełen prostytutek, które podłapywały każde słowo i mogły je analizować. Jowina też czyhała gdzieś w pobliżu. Im mniej z tego, co ma do powiedzenia Docilosie, dotrze do większego grona osób, tym lepiej. To nie może tak wyglądać! Tak czy inaczej, musi z nią porozmawiać. I to szybko. Fabiola wciągnęła powietrze, a jej nozdrza zafalowały. Ta przyjaźń dużo dla niej znaczyła. Ale nie ma zamiaru pozwalać na takie zachowanie służki.

Zanim zdecydowała się ruszyć za Docilosą, przez drzwi recepcji wtarabaniła się trójka, wyglądających na zamożnych, kupców z Hiszpanii. Wstała, żeby ich powitać. Widać było, że nie oszczędzali na napitkach, gdyż z charakterystycznym uporem opojów nalegali, aby wysłuchała ich historii. Przez ostatni tydzień ciężko pracowali, a dzisiaj doszli do wniosku, że nadszedł czas świętowania, i wybrali się na igrzyska zorganizowane przez Cezara. Potem wzięli udział w długiej popijawie, a teraz – jak sami twierdzili – „byli już gotowi na chędożenie stulecia”. Żadne uliczne gangi nie powstrzymają ich od odwiedzenia Lupanaru, o którym słyszeli nawet w Hiszpanii.

– Trafiliście panowie we właściwe miejsce – Fabiola odezwała się uwodzicielskim głosem, zerkając na ciężkie sakiewki wiszące na pasach. Sprawnie zorganizowała dla nich pokaz dostępnych dziewcząt, wczuwając się w rolę burdelmamy.

Ledwo trzymający się na nogach kupcy decydowali się szybko i wkrótce zabawiali się w osobnych sypialniach. Gdy Fabiola chciała ruszyć w stronę korytarza, w drzwiach pojawiło się kilku kolejnych gości. Mężczyźni wodzili wzrokiem po ścianach z szeroko otwartymi oczyma, z zafascynowaniem chłonąc luksusowy wystrój Lupanaru. Byli ubrani w zwykłe tuniki, noszone przez szarych obywateli Rzymu, i Fabiola przez chwilę zastanawiała się, dlaczego Benignusz pozwolił im wejść do środka. Potem jednak zwróciła uwagę na to, jak kurczowo ściskają pięści. Okazało się, że faktycznie byli to zwykli, ubodzy Rzymianie, którym jednak udało się wygrać małą fortunę na zakładach. Postawili pieniądze na starzejącego się *retiarius*a, który wydawał się nie mieć szans w pojedynku. Jak powiedzieli Fabioli, tym razem ryzyko się opłaciło. Wygrana była znaczna, gdyż faworyzowany *murmillo* z Apulii poślizgnął się na mokrym od krwi piasku i dał się dźgnąć w brzuch trójzębem. *Retiarius* zakończył walkę jednym ciosem. Niezadowolony z wyniku walki bukmacher próbował wycofać zakład, ale wściekły tłum rzucił się na niego i zmusił go do wypłacenia nagród. A teraz przyszli tutaj, do Lupanaru, i chętnie wydadzą te pieniądze.

Igrzyska zorganizowane przez Cezara z pewnością pomagają interesowi – stwierdziła Fabiola, obserwując parę wybałuszających oczy gości, znikających w pokojach z dziewczynami. – *Może powinnam pójść tam sama i dopilnować, żeby się dobrze bawili?*

Nie! – zareagowała gwałtownie. – *Co się ze mną dzieje?* Jej zachowanie wobec Brutusa dziś rano było absolutnie egoistyczne. Jednak robiło jej się niedobrze na myśl o oglądaniu ludzi umierających dla kaprysu tłumu. Już nigdy nie będzie w stanie oglądać takiego widowiska, nie myśląc o tym, że tam, na piasku, mógłby stać Romulus. Taki obraz w wyobraźni sprawiał, że bolało ją serce. *Gdzie może być teraz Romulus? Tak bardzo chciałabym go zobaczyć!* Mimo że od czasu rozdzielenia oboje już zdążyli dorosnąć, Fabiola nie miała wątpliwości, że znaleźliby wspólny język. Byli bliźniętami. Byli nierozłączni.

Zastanawiała się, czy teraz wyglądałoby to inaczej? Przecież ich więzi nie da się zniszczyć. Odrobinę podniesiona na duchu, znów pomyślała o Docilosie. Zawstydziała się. Była jej prawie tak bliska, jak członek rodziny. Teraz powinna do niej pójść i ją ucałować. A potem jakoś ją udobruchać.

Zawołała Jowinę i poprosiła, żeby zastąpiła ją w recepcji, po czym udała się na poszukiwania Docilosy.

Kucający pod murem Lupanaru Tarkwiniusz rozważał, czy nie warto już poszukać sobie jakiegoś miejsca do spania. Niewiele się działo po tym, gdy Antoniusz opuścił przybytek w pośpiechu, zamieniwszy kilka słów ze znajomym nobilem na ulicy. Haruspik zwrócił jeszcze tylko uwagę na kobietę w średnim wieku, która skutecznie ominęła punkt kontrolny i weszła do Lupanaru. Tarkwiniusz uznał, że jest jakąś pracownicą administracyjną lub niewolnicą. Była za bardzo posunięta w latach, aby świadczyć usługi w tak ekskluzywnym miejscu. To pewne. Zaskoczył go nieco poziom energii, która emanowała z kobiety znikającej właśnie pod łukiem bramy. W silnym, chociaż krótkim impulsie zidentyfikował zadawniony smutek, który obecnie zastępowała wielka radość. Gniew. Uraz do kogoś, kto działa nieodpowiedzialnie. Zirytowany Tarkwiniusz nie próbował sięgnąć po więcej. Emocje sługi nie były wskazówkami, których szukał.

Tylko że tym razem to był dopiero początek...

Haruspik uniósł głowę, żeby przyjrzeć się skrawkowi nieba w wąskiej szczelinie między budynkami. Miało typowy jesienny wygląd: ciężkie chmury wisiały nisko, obiecując deszcz jeszcze przed zapadnięciem zmroku. Niewiele więcej. Opuścił głowę. W uliczce pojawił się zimny wir powietrza, przynosząc groźbę rozlewu krwi. Tarkwiniusz zeszywniał. Zimne palce strachu zacisnęły się na jego żołądku. Zmarszczył czoło, próbując zrozumieć wskazówki. Chwilę później był już pewien. W pobliżu czai się niebezpieczeństwo. Właśnie tutaj. Czy chodziło tu o tę samą groźbę dla Rzymu, którą widział już tak wiele razy w swoich wizjach?

Pogmerał ręką w połach płaszcza, chwytając za rękojeść gladiusa. Wielki topór zostawił w domu weteranów. Nie miał wątpliwości, że za bardzo rzucałby się w oczy. Na szczęście dotyk twardej, chłodnej głowni

miecza dawał ukojenie skołataniem sercu. Rozejrzał się po szarzejącej w zmroku uliczce. Nie zauważył niczego niepokojącego. Usiadł znów na trotuarze nieco uspokojony. O co chodzi? Czy powinien martwić się o bezpieczeństwo Fabioli? Zastanawiające było to, że tak poważnie podchodził do pomysłu, żeby teraz nad nią czuwać.

Minęło pół godziny i zapadła ciemność. Ochroniarze Lupanaru cofnęli się bliżej plam światła, rzuconych przez pochodnie umieszczone po obu stronach bramy. Tarkwiniusz zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie był to fałszywy alarm. Robiło się coraz zimniej. Mięśnie mu zdrętwiały, a w żołądku burczało. Jednak nauczył się, że nie warto przyspieszać naturalnej kolei rzeczy, więc zacisnął zęby i nie ruszał się z miejsca.

Jakiś czas później wychwycił dochodzący z daleka szum wielu stóp maszerujących po nierównej ziemi. Szybko otrząsnął się z oparów ogarniającej go drzemki. Wyprostował się. Z przeciwka zbliżała się duża grupa mężczyzn z pochodniami. Było późno i większa liczba ochroniarzy nie powinna dziwić. Jeśli jakiś nobil musiał wyjść po zmroku – a nie był szalony – zwykle zabierał ze sobą liczną eskortę. Jakież było jednak zdziwienie Tarkwiniusza, gdy po jakimś czasie, kiedy grupa zbliżyła się do bramy Lupanaru, dostrzegł, że eskorta składa się z gladiatorów! Widział traków, *murmillos* i *secutores*, a także licznych łuczników. Zazwyczaj tylko lanista przemieszcza się po mieście w takiej obstawie.

Czy chodziło o coś więcej niż tylko poszukiwanie cielesnej przyjemności?

Tarkwiniusz pochylił się do przodu, gotowy do działania w każdej chwili.

Uzbrojona po zęby czereda zatrzymała się przy wejściu do Lupanaru. Ochroniarze popatrzyli po sobie niepewnie i mocniej chwycili broń. Gladiatorzy zareagowali pełnymi pogardą parsknięciami i śmiechem. Niewysoki, szpakowaty mężczyzna w płaszczu z wełny wyszedł przed swoich ludzi.

– Czy tak witacie wszystkich klientów?

Od razu odezwał się dobrze zbudowany olbrzym z drewnianą pałką.

– Przepraszam, panie. Chwilowo mamy pewne kłopoty. Musimy być przygotowani na każdą ewentualność.

Lanista wciągnął głośno powietrze.

– Pewnie ma to jakiś związek z tymi drabami na skrzyżowaniu? Ci głupcy próbowali mnie zatrzymać, ale wystarczyło, że rozkazałem moim strzelcom unieść łuki. Wtedy rozeszli się na boki szybciej, niż kurwa rozkłada nogi!

Ludzie lanisty zaśmiali się nieco wymuszenie, najwidoczniej tylko po to, żeby sprawić przyjemność właścicielowi szkoły gladiatorów, oczekującemu takiej reakcji.

Więc nie jest sprzymierzeńcem tamtych szubrawców – pomyślał Tarkwiniusz z ulgą.

– Nikt nie zatrzyma lanisty *Ludus Magnus*. Chodzę tam, gdzie mi się żywnie podoba, i nie będę nikogo pytać o zdanie. Tej nocy wezmę sobie najpiękniejszą i najdroższą kobietę w Lupanarze.

Pilnujący drzwi duży mężczyzna skłonił się z szacunkiem i zaprosił lanistę gestem do wejścia.

– Najwyższy czas... – odezwał się buńczucznie mężczyzna, ruszając dziarskim krokiem. – Moje jaja zaraz eksplodują.

I ten komentarz został przywitany falą sztucznej wesołości gladiatorów.

Lanista obrócił głowę i rzucił przez ramię.

– A wy wracać mi z powrotem do *ludus*! Przyjdźcie po mnie jutro rano. Może już skończę...

Gladiatorzy wydawali się zadowoleni z takiego rozwoju wypadków. Oddalając się od bramy Lupanaru, kilku z nich zapewne westchnęło z ulgą.

Obserwującego całą scenę z drugiej strony ulicy Tarkwiniusza zalała fala emocji. Romulus trafił do *Ludus Magnus*, co oznacza, że ten człowiek był jego dawnym właścicielem. Czy lanista wiedział, kim jest Fabiola? Jaki jest prawdziwy cel tej wizyty? Czy może mieć jakiś związek z Romulusem lub Fabiolą? *Oczywiście, że nie* – sam sobie odpowiedział. Memor pewnie już dawno zapomniał o Romulusie. Przypuszczalnie nawet nie wie, że teraz Fabiola zarządza Lupanarem.

Zdenerwowany i niepewny Tarkwiniusz zmówił krótką modlitwę.

Prowadź mnie, wielki Mitro. Odpowiedz mi, czy powinienem wejść do środka? Na nocnym niebie nad jego głową prawie nie było widać gwiazd. Od czasu do czasu w jakimś oknie pokrywy chmur dostrzegał niewielkie przebłyski, ale nie wystarczyły mu do wyciągnięcia jakichś przekonujących wniosków. Nie wyczuwał już grożącego niebezpieczeństwa. Tarkwiniusz uznał, że bogowie znów się z nim drocą. Zmusił się, żeby się rozluźnić. A jednocześnie miał silne przekonanie, że to nie koniec. Powinien zostać tu, gdzie jest.

Fabiola nie znalazła Docilosy ani w łaźni, ani w kuchni. W końcu okazało się, że pierze pościel na wewnętrznym dziedzińcu przy tylnym murze. Tego typu pracę trudno było wykonywać przy świetle pochodni. Cóż... Najwyraźniej jej unikała. Zdążyły tylko wymienić chłodne spojrzenia, gdy pojawił się Katus, główny kucharz Lupanaru. Podszedł do Fabioli, skarżąc się na ilość zapasów ze spiżarni, które musi przeznaczać na dodatkowych ochroniarzy. Zaciągnął ją do magazynku przy kuchni i oburzony wskazał puste półki.

– Codziennie do pieczenia chleba zużywam *modius* zboża, pani – narzekał. – Do tego mnóstwo sera i warzyw. No i wino! Nawet gdy mieszam je z wodą, te dranie wypijają przez kilka dni całą amforę.

Lista skarg Katusa była długa, ale Fabiola już od jakiegoś czasu odkładała rozmowę z nim na ten temat. Ceniła łysiejącego już niewolnika, który sprawdził się jako akuratny kucharz, więc uzbroiła się w cierpliwość. Stała i słuchała, poświęcając mu całą swoją uwagę i wydając dyspozycje. Nie uszło jednak jej uwadze, że Docilosa skrada się w stronę korytarza, który prowadził do frontowych pomieszczeń Lupanaru. *A niech mnie! Ona zachowuje się jak dziecko! Jak ja wcześniej. To nie w jej stylu. Ciekawe, czy przypadkiem Sabina nie nakładła jej czegoś do głowy.* Z trudem koncentrowała się na kolejnych zdaniach Katusa. A rozkręcający się z każdą chwilą kucharz narzekał teraz na ceny warzyw na Forum Olitorium. Były zdecydowanie za wysokie w porównaniu z tymi, jakie można uzyskać, kupując produkty w jakimś gospodarstwie na prowincji.

– Mówię pani, że to jest absolutne zdzierstwo – jęczał. – Ceny na forum są trzy lub nawet cztery razy wyższe od tych, które można wytargować, kupując te produkty bez pośredników.

Fabiola nie była w stanie znieść już ani słowa.

– Dobrze... – ucięła potok słów może zbyt bezceremonialnie. – Znajdź uczciwego rolnika i zaproponuj mu kontrakt na dostawę wszystkich produktów spożywczych.

Katus zadrżał, wyczuwając gniew w jej głosie.

Fabiola się opamiętała. Katus nigdy nie miał okazji, by brać na siebie taką odpowiedzialność.

– Będziemy potrzebować dodatkowej ochrony jeszcze przez jakiś czas. Musimy tych ludzi karmić. Zakup produktów spożywczych prosto z gospodarstwa to doskonały pomysł i świetnie sobie poradzisz z tym zadaniem.

Katus uniósł wyżej głowę.

– Dziękuję – wymamrotał.

– Przyjdź do mnie, gdy już znajdziesz odpowiedniego człowieka. Moi skrybowie przygotowują odpowiednie dokumenty.

Zostawiwszy za plecami Katusa, uśmiechającego się do siebie jak głupiec, Fabiola wznowiła poszukiwania Docilosy. Takie rozwiązywanie mniej istotnych problemów wydawało się naturalne, ale coś mówiło jej, że powinna jak najszybciej porozmawiać z Docilosą.

Fabiola już zawsze będzie się zastanawiała, co by było, gdyby nie zmarnowała tyle czasu na rozmowę z kucharzem. Gdy akurat dotarła do korytarza, usłyszała kobiecy krzyk. Nie przypominał jednak ekstatycznego jęku, wydawanego przez niektóre prostytutki dla zachęcenia klientów. Fabiola z przerażeniem stwierdziła, że był to krzyk rozpacz. Wołanie o pomoc z ust absolutnie przerażonej kobiety, której życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Ruszyła biegiem.

– Wettiusz! Benignusz!

Zaledwie o kilka kroków przed sobą widziała Docilosę. Na pewno znajdowała się bliżej źródła tych podejrzanych dźwięków. Jej służka przekręcała głowę na boki, próbując zorientować się, z której komnaty dochodzą. Po chwili już wiedziała i doskoczyła do właściwych drzwi.

Fabiola zaklęła. To pomieszczenie było na ogół wykorzystywane przez Wikanę, pochodzącą z Brytanii nową dziewczynę o rudych włosach i jasnej karnacji. Ku jej przerażeniu Docilosa już sięgała do żelaznej zasuw.

– Nie! – krzyknęła Fabiola. To było wbrew zasadom. – Poczekaj na ochroniarzy!

Docilosa nie zważała na jej słowa. Pchnęła drzwi z całą siłą.

– Stój! – zawołała natychmiast na widok sceny, jaka ukazała się jej oczom. – Puść ją!

Krzyki dochodzące ze środka stały się jeszcze głośniejsze. Wręcz ogłuszające. Gdzieś w tle Fabiola usłyszała przekleństwa rzucone męskim głosem.

– Suka! Po prostu rób to, co mówię! – Usłyszeli głośnie uderzenie i krzyk nagle się urwał. Docilosa zrobiła krok i znalazła się za drzwiami.

– Zostaw tę biedną dziewczynę – wymamrotała drżącym głosem. – Nie krzywdź jej.

– Pilnuj swoich spraw, brzydka, stara krowo – odburknął mężczyzna.

Docilosa nieświadomie poruszała się ciągle w kierunku mężczyzny.

– Przestań!

– Chcesz kawałek tego, prawda?

Przerazona Fabiola pędziła ile sił. Kątem oka widziała, że jeden z ochroniarzy właśnie minął recepcję i skręcił za rogiem w korytarz.

Za późno. Wszyscy byli spóźnieni.

Nagle usłyszała zduszony, zamierający krzyk, który wydaje z siebie ktoś, kto się potyka. A potem odgłos upadającego na ziemię ciała. Znow rozległo się długie, przeciągłe wołanie o pomoc.

– Zamknij się, ty mała zdiro – krzyknął mężczyzna. – Albo spotka cię to samo.

Fabiola zatrzymała się w drzwiach. Zamarła. Na widok tego, co zobaczyła w środku, żołądek podszedł jej do gardła.

– Nie... – szepnęła cicho. – Proszę. Nie.

Docilosa leżała na brzuchu na podłodze. Nieruchomo. Wokół jej ciała zebrała się już spora kałuża krwi, która była wystarczającym dowodem na to, że stało się coś okropnego. Nad nią stał nagi mężczyzna z pokrytym szkarłatnymi smugami sztyletem. Twarz szpakowatego mężczyzny była wykrzywiona z wściekłości. Za łóżkiem po drugiej stronie komnaty kulila się w kącie szlochająca, przestraszona Wikana.

Początkowo mężczyzna zdawał się nie dostrzegać Fabioli. Wyglądał jak szaleniec albo człowiek pod wpływem środków odurzających.

– To cię nauczy – mruknął, szturchając stopą ciało Docilosy. – Żeby tak przerywać mi zabawę...

Fabiola wpadła w furję. Znała tę bestię. Spała z nim dawniej wiele razy. Memor. Lanista z *Ludus Magnus*, od którego próbowała wyciągnąć informacje pomocne jej w poszukiwaniu Romulusa.

– Ty skurwysynu... – syknęła, rozdymając z wściekłości nozdrza. – Co żeś narobił?!

Memor uniósł wzrok. Oprzytomniał nagle i jego wzrok nie wydawał się już taki mętny.

– Na wszystkich bogów – odezwał się z podziwem. – Piękno wcielone. Dlaczego nie było cię tutaj, gdy wybierałem kurwę? Na pewno zdecydowałbym się na ciebie.

Fabiola nie odpowiedziała. Chociaż instynkt podpowiadał jej, aby wynosić się stąd jak najszybciej, zbliżyła się do Docilosy. Nie potrafiła się ani zatrzymać, ani powstrzymać furii.

– Szkoda, że mój brat cię nie zabił, gdy miał ku temu okazję. Ty brudny śmieciu...

Żrenice Memora zwężyły się.

– Co ty mówisz?

– Romulus – rzuciła laniście w twarz. – Ten, który ci uciekł.

Mówiłeś mi o nim.

Zmieszany Memor skrzywił się, ale po chwili doznał olśnienia.

– Na Merkurego! – wyszeptał. – Ja już cię miałem!

Fabiola odchrząknęła i splunęła mu prosto w twarz.

– Nienawidziłam każdej chwili.

Usta Memora znów wykrzywiły się w grymasie gniewu.

– Powiedziałaś mi, że Romulus był twoim kuzynem!

– Skłamałam. Tak samo jak wtedy, gdy mówiłam, że jesteś ogierem – uśmiechnęła się. – Stetryczały, stary kozioł z maleńką kuśką...

Zamarła. Sama nie wierzyła, że te słowa naprawdę wyszły z jej ust. Znajdowała się tylko kilka kroków od Memora, a on miał w ręku sztylet. Ochroniarze mogli nie zdążyć. *Trzeba mi było trzymać gębę na kłódkę.*

Miała rację.

– Ty dziwko! – wrzasnął lanista. Skoczył ku niej ze sztyletem w wyciągniętej dłoni.

Rozdział XIV

Sabina



Spanikowana Fabiola zdążyła tylko instynktownie odchylić się w bok. Sztylet Memora przeciął powietrze z gwizdem, chybiając o włos. Kątem oka widziała drzwi. Za daleko. Nie zdąży do nich dobiec. Gdzie są Benignusz i Wettiusz?

– Przygotuj się na podróż do Hadesu, bo właśnie tam zmierzasz – wymamrotał Memor. W jego oczach kipiało szaleństwo. – Jak ta brzydka suka.

Kopnął Docilosę w brzuch. Fabiola myślała, że nie żyje, ale ona wydała cichy jęk. Nie mogła oderwać wzroku od błyszczącego ostrza, który spływał krwią jej przyjaciółki.

Lanista ruszył do przodu, uśmiechając się pogardliwie. Nie patrzył na podłogę i nie był przygotowany na to, że Docilosa wyciągnie rękę, żeby chwycić go słabymi palcami za kostkę. Potknął się. Druga stopa znalazła się w kałuży krwi i przez chwilę z trudem utrzymywał równowagę. Opadł niezgrabnie na jedno kolano. Wściekły postanowił wyżyć się na bezbronnej kobiecie, zadając jej kilka ciosów w plecy i w brzuch.

Wikana wrzeszczała teraz na cały głos.

Fabiola wykorzystała szansę i wycofywała się w kierunku drzwi, nienawidząc siebie za to, że nie potrafi stawić czoła Memorowi. Chwilę później chwyciły ją wielkie dłonie dwóch ochroniarzy i została bezceremonialnie wciągnięta do korytarza. Benignusz i Wettiusz wpadli do komnaty niczym para rozwścieczonych byków. Zaczęli okładać

lanistę kijami obitymi metalem. Jeden taki cios wystarczał, by rozbić czaszkę, a oni zadali ich co najmniej po pół tuzina, zanim Fabiola udało się ich powstrzymać.

– Wystarczy! Przestańcie!

Cofnęli się, ciężko dysząc i spływając z góry do dołu krwią i mózgiem ofiary.

– Nie żyje... – odezwała się Fabiola, patrząc na krwawą maskę włosów, ciała i fragmentów kości, w jakie zamieniła się twarz Memora. Łzy napłynęły jej do oczu. Wettiusz był zaskoczony jej reakcją.

– Jakżeby inaczej?

– Chciałam wypytać tego drania o Romulusa – Fabiola zaszlochała.
– Kiedyś był jego właścicielem.

Nagle uwagę wszystkich przyciągnęło charczenie Docilosy.

Czując kolejny przyływ wyrzutów sumienia, Fabiola uklękła u boku swojej służki. Docilosa żyła, chociaż chyba znajdowała się już na krawędzi światów. Fabiola rozerwała jej sukienkę, kuląc się na widok pierwszej, otwartej rany wypełnionej krwią. Otwór był mały, ale ostrze musiało spowodować wiele szkód. Memor dobrze wiedział, gdzie uderzyć, bo celował w klatkę piersiową tuż poniżej lewej piersi. Przebił jedno płuco i zapewne także serce. Ta rana była śmiertelna. Inne też zabiłyby Docilosę, ale nie tak szybko. Na razie po prostu zwiększały utratę krwi. Fabiola nie sądziła, że ktoś może jeszcze żyć po odniesieniu takich obrażeń. Suknia jej przyjaciółki cała nasiąknęła krwią, która rozlewała się już szeroko po podłodze wokół niej. Docilosa leżała z szeroko otwartymi oczyma, wpatrując się w pustkę. Jej usta otwierały się i zamykały jak u ryby wyjętej z wody, łaknąc powietrza, którego już nie mogła wciągnąć.

– Przepraszam... – Fabiola chwyciła jedną z pokrytych krwią dłoni Docilosy. – Miałaś rację. Powinna być mądrzejsza. – Spojrzała błagalnie na swoją służkę. – I to też moja wina. Gdybyśmy się nie pokłóciły, nie byłoby cię w tym korytarzu, gdy Wikana zaczęła krzyczeć.

Strumień drobnych krwawych pęcherzyków spłynął z ust Docilosy na płytki podłogi.

Fabiola ścisnęła jej dłoń, modląc się o jakąś odpowiedź. Jakiś znak,

mogący świadczyć o tym, że kobieta jej przebaczyła. Znak, który dałby jej nadzieję.

Nie doczekała się.

Przez ciało Docilosy przeszedł dreszcz, a potem znieruchomiała.

Fabiola opadła na jej ciało, by ją przytulić do serca. Chciała złapać ostatni oddech swojej wiernej przyjaciółki. A potem zupełnie się rozkleiła, pogrążając w smutku. Łzy spływały po jej twarzy, mieszając się z krwią Docilosy. Nie obchodziło jej to. Zginęła jedyna osoba, która w najgorszych latach życia Fabioli ofiarowała jej prawdziwą przyjaźń i życzliwość. Niezakończona kłótnia zintensyfikowała poczucie winy. Nigdy nie będzie w stanie już cokolwiek zmienić. Nie da się cofnąć czasu. A przecież Docilosa chwyciła Memora i ocaliła ją przed śmiercią.

Sparaliżowana smutkiem Fabiola leżała na stygnącym ciele Docilosy, ignorując prośby ochroniarzy. Jowina też próbowała pomóc, ale wysiłki nie przyniosły żadnego skutku, dlatego szybko pospieszyła z powrotem do recepcji.

– Klienci mogą pojawić się w każdej chwili... – mruknęła.

Fabioli było to obojętne. Chciała umrzeć. Nie opierałaby się, gdyby podłoga teraz rozstąpiła się, zabierając ją na zawsze ku zapomnieniu. Nawet ta myśl miała jednak w sobie skazę gorzkości. Docilosy nie będzie tam, gdzie trafi. W Hadesie. Nie zasługuje na nic innego. Najpierw odszedł Sekstus, a teraz jej lojalna, niewinna powiernica. Jej modły o szybką śmierć nie zostały wysłuchane. Nic się nie stało. Ziemia się nie rozstąpiła. Przez chwilę wyobrażała sobie, że chwyciła sztylet Memora i podcina żyły na nadgarstkach. Wtedy śmierć będzie musiała po nią przyjść. Nie będzie już więcej bólu, nie będzie cierpienia. Nie zrobiła tego. Chwilę później zrozumiała dlaczego.

Miała cel w życiu, który był ważniejszy od jej własnej nędznej egzystencji.

Jej matka zawsze unikała tematu gwałtu, ale z uporem powtarzała, że ich ojcem jest arystokrata. Chociaż Cezar nigdy w rzeczywistości nie skrzywdził Fabioli, jednak chciał to zrobić. Jego zachowanie i wypowiedziane słowa według Fabioli dowodziły, że to właśnie on zaatakował jej matkę. Przynajmniej tak mówiły jej intuicja i serce. W głębi duszy jednak Fabiola musiała przyznać, że jej podejrzenia opierały

się tylko na dziwnym podobieństwie Romulusa do Cezara. Ten ostatni mógł być przecież tylko jednym z tysiąca podejrzanych. Jednocześnie w rozumieniu Fabioli nie różnił się od wielkiej liczby arystokratów, którzy płacili za korzystanie z jej ciała. Wielu z nich widziało w oczach trzynastolatki strach i niechęć, a mimo to nikt nie zamierzał rezygnować z przyjemności. Fabiola musiała winić kogoś za upokorzenia, powtarzające się niezliczoną ilość razy. Ta nienawiść z czasem tylko rosła. Ukaranie przedstawiciela tych mężczyzn przyniosłoby jej odrobinę satysfakcji. A ponieważ Cezar próbował zgwałcić i ją, świetnie nadawał się na uosobienie wszystkiego, czego tak nienawidziła w mężczyznach. To, że przekonywała się do myśli, iż jest jej ojcem, pomogło jej ukierunkować i uzasadnić odczuwaną wściekłość. Jeśli popełni samobójstwo, Cezar uniknie zemsty.

Wyprostowała plecy.

Ochroniarze aż jęknęli na jej widok.

Spojrzała po sobie. Nie mogła dziwić się ich reakcji. Jej suknia cała przesiąkła krwią. Ociekały nią jej ręce i ramiona.

– Wyglądam, jakbym sama została pchnięta nożem.

Benignusz złożył palce w znak mający chronić przed złem.

– Nawet tak nie mów, pani – odezwał się cicho.

Wettiusz pomógł jej wstać z klęczek, wspierając swoim ramieniem.

– Lepiej nie prowokować złego losu, żeby nie ściągnąć na siebie większego pecha.

– Nie wyobrażam sobie, co może się stać gorszego – skrzywiła się Fabiola. Żaden z osiłków nie skomentował tego. – Trzeba przygotować stół w kuchni – powiedziała, zmuszając się do zachowania spokoju. – Musimy ułożyć tam Docilosę i ją obmyć. Założyć najlepszą suknię. Wikana niech przygotuje ciepłą wodę.

Wettiusz chwycił mocno za rękę drżącą Brytyjkę i zniknął z nią za drzwiami.

Benignusz wskazał ciało Memora.

– A co zrobimy z tym parszywcem?

– Zawień go w stary koc. Potem poczekaj, aż wyjdzie ostatni klient, i wrzuc go do najbliższego kanału. Niech ten skurwysyn spłynie z brudami do rzeki. Niech jego ścierwem żywią się szczury. On

postępował podobnie z wieloma innymi. Jutro zobaczysz się z jego zastępcą w *ludus*. Słyszałam, że nie może doczekać się awansu. Teraz będzie miał okazję, żeby się wykazać. Gruba sakiewka pomoże mu zapomnieć o Memorze.

Benignusz skinął głową. Robił już wcześniej takie rzeczy.

Niedługo po tym, jak lanista wszedł do Lupanaru, Tarkwiniusz usłyszał dochodzący ze środka przygłuszony krzyk. Poczul się niepewnie, ale nie potrafił odgadnąć, co się mogło stać. Wielki ochroniarz stojący przy drzwiach zareagował błyskawicznie. Zostawił swoich towarzyszy na zewnątrz, a sam zanurkował pod łuk bramy, unosząc obitą metalem pałkę. Nie było go dłuższy czas, co wydało się Tarkwiniuszowi jeszcze bardziej podejrzane. Haruspik wyostrzył zmysły, obserwował okolice i wsłuchiwał się w różne odgłosy, ale grube mury wytłumiały praktycznie wszystkie dźwięki. Zastanawiał się, czy krzyk miał coś wspólnego z lanistą. Jego szósty zmysł nie podsuwał mu jednak żadnej podpowiedzi. Z trudem przychodziło mu zachowanie spokoju, choć wiedział, że jest mało prawdopodobne, by Fabioli groziło niebezpieczeństwo. Jeśli jakiś klient posunął się do użycia siły, pewnie pomocy potrzebowała któraś z prostytutek. Minęła może ćwiartka godziny i Tarkwiniusz zaczął się uspokajać. Nikt nie został wyrzucony, co mogło oznaczać, że problem rozwiązano polubownie. Oczywiście istniała inna możliwość i zastosowano bardziej brutalne środki. Jednak Tarkwiniusz nie zauważył na niebie żadnych znaków mogących świadczyć o rozlewie krwi. Problem w tym, że on przestawał wierzyć w swoje umiejętności odczytywania znaków. *Pomóż mi, Mitro. Spraw, żeby Fabiola była bezpieczna.*

Chwilę później aż podskoczył na widok poruszającej się jak duch postaci, która wyłoniła się z mroku alejki. Kobieta. Sama? Haruspik uniósł brwi ze zdziwienia, ale po chwili skojarzył szaty przybysza. Niemniej jednak w jego głowie nadal panował niesamowity zamęt. Co tu robi kapłanka Orkusa? O tej porze? Chociaż niewielu było takich, którzy ośmieliliby się zaatakować sługę pana podziemi, pewne jest, że kapłanka ryzykowała życie, aby się tu dostać bez odpowiedniej eskorty.

Uważnie obserwował kobietę zmierzającą prosto do drzwi. Czterej strażnicy również wyglądali na zmieszanych jej nagłym pojawieniem się

w ulicze. Byli skonsternowani i przestraszeni. Młoda kobieta przez chwilę stała w milczeniu, co tylko wzmogło ich zdenerwowanie.

– Tak? – jeden z nich odważył się w końcu odezwać.

– Chcę odwiedzić matkę.

Tarkwiniusz nastawił uszu. O ile zdążył się zorientować, w Lupanarze były tylko dwie kobiety w starszym wieku, które mogłyby mieć mniej więcej dwudziestoletnie dziecko. Jowina. I pomocnica, którą widział wcześniej.

Ochroniarz chrząknął niepewnie.

– To znaczy, kogo właściwie?

– Docilose. Służy Fabioli.

– Jest bardzo późno jak na wizytę – powiedział mężczyzna.

Zerknął na towarzyszy, szukając potwierdzenia.

– To pilne. Ona może być w niebezpieczeństwie – kapłanka Orkusa nie dała się łatwo zbyć.

– Docilosa? – Strażnik bezskutecznie starał się ukryć uśmiezek.

– Przysyła mnie mój pan.

Słowa kapłanki wypowiedziane poważnym tonem sprawiły, że uśmiechy zniknęły z twarzy ochroniarzy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Mężczyzna w milczeniu otworzył drzwi.

Żołądek Tarkwiniusza podszedł mu do gardła z niepokoju, gdy patrzył, jak kapłanka wbiega do środka. Coś się działo, ale jego zmysły nie były wystarczająco wyczulone, żeby mógł odgadnąć, o co chodzi. Fabiola może więc znajdować się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Tylko jak on miałby dostać się do środka? Haruspik, zaciskając zęby ze złości, znów spojrzął na nocne niebo, odcinające się wyraźnie na tle wysokich budynków. Po kilku chwilach nieco się uspokoił. Krew *została* przelana. Jednak nie była to krew Fabioli.

– Co się tam dzieje? – Fabiola wyciągnęła szyję i słuchała odgłosów dochodzących z recepcji.

Słyszała głośny, natarczywy głos. Ktoś kłócił się z Jowiną. Kobieta.

– Jedna z prostytutek?

– Nie. Żadna nie odważyłaby się nikomu sprzeciwić.

– Zgadza się – odpowiedział Benignusz. – To kto?

Fabiola podeszła do uchylonych drzwi.

– Nie! Nie możesz tam pójść – usłyszała krzyk Jowiny. – Wracaj tu!

Fabiola poczuła uderzenie chłodu. Przeczuwała. Wyszła na zewnątrz.

Korytarzem zbliżała się Sabina. Gdy zobaczyła przesiąkniętą krwią suknię Fabioli, uniosła rękę do ust w geście znamionującym szok i zaskoczenie.

– Słodki Jowiszu! Co się stało? Gdzie jest moja matka?

Fabiola nie wiedziała, co powiedzieć. Ten koszmar nie chciał się skończyć.

– Wiedziałam, że coś jest nie tak! – teraz Sabina już biegła. – Czyja to krew? – Fabiola nie potrafiła wydać z siebie głosu. – Jednej z twoich... dziewczyn?

Fabiola pokręciła głową przecząco.

Sabina zajrzała przez otwarte drzwi. Przez chwilę młoda kapłanka nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, na co patrzy. W końcu jednak uświadomiła sobie, co się stało.

– Mamo? Mamo! – Nie dowierzała swym oczom. Rzuciła się na kolana przy Docilosie. Jej niewielkim ciałem wstrząsał szloch. Fabiola położyła dłoń na jej ramieniu. Kapłanka uchyliła się, jakby ukąsił ją wąż.

– Ty to zrobiłaś!

– Nie – Fabiola zaprotestowała. – To on. – Wskazała ciało

Memora.

Sabina zerwała się na nogi.

– Kłamiesz!

– Dlaczego miałabym skrzywdzić twoją matkę? – Fabiola krzyknęła przerażona. – Kochałam ją.

W ręce Sabiny pojawił się nóż.

– Co ona miałaby wspólnego z taką szumowiną! Nie powinna być w tym miejscu. – Z oczu Sabiny bił blask szaleństwa.

– Po tym, jak Brutus kupił jej wolność, Docilosa zdecydowała się zostać ze mną. I przychodziła tu. – Fabiola desperacko pragnęła, aby Sabina jej uwierzyła. – Weszła do tego pokoju, bo Wikana zaczęła wołać o pomoc. Zdarzyła się rzecz straszna. Miała pecha.

Z okropnym krzykiem bólu Sabina rzuciła się na Fabiolę.

– Dlaczego ja powstrzymałam tego fugitivariusa? – syknęła. – Trzeba mu było pozwolić, żeby cię zabił.

Sabina została szybko obezwładniona przez Benignusza, który od tyłu złapał za jej rękę. Fabiola zrobiła krok w jej kierunku, aby wyrwać jej broń. Sztylet upadł na podłogę ze stukotem.

– Przepraszam.

– Suka bez serca – Sabina splunęła. – To ty powinnaś tam leżeć, a nie moja matka.

– Możliwe... – zgodziła się Fabiola ponuro. – Ale nie leżę. Mój czas jeszcze nie nadszedł.

– Może nie. Jednak nie pożyjesz za długo.

Fabiola zaniemówiła.

Sabina zabrzmiała jak wyrocznia.

– Przeklinam cię. Skazuję na wieczne nieszczęście. – Fabiola zacisnęła szczęki. Zniesie to. I zasłużyła sobie. – Brutusa też nie będzie u twojego boku. – Sabina zaśmiała się, widząc malujące się na twarzy Fabioli zaskoczenie. – Zostawi cię też ten drugi, przed którym tak łatwo rozkładasz nogi.

Docilosa musiała opowiedzieć jej coś o Antoniuszu – stwierdziła Fabiola, chwając się pod wrażeniem tego odkrycia. – *Skąd mogłaby wiedzieć?*

– A twój brat... – skończyła Sabina.

– Nie! – krzyknęła Fabiola w panice. – Ucisz ją! – rzuciła Wettiuszowi rozpaczliwe spojrzenie.

Ochroniarz błyskawicznie zasłonił usta Sabiny wielką, mięsistą dłonią. Dziewczyna nie próbowała się wyrwać, ale spoglądała na Fabiolę w ciszy, ciskając gromy. Fabiola pochyliła się, żeby podnieść sztylet. Oczy kapłanki zrobiły się wielkie jak talerze.

– Nie mam zamiaru cię zabijać, nawet jeśli ty gotowa byłabyś na taką niegodziwość. – Nie chciała ściągnąć na siebie gniewu Orkusa. – Wyślę nawet posłańca do świątyni, abyś wiedziała, gdzie znajduje się grób Docilosy. – Oczy Sabiny wypełniły się łzami. – Nigdy tu nie wracaj, jeśli ci życie miłe. Wyrzuć ją – rozkazała Benignuszowi.

Ochroniarz posłusznie wyprowadził kapłankę z komnaty. Nie

próbowała z nim walczyć.

Wstrząśnięta Fabiola udała się prosto do łaźni. Teraz chciała już tylko zmyć z siebie krew Docilosy, która utworzyła na jej skórze grubą skorupę. Próbowła wyrzucić z głowy słowa Sabiny, ale okazało się to niemożliwe. Gdy się rozbierała, odtwarzała je raz za razem w myślach. Biedna Docilosa nie żyje, a jej przeznaczenie zostało właśnie objawione. I to nie była przyjemna wizja. Szorowała skórę mechanicznymi ruchami bez udziału świadomości, która skupiła się całkowicie na analizie sytuacji. Starła się myśleć racjonalnie i w końcu udało się jej uspokoić. Jakie są szanse, że przepowiednia Sabiny się spełni? Nawet jeśli tak, to kapłanka nie powiedziała nic o jej planie uśmiercenia Cezara. *To oznacza, że on ciągle może się powieść. Niech i tak będzie. Przynajmniej to mi się uda.* Perspektywa braku szczęścia i utraty Brutusa nie umywała się do satysfakcji ze spełnienia marzenia, które miało źródło w jej sercu. To, że umrze w młodym wieku, również jej nie przerażało. Znaczenie miała tylko jedna rzecz.

Co chciała powiedzieć Sabina o Romulusie?

Jakaś jej część żałowała, że nie pozwoliła kapłance dokończyć zdania.

Druga połowa nie mogła znieść myśli o tym, co mogłaby przepowiedzieć.

Udała się do kuchni. Jeden ze stołów został przykryty czystym prześcieradłem, tak żeby ciało Docilosy nie leżało na surowym drewnie. Z pomocą Wikany Fabiola ułożyła je tak, żeby stopy były skierowane w stronę drzwi. Odesławszy wcześniej wszystkich domowych niewolników, rozebrały Docilosę do naga i zajęły się zmywaniem krwi z jej ciała. Fabiola wykorzystała okazję, żeby porozmawiać z dziewczyną z Brytanii o tym, co zaszło w komnacie. Dzięki temu nie musiała myśleć o tym, co robi.

– Był już w złym nastroju, gdy wybierał dziewczynę – mówiła Wikana. – Powiedział, że podoba mu się moja jasna skóra. Jednak w łóżu jakoś... trudno mu się było skoncentrować.

– Mów dalej – mruknęła Fabiola, wyciskając gąbkę.

– Rozebrałam go i zaproponowałam masaż. Nie chciał. – Wikana westchnęła ciężko. – Więc zaczęłam pieścić jego członka, żeby

stwardniał. Nic z tego nie wyszło.

Fabiola wzruszyła ramionami. Klientom często zdarzały się kłopoty z erekcją. Z powodu tremy. A czasami dlatego, że za dużo wypili.

– Wzięłam go do ust, ale i to nie pomogło. Wydawał się mną zupełnie niezainteresowany. Zaczął coś mrużyć pod nosem.

Fabiola zastrzygła uszami. Wszelkie okruchy informacji mogły okazać się ważne. Memor od wielu lat był właścicielem Romulusa.

– Słyszałaś, co mówił? Dobrze się zastanów.

– Sama nie wiem. Coś o Cezarze i o tym, ile pieniędzy kosztował go etiopski byk. Że to nie jego wina, że zwierzę nie żyje.

Czyżby ta bestia z dziwnymi rogami zdechła, zanim pojawiła się na arenie? – To nie było niemożliwe. Słyszała o wielu dzikich zwierzętach, które padły w klatkach pod amfiteatrem z powodu stresu. – *Tylko dlaczego Memor miałby się tym przejmować? Był lanistą, nie bestiariuszem* – pomyślała zdziwiona. – *To nie ma sensu.*

– Zapytałam go, czy wszystko w porządku – Wikana dotknęła palcami górnej wargi, która była spuchnięta i podeszła krwią. – Powiedział, że to moja wina i uderzył mnie w twarz.

– I wtedy zaczęłaś krzyczeć?

– Nie mogłam się powstrzymać – Wikana szlochała – bo on nagle wyciągnął sztylet. Chciał go we mnie wbić, gdy go pieściłam. To wtedy tak naprawdę zaczęłam się bardzo bać.

Pokręcony, stary pierdziel. Dobrze, że ze mną nigdy czegoś takiego nie próbował. Zauważyła, że Wikana naprawdę cierpi. Poklepała ją uspokajająco po ramieniu.

– Jego już nie ma, a ty wyszłaś z tego bez szwanku.

Wikana pokiwała głową, wydając się nieco pewniejsza.

– Idź już – Fabiola odesłała ją do pokoju. – Spróbuj się przespać. Skończę sama.

Rudowłosa dziewczyna nie protestowała.

Gdy Fabiola została sama, pogrążyła się w rozmyślaniach. Dlaczego Memor tak się złościł? Czy naprawdę chodziło o tego etiopskiego byka? Nie potrafiła tego odgadnąć. Będzie musiała podpytać później Brutusa. Teraz trzeba zadbać o to, aby jak najlepiej przygotować

Docilosę do ostatniej drogi.

To było jedno z najsmutniejszych pożegnań. Przywołało z pamięci stare, bolesne wspomnienia. Nie próbowała wyręczyć się kimś w tej pracy. Już o wiele za długo powstrzymywała łzy, które teraz ciurkiem spływały jej po policzkach.

Z pietyzmem namaściła ciało Docilosy olejkiem. Płakała przez cały czas, wyobrażając sobie, że robi to z ciałem matki. Nie było jej dane uczynić tego dla Welwinny. Jej życie nie było pełne tylko dlatego, że urodziła się niewolnicą. Zwłoki Welwinny pewnie zostały porzucone gdzieś na stosie z odpadami. Wrzucone do jakiegoś nieużywanego szybu lub pozostawione na wolnym powietrzu, żeby stały się karmą dla padlinożerców. Ta myśl sprawiła, że Fabiola znów zapragnęła za wszelką cenę dopaść Gemellusa. Niezależnie od tego, w jakiej ciemnej dziurze się akurat zaszył. I zabić. Zabijać powoli. Uznała, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby odnalezienie kupca zlecić ochroniarzom. Jeśli tylko czas im na to pozwoli. Oczywiście to może być trudne. Gemellus stracił wszystko i musiał sprzedać swój dom na Awentynie, co oznaczało, że teraz mógł być dosłownie wszędzie. *Powinnam się skupić na najważniejszym zadaniu. Teraz to Cezar jest moim głównym celem.*

Ciało Docilosy ciągle jeszcze wydawało się ciepłe. Gdy rany zadane ostrzem sztyletu znikną pod jej najlepszą suknią, będzie wyglądała, jakby spała. To była dziwaczna konstatacja, ale Fabiola trzymała się tej myśli tak długo, jak tylko się dało. Nie można jednak odwlekać rytuałów pogrzebowych. W końcu zamknęła oczy Docilosy i umieściła sesterca w jej ustach. Moneta miała być opłatą dla Charona, przewoźnika zabierającego ciało na drugą stronę.

Pogrzeb miał się odbyć następnej nocy. Nisko urodzony były niewolnik nie mógł leżeć na marach osiem dni, tak jak arystokrata. Nie miałyby to żadnego sensu. *Kto przyjdzie pożegnać Docilosę? Poza nią i Sabiną?* Fabiola uznała, że ceremonia pogrzebowa powinna zostać odprawiona ze wszystkimi tradycyjnymi elementami. Zapłaci za zawodowe płaczki i muzykantów. Opłaci grobowiec. To było wszystko, co mogła teraz zrobić dla skromnej kobiety, którą pokochała jak członka rodziny. Nie został już w niej najmniejszy ślad po wcześniejszej złości. Czuła tylko pulsujący smutek, który sprawiał, że fizycznie bolał ją każdy

mięsień.

Nagle usłyszała pukanie drzwi.

– Fabiola?

Po ubytku oliwy w lampie stwierdziła, że musiały minąć ze dwie godziny. Chyba najwyższy czas zamknąć Lupanar. Czy nigdy nie dadzą jej spokoju?

– Proszę.

W drzwiach pojawił się Wettiusz. Był wyraźnie zdenerwowany.

– O co chodzi? – spytała Fabiola głosem pełnym napięcia.

– Antoniusz tu jest.

Poczuła się bardzo zmęczona.

– Która godzina?

– Zegar wodny wskazuje *gallicinium*.

– Bogowie! Ten człowiek jest nienasycony – szepnęła pod nosem Fabiola. – W tej chwili seks był ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę.

– Jowina zaproponowała mu kilka dziewczyn, ale odmówił.

Twierdzi, że musi zobaczyć się z tobą, pani. Chce tu spędzić noc.

Fabiola znów poczuła zaciskające się na jej brzuchu szpony strachu. Jowina jest jeszcze w recepcji! Zachowanie Antoniusza może zinterpretować tylko w jeden sposób.

Wettiusz zauważył, że zbladła.

– Czy mam go odesłać? Zdecydowanie jest... nawalony.

Fabiolę wzruszyła jego lojalność.

– Antoniusz to *magister equitum*, Wettiuszu. Pijany czy nie może tu przyjść zawsze, gdy tylko ma na to ochotę.

– Oczywiście, pani. Do którego pomieszczenia mam go zabrać?

– Do mojego biura – odpowiedziała Fabiola, biorąc się w garść.

Przynajmniej tam nie było żadnego łóżka. Mogła udawać, że będzie z nim rozmawiać o interesach. Jowina może to kupić, jeśli każe jej natychmiast opuścić Lupanar. – Przynieś trochę wina, a potem stań przy drzwiach na wypadek, gdybym cię potrzebowała.

Wettiusz nie zadawał już żadnych pytań.

Fabiola poczuła nowe ukłucie smutku. Gdyby niewolnik ośmielił się tknąć Antoniusza, ryzykował chłostę, a nawet coś gorszego. Ale Wettiusz i Benignusz gotowi są dla niej zrobić wszystko, jeśli tylko ich o

to poprosi. Czasami nawet żałowała, że jej opiekunowie nigdy się nie sprzeciwiają poleceniom. Ich bezwarunkowe oddanie sprawiało, że nie mogła liczyć na jakąkolwiek informację zwrotną dotyczącą oceny jej wyborów. Za to Docilosa nigdy nie wahała się powiedzieć jej prosto z mostu, co myśli o jej zachowaniu. Nawet jeśli Fabiola postanowiła zlekceważyć ostrzeżenia – tak jak te w kwestii Antoniusza – przynajmniej starała się rozważać przekonujące argumenty drugiej strony.

Teraz znów była zdana tylko na siebie.

Wydawało się jej, że pokonanie korytarza trwa godzinę. Fabiola zatrzymała się na chwilę przy drzwiach komnaty, w której Wikana zabawiała Memora. W środku Benignusz szorował podłogę, próbując usunąć resztki krwi i ludzkich tkanek. Obok niego leżał dziwny pakunek. Ciało lanisty zawinięte w koc. Benignusz uniósł głowę, wyczuwając jej obecność.

– Możemy już się go pozbyć?

Fabiola zawahała się. Nie chciała, by ktokolwiek widział, że pozbywa się trupa, ale nie wiedziała, jak długo zabawi Antoniusz. Czasami zachowywał się jak uparty osioł i potrafił być nienasycony. Równie dobrze może się okazać, że będzie musiała zajmować się nim przez całą noc, tak jak zapowiadał. Jeśli nadejdzie świt, a Antoniusz nie opuści Lupanaru, przyjdzie im czekać z wyniesieniem ciała do następnego wieczoru. Ta myśl okazała się decydująca.

– Antoniusz jest w budynku. Poczekaj jakiś czas, żeby zobaczyć, jak wygląda sytuacja. Jeśli minie więcej niż pół godziny i nic podejrzanego nie usłyszysz, oznacza to, że Antoniusz będzie ze mną dłużej. Wtedy będzie można go bezpiecznie wynieść.

Benignusz skinął głową.

Fabiola przesunęła dłońmi po włosach, żeby je jako tako wygładzić. Po tym wszystkim, co zaszło, nie wyglądała najlepiej. Teraz jednak zupełnie jej to nie obchodziło. Im szybciej pozbędzie się Antoniusza, tym lepiej. Potem będzie mogła wreszcie pójść do łóżka. Wątpiła, czy uda się jej zasnąć, jednak na pewno wolałaby odpoczynek niż tę maskaradę, która teraz ją czekała.

Zatrzymała się na chwilę, żeby poprawić stolę i sprawdzić, czy jej

dekolt za bardzo nie przyciąga wzroku. Gdy weszła do recepcji, Antoniusz opierał się o jedną ze ścian, muskając palcami płaskorzeźbę przedstawiającą kobietę siedzącą okrakiem na mężczyźnie. Jowina zajęła miejsce za biurkiem. Ręce miała złożone na piersiach, w jednoznacznej pozie wyrażającej niezadowolenie. Spojrzała na Fabiolę i od razu spuściła wzrok.

Serce Fabioli trzepotało jej w klatce piersiowej jak uwięziony ptak. Może Jowina nie jest już tak sprawna fizycznie jak dawniej, ale jej intelektowi nie można było nic zarzucić. Ta suka podejrzewała już coś od jakiegoś czasu. Co pomyśli sobie o przybyciu Antoniusza o tej porze? To jasne. Stwierdzi, że są kochankami. Ważniejsze niż to, co pomyśli, było jednak to, co i komu powie. Fabiola starała się nie zdradzać z emocjami. Spojrzawszy na Jowinę, uniosła tylko brwi pytająco.

– Nie chce rozmawiać z nikim innym – odezwała się z wyrzutem starsza kobieta. – Nalegał, żebym odprawiła wszystkie dziewczyny.

Antoniusz odwrócił się na dźwięk słów Jowiny.

– Och! Fabiola! – zawołał, odsuwając się ściany. Jego stan mógł świadczyć o tym, że pił chyba cały dzień od chwili, gdy rano opuścił Lupanar. – Zastanawiałem się nad jakąś dobrą pozycją – rzekł jowialnie z podejrzanym szerokim uśmiechem. – Chciałabyś popробować tak?

Jowina zastrzygła uszami z zainteresowaniem.

Fabiola ukloniła się, starając się zachować formalny ton.

– Marek Antoniusz! To zaszczyt powitać cię w Lupanarze, panie.

– Nie mogę się z tym nie zgodzić... – wymamrotał Antoniusz niewyraźnie. Odwrócił się, żeby poszukać żetonu z wybranym miłosnym aktem i omal się nie przewrócił. – Gdzie to się podziało? – zaklął, a następnie wskazał z triumfalnym okrzykiem. – O jest! Tego chcę!

Fabiola ze wszystkich sił starała się nie panikować.

– Jestem pewna, że któraś z naszych dziewczyn na pewno cię usatysfakcjonuje, panie – zamruczała zalotnie, biorąc go za rękę.

Antoniusz spojrzał na nią zirytowany.

– Co? – Pochylił się bliżej. Fabiola poczuła przesycony winem oddech. – Chcę, żebyś to ty mnie dosiadła, a nie jedna z twoich ladacznic.

Fabiola zerknęła na Jowinę, na której twarzy widać było

zażenowanie zmieszane z rozbawieniem. Szybko jednak ukryła emocje pod maską. Już wiedziała. Fabiola zamarła. *Jowinie nie można ufać. Nie zatrzyma tej wiedzy dla siebie. Cóż... jeśli tak chce los...*

Fabiola poprowadziła Antoniusza do biura.

– Powiedz ochroniarzom, żeby weszli już do środka. Potem pozamykaj i idź spać – rozkazała Jowinie. – Ja odprowadzę później Antoniusza do drzwi.

– Przyszedł bez eskorty – Jowina mruknęła, krzywiąc się podejrzliwie.

– Zrób, jak mówię – wypaliła Fabiola, w ogóle jej nie słuchając.

Starsza kobieta uniosła się zza biurka. Wtedy to właśnie w recepcji pojawił się Wettiusz, niosąc tacę z brązu, a na niej dzban wina i dwa puchary. Fabiola zakłęła w duchu. Jakby Jowina potrzebowała więcej dowodów na jej romans z Antoniuszem! Tym razem jednak miała na tyle przytomności umysłu, by nie zareagować. Niemniej decyzja o jej losie już zapadła.

Jowina musi umrzeć. Dzisiaj wieczorem.

Na początku całą sobą sprzeciwiła się tej myśli, uznając, że to zbyt bezwzględne rozwiązanie, potem jednak władzę nad jej umysłem przejął strach. Jaki ma wybór? *Brutus nie może dowiedzieć się o Antoniuszu.* Żadna z prostytutek nie piśnie ani słowa – za bardzo się jej boją – ale z Jowiną to zupełnie co innego. Mimo sprzedaży domu publicznego i toczącej ją choroby wykorzystała do swoich celów każdą istotną informację. Fabiola wiedziała to aż za dobrze. Nie mogła do tego dopuścić.

Jej opiekunowie nie odmówią kolejnej brudnej roboty.

Ręka Antoniusza spoczęła na piersi Fabioli, przywołując ją do teraźniejszości.

Najpierw jednak Antoniusz musi opuścić Lupanar.

Jak się okazało, Antoniusz nie był zdolny do seksualnych wyczynów. Gdy Fabiola włożyła mu do ręki puchar z winem i usiedli tak, żeby dzielili ich stół, osunął się na oparcie krzesła i zaczął niespójnie opowiadać o najnowszym konflikcie w senacie. Fabiola zachęcała go do zwierzeń, cały czas obserwując go. Niedługo potem zamilkł, a jego głowa opadła na pierś. Fabiola nie drgnęła. Nie ruszyła się nawet, gdy

Antoniusz zaczął chrapać.

Wreszcie uznała, że może bezpiecznie wstać od stołu. Otworzyła drzwi, znajdując tuż za nimi Wettiusza. Benignusz czekał z nim. Nie było śladu po Jowinie lub którymkolwiek z pozostałych ochroniarzy. Wciąż nie zwróciła jakoś uwagi na znaczenie faktu, iż Antoniusz pojawił się bez ochrony. A przecież nikt rozsądny nie postąpiłby tak o tej porze.

– Czy możemy już bezpiecznie wynieść Memora? – odezwał się Wettiusz.

– Tak. Ten głupiec zasnął. – Wzięła głęboki oddech. – Mam dla was jeszcze jedno zadanie.

Spojrzeli na nią pytająco.

– Jowina.

Wettiusz zmarszczył czoło.

– Co z nią?

– Musi zniknąć.

W pierwszej chwili żaden z nich nie zrozumiał. Po chwili poważny ton Fabioli wreszcie do nich dotarł. I aż opadły im szczęki ze zdumienia.

– Zabić ją? – Benignusz wciągnął powietrze ze świstem. Fabiola skinęła głową. – Ale ona jest taka stara... – zawahał się.

– Jowina jest niczym wąż w trawie – syknęła Fabiola. – Dobrze o tym wiecie. Powie Brutusowi o Antoniuszu.

Nie próbowali już oponować. Ich pani wie najlepiej, a na pewno żaden z nich nie zatęskni za Jowiną.

– Kiedy? – zapytał Wettiusz.

– Dziś w nocy. Najpierw pozbądźmy się Memora. Teraz.

Czym prędzej zabrali się za realizację tego polecenia. Fabiola pozostała przy drzwiach swojego biura, nasłuchując jakichkolwiek oznak mogących świadczyć o tym, że Antoniusz się obudził. Na razie z zadowoleniem słyszała tylko jego chrapanie.

Wkrótce ochroniarze pojawili się ponownie, dźwigając trupa zawiniętego w koc. Fabiola już przesunęła zasuwę przy drzwiach i otworzyła szeroko drzwi zewnętrzne.

– Pospieszcie się.

Ruszyli ociężałym truchtem.

Tymczasem z biura Fabioli dobiegł charakterystyczny dźwięk

tłuczonego szkła.

Wettiusz i Benignusz zamarli w miejscu, niczym mordercy złapani na gorącym uczynku.

– Na zewnątrz – szepnęła Fabiola gorączkowo.

– Fabiola? – usłyszała głos Antoniusza. Senny, ale wyraźnie zirytowany jej nieobecnością. – Gdzie, na Hades, zniknęłaś?

Para niewolników już właściwie zniknęła za drzwiami, gdy Antoniusz pojawił się w korytarzu, przecierając zaczerwienione oczy. Fabiola wypchnęła Wettiusza na zewnątrz, po czym odwróciła się z najbardziej promiennym uśmiechem, na jaki ją było stać.

– Och! Obudziłeś się? – zaświergotała wesoło. – Właśnie miałam przynieść ci koc.

Może to było szkolenie wojskowe Antoniusza, a może Fabioli nie udało się do końca ukryć zdenerwowania w głosie, w każdym razie jej kochanek w jednej chwili wytrzeźwiało.

– Na kutasa Wulkana! Czy to było ciało?

Fabioli zabrakło słów.

Jedno mgnienie oka i Antoniusz już był przy niej. Otworzył szeroko drzwi i przygwoździł wzrokiem dwóch ochroniarzy, którzy byli akurat w świetle pochodni znajdujących się po obu stronach wejścia. Benignusz i Wettiusz zachowali się tak, jakby zrobiła to większość niewolników w ich sytuacji. Zastygli w bezruchu, jakby ich nogi wrosły w ziemię.

– Co tam macie? – zapytał Antoniusz, jakby zwracał się do szeregowego legionisty.

Zapadła długa cisza.

– Natychmiast mi odpowiedzcie!

– Nic, panie – odważył odezwać się Benignusz. – To tylko stara kapa.

Antoniusz odwrócił się do Fabioli.

– Czy ktoś tu dzisiaj wieczoru pożegnał się z życiem?

Fabiola walczyła, aby zachować resztki godności. Ten dzień był chyba najgorszym dniem w całym jej życiu. Czy może być jeszcze gorzej?

– Tak... – odparła ledwo słyszalnie.

– Kto taki?

– Nikt ważny. Szumowina, która zaatakowała jedną z dziewczyn. Ten człowiek zabił też moją służkę. – Smutek Fabioli związany ze śmiercią Docilosy wymknął się jej spod kontroli. – Zasłużył na śmierć – warknęła. – Jak każdy, kto ze mną zadziera... – dodała już szeptem.

– Co powiedziałaś?

Spanikowana Fabiola odwróciła wzrok.

– Nic takiego.

Jeśli Antoniusz słyszał jej ostatnie słowa, zdecydował się je zignorować.

– Czyje to ciało? Mów!

Fabiola zadrżała w reakcji na jego ostry ton.

– Memora. Lanisty z *Ludus Magnus*.

Oczy Antoniusza zrobiły się wielkie jak dwa spodki.

– Szumowina mówisz? To ważna persona. Rozumiem już twoją potrzebę zachowania wszystkiego w tajemnicy. Czekalaś, aż Lupanar opustoszeje, a potem kazałaś swoim chłopcom pozbyć się dowodów. Mądrze. Tyle że ja was nakryłem!

Fabiola milczała.

Antoniusz popatrzył na ochroniarzy, którzy stali nieruchomo niczym posągi w oczekiwaniu na rozwój wypadków.

– Znikajcie... No już! – Ochroniarze wytrzeszczyli oczy, bo tego się nie spodziewali. Antoniusz uniósł zaciśniętą pięść. – Ruszać się!

Nie mogąc uwierzyć we własne szczęście, Benignusz i Wettiusz podrzucili pakunek, żeby poprawić chwyt, i czym prędzej zniknęli w ciemnościach.

Fabiola powoli wypuściła powietrze z płuc. Wiedziała, że zagrożenie jeszcze nie minęło.

Antoniusz popchnął ją do środka i zamknął drzwi. Przesunął zasuwę, która wydała złowieszczy dźwięk. Prostując plecy, spojrzał na Fabiolę niemalże z szacunkiem.

– Cóż za syrena, co? Kto by pomyślał? – powiedział spokojnie. – Jeśli znajdziesz się za blisko, skończysz jako rozbitek na skałach. Albo w kanalizacji. – Zaśmiał się z własnego żartu. – Czy powinienem się martwić? W końcu mi też czasami zdarzało się skrzywdzić kobietę.

Fabiola zaczęła się bać nie na żarty. Antoniusz był wielkim, potężnie zbudowanym mężczyzną. Mógł ją z łatwością zabić. I nie było w pobliżu nikogo, kto by go powstrzymał. Cofnęła się, ale on ruszył za nią. Chwycił ją za obie ręce.

– Słówko do ucha...

Przerażona Fabiola pochyliła się w jego stronę.

– Zanim w twojej pięknej główce zrodzą się jakieś niemądre pomysły, powinnaś coś wiedzieć. Twój konflikt ze Scewolą nie jest dla mnie tajemnicą. – Uśmiechnął się, widząc jej zaskoczenie. – Zastanawiałaś się, dlaczego na tym froncie ostatnio trochę się uspokoiło? To dlatego, że kazałem mu zbastować.

Fabiola spojrzała na Antoniusza oniemiała. To dlatego nie zabrał dziś w nocy ze sobą ochrony.

– *Fugitivarius* wie, że go zabiję, jeśli tknie kobietę, z którą sypiam – powiedział niemal przyjaznym tonem. Jednak po chwili rysy jego twarzy stwardniały. – Ale gdybym się nią zmęczył lub uznał, że ma dziwne pomysły i mierzy za wysoko? Odgryzłby mi rękę, żeby zerwać się ze smyczy!

Słyszał, co powiedziałam. – Fabiola oddychała z trudem. – *Mitro, pomóż mi.* Bóg nie odpowiadał, a ona spadała w mroczną otchłań, z której nie było powrotu. Nie zdziwiła się, że nie dostrzegła żadnego znaku. To była kara za wszystkie złe uczynki w jej życiu. W tej chwili wiedziała też z całą pewnością, że nie chce umierać. Nie tak.

Antoniusz zacisnął rękę na jej gardle. W niebieskich oczach mężczyzny pojawił się okrutny błysk. Delektował się jej słabością.

– A może po prostu uduszę cię tu na miejscu?

Dławiąc się, Fabiola zaczęła tracić przytomność.

Uścisk zelżał. Fabiola zachwiała się niepewnie na nogach. Czowała się jak mysz zraniona przez kota, który chciał zobaczyć, co jego zabawka zrobi dalej.

– Nie. Wolę cię pieprzyć. Znajdź jakieś łóżko.

Otępiąła Fabiola powiodła go do najbliższej komnaty.

Docilosa miała rację. W każdej sprawie. Dlaczego jej nie słuchałam? Gdyby to zrobiła, jej służka żyłaby, a nie leżała zimna na kuchennym blacie.

Antoniusz macał ją bezczelnie po pośladkach. Nie próbowała się opierać.

Pogodziła się z losem.

Widok kapłanki wyrzucanej z Lupanaru mocno zdziwił Tarkwiniusza. Ci z ochroniarzy Lupanaru, którzy patrolowali ulicę, wyraźnie zmieszali się na ten widok, gdy ich wielki towarzysz bezceremonialnie wypchnął młodą kobietę za drzwi. Z niechęcią spoglądali na kapłankę, która przeklęła budynek i wszystkich w nim przebywających, odsyłając ich w drogę do Hadesu. Haruspik był zafrasowany i zaintrygowany. Niewiele osób odważyłoby się tak potraktować sługę Orkusa. Jeśli stało się coś takiego, oznaczało to, że ktoś – zapewne Fabiola, bo to ona była tam szefową – był nadzwyczaj pewny siebie. Tarkwiniusz rozpamiętywał to zdarzenie jeszcze długo po tym, jak kapłanka zniknęła w ciemnościach.

Jego wnioski bazowały raczej na dedukcji niż na umiejętnościach odczytywania znaków z wiatru i gwiazd. Tarkwiniusz analizował różne scenariusze, ale niewiele z nich miało sens. Docilosa nie kazałaby wyrzucić własnej córki w środku nocy, zwłaszcza gdy ta przyszłaby do niej z ostrzeżeniem. Jowina też by tego nie zrobiła z obawy przed reakcją nowej właścicielki Lupanaru. Dlaczego Fabiola miałaby to zrobić? Haruspik długo zastanawiał się nad odpowiedzią i ostatecznie doszedł do wniosku, że wcześniej usłyszał krzyk właśnie Docilosy. Czyżby została ranna? A może nie żyje? Jeśli kapłanka Orkusa przewidziała to w swoich wizjach, pewnie przybyła ostrzec matkę. A gdy zjawiała się za późno, mogła zareagować zbyt agresywnie, co zmusiłoby Fabiolę do pozbycia się jej z budynku.

Czy to Memor okazał się brutalnym awanturnikiem sprawiającym kłopoty? Co się z nim stało?

Zanim znalazł przekonujące wyjaśnienie, jego uwagę przyciągnął odgłos kroków. Wyglądało na to, że zbliżał się co najmniej tuzin mężczyzn, ale w świetle pochodni przy bramie pojawił się tylko jeden człowiek. Potykał się i chwiał z boku na bok, przywitany rozbawionymi spojrzeniami ochroniarzy, którzy jakoś nie zaniepokoiili się na ten widok. Towarzysze przybysza skryli się od razu w ciemności, przez co Tarkwiniusz poczuł się nieswojo. Kim byli? Nie odważył się ruszyć ze

swojego punktu obserwacyjnego. Na szczęście nikt w dalszym ciągu nie zwracał na niego uwagi.

– Wpuść mnie! – zażądał potężnie zbudowany mężczyzna. – Chcę zobaczyć Fabiolę.

– Marek Antoniusz?

– A któżby inny? – zadrwił niespodziewany gość.

Ochroniarze natychmiast otworzyli bramę przed nobilem.

Tarkwiniusz obserwował wydarzenia coraz bardziej zaintrygowany. *Fabiola miała dwóch kochanków! Decimusa Brutusa i Marka Antoniusza.* Biorąc pod uwagę, że haruspik wcześniej nie widział Antoniusza w Lupanarze, mężczyźni pewnie o sobie nie wiedzieli. To oznaczało, że Fabiola brała udział w bardzo niebezpiecznej grze. Dlaczego? Znów popatrzył na niebo w nadziei, że zdobędzie jakieś podpowiedzi. Czy mógł się mylić w założeniu, że jego niepokojący sen dotyczył zabójstwa Celiusza? A może raczej tego, co wydarzyło się dzisiejszej nocy?

Kilka chwil później przecucie Tarkwiniusza zmieniło się w pewność. Dwóch wielkich ochroniarzy pojawiło się bowiem w drzwiach Lupanaru, dźwigając podejrzanie ciężki rulon. Fabiola stała w otwartych drzwiach. Poganiała ich. Pakunek naprawdę wyglądał na nietypowy. Mogło to być ludzkie ciało. Najprawdopodobniej zawinięte w jakąś matę lub dywan. Ktoś narozrabiał i skrzywdził kobietę, której krzyk słyszał wcześniej haruspik. Sprytne. *Poczekaj, aż wszyscy pójdą do łóżek, a następnie pozbądź się dowodów.* Uznał z satysfakcją, że Fabiola była kobietą, która sama świetnie radziła sobie z problemami.

Fabiola zyskała jeszcze w jego oczach, gdy zobaczył w drzwiach zaspanego Antoniusza. Ten najpierw zrugął ochroniarzy, a potem wdał się w krótką, szeptaną wymianę zdań z Fabiolą. Następnie, ku zaskoczeniu Tarkwiniusza, pozwolił ochroniarzom zająć się swoimi sprawami. Później drzwi do Lupanaru zostały zatrzaśnięte, uniemożliwiając mu dalsze obserwacje. Haruspik uśmiechnął się pod nosem. Lupanar przyciągał go nie bez powodu. Bogowie chcieli mu pokazać, że choć nad Rzymem wisi niebezpieczeństwo, Fabiola potrafi świetnie o siebie zadbać.

Nie musiał czuwać nad nią w dzień i w nocy.

Nie miał pojęcia, jak bardzo się mylił.

Rozdział XV

Ruspina



Minęło kilka tygodni...

Północne wybrzeża Afryki, zima 47/46 r. p.n.e.

Morze było spokojne. Cóż za zmiana od czasu, gdy ta kapryśna bestia rozproszyła flotyllę Cezara podczas trzydniowej przeprawy z Lilybaeum na Sycylii ku wybrzeżom Afryki. Delikatne fale omywały burty kilkunastu trirem i płaskodennych okrętów transportowych, zakotwiczonych pod nieskalanym, niebieskim niebem. Żołnierze opuścili je jakiś czas temu. Z poczuciem ulgi wyskakiwali prosto do płytkiej wody, po czym chwyтали podawany im przez towarzyszy ekwipunek. Konie zostały przetransportowane z ładowni za pomocą specjalnych drewnianych ramp, spuszcanych bezpośrednio na powierzchnię wody. Tam już brali je w opiekę jeźdźcy, przeprowadzając na ląd. Dowódcy zorganizowali specjalne żywe łańcuchy, dzięki którym przetransportowano na plażę produkty spożywcze, zapasowy sprzęt i części rozłożonych balist. Legioniści stali po pas w wodzie i podawali sobie pakunki z rąk do rąk. Układano je na równe stosy pod ścisłym nadzorem kwatermistrza, dzierżącego w dłoniach tabliczki ze spisami.

W głębi lądu wyznaczono już granice obozu wojskowego, którego elementy składały się na wzór podobny do karty do gry. Najpierw wzniesiono namiot Cezara i pawilon kwatery głównej, którego pozycja została oznaczona czerwonym *vexillum*. Setki mężczyzn zajęły się kopaniem pierwszej *fossa*, wykorzystując ziemię z wykopów do wznoszenia fundamentów zewnętrznego wału obronnego. Wszędzie

przechadzali się centurioni i *optiones*, na przemian to chwając, to ganiąc żołnierzy, zachęcając lub zmuszając ich do większego wysiłku. Wokół pracujących legionistów rozstawiono po łuku kohorty, którym dzisiejszego dnia przypadło zadanie osłaniać obóz. Mieli zabezpieczać go na wypadek niespodziewanego ataku wroga. W takiej kohorcie znalazł się także Romulus.

Ten widok napawał go dumą. Zorganizowany porządek. Rzymska armia w działaniach posuniętych do granicy sprawności. Był tylko małym trybikiem w tej wspaniale funkcjonującej maszynie, ale miał teraz poczucie *przynależności*, które tak bardzo się dla niego liczyło. Po raz pierwszy w życiu Romulus był tam, gdzie naprawdę chciał być. Powinien być za to wdzięczny Cezarowi do końca życia. W związku z podjętą decyzją musiał na jakiś czas odłożyć marzenia o spotkaniu z Fabiolą i zabiciu Gemellusa. Zawdzięczał swoją wolność Cezarowi i w rozumieniu Romulusa był to dług, który musiał spłacić, zanim zajmie się realizacją innych pragnień. Odwdzięczy się Cezarowi wierną służbą tak długo, jak to będzie konieczne. Romulus zdecydował się przyjąć praktyczne podejście do wpływu, jakie wyzwolenie miało na jego plany. Dotychczas bogowie uznali za stosowne ochraniać Fabiolę. I z ich pomocą pozostanie bezpieczna. Może właśnie z tego powodu ukrywali przed nim miejsce pobytu Gemellusa? Ścisnął mocniej *pilum*. Każdej nocy najpierw modlił się o zachowanie w zdrowiu swojej siostry, a potem prosił o szansę odplacenia się Gemellusowi po powrocie do Rzymu.

Oczywiście nie było żadnej gwarancji, że on i jego nowi towarzysze broni przeżyją tę kampanię. Od początku bowiem towarzyszyły jej złe znaki, a Cezar pokazał już, że nie jest nieomylny. Zdecydował się wyruszyć do Afryki, za nic mając rady swoich wróżbitów i nie informując kapitanów jednostek o miejscu lądowania. Flota znalazła się w obszarze, w którym panowały trudne warunki pogodowe. Burze i silne wiatry rozproszyły jednostki. Ponadto podczas schodzenia na ląd dyktator potknął się i... skąpał w fali przyboju. To był kolejny zły omen. Romulus musiał przyznać, że Cezar ratował się po mistrzowsku! Chwycił w dłonie duże garście piasku i żwiru, krzycząc: „Afryko! Mam cię i już nie wypuszczę z rąk!”. Postronni obserwatorzy

mogli wtedy obrócić zły omen w żart, śmiejąc się ze swojej zabobonnej reakcji.

A jednak po wylądowaniu na afrykańskim wybrzeżu Cezar naprawdę znalazł się w trudnej sytuacji.

Choć nie stracił zbyt wielu ludzi, bo okręty zostały rozproszone, a nie zatopione, towarzyszyła mu teraz jedynie niewielka część kohort, które zaokrętowały się na triremy w Lilybaeum. Cezar miał do swojej dyspozycji tylko trzy i pół tysiąca ludzi zamiast sześciu legionów. Na dodatek byli to żołnierze z różnych jednostek. Co gorsza, dyktator dysponował jazdą w sile zaledwie dwustu koni, podczas gdy wojska Pompejusza znajdujące się w okolicy w dużej części składały się z numidyjskiej kawalerii. Romulus aż za dobrze wiedział, jak niebezpieczna jest taka dysproporcja sił. Krassus również nie zadbał o wsparcie jazdy. Romulus miał nadzieję, że Longinus, ów szpakowaty oficer, który przesłuchiwał go w imieniu Cezara, zwrócił uwagę wodza na ten wyjątkowo istotny szczegół. W przeciwieństwie do Krassusa Cezar ufał swoim wieloletnim towarzyszom ze sztabu i wykorzystywał ich wiedzę oraz rady.

Tak czy inaczej, Cezar, czy ktokolwiek inny, nie mógłby właściwie więcej zrobić, aby w jakikolwiek sposób zneutralizować tę słabość rzymskiej armii. Okręty z resztą żołnierzy zostały porwane przez silne wiatry oraz wzburzone morze. I tylko bogowie wiedzieli, gdzie się teraz znajdowały. Oczywiście natychmiast wysłano wzdłuż wybrzeża oddziały zwiadowców, ale zbieranie zagubionych kohort mogło trwać tygodniami. A w tym czasie nieprzyjaciel zapewne odkryłby ich pozycję.

Romulus skrzywił się z niesmakiem. Nie widział sensu w myśleniu o tym. Uważał, że Cezar jakoś sobie poradzi. Teraz należało skupić się na pracach inżynieryjnych i nie zaniedbywać *modlitw, żeby zagubione kohorty wkrótce dołączyły do macierzystych jednostek.*

Minął tydzień i nic strasznego się nie wydarzyło. Większość rozproszonych jednostek udało się zlokalizować i wkrótce reszta sił dołączyła do tych kilku tysięcy żołnierzy, które towarzyszyły Cezarowi. Chociaż niezmiennie armia dyktatora nie dysponowała przewagą liczebną, okazało się, że bogowie jej sprzyjają. Lokalne siły Pompejusza – łącznie ponad dziesięć legionów – również były rozproszone wzdłuż

wybrzeża. Oddziały dowodzone przez Scypiona Metellusa przebywały na leżach zimowych i zostały zupełnie zaskoczone nietypową kampanią, rozpoczętą właśnie w środku zimy. Tylko kilka dni dzieliło ich od nowego roku. O tej porze nikt nie zaczynał działań wojennych! Cezarowi po raz kolejny udało się zaskoczyć przeciwnika. Teraz to jego wrogowie potrzebowali czasu, aby zebrać siły, dzięki czemu mógł przed burzą liczyć na dłuższą chwilę spokoju, niezwykle cenną w jego sytuacji.

Uświadomienie sobie przez Romulusa, że Cezar z pewnością przewidział, iż będzie potrzebował trochę czasu na wprowadzenie porządku w szeregi armii inwazyjnej, jeszcze bardziej zwiększyło jego podziw dla wodza. Ten człowiek wiedział, że przeważająca część żołnierzy myśli schematami. Walczy przy świetle dziennym i rozpoczyna kampanię wtedy, gdy taka kampania *powinna* się rozpoczynać. Czyli w lecie. Dlatego zrobił coś, czego się nikt nie spodziewał. Jednak taktyka błyskawicznych działań wiązała się również z poważnym problemem natury logistycznej. Te wszystkie legiony trzeba było wyżywić! Puste statki transportowe zawróciły już na Sycylię i Sycylię z misją dostarczenia ziarna, którego nie zabrano na pokłady trirem w wystarczającej ilości podczas pierwszego rejsu. W tym czasie Cezar raczej nie szukał konfrontacji, ale zajął się organizacją zaopatrzenia dla swoich ludzi. Okazało się niespodziewanie, że z wielu powodów jest to zadanie trudniejsze, niż zakładał.

Romulus wiele rozmyślał o tym problemie. Ponieważ przez większość czasu pełnił tylko nudną wartę, mógł sobie na to pozwolić. Oddziały Cezara nie powinny oddalać się za daleko od wybrzeży z obawy przed odcięciem od głównych sił. Ciągłe czekali na kilka doświadczonych jednostek. Ich obecność – w przypadku ewentualnej bitwy – mogła okazać się kluczowa. Inne legiony, choćby takie jak Legion XXVIII – czyli jednostka, w której służył obecnie Romulus – zostały sformowane dopiero niedawno, już w czasie trwania wojny domowej, a więc ich żołnierzom brakowało doświadczenia i wyszkolenia.

A żołnierz – zaprawiony w boju czy nie – musiał jeść. Dużo jeść.

Niestety, na terenie dotkniętym wojną pola uprawne leżały odłogiem. Dowódcy Pompejusza nie tylko zebrali wszystko, co

nadawało się do zjedzenia, ale i wcielili dużą część lokalnej ludności do armii. Dlatego nawet gospodarstwa, które znajdowały się na żyznej ziemi, były w większości opuszczone i splądrowane. I jeśli cezarianie mieli się wyżywić, musieli sami zająć się uprawą czy zebraniem tego, co nie zostało zniszczone. Armia potrzebowała zaopatrzenia, dlatego dyktator poprowadził swoje legiony do pobliskiego miasta Hadrumentum. Pompejański garnizon zamknął bramy i nie chciał się poddać. Cezar nie miał ani czasu, ani sprzętu, żeby rozpocząć oblężenie, więc pomaszerował dalej do miejscowości o nazwie Ruspina, gdzie ustanowiono główną bazę. Inna lokalna osada, Leptis, poddała się siłom inwazyjnym, ale ani ona, ani sąsiednie miejscowości nie mogły zapewnić tysiącom żołnierzy wyżywienia, które starczyłoby dłużej niż na dzień czy dwa.

Jeszcze więcej problemów nastęczało utrzymanie przy życiu koni kawalerii. Na szczęście kilku weteranów wpadło na świetny pomysł wykorzystania wodorostów zalegających w dużych ilościach przy brzegach morza. Trzeba je było umyć w słodkiej wodzie, wysuszyć na słońcu, ale dostarczały wystarczającej ilości składników odżywczych, aby nakarmić wierzchowce. Konie może się nie przejadały, ale przynajmniej nie trzeba było obawiać się, że zdechną. Było to wszakże rozwiązanie wyjątkowe, a żołnierze potrzebowali czegoś więcej niż wodorostów, aby maszerować. I walczyć. Od czasu desantu na wybrzeżach Afryki legionieci dostawali jedynie dwie trzecie normalnych racji żywnościowych. Nie mogło to trwać wiecznie.

Dlatego konieczne okazało się zorganizowanie wyprawy w głąb wrogiego terytorium w celu poszukiwania źródeł zaopatrzenia.

Romulus spoglądał przez ramię na długą kolumnę wojsk i nisko wiszące nad nimi chmury pyłu. Cieszył się, że Legion XXVIII otrzymał zaszczytne zadanie podążania w awangardzie. Dzięki temu nie musieli wdychać kurzu, który unosił się w powietrzu po przejściu wielu setek stóp. Wydzielone siły maszerujące na przedzie były dowodzone osobiście przez Cezara i składały się z trzydziestu kohort. W większości mało doświadczonych i pochodzących z różnych legionów. Ta część armii wyruszyła mniej niż godzinę przed wszystkimi i bez wyposażenia. Kohorty miały być w każdej chwili gotowe na wejście do walki.

Podstawowym celem ekspedycji było znalezienie pól uprawnych, z których nie zebrano zbiorów. Awangarda ruszyła na południe, trzymając się polnej drogi, która prowadziła do Uzitta. Najlepiej byłoby, gdyby natknęli się na pola pszenicy, ale ani Romulus, ani jego towarzysze nie byli już zbyt wybredni. Mógł być jęczmień czy owies. Cokolwiek, byleby zapłacić brzuchy. Na razie nie znaleźli jednak niczego godnego zainteresowania.

Gdy żołnierze docierali do małych wiosek z nędznymi chatkami z cegieł wykonanych z błota, mijali grupy przerażonych mieszkańców, głównie kobiet, dzieci i starców. Cezar wydał rozkaz, aby jego ludzie powstrzymywali się od grabieży. „Wystarczy, że zabieramy lokalnym rolnikom pożywienie. Zakazuję okradać ich z czegokolwiek”. Tak brzmiały jego słowa. Głodni legionieści wykonywali rozkazy. Zresztą i tak nie mieli czego plądrować. Wszyscy tęsknym wzrokiem spoglądali tylko na pola ciągnące się wokół każdej osady. Oczywiście zboża, które znajdowały się w bezpośredniej bliskości Ruspiny, zostały już zebrane i ukryte przez mieszkańców lub wcześniej zarekwirowane przez wojska którejs z stron.

Przynajmniej nie musimy się martwić o wodę. Dzięki głębokim studniom w Ruspinie skórzane bukłaki legionistów były pełne. W takich warunkach maszerowanie było o wiele łatwiejsze. Nie trzeba było traktować każdej kropli płynu tak, jakby była droższa niż złoto. No i kampania została rozpoczęta w zimie, gdy temperatury nie przypominały tych z kotła na partyjskiej pustyni. Romulus wspominał wielkie pragnienie z czasów, gdy przemierzał z Brennusem i Tarkwiniuszem obce ziemie, leżące daleko na północny wschód.

Myśl o haruspiku sprawiła, że poczuł smutek. Wręcz nostalgię. Upływ czasu nie wpłynął na osłabienie gniewu, który wynikał z tego, co uczynił Tarkwiniusz. Romulus przyznawał jednak w duchu, że Cezar nie wyzwoliłby go, gdyby nie Tarkwiniusz i jego decyzje. Jednak trudno było zastanawiać się nad tym, co by było gdyby. *Jak wyglądałoby moje życie, gdybym nie musiał uciekać z Rzymu z Brennusem? Może zdobyłbym już swój wytęskniony rudis? Albo zginąłbym na arenie. Kto wie?* Nie wybaczył mu. O nie! Ale nie czuł już tej furii, która owładnęła nim w Aleksandrii. Była to sprawa, którą mogliby przedyskutować i

rozwiązywać. Jak dorośli mężczyźni. *Jeśli kiedykolwiek go jeszcze spotkam.*

Romulus westchnął. Zastanawiał się, jakie jest prawdopodobieństwo, że tak się stanie? Pomyślał, że naprawdę niewielkie i że lepiej nie myśleć za dużo o Tarkwiniuszu, bo nie było sensu martwić się o rzeczy, których nie można zmienić. Lepiej skupić się na sprawach przyziemnych, takich jak znalezienie jedzenia. Tylko że wszystkie pola w zasięgu wzroku były puste i ta taktyka nie zdała się na wiele, gdyż wcale nie poprawiała nastroju. Myślenie o wygranej wojnie również nie pomagało. Pompejańczycy mieli tak wielką przewagę, że mimo geniuszu militarnego Cezara zwycięstwo wcale nie było pewne. Czas pokaże. Romulus spróbował innej metody. Skupił się na słowach piosenki zaintonowanej przez jakiegoś żołnierza z przodu kolumny. Jak to często bywa, opowiadała o dowodzącym. Każda kolejna zwrotka opisywała przygody Cezara z kolejną z wielu arystokratek, podczas gdy chór radził rzymskim obywatelom, aby dobrze pilnowali swoich żon, gdy pewien „łysy zbereźnik” wróci do miasta na dobre. Romulus przyłączył się do śpiewających. Lubił to. Gdy po raz pierwszy usłyszał piosenkę o dość niewybrednej treści, niezmiernie dziwił się tolerancji Cezara. Później jednak przekonał się, że jest ona symbolem ogromnej sympatii, jaką żołnierze darzyli swojego generała. I Cezar dobrze o tym wiedział.

– Stać! – ryknął Atiliusz, starszy centurion kohorty Romulusa. – Staaać!

Rozkaz został natychmiast powtórzony przez trębacza jednostki, którzy maszerował obok Atiliusza.

Romulus spojrział w dal, zastanawiając się nad przyczyną tego nagłego postoju. Jego towarzysze również z ciekawością rozglądali się we wszystkich kierunkach. Armia Cezara wciąż była osłaniana zaledwie przez około czterystu jeźdźców z Germanii i Galii, a jedna czwarta tych sił została wysłana na rozpoznanie terenu znajdującego się przed nimi. Dysponujący sokolim wzrokiem Atiliusz musiał zauważyć powracających jeźdźców. Chwilę później podejrzenia Romulusa potwierdziły się, wszyscy bowiem już widzieli niewielki obłok pyłu, który zwiastował zbliżanie się oddziału jazdy. Galowie wkrótce znaleźli

się w bezpośredniej bliskości oddziałów Legionu XXVIII. Lekkozbrojni jeźdźcy, z włosami zaplecionymi w warkoczyki, mieli do ochrony jedynie małe tarcze. Ignorowali pytania rzucone przez ciekawskich legionistów. Swoje informacje mieli przekazać tylko Cezarowi, który dowodził nimi od czasu podboju Galii. Wódz, jak zwykle, zajmował pozycję w centrum kolumny.

Wciąż nikt nie dostrzegł niczego niepokojącego. Maszerowali po szerokiej równinie, przecinanej zaledwie kilkoma wąskimi pasmami drzew, co oznaczało, że wróg byłby widoczny z daleka. Legioniści zaczęli się rozluźniać. Oparli tarcze o ziemię i sięgnęli po bukłaki. Oficerowie nie zabraniali gaszenia pragnienia. Ponieważ wroga nie było w zasięgu wzroku, w takich zachowaniach nie widzieli niczego złego.

Chwilę później większość Galów już kłusowała z powrotem przed pozycje Legionu XXVIII.

– Patrzcie! – odezwał się Romulus na widok charakterystycznego, czerwonego płaszcza. – Cezar jest z nimi!

Nawet Atiliusz odwrócił głowę z ciekawionym.

– Zdaje się, że chcą mu coś pokazać – stwierdził krótko. Jak wielu innych oficerów w Legionie XXVIII Atiliusz był weteranem z Legionu X, jednego z ulubionych jednostek Cezara. On i kilkudziesięciu jemu podobnych żołnierzy zostało rzekomo specjalnie wybranych i przeniesionych do legionu Romulusa, żeby stworzyć szkielet kadry dla lepszego wyszkolenia mniej doświadczonych i nie tak dobrze jeszcze zdyscyplinowanych poborowych. W pewnych kręgach szeptano jednak, że są to buntownicy, którzy zaledwie kilka miesięcy wcześniej pomaszerowali na Rzym, domagając się uznania swoich praw. Przeniesiono ich po to, żeby nie sprawiali więcej kłopotów rządzącym. Tak czy inaczej, Atiliusz był dobrym żołnierzem i przypomniał Romulusowi Bassiusza, starszego centuriona, który dowodził nim w Partii.

Ciekawe, gdzie kierują się pozostali Galowie. Romulus obejrzał się przez ramię. Pół tuzina wojowników galopowało na tyły. Poczul w żyłach zastrzyk adrenaliny.

– Cezar wysłał po resztę jazdy i łuczników, dowódco! – zawołał. – Nie ma innego wytłumaczenia. Zbliża się bitwa.

Atiliusz spojrział na Romulusa taksująco. Historię niewolnika, który został skazany na śmierć na arenie, ale wywalczył sobie wolność, zabijając nosorożca, powtarzano w szeregach Legionu XXVIII na długo przed pojawieniem się Romulusa w Lilybaeum. Ze względu na dotychczasowy przebieg służby Romulus został przydzielony do innej kohorty niż wcześniej. Jednak trzeba było przyznać, że młody żołnierz wyróżniał się nadzwyczajną sprawnością fizyczną, wykonywał rozkazy bez szemrania i sprawował się zadowalająco, co cieszyło Atiliusza. Zachowywał się jak wielu zwykłych legionistów pod jego dowództwem, starszy centurion stwierdził zatem, że najlepiej będzie poczekać z opinią na temat chłopaka do czasu, gdy udowodni swoją prawdziwą wartość.

– Słusznie. To znaczy, że możemy na jakiś czas zapomnieć o burczeniu w brzuchach.

– Tak jest!

Romulus wyczuwał chłodny stosunek Atiliusza i podejrzewał, z czego on wynika. Podobnie, no, może czasami gorzej, zachowywało się kilku jego nowych towarzyszy, którzy za bardzo za nim nie przepadali, uważali bowiem, że nie zasłużył na specjalne traktowanie przez Cezara. Nie było w ich zachowaniach otwartej wrogości. Po prostu odnosili się do niego z dystansem i nie próbowali się do niego zbliżyć. Choć było ciężko, Romulus musiał się z tym pogodzić. Na szczęście większość jego nowych towarzyszy patrzyła na niego z niechętnym podziwem, a nawet żartowała, że jest idealnym kandydatem do walki ze słoniami, które – w ilości stu dwudziestu sztuk – wykorzystywała armia Pompejusza. Romulus znosił te komentarze z humorem, wiedząc, że właśnie to jest droga do pełnej akceptacji towarzyszy. Przy odrobinie szczęścia wspólna walka przyspieszy ten proces.

Bardzo tego pragnął. Śmierć Petroniusza kładła się cieniem na jego przyszłości, przypominając mu o bólu i cierpieniu, którego źródłem było rozstanie z Tarkwiniuszem i pozostawienie Brennusa podczas ostatniej bitwy Zapomnianego Legionu. Mimo że nie był w stanie uratować Petroniusza, przynajmniej spróbował to zrobić. *Dlaczego nie zostałem z Brennusem?* – Romulus zadawał sobie to pytanie wielokrotnie. W tym kontekście nawet jego uwolnienie wydawało się trywialne. – *Mogłem zginąć bohaterską śmiercią, walcząc ramię w ramię z bratem krwi,*

zamiast uciekać jak tchórz. Z trudem znosił myśl, że może Mitra miał wobec niego inne plany. Ale chwilami wydawało mu się, że to tylko gładka wymówka, bo wybrali z Tarkwiniuszem najłatwiejsze wyjście.

Kilka chwil po tym, jak Cezar dołączył do jazdy zwiadu, rozbudziły się *bucinae*. Seria rozkazów dźwiękowych nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

– Słyszycie? – Atiliusz uśmiechnął się drapieżnie. – Wróg w polu widzenia. Przygotować się do marszu! – wrzasnął.

Szeregi zadrżały od podekscytowania, ale czuć było unoszący się w powietrzu lęk. Wróg musiał znajdować się niedaleko. Ruszyli.

Romulus sprawdził *pila* i zerknął badawczo na swoich towarzyszy. Przez większość czasu lustrował horyzont, zwłaszcza w pobliżu miejsca, gdzie zniknął Cezar i Galowie. Jeźdźcy bowiem szybko zostali przysłonięci przez obłok pyłu. Przez dłuższy czas nic się nie działo. Napięcie rosło. Czas spokoju na tej afrykańskiej ziemi dobiegał końca. Teraz zbliżało się nieuniknione. Każdy potrafił to wyczuć.

Nastrój oczekiwania został jeszcze bardziej wzmocniony, gdy jeźdźcy zatrzymali się na szczycie długiego, łagodnie wznoszącego się z ich strony pagórka. Piechota, która ruszyła śladami Cezara, z mozołem rozpoczęła wspinaczkę. Zbliżając się do szczytu, widzieli już dobrze wodza, który najwyraźniej z uwagą przyglądał się temu, co znajduje się po drugiej stronie poniżej. Potem zaczął gestykulować z ożywieniem, wydając chyba jakieś rozkazy dowódcy oddziału Galów. Unosił ramię, pokazywał różne kierunki. W końcu obrócił się, żeby ogarnąć wzrokiem rozciągniętą kolumnę swoich oddziałów. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Żołnierze instynktownie zwiększyli tempo marszu.

Atiliusz znajdował się kilkanaście kroków przed czołem kolumny, dlatego jako pierwszy dotarł do szczytu i miał okazję trochę dłużej kontemplować szeroką na milę formację pompejańczyków.

– Na Jowisza, nad nami!

Po kilku krokach Romulus mógł już na własne oczy przekonać się, co jest powodem nagłego ożywienia centuriona.

Z miejsca, w którym stał Cesarz na koniu, rozciągała się kolejna, lekko schodząca w dół równina. Po drugiej stronie, jakieś pół mili dalej,

drogę zagradzała armia wroga, ustawiona w niezwykle szerokiej formacji. Sama jej długość wiele mówiła o dysproporcji sił. Przeciwnicy dysponowali zdecydowaną przewagą liczebną nad wydzielonymi siłami armii Cezara, które przecież miały tylko znaleźć zaopatrzenie!

Legioniści pobledli. Atiliusz od razu wyczuł zmianę nastroju.

– Cezar nie jest głupcem! – ryknął. – Nie stanie do walki z tym motłochem, jeśli nie będzie musiał.

Romulus zaniepokoił się nie na żarty. Nie było żadnej pewności, że dojdzie do bitwy, a jego towarzysze już zerkali po sobie z niepewnością. To nie wróżyło dobrze na przyszłość. Z ulgą przyjął zachowanie Atiliusza, który uspokajał swoich ludzi, odwołując się do siły przekleństw i obelg rzucanych pod adresem pompejańczyków. Legioniści poczuli się trochę pewniej.

Chociaż może i Cezar nie parł do bitwy, ale nie mógł w ogóle nie zareagować, gdy nieprzyjaciel znalazł się tak blisko. Wkrótce rozległy się ostre dźwięki trąbek, nakazujące zajęcie szyku liniowego, naśladującego szyk pompejańczyków. Jednak aby dostosować się do szerokości linii wroga, jego żołnierze musieli ustawić się w szyku głębokim na jedną kohortę. Było to duże odstępstwo od standardowej taktyki, która nakazywała stworzenie co najmniej dwóch linii. Świadomość tego sprawiała, że przez szeregi znów wyraźnie przeszła fala niepokoju.

– Wódz musi zabezpieczyć się na wypadek oskrzydlenia – Romulus podzielił się swoją myślą z Sabinuszem, legionistą stojącym po jego prawej. Przez kilka ostatnich tygodni zdążyli się zaprzyjaźnić.

– Tak sądzę – Sabinusz odchrząknął. – Nieważne, że nie mamy kurewskiej kawalerii, żeby nas przed tym obroniła.

Sabinusz, niewysoki, czarnowłosa mężczyzna, z mocno zarysowanym podbródkiem, był jednym z żołnierzy armii Pompejusza, która została rozbita pod Farsalą. Jak tysiące jego oszczędzonych wówczas towarzyszy po klęsce przysięgał wierność cesarzowi. Od tego czasu ludzie ci walczyli dzielnie w Egipcie i pod Zelą. Jednak wtedy ścierali się przecież z cudzoziemcami. Z nieprzyjacielem, który nie miał nic wspólnego z ideami Pompejusza. Dziś jednak znów staną do bratobójczej walki. Być może przyjdzie im toczyć walkę na śmierć i

życie z dawnymi towarzyszami broni, z którymi wcześniej walczyli ramię w ramię.

Atiliusz, jako że dobrze znał swój fach, zdawał sobie sprawę z niskiego morale oddziałów. Najpierw nakazał zajęcie miejsca w pierwszym szeregu *signiferi*, a następnie to samo uczynił *aquilifer*. Ludzie zareagowali pozytywnie, napawając się widokiem srebrnego orła. Wznosili głośne okrzyki, obiecując, że nieprzyjaciel nigdy nie położy łapy na najważniejszym symbolu legionu. Atiliusz zebrał też swoich podoficerów. Przekazał im parę słów, a oni już po chwili zaczęli przechadzać się wzdłuż linii kohorty. Rozmawiali z wybranymi żołnierzami, zwracając się do nich po imieniu. Starszy centurion dawał dobry przykład. Pocieszał. Poklepywał, szczypał w policzki i uderzał w ramię, mówiąc każdemu, że uważa go za odważnego żołnierza.

Sam Cezar zatrzymał się na dłużej przed czołem Legionu V, składającego się w dużej części z członków plemion galijskich, którzy dzięki wiernej służbie wywalczyli sobie rzymskie obywatelstwo. Legioniści z Legionu XXVIII nie słyszeli wprawdzie, co mówił, ale głośne okrzyki, które wypełniły powietrze kilka chwil później, były wyraźnym dowodem, że wódz potrafił porwać tłumy.

Tak przygotowani zastanawiali się, co zamierza Metellus Scypion. Nie musieli długo czekać na odpowiedź.

Ku zdumieniu Romulusa duża część armii pompejańskiej, która wcześniej wydawała im się tylko piechotą stojącą w ciasnej formacji, w rzeczywistości okazała się jazdą. Numidyjczycy! Używając mistrzowskiego podstępu, Scypion do ostatnich chwil przed starciem ukrywał prawdziwy skład swoich sił. Teraz szwadrony jeźdźców ruszyły galopem na skrzydła. W tej samej chwili centrum formacji – lekko uzbrojona numidyjska piechota – ruszyło prosto na cezarian.

A zatem Scypion parł do bitwy i dzięki sprytnej taktyce pewnie uda mu się do niej doprowadzić. Mimo że formacja Cezara została przerzedzona i wydłużona, nowe argumenty – to znaczy szybka jazda wroga – sprawiały, że istniało duże prawdopodobieństwo oskrzydlenia i otoczenia. Teraz jednak Cezar nie ma już szans na odejście i wycofanie się do Ruspiny. Tylko że jeśli zostaną w miejscu i podejmą walkę, ryzykują unicestwieniem. Może być tak samo jak z Krassusem pod

Carrhae. Romulus z goryczą pomyślał o tym, że przyszło mu służyć pod dwoma generałami, którzy zgubili swoje armie z powodu braku wspierającej ich działania jazdy.

Za niedługo pojawili się zmęczeni łucznicy. Ostatni odcinek przebiegli truchtem, dlatego ich twarze zalewał pot. Stu pięćdziesięciu mężczyzn wyszło z Ruspina na końcu, dlatego musieli się niezłe wysilić, żeby dogonić czoło kolumny. Nie dano im czasu na zasłużony odpoczynek, posyłając od razu przed przednie szeregi. Przybyła też reszta jazdy, dołączając do oddziału towarzyszącego Cezarowi. Potem siły te podzielono na dwie części po dwustu jeźdźców i rozmieszczono na obu bokach szyku. Wszyscy jednak mieli świadomość, że jest ich za mało, a Romulus aż skulił się, patrząc na masy numidyjskiej kawalerii. Musiało ich być łącznie z siedem lub osiem tysięcy. Różnica dwadzieścia do jednego, a na dodatek to byli... Numidyjczycy. Najlepsza jazda na świecie, która wielokrotnie wspomagała Hannibala, gdy odnosił zwycięstwo za zwycięstwem nad rzymskimi armiami.

Na szczęście Romulus nie miał za dużo czasu, żeby zastanawiać się nad liczebną przewagą nieprzyjaciela.

Zagrały *bucinae*. Przygotować się do ataku!

Odpowiedź Cezara mogła być tylko jedna. Przyjął bitwę. Decyzja była oczywiście, jak zwykle, bardzo odważna, ale ani on, ani jego ludzie nie zdążyli przygotować się na to, co miało się wydarzyć kilka chwil później.

Kohorty ruszyły powoli do przodu, utrzymując między sobą równe odstępki. Za nimi przesuwawała się też galijska jazda, której przypadło niemożliwe do wykonania zadanie osłony skrzydeł. Powietrze zostało wypełnione charakterystycznymi dźwiękami tysięcy maszerujących mężczyzn: grmiącym krokiem marszowym wzmocnionych nitami sandałów, brzękiem kolczug i metalowych części, objających się o tarcze, oraz krzykami oficerów. Romulus zwrócił uwagę na nerwowe kasłania i pomruki modlitwy do ulubionych bogów. Niewielu ludzi miało teraz ochotę na dyskusje z towarzyszami. Uniósł oczy do nieba, szukając znaków. Widział tylko błękit. Zacisnął zęby, pocieszając się myślą, że nie jest sam. Ramię w ramię maszerowało z nim kilka tysięcy towarzyszy. Starał się ignorować strach wyczuwalny w ich pocie.

To był najgorszy moment. Oczekiwanie przed walką.

– Ruszać się – ryknął Atiliusz ze swojego stanowiska w samym centrum trzeciej linii. – Trzymać szyk z innymi kohortami!

Wkrótce mogli już odróżnić pojedynczych ludzi w fali numidyjskiej piechoty biegnącej w ich kierunku. Chudzi, żyłaści mężczyźni o ciemnych włosach i jasnobrażowej skórze. Nosili krótkie tuniki bez rękawów, związane w pasie zwykłym sznurkiem. Podobnie jak ich towarzysze na koniach nie mieli na sobie zbroi, lecz tylko małą, okrągłą tarczę do ochrony. Ich uzbrojenie składało się z lekkich włóczni, nadających się do rzucania, oszczepów i nieco dłuższych noży. Byli boso. Biegli po gorącej ziemi, zbliżając się w mniejszych i większych grupach, niczym sfory psów myśliwskich.

– Nie wyglądają zbyt groźnie, prawda? – zadrwił Sabinusz.

Jego komentarz został przywitany pogardliwymi pomrukami.

Romulus poczuł się odrobinę pewniej. Rzeczywiście trudno było sobie wyobrazić, żeby lekko uzbrojeni harcownicy mogli zaszkodzić muirowi tarcz. Chociaż to jazdę galijską czekało najtrudniejsze zadanie, może to właśnie im, piechocie, przypadnie w udziale przechylenie szali i sięgnięcie po zwycięstwo?

Nieprzyjaciel zbliżył się na jakieś sto kroków. Gdy był wystarczająco blisko, tłum anonimowych postaci zmienił się w morze twarzy. Ust wykrzywionych w grymasach. Z tysięcy gardeł płynęły pod niebo wrzaskliwe okrzyki wojenne.

Romulus oblizwał wargi. Już prawie czas. Chwilę później znów zabrzmiały *bucinae*.

– Do ataku! – wrzasnął Atiliusz. – Gotuj *pila*! Czekać na moją komendę.

Legion XXVIII ruszył do szaleńczego biegu.

Caligae Romulusa darły trawę. Zerknął w lewo i w prawo.

Powitały go obrazy zaciśniętych szczęk, poważnych twarzy i nerwowych, wręcz przerażonych spojrzeń żołnierzy. Jak zawsze jego żołądek skręcił się ze zdenerwowania w supeł. Im szybciej zetrą się z wrogiem, tym lepiej. Przyjrzał się uważnie atakującym. I trochę się uspokoił. Numidyjczycy nie wyglądali bardzo groźnie w porównaniu z ciężką piechotą Rzymian. Sabinusz musiał mieć rację. Jakie szanse mieli

ci harcownicy w konfrontacji z ciężkozbrojną piechotą legionów?

Pół godziny później Romulus zmienił zdanie. Numidyjczycy nie zamierzali atakować bez głowy muru tarcz i wdawać się w brutalną walkę wręcz. Zachowywali się, jakby byli jazdą, tylko że bez koni. Zwinni i szybcy, bo nieobciążeni zbędnym ekwipunkiem, zbliżali się do Rzymian, rzucali włócznie i oszczepy, po czym wycofywali się. Jeśli jakiś oddział ruszał za nimi w pościg, umykali jeszcze dalej. Gdy wyczerpani legionieści zatrzymywali się, aby odpocząć, nieprzyjaciel znów atakował, obsypując ich nie tylko śmiertcionośnymi pociskami, ale i obelgami w jakimś gardłowym języku. Na nic zdały się szaleńcze ataki, żeby doprowadzić do przełamania. Choć od włócznie i oszczepów zginęło niewielu legionistów, dziesiątki odniosło mniej lub bardziej groźne rany. Wszędzie, na całej linii, sytuacja wyglądała tak samo.

Gdzieniegdzie grupy sfrustrowanych żołnierzy Cezara ignorowały rozkazy oficerów i bezskutecznie ścigały wroga, który poczynił sobie tak bezczelnie. Romulus czuł teraz szacunek do Numidyjczyków, którzy zmieniali taktykę, gdy jakiś oddział rzymski wysforował się za daleko. Wtedy rzucali się na takie osamotnione grupy niczym stado ptaków. Bardzo niebezpiecznych ptaków. Grupy ścigające harcowników były otaczane, a potem Rzymian wyrzynano do nogi, żaden bowiem mały oddział nie poradzi sobie, gdy atakujący ma tak znaczną przewagę. A potem, zanim sąsiednie kohorty zdążyły zareagować, wróg wycofywał się pod osłonę własnych linii.

Romulus był bardzo zaniepokojony. Atiliuszowi i jego oficerom udało się utrzymać większość Legionu XXVIII na pozycjach, ale ponawiane ataki Numidyjczyków bardzo negatywnie wpływały na morale jednostki. Bez stałych uspokajających krzyków oficerów i bez wsparcia legionowego orła, unoszonego w powietrze za każdym razem, ci ludzie mogliby w każdej chwili rzucić się do panicznej ucieczki. Romulus widział, że to samo powtarza się na całej długości linii formacji.

Galijskiej jeździe również nie szło najlepiej. Jeźdźcy zostali zepchnięci do tyłu i walczyli o utrzymanie się przynajmniej w pobliżu skrzydeł armii Cezara. Już teraz kohorty na flankach musiały radzić sobie z atakami jeźdźców z oszczepami. Wkrótce nieprzyjaciel ogarnie

całą wydzieloną grupę specjalną i odetnie jej drogę ucieczki. Romulus znów miał przed oczami żywy obraz spod Carrhae. Dobrze wiedział, co może spotkać piechotę, której przyjdzie samotnie walczyć z kawalerią. Nie odezwał się jednak ani słowem. Nie było takiej potrzeby. Oni też słyszeli już historię Skryboniusza Kuriona, byłego trybuna Cezara, który nie dalej jak przed rokiem został wciągnięty w głąb Afryki i pokonany w podobny sposób w bitwie nad rzeką Bagradas. Przecież sami dobrze widzieli, co się dzieje.

Na twarzach wielu żołnierzy pojawiły się pierwsze oznaki paniki.

Romulus sam czuł już pierwsze jej sygnały: nieprzyjemne łaskotanie w brzuchu.

Rozdział XVI

Labienus i Petrejusz



Cezar dobrze widział, że z jego korpusem nie dzieje się najlepiej. Wkrótce między liniami zaczęli biegać posłańcy z rozkazami, żeby nikt, pod karą śmierci, nie ważył się oddalić na więcej niż cztery kroki od frontowej linii kohort. Romulus przyjął tę decyzję z wielkim zadowoleniem. Potem generał sam jeździł od jednej grupy do drugiej, aby porozmawiać z legionistami i zadbać o ich morale. Romulus na własne oczy widział, jak Cezar poradził sobie z pewnym chorążym, który stracił ochotę do walki i rzucił się do ucieczki. Wódz chwycił mężczyznę za ramiona, obrócił go o sto osiemdziesiąt stopni z powrotem w stronę Numidyjczyków, mówiąc głośno tak, żeby go wszyscy słyszeli: „Zobacz! Pomogę ci. Nieprzyjaciel jest tam!”. To spowodowało śmiechy zawstydzonych żołnierzy z oddziału, w którym służył *signifer*. I pozytywnie wpłynęło na inne jednostki.

Legioniści utrzymywali szyk, ale żadne słowa zachęty i wsparcia wypowiedziane przez Cezara nie miały magicznej mocy powstrzymywania regularnie powtarzanych ataków harcowników i wrogiej jazdy. Nim minęła godzina, we wszystkich kohortach wielu żołnierzy odniosło mniej lub bardziej poważne obrażenia. Krzyki rannych nie poprawiały sytuacji, gdyż zwiększały niepokój w szeregach. Trzeba było podjąć jakieś drastyczne kroki, bo inaczej sytuacja mogła wymknąć się spod kontroli. Romulus czuł, że on sam upada na duchu. Przeklinając głośno Numidyjczyków, próbował ignorować czarne myśli.

Co gorsza, wkrótce okazało się, że armią pompejańską dowodził

nie Metellus Scypion, ale Tytus Labienus. Człowiek ten podczas długiej kampanii w Galii był jednym z najbardziej zaufanych legatów Cezara, ale zmienił obozy, gdy Cezar przekroczył Rubikon. Rozwścieczony Cezar wysłał wtedy za nim ludzi z jego rzeczami osobistymi. Labienus brał udział w bitwie pod Farsalos, podobnie jak wielu innych dowódców Pompejusza, ale po klęsce nie prosił o łaskę i nie podporządkował się dyktatorowi, lecz zbiegł do Afryki. Bez wątpienia Labienus był utalentowanym generałem i teraz starał się umiejętnie wykorzystać całą przewagę, jaką dysponowała jego armia, zachęcając osobiście swoich ludzi do ataków i podkopując pewność siebie maltretowanych kohort Cezara.

Jeździł z gołą głową po ziemi niczyjej między dwiema armiami i drażnił legionistów, wytykając im brak doświadczenia.

– Pozdrawiam was, żółtodzioby! Co robicie? Przerażacie mnie! – naigrywał się.

Nikt mu nie odpowiadał.

Labienus znalazł się już bardzo blisko linii wojsk Cezara. Nie przestawał szydzić.

– Czy Cezar przekonał was wszystkich pięknymi słowami, z których sączy się miód? Spójrzcie na siebie! – chodziło mu o rannych i zmęczonych żołnierzy. – W jakież to miejsce zaprowadził was dyktator? Szkoda mi was...

Wyczerpani legioniści patrzyli po sobie niepewnie. Niewielu z nich zwracało uwagę na pogrzipiające słowa centurionów, gdy okazało się, że przyszło im walczyć z jednym z najlepszych dowódców Cezara, umięjącym z pewnością wygrywać bitwy. A teraz jeszcze na dodatek bezkarnie ich obrażał.

Za to w Romulusie kipiał gniew. *Podjedź bliżej, ty draniu...* Zaciskał palce na drzewcu oszczepu. Jednak dowódca oddziałów pompejańskich wciąż znajdował się poza zasięgiem rzutu.

Ośmielony brakiem reakcji Labienus zbliżył się jeszcze kilkanaście kroków. Potem kilka kolejnych.

– Jesteście załośni! Nazywacie się Rzymianami? Małorolni chłopci z okolicznych gospodarstw są lepszymi rekrutami od was!

Zanim Romulus zdążył zareagować, Atiliusz przepchnął się przez

szereg legionistów.

– Żaden ze mnie żółtodziób! – krzyknął. – Jestem weteranem z Legionu X.

Labienus zamilkł na chwilę zaskoczony, ale szybko odzyskał rezon.

– Naprawdę? To gdzie wasze insygnia? Nie widzę tu Legionu X.

Atiliusz ściągnął hełm ozdobiony grzebieniem centuriona i rzucił go na ziemię. Wpatrując się dumnie w Labienusa, tak żeby ten mógł go rozpoznać, jednocześnie wyciągnął rękę do tyłu.

– Dajcie mi *pilum*. Szybko!

Romulus wyskoczył do przodu i złamał szereg, oddając Atiliuszowi jedyny oszczep, jaki mu pozostał.

– Pokażę temu skurwysynowi, jaki ze mnie nowicjusz! – ryknął starszy centurion. – Jeden z najlepszych w armii Cezara!

Wyrzucając oszczep, stęknął głośno. Włożył w ten rzut całą siłę.

Romulus wstrzymał oddech.

Pilum pomknęło z szumem, zmierzając prosto w pierś wierzchowca legata. Ciężko ranny koń upadł na ziemię, kopiać spazmatycznie nogami. Labienus został wyrzucony z siodła, ale nie udało mu się zamortyzować upadku. Gdy przez chwilę leżał na ziemi bez ruchu, zaległa dramatyczna cisza. W końcu jednak dowódca nieprzyjacielskiej armii podniósł się z jękiem.

– Teraz już zapamiętasz, Labienuszu, że zaatakował cię weteran z Legionu X – krzyknął za nim Atiliusz.

Romulus i jego towarzysze zaczęli wiwatować, krzycząc wniebogłosy.

Labienus już się nie odzywał. Trzymał rękę na lewym boku i kuśtykał w stronę swoich oddziałów, słuchając drwin sypiących się na niego ze strony żołnierzy Legionu XXVIII. Zostawił za sobą w kałuży krwi wierzgającego konia.

– Świetny rzut, dowódcu – Romulus odezwał się do Atiliusza. Przypomniał sobie podobną sytuację, gdy udało mu się trafić pewnego zbyt śmiałego partyjskiego łucznika. – Dostał nauczkę.

– Tak czy inaczej, to smutny dzień – odpowiedział cicho Atiliusz. – Służyłem pod Labienusem wiele lat. Jest dobrym wodzem.

– Ale nie jest z Cezarem – powiedział Romulus stanowczo, czując przyływ poczucia lojalności do człowieka, który go ułaskawił. – Musi ponieść konsekwencje.

Atiliusz zerknął na niego podejrzliwie, ale potem na jego pokrytej zmarszczkami twarzy pojawił się lekki uśmiech.

– Racja, chłopcze. Nie jest.

Niestety, wysiłek starszego centuriona, który przede wszystkim miał podnieść na duchu legionistów, nie starczył na długo. Chociaż Legion XXVIII zachowywał spokój, w sąsiednich kohortach nadal wyczuwało się nastrój niepewności. Ataki Numidyjczyków stawały się coraz śmielsze, a szwadrony konnych harcowników co chwila obrzucały Rzymian kolejnymi falami oszczepów. Zdenerwowani, niedoświadczeni żołnierze zbijali się w większe grupy, zmniejszając swoją zdolność do walki, ale i nieświadomie stając się lepszym celem. A nieprzyjaciel kontynuował ataki. Pompejańska armia miała tak wielką przewagę, że mogła pozwolić sobie na ciągłe wysyłanie do boju świeżych oddziałów.

Tę bitwę od bitwy pod Carrhae różniło to, że wrogie oszczepy nie miały tak wielkiej siły przebicia, jak strzały z łuków refleksyjnych Partów. No i nie było tak gorąco, jak na pustyni w Mezopotamii. Jednak nawet tutaj pragnienie i odwodnienie wkrótce zaczęły dawać o sobie znać. Bitwa toczyła się przez cały dzień i większość żołnierzy nie miała już ani kropli wody w bukłakach. Od świtu również niczego nie jedli.

Romulus tym razem nie zawiódł się na wodzu. Cezar rozkazał kohortom ustawienie się w luźniejszym szyku, tak żeby zmienić jednostki, które obroniły się przed numidyjską kawalerią na tyłach, gdy pozostałe kohorty nadal dawały odpór falom harcowników atakujących od czoła. Atiliusz i inni wyżsi oficerowie znowu zaczęli przechadzać się wśród żołnierzy, podbudowując ich morale. I wtedy, po dłuższej chwili, Cezar wydał rozkaz jednoczesnego ataku wszystkich kohort. Legioniści użyli ostatnich pozostających do ich dyspozycji oszczepów. Ku ich zaskoczeniu i radości Numidyjczycy wycofali się, umykając co sił.

Jednocześnie zabrzmiały trąby oznajmiające rozkaz wycofania się na pozycje wyjściowe.

– Pierwszy raz udało nam się zmusić tych skurwieli do odwrotu! – Sabinusz nie mógł pogodzić się z rozkazami.

– Szybko wyczerpią się zapasy naszej energii – wyjaśnił mu Romulus. – A jak staniemy, oni znów nas obkoczą ze wszystkich stron. To jedyna szansa, żeby wycofać się w jako takim porządku.

Bucinae odezwały się ponownie, powtarzając rozkaz wodza, a twarze mężczyzn rozjaśniły się w nadziei ucieczki z tego piekła, do którego trafili na cały dzień. Kohorty zaczęły formować się w kolumnę do wymarszu, kierując się w stronę Ruspiny. Resztki jazdy osłaniały flanki.

Jednak zanim pokonali kilka mil, na południu dostrzeżono nadciągającego nowego wroga. Posiłki dla armii pompejańskiej składały się z jazdy i piechoty. Świeże oddziały natychmiast ruszyły w pościg za zmęczonymi kohortami wydzielonej grupy operacyjnej Cezara. Ich towarzysze z głównej części armii ruszyli za nimi z nową energią.

W związku z nowym zagrożeniem Cezar rozkazał ponowne rozwinięcie szyku. Wkrótce potem jeden z jego posłańców przyniósł Atiliuszowi rozkazy.

– Cezar pragnie, abyś pokierował, centurionie, kontratakami w sile sześciu kohort – wysapał goniec. – Trzech z piątego, trzech z dwudziestego ósmego. Mówi, że na to zasłużyłeś.

Atiliusz dumnie wypiął pierś.

– Słyszeliście chłopcy? Cezar dostrzegł waszą odwagę w obliczu wroga.

Z suchych gardeł legionistów wyrwał się ochryply wiwat.

– Czego oczekuje od nas Cezar? – zapytał jeszcze Atiliusz, który chciał się upewnić, że dobrze rozumie rozkaz.

– Szyk szeroki na trzy kohorty, głęboki na dwie. Macie odrzucić świeże oddziały wroga. Utrzeć im nosa i dać nauczkę, której nie zapomną. I dać nam wystarczająco dużo czasu, aby reszta sił wróciła bezpiecznie do Ruspiny.

Posłaniec zasalutował i szybko oddalił się, żeby przekazać rozkazy oficerom następnej kohorty.

Atiliusz zwrócił się do swoich ludzi.

– Wiem, że jesteście zmęczeni, ale proszę was o ten jeden, ostatni wysiłek. Potem będziemy mogli wrócić do kwater. – Spojrzał na posiłki pompejańczyków, które właśnie pokonywały niskie wzniesienie na

południowym wschodzie. – Naszym zadaniem jest tylko przepędzenie ich poza tę grań. Dacie radę?

– Tak jest – rozległo się kilka słabych zapewnień.

– Nie słyszę! – Atiliusz ryknął.

– Tak jest! – Ludzie unieśli głowy i rozkrzyczeli się na dobre. Z ich głosów bił entuzjazm i zadowolenie z wyróżnienia przez Cezara.

Romulus był wyjątkowo poruszony nową misją. Bez wsparcia jazdy jakikolwiek kontratak był z pewnością ryzykowny. Jeśli coś pójdzie nie tak, będą zdani tylko na siebie. Niemniej zadanie to zlecił im sam Cezar i chociaż ich perspektywy nie rysowały się w zbyt jasnych barwach, mogli w ten sposób pomóc wielu zmęczonym żołnierzom z patrolu. Uznał, że teraz może zrobić coś, czego nie zrobił podczas bitwy pod Carrhae.

Wciąż ścigały go stare demony.

Starszy centurion pozwolił sobie na uśmiech.

– Tak lepiej.

Wyprowadził swoją kohortę z kolumny, a potem poczekał, aż dołączą do nich dwa pozostałe oddziały z Legionu XXVIII. Legion V zamykał kolumnę, dlatego trzy wybrane kohorty już ustawiły się w szyku. Dowódcy naradzili się krótko, a potem Atiliusz wrócił z rozkazami, żeby jednostka Romulusa zajęła miejsce na prawej flance, podczas gdy w centrum i na lewej flance miały znaleźć się dwie kohorty z Legionu V. Trzy pozostałe kohorty uformowały drugi szereg. Ruszyli.

Gdy Atiliusz wrócił, Romulus nie mógł się powstrzymać przed zadaniem pytania.

– Dlaczego zajmujemy miejsce na prawym skrzydle, dowódco? – Ich kohorta znalazła się w miejscu, gdzie zwykle ustawiały się najbardziej doświadczone oddziały armii. Zakładał, że miejsce to powinni zająć raczej żołnierze z Legionu V.

Atiliusz wyglądał na zadowolonego z siebie.

– Reszta dowódców stwierdziła, że zasłużyłem na to tym rzutem. Teraz wszyscy mamy szansę uszczknąć dla siebie trochę chwały.

Romulus w odpowiedzi wyszczerzył zęby. Atiliusz coraz bardziej przypominał mu Bassiusza. Gdy dowodzi taki oficer, walka wydaje się łatwiejsza. Nieustraszony, twardy i gotowy do podjęcia koniecznego ryzyka. Atiliusz był uosobieniem lidera. Romulus musiał przyznać, że

dyktator również zasługuje na ogromny szacunek. Starał się, jak mógł, aby zadbać o morale swoich legionistów, i z dużej odległości wyraźnie widzieli, jak kręci się w ogonie kolumny, zaganiając tych, którzy zostali w tyle. Mimo że miał już ponad pięćdziesiąt lat, zachowywał się jak człowiek o połowę młodszy.

Czego więcej mógłby pragnąć żołnierz?

Romulus był zdeterminowany. Albo uda im się odrzucić pompejańskie hufce, albo tu szczytnie. Jego dowódcy i towarzysze warci byli tego, aby dał z siebie wszystko.

Atiliusz rozejrzał się na boki i podniósł rękę.

– Zwarta formacja. Tarcze wysoko. Miecze w dłoń.

W powietrzu poniósł się charakterystyczny dźwięk wyciąganych z pochew *gladii*. Prawie żaden z legionistów nie miał już oszczepów. Po całym dniu walk toczonych na dużym obszarze raz użyte *pila* w większości albo nie nadawały się do ponownego wykorzystania, albo nie udawało się ich odzyskać. Podczas tego kontrataku prawdopodobnie wreszcie dojdzie do walki w zwarciu. Wreszcie zrobią użytek ze swoich śmiertelnie groźnych mieczy i metalowych umb na tarczach. Odwdzięczą się pięknym za nadobne po całym dniu tortur, jakim poddawali ich pompejańczycy. Sfrustrowani swoją niemocą żołnierze uznali to za miłą perspektywę.

– Biegiem marsz! – ryknął Atiliusz. Ruszył truchtem.

Wkrótce mogli się przekonać, że posiłki wroga składały się głównie z piechoty, chociaż każde skrzydło osłaniały niewielkie oddziały kawalerii. Żołnierze walczący pieszo bardzo nie lubili ścierać się z jazdą, ale od czasu Farsali we wszystkich jednostkach ćwiczone taktykę zastosowaną przez Cezara szesnaście miesięcy wcześniej. Wtedy to właśnie dzięki niej udało się odnieść oszałamiający sukces. Legioniści, mimo iż nie mieli już *pila*, którymi można by dźgać twarze jeźdźców, wiedzieli, że jeśli odważnie uderzą na jazdę, mają jakieś szanse. Jazda nie była niezwyciężona. Taka przynajmniej była teoria.

Legioniści pokonali już ćwierć mili. Pompejańczycy znajdowali się coraz bliżej. Kawaleria trzymała linię, starając się nie oddalać od piechoty, ale jeźdźcy co chwila wydawali z siebie gniewne ryki. Przegapili cały dzień walk i chcieli to sobie teraz odbić. Niewątpliwie

ich przywódcy obiecali im, że po zwycięskiej bitwie będą pławić się w blasku chwały.

– Do ataku! – krzyknął Atiliusz. Nie wiadomo, skąd centurion czerpał energię po tak męczącym dniu, ale wystrzelił do przodu, pędząc przed siebie ile sił w nogach. Tuż za nim znajdował się *signifer*.

Umieszczenie go na czele formacji okazało się sprytnym posunięciem.

Ludzie wreszcie poczuli przyływ adrenaliny. Przez cały dzień żołnierze Legionu XXVIII musieli znosić ciosy i teraz opanował ich bitewny szał, w którym instynkt przejmował kontrolę nad ciałem. Zgodnie z rozkazami nie wydawali z siebie żadnych krzyków, dzięki czemu nie marnowali energii, wydając ją raczej na dotrzymanie kroku Atiliuszowi. W takich momentach elementy pancerza, hełmy i *scuta* stawały się tak ciężkie, jakby odlane były z ołowiu. Chociaż mięśnie odmawiały posłuszeństwa i w głowie pojawiła się myśl o zatrzymaniu się i odpoczynku, insygnium kohorty było dla nich równie ważne, jak srebrny orzeł legionu. W żadnym wypadku nie mogło wpaść w ręce wroga! Jego utrata przyniosłaby hańbę każdemu żołnierzowi, którą zmazać mogłoby tylko jego odzyskanie. Lub śmierć.

Oczywiście pozostałe kohorty robiły wszystko, aby nadążyć za ludźmi Atiliusza. Odpowiadali nawzajem za swoje bezpieczeństwo i nikt nie chciał zostać w tyle za towarzyszami. Cezar ich obserwował!

Nacierający Numidyjczycy zostali zaskoczeni szybkością i zaciekłością rzymskiego kontrataku. Powiedziano im, że po całym dniu walk ich wrogowie są wyczerpani. Niewiele trzeba, aby się załamali i uciekli z pola bitwy. Tymczasem po minięciu grani przywitał ich widok sześciu kohort pędzących w ich kierunku niczym wielkie watahy wściekłych wilków. Piechota przeciwko jeździe? Tylko szaleńcy mogli zdecydować się na takie ryzyko.

Konnica wyraźnie zwolniła, a osłaniana przez nią lekka piechota zafalowała.

Atiliusz od razu spostrzegł wahanie pompejańczyków. To trzeba było wykorzystać.

– Trzymać linię. Tarcze nad głowami! – krzyknął. Choć to wydawało się niemożliwe, przyspieszył jeszcze, unosząc w górę gladius. – Pamiętajcie! Celować w ich twarze!

Romulus wcisnął się w lukę w pierwszej linii pomiędzy Sabinuszem i jakimś legionistą. Ścisnął głównię miecza, aż mu zbieleły kłykcie. Jego towarzysze z równą determinacją cieszyli się na zbliżające się starcie. Żaden z nich nie zwolnił. Numidyjska kawaleria znajdowała się teraz zaledwie trzydzieści kroków od nich. Na tyle blisko, żeby wyraźnie zobaczyć rozdęte nozdrza wierzchowców, wyłowić szczegóły twarzy pojedynczych żołnierzy i rozpoznać malowane wzory na frontach tarcz. Szarża wprost na linię nacierającej kawalerii była dużym wyzwaniem. Romulus zacisnął zęby. Jeżeli im się nie uda, pozostałe kohorty pójną w rozsypkę i niewielu towarzyszom uda się dotrzeć bezpiecznie do Ruspiny. Ilu z nich przeżyje? Losy patrolu zależały teraz od nich.

Oficerowie w oddziałach nieprzyjacielskich nie zareagowali wystarczająco szybko na niezdecydowanie żołnierzy, którzy wyraźnie zwolnili tuż przed tym, jak spadła na nich fala legionistów. Ludzie Atiliusza zaczęli teraz krzyczeć jak opętani, starając się wystraszyć konie. Jeźdźcy, którzy poruszali się szybciej od innych, znaleźli się tuż przed rzymskimi liniami, przewracając na ziemię kilku legionistów, ale większość wyraźnie zwolniła. I straciła rezon. Tarcze wbijały się w piersi wierzchowców, a *gladii* cięły uda jeźdźców. Jak większość przedstawicieli lekkiej jazdy Numidyjczycy nie mieli żadnych zbroi, a osłaniali się jedynie małymi, okrągłymi tarczami. Nie nawykli do walki z ciężką piechotą, która atakuje ich od frontu. Oszczepy, którymi się posługiwali, nie były w stanie przebić twardych rzymskich *scuta*. Za to krótkie, żelazne ostrza mieczy legionistów łatwo wchodziły w mięśnie, brzuchy i piersi, raniąc i niosąc śmierć. Wystarczyło jedno pchnięcie wierzchowca w szyję albo pod żebra, żeby go unieruchomić lub zmusić do ucieczki. Konie stawały na tylnych nogach i zawracały, zalewając wszystkich dookoła fontanną krwi. Zręcznie unikając kopyt, ludzie Cezara penetrowali szczeliny w linii obrony, patroszyli kolejne rumaki lub przecinali ścięgna na nogach. Druga linia kawalerzystów wpadła w panikę na widok wściekłych legionistów, wynurzających się z deszczu fontann posoki z zakrwawionymi *gladii* w rękach i śmiercią wypisaną na twarzach. Instynktownie powstrzymywali swoje konie, a niektórzy próbowali zawrócić i wyrwać się na wolność. Byli przerażeni! Na ten

widok legionistów zdwoili wysiłki, wierząc, że niewiele już brakuje do odniesienia ostatecznego zwycięstwa nad kawalerią.

Trzeba było może ze sto uderzeń serca, aby natarcie wroga na kohortę Legionu XXVIII zostało powstrzymane. Romulus uniósł wzrok nad głowami legionistów. Widział, że insygnia innych kohort znajdują się mniej więcej w jednej linii, co oznaczało, że pozostałe oddziały równie dobrze radziły sobie z wrogiem. A już po piętach deptały im pozostałe trzy kohorty, które również nie zamierzały biernie przyglądać się starciu. Poczł wielką radość. Po dniu pełnym strachu i niepowodzeń odwaga i determinacja wreszcie zostaną nagrodzone. Już teraz wielu jeźdźców odwracało głowy, zerkając do tyłu. Pozostało jedynie utrzymać presję, a Numidyjczycy załamią się i rzucą się do ucieczki.

W takiej sytuacji tylko inteligentny dowódca potrafi zmienić losy starcia. Tuż za ostatnim szeregiem jazdy numidyjskiej pojawił się oficer ubrany na modłę rzymską, dosiadający pięknego białego ogiera. Wyprowadził grupy niepewnych Numidyjczyków sprzed frontu Legionu XXVIII i wykrzykując rozkazy, oddalił się na jakieś trzysta kroków. Tam jazda przegrupowała się i z nową werwą uderzyła na skrzydło kohorty Atiliusza. Konni jeźdźcy nabierali prędkości, po czym zarzucili legionistów oszczepami, by od razu wycofać się na bezpieczną odległość, tak jak to czynili Numidyjczycy przez cały dzień.

Ten atak spowodował duże straty wśród nieprzygotowanych legionistów, którzy używali tarcz do osłaniania się od przodu, a nie z boku. Po chwili wszystko się powtórzyło. Z podobnym skutkiem. Gdy przyszcisk oszczepów spadł na rzymskich żołnierzy, padły dziesiątki mężczyzn. Ludzie z każdą chwilą tracili pewność siebie. Był to doskonały przykład umiejętności dowódcy zmieniania przebiegu bitwy. Romulus obserwował oficera w szkarłatnym płaszczu, dyrygującego atakami. Zaklął szpetnie. Jeśli tak dalej pójdzie, wszystkie ich wysiłki okażą się daremne.

– Znam go! – krzyknął Sabinusz. – To Marek Petrejusz. Jeden z najlepszych generałów Pompejusza.

Romulus przyglądał się, jak Petrejusz galopuje na drugą stronę formacji piechoty. Bez wątpienia chciał nakazać ataki i na drugie skrzydło Rzymian.

– Trzeba go powstrzymać. Inaczej nie mamy szans.
– Co możemy zrobić? To otwarty teren, on ma konia, a my tylko nogi.

Romulus nic nie odpowiedział, ale właśnie wpadł mu do głowy śmiały plan. Popędził do Atiliusza.

– Proszę o zgodę na rozmowę – wykrzyknął regulaminowo.
Starszy centurion rozejrzył się zaskoczony.
– W porządku. Byle szybko.
– Atak na kohortę na prawym skrzydle chwilę temu, dowódcu?
– Tak, widziałem na własne oczy. I co? – Atiliusz skrzywił się. – Teraz ten kutas powtórzy go, wykorzystując resztę jazdy z drugiej flanki.

– Zabiję go, dowódcu. Potrzebuję tylko dwóch ludzi.

Atiliusz mierzył go wzrokiem z zainteresowaniem.

– Jak?
– Przedrzemy się przez linię wroga. Po drodze znajdziemy może kilka nadających się do czegoś oszczepów. Zbliżymy się na tyle, żeby powalić go na ziemię.

– Wywołując panikę wśród jego ludzi – mruknął starszy centurion.
– Jeśli będziemy mieli odrobinę szczęścia, uciekną.

Romulus się uśmiechnął.

– Właśnie tak.

Atiliusz przeniósł wzrok na otwarty teren po prawej. Było tam tylko kilka karłowatych krzewów. Nic, co dawałoby sensowną osłonę. W tę i w tę przemierzały teren fale numidyjskiej jazdy.

– To samobójcza misja, synu.
– Może i tak. Ale jeśli nikt nie powstrzyma tego skurwysyna, szybko nas wybiją.

– To prawda. – Atiliusz zastanawiał się tylko chwilę. – Trzech ludzi mniej czy więcej – to żadna różnica, która uratowałaby naszą skórę. Wykonać zadanie.

Romulus nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Tak jest!

Zasalutował krótko i ruszył z powrotem do Sabinusza. Szybko wtajemniczył ciemnowłosego towarzysza w swój plan.

– Modliłeś się o wstawiennictwo Fortuny? – ten zażartował

sarkastycznie. – Będziemy potrzebować jej pomocy na każdym kroku, aby pozostać przy życiu.

– Jesteś ze mną czy nie? Naszym celem jest osłonięcie kolumny, pamiętasz?

Sabinusz wypluł przekleństwo, a potem skinął głową.

– Bardzo dobrze.

– Słyszałem, o czym rozmawialiście. Chcę iść z wami – usłyszeli głos krępego legionisty w hełmie z brązu, na którym nie było zwykłej włosianej kity. Wyciągnął przed siebie prawą rękę. – Gajusz Paullus.

Romulus wyszczerzył zęby i uścisnął ramię.

– Ruszajmy.

Przepychali się przez falujące szeregi legionistów, żeby dotrzeć na skraj kohorty. Dobrze odcisnął im się w pamięci obraz rannych żołnierzy, krzyczących z bólu, oszczepów wystających z rąk, tułowia i nóg. Ci, którzy zostali trafieni w szyję lub w twarz, leżeli już bez ruchu, zmuszając Romulusa i jego dwóch towarzyszy do robienia wielkich kroków, żeby ich nie nadepnąć. Romulus w duchu prosił ich o przebaczenie. Pomogło. Odrobinę.

Gdy znaleźli się na skraju formacji, wystarczyło jedno spojrzenie, aby ocenić sytuację. Romulus nie znalazł w zasięgu wzroku żadnego *optio* czy centuriona, co oznaczało, że pewnie wszyscy oficerowie już nie żyli. Ataki Numidyjczyków spowodowały powstanie wielkich wyrw w boku kohorty. Niewiele brakowało, a zmęczeni legioniści albo zostaną wybici, albo zaczną salwować się ucieczką. Musieli działać szybko, ale z drugiej strony nie mieli innego wyjścia, jak poczekać, aż Petrejusz pojawi się ponownie na tej flance.

Na razie chowali się tylko za tarczami i starali przetrwać kolejne ataki. Nie mieli jak się bronić. Po prostu z poczuciem hańby kulili się tak, żeby nie trafił ich żaden oszczep. W końcu Romulus dostrzegł charakterystycznego białego ogiera.

– Tam jest... – wymruczał, wyciągając rękę.

– To jakieś trzysta kroków – skomentował niepewnym głosem Sabinus.

– Czeka nas długa droga... – dodał Paullus.

Tymczasem Romulus poczuł dziwny spokój.

– Zostawiamy tarcze. Hełmy też. Wytarł okrwawione ostrze własną tuniką i schował miecz do pochwy. – Zdejmijcie też kolczugi.

Dwaj mężczyźni wpatrywali się w niego, jakby oszalał.

– Tak ubrani rzucamy się w oczy na milę. Co więcej, ten sprzęt jest bardzo ciężki. Bez niego Numidyjczycy może pomyślą, że jesteśmy z nimi. Ot, trójka jeźdźców, którym zabito konie.

Teraz spojrzeli na niego wzrokiem pełnym zrozumienia i zaczęli pozbywać się niepotrzebnego obciążenia. Kilku zdziwionych legionistów przyglądało się, jak jacyś szaleńcy rozbierają się w samym centrum bitwy. Znajdujące się pod kolczugami sięgającymi ud rdzawe kamizelki były przesiąknięte potem.

– Bogowie! Ależ dobrze to zdjąć z siebie... – odezwał się Paullus z uśmiechem.

Gdy jednak w powietrzu zaszumiała kolejna fala oszczepów, uśmiech zniknął z jego twarzy.

Szybko złapali za tarcze i trzymali je uniesione aż do chwili, gdy atak dobiegł końca. Ostrożnie wyjrzeli zza ochrony i pozbierali kilka rozrzuconych wokół ciał poległych lekkich numidyjskich włóczni, które trochę przypominały rzymskie oszczepy.

Romulus odczekał chwilę, aż jeźdźcy wroga zawrócą.

– Teraz! Za nimi!

Trójka towarzyszy wystrzeliła do przodu niczym greccy sprinterzy na igrzyskach. Wycofujący się kawalerzyści nie oglądali się za plecy, a ich wierzchowce zasłaniały ich przed Numidyjczykami, którzy czekali na swoją kolej do ataku. Przynajmniej na to liczył Romulus. Moment prawdy nadejdzie wówczas, gdy dwie linie znajdą się w tym samym miejscu i w ich stronę ruszy kolejna grupa atakujących.

Pokonali połowę odległości, gdy Romulus zobaczył wyłaniające się zza linii odchodzących koni głowy wierzchowców nowej fali jeźdźców.

– Na ziemię! Połóżcie się na brzuchach! – wykrzyknął.

Sabinusz i Paullus od razu zrozumieli, co ma na myśli.

Wszyscy trzej padli natychmiast na twardą ziemię. Wtulili twarze w pył i piasek. Udawali martwych. Wkrótce wyraźnie poczuli drżenie ziemi pod końskimi kopytami. Serce Romulusa waliło tak, jakby chciało

wyrwać się z jego piersi. Musiał walczyć ze sobą, żeby nie unieść głowy i zobaczyć, co się dzieje.

Chwilę później dziesiątki Numidyjczyków minęło ich w pełnym galopie. Pokrzykiwali na siebie w swoim języku, nie zwracając uwagi na niepozornie wyglądające ciała. Ot, zwykłe ofiary niełaski Fortuny.

Sabinusz próbował się podnieść, ale Romulus złapał go za ramię.

– Leż. Zobaczą nas. Czekamy, aż wrócą ci, co nas minęli, a potem powtórzemy manewr.

Na twarzy towarzysza zobaczył strach wymieszany z determinacją.

– A co potem?

– Wmieszamy się – odpowiedział Romulus z taką ufnością, na jaką go było stać. – I ruszymy najkrótszą drogą do Petrejusza.

– Będziemy mieli akurat dość czasu na modlitwę – mruknął Paullus.

– A jeśli nam się uda? – zapytał Sabinus.

– Popędzimy do naszych – odrzekł Romulus. Zastanawiał się, jakie mają szanse wyjść z tego cało. Marne. A może żadne. Dotarła do niego nieuchronność śmierci. Zobowiązali się jednak wykonać zadanie. Liczą na nich towarzysze.

Ostatniemu akordowi numidyjskiego ataku towarzyszył chór krzyków rannych legionistów. Wkrótce obok nich przegalopowali jeźdźcy z wycofującej się grupy lekkiej jazdy. Romulus poczekał, aż minie ich ostatni z nich.

– Teraz! Biegnijcie tak, jakby zależało od tego wasze życie.

Zebrali się błyskawicznie i ruszyli pędem za wycofującymi się numidyjskimi jeźdźcami. Tym razem znajdowali się bliżej wrogich linii, ale po raz kolejny żaden z oczekujących na swoją kolej nieprzyjaciół nie zwrócił na nich uwagi. Romulus liczył kroki. Trzydzieści. Już czterdzieści. Pięćdziesiąt. Sześćdziesiąt. Nikt nie krzyczy. Nikt nie rzuca w ich stronę oszczepów. Rozglądał się na wszystkie strony, gorączkowo szukając szkarłatnego płaszcza Petrejusza.

– Tam! – pierwszy dostrzegł go Paullus, wskazując w prawo.

Romulus wpatrywał się w masę koni i jeźdźców. Nie wiedział, co pokazuje jego towarzysz. Po chwili jednak i on dostrzegł plamę czerwieni jakieś sto kroków dalej. Petrejusza otaczała grupa oficerów i

wyraźnie widział, że – podobnie jak Cezar po przeciwnej stronie – żywo gestykuje i wskazuje różne kierunki. Pilnowało go jednak kilku żołnierzy ze straży przybocznej. Na koniach, z włóczniami w pogotowiu.

Mitro, pomóż mi teraz. Robię to dla moich towarzyszy. Spojrzał na dwóch kompanów.

– Gotowi?

Pokiwali ponuro głowami.

– Jeśli ktoś się do was zwróci, nie odzywajcie się. Po prostu idziemy dalej przed siebie.

Skierowali się teraz szybkim truchtem prosto w stronę Petrejusza. Po dwudziestu krokach znaleźli się wśród wrogów. Romulus pomyślał sobie, że oto właśnie znajdują się w centrum formacji, która mogła być doskonałym przykładem chaosu, jakże różniącym się od dyscypliny, jaka panowała w rzymskiej kohorcie. Wypoczęci jeźdźcy torowali sobie drogę przez tabuny koni, śmiejąc się i dopingując towarzyszy, którzy właśnie wracali z pierwszej linii. Niektórzy schodzili z siodeł, pochylali się, żeby sprawdzić kopyta wierzchowców albo odsapnąć chwilę i opróżnić pęcherz. Wszyscy krzyczeli, wiwatowali i dzielili się bukłakami z wodą, które krążyły z rąk do rąk. Legioniści poruszali się wśród nich niezauważenie. Nie przyciągnęli na dłużej niczyjego spojrzenia.

– Dobrze. Teraz spokojnie maszerujemy – Romulus syknął. – Zachowujcie się tak, jakbyśmy byli jednymi z nich.

Zwolnili. Ich tuniki pokrywały plamy z potu i krwi. Trzej mocno opaleni legioniści nie różnili się specjalnie od Numidyjczyków i nikt nie uznałby, że wyglądają podejrzanie. Jednak Romulus ze strachem uświadomił sobie, że wciąż mają przypięte do pasa *gladii*. Te miecze ich zdradzą! Wahał się tylko krótką chwilę. *Ruszaj! Nie patrzą. Nikt nie zauważył.*

Miał rację. Żaden z jeźdźców nie próbował ich zatrzymać, gdy przemieszczali się przez masę ludzi i koni. Jeden Numidyjczyk skinął nawet Romulusowi, który burknął tylko coś w odpowiedzi i ruszył dalej, nie czekając, aż wojownik coś powie. Wkrótce znaleźli się w bezpośredniej bliskości grupy oficerów i strażników otaczających Petrejusza. Z nimi już nie pójdzie im tak łatwo.

– Nigdy nie uda nam się do niego zbliżyć... – odezwał się przez na wpół przymknięte usta. – Ci dranie obok niego są czujni. Czy któryś z was radzi sobie z rzutami na większe dystanse?

Sabinusz pokręcił głową.

– Nie ja – Paullus odpowiedział ze smutkiem.

Romulus wciągnął nerwowo powietrze.

– To znaczy, że wszystko w twoich rękach – odezwał się Paullus. – Nam może uda się wyeliminować kilku jego strażników. Będziemy cię osłaniać.

Romulus policzył lekkie włócznie, którymi można się było posługiwać jak oszczepami. On i Paullus mieli po dwie, a Sabinusz dźwigał trzy sztuki. Razem siedem. Mało, ale będzie musiało wystarczyć. Wtedy przyjrzał się bliżej strażnikom i odwaga zaczęła go opuszczać.

– Chodźcie... – wyszeptał cicho, przemierzając ostatni odcinek, na którym nie było już zwykłych wojowników. Lęk pętał mu nogi. Jednak Sabinusz i Paullus znajdowali się zaledwie krok za nim. Zajęli pozycje po jego obu stronach z włóczniami gotowymi do użycia.

Byli tak blisko Petrejusza, że słyszeli już dobrze, co mówi. Romulus odwiódł rękę do tyłu, celując w pierś przeciwnika. Przy tak niewielkiej odległości żelźce powinno przebić pozłacany napierśnik, który miał na sobie generał.

Znajdujący się może z dziesięć kroków od nich strażnik spojrzał na trójkę towarzyszy. Najpierw bez zbytniego zainteresowania, ale po chwili jednak zmarszczył brwi. Coś mu nie pasowało. Odwrócił się, spojrzał jeszcze raz i już miał otworzyć usta, żeby zaalarmować pozostałych. Zanim wydał głos, włócznia rzucona przez Paullusa wbiła się w jego klatkę piersiową. Numidyjski jeździec zwałił się z konia bez słowa. Inny strażnik spojrzał na niego zaskoczony. Wystarczyła chwila, a uświadomił sobie, co wystaje z piersi towarzysza i skąd nadleciał pocisk. Od strony trójki mężczyzn w obszarpanych tunikach tuż przed nim! Krzyknął głośno i zamierzył się, żeby zrobić użytek z własnej włóczni.

– Teraz! – zawołał Sabinusz.

Sytuacja zaczęła się zmieniać w bardzo szybkim tempie.

Romulus rzucił pierwszą włócznią akurat wtedy, gdy jeden z oficerów Petrejusza nieświadomie osłonił go własnym ciałem, przesuając się swoim koniem krok do przodu. Pocisk przeciął powietrze i wbił się w brzuch mężczyzny z obrzydliwym młaśnięciem. Oficer wydał z siebie głośny krzyk i zsunął się bokiem. Petrejusz powiódł wzrokiem wokół i zdążył się zorientować w sytuacji. Jego twarz wykrzywiła się ze strachu i wściekłości, ale zamiast ruszyć do przodu, złapał za lejce i zaczął zawracać konia. Romulus zaklął. Pompejański generał dobrze wiedział, że jego życie było warte o wiele więcej niż honor walki z trzema podstępными wrogami.

Gdy przygotowywał się do rzucenia drugiej włóczni, Paullus nagle jęknął zaskoczony, a potem się rozkaszał. Romulus odwrócił głowę i z przerażeniem stwierdził, że z boku krępego legionisty wystaje drzewce oszczepu. Ostrze z łatwością przeszło nieosłoniętą kolczugą klatkę żeber i przebiło płuco. Dla Paullusa nie było już ratunku. Jakby na potwierdzenie tego Romulus zobaczył, że z ust legionisty wycieka strużka krwi z krwawymi bąbelkami.

Śmiertelnie ranny Paullus zdążył jeszcze wskazać Petrejusza. Potem upadł i znieruchomiał.

Romulus zawirował. Petrejusz oddalał się z towarzyszącymi mu dwoma strażnikami. Teraz musiał trafić w ruchomy cel, a na dodatek pomiędzy nim a Romulusem kręciło młynki na koniach kilku innych mężczyzn. Musiał jednak spróbować, bo inaczej cała misja skończy się absolutną porażką. Śmierć Paullusa poszłaby na marne. Romulus wciągnął powietrze i wyrzucił włócznię, która popłynęła łagodnym łukiem nad oficerami i ochraniającymi Petrejusza żołnierzami. Szybka jak strzała osiągnęła wierzchołek łuku, po czym skierowała się w dół, ku ziemi, trafiając Petrejusza w lewe ramię. Impet ciosu rzucił go w bok w siodle, ale generał nie spadł na ziemię. Natychmiast zbliżył się do niego jeden z jego ludzi, złapał go za ramię i pomógł utrzymać się w siodle.

Romulus pograżył się w rozpacz. Zawiódł. Petrejusz nie zginie od takiej rany.

Usłyszał syk powietrza rozcinanego mieczem numidyjskiego oficera.

– Rzymska szumowina!

Zrobił unik. Mało brakowało, a straciłby głowę. Cofnął się o krok i wyciągnął swój miecz z pochwy. Sparował kolejny cios. I następny. Jednak jego przeciwnik dobrze wykorzystywał przewagę wysokości. Siedział na koniu, przez co Romulusowi niezwykle trudno było się bronić. Gdy jeździec uniósł rękę do następnego ciosu, Romulus uznał, że musi zastosować inną taktykę. Skoczył na drugą stronę, okręcając się tak, żeby trafić oficera w udo. Usłyszał stłumiony krzyk, a jeździec zwałił się na ziemię.

Rozejrzał się. Wokoło widział tylko wykrzywione wściekłością twarze wrogów.

Gdzie jest Sabinusz?

Rozdział XVII

Powrót do domu



Tarkwiniusz zatrzymał się na rozstaju dróg. Jeszcze przed świtem podświadomie czuł, że znajduje się w bliskiej jego sercu północnej części Italii, którą tak dobrze znał. Jednak dopiero teraz czuł się jak w domu. Dobrze zapamiętał to miejsce. To właśnie tu dwadzieścia cztery lata wcześniej spoglądał po raz ostatni na gospodarstwo, które długo było dla niego całym światem. To było dziwne uczucie. Minął szmat czasu. Zwiedził wiele odległych, dzikich krain i tyle się zmieniło od tamtej pory! Poczuł się stary i zmęczony.

Nie trwało to jednak długo. Za chwilę górę wzięło niezwykle wrażenie szczęścia. Spędził w tych okolicach wiele miłych chwil. Niecałe dziesięć mil od miejsca, w którym się znajdował, jego rodzice mieli kiedyś własne gospodarstwo. Wysoko, na górskich szczytach pokrytych teraz chmurami, Olenus przekazywał mu swoją wiedzę na temat haruspicii. Tam też znajdowały się ruiny Falerii, starożytnego miasta Etrusków. Tarkwiniusz zanurzył się w świat żywych obrazów ze wspomnień i nagle zapragnął udać się na szczyt góry, która dominowała nad całą okolicą. Być może w świętej jaskini, gdzie zakończył swoje szkolenie, bogowie wreszcie ujawnią mu przyszłość. Fabiola wydawała się bezpieczna z Antoniuszem i na pewno nie lękała się kapłanki Orkusa. Nie znalazł śladu Romulusa. Ponieważ w jego wizjach wciąż powtarzał się obraz ciężkich, burzowych chmur wiszących nad stolicą, haruspik postanowił działać tak, jak nakazywała mu intuicja.

Po trwającej tydzień podróży na północ właśnie dotarł do miejsca,

w którym spędził całe dzieciństwo.

Po jednej stronie srebrzyły się wody Jeziora Wadymońskiego, po drugiej ciągnął się niski murek gospodarstwa. Pomiędzy drzewkami oliwnymi Tarkwiniusz dostrzegł zarys głównych zabudowań dużej wili. Za nimi znajdowały się czworaki przeznaczone dla niewolników i budynki o nieznacznie lepszych standardach, w których mieszkali wynajęci robotnicy. Mimo że już dawno temu Tarkwiniusz pogodził się z nieuchronnością mijającego czasu, wyobraził sobie, że jego ojciec i matka wciąż tam mieszkają. Taka wizja była przyjemna, ale haruspik wiedział, że to czysta fantazja. Jego ojciec tyle czasu spędzał na picciu, że Tarkwiniusz wątpił, czy przeżył dłużej niż rok po jego zniknięciu z latyfundium. Matka, Fulwia, całe życie ciężko pracowała i już wtedy od dłuższego czasu niedomagała. Prawie na pewno rodzice leżeli teraz gdzieś w nieoznakowanym grobie na skalistej ziemi niedaleko zabudowań gospodarstwa. Jako że wywodzili się z Etrusków pełnej krwi, pewnie woleliby zostać pochowani w grobowcach w pobliżu ruin Falerii, ale Tarkwiniusz wątpił, czy ktoś był gotów spełnić ich pragnienie. Poza tym mało kto zapuszczał się teraz w góry, żeby nie ryzykować sprowokowania złych duchów, które podobno objęły je w posiadanie.

Haruspik postanowił zebrać kości rodziców i przenieść je na poświęconą ziemię Etrusków. Zrobi to, jeśli tylko znajdzie ich groby. Aby to uczynić, będzie musiał odwiedzić gospodarstwo i zasięgnąć języka. Tarkwiniusz wiedział, że Rufus Celiusz nie żyje – pamiętał dokładnie ten moment, gdy jego nóż zagłębił się w pierś nobila – ale gdy już ruszył w drogę, kierując się w stronę gospodarstwa, czuł się tak, jakby nic się nie zmieniło. Gdy był o wiele młodszy, bał się tego brutalnego rudzielca. Okazało się, że nie bezpodstawnie. A jednak czasami źli ludzie ponoszą sprawiedliwą karę. Chociaż Celiusz przyłożył rękę do śmierci Olenusa, pieniądze, które dzięki temu zdobył, nie pozwoliły mu uratować ziemi i gospodarstwa. Ani nie ocaliły mu życia. Zwykle w tym momencie Tarkwiniusz czuł się winny tego, co stało się z Romulusem, który został oskarżony o zamordowanie nobila. Po chwili jednak pojawiło się też uczucie pewnej satysfakcji. Dzięki temu przecież chłopak poznał Brennusa, który stał się jego wielkim przyjacielem.

Haruspik pocieszał się, że nawet jeśli uzna te emocje za egoistyczne, jego wizje w tamtym czasie były bardzo dokładne, co oznaczało, że to sami bogowie wybrali dla nich te ścieżki. Właśnie dlatego, a wbrew temu, co mówił Romulus, zabicie Celiusza było... po prostu dobre.

A mimo to Tarkwiniusz niezmiennie wspominał z bólem serca chwilę, gdy Romulus poznał prawdę.

Jak twierdzili spotkani po drodze rolnicy i gruby właściciel zajazdu leżącego pięć mil od gospodarstwa, nieruchomość Celiusza znajdowała się obecnie w rękach weterana legionów, starego centuriona, który służył w Galii pod Cezarem.

– Całkiem miły typ... – opisywał go rumiany karczmarz, pochylony nad pucharkiem z winem, za które zapłacił Tarkwiniusz. – Lubi powspominać czasy, gdy służył w armii. Tylko na tym mu zależy. Jeśli jesteś gotów go wysłuchać, pewnie zaproponuje ci posiłek i nocleg.

Tarkwiniusz aż zadrżał na myśl o tym, że będzie mógł cieszyć się luksusem w dawnym domu Celiusza, gdy znienawidzony wcześniejszy właściciel gnił w Hadesie.

Fabiola, leżąca pod cienkim płótnem pościeli, drgnęła poirytowana. Kilka kieliszków wina i spora dawka kropli walerianowych nie pomogły w ukojeniu nerwów. Okna szczelnie otułały ciężkie zasłony. Wygasła wszystkie lampy oliwne. A sen wciąż nie przychodził. Dlaczego nie mogła zasnąć? To proste. Od kilku tygodni Antoniusz zaczął odwiedzać ją w Lupanarze, kiedy mu się tylko podobało. Nie dbał już o zachowanie dyskrecji. Oczywiście od czasu śmierci Docilosy Fabiola nie czerpała już z tych zbliżeń żadnej przyjemności, ale była tak bardzo przerażona potencjalnymi konsekwencjami buntu, że godziła się na wszystko. Gdy Antoniusz znajdował się w pobliżu, w powietrzu wciąż czaiła się groźba. Scewola. Jednak wcale nie to było najtrudniejsze do zniesienia. Chociaż jej niewolnicy mieli absolutny zakaz rozmawiania z kimkolwiek o tym, co dzieje się w Lupanarze, plotki o jej romansie z aroganckim *magister equitum* stały się w mieście tajemnicą poliszynela. Brutus musiał już je słyszeć. *Dlaczego w ogóle nie próbował ze mną o tym porozmawiać?* Niepokój Fabioli rósł z dnia na dzień. O niczym innym nie potrafiła już myśleć. To napięcie było nie do zniesienia.

Cieszyła się, że nieczęsto widywała się teraz z Brutusem. Ona

spędzała mnóstwo czasu w Lupanarze, a on stale przebywał w budynku senatu. Nie było im dane wspólnie dzielić wolnych chwil. Jeśli już Brutus był przy niej, nie zdradzał się z emocjami. Jego zachowanie zmieniło się niepostrzeżenie, choć Fabiola wyraźnie czuła, że stawał się coraz bardziej zdystansowany. Od jakiegoś czasu nawet ze sobą nie sypiali. Jeśli próbowała coś z tym zrobić, wymawiał się wyczerpaniem. To sprawiało, że Fabiola stała się jeszcze bardziej nerwowa. Brutus nie należał do tych, którzy lubili bawić się w jakieś gierki, ale miała wrażenie, że powstrzymuje się celowo. Dlaczego miałyby zachowywać się tak dziwnie? Mijały dni, a przerażona Fabiola wypatrywała znaków mogących świadczyć o tym, że jej kochanek o wszystkim wie. Paraliżowała ją myśl o tym, że sama miałyby rozpocząć rozmowę na ten temat. Kładła się spać pierwsza i udawała, że śpi, gdy Brutus do niej dołączał. W tych rzadkich przypadkach, gdy Brutus wracał do domu i kładł się wcześniej, Fabiola czekała z północnym spać do czasu, gdy usłyszała jego chrapanie.

Dziś w nocy położyła się sama. Brutusa nie było cały dzień i nic nie świadczyło o tym, żeby miał w ogóle wrócić. Próbowała zasnąć, ale w głowie wirowały jej przygnębiające myśli o Docilosie. Liczyła na sen, który da wytchnienie. Na próżno. Pomyślała gorzko, że bogowie odmawiają jej nawet nocnego odpoczynku. Nie działały żadne sztuczki. Zwykle wystarczało, że leżała nieruchomo i oddychała głęboko, starając się oczyścić umysł ze wszelkich myśli. Tymczasem mijały godziny, a sen nie przychodził.

Wkrótce usłyszała charakterystyczny głos zatrzaskiwanej tylnej bramy. Nie ucieszył jej. O tej porze mógł oznaczać tylko jedno. Wrócił Brutus. Fabiola szybko przewróciła się na bok i wbiła wzrok w ścianę, spowalniając oddech tak, żeby wyglądało na to, iż jest pogrążona w głębokim śnie. Minęło trochę czasu, zanim Brutus pojawił się w sypialni. Najpierw założyła, że musiał przynieść pracę do domu i zamierzał poświęcić jej jakiś czas. Często zdarzało się, że spędzał kilka godzin, ślęcząc nad dokumentami w swoim biurze. *Dobrze... Będzie zbyt zmęczony...*

Już po dłuższej chwili usłyszała drapanie przy zamku drzwi. I wtedy wiedziała, że znów się pomyliła. Najpierw rozległo się głośne

przekleństwo, a potem Brutus beknął, co potwierdziło inne przypuszczenie – że spędził ostatnie godziny na picciu. Było to niezwykle, bo raczej rzadko sięgał po alkohol. Fabiola poczuła ogarniającą ją panikę. Oblał ją zimny pot. Ledwo zdążyła zetrzeć kropelki z czoła i przyjąć nieruchomą pozycję, gdy Brutus wreszcie uporał się z zamkiem i wszedł do komnaty. *Jowiszu i Mitro w niebiosach!* – Fabiola modliła się w duchu. – *Sprawcie, aby po prostu położył się i natychmiast zasnął. Proszę.*

Nie miała takiego szczęścia. Przez dłuższy czas nic się nie działo. Fabiola słyszała tylko ciężkie dyszenie Brutusa, a później ciche mamrotanie, jakby mówił coś do siebie. Potem jednak Brutus obszedł łóżko i stanął bez ruchu. Pewnie spoglądał na nią, zastanawiając się, czy śpi. Zaciskała powieki. Po kilku chwilach wrócił na swoją stronę. Usiadł na łóżku z jękiem. Nie próbował zdjąć *caligae* ani ubrania. Siedział tak przez dłuższą chwilę, która wydawała się wiecznością. Fabiola nie odważyła się poruszyć. Chciała być martwa dla świata. Musiało minąć z ćwierć godziny. *Zasnął?*

– Fabiola?

Jakimś cudem udało się jej nie drgnąć na dźwięk jego słów. *Co on wyczynia!?* *Siedzi i patrzy na mnie?*

– Fabiola? – tym razem odezwał się głośniejsze.

Jowiszu, żeby chciał seksu. Błagam.

Brutus pochylił się i chwycił ją za ramię.

– Obudź się!

– C... coo? – udawała, że wyrwał ją z głębokiego snu. – Brutus?

Przeturlała się po łóżku i spojrzała na niego sennym, zalotnym spojrzeniem kotki, który tak lubił. Nie odwzajemnił uśmiechu. Fabiola zamarła. Nie poddawała się jednak.

– Chodź tu do mnie... – wyszeptała, wyciągając obie ręce.

Brutus odsunął się.

– Dlaczego to zrobiłaś?

Możliwe, że chodzi mu o coś innego. Nie zdradź się.

– Co takiego, kochanie? – zapytała, wkładając w to pytanie cały swój aktorski kunszt.

Nic z tego. Brutus wykrzywił się z wściekłości.

– Nie udawaj niewiniątka!

Zawstydziała się i spuściła głowę, bojąc się odezwać.

– Mógłbym żyć z niewierną kobietą – wyrzucił z siebie. – Jesteś tylko człowiekiem, a ja nie poświęcałem ci ostatnio za dużo czasu. Ale zdradzać mnie z tą pieprzoną kreaturą? Nie mogę udawać, że wszystko jest w porządku. Przez Antoniusza. Wiesz o tym.

Chociaż oczy Fabioli wypełniały łzy, uniosła wzrok.

– Przykro mi – wyszeptała.

– Więc to prawda?

Skinęła głową, czując, że świat rozpada się na kawałki.

– Tylko że ja... nie chciałam cię zranić.

– Naprawdę? Wyobraź sobie, jak się czułem, gdy Antoniusz chwalił się swoimi wyczynami w łóżku z tobą w obecności innych mężczyzn! – rysy jego zaczerwienionej od wina twarzy zmieniły się pod wpływem wstydu i bólu. – Ignorowałem to, co mówiła ulica, uznając te pogłoski za przejaw czystej złośliwości. Aż do teraz. Bo nie mogę nie zareagować, gdy *magister equitum* publicznie dzieli się szczegółami waszego spółkowania.

Zaczęła szlochać.

– Tak mi przykro, Brutusie. Proszę, wybacz mi.

Rzucił jej tylko pogardliwe spojrzenie.

– Żebyś mogła zrobić to znowu, gdy tylko się odwrócę?

– Oczywiście, że nie – zaprotestowała. – Nie zrobiłabym tego.

– Kurwa zawsze zostanie kurwą.

Fabiola spłoszowała i zwiesiła głowę. W duszy przeklinała swoje lekkomyślne zachowanie. Wszystkie jej plany na przyszłość właśnie legły w gruzach. Bez wsparcia Brutusa była nikim. Gdyby chciał, mógłby łatwo odebrać jej Lupanar i odzyskać to, co zostało z jego pieniędzy.

Brutus wyczuł, o czym myśli. Spoglądał na nią z pogardą.

– Możesz zachować ten cholerny burdel. Gotówkę też. Nie chcę niczego.

Fabiola spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Spakuję się. Zniknę o świcie.

– Niech tak będzie. I nie wracaj. Nie chcę cię widzieć.

Brutus dźwignął się chwiejnie i wyszedł z komnaty. Nie obejrzał się.

Zrozpaczona Fabiola opadła na łóżko.

Co ja najlepszego zrobiłam?

Na szczęście informacje na temat Cecyliusza, nowego właściciela latyfundium, okazały się prawdziwe. Tarkwiniusz udawał kupca, który urodził się w tej okolicy. Powitany został w ciepłej kuchni willi przez przyjaźnie nastawionego majordomusa, który również okazał się weteranem legionów. Pochylony nad talerzem z jedzeniem i z kubkiem *acetum* w dłoni, haruspik potwierdził swoje przypuszczenia, że zarówno jego ojciec, jak i matka nie żyją. Okazało się, że Sergiusz umarł, zanim jeszcze Cecyliusz kupił majątek. Fulwia pożegnała się z życiem dwa lata później.

– Mówisz, że to twoi krewni?

Tarkwiniusz kiwnął głową, próbując zachować się obojętnie.

– Tak. Ciotka i wuj.

Opróżniając swój kubek, majordomus otarł usta wierzchem dłoni.

– Fulwia już później nie radziła sobie za dobrze z pracą. Biedaczka.

Niektórzy wyrzucają takie kobiety z gospodarstwa, bo nie są im już do niczego potrzebne, ale Cecyliusz zdecydował inaczej. Pracowała tu przecież wystarczająco długo. Staruszka i tak za wiele nie jadła.

– Przekaż mu moje wyrazy szacunku – powiedział Tarkwiniusz szczerze wzruszony. – Chciałbym osobiście podziękować, ale...

– Powinien wrócić, zanim zapadnie zmierzch. Będziesz mógł zrobić to przy kolacji.

– Doskonale! – Tarkwiniusz się uśmiechnął. – Czy ktoś wie, gdzie pochowani są moi krewni? – zapytał jakby od niechcena. – Powinienem chyba odwiedzić ich groby.

Majordomus myślał przez chwilę.

– *Vilicus* powinien wiedzieć. Pracuje tu od dobrych trzydziestu lat.

– Tarkwiniusz z trudem ukrył zaskoczenie. – Nazywa się Dekster. Też kiedyś służył w armii. Odniósł ciężkie rany i mówili, że została z niego połowa człowieka, ale nie ma problemów z utrzymaniem dyscypliny wśród niewolników. Znajdziesz go na podwórzu albo gdzieś na polu.

Haruspik wymruczał podziękowania i udał się na poszukiwania

Dekstera. To właśnie *vilicus* ostrzegł go, że Celiusz ma jakieś nieczne plany wobec Olenusa. Dostrzegł go kuśtykającego na skraju dużego pola. Wykrzykiwał polecenia mocnym głosem, zarządzając pracą niewolników, którzy wyrywali chwasty z wysokiej ozimej pszenicy. Dekster wciąż robił wrażenie niezniszczalnego. Wprawdzie obrażenia, które odniósł podczas jakiejś z wielu bitew toczonych na chwałę Rzymu, ograniczyły jego zdolność poruszania się, jednak nadal trzymał się prosto, a jego oczy nie pokryły się starczą mgłą.

Tarkwiniusz był przekonany, że *vilicus* obserwował go od chwili, gdy tylko pojawił się w zasięgu wzroku. Nie zmartwił się tym. Jego jedynym wykroczeniem było złamanie warunków umowy o pracę. Nie było o co kruszyć kopii pół życia później.

– Witaj – odezwał się pierwszy. – Majordomus powiedział, że cię tu znajdę.

– Jesteś jego znajomym? – Dekster burknął poirytowany.

– Nie. Wychowałem się w tej okolicy.

Vilicus patrzył na niego, marszcząc brwi.

Tarkwiniusz czekał cierpliwie, zastanawiając się, czy mężczyzna go rozpozna.

– Nie przypominam sobie... – przyznał. – A przecież wygląda na to, że jesteś w tym samym wieku co ja.

– Jestem młodszy – sprzeciwił się haruspik. Jego siwiejące włosy i blizny sprawiały, że ludzie zawsze dawali mu nieco więcej lat, niż miał naprawdę. – Nazywam się Tarkwiniusz.

Wreszcie na twarzy Dekstera pojawił się błysk olśnienia.

– Na Marsa... – wyszeptał. – Nigdy nie myślałem, że cię jeszcze zobaczę. Jesteś mi winien trochę świeżego mięsa, prawda?

Tarkwiniusz musiał się uśmiechnąć.

– Masz dobrą pamięć.

– Niektóre organy ciągle nieźle pracują – odpowiedział *vilicus* z grymasem na twarzy. Spojrzał w stronę niewolników, sprawdzając, czy nie przerwali pracy. – Dlaczego uciekłeś i zostawiłeś starca samego, mimo że cię ostrzegłem?

Tarkwiniusz westchnął ciężko.

– Uparł się. Za nic nie dał się przekonać.

Dekster nie wyglądał na zdziwionego.

– Nigdy nie posądziłbym cię, że zachowasz się jak tchórz. – Po chwili zmrużył powieki, nadając swojej twarzy wyraz przebiegłości. – Co zrobiłeś z jego rzeczami?

Tarkwiniusz wcześniej przygotował sobie odpowiedź na to pytanie, które jak przypuszczał, musiało paść. Udało mu się nie zdradzić żadnych emocji. Jako wierny sługa Celiusza *vilicus* często był wtajemniczany w plany właściciela majątku. Podstawowym celem ataku na Olenusa była kradzież miecza Tarkwina, ostatniego etruskiego króla Rzymu, oraz wykonanej z brązu wątroby, która od wieków służyła haruspikom, uczącym się dzięki niej swojego fachu.

– Czy Krassus był niezadowolony? – Tarkwiniusz odpowiedział pytaniem na pytanie. – Teraz widzę, że pewnie poradziłby sobie lepiej, gdyby zdobył to, po co tu przyszedł.

– Mam gdzieś, co widzisz... – warknął Dekster. – Co się z nimi stało?

– Gdy dotarłem na górę, już niczego nie było – powiedział z udawanym żalem Tarkwiniusz. – Olenus nie zdradził mi, gdzie schował swoje rzeczy.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Przez chwilę żaden z nich nie spuszczał wzroku.

Pierwszy poddał się *vilicus*. Nie czuł się pewnie, spoglądając w ciemne oczy Tarkwiniusza, które przypominały studnie bez dna.

– Teraz to już i tak nie ma znaczenia – rzekł niepewnie. – Celiusz i Krassus dawno odeszli z tego świata.

– To prawda. Trafili tam, dokąd mieli trafić. Zasłużyli sobie.

Znów patrzyli sobie długo w oczy w milczeniu.

– Co cię sprowadza na stare śmieci? – Dekster zmienił temat.

– Chciałbym zobaczyć groby moich rodziców. Majordomus radził mi zapytać ciebie.

Dekster zakaszłał niezręcznie.

– Miejsca pochówku pracowników oznaczamy tylko drewnianymi tabliczkami. Tyle lat minęło. Pewnie niewiele z nich zostało.

– Tak czy inaczej powinieneś wiedzieć, gdzie ich pochowano – powiedział Tarkwiniusz, zmieniając ton na nieco bardziej przyjazny.

– Mniej więcej pamiętam.

Tarkwiniusz odsunął się na bok, jakby zachęcając Dekstera, żeby ruszył po ścieżce prowadzącej w stronę budynków majątku i cmentarza.

Dekster zmieszał się i rzucił jakieś polecenie niewolnikom, a potem ruszył pod górę. Gdy dotarli do zarośniętego czworoboku, który służył jako miejsce pochówku dla niewolników i robotników, Tarkwiniusz musiał przyznać, że jest mile zaskoczony. *Vilicus* poprowadził go dalej, do nieco bardziej zadbanej części, gdzie groby zostały usytuowane tak, że rozciągał się z ich miejsca widok na wzgórze z ruinami Falerii. Pewnie nie był to świadomy wybór tych, którzy byli odpowiedzialni za wykopanie grobów, ale to go akurat nie martwiło.

– Tutaj – Dekster wyciągnął nogę obutą w znoszone *caligae* i wykonał zamaszty gest. – Zostali pochowani razem, w tym samym grobie.

Takie rzeczy robi się po to, żeby oszczędzić miejsce, ale Tarkwiniusz uznał to za małą gratyfikację bogów. Rodzice mieli ciężkie życie. Lustrował darń, na której nie pozostał żaden wyraźny ślad, przywołując z pamięci obrazy matki i ojca z czasów, gdy beztrasko spędzali czas w swoim majątku, w rodzinnej farmie. W tych wspomnieniach jego rodzice byli uśmiechnięci, pewni siebie i dumni. Właśnie tak chciałby ich zapamiętać. Ze smutkiem pomyślał, że zostawił ich właściwie bez pożegnania. Odszedł i nigdy nie zdecydował się ich odwiedzić. Zamknął oczy i pozwolił, aby jego umysł wypełniły miłe wspomnienia.

Dekster przestąpił z nogi na nogę. Nie czuł się pewnie w towarzystwie Tarkwiniusza, ale nie bardzo wiedział, co mógłby mu jeszcze powiedzieć.

Bez wątpienia taki sam smutek będzie mu towarzyszył, gdy odnajdzie jaskinię i miejsce pochówku Olenusa. *I na co to wszystko było?* – Opadło go znużenie. – *Tyle wędrowania. A dalej jestem ostatnim haruspikiem.* Nie dowiedział się właściwie wiele nowego o Etruskach. Jakaś część wiedzy, którą Olenus tak wytrwale wbijał mu do głowy, została przekazana Romulusowi, ale jeśli bogowie nie oczyszczą jego drogi z przeszkód i nie pozwolą im się spotkać ponownie... Jeśli nie dadzą im szansy pogodzenia się, wówczas wszystko będzie stracone.

Nie. Nie wszystko – Tarkwiniusz uczeplił się ostatniej myśli, dającej nadzieję. Tinia i Mitra wiedzą najlepiej. – Niech dzieje się ich wola. Nie mam prawa kwestionować ich decyzji. I wiem, że o mnie nie zapomnieli. Jestem potrzebny w Rzymie. Bo dlaczego w ogóle wróciłem pod Lupanar? Fabiola wydaje się bezpieczna, ale nad miastem wisi nieokreślone niebezpieczeństwo. Te burzowe chmury muszą mieć jakieś znaczenie. Przy odrobinie szczęścia dowiem się, o co chodzi, gdy złożę ofiarę w jaskini.

Haruspik spojrział na stok góry. Jeśli się pospieszy, zdąży zajrzeć do jaskini i wrócić przed zmrokiem. Następnie zje kolację z Cecyliuszem, a potem sprawdzi, czy miecz i wątroba znajdują się w tym samym miejscu. W gaju oliwnym, gdzie je zakopał.

Dekster przyglądał mu się uważnie, jakby czytając w jego myślach.
– Cholernie dobrze wiesz, gdzie są święte artefakty – odezwał się nagle.

Palce Tarkwiniusza pieściły głownię gladiusa.

– Nawet gdybym wiedział... komu miałyby przydać się ta wiedza? Komu byś to zdradził?

Przyglądali się sobie w milczeniu. Dawniej Dekster był zmorą każdego niewolnika. Wiele razy zdarzyło mu się pobić człowieka na śmierć. Gdy Tarkwiniusz jako młody chłopak opuszczał majątek, Dekster był od niego silniejszy i sprawniejszy. Teraz jednak tego długowłosego Etruska otaczała jakaś śmiertelnie groźna aura. Był pewny siebie. *W jego oczach czai się uśpiona obietnica czeluści Hadesu – pomyślał vilicus.* Miał wrażenie, że Tarkwiniusz patrzy na jego duszę. I osądza.

Dekster poczuł się stary i straszliwie zmęczony.

– Nikomu... – szepnął.

Haruspik ruszył przed siebie, a na jego ustach wykwitł wątry uśmiech zadowolenia.

Najwyższy czas złożyć hołd Olenusowi. I poprosić o pomoc bogów. Po raz tysięczny.

Rozdział XVIII

Ojciec i syn



Romulus!

Przekręcił głowę, żeby znaleźć źródło dźwięku. Ze zdumieniem stwierdził, że jego towarzysz woła do niego z końskiego grzbietu tuż za najbliższym z Numidyjczyków. Nie miał pojęcia, jak udało się Sabinuszowi zdobyć konia, ale żaden widok dawno nie sprawił mu tak wielkiej radości. Romulus powalił jednego jeźdźca, dzięki czemu udało mu się jakoś przepchnąć bliżej, a potem zręcznie wyminął jeszcze jednego wierzchowca. Sabinusz użył ostatniej włóczni i zrzucił z siodła kolejnego wojownika, wprowadzając zamieszanie w szeregach wroga. W jednej chwili cała gromada Numidyjczyków pędziła na Romulusa, a w drugiej, po czterech czy pięciu uderzeniach serca, z kotłowaniny i chaosu wyłonił się Sabinusz z wyciągniętą ręką. Chyba tylko dzięki czystej adrenalinie Romulusowi udało się złapać pomocną dłoń i wskoczyć na siodło za towarzyszem.

Sabinusz wbił mocno kolana w boki konia, zmuszając go do szybkiego biegu. Ominął zmieszanych przeciwników i skierował się prostą drogą ku szeregom Legionu XXVIII. Większość przeciwników jeszcze nie do końca zorientowała się, co zaszło. Jednak czterech ludzi ze straży przybocznej Petrejusza od razu ruszyło za nimi w pościg i Romulus, któremu wydawało się, że jednak uda im się ująć z życiem, ponownie zaczął tracić nadzieję. Koń niosący dwóch ludzi nigdy nie będzie szybszy od takiego, który dźwiga tylko jednego jeźdźca. Gniadosz, którego dosiadali, pędził ile sił, ale daleko mu było do Pegaza.

Sabinusz zaklął i wbijał pięty w jego żebra, zmuszając do jeszcze większego wysiłku. Nie mieli szans.

Ścigający ich Numidyjczycy zbliżali się coraz bardziej. Głośno wykrzykiwali jakieś obelgi. Już powietrze przecięła pierwsza włócznia, która jednak nie została rzucona z dość dużą siłą i niegroźnie opadła na piasek za ich plecami. Druga pofrunęła łukiem nad nimi, żeby wbić się w ziemię jakieś dziesięć kroków przed nimi. Romulus obejrzał się akurat we właściwej chwili, aby z ustami otwartymi z przerażenia skostatować, że trzecia włócznie wbija się głęboko w zad ich konia. Wierzchowiec uniósł wysoko głowę i zarżał boleśnie. Od razu bardzo zwolnił, tak że ledwo stawiał nogę za nogą.

Sabinusz od razu zorientował się, co się stało. Przerzucił prawą nogę przez wierzch konia i zeskoczył zgrabnie na ziemię.

– Chodź! – krzyknął do Romulusa.

Romulus nie potrzebował zachęty. Ledwo udało mu się utrzymać równowagę, gdy puścił się lęku. W tej samej chwili koń potknął się i stanął w miejscu. Włócznia wciąż sterczała z jego zadu. Romulus nie miał czasu żałować wierzchowca. Numidyjczycy z uniesionymi włóczniami zbliżali się, błyskawicznie skracając dystans. Dzieliło ich może jakieś pięćdziesiąt kroków. Legioniści spojrzeli sobie w oczy.

– Uciekamy czy walczymy? – zapytał Romulus.

– Jeśli rzucimy się do ucieczki, dogonią nas i zarzną jak psy.

Walczymy!

Zadowolony z decyzji towarzysza Romulus skinął głową. Stanęli mocno na nogach. Ramię przy ramieniu. Po raz kolejny przygotowując się na śmierć.

Dwie włócznie przecięły powietrze ze świstem, nie czyniąc im jednak żadnej szkody. Najbliżej nich znajdowała się czwórka Numidyjczyków, którzy najwcześniej rozpoczęli pościg. Każdy z nich miał jeszcze po jednej lub po dwie włócznie. Jeźdźcy wroga byli mistrzami w walce na krótki dystans i Romulus wiedział, że bez tarcz nie mają zbyt wielkich szans ujęcia z tego starcia z życiem.

Tak było przynajmniej do chwili, w której usłyszeli przeraźliwy ryk *bucinae* za plecami.

Numidyjczycy zobaczyli, co się święci, jeszcze zanim Romulus

zdążył obrócić głowę. Na twarzach jeźdźców pojawił się grymas gniewu i... ścigający legionistów jeźdźcy zatrzymali się. Jeden z nich rzucił włócznią w daremnym geście wściekłości, a następnie wszyscy spięli konie, które zawirowały w miejscu. I w następnej chwili już pędzili w przeciwnym kierunku!

Wtedy Romulus obrócił się i ujrzał klin szarżujących Rzymian, którzy biegli w ich stronę z wysoko uniesionymi tarczami. Prowadził ich Atiliusz. Romulus aż jęknął z euforii. Starszy centurion musiał śledzić przebieg ich beznadziejnej misji. Nie było innego wytłumaczenia. Romulus od razu zerwał się do biegu. Za nim truchtał Sabinusz.

– Nie wiedziałem, że umiesz jeździć konno – wysapał Romulus, gdy z każdym krokiem oddalali się od źródła niebezpieczeństwa.

– Wychowałem się na gospodarstwie. Zawsze mieliśmy kilka szkap.

Romulus poklepał Sabinusza po ramieniu.

– Jestem ci winien kolejkę.

– Z przyjemnością odbiorę dług – Sabinusz uśmiechnął się.

Romulus wiedział, że właśnie zyskał przyjaciela na całe życie.

Gdy dwaj niedoszli samobójcy zrównali się z murem tarcz, Atiliusz zatrzymał swoich ludzi.

– Do środka! – rozkazał, przepychając legionistów byle dalej od pierwszej linii. – Nie mamy czasu do stracenia.

Nie zamierzali się sprzeciwiać. Formacja klina zwinęła się i wykonała szybki manewr zmiany kierunku. Romulus rzucił okiem w stronę Numidyjczyków. Ku jego zaskoczeniu wyglądało na to, że jazda nie próbowała wcale atakować oddziału Rzymian, który wysforował się przed główną linię sześciu kohort. Wrogowie kręcili się w kółko, coś do siebie pokrzykując. Niektórzy nawet zaczęli się wycofywać na południe. *Strach rozprzestrzenia się lotem błyskawicy* – pomyślał Romulus. – *To jak oglądanie fali powstającej w basenie po tym, jak wpadł do niego kamień.* Jeźdźcy widzieli oddalających się towarzyszy i ruszyli za nimi. Kilku kolejnych zrobiło to samo. Zanim klin wycofał się pod skrzydła pozostałych kohort, jazda wroga zniknęła w wielkiej chmurze pyłu.

– Zatem zabiłeś Petrejusza? – zapytał Atiliusz.

Romulus zaczerwienił się.

– Nie, dowódco. Tylko go ranilem.

– Chyba wystarczyło... Musiał opuścić pole bitwy – starszy centurion stwierdził z uśmiechem zadowolenia. – Spójrz! Tym skurwysynom odechciało się walki.

Romulus skupił wzrok na numidyjskiej piechocie, która również podała tyły i wielką falą przelewała się przez grań. Oddziały jazdy znajdujące się na drugim skrzydle nie pozostaną na placu boju, gdy wszyscy ich towarzysze stracili rezon i uciekają. Zapadał już powoli zmierzch, a to oznaczało, że misja zakończyła się powodzeniem. Udało im się osłonić odwrót Cezara, który ze swoimi ludźmi bezpiecznie wycofał się do ufortyfikowanego obozu. Romulus westchnął głośno, zdając sobie sprawę, że jest naprawdę wyczerpany. Jednak zadowolenie z tego, czego udało mu się dokonać przy współudziale towarzyszy, było znacznie większe niż ból w mięśniach.

– Dobra robota.

Romulus uniósł głowę i stwierdził, że Atiliusz patrzy na niego z uznaniem.

– To był wspólny wysiłek, dowódco. Nie dokonałbym tego bez tego tutaj Sabinusza i Paullusa.

– Czy Paullus nie żyje?

– Tak.

– Zginęło dziś wielu dobrych legionistów – powiedział Atiliusz smutnym głosem. Po chwili jednak jego twarz się rozjaśniła. – Dzięki wam wielu z nich przeżyło, żeby móc znowu walczyć. Cezar dowie się o waszym wyczynie.

Romulus miał wrażenie, że jego pękające z dumy serce wyskoczy mu z piersi.

Pompejańczycy wkrótce przerwali ataki. Wycofali się i pociągnęli z powrotem do obozu. Noc zbliżała się wielkimi krokami, dlatego nikt nie myślał już o kontynuowaniu walki. Labienusowi nie udało się unicestwić wydzielonej grupy, której zadaniem miało być znalezienie zaopatrzenia dla rzymskiej armii, marnując tym samym idealną okazję do złapania lub zabicia największego wroga – Cezara.

Podczas odwrotu do Ruspiny nie wydarzyło się już nic wartego wspomnienia. Kolumna rzymska maszerowała nie niepokoiona,

utrzymując porządek i dyscyplinę. Ludzie śpiewali głośno, świadomi, że udało im się wyrwać z objęć śmierci. Romulus analizował taktykę Cezara, który okazał się równie odważny, jak i głupio uparty. Niektórzy dowódcy pewnie zdecydowaliby się na kontynuowanie walki nawet w tak rozpaczliwej sytuacji, prowadząc do boju swoich niedoświadczonych żołnierzy. Obrona okrężna z kohortami zwróconymi w różnych kierunkach była improwizacją pierwszej próby, podobnie jak decyzja o przeprowadzeniu kontrataku, który można było jednak uznać też za rozpaczliwą próbę zyskania potrzebnego czasu. Romulus mógł porównywać zastosowaną przez Cezara taktykę tylko z jednym rzymskim dowódcą – Krassusem – i to porównanie wypadło dla tego ostatniego wyjątkowo blado. Niemal wszystkie działania wielkiego generała Cezara świadczyły o tym, że jest prawdziwym geniuszem pola bitwy.

Następnego dnia dwójka towarzyszy otrzymała rozkaz stawienia się w kwaterze głównej Cezara. Emocje buzujące w Romulusie sięgnęły stanu wrzenia. Atiliusz dotrzymał słowa! Zgłosił obu żołnierzom do odznaczenia za odwagę, a Romulusa nawet podwójnie – również za to, że wykazał się inicjatywą i w konsekwencji zranił wrogiego generała. Starszy centurion powiedział im o tym jeszcze poprzedniego dnia wieczorem. W efekcie żaden z nich nie spał za dobrze. Wstali zresztą skoro świt, żeby wyczyścić i wypolerować wyposażenie uzupełnione ze stosu tego, co zebrano po martwych legionistach. Pole bitwy było zarzucone trupami, więc bez trudu znaleźli pasujące kolczugi i hełmy. Mogli mieć tylko nadzieję, że im posłużą dłużej.

– Jak myślisz? Co nam powie? – zapytał Sabinusz, który z zapalem szcztokował kitę z końskiego włosia na swoim nowym hełmie.

– A skąd mnie to wiedzieć? – Romulus odparł z uśmiechem.

– Poznałeś go wcześniej.

Romulus nie opowiadał swoim towarzyszom o rozmowie, która zakończyła się jego uwolnieniem. Jednak Sabinusz musiał słyszeć o walce, dzięki której Romulus został wolnym człowiekiem. Nawiązujący do tego tematu żołnierze zwykle mówili o Cezarze z wielkim respektem, który uznawał za bardzo charakterystyczny. Ale przecież nie powinien się dziwić. Niewielu zwykłych żołnierzy miało szansę na spotkanie się z

Cezarem twarzą w twarz. Generał nie spacerował każdej nocy pomiędzy namiotami, dzieląc się opowieściami z towarzyszami przy kubku *acetum*. Przez zwykłych szeregowych żołnierzy był traktowany niczym bóg, dlatego rozmowa z nim na pewno uważana była za wielkie wyróżnienie. Romulus poczuł przyływ dumy.

– Cezar jest żołnierzem. Ceni odwagę. Wyobrażam sobie, że właśnie to nam powie, a potem da każdemu po *phalerae*.

Sabinusz wyglądał na zadowolonego.

– Przydałoby się też parę monet. Moja żona zawsze skarży się, że nie wysyłam jej dość pieniędzy.

– Jesteś żonaty?

Sabinusz się uśmiechnął.

– Chyba trafniej byłoby stwierdzić „związany” niż żonaty. Albo przykuty... Od co najmniej dziesięciu lat. Mam trójkę dzieci. Przynajmniej tyle miałem, gdy ostatni raz byłem w domu. Moja żona prowadzi gospodarstwo. Z pomocą kilku niewolników. To tylko mała farma, leżąca w połowie drogi pomiędzy Rzymem a Kapuą. – Sabinusz zauważył tęsknotę przebijającą ze spojrzenia Romulusa. – Musisz mnie odwiedzić i pomieszkać trochę na wsi. Gdy to wszystko się już skończy i zostaniemy zdemobilizowani. Pomożesz mi przy żniwach. Wytarzasz się w sianie z jakąś niewolnicą albo i z dwiema... – mrugnął porozumiewawczo. – Jeśli przeżyjemy, oczywiście.

– Chciałbym... – Myśl o żonie, dzieciach, miejscu, do którego można byłoby wrócić, wydała się w tej chwili Romulusowi niezwykle atrakcyjna. Jako były niewolnik wcześniej jakoś wcale się nad tym nie zastanawiał, ale nie mógł nie zauważyć, jak wiele dom znaczy dla Sabinusza, pomimo jego na poły żartobliwych, na poły wisielczych uwag. *Co będę robił po wojnie? – Nie miał zbyt wielkich marzeń. Chciał odnaleźć Fabiolę i zabić Gemellusa. – I co dalej? Gdzie będę mieszkał? Co będę robił?* Brak odpowiedzi na te pytania nagle stał się źródłem niepokoju, dlatego ucieszył się na widok Atiliusza, który postanowił sprawdzić, jak prezentują się wyróżnieni przez niego legionieści. Obaj szybko wyprostowali plecy i przyjęli postawę zasadniczą.

Starszy centurion przez dłuższą chwilę przyglądał im się uważnie.

– Nie jest źle – powiedział w końcu. – Nawet przypominacie

żołnierzy. – To już była prawie pochwała! Atiliusz rzadko kogoś chwalił, dlatego obaj uśmiechnęli się niemal bezwolnie na te słowa. – Chodźcie więc! Nie możemy pozwolić, żeby generał na was czekał, prawda?

– Tak jest!

Inni żołnierze z tego samego *contubernium* pożegnali ich słowami otuchy i obserwowali, jak dwójka dorosłych bądź co bądź mężczyzn próbuje dotrzymać kroku Atiliuszowi, zachowując się niczym dwójka podrostków cieszących się na myśl o sutej uczcie.

Do *principia*, czyli kwatery głównej armii przy skrzyżowaniu Via Praetoria z Via Principia, nie było daleko. Dwie główne drogi dzieliły ogromny obóz na ćwiartki i zostały wytyczone na osi północ-południe oraz wschód-zachód. Plac przed ogromnym pawilonem zajmowanym przez Cezara i pełniącym funkcję centrum dowodzenia był już wypełniony setkami legionistów, którzy chcieli być świadkami ceremonii dekoracji. Wprawdzie generała nigdzie jeszcze nie było widać, ale oficerowie sztabowi czekali już na niego w większych i mniejszych grupkach, zajmując miejsca przy wejściu do wielkiego namiotu. W swoich błyszczących w promieniach słońca, wypolerowanych kirysach, złożonych napierśnikach i ozdobionych kitami hełmach prezentowali się wspaniale. Pod ścianą w dwóch rzędach stało dwudziestu specjalnie wybranych żołnierzy gwardii pochodzących z Hiszpanii. Ich nieregularne wyposażenie i broń wyraźnie różniły się od tych, które nosili uczestniczący w wydarzeniu zwykli żołnierze. Specjalnie na tę ceremonię sprowadzono poczty z orłami legionów, dumnie spoglądającymi na wszystko z dystansu długich drzewców, pewnie trzymany w rękach chorążych. Honorowe miejsce wśród nich zajmował sierżant z insygnium wodza, czerwonym *vexillum*. Czwórka zdenerwowanych trębaczy zerknęła niepewnie w stronę wyjścia z namiotu, nie chcąc przegapić pojawienia się dowódcy armii.

Gdy zbliżyli się do placu przed namiotem, Romulus zwrócił też uwagę na grupkę legionistów i oficerów. Widząc ich nieśmiałe spojrzenia i podenerwowanie, Romulus domyślił się, że są to pozostali kandydaci do odznaczeń. I rzeczywiście, Atiliusz wskazał im, że powinni dołączyć do tej grupki.

– Powodzenia – powiedział cicho na pożegnanie.

– Co mamy robić, dowódco? – zapytał nagle Sabinusz z rozpaczą w głosie.

– Zasalutować. Przyjąć nagrodę i podziękować Cezarowi. A potem poczekać, aż każą wam się rozejść.

Przesunęli się bliżej grupki żołnierzy, pozdrawiając towarzyszy bezgłośnie kiwnięciami głowy.

Trębacze wreszcie unieśli *bucinae* i powietrze przeszła seria krótkich, ostrych dźwięków.

– Bacność! – krzyknął jeden ze starszych stopniem oficerów.

Wszyscy mężczyźni wyprostowali się jak struny.

Romulus i jego towarzysze znajdowali się w miejscu, z którego dobrze było widać wyjście z namiotu i to właśnie oni jako pierwsi zobaczyli Cezara w pełnej krasie, w przesyconym jeszcze mglistą wilgocią powietrzu poranka. Wódz ubrany był w swój charakterystyczny szkarłatny płaszcz, połączony napierśnik i skórzaną osłonę z pasków w pasie, gdzie umocowano w zdobionej srebrem pochwie gladius z okazałą rękojeścią, wykonaną z kości słoniowej i złota. Wypolerowany na błysk hełm kończył się kitą pióropusza. A strój dopełniały długie do łydek skórzane buty. Szczupła twarz i pokaźny nos sprawiały, że Cezar prezentował się dystyngowanie. Tak właśnie ludzie wyobrażaliby sobie wielkiego wodza i zdobywcę.

– Spocznij – głos Cezara był spokojny.

Z postawy zasadniczej zrezygnowali wszyscy poza Romulusem i ludźmi stojącymi w rzędzie oczekującym na odznaczenie.

Cezar zrobił kilka kroków do przodu i uniół ręce w powietrze. Zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

– Towarzysze broni... – zaczął Cezar – ...wczorajszy dzień był bardzo ciężki.

– Mało powiedziane! – krzyknął jakiś żartowniś ukryty w gęstej ciżbie zgromadzonych.

Rozległy się głośnie śmiechy, bo każdy wiedział, że naprawdę niewiele brakowało, a wielu z nich nie uczestniczyłoby w dzisiejszej ceremonii. Uśmiechnął się również sam Cezar. Lubił taki dialog ze swoimi ludźmi, wzmacniający więzy z żołnierzami.

– Tak... Przeżywaliśmy trudne chwile i walczyliśmy z wrogiem

dysponującym wielką przewagą liczebną – przyznał. – Wrogiem, który chciał nas unicestwić. Tylko że mu się to nie udało! Dlaczego? – generał zamilkł.

Romulus dobrze wiedział, że Cezar jest doskonałym mówcą. Przemawiał tak, jak powinien przemawiać wielki wódz. Rozejrzał się wokół, przyglądając się otaczającym go ludziom. Widział, jak chłoną każde słowo generała.

– Dlaczego? – Cezar powtórzył pytanie. – Dzięki wam! Dzięki tobie – zdecydowanym ruchem wskazał najbliższego mu legionistę, który teraz promieniał dumą i zadowoleniem. – I tobie. I tobie też – palec Cezara wędrował dalej, wskazując drugiego, potem trzeciego i czwartego. – Wszyscy walczyliście niczym herosi!

Z uśmiechem na ustach przyjął gromkie okrzyki, które spontanicznie wyrywały się z gardeł wszystkich obecnych, po czym podszedł do rzędu, w którym znajdowali się Romulus i Sabinusz. Wiwatom nie było końca, a obserwujący to wydarzenie legioniści zaczęli teraz uderzać mieczami o metalowe obrzeża swoich tarcz, tworząc ścianę ogłuszających hałasów. W końcu jedno słowo wzniosło się ponad huk i Romulus musiał walczyć ze sobą, żeby nie dołączyć do chóru

– Ce-zar! Cee-zar! Cee-zaaar! – żołnierze zdzierali gardła, wyjąc jak opętańcy.

Ten człowiek jest prawdziwym geniuszem – pomyślał Romulus, przepełniony dumą. – *Ani się nie zająknął na temat własnych dokonań. Nie mówi nic o całych godzinach pełnych strachu i niepewności ani o rozkazie nieoddalania się na więcej niż cztery kroki od insygniów. Dobiera słowa tak, żeby każdy żołnierz myślał, że jest tak odważny jak sam Herkules. I to działa.* Romulus nigdy wcześniej nie czuł się tak szczęśliwy, że jest rzymskim legionistą. Ściągnął łopatki i wyprężył się, a potem spuścił wzrok na kolczugę i wypolerowane umbo *scutum*, mając nadzieję, że swoim wyglądem nie zawiedzie przywódcy.

Po dłuższym czasie ludzie zaczęli się uspokajać.

Cezar podszedł do pierwszego człowieka w linii, który natychmiast skwapliwie zasalutował.

– Kim jest ten człowiek?

– Centurion Asiniusz Makro, panie – zagrzmiął jeden z wyższych

oficerów. – Pierwsza centuria, pierwsza kohorta Legionu V. Wczoraj wielokrotnie ryzykował własnym życiem, aby uratować swoich ludzi, którzy zostali odcięci.

Cezar odwrócił się w półobrocie w stronę niewolnika trzymającego brązową tacę z odznaczeniami i pękatymi skórzanymi sakiewkami. Ten zrobił krok do przodu. Wódz wybrał złotą *phalera* i własnoręcznie przypiął ją do pasa piersiowego żołnierza, na którym wisiało już kilka podobnych. Cichym głosem wyrzekł parę słów, gratulując legioniście dokonań, po czym wręczył też sakiewkę i przesunął się w bok, zostawiając promieniejącego centuriona samemu sobie.

Ta sama procedura powtarzała się wielokrotnie: najpierw imię i ranga, potem informacja, czym zasłużył sobie na nagrodę. Przez cały ten czas oglądający to przedstawienie legioniści w kółko wykrzykiwali imię Cezara. Wszyscy czuli ogromną radość i podekscytowanie. Ta atmosfera skutecznie odsuwała w cień wszelkie obawy o przyszłość, które tak niedawno kładły się cieniem na myśli żołnierzy. Gdy Cezar dotarł do Sabinusza, Romulus z wielkim trudem powstrzymał się przed przekręceniem głowy. Serce biło mu coraz szybciej. I w tym przypadku Cezar poklepał Sabinusza po ramieniu i wręczył mu srebrną odznakę oraz ciężki trzos z pieniędzmi. W końcu stanął przed Romulusem.

Romulus wyprężył się jeszcze bardziej.

– Legionista Romulus. Pierwsza centuria, druga kohorta, Legion XXVIII – zawołał oficer.

– Czym zasłużył sobie na odznaczenie?

– Ten oto młodzieniec wpadł na pomysł, żeby unieszkodliwić Petrejusza, panie – odezwał się Atiliusz. – Po odrzuceniu zbroi, tylko w tunikach, z pomocą dwóch towarzyszy niepostrzeżenie przedarł się przez linie atakujących Numidyjczyków. Misja nie zakończyła się pełnym sukcesem, ale legionista Romulus ranił tego skurwysyna.

Nieprzyjacielskie oddziały przerwały atak i umknęły z pola bitwy, mimo że kilka chwil wcześniej Petrejusz był bliski powodzenia i rozbicia naszego oddziału. Gdyby nie działania Romulusa, nasz kontratak zakończyłby się kompletną porażką.

Cezar uniósł brwi. Bez wątplenia słyszał już tę historię.

– Ręczysz za tego człowieka, centurionie?

- Tak jest, panie – odpowiedział Atiliusz pewnie.
- Dawniej służyłeś w Legionie X, prawda?
- Tak jest!
- Cezar skinął głową.
- Słyszałem też o twoim celnym rzucie oszczepem. Dobra robota. Atiliusz rozciągnął usta w szerokim uśmiechu.
- Dziękuję, wodzu.
- Cezar przeniósł wzrok z powrotem na Romulusa.
- Wydaje się, że to czyn wart godziwej nagrody – zmarszczył brwi.
- Czy my się już kiedyś nie spotkaliśmy?
- Tak jest, panie – odpowiedział, Romulus, czując, jak pąsowieją mu policzki.
- Gdzie?
- W Rzymie, panie. Otrzymałem z twoich rąk *manumissio* za dokonania na arenie.
- W oczach Cezara pojawił się błysk zrozumienia. Uśmiechnął się.
- O tak! Niewolnik, który zabił etiopskiego byka.
- Tak, panie – Romulus czuł, że cała jego twarz płonie.
- Wygląda na to, że umiesz sprawnie posługiwać się bronią nie tylko do zabijania dzikich zwierząt.
- Udział w tej misji był dla mnie zaszczytem, panie. Mogę tylko żałować, że nie zabiłem Petrejusza.
- Cezar wybuchnął śmiechem.
- Nieważne, żołnierzu! Uciekł, a jego ludzie poszli w rozsypkę. Tego nam było trzeba. I udało się to dzięki tobie. Przyjdzie dzień, że ta sprawa zostanie załatwiona do końca.
- Panie...
- Cezar chwycił złotą *phalera* z tacy i przymocował ją na kolczudze Romulusa.
- Walcz tak dalej, a zostaniesz oficerem – powiedział, wręczając mu dwie ciężkie sakiewki. – Cezar nie zapomina tak dobrych legionistów jak ty.
- Dziękuję, panie! – Romulus walnął pięścią w pierś w salucie, uśmiechając się od ucha do ucha.
- Generał skinął z uznaniem głową i dołączył do grupy starszych

oficerów.

– Oto przed wami... najdzielniejsi żołnierze Cezara – krzyknął jeden z trębaczy. Podniósł instrument do ust i zagrał kilka krótkich dźwięków fanfar.

Znów w powietrze wzbily się porywające wiwaty. Tym razem Romulus nie musiał powstrzymać się przed dołączeniem do krzyczących.

Otoczony wianuszkami oficerów Cezar skierował się z powrotem do pawilonu kwatery głównej.

Wódz nie opuszczał swojego namiotu przez kilka kolejnych tygodni. Choć nieprzyjacielskie oddziały kręciły się stale w pobliżu obozu w Ruspinie, Cezar ze spokojem ignorował ich działania. Każdy upływający dzień sprawiał, że armia rzymska rosła w siłę. Wszyscy rzemieślnicy pracowali nad amunicją do proc i oszczepami, budową katapult, które zostały umieszczone w wieżach fortu. Mury obozu były patrolowane przez silne oddziały i strzeżone dzień i noc. Cezar czuł się na tyle pewnie, że uznał, iż wcale nie musi pokazywać się legionistom. Zajął się sprawami administracyjnymi, ograniczając się do czytania raportów i wydawania rozkazów. I znów nie mylił się w swojej ocenie, gdyż pompejańczycy nie ośmielili się uderzyć na obóz Rzymian. Nawet gdy do Labienusa dołączyły oddziały dowodzone osobiście przez Metellusa Scypiona, przeciwnicy Cezara nie zamierzali podjąć jakichkolwiek działań ofensywnych.

Tymczasem z Italii wciąż przybywały kolejne konwoje. Siły cezarian zwiększyły się o kilka legionów i jazdę, a statki wreszcie dostarczały tak bardzo wyczekiwane zapasy żywności. Od czasu do czasu dochodziło do potyczek, ale żadna z bitew nie nosiła znamion decydującej. Wprawdzie operacja zdobycia ufortyfikowanego miasta Uzitta, w którym znajdowało się główne ujęcie wody pitnej armii pompejańskiej, nie zakończyła się sukcesem, nieprzyjaciel poniosł jednak duże straty podczas nieudanych prób odrzucenia oddziałów Cezara. Ostatecznie dowódca rzymskiej armii uznał, że obleganie miasta nie przyniesie ani rozstrzygnięcia, ani wielkich korzyści, i poprowadził dziesięć legionów w kierunku miasteczka o nazwie Aggar. Przez całą drogę nękała ich numidyjska jazda. Czasami zdarzało się, że do

pokonania stu kroków potrzebowali ponad czterech godzin. Zmęczeni żołnierze mieli jednak świadomość, że jeśli będą trzymać się razem i nie złamią formacji, nieprzyjacielska jazda nie jest w stanie im zaszkodzić. Kilku ludzi może odnieść rany od włóczni. I to wszystko.

Romulus z zadowoleniem przyjął wieść o rozpoczęciu nowego szkolenia, w którym uczestniczyć mieli wszyscy legioniści. Dowódcy musieli mieć pewność, że ich żołnierze będą wiedzieli, jak walczyć u boku własnej jazdy. Każdego dnia trzystu mężczyzn z każdego legionu pełniło służbę w pełnym rynsztunku, zachowując szyk bojowy, z zadaniem wspierania jazdy, gdy tylko dojdzie do jakiegokolwiek potyczki z Numidyjczykami. Dzięki temu łatwiej dawano odpór armii pompejańskiej. Kilka razy zdarzyło się, że zniecierpliwiony Scypion stawał do bitwy, ale za każdym razem Cezar nie podnosił rzucanej mu rękawicy. Choć Romulus wierzył, że generał czeka na najlepszy moment, sam z dnia na dzień stawał się coraz bardziej niespokojny. Stracił już rachubę, ile razy armie stawały naprzeciw siebie, gotowe do walki, tylko po to, żeby po kilku godzinach wycofać się do obozu.

Z satysfakcją przyjmował to, że jego kompani z równą niecierpliwością pragną rozstrzygnięcia. Był teraz pełnoprawnym członkiem *contubernium* i całej centurii. Wieczorami spędzał czas z towarzyszami z oddziału, zastanawiając się głośno, kiedy wreszcie ta kampania dobiegnie końca. Wydawało się teraz, że wszyscy tego pragnęli. Niektórzy weterani byli z Cezarem od chwili, gdy przekroczył Rubikon, co oznaczało, że od ponad trzech lat nie widzieli domów, a przecież już sam Romulus – chociaż nikomu o tym nie mówił – walczył niemal bez przerwy od czasu, gdy opuścił Italię prawie przed dziesięciu laty. Czuł się zmęczony. To było dla niego nowe uczucie, coś, co wzięło się z rozmów o domu, rodzinie i pracy we własnym gospodarstwie. Nie znaczyło to, że lojalność Romulusa względem Cezara została zachwiana. Nie. Niemniej jednak on także chętnie widziałby szybkie zwycięstwo w Afryce. Wtedy wiernymi ideałom Pompejusza zostaliby tylko dowódcy kilku legionów w Hiszpanii i zapewne tam dojdzie do decydujących rozstrzygnięć, które zakończą wojnę. A potem? Potem wszyscy będą mogli odpocząć. Jednocześnie Romulus coraz bardziej niepokoił się myślą o tym, co powinien zrobić ze swoim życiem po zakończeniu walk.

W pewnym sensie śmierć na polu bitwy byłaby najprostszym rozwiązaniem.

Sytuacja w Afryce zmieniła się dopiero wtedy, gdy legiony Cezara zniosły oblężenie miasta Aggar i po nocnym marszu dotarły do nadmorskiej miejscowości noszącej nazwę Tapsus. Żołnierze nie skończyli nawet budowy umocnień obozu, gdyż tego samego dnia pod wieczór pojawili się zwiadowcy, donosząc o zbliżaniu się wrogiej armii. A więc Scypion ruszył za nimi w pościg. Okolice Tapsus sprzyjały piechocie. Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że rzymska armia znalazła się w potrzasku. Wróg dysponował przewagą w każdej formacji: w ciężkiej i lekkiej piechocie, a także w jeździe. Ponadto dysponował grupą ponad stu słoń bojowych, a Cezar nie miał ich wcale. Jednak w tym czasie zmienił się układ sił. Obecnie ponad połowę legionów Cezara można było uznać za doświadczone, przeszły bowiem długi szlak bojowy, walcząc pod jego rozkazami przez dziesięć lat lub dłużej, podczas gdy armia pompejańska składała się w większości z nowych rekrutów. Przesłuchiwani dezercerzy twierdzili również, że słonie Scypiona zostały schwytane stosunkowo niedawno i nie udało się ich jeszcze dobrze wyszkolić.

Naturalne ukształtowanie terenu w pobliżu Tapsus dawało obrońcom jeszcze inną przewagę. Nadbrzeżne miasteczko osłaniane było słoną laguną i długą, wąską zatoką, wcinającą się mocno w głąb lądu, co oznaczało, że napastnicy mogli wyprowadzić uderzenie tylko w dwóch miejscach, niezbyt sprzyjających atakom. Przebiegły Cezar nakazał wzniesienie ryglującego pozycję fortu w miejscu, które dawałoby atakującym przewagę. W efekcie do bitwy miało dojść na płaskim obszarze o szerokości około półtora mili pomiędzy morzem a laguną.

O świcie Romulus odkrył, że Scypion parł do bitwy właśnie w miejscu wybranym przez Cezara. Z odległych pozycji przybyli posłańcy z wieściami, że duża armia wroga naciera w kierunku Tapsus w formacji *triple acies*. Klasyczna potrójna linia, stosowana przez większość rzymskich generałów, została wzmocniona na skrzydłach numidyjską jazdą i oddziałami słoń. Jednocześnie, co zaskakujące, dowodzący armią pompejańską postanowił wydzielić część sił – w tym większość Numidyjczyków – do działań osłonowych od strony wspomnianego

fortu. W związku z tym siły, które miały rozstrzygnąć bitwę na wąskim przesmyku, były właściwie wyrównane. Większość weteranów z rzymskiej armii odetchnęła z ulgą. Tym razem ich szczywany generał nie zamierzał unikać bitwy.

Jego legiony ruszyły prosto na wroga.

To była zbyt dobra okazja, żeby ją przepuścić.

Zanim nadeszło południe, tego samego dnia dwie wielkie armie stanęły naprzeciw siebie, zajmując całą przestrzeń przesmyku. Żołnierzy dzieliło nie więcej niż ćwierć mili. Obie strony uważnie obserwowały swoje poczynania. Wszyscy zastanawiali się, czy wreszcie dojdzie do rozstrzygającej bitwy. I jak się ona zakończy? Legion XXVIII zajął pozycję w centrum formacji wśród mniej doświadczonych jednostek Cezara. Weterani kampanii galijskiej, w tym Legion V i słynna „dziesiątka” zostały ustawione na skrzydłach. Wspierały je setki procarzy i łuczników. Za nimi stanęły oddziały jazdy, chociaż naturalne ukształtowanie terenu – to znaczy laguna i morskie wybrzeże – utrudniało ich wykorzystanie. Po prostu brakowało przestrzeni do rozwinięcia i manewrowania dużymi masami kawalerii.

Kolejny argument przemawiający za tym, żeby to właśnie dziś rozstrzygnąć losy tej kampanii. W sytuacji, gdy ciężar walk spocznie na piechocie, pompejańczycy nie będą mogli użyć swojego asa atutowego, jakim jest numidyjska jazda. Jednocześnie wszyscy wiedzieli, że chociaż przyjdzie im walczyć z wrogiem trochę liczniejszym, to przewaga doświadczenia jest teraz po stronie cezarian. Dowódcy wroga umieścili na skrzydłach po około sześćdziesięciu słoni bojowych i sporą liczbę jazdy, niemniej to wcale nie wzbudzało niepokoju wśród ludzi Cezara. Pięć kohort specjalnie wyszkolono do walki z ogromnymi bestiami przy użyciu *pila*, jak i oddziały do walki dystansowej dobrze znały wrażliwe miejsca tych zwierząt. Romulus przyglądał się ludziom, którzy nie mogli doczekać się walki. W przeciwieństwie do tego, co widział na twarzach swoich towarzyszy pod Ruspina, teraz biła z nich pewność siebie i zaufanie do swoich umiejętności. Weterani na skrzydłach wręcz rwali się do walki! Szeregi falowały i kołysały się w przód i w tył, jak trzcina na wietrze. Tylko ciosy i przekleństwa rzucane przez oficerów trzymały jeszcze tych ludzi w ryzach.

Mijały kolejne godziny, a żołnierzom coraz trudniej było zachować spokój i nie dać się ponieść żądzy krwi. Gdy Cezar przygotowywał swoje przemówienie do wojsk, jego oficerowie jeden przez drugiego prosili o zaszczyt rozpoczęcia ataku. Atiliusz i inni dowódcy kohort zachowywali się podobnie, wychodząc przed szereg, żeby stanąć przed generałem, który konno dokonywał przeglądu wojsk, i błagać o honor poprowadzenia uderzenia. Uśmiechnięty Cezar niezmiennie odpowiadał wszystkim, że czas jeszcze nie nadszedł, ale rozstrzygnięcie zbliża się wielkimi krokami. Wydało się, że nie docenił zapału Legionu X i IX z prawego skrzydła. Żołnierze siłą zmusili swoich trębaczy do odegrania rozkazu ataku i ignorując złorzeczenia centurionów, ruszyli na wroga.

Romulus obserwował ten przejaw karygodnej niesubordynacji najpierw w zdumieniu, a potem z coraz większym zniecierpliwieniem. Czy nie powinni się przyłączyć? W przeciwnym razie gorące głowy weteranów będą ich drogo kosztować. Otaczający go legionieści również nie mogli doczekać się rozkazów. Mimo że centurioni nie żalowali razów swoimi witkami z pędów winorośli, cały legion przesunął się o dobre pięćdziesiąt kroków do Cezara.

Generał, przebywający jeszcze w towarzystwie Atiliusza i jego towarzyszy, wreszcie uświadomił sobie, że nikt nie potrafi zatrzymać już legionistów.

Żołnierze obserwowali Cezara wyczekująco. Wstrzymali oddechy.

Ku radości Romulusa wódz wzruszył ramionami, a potem uśmiechnął się szeroko i zawołał.

– Chwila tak samo dobra jak każda inna. Naprzód! Do ataku! *Felicitas!* – wykrzyknął, obracając konia. Popędził wierzchowca, wbijając pięty w jego boki, i ruszył prosto na wroga.

Atiliusz i pozostali wyżsi oficerowie spojrzeli na swoich ludzi.

– Słyszeliście generała! – krzyknął któryś z nich. – Na co czekacie?

Romulus i Sabinusz z tysiącami innych legionistów odpowiedzieli na wezwanie ogłuszającym, niespójnym rykiem, który został powtórzony przez całą armię. Potężna fala wezbrała i ruszyła w kierunku linii pompejańczyków. Wkrótce wciąż nieruchome szeregi wroga zachwiały się niepewne. To jeszcze zwiększyło determinację atakujących, którzy spadli na przeciwników niczym bóg ognia Wulkan z

potężnym kowalskim młotem w dłoniach. Pierwsze z wrogiem starły się oczywiście dwa legiony, które samowolnie rozpoczęły atak. Żołnierze z Legionów IX i X najpierw użyli oszczepów. Z dobrym skutkiem. Gęsta chmura pocisków spadła na pompejańczyków, wywołując panikę słoni bojowych. Zwierzęta bezwolnie cofnęły się pod deszczem oszczepów, a potem zawróciły i zaczęły przedzierać się ku swobodzie, obalając i trając ludzi. Nie zatrzymując się ani na chwilę, weterani uderzyli na oszołomionych żołnierzy wroga. Wbijali się głęboko klinem i łamali opór, jak łamie się suchy chrust przed wrzuceniem w płomień ogniska.

Przeciwnicy nie zdążyli właściwie przygotować się na potworne uderzenie, a wkrótce takie same sceny powtarzały się na całej długości linii przeciwnika. Zachęteni sukcesem Legionów IX i X żołnierze Cezara nacierali na pompejańczyków z szaleństwem w oczach. Niespodziewający się tak wielkiej furii przeciwnicy po prostu zrobili w tył zwrot i rzucili się do ucieczki. Pozbywali się broni, pędzili ile tchu, byle wydostać się z pułapki mierzei. Wąski pasek ziemi, który wydawał się tak idealnym miejscem, by zmusić Cezara do walki, teraz utrudniał wycofanie się z bitwy w jako takim porządku. Nie było innej drogi. Uciekający musieli biec bardzo szybko, aby ująć przed rozwścieczonymi legionistami Cezara. Nikogo nie szczędzono, a tysiące żołnierzy wroga ginęły, błagając o łaskę.

Wyglądało to tak, jakby każdy z legionistów Cezara wierzył, że może w pojedynkę zakończyć wojnę domową – stwierdził Romulus, obserwując, jak jego towarzysze bez skrupułów uśmiercają wszystkich przeciwników. Każdego, kto próbował stawiać opór, uciekać czy chciał się poddać. Rannego. Zdrowego. Z bronią i bez broni. Wszyscy padali pod ciosami. Ginęli nawet oficerowie Cezara, jeśli próbowali powstrzymać swoich ludzi. Widząc, co się święci, Atilusz nawet nie zamierzał interweniować. Chociaż Romulus znał przyczyny takiego zachowania swoich kompanów – mieli oni już serdecznie dość wiarołomnych pompejańczyków, którzy choć ulaskawieni przez Cezara, nie dotrzymywali słowa i wracali do armii walczącej z dyktatorem – sam nie potrafił zdobyć się na zabijanie bezbronnych. Po pierwszym uderzeniu, gdy uśmiercił kilku nieprzyjaciół, teraz tylko biegł obok Sabinusza i całej reszty i nie robił właściwie nic więcej poza

obserwowaniem, jak bitwa przemienia się w rzeź. Jego towarzysze w szale bojowym nawet tego nie dostrzegali.

Chyba właśnie z tego powodu uważny i spokojny Romulus pierwszy spostrzegł słonia.

Niemal wszystkie te ogromne bestie tak bardzo wystraszyły się wielkiej liczby oszczepów i strzał mknących w ich kierunku od strony legionistów Cezara i łuczników, że rzuciły się do ucieczki. O ile się Romulus orientował, żaden z nich nie zdążył się jeszcze zatrzymać. Żaden z wyjątkiem tego, który znajdował się właśnie w pobliżu. Z wielką liczbą wystających z jego pokrytego twardą skórą karku *pila* przypominał ogromną poduszkę na szpilki do szycia. Musiał zmienić kierunek biegu i teraz przedzierał się przez pompejańczyków w kierunku linii cezarian.

Prosto na Legion XXVIII.

Ryczał z bólu i gniewu i tratował ludzi stojących mu na drodze, łamiąc im kości niczym suche gałązki. Nie kierował nim już żaden kornak, prawdopodobnie trafiony wcześniej włócznią lub strzałą, więc słoń wybierał sobie drogę sam. W obłąkańczym szale zabijał ludzi i niszczył wszystko wokół. Romulus przekonał się, że pompejańczycy reagowali bardzo różnie. Jedni panikowali i zawracali, kierując się w stronę cezarian, rozpaczliwie rozpychając biegnących w przeciwną stronę towarzyszy. Inni starali się zachować spokój i walczyli tak, jak umieli, rzucając oszczepami w oczy i trąbę słonia. Jeszcze inni nieruchomieli z przerażenia, nie wiedząc, co czynić w obliczu takiego lewiatana. Wszystkie te strategie nie przynosiły żadnej z grup większego sukcesu, a sam Romulus zaczął się zastanawiać, co zrobiłby, gdyby przyszło mu stanąć oko w oko z taką bestią.

Słoń właśnie przedostał się przez ostatnie szeregi pompejańczyków i od razu wbił się w linię żołnierzy z Legionu XXVIII, którzy nie zostawali daleko w tyle za główną masą uciekających wrogów. Kilku mężczyzn wystrzeliło w powietrze, wyrzuconych siłą trąby poruszającej się jak wahadło z boku na bok. Inni zostali stratowani i wgnieceni w piasek, a kilku pechowców zginęło ugodzonych śmiertelnie ciosami słonia. Legioniści na próżno bronili się swoimi *gladii*, żałując, że nie ma przy nich specjalnie wyszkolonej kohorty z toporami. Romulusowi od

razu na myśl przyszedł Tarkwiniusz z jego zabójczym dwustronnym labrysem. Po jednym uderzeniu serca jego myśli popłynęły ku Brennusowi. Odezwało się dobrze znane uczucie winy, które zalało go niczym ropa wylewająca się z pękającego abscesu, ściągając Romulusa ku otchłani żalu i rozpacz. Bez względu na nadzieje związane z powrotem do Rzymu, jak mógł zostawić swojego brata krwi na pewną śmierć?

W pewnej chwili wydało mu się, że słoń wyczuł jego psychiczną udrękę. Uniósł właśnie jakiegoś krzyczącego żołnierza na jednym ze swoich kłów i wyrzucił wysoko w powietrze, po czym ciemne, wyłupiaste oczy skupiły się na Romulusie i jego towarzyszach. Machając trąbą na boki jak cepem, parł teraz prosto na nich. Legioniści tak bardzo bali się wielkiej bestii, że starali się tylko zejść jej z drogi, przez co zwierzę truchtało niepokojone środkiem otwierającej się przed nim ścieżki. Mężczyźni, krzycząc, przepychali się, żeby tylko znaleźć się jak najdalej od bestii. Im szybciej wydostanie się poza ich linię, tym lepiej.

Romulus stał jak słup soli, obrócony w stronę szalejącego zwierzęcia.

– Chodź! – usłyszał głos Sabinusza. – W nogi!

W odpowiedzi Romulus odrzucił *scutum*. Spojrzał na swój gladius. Żałował, że nie ma pod ręką długiego miecza Brennusa. Będzie musiał wystarczyć. Kim był, żeby próbować uniknąć boskiej kary? Bo to właśnie z powodu jego grzechów kierowany wolą bogów słoń zmierzał prosto na niego. To musiała być kara.

– Niech tak będzie... – wyszeptał Romulus i zrobił krok do przodu. Nie miał żadnego pomysłu, co robi, gdy stwór znajdzie się już w jego zasięgu, ale przynajmniej umrze jak mężczyzna. Nie będzie już żadnego uciekania – pomyślał, wspominając ostatni okrzyk bojowy Brennusa, wciąż jeszcze rozdzierający mu duszę.

Jego uszy wypełnił przeraźliwy ryk słonia, który na tak niewielkim dystansie był po prostu ogłuszający. Romulus nagle uświadomił sobie, że nie jest sam. Przekręcił głowę w prawo i z przerażeniem skonstatował, że obok niego stoi Sabinusz z mieczem i tarczą w dłoniach.

– Wynoś się stąd! – krzyknął. – To moje przeznaczenie.

– Głupcze! Na pewno cię teraz nie zostawię. Wiesz, jaką bym poniósł karę za opuszczenie towarzysza?

Romulus nie miał czasu na odpowiedź. Słoń znajdował się zaledwie kilka kroków od niego. Uniósł gladius i rzucił się do przodu. Ku jego zaskoczeniu bestia kompletnie go zignorowała. Zwierzę wykonało zgrabny unik, a przy tym uderzyło go bokiem potężnej głowy tak, że Romulus znalazł się na ziemi. Dysząc ciężko, obejrzał się za plecy. Z przerażeniem stwierdził, że słoń owinął Sabinusza trąbą i uniósł go w powietrze. Jego towarzysz wył ze strachu. Jako że obie jego ręce zostały unieruchomione wzdłuż tułowia, był bezradny jak dziecko owinięte chustą.

– Ejże! To mnie miałeś zabić! – Romulus wrzasnął.

Zupełnie nieświadomy swoich powinności słoń zamachał trąbą z unieruchomionym Sabinuszem, jakby kpił sobie ze wściekającego się małego człowieczka, a jednocześnie wydał z siebie potężny ryk.

Romulus skoczył na równe nogi. Na szczęście nie wypuścił z ręki miecza. Bez zastanowienia pobiegł za słońmi. Ukośne cięcie w przednią nogę wzbudziło tylko wściekły pisk, ale zwierzę nie uwolniło Sabinusza. Słoń odwrócił ciężką głowę w stronę Romulusa, zmuszając go do uniku. Jego twarda czaszka mogła roztrzaskać ciało legionisty, gruchocząc kości na kawałki. Błysnął kremowobiały cios, który przeciął ze świstem powietrze, chybiając Romulusa o włos. Musiał odskoczyć, modląc się w duchu, żeby nie stracić równowagi na dywanie trawy zasypałym martwymi ludźmi i bronią. Nie miał szans. Słoń nie robił sobie nic z ciosów zadawanych zwykłą bronią. A jego czeka śmierć. W pewnej chwili złapał kontakt wzrokowy z Sabinuszem. Zobaczył twarz wykrzywioną strachem. Na ten widok poczuł nową falę energii. Musiał uratować towarzysza! Nie mógł się tak po prostu poddać.

Uniósł gladius i skoczył w ślad za oddalającą się od niego trąbą. Znajdował się teraz jak na swój gust zdecydowanie za blisko wielkiego cielska. Zamachnął się mieczem, wkładając w cios największą siłę, na jaką go było stać. Żelazne ostrze przecięło skórę i znieruchomiło głęboko w ranie. Słoń zaryczał ogłuszająco z bólu, a gdy Romulus uwolnił miecz, w powietrze wystrzeliła fontanna krwi. Jednak słoń natychmiast ruszył do kontrataku, celując w Romulusa ciosami. Ten

wyczuł jednak, że słoń jest teraz jakby ostrożniejszy, utrzymując Sabinusza wysoko w zaciśniętej uniesionej trąbie. W reakcji na tę oznakę słabości słonia Romulus doskoczył błyskawicznie za odchodzącą głową i ciął mocno od dołu u podstawy trąby. Słoń znów zaryczał przeraźliwie. Krew zrosiła całe ciało Romulusa. Ku jego zaskoczeniu bestia nagle znieruchomiała i opuściła trąbę, jakby nie miała już siły dźwigać ciężaru człowieka. Sabinusz jęknął, a Romulus zdwoił wysiłki. To jedyna szansa! Siekł mieczem bez opamiętania, nie oglądając się na zachowanie bestii. Jego ramię poruszało się błyskawicznie tam i z powrotem. Drugi, trzeci... szósty raz. Czaszkę rozrywały mu ogłuszające dźwięki, wydawane przez rannego słonia, ale on w zapamiętaniu nie przerywał pracy nawet na jedno uderzenie serca.

Musiał podziękować bogom za to, że nigdy nie zaniedbał starannego ostrzenia obosiecznego miecza. Gladius był tak ostry, że z łatwością mógł nim golić włosy na przedramieniu, a teraz sprawdzał się w tej chwili próby. Sabinusz opadł na ziemię pośród mgły krwi tętniczej słonia, który cofnął się o kilka kroków. Całkowicie pochłonięty bólem i cierpieniem, obrócił się wokół własnej osi, po czym ruszył tam, skąd przybył.

Romulus złapał Sabinusza za ramię. Twarz towarzysza była bielsza niż kreda folusznika używana do barwienia tóg.

– Jesteś ranny?

Sabinusz nie potrafił wyrzec ani słowa, ale pokręcił przecząco głową.

Romulus pomógł mu wstać, uśmiechając się przy tym szeroko jak człowiek pozbawiony rozumu.

– Wszystko w porządku. Jesteś bezpieczny.

Gdy Sabinusz odzyskał głos, nie mógł opanować drżenia.

– Naprawdę musisz być wybrańcem bogów – wyszeptał, jękając się. – Któż inny poradziłby sobie z taką bestią?

Do Romulusa nagle dotarł ogrom tego, czego dokonał. Chociaż miał pod ręką tylko krótki miecz, udało mu się zmusić słonia do ucieczki. Zaczął się zastanawiać, czego potrafiłby dokonać o wiele silniejszy przecież od niego Brennus z długim galijskim mieczem w dłoni. I wtedy ulga z uratowania skóry Sabinusza zniknęła, zalana nową

falą goryczy i poczucia winy.
Czy Brennus mógł przeżyć?

Rozdział XIX

Cztery triumfy



W pobliżu Ostii, późne lato 46 r. p.n.e.

Zerwał się mocniejszy wiatr, który natychmiast wypełnił główny żagiel triremy. Okręt z każdą chwilą nabierał prędkości, przecinając pewnie morskie fale i zostawiając za sobą długie odkosy. Rytm wybijany na pokładzie na bębnach nie zmieniał się jednak. Trzy rzędy wiosła z każdej burty poruszały się dalej w normalnym tempie, o połowę wolniejszym niż bicie serca człowieka. Chociaż synchroniczny taniec wiosła miał w sobie jakieś piękno, praca wioślarzy była niezwykle ciężka. Musieli znosić upał, ciasnotę i pracę ponad siły. Romulus stał na pokładzie dziobowym tylko w tunice i *caligae*, ciesząc się w duchu, że nigdy nie przyszło mu do głowy, aby służyć w marynarce. Chociaż wioślarze byli ludźmi wolnymi, jego zdaniem ich praca była o wiele cięższa niż praca legionisty. Fizycznie wymagano od nich więcej niż od żołnierzy, którzy mieli tylko maszerować i walczyć, nie obawiając się na przykład utonięcia. Triremy świetnie sprawdzały się na spokojnych wodach w pobliżu wybrzeży, ale podczas złej pogody lub na otwartym morzu stawały się śmiertelnymi pułapkami. Romulus wciąż pamiętał, jak wiele jednostek poszło na dno podczas przeprawy armii Krassusa do Azji Mniejszej. Flota Cezara również nie była odporna na kaprysy pogody.

Krassus? Partia? To przeszłość. Lato dobiegało końca, a dziesięć trirem właśnie zbliżało się do Ostii, portu pełniącego funkcję morskiej bramy Rzymu. Romulus czuł przepełniającą go radość. Wracał do domu.

Jako wolny obywatel! Jeszcze niedawno wydawało mu się to zupełnie niemożliwe, ale podczas długiej podróży z Afryki zdążył się przyzwyczaić już do nowej rzeczywistości. Wystarczył mu jeden rzut oka na dwie złote *phalerae* w plecaku, żeby uświadomić sobie, że nie śni. W końcu tego typu odznaczenia mógł otrzymać jedynie obywatel. Druga została mu przyznana za uratowanie życia Sabinusza. Romulus uśmiechnął się na wspomnienie słów wypowiedzianych przez Cezara, gdy przypinał mu złoty krążek do kolczugi. „Chcesz sam wygrać tę wojnę, żołnierzu?”.

Oczywiście nie tylko dokonania Romulusa zdecydowały o zakończeniu kampanii, ale faktem jest, że ta w Afryce dobiegła końca wraz ze zwycięstwem pod Tapsus. Po kilku miesiącach oczyszczania nadbrzeżnych prowincji z resztek oddziałów pompejańskich Cezar wracał do stolicy w glorii, aby uświetnić swoje wiktorie nie jednym, ale czterema triumfami. Dzięki ogromnej pracy stronników Cezara senat zgodził się, aby uczcić cztery zwycięskie kampanie: w Galii, Egipcie, Azji Mniejszej i Afryce. Ponadto senatorowie ogłosili czterdziestodniowe święto na cześć najnowszego zwycięstwa dyktatora, udając, że Cezar pokonał numidyjskiego króla, a nie Scypiona i innych republikanów. Nie zająknięto się przy tym ani słowem o pierwszym sukcesie, czyli zwycięstwie Cezara nad zbuntowanymi Rzymianami pod Farsalą, gdzie jego legiony pobiły dwukrotnie większą armię dowodzoną przez samego Pompejusza.

Romulus przyglądał się z podekscytowaniem brzegom półwyspu przesuwającym się z prawej burty, wciąż nie mogąc się nadziwić, jakim sposobem to właśnie on i Sabinusz towarzyszą Cezarowi w tej podróży. A jednak to była prawda. Po bitwie pod Tapsus legaci z wszystkich dziesięciu legionów zostali poproszeni o wybranie po ośmiu żołnierzy z każdej jednostki, którzy mieli tworzyć gwardię honorową Cezara na czas jego triumfów. Każdy legionista chciał dostąpić takiego zaszczytu. Jako że starsi centurionowie i liniowi oficerowie lepiej orientowali się w dokonaniach swoich ludzi, to właśnie na nich legaci scedowali prawo wyboru najlepszych żołnierzy z poszczególnych legionów.

Wielu towarzyszy widziało walkę Romulusa ze słoniem i słyszało o jego zakończonej połowicznym sukcesem misji unieszkodliwienia

Petrejusza. W konsekwencji Romulus i Sabinusz mogli liczyć na poparcie Atiliusza, który zdecydował, iż to właśnie oni powinni reprezentować Legion XXVIII w Rzymie. Tak długo upierał się przy swoim, że w końcu wybrano grupę reprezentacyjną, w której skład wchodził jeden *optio*, jeden *signifer*, czterech szeregowych legionistów oraz właśnie dwójka przyjaciół. Wszyscy otrzymali rozkaz zaokrętowania się na jednostki wracające do Italii. Tymczasem reszta armii miała udać się do Hiszpanii, gdzie dwaj synowie Pompejusza zbierali wielkie siły, buntując niezadowolone z rządów Rzymian lokalne plemiona.

Żołnierze tworzący gwardię honorową mieli wrócić do swoich jednostek macierzystych zaraz po zakończeniu triumfów. Cezar poinformował ich o tym osobiście, jeszcze zanim znaleźli się na okrętach zmierzających do Italii. *A zatem czeka mnie tylko krótka wizyta w Rzymie i nie będę miał za dużo czasu, aby rozpocząć poszukiwania Fabioli lub Gemellusa.* Romulus próbował zignorować tę gorzką myśl. Sabinusz, pochłonięty tymczasem grą w kości z trzema innymi legionistami, też nie będzie miał szansy zobaczenia swojej rodziny. Podobnie jak inni jego towarzysze. Wielu z nich – jeśli nie wszyscy – od kilku lat nie widziało swoich domów. *Dlaczego ze mną miałoby być inaczej?* Gdy jego wzrok padł na niewysoką postać w czerwonym płaszczu na pokładzie pierwszej triremy, pomyślał z poczuciem winy o tym, jak wielkim wyróżnieniem było uczestniczenie w tej wyprawie. Czy miał jakieś podstawy, aby oczekiwać innego traktowania? Czy mógł spodziewać się czegoś innego niż kolejna kampania, gdy zakończy się świętowanie? Był tylko zwykłym legionistą i jako taki musiał robić to, co mu kazano, aż do dnia, gdy jego służba dobiegnie końca. Jeśli przeżyje.

Romulus zdawał sobie sprawę, że na jego samopoczucie ma wpływ nie tylko zwykłe pragnienie rozpoczęcia nowego życia. Od wielu miesięcy regularnie wracał myślami do walki ze słoniem. Ta obsesja stawała się jego codzienną rutyną. Świadomość, że mógł nie tylko wyjść z tego starcia bez szwanku, ale również uratować życie Sabinuszowi, tkwiła w jego umyśle niczym cień. Oczywiście nie mógł mieć żadnej pewności, że Brennus – podczas tamtej bitwy daleko na rubieżach

znanego mu świata – mógł dokonać tego samego co on pod Tapsus. *Gdybym tylko mógł poprosić o pomoc Tarkwiniusza! Może haruspik byłby w stanie zebrać jakieś wskazówki z wiatru i chmur. Wystarczyłaby mała podpowiedź. Tylko gdzie teraz podziewa się Tarkwiniusz?* Romulus ciężko westchnął. Od czasu wydarzeń w Margianie sam nie odważył się podjąć próby sięgnięcia po podpowiedzi zsyłane przez bogów. Bez Tarkwiniusza pewnie przyjdzie mu zaakceptować niepewność i wątpliwości. A to było o wiele gorsze niż uznanie, że jego wielki przyjaciel nie żyje.

Jak zawsze każda myśl dotycząca haruspika była podszyta podejrzeniami. Czy Tarkwiniusz mógł wiedzieć, że Brennus ma duże szanse w walce ze słoniem? Romulus nie był pewien. Gdy rozmawiali o pożegnaniu z Galem, nigdy nie miał wrażenia, że Tarkwiniusz coś ukrywa. Tylko że to nic jeszcze nie znaczyło. Etrusk był mistrzem w ukrywaniu swoich emocji.

Daj spokój. Jaki by nie był Tarkwiniusz, nie można go oskarżyć o to, że jest złym człowiekiem. Jego reakcja w Aleksandrii świadczyła o tym, że sam nie zdawał sobie sprawy, jak uśmiercenie Rufusa Celiusza wpłynęło na losy jego przyjaciół. Wiara w to, że każdy człowiek jest kowalem swojego losu, nie pozwoliła mu powstrzymać Brennusa, nawet gdyby ten podejmował się misji samobójczej. Chociaż Romulus przez lata borykał się z poczuciem winy, miał taki sam stosunek do kwestii wyboru własnego losu i przeznaczenia jak haruspik.

– Ahoj! Przed nami Ostia! – poinformował obserwator na dziobie.

Romulus musiał odsunąć od siebie niepokojące myśli.

Był prawie w domu.

Fabiola przyglądała się leżącej przed nią martwej kurze. Gardło zwierzęcia zostało poderżnięte, a wnętrzności starannie ułożone na ziemi na potrzeby dokładnej analizy.

– Powtórz jeszcze raz.

– Oczywiście, pani – wróżbita przełknął ślinę, a jabłko Adama powędrowało mu w górę i w dół pod skórą chudej szyi. Owinięty w brudne łachmany mężczyzna podający się za haruspika miał na głowie typowe, tępo zakończone nakrycie głowy, wykonane ze skóry. W prawej ręce dzierżył pokryty krwawymi smugami i plamkami rdzy krótki nóż.

Postługując się nim jak wskaźnikiem, powtórzył swoje proroctwo. – Wkrótce znajdziesz męża. Potężnie zbudowanego mężczyznę o brązowych włosach. Może żołnierza? – haruspik łypnął chytrze na Fabiolę, starając się zbadać jej reakcję. – A może będzie to wysoko urodzony nobil? – Uśmiechnął się, odsłaniając rząd ciemnych od próchnicy zębów.

– Kłamca! – Fabiola splunęła. – Antoniusz nigdy się ze mną nie ożeni. Za kogo mnie masz? Za jedną z tych naiwnych idiotek, którym sprzedajesz takie bajki?

Zaskoczony mężczyzna opuścił głowę, udając, że przygląda się jelitom. Myszkował brudnym palcem zakończonym długim paznokciem to tu, to tam w poszukiwaniu wiedzy. Wolałby, żeby ta sesja dobiegła już końca, ale wiedział, że nie skończy się dobrze, jeśli nie wypadnie przekonująco.

Fabiola zerknęła na haruspika, tracąc cierpliwość. Bębniła palcami o poręcz krzesła, na którym siedziała. Byli sami na dziedzińcu Lupanaru. Głupca siedzącego teraz u niej polecało jej kilku klientów, a wezwała go do Lupanaru, żeby uniknąć plotek, jakoby potrzebowała pomocy. Tymczasem miała powody, by prosić bogów o wskazówki. W noc śmierci Docilosy jej życie zmieniło się nie do poznania. Wszystko przez jednego człowieka. Fabiola czuła wielki strach na samo wspomnienie o Marku Antoniuszu. Dlaczego w ogóle się z nim zadawała? Jej regularne wizyty w mitreum i w świątyni Jowisza niczego nie zmieniły. Wciąż przepełniona poczuciem winy i wstydu z powodu losu swojej powiernicy Fabiola nie miała śmiałości, aby udać się do sanktuarium Orkusa z obawy przed spotkaniem z Sabiną. Wydawało się, że kapryśni bogowie chcieli jej dać nauczkę. A może całkowicie spisali ją na straty? Fabiola czuła gorycz, która rozlewała się po całym jej ciele.

Skrzywiła się na wspomnienie reakcji Brutusa, gdy przyznała się do romansu z Antoniuszem. Ta myśl obciążała jej sumienie nawet w tej chwili. Powiedział: „Kurwa zawsze zostanie kurwą”. Tymczasem cel działań Fabioli nie uległ zmianie. Tylko śmierć mogła ją powstrzymać od wypełnienia misji, jaką sama sobie obrała: zabicie Cezara. Rozstanie z Brutusem ograniczyło jej szanse związane z rekrutacją potencjalnych spiskowców. Wyglądało na to, że tylko garstka klientów gotowa była

przyznać się do nienawiści wobec dyktatora. Pomimo że Cezar na ogół łagodnie traktował swoich dawnych wrogów, strach przed odwetem był zbyt wielki. *Jakże nisko upadłam. Siedzę tu i czekam, aż ten hochsztapler wypełni moją głowę fałszywymi obietnicami, kiedy tak naprawdę powinnam pracować nad odbudową relacji z Brutusem lub zdobyciem nowego, potężnego kochanka, który nienawidzi Cezara. Jakby ten oszust mógł mi powiedzieć, jak mam to osiągnąć.*

– No i co? – zachnęła się.

Haruspik nie potrafił ukryć zdenerwowania. Spojrzał na nią, a mięśnie na jego twarzy drgały, zdradzając prawdziwe emocje. Przed wizytą w Lupanarze przygotował się najlepiej, jak mógł. Wiedział o romansie właścicielki tego przybytku z Antoniuszem i o jej rozstaniu z Brutusem. Jeśli nie pragnęła rzeczy oczywistych, takich których pragnie większość kobiet w jej sytuacji – małżeństwa z Antoniuszem – to nie był w stanie określić, czego oczekuje po przepowiedni.

– Stary kochanek do ciebie wróci... – powiedział, desperacko łapiąc się ostatniej myśli. Zgadywał.

Fabiola wyprostowała się, unosząc wysoko brodę. Wiało od niej chłodem, gdy wpatrywała się w haruspika.

– Mów dalej... – rzekła oschle.

Zadowolony z tego małego sukcesu haruspik postanowił zmienić ton na nieco bardziej liryczny.

– Gdy znów się zjednoczycie, wszystko będzie, jak było. Twój kochanek awansuje i zyska sobie jeszcze większe łaski u Cezara. Waszej wspólnej przyszłości już nic nie zagrozi. Pojawią się dzieci...

– Zamknij się! – krzyknęła Fabiola. – Czy myślisz, że zadowolę mnie obiecywanie tego wszystkiego, czego twoim zdaniem pragnę?

– Pani, ja...

– Jesteś zwykłym oszustem – głos Fabioli przepełniała pogarda. – Wynoś się.

Mężczyzna kłaniał się i wił, ze wzrokiem wbitym w ziemię, zbierając jednocześnie do brudnej skórzanej torby części zarżniętej kury. Przynajmniej będzie miał co włożyć do garnka na dzisiejszą kolację. Gdy skończył, zaryzykował spojrzenie na Fabiolę.

– Moja zapłata?

Fabiola roześmiała się.

– Benignusz!

Wielki odźwierny natychmiast pojawił się w drzwiach. Musiał stać tuż za nimi. Jak zwykle w ręku trzymał długą pałkę obitą metalem. Nie dało się nie zauważyć sztyletu, zawieszzonego na szerokim skórzanym pasie.

– Tak, pani?

W oczach wróżbity pojawił się strach, ale mężczyzna nie ruszył się z miejsca. Benignusz tarasował drzwi.

– Wyrzuć tego durnia.

Benignusz zrobił kilka kroków i mocno chwycił mężczyznę za ramię.

– Załatwmy to po cichu, a nic ci się nie stanie. Masz wybór.

Haruspik pokiwał głową. Jakiegokolwiek protesty oznaczałyby ból złamanych kości lub coś o wiele gorszego. Ruszył za Benignuszem potulny jak baranek.

Fabiola pogrzyła się w myślach, patrząc niewidzącym wzrokiem na ślady krwi na posadzce. Ta inscenizacja bez wątpienia była jednym wielkim oszustwem, ale to wcale jej nie uspokoiło. Nie chciała radosnego połączenia z Brutusem, jeśli nie przekona go do swojej sprawy. Nie liczy na żadne szczęśliwe życie rodzinne, zanim Cezar nie zapłaci za swoje zbrodnie. Jej matka musi zostać pomszczona.

Fabiola przez dłuższy czas siedziała bez ruchu. Słońce schodziło coraz niżej po nieboskłonie, a cienie na dziedzińcu z każdą chwilą stawały się coraz dłuższe. Temperatura zaczęła spadać i Fabiola zadrżała. Wiedziała, że użalanie się nad sobą w niczym jej nie pomoże. Może ten haruspik miał trochę racji. Może Brutus wróci do niej, jeśli przestanie widywać się z Antoniuszem? Iskra nadziei błysnęła w umęczonym sercu Fabioli, chociaż jej gardło ścisnął strach na myśl o tym, jak zachowa się *magister equitum*, gdy odrzuci jego awanse. Mimo wszystko postanowiła, że będzie silna. Jeśli niczego w swoim życiu nie zmieni, nie będzie miała po co żyć. Przecież dawniej też często ryzykowała głową i jakoś udało jej się przetrwać trudne chwile.

Ta myśl nieco podniosła ją na duchu.

Postanowiła, że wybierze się na obchody któregoś z triumfów

Cezara i poszuka Brutusa. W miejscu publicznym nie będzie mógł się przed nią schować i zebrzać, jeśli zajdzie taka potrzeba, może przekona go do tego, żeby do niej wrócił. Antoniusz też tam będzie, ale z pomocą bogów może uda jej się przed nim skryć. W tej chwili wołała nie zaprzętać sobie tym głowy. Lepiej koncentrować się na pozytywach. Być może spotka kogoś, kto służył w Egipcie razem z Romulusem. Miło było tak pofantazjować. Wiedziała, że to tylko mrzonki, ale mimo wszystko to jakoś poprawiło jej humor.

Tarkwiniusz widział, jak mężczyzna w czapce wróżbity wylatuje przez drzwi Lupanaru. Wylądował na ubitej, twardej ziemi w płataninie kończyn, z hukiem, który mógł świadczyć o tym, że połamał sobie jakieś kości. W drzwiach pojawił się jeden z wielkich ochroniarzy domu publicznego.

– Nie wracaj tu...

Człowiek o posklejanych strąkach zamiast włosów, najwyraźniej udający augura, podniósł torbę wykonaną z rozpadającej się ze starości skóry. Tarkwiniusz skrzywił się na jego widok, chociaż w pewnym sensie czuł się teraz takim samym oszustem, jak on. Wybrał się w góry, jednak nie znalazł tam tego, czego szukał. Mimo to było warto. Przynajmniej pochował kości swoich rodziców w grobowcu, tak jak przystało na potomków Etrusków. Nie mógł opanować wzruszenia i poczucia satysfakcji z dobrego uczynku. Resztę dnia spędził przy grobie Olenusa i to w pewnym stopniu ukojiło na nowo rozbudzony żal. Chociaż jego dawny mentor zmarł tragiczną śmiercią, wyszedł na spotkanie swojego przeznaczenia z szeroko otwartymi oczyma. Podjął decyzję, która zasmuciła Tarkwiniusza, lecz której nie można było nie uszanować. Potem wybrał się do jaskini. Ku swojemu przerażeniu znalazł tam roztrzaskany na kawałki wspaniały rydwan bojowy. Pewnie była to sprawka legionistów towarzyszących Celiuszowi. Podobny los spotkał piękne ścienne malowidła, które zostały zniszczone. Wszystkie z wyjątkiem malowidła przedstawiającego Charona. Nawet Rzymianie bali się demona podziemi. To po raz kolejny boleśnie uświadomiło Tarkwiniuszowi, że Rzymianie dopuszczali się świadomego niszczenia dowodów istnienia jego ludu, co skazywało niegdyś dumną i potężną Etrurię na całkowite zapomnienie. Ta cywilizacja zniknęła na zawsze,

starta z powierzchni ziemi. Czuł się tak bardzo samotny. Jakże mocno pragnął zobaczyć Romulusa! To pragnienie sprawiło, że postanowił jak najszybciej odkryć prawdziwą przyczynę sprowadzenia go przez bogów z powrotem do Italii.

Haruspik wykopał wcześniej wykonaną z brązu wątrobę. Zabrał ją ze sobą w góry w nadziei, że pomoże mu w lepszym wykorzystaniu mocy i że wreszcie uda mu się zerknąć za zasłonę skrywającą przyszłość. Jednak po raz kolejny jego plan zakończył się fiaskiem. Podczas wspinaczki natknął się na pulchną owieczkę, którą ofiarował bogom w nadziei, że zostanie oświecony. I tym razem nie wyczytał niczego z wnętrzości zwierzęcia ofiarnego. W niezwykłym dla Tarkwiniusza akcie utraty samokontroli złorzeczył głośno i przeklinał, wygrażając pięściami chmurom i kilku sępom unoszącym się na niebie. Oczywiście wszystko na nic. Poczul się tylko wyjątkowo głupio. Dopiero gdy się uspokoił, doznał objawienia.

Bogowie pokazali mu jasny i wyraźny obraz, w którym widział siebie samego w Rzymie. I stojącego samotnie Cezara. Na niebie zbierały się sinoczarne burzowe chmury. Potem w krótkich odstępach czasu zobaczył Romulusa i Fabiolę. Jego wcześniejsze podejrzenia o ich pochodzeniu przerodziły się w pewność. Jednak bliźniaki nie wyglądały na szczęśliwych, co zmartwiło Tarkwiniusza. Czy groziło im jakieś niebezpieczeństwo? Ze strony Cezara? Dlaczego? Przynajmniej miał jasność, że jest potrzebny w stolicy. Zakopał wątrobę w miejscu, w którym schował też pięknie zdobiony miecz Tarkwina. Zrezygnował z powrotu do latyfundium i spotkania z Cecyliuszem. Wielka bryła z brązu była zbyt nieporęczna, żeby mógł ją ze sobą zabrać do Rzymu, a miecz za bardzo przyciągałby uwagę. Przez chwilę zastanawiał się gorzko, do czego byłby zdolny ktoś taki jak Cezar, żeby wejść w posiadanie takiej broni. Może przekaze później komuś informację o miejscu zakopania artefaktów. Miał przynajmniej nadzieję, że znajdzie kogoś godnego tej wiedzy. Maszerując na południe, wiedział już, że to będzie jego ostatnia wizyta w miejscu, które mógł nazywać swoim domem.

Dotarwszy do Rzymu, haruspik od razu skierował się pod bramę Lupanaru, aby sprawdzić, czy nie dzieje się coś, co wymagałoby jego interwencji. Obraz przedstawiający wyrzucanego brutalnie oszusta

udającego augura znaczył dla niego więcej niż tysiąc słów. Takiej nagrody się nie spodziewał. Okazało się bowiem, że Fabiola również poszukuje wskazówek bogów i nie da się zwieść byle łgarzowi. Gdy Tarkwiniusz zrozumiał konsekwencje wynikające z tego wniosku, zerwał się na równe nogi. Upomniął się w myślach, że powinien zachowywać się jak kaleka, jednak trudno mu było zachować pozory, gdy próbował doścignąć szarlatana. Miał nadzieję, że jakieś słowo pocieszenia wyszeptane do ucha mężczyzny, a może moneta lub dwie rozwiążą język oszustowi i pozwolą zdobyć kilka istotnych informacji na temat siostry Romulusa.

Jeśli bogowie nie chcą mu pomóc, musi wziąć sprawy w swoje ręce.

Pierwszy tryumf Cezara miał być świętem, podczas którego chciano umożliwić rzymskiemu ludowi celebrowanie podboju Galii. Chociaż ani Romulus, ani żołnierze z Legionu XXVIII nie brali udziału w tej kampanii, stanowili teraz część gwardii honorowej dyktatora i mieli mu towarzyszyć podczas pochodów. Przygotowania do wszystkich czterech triumfów trwały kilka tygodni. Codziennie o świcie na Campus Martius – wielkim placu znajdującym się w północnozachodniej części miasta – zbierała się gwardia, siedemdziesięciu dwóch *lictors* i setki innych żołnierzy z różnych legionów. Wiecznie niezadowolony mistrz ceremonii zmuszał ich do prób i powtórzeń przez kilka godzin dziennie. Żołnierze narzekali, ale każdy robił to, co mu kazano. Cezar nie życzył sobie żadnych wpadek organizacyjnych, a przecież podczas takich ćwiczeń nikt nie ryzykował własnym życiem. Nie to, co na wojnie.

Romulusowi i jego towarzyszom nie wolno było opuszczać obozu znajdującego się na obrzeżu miasta, chyba że w jakiejś oficjalnej sprawie związanej z obchodami. Nie mógł zatem rozpocząć na własną rękę poszukiwań Fabioli czy Gemellusa. Jakaś jego część nawet się z tego cieszyła. Nie bardzo wiedział bowiem, od czego miałby zacząć. W Rzymie mieszkało prawie milion ludzi. Czy może mieć pewność, że jego siostra przebywa w stolicy? Jeśli Gemellus stracił wszystkie pieniądze, zapewne nie było go stać na utrzymanie domu, w którym wychował się Romulus. Miał dziwne poczucie bezradności. Teraz? Gdy spełniło się jego marzenie o powrocie do Rzymu? Za to osłabło z jakiegoś powodu

poczucie winy związane z opuszczeniem Brennusa. Romulus cieszył się z tego. Nie mógł przecież do końca życia sprawiać sobie bólu.

Atmosfera pełnego radości święta również pomagała w zapomnieniu o smutkach i cierpieniach. Romulus i jego towarzysze wszędzie witani byli jak bohaterowie. Niemal zawsze zbierał się wokół nich wianuszek chłopców i dziewcząt, które prosiły o zgodę na potrzymanie *gladii* lub tarcz. Wdzięczne gospodynie domowe częstowały ich chlebem, owocami i winem, a starsi obywatele miasta zasypywali błogosławieństwami. Romulus nigdy czegoś takiego nie przeżył. Gdy dorastał w Rzymie jako niewolnik, większość ludzi udawała, że w ogóle go nie zauważa. Był tylko istotą, której się rozkazuje lub która powinna zejść obywatelowi z drogi. A teraz był bohaterem. Zdobywcą. I czuł się z tym wyśmienie. Postanowił, że będzie ignorował słabe ukłucia niepokoju, emocje od czasu do czasu wydostające się na powierzchnię spod całunu radości i zadowolenia. Po wielu latach znoju i niebezpieczeństw, którym musiał stawiać czoła, teraz zapragnął pławić się w blasku sławy, póki miał ku temu okazję.

Dziesiątki tysięcy mieszkańców wsi z całej Italii przybywały do Rzymu, aby zobaczyć triumfy. Na każdej wolnej przestrzeni pojawiły się lasy namiotów. Hojność Cezara nie miała granic – dyktator co drugi dzień wydawał wielkie uczty dla pospólstwa. Tysiące stołów ustawiono na *fora*, a każdy z nich uginał się pod ciężarem dobrego jedła i wina. Codziennie publiczność mogła oglądać zawody sportowe lub zmagania atletów, wyścigi rydwanów lub walki w amfiteatrze Pompejusza. Do stolicy sprowadzono setki lwów, które ginęły w zaaranżowanych z przepychem wielkich polowaniach. Mówiono nawet o szykowanej wielkiej atrakcji – bitwie morskiej, do której miało dojść na specjalnie przygotowanym sztucznym jeziorze, powstałym dzięki spiętrzeniu wód Tybru. Romulus miał oczywiście mieszane uczucia odnośnie do walk gladiatorów. Z jednej strony czuł palącą nienawiść do *lanistae*, którzy wysyłali ludzi na śmierć ku uciesze gawiedzi łaknącej krwi. Z drugiej strony z areną związane były jego nostalgiczne wspomnienia z czasów braterstwa broni z Brennusem w *Ludus Magnus*. Wspominał wtedy wszystkie te trudne chwile, które razem przeżyli. Poza tym pewna myśl nie dawała mu spokoju. Gdy przyjdzie czas i zostanie zdemobilizowany,

będzie musiał jakoś zarabiać na życie. A znał się jedynie na wojaczce. Wiedział, jak walczyć na arenie. Znał tylko to i życie żołnierza. Od zastanawiania się nad przyszłością bolała go głowa, dlatego podobnie jak myśl o odszukaniu Fabioli także i te rozważania odsunął na później.

Romulus uznał, że zapamięta pierwszy triumf do końca życia. Kolumna uformowała się na Campus Martius wcześniej rano. Cezara poprzedzała grupa *lictors* – po dwudziestu czterech na każdą jego kadencję jako dyktatora. Wódz jechał we wspaniałym rydwaniu, ciągniętym przez cztery rumaki. Ubrany był w lśniąca białą togę z fioletowymi wstawkami. Jego twarz pomalowano na czerwono, w barwy zwycięstwa. Niewolnik trzymał nad jego głową wieniec laurowy. Cezar wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać wielki wódz. Romulus wykrzykiwał ile sił ochryplym głosem wiwaty aż do chwili, gdy interweniował mistrz ceremonii.

Gwardia honorowa przemaszerowała przed łaskawie spoglądającym na nich Cezarem. Ich hełmy, pancerze i umba tarcz wypolerowano tak, że lśniły, jakby wykonano je ze złota. Za nimi szli weterani kampanii galijskiej, mężczyźni, którzy przeszli cały szlak bojowy, od podnóża Alp aż po morze leżące daleko na północy. Żołnierze biorący udział w dziesiątkach straszliwych bitew, w których przyszło się im mierzyć z wrogami dysponującymi ogromną przewagą liczebną. To była elita armii. Najlepsi ludzie z Legionów V, X, XIII i XIV, którzy kochali Cezara jak ojca i gotowi byli pójść za nim nawet do Hadesu, gdyby tego zażądał.

Potem ciągnęły kolumny jeńców z tej kampanii, część Galów wybranych z setek tysięcy więźniów Cezara. Prowadził ich nie kto inny, jak sam Wercyngetoryks, z ciężkimi kajdanami na nadgarstkach i kostkach. Dzielnym wódcą, który przez wiele miesięcy dowodził powstaniem i bronił swoich współplemieńców. Po sześciu latach w niewoli był już jednak cieniem samego siebie. Tego dnia wyglądał po prostu jak zwykły starzec, z poskręcanyimi, długimi włosami, brodaty nieszczęśnik, którego martwe oczy wiele mówiły o tym, co przeszedł w niewoli. Za jeńcami toczyły się wozy z łupami z Galii. Usypano na nich stosy mieczów, toporów i tarcz, należących niegdyś do wojowników pokonanych plemion, a także złoto, srebro i cenne przedmioty. Na

innych wozach umieszczono wielkie obrazy przedstawiające dokonania Cezara i tablice upamiętniające niesamowite statystyki: liczbę zabitych żołnierzy wroga, miejsca zwycięstw, wielkość zajętego w imieniu Rzymu terytorium.

Cezar jechał na końcu, pozdrawiając wiwatujący tłum.

To było prawdziwie oszałamiające widowisko.

Jednak nie wszystko szło zgodnie z planem. Zaraz po tym, jak Cezar przybył do miasta, w jego rydwanie pękła oś. Wśród postronnych obserwatorów tego zdarzenia rozległy się wtedy zabobonne okrzyki. Jednak Cezar zachował spokój. Zaczął rozrzucać sakiewki pełne monet i natychmiast nakazał sprowadzenie drugiego wozu. Romulus i jego towarzysze śmiali się głośno, słysząc, jak łatwo udało się odciągnąć uwagę tłumu od tego, co wydawało się złym omenem. Z kolei ich obawy rozwiała ofiara Cezara, który pod koniec triumfalnego marszu, jak zawsze kończącego się u stóp świątyni Jowisza na Kapitolu, aby przebłagać bogów, pokonał schody sanktuarium na kolanach, wśród okrzyków obserwujących jego wysiłek żołnierzy. Wtedy do Cezara zbliżyli się prominentni senatorowie i grupa arystokratów, nie szczędząc pochwał w uznaniu oszałamiających zwycięstw podczas podboju Galii. Wreszcie ostatnim akordem ofiary dla najważniejszego boga, opiekuna Republiki, było rytualne uduszenie Wercyngetoryksa.

Oszalały z żądzy krwi tłum falował.

Romulus na ten widok odczuwał nudności. Jego zdaniem wielki wódz, który tak długo opierał się Cezarowi, zasłużył na lepszą śmierć. Nie mógł znieść dźwięków duszenia i widoku przerażonych oczu, obrzękniętej twarzy i fioletowego języka. Aby zapomnieć o upiornym obrazie, Romulus tej nocy wypił tyle wina, jak jeszcze nigdy do tej pory. On, Sabinusz i inni żołnierze gwardii honorowej w pełni korzystali ze swoich uprawnień i zarekwirowali dla siebie narożnik Forum Olitorium. Ustawiono tam mnóstwo stołów z półmiskami z chlebem, mięsem, oliwkami i różnymi napitkami. Wszystkiego było akurat tyle, aby zaspokoić osiemdziesięciu mężczyzn przez jeden wieczór. Chociaż wino zostało jak zwykle rozwodnione na modłę rzymską, nie znaczy to wcale, że nie dawało się nim upić, jeśli tylko udało się komuś wypić wystarczająco dużo. Za suto zastawionymi stołami mogli wreszcie dać

upust swojej radości. Wszak wrócili do Italii cali i zdrowi mimo wszystkich niebezpieczeństw. Rzucili się na mięso. Szarpali je zębami, nie troszcząc się o zasady dobrego zachowania. Popijali wino prosto z dzbanów. Romulus też nie próżnował.

Wśród oddanych do ich dyspozycji luksusów znajdowało się nie tylko jedzenie i picie. Mieszkanki miasta dopadły ludzi Cezara niczym furie, oddając im swoje ciała dobrowolnie i bez żadnych oporów. Ci, którzy walczyli dla chwały Rzymu, zasłużyli na wszystkie zbytki. Pijany Romulus zaciągnął jakąś śliczną dziewczynę mniej więcej w swoim wieku do alejki, gdzie w szaleńczej orgii spoconych ciał przez dłuższy czas kopulowali w zapomnieniu niczym zwierzęta. Większość jego kompanów nie przejmowała się niczym i robiła to samo przy stołach, na widoku, wśród krzyków dopingujących towarzyszy. Zabawa trwała przez większą część nocy, dopóki legioniści jeden po drugim nie zaczęli zwałać się na ziemię i zapadać w pijacki sen pośród rozbitych kubków, rozlanego wina i resztek potraw.

Następnego ranka wszyscy cierpieli na potworny ból głowy. Dowodzący nimi centurion – zręczliwy weteran Legionu X – tym razem postanowił dać im spokój. Dzień po triumfie trudno było utrzymać wysoką dyscyplinę w armii. Zresztą i tak czekał ich dzień odpoczynku, zanim będą potrzebni, by uczestniczyć w kolejnym triumfie. Romulus musiał przyznać, że ta chwila wytchnienia okazała się prawdziwym błogosławieństwem. Nie potrafił się skupić i przez cały czas walczył z mdłościami. Nie mógł nic przełknąć. Łyknął tylko trochę wody. Stracił już rachubę, ile razy wymiotował. Pół siedział, pół leżał na ławie, gorzko żałując, że pozwolił sobie na takie opilstwo.

– Raduj się! – tak samo skacowany Sabinusz poklepał go po ramieniu.

– Niby to dlaczego? – Romulus jęknął.

– Czekają cię już tylko trzy takie noce! Pomyśl o jedzeniu i winie, jakiego skosztujemy. I nikt nie każe nam o to walczyć. – Romulus skrzywił się. Wolałby, żeby było już po wszystkim. – No i o tych kobietach, które będzie można osiąść! – Sabinusz uderzył go jeszcze raz, tym razem mniej delikatnie. – Widziałem, jak zniknąłeś z tą ślicznotką.

Obraz nagiej dziewczyny o ciemnobrązowej skórze przebił się przez mgłę w umyśle Romulusa. Wyszczrzył zęby. Tyle długich miesięcy spędził z mieczem w ręku i rzadko miał okazję czerpać przyjemność z seksu. A przy tym brzydził się gwałtami, jakich dopuszczała się nierzadko zwycięska armia Cezara, gdyż zawsze w takich chwilach myślał o tym, co stało się z jego matką. Romulus często miał wrażenie, że jego wygłodniałe libido przypomina trzymaną na łańcuchu straszliwą bestię. Być może w najbliższych dniach posiadzie więcej chętnych kobiet. Taka perspektywa wydawała się mu całkiem atrakcyjna. Podniósł głowę, starając się zignorować ból.

– Zostało jakieś wino?

Sabinusz rozpromienił się na te słowa.

– Czuj duch! Nie ma to jak klin klinem!

O świcie trzy dni później Fabiola w towarzystwie Benignusza i pięciu innych ochroniarzy wyruszyła na wzgórze kapitołińskie. Miała nadzieję, że o tej porze nie natknie się na Scewolę i żadnego z jego ludzi. Zwykle nie pojawiali się w pobliżu Lupanaru przed południem, gdy do burdelu spieszyli pierwsi klienci. Wmieszła się w całkiem spory tłum na ulicy i przez jakiś czas wydawało się jej, że pozostanie anonimowa. *Fugitivarius* z pewnością nawet nie wiedział, że wyszła. Nie wróci prawdopodobnie niezauważona, ale to już była zupełnie inna sprawa. Z drugiej strony zawsze mogła poczekać, aż zapadną ciemności. Niebezpieczeństwo, na jakie się narażała, liczyło się dla niej mniej niż pragnienie, aby zobaczyć Brutusa i odzyskać jego łaski.

Celowo nie przysłała na pierwszy triumf Cezara. Brutus uczestniczył w wielu bitwach w Galii i pewnie brał udział w pochodzie, a zatem nie mogłaby z nim porozmawiać na osobności, nawet gdyby tego chciał. Fabiola wybrała kolejny triumf, który miał być świętem dla uczczenia zdecydowanego zwycięstwa Cezara nad Ptolemeuszem, młodocianym królem Egiptu. Fabiola przybyła do Aleksandrii tuż po zamordowaniu Pompejusza na rozkaz królewskich doradców. Ich wysiłki mające na celu zdobycie przychylności Cezara skończyły się spektakularną klapą, dyktator bowiem natychmiast sam przejął realną władzę w państwie. Mało brakowało, a ta brawura stałaby się przyczyną jego zguby, ale i tym razem bogowie dali mu zwycięstwo. Mimo że

Fabiola gardziła Cezarem, musiała przyznać, że generał wykazał się podczas kampanii egipskiej wieloma talentami, często dokonując rzeczy niemożliwych. Na własne oczy widziała, w jakich tarapatach znalazły się oddziały Cezara w aleksandryjskim porcie. *Jowiszu, spraw, żeby Romulus przeżył* – modliła się, wspominając krwawe opowieści, które dotarły do Rzymu wkrótce po tym, jak jej okręt zacumował w Ostii. Jednej nocy podobno zginęło siedmiuset legionistów. Jej brat bliźniak mógł być wśród nich. Zdawała sobie sprawę, że nie tylko ona znalazła się wtedy w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Los Romulusa nie zależał jednak od niej. Zrobiła, co mogła, aby go odnaleźć. Jeśli bogowie kiedyś znów spojrzą na nią łaskawym okiem, któregoś dnia wreszcie spotka brata. Żadnych rezultatów nie przyniosły również jej wysiłki, aby odnaleźć Gemellusa, co oznaczało, że pozostało jej skupienie się na jedynym celu. Zabiciu Cezara.

Opanowanie Egiptu, który był dla Republiki niczym ogromny koszt chleba, zapewniło Cezarowi wielką popularność, o czym świadczyły chociażby mijane na ulicach tłumy. Towarzyszący Fabioli dobrze zbudowani mężczyźni umiejętnie torowali drogę, dzięki czemu dotarli do schodów świątyni na Kapitolu wystarczająco wcześnie. Legioniści na służbie mieli nie przepuszczać dalej zwykłych obywateli, ale Fabiola umiejętnie wykorzystywała flirt, pochlebstwa i srebro z sakiewki, żeby znaleźć się jak najbliżej najważniejszych gości. Tuż pod samą świątynią było dziś sporo wolnej przestrzeni, gdyż nie wpuszczono na plac sprzedawców żywności, straganiarzy, wróżbitów czy prostytutek. Senatorowie i przedstawiciele najważniejszych rzymskich rodów dopiero przybywali na miejsce, kłaniając się z szacunkiem ogromnemu posągowi Jowisza przed pokrytą złotym dachem świątynią. Zgodnie ze starą tradycją w dniu triumfu cały posąg boga namaszczano krwią świeżo ubitego byka. W efekcie rzeźba robiła na wszystkich jeszcze większe wrażenie. Fabiola nie omieszkała wyszeptać kolejnej modlitwy, prosząc o łaskę. Potem stanęła w pobliżu wejścia do świątyni, w miejscu, które jej zdaniem wybrałby Brutus dla siebie. Wyżsi oficerowie armii zbierali się już w grupki, żartując swobodnie jak mężczyźni, których łączy braterstwo krwi.

Fabiola rozpoznała nawet kilku z nich. Bądź co bądź spędziła z

Brutusem kilka lat i w tym czasie poznała niezliczoną liczbę przedstawicieli rzymskiej klasy wojskowej. Postawiła kaptur peleryny i starała się nie patrzeć w ich stronę. Ci mężczyźni wiedzieli pewnie o tym, że Brutus ją zostawił, a nie chciała, żeby ktokolwiek ostrzegł go przed nią, zanim będzie miała szansę z nim porozmawiać. Na razie nie musiała się martwić. Wszyscy obecni byli tak podekscytowani myślą o triumfie Cezara, że nikt nie zwracał na nią uwagi. Regularnie pojawiali się posłańcy informujący tłum o tym, gdzie znajduje się kolumna. Mimo że do jej dotarcia na szczyt wzgórza będzie musiało z pewnością upłynąć ze dwie godziny, oczy wszystkich zgromadzonych przyklejone były wręcz do miejsca, gdzie będzie można dojrzeć Cezara podążającego na Kapitol.

Zaczęła się niepokoić. Czy nie popełnia właśnie wielkiego błędu? Z trudem powstrzymała drżenie, gdy dostrzegła Antoniusza, który przybył jako jeden z ostatnich, w swoim stylu, na charakterystycznym brytyjskim rydwaniu bojowym. Gdy *lictors* zrobili dla niego miejsce u stóp schodów świątyni, Antoniusz omiół tłum leniwym spojrzeniem. Fabiola odwróciła się, czując kołatanie serca przejętego strachem. Długo nie ośmieliła się spojrzeć w jego kierunku. Nie zdziwiła się zbytnio, widząc, że wesoło konwersuje z legionistami zabezpieczającymi świątynię. Poczula do niego jeszcze większe obrzydzenie. W kontaktach z nią zachowywał się jak tyran, ale wiedziała, że niemal wszyscy żołnierze wręcz go uwielbiają. To był jeszcze jeden powód, że czuła się tak bezsilna.

Tymczasem minęła kolejna godzina. Nadal nie było śladu Brutusa i Fabiola powoli traciła nadzieję, że w ogóle go zobaczy. Benignusz zaczął jej zadawać pytania dotyczące różnych kwestii bezpieczeństwa Lupanaru i na chwilę się rozkojarzyła. Kiedy po jakimś czasie znów zerknęła na grupę oficerów, wreszcie dostrzegła wśród nich znajomą postać! Serce Fabioli zabiło mocniej na widok Brutusa. Prezentował się świetnie, choć było trudno nazwać go przystojnym mężczyzną. Musiała przyznać, że wygląda znakomicie w odświętnym wojskowym płaszczu, ze wszystkimi dodatkami oraz odznaczeniami. Akurat roześmiał się, rozbawiony zapewne jakąś trafną uwagą kompana. Na ten widok Fabiola poczuła tylko jeszcze większy smutek. Dawniej to w jej towarzystwie

zachowywał się równie swobodnie. *Może Brutus nie jest tylko środkiem prowadzącym do celu? Co ja narobiłam, wdając się w romans z Antoniuszem!*

– Poczekajcie tu – zwróciła się do Benignusza. Chociaż osiłek próbował protestować, zostawiła swoich opiekunów za plecami i zaczęła przebijać się przez coraz bardziej gęsty tłum. Z ulgą stwierdziła, że nigdzie nie widzi Antoniusza. Zawahała się, gdy znalazła się w bezpośredniej bliskości grupy oficerów. W następnej chwili ciemnowłosy trybun z kolorową szarfą owiniętą wokół bioder zwrócił twarz w kierunku swojego kompana i jego wzrok padł na Fabiolę. Rozpoznał ją i otworzył usta w wyrazie zdumienia. Ten pochodzący z bogatej rodziny młodzieniec jeszcze jako nastolatek był jej częstym i wyjątkowo entuzjastycznym gościem. Ich spotkania skończyły się tylko dlatego, że Fabiola została wykupiona z Lupanaru.

Zakłęła w duchu. *Ten głupiec może wszystko zepsuć.* Rzuciła mu miażdżące spojrzenie, po czym ruszyła w kierunku Brutusa, który właśnie żywo dyskutował o czymś ze swoim towarzyszem. Nie zauważył jej. Fabiola zerknęła przez ramię na trybuna, żeby sprawdzić, czy nie próbuje jej dogonić. Na szczęście chłopak stał jak wrośnięty w ziemię. Wyciągnęła drżącą rękę i dotknęła delikatnie ramienia Brutusa. Ten chyba w pierwszej chwili nic nie poczuł, więc zrobiła to jeszcze raz, tym razem mocniej.

– Brutusie?

Poznał jej głos. Odwrócił się. Na jego twarzy rysował się grymas zaskoczenia i gniewu.

– Co tu robisz? – zniżył głos. – Przyszłaś łąsić się do Antoniusza?

– Nie! – zaprotestowała.

– Albo do Cezara? – zapytał podejrzliwie. – Pytał o ciebie ostatnio. Zastanawiał się, co się z tobą dzieje. Dlaczego?

– Nie wiem – odpowiedziała Fabiola z desperacją w głosie. Te rewelacje sprawiły, że poczuła nagły chłód, który zmroził ją do szpiku kości. Żałowała, że nie powiedziała Brutusowi od razu o tym, że trzy lata temu Cezar próbował ją zgwałcić. Jeśli wspomni o tym teraz, pewnie jej nie uwierzy. Musiała zacząć od małych kroków.

– Czy możemy porozmawiać?

Brutus prychnął.

– Tutaj? Teraz?

Dotknęła delikatnie jego ramienia.

– Proszę, kochanie. Daj mi chwilę.

Rysy jego twarzy złagodniały. Już nie był zły. Westchnął.

– Chodź... – chwycił ją za rękę i poprowadził obok

wybałuszającego oczy trybuna ku ostatnim szeregom tłumu. Znaleźli jakąś wolną przestrzeń przy krawędzi schodów Kapitolu. Stali przez chwilę w milczeniu, spoglądając na Rzym rozciągający się poniżej.

– Tak bardzo za tobą tęsknię – zaczęła Fabiola. Brutus nie odezwał się ani słowem, ale знаła go dobrze i wyczuwała, że musi czuć to samo.

Gdzieś w jej sercu zabłysła iskierka nadziei. – Ta sprawa z Antoniuszem... Zrobiłam wielki błąd. Ten człowiek jest brutalny. On zmusza mnie... – z gardła Fabioli wyrwał się pełen bólu szloch.

Antoniusz od dłuższego czasu się na niej wyżywał. Nie musiała udawać cierpienia. Reakcja Brutusa wlała w jej serce odrobinę otuchy.

– Co on robi? – zapytał, chwytając za rękę miecza.

– Próbujemy wszystkiego... – rozległ się głos, który Fabiola znała aż za dobrze. – A ona to uwielbia!

Fabiola zbladła jak ściana i zakręciła się wokół własnej osi, by stwierdzić, że Antoniusz znalazł się zaledwie pięć kroków za jej plecami. Co gorsza, towarzyszył mu nie kto inny jak Scewola. W jego głęboko osadzonych oczach czaiło się zło. Przerażona Fabiola przysunęła się bliżej Brutusa.

– Co powiedziałeś? – Brutus mierzył Antoniusza wzrokiem pełnym niechęci.

– Słyszałeś – odpowiedział Antoniusz lodowatym głosem. – Najczęściej to ona wybiera pozycje. Lub zaprasza do zabawy inne osoby. Scewola zachichotał.

Wyraz twarzy Brutusa powiedział jej wszystko. Brzydził się orgiami.

– Mężczyźni. Kobiety. Nieważne – Antoniusz nie przerywał, rozkoszując się efektem, jaki zrobiły na Brutusie jego słowa. – Zakazałem jej jednak pieprzyć się z gladiatorami.

– Nie! – wykrzyknęła Fabiola, spoglądając na Brutusa. – On

kłamie.

Antoniusz roześmiał się lekko.

– Kłamać o takiej kurwie jak ty? Czemu miałbym się przejmować?

Brutus skrzywił się z niesmakiem, a Fabiola z przerażeniem stwierdziła, że sytuacja wymyka się jej spod kontroli.

Wtedy głośnie fanfary oznajmiły zbliżanie się kolumny z Cezarem. Wyrzecz twarzy Brutusa uległ zmianie.

– Muszę iść – mruknął, odwracając się na pięcie.

Fabiola wyciągnęła do niego rękę.

– Czy zobaczymy się później? – zapytała błagalnym głosem.

Wykrzywił wargi.

– Po tym, co tu zostało powiedziane? Nie sądzę.

Odszedł w milczeniu.

Fabiolę zalała czarna rozpacz. Jeśli Scevola zaatakowałby ją teraz, nawet nie będzie próbowała się bronić. Oczywiście nigdy nic nie było takie proste. Gdy tylko Brutus zniknął jej z oczu, Antoniusz znalazł się tuż przy niej. Poczowała na swoim gardle jego zaciskającą się dłoń.

– Masz już mnie dość?

Fabiola zerknęła na przemian to na niego, to na Scewolę, który uśmiechał się rozanielony. Choć zdrętwiała ze strachu, jej temperament nie dał o sobie zapomnieć.

– Nawet więcej... – syknęła. – Nienawidzę cię. Dotknij mnie jeszcze raz, a... – słowa utonęły w kakofonii trąb.

– To przykre. Bo dobrze się bawiłem. Ale jak widać, wszystko kiedyś się kończy. – Antoniusz zmrużył oczy. Przypominał teraz Fabioli węża tuż przed atakiem na swoją ofiarę. – Chciałbym wszystko zakończyć teraz, ale obawiam się, że Cezar zdziwi się, gdy nie powita go człowiek, który w jego imieniu rządzi Rzymem. – Zrobił krok w tył, rzucając Fabioli nieprzyjemne spojrzenie. – Scevola załatwi to za mnie. Uciszy cię na zawsze.

Fugitivarius ruszył ku niej, zaciskając dłoń na rękojeści miecza.

– Teraz? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Nie tutaj, ty głupcze – Antoniusz odchrząknął. – Widzi nas pół Rzymu. Później.

Scevola skinął głową z pokorą. Cofnął się.

Fabiola skorzystała z okazji i czym prędzej zniknęła w tłumie.
Pozwolili jej na to. Świadomość tego, że Scewola może ją dopaść w każdej chwili, była jeszcze bardziej przerażająca.

Rozdział XX

Poszukiwania



Jesteś pewien, że nie chcesz iść z nami? – zapytał Sabinusz. Podrzucił w dłoni sakiewkę, w której zadźwięczały monety. – Mamy sporo pieniędzy do wydania!

Pozostali legioniści zaczęli wiwatować. Ostatniego dnia święta na cześć Cezara dyktator nagrodził każdego legionistę, osobiście wręczając mieszki zawierające znaczną sumę, od której mogło się zakręcić w głowie. Pięć tysięcy denarów! Nawet ubodzy mieszkańcy miasta skorzystali z hojności Cezara, który nakazał rozdanie pszenicy, oliwy z oliwek i wręczenie po sto denarów. Pięć tysięcy denarów to było więcej, niż zwykły legionista mógł zarobić podczas całej służby. Jak widać, Cezar odpłacił się po królewsku za lojalność. W tej perspektywie zupełnie inaczej wyglądały wszelkie trudy służby, a nawet myśl o narażaniu życia. Nagrodzeni legioniści już nie mogli się doczekać, żeby wydać swoje pieniądze. Ostatni z triumfów skończył się minionej nocy i teraz wszyscy żołnierze uczestniczący w święcie otrzymali tygodniowe urlopy.

Członkowie gwardii honorowej nie posiadali się z radości na wieść, że właśnie zostali zdemobilizowani. Cezar stwierdził, że czyni to w uznaniu ich ogromnego wkładu w zwycięstwa. W związku z tym gwardziści mieli jeszcze więcej powodów, by świętować. Ubrani tylko w przepasane tuniki i *caligae*, towarzysze Romulusa właśnie wybierali się, by uczyć to przy winie, śpiewach i... korzystając z uroków chętnych kobiet. Romulus jednak czuł się trochę nieswojo. Po tych wszystkich

procesjach, uwielbieniu tłumu i ekscesach ostatnich dziesięciu dni chciał już tylko odpocząć. Jego przedterminowe zwolnienie z wojska oznaczało, że miał wyłącznie do swojej dyspozycji cały czas, jaki mu pozostał na tym padole, i teraz nie miał już żadnej wymówki, którą mógłby tłumaczyć wstrzymywanie się z poszukiwaniem Fabioli, a jeśli będzie miał dość szczęścia, także Gemellusa.

– No i co powiesz? – dopytywał się *optio* z Legionu XXVIII. – Może jednak zmienisz zdanie?

Reszta kompanii zareagowała zniecierpliwionymi pomrukami. Razem opuścili obóz na Campus Martius i dotarli aż do pierwszych skrzyżowań w obrębie murów miejskich. Na wprost przed nimi znajdowało się Forum, a po obu stronach odchodziły ulice prowadzące na Kapitol i *Collis Viminalis*. W powietrzu unosił się zapach smażonego czosnku i kiełbasy, a karczmarze krzykiem zachęcali przechodniów do obskurnych, wychodzących na ulicę przybytków. Wymalowane prostytutki, o wyzywająco podkreślonych cieniami oczach, zachęcały do skorzystania z ich usług, zapraszając do ciasnych klitek *insulae*, znajdujących się nad sklepami. Na każdym kroku na nowo wzbogaconych ekszołnierzy czekały pokusy i żaden z nich nie zamierzał dzisiaj długo się przed nimi opierać.

Romulus pokręcił głową.

– Mam coś ważnego do zrobienia.

– Dajże spokój – Sabinusz się nie poddawał. – To nie może poczekać do jutra?

– Nie.

– Dlaczego jesteś taki tajemniczy? – zapytał Sabinusz, marszcząc brwi.

– Powiem ci innym razem – odrzekł Romulus, ucinając dyskusję. Nieświadomie przesunął rękę ku *pugio* wiszącemu na pasie. Jeśli po żołniersku obcięte włosy i rdzawa wojskowa tunika nie wystarczą, charakterystyczny sztylet będzie niedwuznacznym znakiem, że jest legionistą.

Bystrooki Sabinusz zauważył ruch ręki.

– Chcesz, żebym z tobą poszedł?

Romulus uśmiechnął się tylko.

– Nie, nie ma takiej potrzeby.

– Jesteś panem własnego losu – Sabinusz już nie nalegał. Jego kompani wyruszyli przed kilkoma chwilami i jeśli się rozdzielili, mógłby później mieć problem z ich odnalezieniem. – Wiesz, gdzie nas szukać, gdybyś był w potrzebie. Zamarudzimy trochę w tej dużej karczmie przy Forum Boarium.

Romulus uniósł rękę na pożegnanie, zastanawiając się już raczej nad tym, gdzie powinien rozpocząć swoje poszukiwania Fabioli. Do tej pory zawsze je odkładał. Na później. Na jakiś niesprecyzowany czas w przyszłości. Aż do teraz. Zamknął oczy i przywołał obraz siostry z Aleksandrii. Była dobrze ubrana. Sama jej obecność w porcie aleksandryjskim mogła świadczyć o tym, że ma jakieś związki z wysokim rangą oficerem, bo kobiety rzadko mogły towarzyszyć żołnierzom podczas kampanii. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie mogło chodzić o samego Cezara, ale odrzucił ten pomysł, ponieważ sam przekonał się wielokrotnie, że wódz, w przeciwieństwie do niektórych swoich oficerów, w ogóle nie akceptował obecności kobiet w kwaterze głównej. No cóż, równie dobrze Fabiola mogła towarzyszyć jakiemuś cywilowi, oddelegowanemu przez senat ze specjalną misją. Może nawet komuś, kto wcale nie mieszkał w Rzymie? Zastanawiał się, jak ma ją odnaleźć. Nawet jeśli mieszka w stolicy, to jak znajdzie ją wśród tylu tysięcy obywateli? Nie może przecież chodzić od domu do domu i rozpytywać nobili o to, z jakimi kobietami się zadają. No chyba, że nie boi się chłosty, bo przecież właśnie to spotkałoby prostego żołnierza zadającego tak osobiste pytania. *Wygląda na to, że zaczynam rozpaczać i szukać sobie alibi, jeszcze zanim kiwnąłem palcem. Przestań. Pomyśl!* Stał chwilę bez ruchu, pozwalając, aby ludzie omijali go niczym fale. Chociaż triumfy Cezara dobiegły końca, świętowanie trwało w najlepsze, a ulice były teraz zatłoczone bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Nie tylko legionieści liczyli na dobrą zabawę. Nagle w jego głowie pojawił się obraz domu publicznego, od którego to wszystko się zaczęło. Jak on się nazywał? Romulus zaczął intensywnie myśleć. Lupanar. Tak jest!

Wprawdzie niezbyt podobała mu się myśl, że Fabiola wciąż może być prostytutką, a Tarkwiniusz przecież twierdził, że jego siostra nie

zarabia już na życie własnym ciałem, ale ciągle nie wiedział, od czego zacząć poszukiwania. Złapał za ramię jakiegoś przypadkowego urwisa, kręcącego się po ulicy.

– Gdzie jest Lupanar?

Niezmiernie umorusany dzieciak najpierw otworzył usta w wyrazie zdumienia, ale szybko odzyskał rezon.

– Nie trzeba iść tak daleko, proszę pana. – Wskazał drzwi naprzeciwko, gdzie stała półnaga dziewczyna, która nie mogła mieć więcej niż szesnaście lat. Uśmiechała się sztucznie i starała się wyglądać uwodzicielsko. – To moja siostra. Jest czysta. Kosztuje tylko dziesięć *sestertii*. Jeśli się nie spodoba, w środku są inne.

Romulus zerknął tam, gdzie wskazywał malec. W cieniu za dziewczyną czaił się jakiś starzec w brudnej todze. Dostrzegłszy zainteresowanie Romulusa, szepnął jej coś do ucha. Nastolatka zsunęła górną część togi, żeby odsłonić małe piersi. Popieściła je dłonią w geście, który miał w zamierzeniach wydawać się lubieżny. Na ten widok Romulusowi zrobiło się niedobrze. Kobiety, z którymi kochał się w ostatnich dniach, przynajmniej robiły to dobrowolnie.

– Chcę do Lupanaru – rzucił i ruszył przed siebie.

Ciemnowłosego chłopaka nie odstępował Romulusa na krok, obiecując mu wszelkie rodzaje przyjemności. Starał się bardzo, gdy jego właściciel go obserwował.

Jednak gdy tylko oddalili się na wystarczającą odległość, Romulus odwrócił się i wysupłał sesterca.

– Co powiesz na to?

Szczupła twarz chłopaka rozjaśniła się w uśmiechu. Srebrna moneta to było znacznie więcej niż to, na co mógł liczyć za dzień pracy przy nagabywaniu klientów.

– Lupanar jest niedaleko. Trzeba iść dalej tą ulicą, skręcić w drugą w prawo, a potem w pierwszą w lewo.

Romulus rzucił mu monetę i odszedł, ignorując krzyki urwisa, który obiecywał mu więcej informacji. Chłopak wzruszył w końcu ramionami, szybko schował swoją nagrodę za pazuchę i zawrócił. Jego wskazówki były jednak na tyle dokładne, że Romulus nie miał trudności ze znalezieniem wąskiej uliczki, zdominowanej przez łukowatą bramę,

zaakcentowaną dwoma pomalowanymi penisami w stanie wzwodu po obu jej stronach. Przed nią stało kilku mężczyzn z mieczami i kijami w dłoniach. Na ten widok Romulus zamarł. Opadły go obrazy i wspomnienia wydarzeń sprzed wielu lat. Szaleńczy bieg, gdy zwiewali z tamtej karczmy, do której zabrał go Brennus. Propozycja Gala, który chciał zapłacić za prostytutkę dla niego. Konfrontacja z pijanym rudowłosym nobilem, którego arogancka postawa doprowadziła do tego, że doszło do bijatyki. Decyzja o zakończeniu walki i ucieczce. Krzyki za nimi, z których wywnioskowali, że ten rudowłosy warchoł nie żyje.

Bogowie! Jak zmieniło się moje życie od tamtej nocy! Na lepsze.

Ogarnęło go poczucie spokojnej akceptacji, którego nie doznawał nigdy wcześniej. Wrócił do Rzymu i był wolnym człowiekiem. Nie potrafił się już złościć na Tarkwiniusza, a nieopuszczające go dotąd poczucie winy w związku z pozostawieniem Brennusa nagle również zaczęło słabnąć. Wielki Gal sam wybrał ścieżkę swojego przeznaczenia. Dokonał wyboru, a Romulus nie miał prawa mu w tym przeszkadzać.

Romulus zrobił krok w kierunku Lupanaru. Jeśli Fabiola kiedykolwiek tu pracowała, może ktoś będzie wiedział, co się z nią stało. Wystarczy jakaś wskazówka. Jak bardzo mogła zmienić się jego siostra? Podekscytowany Romulus zastanawiał się nad tym tylko przez chwilę. Jak zareaguje, gdy wreszcie ją odnajdzie? Pograżony w myślach nie zauważył dużej grupy nieogolonych osiłeków, którzy zagrodzili mu drogę. Po dziesięciu dniach libacji jego zmysły zostały stępione, a reakcje nie były już takie szybkie. Zrozumiał, że dzieje się coś niedobrego dopiero wtedy, gdy usłyszał słowa największego ochroniarza Lupanaru, ogolonego na łyso, z grubymi złotymi bransoletami na rękach.

– Żwawo, chłopcy. Kłopoty!

Romulus usłyszał znajomy syk *gladii* wysuwanych z pochew. Zaskoczony uniósł wzrok. Uzbrojeni w siekiery, pałki i miecze napastnicy biegli już na oślep prosto na grupę ochroniarzy przy wejściu. Ci jednak, zamiast się wycofać i schronić za bramą, utworzyli łuk, zabezpieczając wejście, gotowi do walki. Romulus czuł, jak serce zaczyna mu bić szybciej. Odwrócił się i skoczył w boczną alejkę. Nie wiedział, o co chodzi w tym konflikcie, ale to na pewno nie była jego sprawa. Poza tym miał tylko krótki sztylet do obrony. Pokonał biegiem

kilkadziesiąt stóp. Gdy uznał, że jest bezpiecznie, zatrzymał się i spojrzał przez ramię. W półmroku typowym dla wszystkich wąskich uliczek w Rzymie widział tylko niewyraźne kształty walczących mężczyzn. Słyszał okrzyki mrozące krew w żyłach i jęki. Z pewnością dziś ktoś zginął lub odniósł poważne obrażenia.

– Gdybyś zdecydował się na moją siostrę, może już byłoby po wszystkim i zadowolony wróciłbyś do swoim kompanów – usłyszał jakiś piskliwy głosik za plecami.

Romulus odwrócił się i ujrzał nonszalancko zajądającego się jabłkiem urwisa, który wskazał mu drogę. Chłopak zupełnie nie krył swojego zadowolenia.

– Wiedziałeś, że coś takiego może się zdarzyć? – zapytał Romulus, robiąc krok do przodu. – Dlaczego mi nie powiedziałeś? Na Hades! Oni mogli mnie zabić!

– Próbowałem – bronił się chłopiec. – Nie chciałeś słuchać.

Romulus przypomniał sobie, że chłopak chciał sprzedać mu więcej informacji i trochę się uspokoił. Nie zamierzał wyżywać się na tym chudzielcu, który przecież niczemu nie zawinił.

– W zasadzie masz rację – powiedział szorstko, ponownie spoglądając w kierunku, skąd dochodziły odgłosy walki. – Co tam się właściwie dzieje?

Odpowiedziała mu cisza. Spojrzał w dół i zobaczył wyciągniętą rękę.

– W tym mieście nie ma nic za darmo, proszę pana – powiedział urwis z beczelnym uśmiechem.

Romulus wysupłał jeszcze jednego sesterca.

Reakcja chłopca była natychmiastowa.

– To jakaś wojna między Lupanarem i innym burdelem. Z tego powodu zginęło już całkiem sporo ludzi. Chociaż konflikt trwa już od kilku miesięcy, ostatnio było cicho. To znaczy do dziś.

– Ale o co oni się biją?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Chcesz teraz sprawdzić moją siostrę?

– Nie – Romulus uciął krótko. Zezłościł się, że jego poszukiwania skończyły się, zanim się na dobre zaczęły. Gdzie indziej mógłby pójść?

Nie miał żadnego pomysłu. Dlatego postanowił wrócić do Sabinusza i towarzyszy. Zawsze będzie mógł zajrzeć do Lupanaru następnego dnia o poranku. – Muszę się czegoś napić – mruknął.

– Znam najlepsze miejsce z napitkami w Rzymie. Jest niedaleko. Chcesz, żebym cię tam zaprowadził? – urwis zgłosił się na ochotnika jako przewodnik.

Romulus uśmiechnął się. Chyba polubił tego urwipołcia. Odziany w łachmany i bez wątpienia na wpeł zagłodzony wiedział, jak sobie poradzić.

– Nie. Ale jestem pewien, że pokażesz mi najkrótszą drogę na Forum Boarium, żebym nie musiał chodzić po swoich śladach.

– Oczywiście! Dwa sesterce.

Romulus zaśmiał się radośnie.

– Widzę, że mam do czynienia z człowiekiem interesu, co? Ale nie przeginaj. Już i tak zapłaciłem ci za usługi pięć razy więcej, niż powinienes dostać.

To stwierdzenie zostało skwitowane poważnym kiwnięciem głową.

– Dobrze. Niech będzie jeden – odezwał się urwis, wyciągając przed siebie brudną łapkę.

– Zapłacę ci dopiero, jak będziemy na miejscu.

Uścisnęli sobie ręce. Chłopiec od razu wystrzelił do przodu, prowadząc Romulusa przez zaułki i wąskie uliczki, które łączyły Kapitol z Palatynem. Podczas trwania obchodów święta Romulus nie miał czasu na zwiedzanie miasta, a kolumny triumfów przemierzały oczywiście tylko najszersze arterie. Dlatego ta wycieczka z chłopcem pełniącym rolę przewodnika po najciemniejszych zakamarkach stolicy zrobiła na nim przejmujące wrażenie. Takimi właśnie alejkami przemyskał się wiele lat temu, gdy sam był jeszcze dzieckiem. Tu przecież dorastał. Nie szersze niż dziesięć kroków nieutwardzone uliczki pokrywały śmieci i wszelkiego rodzaju odpady, a trzy- lub czterokondygnacyjne budynki mieszkalne po obu stronach rzucały głęboki cień, zostawiając widoczne tylko niewielkie pasmo nieba. W otwartych fasadach sklepów kupcy sprzedawali wszystko, czego dusza zapragnie, od chleba przez warzywa po wino. Wystawiali też swoje towary na stolikach tarasujących przejścia. Można tam było znaleźć wyroby garncarzy, kowali, stolarzy,

punkty usługowe fryzjerów i przedstawiciele wszystkich zawodów pod słońcem. Ponadto oberże, domy publiczne i lokale, w których wymieniano pieniądze, a każde takie miejsce miało swojego żebraka, trędowatego lub kalekę. Liczne, podobne do siebie okna z zatrzaśniętymi okiennicami oznaczały, że nad sklepami znajdowały się setki ciasnych mieszkań czynszowych, do których na nocny odpoczynek udawała się większość obywateli miasta.

Chociaż Romulus nie poznawał większości z tych miejsc, dobrze pamiętał, jak Gemellus wysyłał go po różne sprawunki. Wspomnienie jego dawnego właściciela wywołało ukłucie gniewu. Gdzie mógł się przenieść? Romulus rozejrzył się nagle zaszępioty. Czy nie powinien udać się do domu, w którym się wychował? Przypuszczał, że nie dowie się niczego istotnego, ale byłby to naturalny punkt wyjścia do dalszych poszukiwań. W tej chwili jednak myśl o powrocie do Sabinusza i kompanów wydawała mu się o wiele przyjemniejsza.

Mijali właśnie niczym niewyróżniającą się krzyżówkę dzielącą dwa *cenaculae*. Coś kazało Romulusowi zwrócić uwagę na pogrążoną w cieniu wąską uliczkę. Jakieś pięćdziesiąt kroków dalej stała, otoczona opuszczonymi budynkami, świątynia, której chyba nigdy nie widział.

Młodociany przewodnik wyczuł szóstym zmysłem, że jego klient się zatrzymał. Natychmiast do niego podbiegł. Był bosy, więc Romulus nawet tego nie usłyszał.

– Prawie jesteśmy na miejscu, proszę pana – chłopak złapał Romulusa za rękę i pociągnął. – Nie tędy.

– Jakiemu bóstwu poświęcona jest ta świątynia?

– Orkusowi... – chłopiec zadrżał.

Bogu podziemi... – Romulus uśmiechnął się nieznacznie pod nosem. – *Czy jest jakieś inne miejsce, gdzie warto złożyć ofiarę, dzięki której odnajdę Gemellusa? Chyba powinienem zajrzeć do środka. Zanim chłopak zdążył zareagować, Romulus zrobił już z pół tuzina kroków w stronę sanktuarium.*

– Panie! Co z karczmą?

– Nie zabawię długo – Romulus rzucił przez ramię. – Poczekaj na mnie na zewnątrz.

Urwis zrobił niewyraźną minę, ale posłuchał. Nawet jeśli

zabarwiony krwią kamienny ołtarz przed sanktuarium sprawiał, że dostał gęziej skórki, nie zamierzał tak łatwo zrezygnować z obiecanego sesterca.

Romulus pokonał szybko kilkanaście schodów, zmierzając ku głównemu wejściu do świątyni. Mijał podejrzanych wróżbitów, sprzedawców żywności i różnych bibelotów oraz takich, którzy oferowali tylko małe, kwadratowe ołowiane blaszki. Zatrzymał się przy jednym z nich i kupił kawałek szarego, ciężkiego metalu. Następnie oparł się plecami o kolumnę i ostrym końcem sztyletu wydrapał na blaszce klątwę, jaką zamierzał rzucić na Gemellusa. Wielu czcicieli Orkusa robiło to samo – albo opłacało uczonych w piśmie, żeby zrobili to za nich. Po raz kolejny Romulus dziękował w duchu bogom, że nauczył się czytać i pisać. Nie obnosił się jednak ze swoimi umiejętnościami. Spojrzał na wyryte słowa: „Gemellus: Któregoś dnia cię zabiję. Będziesz umierać bardzo powoli”. Podobnymi słowami pożegnał kupca w dniu, gdy ten zostawił go w *Ludus Magnus*. Zadowolony z siebie zagiął krawędzie blaszki i ruszył do środka świątyni.

Jakiś akolita wskazał mu drogę do głównego sanktuarium, długiego, wąskiego pomieszczenia, wypełnionego ludźmi, którzy przyszli tu prosić o łaski Orkusa. Po bokach ciągnęły się rzędy drzwi prowadzących do komnat, w których można było liczyć na większą prywatność, ale Romulus nie musiał ani nie chciał z nich korzystać. Nie było go w Rzymie tak długo, że szanse, iż zostanie rozpoznany, były właściwie bliskie zeru. Zajął swoje miejsce w długiej kolejce, która wyginała się we wszystkie strony. Ludzie ci czekali na swoją kolej. Na chwilę spędzoną przy dużym kominku, znajdującym się w centralnym punkcie pomieszczenia. Każdy petent pochylał tam głowę, odmawiał krótką modlitwę i rzucał swój kawałek blaszki w płomień. Wysoko na ścianie nad kominkiem, tak żeby wszyscy je wyraźnie widzieli, znajdowało się malowidło przedstawiające Orkusa, przypominające to z portyku. Romulus spojrzał w ciemne oczy bóstwa. Powiódł wzrokiem po brodatej twarzy, na której wiły się włosy-węże. Zadrzał. To wyobrażenie boga miało wlewać strach w serca odwiedzających. I dobrze spełniało swoje zadanie.

Nie zrezygnował jednak z tego, po co tu przyszedł. Płomienie pragnienia zemsty były silniejsze niż strach. Tłok w sanktuarium jednoznacznie dowodził, że nie jest osamotnionym przypadkiem. Romulus przyglądał się twarzom wyznawców. Zastanawiał się, jakie cierpienia lub jakie zbrodnie sprawiły, że szukali oni sprawiedliwości w świątyni Orkusa. Ludzie przebywający w głównym pomieszczeniu reprezentowali różne warstwy społeczne i zawodowe. Widział sklepikarzy, zwykłych obywateli, niewolników i żołnierzy, takich jak on, a nawet kilku najwyraźniej wyżej urodzonych przedstawicieli arystokracji. A także kilka kobiet. Romulus uśmiechnął się, czując się teraz nieco pewniej. Nikt nie był wyjątkowy: wszyscy mieli o coś pretensje i jakieś rachunki do wyrównania.

Gdy znalazł się w samym czubie kolejki, poczuł na sobie wzrok niewysokiej kapłanki o szerokiej twarzy i długich, brązowych włosach, związanych z tyłu głowy w kucyk. Podobnie jak wszyscy słudzy Orkusa również i ona ubrana była tylko w prostą, szarą szatę. Nie wyróżniała się jakoś specjalnie urodą, ale Romulus z zainteresowaniem skonstatował, że kobieta ma wielkie oczy w odcieniu głębokiej zieleni. Patrzył, jak podsyca ogień za pomocą długiego żelaznego pręta, przesuwając duże kłody drewna nieco dalej w głąb paleniska.

– Teraz możesz podejść – odezwała się po dłuższej chwili.

Romulus uklonił się i wrzucił do ognia swój kawałek ołowiu wraz z kilkoma denarami.

Nie mam wielu pragnień. Orkusie, pozwól mi zrealizować chociaż to jedno.

Zdawkowe kiwnięcie głową kapłanki uświadomiło mu, że jego audyencja u Orkusa właśnie dobiegła końca. Romulus posłusznie ruszył za innymi petentami, którzy złożyli swoje ofiary. Westchnął, zastanawiając się, czy jego prośba zostanie wysłuchana. W tej chwili odnalezienie Gemellusa wydawało mu się jeszcze trudniejsze niż Fabioli. Jakie miał szanse spotkania w tak dużym mieście zrzuwanego kupca? Cóż, mógł jeszcze użyć mocy haruspicii. Tarkwiniusz dał mu przecież kilka lekcji. Próbował kilka razy przewidzieć przyszłość, jednak własne umiejętności tak go przeraziły, że od dłuższego czasu nawet o tym nie pomyślał. Każdego dnia żył w cieniu śmierci. Widział, jak

umierają jego towarzysze. Uznał, że lepiej dożyć swoich dni w błogiej niepewności. Dzięki temu nie będzie martwił się o rzeczy, na które w istocie nie miał żadnego wpływu. *Jeszcze nie. Zobaczę, co zaproponuje mi Orkus.*

Jak się spodziewał, znajomy hultaj czekał na niego cierpliwie przed świątynią. Spojrzał pytającym wzrokiem na Romulusa, który jednak nie zamierzał komentować swojej wizyty w świątyni.

– Na Forum Boarium – rozkazał.

– Za mną.

Nie dało się ukryć, że chłopak chciał jak najszybciej oddalić się od sanktuarium. Wystrzelił do przodu niczym pocisk z balisty.

Ponieważ wyglądało na to, że świątynia Orkusa cieszyła się sporym zainteresowaniem, przy zwięzieniu alejki, którą tu przyszli, zebrał się większy tłumek. Zwolnili. Romulus zapomniał już o Gemellusie, a jego myśli popłynęły ku karczmie, w której bawili się Sabinusz i pozostali gwardziści. Z wielką przyjemnością wychyliłby kubek wina. Może znajdą się też jakieś kobiety?

Gdzieś przed nimi doszło do małego poruszenia. Ktoś się potknął i najwyraźniej pozbawił równowagi innego przechodnia. Ten skwitował to stekiem głośnych przekleństw. Pomimo natychmiastowych przeprosin ów nieszczęśnik musiał przez dłuższy czas znosić tyradę niezadowolonego obywatela, który uspokoił się dopiero wówczas, gdy odezwały się poirytowane głosy tych, którzy czekali, aż będzie można przejść. Romulus zmarszczył brwi. Krzyki ucichły, a ludzie znów zaczęli przesuwać się do przodu. Nie widział narzekającego jegomościa, ale jego głos wydał mu się dziwnie znajomy. Olśnienie spadło na niego jak piorun z jasnego nieba. Chociaż po raz ostatni słyszał go, gdy został sprzedany do *ludus*, rozpoznał szyderczy ton Gemellusa!

Pełen podziwu i lęku zerknął przez ramię na świątynię Orkusa. Jakimi mocami musiał dysponować pan podziemi, skoro tak szybko spełnił jego prośbę? Nie było czasu do stracenia! Musiał działać. Wyprzedził protestującego chłopca i zaczął przeciskać się do przodu, desperacko próbując nie stracić jedyne śladu kupca. Ludzie, którym nie żałował razów, głośno protestowali, ale nikt nie miał odwagi zrobić nic więcej. Wszyscy widzieli, że dobrze zbudowany mężczyzna ciska

gromy, a w jego oczach płonie ogień zemsty. Kilka chwil później Romulus dotarł do miejsca sprzeczki. Dyszał ze złości, bo choć rozglądał się rozpaczliwie na wszystkie strony, wszędzie, gdzie nie spojrzał, widział tylko masę twarzy. W tym miejscu tłok był jeszcze większy niż w alejce. Gemellus wyparował jak kamfora.

– Niech skurwysyna pochłonie Hades! – wrzasnął na całe gardło. – Nie umknie przed moją zemstą.

Przechodnie nie zwrócili właściwie większej uwagi na jego wybuch. W Rzymie było mnóstwo pijanych żołnierzy, którzy publicznie wykrzykiwali obelgi, a często też wszczynali burdy. Wtedy najroztropniej było zejść im z drogi.

Mały urwis wreszcie dogonił Romulusa. Spojrzał na niego z wyrzutem.

– Próbujesz zaoszczędzić tego sesterca?

– Że co? Nie! Oczywiście, że nie. Właśnie usłyszałem głos kogoś, kogo bardzo chciałem spotkać. Próbowałem go złapać, ale zniknął mi w tłumie. – Romulus uśmiechnął się, gdy do głowy wpadł mu nowy pomysł. – Chcesz zarobić dziesięć sesterców?

Dla biednego dziecka wychowującego się na ulicy była to wprost niewyobrażalna kwota.

– Co mam robić? – zapytał z zapałem.

Romulus złożył dłonie tak, żeby stworzyć strzemień.

– Wskakuj. Szukaj niskiego, grubego mężczyznę o czerwonej twarzy. Mocno się poci.

Nie musiał drugi raz powtarzać. Chłopak szybko wspiał się na jego plecy. Dla zachowania równowagi opierał się jedną dłonią o ścianę najbliższego budynku. Drugą rękę uniósł do oczu i zaczął w milczeniu przeszukiwać wzrokiem tłum przechodniów.

Romulus nie mógł znieść napięcia.

– No i?

– Nikogo takiego nie widzę – odpowiedział najwyraźniej rozczarowany urwis.

Romulus przygryzł wargę, aż poczuł smak krwi. *Niech Gemellus szczeźnie na wieki w Hadesie! Nie będę miał już takiej szansy. Bogowie rzadko podsuwają takie okazje dwa razy.*

– Czeka! – jedno słowo sprawiło, że serce Romulusa niemal przestało bić. Po chwili urwis zawołał piskliwie. – Tam! Jakieś sześćdziesiąt kroków!

Chłopiec zjechał w dół z kocią zwinnością, o którą sam się zapewne nie podejrzewał.

– Za mną – zawołał i puścił się pędem w lewą stronę.

Romulus ruszył za nim jak wściekły byk.

Na przemian biegnąc i maszerując, przebijali się przez ciżbę wolno sunącą ulicą. Nie szło im najlepiej, ale chłopak, choć wyglądał na słabeusza, był niezwykle gibki i umiejętnie wykorzystywał każdą wolną przestrzeń, wciskając się tam, gdzie Romulus nie mógł nawet marzyć. Wspinał się na stos amfor z winem ustawionych na siennikach ze słomy lub sterty drobnych wyrobów metalowych, grając na nosie oburzoną właścicielom sklepów. Szybko wysforował się daleko przed Romulusa. Regularnie jednak krzyczał w jego kierunku, co dawało Romulusowi dodatkowy impuls do pośpiechu.

– Tempo! Widzę go!

Zdenerwowany Romulus robił, co mógł, by nie stracić chłopaka z oczu. Gdy dotarł do najbliższej krzyżówki, zbliżył się do chłopca na co najmniej dwadzieścia kroków.

– W lewo!

Romulus nie próbował podawać w wątpliwość instrukcji przewodnika. Wykorzystał niewielką lukę w tłumie, aby podbiec kolejne sześć kroków. Wyciągnął *pugio* z pochwy, sprawdzając, czy sztylet łatwo się wysuwa. Zastanawiał się, jaką część ciała Gemellusa odetnie w pierwszej kolejności. Ucho? Jego tłusty nos? Skrzywił się. Może najpierw powinien tego skurwysyna wykastrować?

Nagle w jego kierunku wystrzeliło cienkie przedramię.

Zaskoczony Romulus zorientował się, że urwis znajduje się tuż przy jego boku.

– Co jest?

– Zniknął w tej alejce.

Romulus podążył wzrokiem w kierunku wskazanym przez chłopca. To była wąska uliczka zasłana wszelkiego typu śmieciami i fragmentami rozbitej ceramiki. Kilka kroków dalej wznosiła się wielka góra

odchodów. Zmarszczył nos z obrzydzeniem.

– Jesteś pewien?

Chłopak skinął głową z entuzjazmem.

– Tak. Niski, gruby facet o czerwonej twarzy. Dokładnie taki, jak opisałeś. Wygląda na bardzo biednego.

To musiał być on. Romulus zerknął jeszcze raz w alejkę z nieskrywaną satysfakcją. Znajdujące się tam zatęchłe *insulae* z pewnością były pełne szczurów.

– Chodź ze mną – odezwał się i ruszył, nie czekając na reakcję chłopaka.

Chłopak nie zamierzał rezygnować z tak ciężko zarobionych pieniędzy.

Romulus stapał bardzo ostrożnie, starając się nie wejść w cuchnące kałuże pełne szlamu i strużki czegoś, co spływało ze sterty gnoju. Jego oczy przyzwyczajały się do panującego w alejce półmroku. Nierówny grunt pod nogami był bardzo zdradliwy, ale po chwili jego uwagę przyciągnęła jakaś postać. Mężczyzna znajdował się ze dwadzieścia kroków przed nimi. Z pewnością wzrost i tusza się zgadzały. Ale czy to był Gemellus? Wtedy człowiek ten kopnął jakiś większy kawałek ceramiki i zaklął głośno. Romulus zamarł, czując dziecinne drżenie strachu przemieszanego z entuzjazmem. *To był Gemellus.* Niewiele rzeczy na świecie mogło sprawić, że poczułby się tak dziwnie, jak w tej chwili, ale tłumaczył sobie, że to przez stare blizny na duszy. Te rany zadał mu Gemellus. *To było dawno, ale teraz za wszystko zapłaci.* *Zmieniłem się. Jestem już zupełnie innym człowiekiem.* Romulus wyciągnął sztylet. Na ten widok jego młodociany przewodnik głośno wciągnął powietrze.

– Cicho! – Romulus syknął.

W tej samej chwili mężczyzna, którego śladami podążali, zniknął w wąskich drzwiach. Usłyszeli ciche kliknięcie, gdy się za nim zamknęły. Ostatnie kilka kroków Romulus pokonał z duszą na ramieniu. Pamięć podsuwała mu obrazy z przeszłości. Gemellus gwałcący jego matkę. Gemellus katujący Fabiolę. Wyzywający się na nim. Narzekający w rozmowie z księgowym na coraz gorszą sytuację finansową. Pełna twarz kupca, gdy wyciągał go siłą z pomieszczenia, w którym spał z

matką i siostrą, a także potem, w *Ludus Magnus*, gdy straszył go, że Welwinna trafi do kopalni soli, a Fabiolę sprzeda do burdelu. Romulus obnażył zęby z wyrazem wściekłości na twarzy. Tylko ostatni przywołany obraz zawierał trochę nadziei i przyjemności – bestiarius Hiero opowiadający historię upadku Gemellusa.

Romulus uniósł dłoń, w której trzymał *pugio*. Ze zdziwieniem stwierdził, że drży mu ręka. *Uspokój się! Twoje modlitwy zostały wysłuchane. Teraz nadszedł czas słodkiej zemsty.* – Zacisnął pewnie palce na rękojeści. – *Najwyższy czas doprowadzić to do końca.*

Uderzył głownią sztyletu w drzwi.

– Otwierać!

Rozdział XXI

W niebezpieczeństwie



Od czasu nieudanej próby pojednania z Brutusem i późniejszej konfrontacji z Antoniuszem oraz Scewolą Fabiola miała ciągle problemy ze snem. Wiele razy przeklinała się za to, że wdała się w aferę z kimś tak trudnym do kontrolowania, jak *magister equitum*. Wyglądało na to, że była to najgorsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjęła. Gdyby tylko dało się cofnąć czas.... Ale to niemożliwe. Teraz musiała zmierzyć się z konsekwencjami swoich czynów. Zwykle pewna siebie Fabiola stała się kłębkim nerwów. Co gorsza, jej zły nastrój zaczął wpływać negatywnie na innych. Benignusz i Wettiusz, teraz należący do jej najbardziej zaufanych powierników, nie potrafili poprawić jej nastroju. Lekcje walki mieczem i nożem – które bazowały na podstawach przekazanych jej przez Sekstusa – wiele jej nie pomogły. Nic nie było tak, jak być powinno. Mijały kolejne, podobne do siebie dni, a Fabiola stawała się coraz bardziej drażliwa, przez co traciła potencjalnych klientów i wypuszczała z rąk okazje na dobre interesy, których przecież tak bardzo potrzebowała kierowana przez nią inwestycja. Wściekła na siebie wyżywała się potem na pracownikach. Narzekała na prostytutki, że nie są w stanie zaspokoić klientów. Nawet najtwardsza z jej współpracownic, Jowina, ostatnio starała się chodzić przy niej na paluszkach, żeby jej nie sprowokować.

Fabiola przestała się tym przejmować. Dobrze wiedziała, że jej życie wisi na włosku, a codzienna egzystencja stawała się męczarnią. Wciąż nie udało się jej pozyskać sojuszników w walce z Cezarem, który

po czterech triumfach osiągnął taką pozycję, że wszyscy jego potencjalni wrogowie musieli pozostać w ukryciu. Jakie więc korzyści płynęły dla niej z posiadania Lupanaru? Bez Brutusa? Prowadziło ją to donikąd. A były kochanek nie próbował się z nią skontaktować, co oznaczało, że zapewne uwierzył Antoniuszowi. Sama też na razie nie odważyła się podjąć ponownej próby kontaktu. Niech kurz opadnie. Może jeszcze uda się jej go przekonać. Natomiast na myśl o braku reakcji Antoniusza po prostu cierpła jej skóra. Wcześniej odwiedzał ją na ogół częściej niż raz dziennie. Teraz całkowicie zerwał z nią kontakt.

Za to Scewola nie pozwolił o sobie zapomnieć. Po długich miesiącach spokoju teraz na każdym kroku wywierał na Fabiolę presję, jakby za wszelką cenę chciał uprzykrzyć jej życie. Trzeba przyznać, że wybrał mądrą i skuteczną taktykę. Wokół Lupanaru kręciło się ostatnio coraz więcej jego ludzi, którzy niemal całkowicie zablokowali dostęp do niego klientom. Jeśli zauważyli jakiegoś stałego bywalca, zawsze dochodziło do przemocy fizycznej, a przypadkowi goście byli nękan i zastraszani. Niewielka grupa ludzi wysłana przez Fabiolę po żywność została napadnięta. Wszyscy zginęli. Te straty uszczupliły jej siły. Kupcy, którzy dostarczali do Lupanaru produkty żywnościowe, byli zastraszani. Aby nie ryzykować wykorzystania zapasów na czarną godzinę, Fabiola musiała płacić za towary pierwszej potrzeby o wiele więcej niż zazwyczaj. To również negatywnie odbiło się na sytuacji finansowej Lupanaru. Pieniądze, które zostawił jej Brutus, szybko się rozejdą, bo przecież musiała opłacać dodatkowych strażników. Benignuszowi udało się znaleźć czterech nowych ludzi, ale Fabiola chciała zatrudnić ich jeszcze więcej. Nie było to takie łatwe, bo w czasie świąt rósł popyt na mężczyzn, którzy mieli odpowiednie kwalifikacje i predyspozycje do pracy w służbach porządkowych. Może to i dobrze? Nawet jeśli potrzebowała więcej ludzi, raczej nie było jej na nich stać. Przy obecnym poziomie wydatków przyjdzie jej sprzedać Lupanar za rok czy dwa lata. Na razie się tym nie martwiła. Będzie miała szczęście, jeśli pożyje tak długo.

Nie mogła zasnąć z powodu tępego bólu oczekiwania. Antoniusz uznał, że jest zbędna. Jednak *magister equitum* nie był przecież głupcem. Nawet jeśli zadba o to, żeby nikt – przynajmniej bezpośrednio – nie

łączył go z jej zniknięciem, ludzie wiedzieli, że Scewola pracuje dla niego. Rozlew krwi w czasie uroczystości ku czci Cezara nie spodobałaby się również dyktatorowi. To nie stanie się dziś ani jutro. Jeśli zaatakuje, to dopiero po ostatnim z triumfów. Ten wniosek przyniósł jej tylko chwilową ulgę. Fabiola nie martwiła się w zasadzie o siebie, ale czuła się odpowiedzialna za tych, którzy byli jej własnością lub których zatrudniała. Benignusz, Wettiusz i wszystkie prostytutki oraz ochroniarze staliby się wtedy tylko niewinnymi ofiarami jej nieodpowiedzialnego zachowania. Nikt nie zasługiwał na śmierć lub kalectwo z powodu popełnionych przez nią błędów.

Mijały dni, po których następowały bezsenne noce, nieprzynoszące Fabioli daru spokojnego, zdrowego snu. Przewracała się niespokojnie z boku na bok, rozmyślając o przyszłości. Co mogła zrobić? Zostawić Lupanar? Jeśli odejdzie, właściwie zostanie bezdomna. Tu przynajmniej miała dach nad głową. Stopniowo zaczęła sobie uświadamiać, że nie straciła całkiem nadziei. Nie mogła po prostu zrezygnować z tej działalności i zostawić tych, którzy dla niej pracowali, nawet jeśli w konsekwencji ich życie również znajdowało się w niebezpieczeństwie. Zastanawiała się, czy to właśnie tak czuje się generał przed bitwą: czy wódz rozmyśla nad tym, czy sprawa, o którą walczy, jest warta ceny, jaką trzeba będzie zapłacić krwią żołnierzy? Przy takich okazjach często wracała myślami do Romulusa. Fabiola nie umiała sobie wyobrazić, że jej brat tchórzy, stając przed takim wyzwaniem. W pewnej chwili uznała, że jest po prostu samolubna i szuka uzasadnienia lub argumentów przemawiających za słusnością jej nieprzemyślanej decyzji.

W nocy ostatniego triumfu Cezara do Lupanaru nie zajrzał nawet pies z kulawą nogą. Pomimo ogromnej liczby obywateli, którzy wylegli na ulice, blokada Scewoli sprawdzała się wyśmienicie. Fabiola nie mogła już znieść tego napięcia. Chociaż tylko bogowie wiedzieli, co ją czeka, czuła w kościach, że już niedługo wszystko się wyjaśni. Jeśli zginie podczas ataku Scewoli, nie będzie się musiała już o nic martwić. Nie zemści się jednak na Cezarze ani nie spotka się z Romulusem. Wiedziała, że to właśnie najbardziej prawdopodobny przebieg zdarzeń. Od czasu, gdy Scewola napadł na nią w świątyni Orkusa, wszystkie bóstwa, do których zwracała się o pomoc – Jowisz, Mitra i sam bóg

podziemi – najwyraźniej ją opuściły.

Jeśli jakimś boskim zrządzeniem losu przeżyje, jej cele pozostaną takie same. Spróbuje zbliżyć się do Brutusa. Jeśli to się nie uda, sama zacznie przyjmować nowych, wybranych klientów, używając swoich wdzięków, aby zdobyć władzę nad jakimś majątnym i wpływowym mężczyzną, tak jak to czyniła w przeszłości. To będzie trudne i nie całkiem przyjemne zadanie, ale nie może się przed nim uchylać. Aby podsyć płomień gniewu zmuszający ją do działania, Fabiola wróciła myślami do historii matki, która została zgwałcona przez nobila, gdy wybrała się ze specjalnym zadaniem zleconym jej przez Gemellusa.

Metody zastosowane przez Scewolę sprawdzały się i miały ogromny wpływ na samopoczucie Fabioli. Spała z nożem pod poduszką. Przed zaśnięciem wyobrażała sobie, z jaką przyjemnością zagłębi go w ciele Cezara, wyjaśniając umierającemu dyktatorowi, dlaczego musi pożegnać się z tym światem. Zastanawiała się, jak zachowa się Romulus, gdy powie mu, że są dziećmi Cezara. Nie ulegało dla niej wątpliwości, że zareaguje wściekłością. Jakże ekscytującą wizją była myśl o połączeniu sił. Z Romulusem u jej boku wszystko będzie o wiele łatwiejsze. Może nawet jej brat zechce sam zabić Cezara? Ta myśl była taka przyjemna! We śnie zanurzyła się w świat, w którym dyktator nie żył, ona i Romulus wreszcie byli razem, a Brutus znowu o nią dbał i ją kochał.

Od wielu miesięcy nie spała tak dobrze.

Gdy pojawiła się w recepcji w południe następnego dnia, Jowina pokiwała z zadowoleniem głową.

– Dobrze spałaś?

– Tak, dziękuję. Morfeusz wreszcie się nade mną zlitował – Fabiola rozpromieniła się na wspomnienie swojego snu. – Pojawili się już jacyś klienci?

– Nie. Jeszcze długo tego ranka nikogo nie będzie. Wszyscy pewnie leczą kaca po wczorajszej zabawie, zorganizowanej przez szczodrego Cezara.

Fabiola się skrzywiła. W mieście nie mówiło się o niczym innym, tylko o dwudziestu dwóch tysiącach stołów z jedzeniem i pićmi, które miały być przygotowane w imieniu Cezara w nocy po jego ostatnim

triumfie. Popularność dyktatora rosła z każdym dniem. *Niech będzie przeklęty! Ten łajdak nie popełnia błędów.*

– Nie martw się – zaćwierkała radośnie Jowina, niewłaściwie interpretująca jej reakcję. – Te pieniądze, którymi obdarował swoich żołnierzy, sprawią, że będą walić tu drzwiami i oknami. Po latach kampanii połowa z nich prawdopodobnie wygląda niczym stado Priapusów. Rechocząc, wskazała malowidło na ścianie, na którym bóg ogrodów, pól i płodności przedstawiony został jak zwykle z ogromnym penisem we wzwodzie. – Ludzie Scewoli nie odważą się powstrzymać legionistów!

Fabiola uśmiechnęła się wbrew sobie.

– Kto pilnuje wejścia?

– Wettiusz. Stoi tam od świtu. Mówi, że nic się nie dzieje. Oprychy Scewoli pewnie bawiły się do rana. Nikt nie lubi walczyć z bolącą głową.

– Hmm...

Gdy *fugitivarius* wybierze właściwą chwilę, zadba już o to, żeby jego ludzie byli gotowi, niezależnie od tego, czy pili wczoraj na umór, czy nie. Fabiola wydeła wargi i ruszyła do bramy, żeby przekonać się, jak sprawy stoją.

Wettiusz opierał się o ścianę przy wejściu do Lupanaru. Miał zamknięte oczy i próbował chyba na stojąco złapać chwilę snu w ciepłej plamie światła słonecznego. W prawej ręce wciąż ścisnął pałkę, z którą zwykle się nie rozstawał. Ośmiu czy dziewięciu ochroniarzy kręciło się po uliczce. Jedni grali w kości, inni bez większego zainteresowania przyglądali się nielicznym przechodniom. Wettiusz szóstym zmysłem chyba wyczuł pojawienie się Fabioli. Otworzył oczy i poderwał się błyskawicznie.

– Pani?

– Powiedziała, żebyś się tak do mnie nie zwracał – zbeształa go Fabiola.

Osilek pokiwał wielką ogoloną głową. Zawsze czuł się niezręcznie, zwracając się do niej po imieniu.

– Fabiolo?

– Jakież wieści o Scewoli lub jego szumowinach?

– Ani widu, ani słychu.

– Miej się na baczności – skinęła na niego, żeby podszedł bliżej i wyszeptała. – Zadbaj o to, żeby wszyscy byli gotowi do walki. Myślę, że teraz, po zakończonych triumfach Cezara, zagrożenie będzie większe.

Wettiusz uniósł pałkę i uderzył nią w otwartą dłoń lewej ręki.

– Jeśli ta świnia się pojawi, lepiej, żeby przygotował się na najgorsze.

Widząc pewność siebie w oczach Wettiusza, Fabiola poczuła, że w jej serce wlewa się nieco otuchy.

Jak się okazało, Scewola pojawił się przygotowany na wojnę.

Tego dnia później.

Pierwsze ukłucie niepokoju Fabiola poczuła w chwili, gdy wczesnym popołudniem znowu wybrała się sprawdzić, co dzieje się z ochroniarzami. Po wyjściu za bramę z zaskoczeniem stwierdziła, że ulica wygląda na wyludnioną. Nie było żadnych hałaśliwie bawiących się dzieci, żadnych gospodyń z okolicznych domów, plotkujących z sąsiadkami przy zakupach lub praniu. Nie było nawet żebraków, którzy regularnie szukali szczęścia w pobliżu Lupanaru. Okiennice na oknach *insulae* w budynku naprzeciwko zostały szczelnie zamknięte.

– Jak długo już to tak wygląda? – zapytała Benignusza, który zastąpił Wettiusza na ulicy.

Ten potarł szczękę w zamyśleniu.

– Około godziny. Nie wszczynałem alarmu, bo ulice trochę dalej wyglądają podobnie.

Fabiola wciągnęła powietrze nosem tak, że jej nozdrza rozszerzyły się gniewnie. Najbliżej Lupanaru znajdowały się piekarnia, warsztat garncarski i apteka. Piekarnia była zamknięta, co akurat jej nie zdziwiło. Otwierała swoje podwoje bardzo wcześnie rano, jeszcze przed wschodem słońca. Chleb był podstawą diety większości obywateli, którzy chętniej kupowali świeże bochenki. Półki pustoszały, zanim minęła godzina czy dwie, i piekarz zamykał zakład, żeby się przespać. Fabiola zdumiała się jednak na widok zamkniętego zakładu garncarskiego, który w normalnych okolicznościach zwykle otwarty był aż do zmroku. Zmarszczyła brwi, widząc aptekarza, tęgiego, łysiejącego już Greka, który właśnie zbierał produkty z wystawy. W słojach i

słoiczkach różnej wielkości znajdowały się medykamenty na wszystkie choroby i dolegliwości znane człowiekowi. Prostytutki Lupanaru były jego częstymi klientkami i wydawały sporo pieniędzy, kupując różne specyfiki – od tynktury, przez środki, które uniemożliwiały zajście w ciążę lub pomagały w chorobach, aż po eliksiry miłości dla swoich ulubionych klientów. W rzeczywistości grecki aptekarz nieźle zarabiał dzięki tej lokalizacji. *Dlaczego zamyka tak wcześnie?*

Fabiola szybko przecięła ulicę, kierując się prosto w stronę aptekarza.

– Dokąd idziesz, pani? – zaprotestował Benignusz. – Fabiolo?

Nie odezwała się ani słowem, ale gestem poprosiła ochroniarza, żeby jej towarzyszył. Ten wskazał jeszcze trzech innych ludzi. Apteka znajdowała się zaledwie dwadzieścia kroków od Lupanaru, ale Benignusz wołał nie ryzykować.

Gdy Fabiola dotarła do otwartych jeszcze na oścież drzwi sklepu, pojawił się akurat jego właściciel, który wycierał ręce w poplamiony fartuch. Ukłonił się na jej widok.

– Miło cię widzieć, pani. Potrzebujesz więcej waleriany na sen?

– Nie, dziękuję. – Fabiola wyciągnęła rękę, wskazując prawie puste stoły i ławy. – Tak wcześnie zamykasz?

– Tak... – wyraźnie unikał jej wzroku. – Moja żona nie czuje się najlepiej – dodał pospiesznie.

– Niedobrze – Fabiola przybrała wyraz twarzy pełen troski. Jej podejrzenie, że coś jest nie w porządku, zmieniało się w pewność. – Mam nadzieję, że to nic poważnego?

Aptekarz spojrzał na nią niepewnie.

– W nocy dostała gorączki.

– Niechybnie dałeś jej jakieś dobre lekarstwo? – odezwała się nieco cynicznym tonem Fabiola.

– Oczywiście... – mruknął.

– Co takiego?

Aptekarz zawahał się i wtedy Fabiola była już absolutnie pewna, że kłamie. Grek był człowiekiem bardzo rodzinnym i gdyby jego żona naprawdę zachorowała, z pewnością zostałyby z nią cały dzień i nawet nie próbował otwierać apteki.

– Co tu się *naprawdę* dzieje? – zapytała zimnym głosem, podchodząc nieco bliżej. – Bo wiesz... garncarza też jakoś nie widzę. Cała cholerna ulica wygląda na wymarłą. – Grek przełknął głośno ślinę. – No dalej! – Fabiola zachęciła go, chwytając za rękę. – Możesz przecież mi powiedzieć, o co tu chodzi. Jesteśmy dobrymi sąsiadami. Przyjaźnimy się.

Greki zerknął w prawo i lewo. Odetchnął. Jakby z ulgą, że w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ich usłyszeć.

– Masz rację. Powinienem być cię ostrzec, ale on groził mojej rodzinie. – Grek mówił łamiącym się głosem. – Przepraszam.

– Co za on? – Fabiola poczuła, że żołądek podjeżdża jej do gardła, chociaż czuła też jakąś dziwną ulgę. – Masz na myśli Scewolę?

– Tak – w oczach aptekarza pojawił się strach.

– Co ten pies planuje? – Fabiola wolałaby, żeby jej podejrzenia ktoś potwierdził.

– Z niczym się nie zdradził. Jestem jednak pewien, że nic dobrego. – Aptekarz otarł pot z czoła. – Wszyscy sklepikarze dostali takie samo ostrzeżenie. Że lepiej dla nas będzie, jak po południu znikniemy.

Fabiola pokiwała głową. Pomysł usunięcia z ulic ewentualnych przechodniów, którzy mogliby stać się świadkami nieprawości Scewoli, wyszedł prawdopodobnie od Antoniusza. Jego bezlitosnemu sługusowi było raczej wszystko jedno, ilu ludzi będzie musiał zabić, ale *magister equitum* pewnie wolałby jednak, aby wszystko odbyło się po cichu.

– Zatem lepiej już idź. Wracaj do domu i zaopiekuj się rodziną.

Aptekarz spojrzał na nią zakłopotany: on – bądź co bądź mężczyzna – podwija ogon i ucieka, podczas gdy ta kobieta nie daje się zastraszyć. I walczy.

– Mogę coś dla ciebie zrobić, pani?

Fabiola uśmiechnęła się ciepło, uspokajając jego sumienie.

– Zostaw nam kilka butelek *acetum* i *papaverum*. Mogą się później przydać.

– Oczywiście! – Zniknął na kilka chwil, a gdy się pojawił, dźwigał skrzynkę ze słoikami. – To wszystko, co mam.

Fabiola zaczęła protestować, ale aptekarz nic sobie z tego nie robił.

– Tylko tyle mogę zrobić – upierał się. – Niech bogowie chronią

was wszystkich.

– Dziękuję.

Fabiola gestem poprosiła swoich ludzi, żeby zajęli się dźwiganiem specyfików, a sama szybko ruszyła z powrotem do Lupanaru.

Nie musieli długo czekać.

Pocąc się obficie, Tarkwiniusz w końcu dotarł na szczyt wzgórza kapitolńskiego i znalazł się w kompleksie świątynnym poświęconym Jowiszowi. Czuł pulsujący ból głowy i niesmak w suchych ustach. Poprzedniej nocy bawił się podczas święta na cześć Cezara, a teraz mocno tego żałował. To, co wcześniej wydało mu się dobrym pomysłem, teraz uznał za wielką głupotę. Jeszcze długo będzie żałował, że tak sobie pofolgował. Ogromną świątynię najlepiej byłoby odwiedzić wcześniej rano, zanim pojawi się tu więcej ludzi, lub późnym wieczorem, gdy większość wiernych wraca do domów. Jako że słońce zbliżało się do zenitu, będzie musiał złożyć swoją ofiarę akurat wtedy, gdy czyni to pewnie połowa mieszkańców Rzymu. Trudno uznać to za idealny moment, aby oczekiwać dobrej wróżby.

Jakoś sam nie chciał się przed sobą przyznać do tego, że od czasu powrotu z latyfundium pod Lupanarem wiało nudą. Nie działo się nic godnego zainteresowania, a każdy kolejny dzień przypominał poprzedni. W tej sytuacji pośpiech, z jakim wracał do Rzymu, wydał mu się zupełnie nie na miejscu. Tarkwiniusz zastanawiał się, czy nie porozmawiać z Fabiolą, ale wciąż nie był przekonany, że byłoby to słuszne posunięcie. Dlaczego miałyby go powitać z otwartymi rękoma? Człowieka, przez którego jej brat musiał uciekać z Rzymu? Gdyby Romulus nie wrócił, nigdy by mu nie wybaczyła. Nie, lepiej pozostać w cieniu. Zbierać informacje i modlić się do bogów o wskazówki. Tylko że wiara Tarkwiniusza w łaskę bogów została ostatnio mocno nadszarpnięta.

Całe szczęście, że wróżbita, którego śledził, przekazał mu kilka istotnych informacji. Fabiola rozstała się z Decimusem Brutusem, który przez wiele lat był jej opiekunem, i wdała się w romans z Markiem Antoniuszem. To tłumaczyło jej zachowanie i tego ostatniego dnia, i kilka dni wcześniej. Później jednak Tarkwiniusz śledził Fabiolę przemierzającą zatłoczone ulice i ze zdziwieniem stwierdził, że

próbowała zorganizować spotkanie z Brutusem. Niestety, rozmowę dawnych kochanków przerwał Antoniusz, który pojawił się w towarzystwie przywódcy oprychów odpowiadających za blokadę Lupanaru. Język ciała obu mężczyzn powiedział Tarkwiniuszowi więcej niż tysiąc słów. Chociaż nie słyszał, o czym rozmawiali, gniewne gesty Brutusa, zadowolenie Antoniusza i rozpacz na twarzy Fabioli świadczyły o tym, że zapewne nie wszystko układało się tak, jak sobie tego życzyła. Wyglądało na to, że znalazła się w niełasce obu mężczyzn, a ten przykry zbir wyglądał, jakby chciał ją zaraz skrzywdzić, na oczach tłumu. Najwyraźniej sprawy wymknęły się Fabioli spod kontroli.

Haruspik nie po raz pierwszy poczuł się bezradny w obliczu problemów tej kobiety. Nie miał pieniędzy, wpływów politycznych ani jakichkolwiek nadprzyrodzonych mocy, które mógłby wykorzystać, żeby jej pomóc. Pozostało mu chyba tylko zadbanie o bezpieczeństwo Lupanaru. Jeszcze przed dwoma dniami gotów był udać się do burdelu i opowiedzieć wszystko Fabioli. Na szczęście instynkt kazał mu oprzeć się tej pokusie. Nie nadszedł jeszcze właściwy czas. Wciąż działo się niewiele, a po ostatniej nocy triumfów Cezara Tarkwiniusz uznał w końcu, że potrzebuje odpoczynku. Praktycznie wszystkie ulice w mieście zostały zastawione ławami i stołami, które uginały się pod ciężarem jedzenia i picia – materialnych przejawów hojności dyktatora. Wszyscy chcieli się bawić, a obywatele miasta traktowali przyjaźnie nawet tak małomównych, pokrytych bliznami i podejrzanie wyglądających obcych jak Tarkwiniusz. Zanim się zorientował, zachęcany przez innych imprezowiczów, wypił z pół tuzina kubków wina. Tej nocy z trudem odnalazł drogę do wynajętej nędznej klitki na poddaszu *cenacula*, położonego nad Tybrem.

Tarkwiniusz zupełnie zapomniał, że planował następnego ranka wybrać się na Kapitol. Przypomniawszy sobie o tym dopiero późnym popołudniem, gdy obudził się zlany potem i gdy opadła mgła niepamięci. Dlatego teraz musiał się pospieszyć. Choć w rzeczywistości miał mieszane uczucia co do tej wycieczki, uznał, że wizyta na wzgórzu przyniesie więcej korzyści niż wyczekiwanie nie wiadomo na co przez kolejny dzień pod Lupanarem i udawanie kalekiego idioty.

Godzinę później zmienił zdanie. Kupił kurę i złożył ją w ofierze,

ale z jej wątroby i wnętrzości niczego nie wyczytał. Sfrustrowany kupił kolejnego ptaka i powtórzył wróżbę. Bezskutecznie. Ignorując ciekawskie spojrzenia wiernych i ich prośby o wróżbę, długo w milczeniu wpatrywał się w dwa truchła. Nic. Modlitwa pod posągiem Jowisza i przeciągające się kontemplacje w ciasnych, ciemnych *cella* przywołały jedynie obrazy znanego mu już koszmaru spod Lupanaru. Stępienie bólem głowy zmysły nie zarejestrowały, że tym razem w sekwencji obrazów ginie więcej niż jedna osoba...

Poddał się. Kupił kilka kubków zwykłego soku owocowego, aby ugasić nękające go pragnienie. Spoglądając z irytacją na ogromny posąg Jowisza, postanowił wrócić na miejsce, skąd obserwował Lupanar. Posiedzi sobie spokojnie w cieniu i pozbędzie się kaca. Zanim dotarł na miejsce, musiał poradzić sobie z ominięciem dobrze już znanych mu blokad na uliczkach prowadzących do Lupanaru. Tym razem jednak było ich jakby więcej niż zwykle. Poczul pierwsze ukłucie niepokoju. Znowu udawał śliniącego się półgłówka, choć z coraz większym trudem przychodziło mu znoszenie obelg i okrutnych żartów. Gdy tylko minął czujki, zwiększył tempo marszu. Bez większych przygód dotarł do uliczki, przy której znajdował się Lupanar. Sadowiąc się na ziemi w ulubionym miejscu, wziął długi łyk wody z bukłaka. *Jak pozbyć się tego cholernego bólu głowy?*

Kilka chwil później haruspik z niepokojem zauważył dużą grupę nieułamków, którzy pojawili się na końcu alejki. Zesztywniał, widząc słabo skrywaną broń pod płaszczami. Zmierzali prosto ku Lupanarowi. Naliczył ponad dwudziestu drabów. Nie miał już żadnych wątpliwości, że dzieje się coś niedobrego. Wreszcie jego powracający koszmar zaczął nabierać sensu. Dlaczego bogowie nie zesłali mu żadnej wizji w świątyni Jowisza? Jak mógł wczoraj doprowadzić się do takiego stanu? Zaklął i ruszył szybkim marszem ku mitreum. Przy odrobinie szczęścia znajdzie na miejscu Sekundusa i przekona go do udzielenia pomocy Fabioli.

Gdy zobaczył lidera oprychów i kolejną grupę z drabinami, poczul w żyłach kolejną porcję adrenaliny. Zaczął biec. Bogowie w końcu zdecydowali się uchylić rąbka tajemnicy.

Tarkwiniusz modlił się, żeby to objawienie nie okazało się za późne. Za późne dla Fabioli.

Scewola zaatakował mniej więcej godzinę po rozmowie Fabioli z aptekarzem. Od razu poczuła ulgę, która wreszcie rozproszyła jej strach. Niepewność wysysała jej energię. Ale teraz nadszedł czas, aby raz na zawsze rozwiązać problem ze Scewolą. Zrobiła, co było w jej mocy, aby przygotować Lupanar do oblężenia. Zgromadzili tyle jedzenia, że powinno starczyć na ponad tydzień. Mieli własne źródło wody. Tuż przy wejściu zgromadzono arsenał broni: topory, miecze i pałki, a także kilka włóczy. Ciężka zasuwana na frontowych drzwiach dobrze spełniała swoją rolę, a bramę można było dodatkowo zabarykadować z wykorzystaniem ciężkich mebli. Nikt nie dostanie się do środka tą drogą, chyba że użyje tarana. Na wypadek zaproszenia ognia kazała przygotować wiadra z wodą i umieścić je w różnych miejscach w całym budynku. Prostytutki były bezpieczne w pokojach z tyłu domu, ale Jowina pozostała na swoim stanowisku w recepcji. Siedziała tam cicha i spokojna, ze sztyletem w wiotkich dłoniach.

Połowa ludzi Fabioli pod dowództwem Benignusza znajdowała się na ulicy, natomiast Wettiusz z pozostałymi zajął miejsce przy recepcji, w każdej chwili gotowy do wsparcia swojego towarzysza. Fabiola uznała, że powinni stawić opór już na ulicy. Przynajmniej przez jakiś czas. Gdyby ukryła się w burdelu, Scewola uznałaby, że jest zbyt przerażona lub nawet pogodzona z losem. Nic z tego. To był jej teren, nie jego. I będzie go bronić. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że nie dysponuje zbyt wielkimi siłami. Włącznie z Benignuszem i Wettiuszem miała osiemnastu ludzi. Większość z nich to byli niewolnicy lub zwykłe oprychy z *collegia*, których umiejętności i odwagi nie mogła być pewna, ale wynajęła też kilku gladiatorów, profesjonalnych zabójców wojowników, potrafiących zabijać, którzy razem z dwoma wielkimi ochroniarzami Lupanaru tworzyli rdzeń jej małej armii. Piątce gladiatorów – dobrze uzbrojonych i wyposażonych zgodnie z klasą – płaciła dwa razy więcej niż innym. Chociaż ani Katus, ani niewolnicy pracujący w kuchni nie byli szkoleni do walki, również oni zostali uzbrojeni, co zwiększało liczbę obrońców do dwudziestu trzech. Dwudziestu czterech... jeśli wliczy siebie. Odrzucając wszelkie konwenanse, Fabiola przypasała gladius. W końcu była wyznawczynią Mitry, boga wojownika, więc będzie walczyć jak inni.

Zdawała sobie sprawę z tego, że robi dobrą minę do złej gry. Wyraźnie czuła to w żołądku.

Wkrótce wszystko się skończy.

– Żwawo, chłopcy! Kłopoty! – usłyszała głos Benignusza dochodzący z ulicy.

Fabiola skoczyła do uchylonych drzwi. Do Lupanaru zbliżała się grupa co najmniej dwudziestu oprychów. Nie widziała Scewoli, ale i tak żołądek podjechał jej do gardła. Ubrani w płaszcze, pod którymi wyraźnie rysowała się broń, nonszalancko zachowujący się przybysze zdawali się bawić w najlepsze, jakby byli na porannym spacerze. Kilka, może kilkanaście kroków za nimi dostrzegła jakąś samotną postać. Dobrze zbudowanego, siwego mężczyznę w znoszonej, rdzawej wojskowej tunice. Fabiola zmarszczyła brwi. *Czy to ich przywódca? Nie. Wydaje się zupełnie jakby nie na miejscu.* Nie miała czasu, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Uświadomiwszy sobie, że nie zaskoczą ochrony Lupanaru, oprychy odrzucili płaszcze i chwycili za broń. Słońce odbiło się od ostrzy siekier, obitych metalem pałek i sztychów mieczy. Z głośnymi okrzykami rzucili się wprost na bramę Lupanaru.

– Wiesz, co robić – Fabiola zwróciła się do Benignusza.

– Tak. Mamy ukatrupić tylu, ilu się da, a potem wycofać się do środka – padła odpowiedź.

– Niech Mitra was ochroni! – Serce Fabioli tłukło się w klatce piersiowej ze strachu i podekscytowania.

Zanim Benignusz dołączył do swoich ludzi, którzy ustawili się w łuku wokół wejścia, ukłonił się jeszcze nonszalancko Fabioli z ponurym grymasem na twarzy. To właśnie on z pięcioma gladiatorami mieli stanowić trzon obrony, który powinien powstrzymać pierwszy impet ataku. Mężczyźni stanęli ramie przy ramieniu jak oddział regularnej armii. Żadna ze stron nie używała tarcz, co oznaczało, że nie trzeba będzie długo czekać na ofiary.

Pierwszą krew przelali obrońcy. Krzepki mężczyzna dzierzący topór o długim drzewcu wysforował się nieco przed główną grupę atakujących z bronią uniesioną wysoko nad głową. Zaatakował Benignusza z ogłuszającym okrzykiem. Fabiola drgnęła na widok nieprzyjemnie zakrzywionego ostrza. Takim toporem można było z

łatwością odrąbać kończynę lub śmiertelnie ranić człowieka. Na szczęście Benignusz poradził sobie wyśmienicie. Uniósł obitą metalem pałkę, trzymając ją za dwa końce, i użył jej do zablokowania drzewca topora. Gdy ostrze wryło się pomiędzy żelazne ćwieki na pałce, poleciały iskry. Twarde drewno wytrzymało to uderzenie, a broń atakującego uwięzła na głębokości dwóch palców, zamiast rozchłastać głowę Benignusza na dwie połówki. Napastnik z szaleństwem w oczach próbował odzyskać kontrolę nad toporem. Bezskutecznie. Benignusz wykorzystał okazję. Z uśmiechem na ustach szarpnął mocno przeciwnika tak, że ten, nie chcąc stracić uchwytu, znalazł się tuż przy nim, po czym wymierzył mu potężnego kopniaka w krocze. Mężczyzna z krzykiem osunął się na ziemię, nie myśląc już o toporze, który po chwili był w rękach Benignusza. Ten odrzucił go na bok i chwycił mocniej pałkę obiema rękoma. Uderzył z całej siły.

Fabiola wiele razy widziała, jak kucharz posługuje się wielkim tasakiem, oddzielając kawałki mięsa od kości. Nigdy nie sądziła jednak, że czaszkę człowieka można roztrzaskać równie łatwo jak kość zwierzęcia. Gdy widziała Charona na arenie lub mężczyznę wcielającego się w rolę Przewoźnika, który miał sprawdzić, czy padli w walce gladiatorzy naprawdę nie żyją, zawsze odwracała wzrok. Tym razem obserwowała wszystko jak zauroczona. Głowa napastnika pękła z obrzydliwym trzaskiem niczym dojrzały owoc. Czerwona mgiełka, która na chwilę skryła walczących, składała się z drobinek krwi i małych fragmentów galaretowatej substancji mózgu. Posoka spryskała framugę drzwi, przy których stała Fabiola. Wiele by dała, by była to krew Scewoli.

Towarzysze mężczyzny, który właśnie zginął, uderzyli jednak z impetem na łuk obrońców zaledwie chwilę później. Zamknięta przestrzeń wąskiej uliczki sprawiała, że szczęk broni i krzyki walczących odbijały się od murów głośnym echem. Ostrza mieczów zagłębiały się w miękkie ciała, mężczyźni siłowali się ze sobą, kopali, a nawet kąsali, jeśli nadarzyła się okazja. Fabiola tańczyła, a raczej przeskakiwała z nogi na nogę, nieświadomie naśladując ruchy walczących. Wyciągnęła już swój gladius i tylko silne ramię Wettiusza sprawiło, że nie przystąpiła sama do walki.

– Nie, nie, nie... nie pójdiesz tam – powiedział spokojnie, ale stanowczo. – To nasze zadanie.

Fabiola nie próbowała się wyrywać, bo wiedziała, że jej opiekun ma rację.

Na dodatek ku jej przerażeniu niemal od razu sprawy zaczęły przybierać niekorzystny dla obrońców obrót. Najpierw rozpadł się defensywny łuk, zabezpieczający wejście. Chociaż ludzie Fabioli unieszkodliwili pięciu kolejnych przeciwników, sami też ponieśli spore straty, bo zginęło trzech obrońców. Nie było jednak nikogo, kto mógłby uzupełnić szeregi, dlatego po chwili dwóch napastników znalazło się już bezpośrednio przy drzwiach. Jeśli uda im się zdobyć kontrolę nad bramą, bitwa dobiegnie końca. Benignusz i pozostali jego towarzysze nie mogli zareagować, sami zajęci walką o życie.

Wtedy Wettiusz przepchnął Fabiolę lekko, ale stanowczo na bok i ruszył na zewnątrz, prowadząc ze sobą trzech kompanów. Pierwszego przeciwnika unieruchomił niemal natychmiast bezlitosnym pchnięciem miecza w pierś. Niestety, drugiemu udało się ciężko ranić jednego z obrońców, zanim gladiator odrąbał mu głowę potężnym cięciem od tyłu. Przez chwilę zrobiło się luźniej. Tylko przez chwilę. Benignusz przyciskał rękę do krwawiącej rany na piersi, a *secutor* zginął. Napastnicy znów zaatakowali z żądzą krwi w oczach, rycząc jak dzikie zwierzęta. Ostrza błyskały i poruszały się w przód i w tył niczym języki jadowitych węży. Fabiola zdała sobie sprawę, że jeśli nie wezwie swoich ludzi do środka, wszyscy zginą.

– Wycofać się. Za bramę!

Ochroniarze znajdowali się zaledwie kilka kroków od muru, ale zanim udało im się bezpiecznie odskoczyć od napastników, zginęło dwóch kolejnych obrońców. Fabiola stała tuż za progiem i z przerażeniem obserwowała, jak mężczyźni, mimo że błagali o życie, zostali z zimną krwią zaszlachtowani. Benignusz przekroczył próg bramy na końcu, w ostatnim zamachu, zanim drzwi zatrzasknięto z wielkim hukiem, jakimś sposobem roztrzaskując jeszcze ramię ścigającego go bandyty. Dyszał ciężko, ale w ostatniej chwili udało mu się zabezpieczyć bramę zasuwą. Inni szybko doskoczyli do niego z ciężkimi meblami, beczkami i wszystkim, co mogło się przydać, by

zablokować bramę, która aż zatrzęsała się od uderzeń pięści i broni napastników po drugiej stronie. Walczący teraz zasypywali się tylko wymyślnymi obelgami, odzyskując siły po krótkiej, acz brutalnej i wyczerpującej konfrontacji.

Fabiola miała pewność, że atakujący w żaden sposób nie przedostaną się przez bramę, no, chyba że przygotowali się na taką ewentualność i mają taran. Zajęła się opatrywaniem rannych, żeby nie myśleć o takiej możliwości. Z ulgą przekonała się, że Benignusz nie odniósł poważnych obrażeń. Gdy oczyściła ranę *acetum*, jeden z gladiatorów użył igły i lnianych nici, żeby połączyć skórę w miejscu cięcia. Kilku mężczyzn miało inne, niewielkie obrażenia. Tylko jeden obrońca został ciężko ranny. Ostrze miecza wbiło się ukośnie w jego udo i zatrzymało się dopiero na kości. Uszkodzone zostało jedno z głównych naczyń krwionośnych. Z rany pulsującym strumieniem sikała jasnoczerwona krew, zalewająca mozaikę podłogi. Fabiola nie mogła uwierzyć, że ten człowiek jeszcze żyje, krew utworzyła już bowiem wokół niego szeroką kałużę. Krwawienie udało się zatamować dopiero wtedy, gdy ktoś przyniósł kawałek liny i szczapy drewna. Jednak los rannego wydawał się już przesądzony.

Zanim udało się opatrzeć wszystkich, na zewnątrz zrobiło się dziwnie cicho. Już nikt nawet nie rzucał przekleństwami. Fabiola zaczęła czuć się trochę nieswojo. *Z pewnością ci szmaciarze Scewoli tak łatwo się nie poddadzą.* Otwarcie drzwi w bramie byłoby zbyt niebezpieczne, dlatego pobiegła do jednej z sypialni, w której znajdowało się małe okienko wychodzące na ulicę. Podobnie jak większość dużych budynków w mieście Lupanar z zewnątrz nie wyróżniał się specjalnie skomplikowaną fasadą. Na ścianie frontowej było zaledwie kilka otworów. Okienka te były na szczęście za wysoko i były za małe, żeby ktoś mógł się przez nie przecisnąć. Chociaż taka konstrukcja budynku zwiększała prywatność i poczucie bezpieczeństwa, ze środka niełatwo było zorientować się, co dzieje się na zewnątrz.

Fabiola znalazła stółek i wyjrzała na zewnątrz przez zieloną szybkę. Ów kosztowny luksus dodatkowo zniekształcał obraz świata za murami. Widziała tylko niewyraźnie grupę naradzających się ludzi, którzy wskazywali rękami na Lupanar. Niepokojące było jednak to, że

ludzi tych było znacznie więcej niż wcześniej, co oznaczało, że musiały nadciągnąć posiłki. Wydawało się, że krępa postać znajdująca się w środku grupy kierowała resztą. Fabiola czuła, jak rośnie jej puls. *Czy to Scewola?* Nie mogła być pewna. Czekwała na to, co się wydarzy, wstrzymując oddech.

W pewnym momencie z przerażeniem stwierdziła, że atakujący dźwigają na plecach długie drabiny. Upadła na duchu. O tym nie pomyślała. Ustawiono je pod ścianami. Zaklęła gorzko. Wystarczy unieść i przesunąć kilka dachówek, żeby bez problemu dostać się na poddasze, a potem do środka. Jako że napastników było ponad dwudziestu, mogli zaatakować w kilku miejscach równocześnie. A ona będzie musiała podzielić swoje siły i podjąć walkę w płataninie korytarzy i pokoi w nadziei, że w ten sposób uniemożliwi wrogom spenetrowanie linii obronnych. Wpadła w panikę, gdy policzyła drabiny.

Pięć.

Zeskoczyła na podłogę, krzycząc do Wettiusza i Benignusza.

Pozostało im tylko jedno. Będą musieli wycofać się na centralny dziedziniec, do którego można dostać się przez dwoje drzwi. Tam przynajmniej będą mogli podjąć walkę i pokazać przed śmiercią, na co ich stać. Fabiola wiedziała, że jej los i los prostytutek nie będzie lekki. Te oprychy nie oprą się pokusie tak wielu pięknych ciał, a Scewola pewnie zechce dokończyć to, czego nie doprowadził do finału kilka lat wcześniej. Zadrżała na myśl o tym, czego udało jej się uniknąć, a co z pewnością czeka ją dzisiaj, ale nie pozwoliła sobie na rozpacz. Jeden z jej opiekunów został wcześniej poinstruowany. Wiedziała, że nie może pozwolić, aby ona i kobiety żywe wpadły w łapy tych oprychów.

Fabiola zamknęła dłoń na gladiusie i pobiegła do recepcji.

Tyle marzeń i nadziei... a moje życie zaraz się skończy.

Wszystko na nic.

Rozdział XXII

Gemellus



Przez długi czas nie było odpowiedzi.

Czując w sobie narastającą lodowatą furię, Romulus jeszcze raz załomotał w drewniane drzwi. Tym razem usłyszał dochodzący ze środka odgłos szurania stóp, a potem zapadła cisza.

– Gemellus! Otwieraj!

Nikt długo nie odpowiadał, ale Romulus był pewien, że kupiec nasłuchuje, przyczajony po drugiej stronie drzwi. Zaparł się i przycisnął drzwi ramieniem. Od razu poczuł, że liche deski zaczynają się uginać.

– Nie każ mi wejść tam siłą, bo wtedy nie będę taki miły – ostrzegł.
– Liczę do trzech. Jeden.

– Kto tam? – ktoś w środku odezwał się płaczkliwym głosem. Bez wątplenia należał on do Gemellusa. Romulus nigdy go nie zapomniał. – Zapłaciłem czynsz w tym tygodniu.

– Dwa... – Romulus nie dawał za wygraną. Licząc, schował swój sztylet do pochwy.

– Dobrze, niech będzie... – Gemellus odsunął zasuwę i uchylił skrzypiące drzwi. Zerknął nieufnie i zamrugał, po czym otworzył je szerzej. Włosy mu posiwiały. Wyglądał na człowieka starszego i bardziej zmęczonego, niż wyobrażał to sobie Romulus. Miał wyraźnie zapadnięte policzki, pokryte grubą szczeciną. Prawdopodobnie jego dieta też uległa sporej zmianie, bo bez wątplenia stracił parę kilogramów w pasie. Chociaż Gemellus nigdy nie przejmował się specjalnie czystością noszonej odzieży, teraz jego podarta tunika była cała pokryta plamami

po jedzeniu i winie. Sandały też pamiętały lepsze czasy. Wyglądał właściwie jak jeden z bezdomnych włóczęgów, którzy wegetowali gdzieś w zaułkach grobowców przy Via Appia. Jedyne, co się nie zmieniło, to jego arogancja.

– Kim jesteś? Znam cię?

Romulus zignorował pytanie. Nie mógł wprost uwierzyć, że ten śmierdzący łażęga jest jego byłym właścicielem.

– Porcjusz Gemellus? – chciał mieć absolutną pewność.

– Tak – odpowiedział kupiec z irytacją. – Czego chcesz?

Romulus z trudem powstrzymał się przed instynktowną ripostą i wyjawieniem mu prawdziwego powodu.

– Trudno cię było wytropić. Myślałam, że mieszkałeś na Awentynie. W dużym domu.

Gemellus skrzywił się.

– Tak było. Dawniej.

Romulus uznał za stosowne posypać rany swojego ciemiężyciela solą.

– Wszystko przypadło, co?

Gemellus nie wyczuł sarkazmu w głosie.

– Bogowie zwrócili się przeciwko mnie. Wszystkie moje przedsięwzięcia poszły nie tak, jak planowałem. Zwłaszcza to ostatnie – jęknął. – Miałem być bogaty jak Krezus, a skończyłem na ulicy.

– Mówisz o dzikich bestiach? – zapytał Romulus, postanawiając przejść do rzeczy. – Szkoda, że potonęły...

Gemellus spojrzał zdumiony na swojego rozmówcę.

– Skąd o tym wiesz?!

– Pracowałem jakiś czas dla Hiero. Dobry człowiek ten *bestiarius*.

Kupiec nieco się rozluźnił, ale po chwili znów spojrzał na Romulusa podejrzliwym wzrokiem.

– Nie chodzi o jakieś pieniądze dla Hiero, prawda? Jeśli tak, to powiedz mi, że nie mam już nic cennego. Kurewscy lichwiarze wszystko mi zabrali. Musiałem nawet sprzedać swój dom w Pompejach.

– Gemellus zgarbił się.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę... – zadrwił Romulus.

– Że co? – Gemellus zaczął zdradzać pierwsze oznaki strachu. –

Kim jesteś? Czego chcesz? – wyszeptał.

Romulus sięgnął po *pugio* i uśmiechnął się zimno.

– Nic takiego...

Przerażony Gemellus otworzył usta. Próbował zatrzasnąć drzwi, ale Romulus zablokował je stopą. Spoglądali na siebie przez chwilę w milczeniu, a potem Romulus szybkim ruchem umieścił sztylet w polu widzenia kupca, dociskając go do jego policzka pod lewym oczodołem.

– Nie pamiętasz mnie?

Zmartwiały kupiec puścił drzwi.

– Nie. Nigdy w życiu cię nie widziałem.

– Przyjrzyj się dobrze... – Romulus poradził, przesuwając ostrze odrobinę bliżej oka.

Dyszząc z przerażenia, Gemellus wlepił wzrok w stojącego przed nim muskularnego mężczyznę, który musiał być legionistą po służbie. Czarne włosy, przystojny, o niebieskich oczach i orlim nosie. Z tatuażem przedstawiającym Mitrę na prawym ramieniu. Nie poznawał go!

– Pracowałeś dla mnie?

– Och, tak! – Romulus roześmiał się głośno. – Od świtu do późnej nocy, siedem dni w tygodniu.

Zdezorientowany Gemellus stał jak zamurowany. Romulus zaczął się niecierpliwić. Cofnął rękę ze sztyletem tak, że teraz ostrze wskazywało pierś kupca.

– Patrz, ty głupcze! Byłeś moim właścicielem. Moim. Mojej matki i siostry.

Kupiec wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

– Romulus?

– Brawo! – odpowiedział przez zaciśnięte zęby. – Właśnie tak.

Gemellus zbladł jak płótno. Cofnął się niepewnie, spoglądając na niego tak, jakby zobaczył ducha.

– Któregoś dnia usłyszysz pukanie do drzwi...

– Co powiedziałeś?

Kupiec patrzył w przestrzeń niewidzącymi oczyma.

– Kto stoi na zewnątrz? Może żołnierz?

– Nie mylisz się, skurwysynie... Byłem gladiatorem, ale teraz jestem legionistą – warknął Romulus, chwytając Gemellusa za poły

tuniki. Przyciągnął go do siebie. Gdy rzucił nim o ścianę, kupiec zawył ze strachu.

– To dopiero początek – syknął, powoli przesuwając ostrze *pugio* po lewym policzku Gemellusa. Ten wrzasnął, a z rany pociekła cienka stróżka krwi. Romulus uśmiechnął się. – Czas spłacić stare długi. – Jego głos ociekał nienawiścią. – Twoim nędznym życiem.

Gemellus zaczął szlochać.

– Proszę... To boli.

Romulus złapał go za podbródek, zmuszając, żeby spojrzał mu w oczy.

– Za to, co zrobiłeś Jubie i mojej rodzinie, pokroję cię na małe kawałeczki. Ale zanim to zrobię, powiesz mi, co się stało z moją matką i Fabiolą. – Oczy Gemellusa zrobiły się lśniące i po chwili po zapadniętych policzkach zaczęły spływać grube łzy, które mieszały się z krwią. – Gadaj! – krzyknął Romulus. Był tak blisko, że obryzgał śliną swoją ofiarę. – Gdzie trafiła Fabiola?

– Sprzedałem ją do Lupanaru – Gemellus przyznał w końcu.

To, jak lekko powiedział to Gemellus, dotknęło Romulusa do żywego. Ten człowiek nie przejmował się losami jego siostry bardziej niż oferowanego na rynku wołu. Romulus szybko obrócił *pugio* w palcach tak, że jego czubek tym razem zagłębił się w pierś kupca. Zapłakany Gemellus zamknął oczy. Romulus z wielkim wysiłkiem powstrzymał się przed tym, żeby nie wrazić ostrza między żebra Gemellusa i dotrzeć aż do zimnego serca. *Cierpliwości... On nigdzie się teraz nie wybiera, a po tych wszystkich latach powinienem wreszcie poznać losy członków mojej rodziny.* To była jego jedyna szansa, aby dowiedzieć się czegokolwiek.

– Mów dalej.

Gemellus pokręcił głową z zamkniętymi oczyma.

– Kilka lat temu słyszałem pogłoski, że została uwolniona przez Decimusa Brutusa, jednego z ludzi Cezara. Później okazało się, że to prawda.

Romulus chciał zapamiętać to nazwisko. Być może to on był oficerem, który zabrał Fabiolę do Aleksandrii. Dzięki Tarkwiniuszowi wiedział już, że jego matka nie żyje, ale chciał to usłyszeć z ust kupca.

– A co z Welwinną? – dźgnął Gemellusa sztyletem. – Spójrz na mnie!

W świńskich oczkach Gemellusa tym razem dostrzegł chyba szczere poczucie winy.

– Trafiła do kopalni soli.

– Ile za nią dostałeś?

Kupiec wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam.

Kolejne dźgnięcie sztyletem, tym razem mocniejsze, chyba poprawiło kupcowi pamięć. Zaskrzeczał.

– Dwieście, może trzysta *sestertii*? – To był ułamek tego, ile może zarobić dla swojego pana zdrowy niewolnik w kopalni. Romulus wpadł w furję. Pomyśl, że ludzka istota, żywy człowiek – jego matka – może zostać skazana na śmierć w takim strasznym miejscu dla tak niewielkiej kwoty... sprzedana za tak niewiele. To było nie do zniesienia!

– Ty brudny skurwysynu... – wysyczał, przecinając mu skórę na drugim policzku od ucha do kości szczęki. – Nic dla ciebie nie znaczymy, co? Ot, zwierzęta, które można pieprzyć, kupić lub sprzedać. – Gemellus uniósł rękę do twarzy. Jego pierś falowała od głośnego szlochania. – Odpowiedz mi! – Romulus ryknął. – Dlaczego to zrobiłeś?

Krwawiący kupiec padł na kolana i przytulił się do *caligae* Romulusa niczym wierny w świątyni.

– Wybacz mi. Jestem złym człowiekiem.

Nogi i sandały Romulusa pokryły się krwią. Zdegustowany kopnął Gemellusa. Nigdy nie zrozumie powodu, dla którego kupiec traktował swoich niewolników z takim okrucieństwem.

– Wstawaj, ty szmato. – Kupiec nie odpowiadał, więc Romulus kopnął go jeszcze raz. – Na nogi mówię! Najwyższy czas, żebyś poczuł prawdziwy ból. Zanim poślę cię do Hadesu.

– Nie – Gemellus jęknął. – Proszę! – Wokół niego zebrała się kałuża moczu, stracił bowiem kontrolę nad swoim pęcherzem. – Jestem starym człowiekiem.

– Raczej szczurem kanalizacyjnym. – Romulus splunął. – Nie lubisz, jak ktoś cię tak traktuje, prawda? – Kupiec nie odpowiadał. Będzie musiał go pchnąć w plecy. Gemellus za bardzo się bał, żeby z

uniesioną głową przyjąć wyrok śmierci. A jednak Romulus nie był zdolny do zabicia nawet takiego potwora jak Gemellus w ten tchórzliwy sposób. Złapał go za kark i zmusił go, żeby podciągnął nogi i usiadł.

– Tak lepiej – powiedział, ciężko dysząc. – Będiesz patrzeć mi w oczy, gdy pozbawię cię jaj.

– Nie! – głos Gemellusa przypominał teraz skrzeczenie.

W tej chwili otworzyły się drzwi obok tych prowadzących do mieszkania kupca. Wychynęła z nich głowa mężczyzny.

– Won do środka albo ciebie też wykastruję! – Romulus krzyknął wściekle. Mężczyzna zniknął, najwyraźniej uznając groźbę za prawdziwą. Brutalne porachunki i przemoc na ulicach miasta były w Rzymie na porządku dziennym, a mimo to ludzie odpowiedzialni za stolicę nie uznawali za stosowne stworzyć systemu patrolowania i ochrony obywateli. Nie było komu interweniować i przeszkodzić Romulusowi.

Rozciął dolną część tuniki Gemellusa, który leżał teraz nieruchomo jak tusza mięsa na stole rozbiorowym u rzeźnika. Nie zrobił nic, aby go powstrzymać. Tylko ruchy klatki piersiowej i jego żalosne łkanie mogło być sygnałem świadczącym o tym, że ten kawał mięsa jeszcze oddycha. Romulus odrzucił mokre, śmierdzące *licium* kupca, odsłaniając jego pomarszczoną, brudną męskość. Romulus zaśmiał się w głos, gdy zobaczył jego przyrodzenie.

– Nie masz za wiele do stracenia, co? Założę się, że to i tak zaboli. – Pochylił się i chwycił skurczoną mosznę. Pociągnął w dół, żeby ułatwić sobie cięcie.

Gemellus zaczął zawodzić niczym zarzynane prosię.

Romulus już miał naciąć skórę, gdy coś kazało mu się powstrzymać. Przekręcił głowę i stwierdził, że jego mały przewodnik obserwuje wszystko z absolutną grozą w oczach. Ich oczy spotkały się. Romulus przypomniał sobie, że jako młokos też był świadkiem kradzieży i rozbojów na ulicach miasta, które dawniej również nie było bezpieczne dla dzieci. W tej samej chwili otrzeźwiał. Zalała go fala wstydu. *Co ja wyczyniam?* – Romulus spojrział z obrzydzeniem na obwisłą skórę ciała Gemellusa. – *Torturuję starego człowieka na oczach dzieciaka? Kim się stałem?*

Wytarł swój sztylet o tunikę Gemellusa i wstał.

– Nie jesteś wart nawet tego – powiedział, ciężko oddychając. – Życie w tej dziurze jest wystarczającą karą.

Gemellus nie odpowiedział. Unosił na przemian dłonie do policzka i obnażonych klejnotów. Znieruchomiał, gdy Romulus schował *pugio* do pochwy.

– Chodź – Romulus zwrócił się do urwisa, który odetchnął z ulgą. – Musimy znaleźć tę karczmę i powinienem ci chyba zapłacić. – Chłopiec ożywił się na wzmiankę o pieniądzach. – Jesteś głodny? – zapytał Romulus, popychając go w stronę skrzyżowania ulic.

Chłopak pokiwał energicznie głową.

– Wiesz co? – Romulus chciał pokazać się teraz z lepszej strony. – Dzisiaj byłeś niezwykle pomocny. Dam ci te dziesięć sesterców i zapraszam też na posiłek. Zgoda?

Na twarzy urwisa wykwitł szeroki uśmiech zadowolenia.

– Dziękuję.

Romulus odwzajemnił uśmiech i zmierzwił chłopakowi włosy na głowie. W dzieciństwie rzadko miał okazję najeść się do syta.

Jego mały przewodnik spoglądał na niego z wdzięcznością, ale nagle wyraz jego twarzy zmienił się gwałtownie.

– Uważaj! – krzyknął.

Było już za późno. Chociaż Romulus zaczął się obracać, nie zdążył uchylić się przed ciosem. Głowa eksplodowała mu tysiącem gwiazd, a kolana się pod nim ugięły. Padł na ziemię jak długi, boleśnie świadomy, że zlekceważył Gemellusa. Wciąż półnagi, z okrwawioną twarzą, kupiec trzymał w dłoni duży kawałek cegły.

– Mały nikczemnik! – splunął. – Powinienem kazać cię ukrzyżować obok tego Nubijczyka.

Romulus, leżąc na brzuchu, próbował jeszcze przekręcić się na bok i wyciągnąć sztylet, ale czuł się jakoś dziwnie i nie potrafił skoordynować ruchów. Był bezsilny, a jego umysł rejestrował zdarzenia, nie wysyłając żadnych bodźców działania do kończyn. Zamknął oczy. Niemalże z przyjemnością i poczuciem ulgi. Był tylko niejasno świadomy tego, że chłopak rzucił się na Gemellusa z piąstkami, krzycząc, żeby nie ważył się skrzywdzić żołnierza, ale kupiec bez

problemu go spacyfikował. Kiedy urwis podskoczył do niego ponownie, Gemellus uderzył go w twarz wierzchem dłoni. Płaczący chłopiec nie podejmował już kolejnych prób. Chwilę później Romulus wyczuł, że ktoś się nad nim pochyla. Z wielkim wysiłkiem przewrócił się na plecy.

Gemellus szczyrzył się triumfalnie. We wzniesionej nad głową ręce trzymał kawałek cegły.

– Ucieszę się widokiem twojej rozbitej czaszki – powiedział. Jego krew kapłała na tunikę Romulusa. – Szkoda, że nie ma tu twojej siostrzyczki. Potem chętnie bym ją wyruchał.

Romulusa zalała fala bezsilnej wściekłości. Nie był jednak w stanie zareagować na tę zniewagę. Miał wrażenie, że z tyłu głowy ktoś wbił mu setki igieł. Nie potrafił skupić wzroku na jednym punkcie, bo widział podwójnie. Niezdarnie uniósł rękę w obronnym geście, ale podobnie jak pozostałe kończyny wydawała się ona należeć do kogoś zupełnie innego. Opadł bez sił. *Po tym wszystkim, co przeszedłem – pomyślał ze znużeniem – zginę tak głupio. Trzeba mi było nigdy nie prosić Juby, żeby uczył mnie posługiwania się mieczem. Przynajmniej ten wielkolud by jeszcze żył.* Wyrzuty sumienia z powodu śmierci przyjaciela zmieniły się w rezygnację. Przyglądał się biernie, jak Gemellus opuszcza rękę.

To moja kara.

Jednak zamiast zmiażdżyć głowę Romulusa jak zgniłe jajo, Gemellus padł na niego całym swoim ciężarem. Cegła wymsknęła się z jego wiotkich palców i rozbiła się z hukiem tuż przy uchu bezradnego Romulusa. Zdezorientowany leżał tak przez kilka uderzeń serca i nie wiedział, co się dzieje. Gemellus już się nie ruszał, co skłoniło Romulusa wreszcie do próby zrzucenia go z siebie. Niestety, nie miał dość siły. Nawet przy pomocy swojego małego przewodnika nie potrafił wydostać się spod ciała kupca. Romulus zamknął oczy. *W gruncie rzeczy może niech tak zostanie... I tak chce mi się tylko spać.*

Chwilę później usłyszał głęboki, dźwięczny głos.

– Pozwól, że pomogę.

Brzmiał znajomo, choć Romulus nie potrafił przypisać go do żadnej osoby. Po chwili był wolny. Zdziwił się na widok przesiąkniętej krwią tuniki kupca. Z jego pleców wystawała kościana rękojeść noża. Jeśli Gemellus jeszcze nie był martwy, wkrótce przekroczy bramę

Hadesu. Romulus miał dziwne poczucie ulgi. Po części cieszył się z tego, że jego były właściciel dostał to, na co zasłużył, ale był też rad, iż to nie on wymierzył mu sprawiedliwość.

– Na wszystkich bogów! To ty! Oboje byliście w niebezpieczeństwie!

Romulus uniósł wzrok. Pochylał się nad nim nie kto inny, tylko Tarkwiniusz, z wyrazem twarzy, w którym mieszało się absolutne zaskoczenie, jak i nie do końca pewne zrozumienie.

– Co ty tu robisz? – wychrypiał Romulus, który miał wrażenie, że jego język jest ciężki jak ołów.

Haruspik nie odpowiedział. Jak zwykle. Delikatnie obrócił głowę Romulusa, żeby przyjrzeć się ranie pod warstwą zmierzwionych włosów i na wpół zakrzepłej już krwi.

To wywołało kolejne fale bólu.

– Na Jowisza! Ale boli! – Romulus zaprotestował.

– Nie ruszaj się.

Posłuchał. Wykorzystał sposobność i zaczął przyglądać się haruspikowi. Jego przyjaciel niewiele się zmienił. Może policzki miał nieco bardziej zapadnięte, a na głowie przybyło siwych włosów. *Właśnie tak* – Romulus pomyślał zadowolony o jego instynktownej reakcji. – *To właśnie mój przyjaciel. Przebaczam mu to, co zrobił.* Od razu poczuł się lżejszy, a kąćki jego ust wygięły się do góry w pełnym zadowolenia uśmiechu.

– Czy to twój nóż? – Haruspik kiwnął głową. – Dziękuję.

– Spieszyłem się. Coś mi jednak kazało zerknąć w tę uliczkę – powiedział Tarkwiniusz, badając z miną eksperta czaszkę Romulusa. – Niech bogom będą dzięki, że to zrobiłem.

– Dobrze cię widzieć.

Tarkwiniusz na chwilę przerwał oględziny.

– Jesteś pewien?

Romulus skinął głową, ale szybko tego pożałował. Jego głowa zamieniła się w bęben na pokładzie triremy.

– Tak – wyszeptał. – Stęskniłem się za tobą.

– Ja też – haruspik uśmiechnął się szeroko, co sprawiło, że odmłodził o parę lat. Po chwili wytarł okrwawione palce w grube

plótno tuniki. – Mitra i Fortuna naprawdę dziś się do ciebie uśmiechają. Nie wyczułem żadnego złamania kości. Dzień odpoczynku i będziesz jak nowo narodzony.

W głowie Romulusa pojawiły się pytania, które od zbyt dawna pozostawały bez odpowiedzi. Teraz mógł je wreszcie zadać.

– Dlaczego zniknąłeś w Aleksandrii? Kto się tobą wtedy zajął? Co porabiałeś przez cały ten czas?

– Później – Tarkwiniusz wydawał się poruszony. Wstał energicznie. – Dasz sobie jakiś czas radę sam, prawda? Ten chłopak może ci pomóc?

Zaniepokojony dziwnym wyrazem twarzy haruspika Romulus poczuł się niepewnie.

– O co chodzi? Cokolwiek by się nie działo, chyba znajdziesz chwilę na rozmowę?

– Nie chciałem, żebyś się w to angażował – Tarkwiniusz mruknął.
– W Lupanarze dzieje się coś niedobrego.

Zaskoczony dziwnym zachowaniem Tarkwiniusza Romulus wzruszył ramionami.

– Wiem. Mało brakowało, a bym się wpakował... Tylko kogo to obchodzi? Jedne bandziory piorą się z drugimi.

– Chodzi o coś ważniejszego – powiedział Tarkwiniusz cicho. Romulus wpatrywał się w niego nierozumiejącym wzrokiem. – Fabiola jest teraz właścicielką Lupanaru.

Romulus gotów był uścisnąć haruspika z radości. *Była tam? Jego siostra? Znalazła się!*

– Jesteś pewien?

– Tak. Jest teraz w środku. Ale tamte szumowiny zadowolili tylko jej śmierć.

Strach chwycił Romulusa za gardło.

– Skąd wiesz?

– Słyszałem, o czym rozmawiali, gdy mijałem ich na ulicy.

Romulus zaklął szpetnie. Gdybyż tylko zdążył przed tymi zbirami. Przynajmniej teraz byłby w środku i mógłby pomóc jej się bronić. Próbował sobie przypomnieć, jak wyglądała ulica. Nie było tam nikogo poza walczącymi, ale przecież Tarkwiniusz był mistrzem kamuflażu.

– Co tam robiłeś?

Romulus nigdy nie widział, aby haruspik zrobił bardziej niewinną minę.

– Pilnowałem Fabioli.

– Dlaczego?

Teraz Tarkwiniusz się zawstydził.

– Próbowałem zrozumieć sens mojej wizji. Chciałem odpokutować za to, co ci zrobiłem.

Romulus zebrał się jakoś w sobie i stanął na nogi. Złapał Tarkwiniusza w niedźwiedzim uścisku.

– Dziękuję.

Tarkwiniusz nie nawykł do wyrażania emocji poprzez kontakt fizyczny i tylko poklepał Romulusa niezgrabnie.

– Nie ma czasu na takie konwenanse.

Romulus cofnął się.

– Ilu jest tych skurwysynów?

– Naliczyłem co najmniej dwudziestu, ale przybywali kolejni.

Romulus od razu pomyślał o swoich towarzyszach. Kilkunastu elitarnych żołnierzy legionów wartych jest dwa razy większej liczby domorosłych brutali. Potem jednak przypomniał sobie, że jego kompani ubrani są po cywilnemu i nie mają broni. Pewnie też już nieźle popili. Zaczął panikować.

– Co robić?

– Właśnie spieszyłem po pomoc. Znam kilku eksżołnierzy, którzy mają siedzibę całkiem niedaleko. To wyznawcy Mitry. Nie kochają takich ulicznych mętów.

– Sprowadź ich najszybciej, jak się da – Romulus skinął na chłopaka. – Pokażesz mi drogę do Lupanaru? Zarobisz piętnaście sesterców.

Chłopiec pokiwał głową podekscytowany.

– Jasne.

Tarkwiniusz zmarszczył brwi.

– Nie jesteś w stanie walczyć.

– Moja siostra znalazła się w tarapatkach – Romulus zbył go ostro. – Sam Cerber nie powstrzyma mnie przed zrobieniem tego, co zrobić

muszę.

Haruspik nie zamierzał się z nim wyklócać. Zrzucił swój płaszcz i odwiązał umocowany na plecach topór. Nawet w półmroku alejki nie dało się nie zauważyć złowrogo połyskujących, pokrytych oliwą ostrzy.

– Weź to.

– Dziękuję.

Romulus chwycił mocno wytarte drzewce, czerpiąc siłę z potęgi broni Tarkwiniusza. Jeśli to konieczne, wyrąbie sobie drogę do Lupanaru wbrew wszelkim przeciwnościom losu.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia, stojąc przez chwilę w milczeniu nad ciałem Gemellusa. Tak wiele mieli sobie do powiedzenia.

– Idź już! – nakazał haruspik. – Ściany domu są grube, ale oni mają drabiny.

Romulus zamknął oczy i wyobrażał sobie, jak zdziwią się obrońcy Lupanaru, gdy napastnicy zaczną zeskakiwać z krokwi pod dachem.

– Niech bogowie obdarzą cię szybkością.

Romulus ruszył pędem za swoim małym przewodnikiem.

Tarkwiniusz pobiegł w przeciwnym kierunku, mając mimo wszystko nadzieję, że to opóźnienie nie okaże się dla Fabioli fatalne w skutkach.

Rozdział XXIII

Spotkanie



Włącznie z Fabiolą na dziedzińcu znajdowało się szesnastu obrońców, ale tylko dziesięciu z nich było opłacanymi wojownikami. Pozostali – grupa niewolników pracujących w kuchni – teraz wyglądali na całkowicie przerażonych. Ta wspomniana dziesiątka nie wydawała się jakoś specjalnie załamana sytuacją, chociaż Fabiola nie była przekonana, czy na pewno będą chcieli walczyć, kiedy stanie się jasne, że porażka i śmierć są nieuchronne. Starła się dodać im otuchy, obiecując najemnikom więcej pieniędzy, a niewolnikom wolność, jeśli dobrze spiszą się w walce. Wydawało się, że jej pocieszające słowa nieco podniosły wszystkich na duchu. Na nic więcej nie było już czasu. Odgłosy dochodzące z dachu świadczyły o tym, że ludzie Scewoli zajmują się już usuwaniem dachówek. Za chwilę wedrą się do budynku.

Fabiola rozkazała swoim ludziom zebrać prostytutki i przyprowadzić je na dziedziniec. Stała tam fontanna i rosło kilka drzewek owocowych. Przechodząc przez kolejne pomieszczenia Lupanaru, starali się zamykać wszystkie pokoje z myślą o spowolnieniu napastników. Uznała, że trzech gladiatorów wystarczy do zabezpieczenia jednego wejścia, podczas gdy Benignusz i Wettiusz powinni zająć się obroną drugiego. Po szybkim przeliczeniu przerażonych, zapłakanych kobiet okazało się, że kogoś brakuje. Jowiny. Zanim jej opiekunowie zdążyli zareagować, Fabiola dała nura do słabo oświetlonego korytarza. Choć nigdy nie polubiła dawnej właścicielki tego przybytku, czuła się w obowiązku ją chronić. Znalazła Jowinę przy biurku w recepcji. Siedziała

bez ruchu z ponurą miną i ze sztyletem w ręku.

– Chodź na dziedziniec. Tam najłatwiej będzie nam się bronić.

– Ja zostaję tu – Jowina zacisnęła zęby tak, że widać było, jak drgają mięśnie jej szczęki. Miała na sobie najlepszą biżuterię, była starannie umalowana. Założyła też najdroższą suknię. Wyglądała w niej jednak jak mały, uparty wróbel, który gotów jest za wszelką cenę bronić swojego gniazda. – Tu spędziłam ponad połowę mojego życia i żaden szczur kanalizacyjny nie zmusi mnie do ucieczki.

– Proszę... – Fabiola postanowiła przekonać ją za wszelką cenę. – Zabiją cię.

Jowina roześmiała się pewnie.

– A tam czeka mnie coś innego?

Fabiola nie miała na to odpowiedzi.

– Idź już – zamieniły się rolami. – Zginiesz u boku Benignusza i Wettiusza. To twoi ludzie. Byli twoi dawno temu. Pierwszego dnia po tym, jak ich do siebie przekonałaś. Tylko pamiętaj: niech któryś z nich zadba o to, abyś żywa nie wpadła w łapy Scewoli.

Fabiola skinęła głową. Poczowała się dziwnie. Jej oczy lśniły od łez, chociaż przecież wcale nie powinno jej zależeć na Jowinie.

– Może się jeszcze zobaczymy – wyszeptwała.

– Wątpię... – zachichotała Jowina. W tej chwili miała w sobie więcej życia niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich czterech miesięcy. – Po tym wszystkim, co tu wyczyniałam... trafię prosto do Hadesu.

– No to spotkamy się w Hadesie – odpowiedziała Fabiola, przypominając sobie, co czuła po pozbyciu się Pompei, prostytutki, która nastawała na jej życie. Chociaż walczyła wtedy o przetrwanie, uśmierciła ją własnoręcznie i z zimną krwią. Tak samo bezdusnie kazała ochroniarzowi zabić Jowinę. Zmieniła zdanie tylko dlatego, że Antoniusz zaczął publicznie obnosić się z ich romansem, przez co rewelacje Jowiny nikogo by już nie zdziwiły. Z całą pewnością więc miała na sumieniu przewinienia równie ciężkie jak starsza pani. Powstrzymując szloch, który zbierał się w jej gardle, Fabiola uniosła tylko rękę w pożegnalnym geście.

Jowina uczyniła to samo.

Gdy pędziła korytarzem z powrotem na dziedziniec, słyszała już

wyraźnie głosy mężczyzn i dźwięk osypywania się tynku w kilku pomieszczeniach na górze. Gdy atakujący zeskakowali na podłogę, rozległy się głośnie tąpnięcia. Teraz już nie zostało jej nic innego, jak biec ile sił. Nie może dać się tu złapać! Po chwili ciężkie kroki słychać było już za drzwiami. Poruszenie klamek. Stwierdziwszy, że drzwi są zamknięte, napastnicy zasypali je gradem ciosów, pchnięć i kopnięć. Cienkie drewno łatwo się poddawało, pękając w prysznicu drzazg. Po co w ogóle zamykali te drzwi? To, co nieuchronne, zostało opóźnione tylko o chwilę. Poczowała, jak ogarnia ją świadomość beznadziejności oporu.

Po chwili usłyszała przenikliwy krzyk Jowiny. Zwolniła nieświadomie, żeby przekonać się, co się stanie. Ludzie Scewoli śmiali się przez chwilę pogardliwie ze staruchy, która ośmieliła się stanąć im na drodze, ale ich nastawienie wkrótce uległo zmianie. Jowina zaatakowała, dodając sobie odwagi głośnym okrzykiem. Potem rozległ się tylko pojedynczy jęk bólu i seria stłumionych uderzeń. Zapadła cisza. Fabiola zamknęła oczy. Słyszała już wcześniej, jaki dźwięk wydają ostrze mieczów wdzierające się w ciało. *Odeszła godnie. Mimo wszystkich swoich wad Jowina miała serce wojowniczkę. Niech bogowie nagrodzą ją za odwagę.*

Gdy Fabiola krótko streściła rozmowę z Jowiną, jej opiekunowie pokiwali głowami z szacunkiem i lekkim zdziwieniem.

– Kto wie, może nawet zabrała ze sobą jakiegoś drania – mruknął Wettiusz.

Walki rozgorzały na nowo. Przez jakiś czas Fabiola zastanawiała się nawet, czy nie przeceniła siły napastników. Łatwo im się było bronić w wąskich przejściach, które mógł zablokować tylko jeden człowiek. Stracili zaledwie dwóch ludzi – gladiatorów – ale w tym samym czasie unicestwili kilkunastu napastników. W korytarzach leżało teraz tak wiele trupów, że atakujący musieli się po nich wspinać, przez co sami wystawiali się na ciosy.

Jednak Scewola nie był głupcem. W końcu kazał swoim ludziom się wycofać i zaczął wydawać rozkazy, których Fabiola nie była już w stanie usłyszeć. Potem zapadła cisza.

Znów ogarnął ją strach. Strach wynikający z niepewności.

– Odeszli? – spojrzała na Benignusza pytająco.

– Wątpię.

– To co robią? – zastanawiała się głośno Fabiola, zaglądając do najbliższego korytarza.

Jej ochroniarz westchnął ciężko.

– Gdybym to ja nimi dowodził, kazałbym chwycić za łuki i użyć włóczni. Zaatakować z dystansu. Z dachu.

Zaniepokojona Fabiola zaczęła się rozglądać, uważnie lustrując dach. Nikogo nie dostrzegła i odetchnęła z ulgą, chociaż argumenty Benignusza miały sens. Wkrótce wystrzelają ich wszystkich, a oni nawet nie bardzo mają się gdzie schować. *Jesteśmy tu bezbronni. Jak ryby w beczce* – pomyślała z niesmakiem.

– Wszyscy zginiemy – wyszeptała.

– Nie wygląda to dobrze – przyznał Benignusz. – Jednak nie chciałbym być w tej chwili nigdzie indziej.

Wettiusz, przysłuchujący się tej rozmowie, mruknął chrapliwie na znak zgody.

Zdziwiona Fabiola aż otworzyła usta.

– Zawsze traktowałeś nas jak ludzi, a nie jak zwierzęta. Lepiej niż ktokolwiek kiedykolwiek wcześniej. – Benignusz posłał jej delikatny uśmiech, który sprawił, że Fabiola poczuła się dwa razy gorzej na myśl o tym, o co chciała ich za chwilę poprosić.

– Gdy nadejdzie koniec... – zamilkła, czując nudności. Zdała sobie sprawę, że mimo wszystko nie chce umierać. Jak głupie wydawały się teraz jej życzenia! Teraz, gdy koniec zbliżał się wielkimi krokami, Fabiola czuła wielką pokorę wobec życia. – Scewola kiedyś omal mnie nie zgwałcił. Nie chcę, żeby to kiedykolwiek się powtórzyło. – Zerknęła błagalnym wzrokiem to na jednego, to na drugiego. – Proszę was jako przyjaciół. Czy zadbacie o to, żeby nie dostał mnie żywej w swoje łapy?

Patrzyli na nią smutni. Spojrzeli po sobie, a potem z powrotem na Fabiolę. Milczała. Nie była w stanie powiedzieć ani słowa więcej. Po ich policzkach zaczęły spływać łzy. Zupełnie niepasujące do zaciętości rysującej się na ich twarzach. Nie byli tchórzami. Żaden z nich nawet nie pomyślał o tym, aby uchylać się przed odpowiedzialnością. Kiwnęli głowami. Najpierw Benignusz, a następnie Wettiusz.

– Dziękuję wam – powiedziała Fabiola, walcząc z emocjami.

Chciała zapytać inne kobiety, czy przypadkiem dla siebie również nie pragną ciosu łaski. Nie zdążyła.

Ludzie Scewoli podkradli się na skraj dachu zupełnie niezauważeni. Uzbrojeni we włócznie i łuki, zaczęli ostrzeliwać i obrzucać obrońców śmiertelnościami pociskami. Celowali głównie w mężczyzn, a z tak niewielkiej odległości trudno było chybić. Pierwszy trafiony został Wettiusz, w którego wielkie plecy wbiła się z impetem włócznia z szerokim ostrzem, używanym na polowaniach. Osłęk zachwiał się na nogach i zdziwiony zrobił kilka kroków. Fabiola z przerażeniem stwierdziła, że zarys grotu włóczni pojawił się po drugiej stronie jego ciała. Sterczał pod jakimś nienaturalnym kątem. Włócznia przebiła płuca, przeponę i przeszła przez jelita. Oczy Wettiusza zrobiły się okrągłe jak spodki i po chwili jej nieustępliwy opiekun opadł na kolana.

– Niece! – Fabiola zawyła.

Wettiusz próbował coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Z ciężkim westchnieniem upadł na bok, wypuszczając z rąk pałkę. Krew natychmiast zabarwiła całą tunikę, a wokół ciała mężczyzny utworzyła się spora kałuża. Wettiusz sięgnął jeszcze ręką do drzewca wystającego z jego pleców, po czym zamknął oczy. Nawet ktoś tak silny jak on nie jest niepokonany. Taka rana musiała prowadzić do wykrwawienia się na śmierć.

Oszalała z przerażenia Fabiola rozejrzała się po dziedzińcu. Ludzie Scewoli siali spustoszenie. Pociski trafiały tych, którzy byli w stanie walczyć. Nie licząc Wettiusza, padło trzech jej obrońców. Byli ranni lub już nie żyli. Rany odniosło również wiele prostytutek. Ich okrzyki mieszały się teraz w jeden chór cierpienia i przerażenia. Niewolnicy kuchenni zbili się w gromadkę, wyjąc wniebogłosy. Jedyne Katus pokazał, że ma serce wojownika. Chwycił włócznię i rzucił nią w jakiegoś brodatego drania. Mimo że Fabiola wykrzykiwała słowa, które miały podnieść walczących na duchu, niczego nie osiągnęła, co nawet jej nie zdziwiło. Ci ludzie nie wiedzieli tak naprawdę, jak się trzyma miecz, nie mówiąc już o jego użyciu. Dziedziniec zmienił się w krwawą łaźnię, przypominającą pole regularnej bitwy. Mimo że podobieństwo w rzeczywistości było niewielkie, hałdy naszpikowanych strzałami ciał i

strumienie krwi sprawiały, że przed oczyma stały jej straszliwe obrazy z Alezji. Brakowało tylko much i wron, żywiących się ludzkim mięsem. *To kwestia czasu* – Fabiola pomyślała z goryczą. – *Pojawią się jeszcze dziś.*

Na nogach utrzymywała się już tylko ona, Benignusz i trzech mężczyzn. Nie pozostało im jednak nic innego, jak schować się przed spadającym na nich z góry deszczem pocisków za ciałami poległych. Od czasu do czasu udało się komuś znaleźć jakąś nieuszkodzoną włócznię i użyć jej ponownie, w daremnej próbie unieszkodliwienia któregoś z napastników. Było ich zbyt wielu, żeby atakowani mogli marzyć o wyjściu z tego cała. Na dach wspięło się już kilkunastu ludzi Scewoli, a Fabiola właśnie straciła kolejnego człowieka. Widziała też, że ktoś przesuwa ciała leżące w korytarzach. Wkrótce w obu drzwiach pojawili się ludzie, którzy szybko zajęli pozycje na dziedzińcu.

Benignusz kazał dwóm swoim ludziom zaatakować napastników, a sam stanął przy Fabioli. Wyglądał na naprawdę pozbawionego złudzeń.

– Czy to już czas? – zapytał.

Fabiola czuła, że wyszło jej w gardle. Zrobiło się jej bardzo zimno. Spojrzała na pałkę Benignusza. Wyraźnie widziała włosy, krew i kawałki mózgu, oblepiające metalowe okucie. Gdy tylko skinie, straszliwa broń jej ochroniarza zmiażdży także jej głowę. Do ust podeszła jej fala złości. Była naprawdę przerażona. Zwymiotowała ze strachu pod nogi, opryskując sandały. Nienawidząc się za tę chwilę słabości, już miała się odezwać, gdy jej uwagę przyciągnęło jakieś zduszone stęknienie. Odwróciła się w stronę najbliższego wejścia. Ostatni obrońca właśnie padł na ziemię pod ciosem miecza skierowanego prosto w kręgosłup. Scewola, człowiek, który go zabił, patrzył właśnie na nią. Zanim wyciągnął ostrze z ciała zabitego, złożył palec wskazujący i kciuk prawej dłoni tak, że stworzyły koło. Oblizując usta, wsunął do środka palec wskazujący lewej ręki, pokazując jej, czego może się spodziewać.

– Obiecałem wszystkim moim ludziom, że będą sobie mogli z tobą pobaraskować – krzyknął.

Fabiola nie była w stanie wytrzymać dłużej poczucia bezgranicznego strachu. Wszystko było lepsze od myśli, że musiałyby

znosić na sobie tego potwora, nie wspominając już o jego pomagierach.

– Tak, Benignuszu, zrób to teraz – wyszeptała, upuszczając swój gladius na płytki mozaiki.

Wierny opiekun przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, upewniając się, że mówi poważnie. Potem uniósł ramię.

– Odwróć się, pani – powiedział cicho. – I zamknij oczy.

Fabiola wykonała polecenie, starając się nie myśleć o tym, co za chwilę miało się wydarzyć. Przez jej głowę przeleciała seria obrazów, w większości sprowadzając smutne, pełne bólu wspomnienia. *Moje życie... strata czasu*. Jej umysł zatrzymał się na dłużej przy obrazie Romulusa, który właśnie z dumą dzielił się z nią ważną wiadomością o tym, że Gemellus wysłał go do domu Krassusa. To było jedno z przyjemniejszych wspomnień, a mimo to spowodowało, że po policzkach Fabioli zaczęły spływać łzy. *Mitro! Niech Romulus żyje i ma się dobrze. Daj mu długie życie. Lepsze od mojego.*

Nagle usłyszała za plecami głośne westchnienie. Coś ciężkiego spadło z łoskotem na ziemię. Fabiola obróciła się zdziwiona. Benignusz nadal stał na swoim miejscu, ale z prawego bicepsa wystawała mu strzała. To jego ciężki kij wypadł ze zdrętwiałych palców.

– Przepraszam, pani... – wysapał, pochylając się niezgrabnie. Zanim podniósł broń lewą ręką, dwie dobrze wycelowane strzały zasyczały w powietrzu i trafiły go w obie nogi. Ochroniarz, jęcząc z bólu, zdołał jakoś pochwycić kij.

– Podejdź bliżej. Dam radę.

Fabiola zrobiła krok, potem drugi, ocierając łzy.

I wtedy wszystko zaczęło dziać się bardzo szybko. Zza Benignusza wyskoczyło kilku uzbrojonych po zęby bandziorów, zasypując go gradem ciosów mieczami i włóczniami. Jakby w zwolnionym tempie, z przeproszającym, smutnym uśmiechem na szerokiej, zarośniętej twarzy, Benignusz osunął się na ziemię. Bezbronna Fabiola struchlała ze strachu, uświadamiając sobie konsekwencje śmierci jej ostatniego obrońcy. Wszyscy mężczyźni zginęli, a dziedziniec zalali ludzie Scewoli. Było ich może z piętnastu. Podczas gdy niewolnicy kuchenni śledzili przebieg wydarzeń już pogodzeni z losem, napastnicy od razu rzucili się na kobiety i zaczęli zrywać z nich ubrania. Wrzaski i piski prostytutek

wydawały się jeszcze intensyfikować szal zbirów. Obezwładniając kobiety lub zmuszając siłą do uległości, wkrótce zaczęli gwałcić je brutalnie, nie zważając na ich krzyki. Żołądek Fabioli znów podszedł jej do gardła, ale nie miała już nawet czym wymiotować. Niejasno zdawała sobie sprawę, że zbliża się do niej dwóch mężczyzn, którzy wcześniej powalili Benignusza. Łypali na nią z pożądaniem, które zniekształcało rysy ich twarzy. Fabiola uniosła rękę, aby ich odepchnąć. Zaśmiali się tylko i podeszli jeszcze bliżej.

– Nie ważcie się jej dotknąć – usłyszała znajomy głos. – Jest moja.

Przesunęli się niechętnie na bok, odsłaniając Scewolę, który wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

– Tym razem mi nie uciekniesz. Będziesz cierpieć przez wiele godzin. I będziesz mnie błagać, żebym cię zabił.

Oszołomiona Fabiola poczuła, jak uginają się pod nią nogi. Opadła na bok, lądując na ciele Benignusza. Jak przez mgłę słyszała ostatnie słowa fugitivariusza.

– Zabierzcie ją do środka. Znajdźcie jakieś łóżko. Dlaczego nie miałbym jej wyruchać w komfortowych warunkach?

Zabrała ją ciemność.

Powrót Romulusa do Lupanaru wydawał się trwać dłużej niż jakikolwiek przemarsz, w którym brał udział, gdy służył w legionach. Walcząc z bólem głowy i przeciskając się przez gęsty tłum, próbował skupić myśli na jednej osobie. Na Fabioli. Po dziesięciu długich latach rozłąki w końcu wiedział, gdzie jest jego siostra. I teraz go potrzebowała. Naprawdę bardzo go potrzebowała. Ta myśl dodawała sił, których tak mu brakowało. Równie przydatny okaże się pewnie topór Tarkwiniusza. Za każdym razem, gdy jego nieletni przewodnik zwalniał, Romulus niecierpliwie go poganiał. *Mitro! Pozwól mi dotrzeć na miejsce na czas! Proszę.* Teraz był jeszcze bardziej zadowolony z tego, że oszczędził życie Gemellusa. Udowodnił tym samym bogu wojowników, że jest człowiekiem honoru. Czy Mitra zdecyduje się mu pomóc, to już była zupełnie inna sprawa. Ta niepewność wywołała nowe fale paniki. *Oddychaj. Oddychaj głęboko.* Przypomniawszy sobie metodę, której nauczył go stary Cotta, trener walki. Powoli wciągał powietrze, wypełniając płuca i licząc uderzenia serca. *Jeden. Dwa. Trzy. Cztery. Wytrzymaj*

chwile. Wydech. Jeden. Dwa. Trzy. Cztery. Powtarzał ten proces w kółko, starając się w ten sposób zwalczyć narastającą w nim panikę.

Wolno czy nie, z każdym krokiem zbliżali się do Lupanaru. Chłopak starał się przy tym wybierać węższe alejki, żeby unikać blokad. W końcu znaleźli się na ulicy, przy której znajdował się Lupanar. Zaniepokojony Romulus od razu zauważył drabiny przystawione do wysokiego muru. Dzięki nim napastnicy z pewnością dostali się do środka. W pobliżu bramy leżało kilka zakrwawionych ciał. Drzwi zostawiono uchylone, ale wokół nie było żywej duszy. Upadł na duchu. Nie mógł liczyć, że Tarkwiniusz i jego weterani pojawią się na miejscu wystarczająco szybko. Jego nieletni przewodnik wyrwał do przodu biegiem. Romulus poruszał się już chyba tylko dzięki sile woli, zmusił się jednak nawet do pokracznego galopu. Przystanął na krótko, gdy dotarł do pierwszych trupów. Wiedział, że przyda mu się trochę energii, gdy znajdą się w środku. Wykorzystał tę chwilę, żeby przyjrzeć się ciałom zabitych. Nie był w stanie odróżnić napastników od obrońców. Wszyscy – poza kilkoma gladiatorami – wyglądali na typowych przedstawicieli społecznego marginesu. Męty z ulicy.

– Oni wszyscy nie żyją – zapiszczał chłopiec cienkim głosem. Już obszukiwał ich ubrania, licząc, że znajdzie coś wartościowego.

– Dobrze... – mruknął Romulus, kierując się do drzwi. Wyczuł, że urwis nie odstępuje go na krok. – Zostań tutaj. Kiedy pojawi się mój przyjaciel, powiedz mu, żeby się spieszył.

– Pójdiesz tam sam? – chłopak wszedł na jeszcze wyższe tony.

– Muszę – Romulus odpowiedział, ściskając szeroki trzonek topora obiema rękoma. – Tam jest moja siostra. Potrzebuje pomocy.

– Oni cię zabiją.

– Może. Ale nie mogę po prostu stać na zewnątrz jak głupiec.

Popchnął skrzydło drzwi i wszedł do środka. Pomieszczenie, w którym witano gości domu publicznego, nie różniło się specjalnie od innych recepcji, jakie widział w burdelach w różnych częściach świata. Było krzykliwie urządzone, pełne erotycznych obrazów i rzeźb. Ciężkie meble w większości przesunięte zostały teraz nieskładnie pod drzwi. Zapewne użyto ich do barykadowania wejścia. Mozaika podłogowa była poznaczona smugami krwi. W recepcji nie było nikogo, jeśli nie liczyć

ciał niskiego mężczyzny z mieczem w dłoni i starszej kobiety, która zwinęła się przed śmiercią na podłodze przy biurku. Jej ciało nosiło ślady głębokich cięć, chociaż wyglądało to tak, jakby ciągle próbowała dosięgnąć sztyletu, który wystawał z piersi drugiego trupa. Romulus uniósł brwi ze zdziwienia. Przemknęło mu przez myśl, że jeśli pozostali obrońcy burdelu walczyli tak dzielnie jak ta kobieta, może jeszcze nie wszystko jest stracone.

Porzucił jednak wszelką nadzieję już chwilę później, gdy zbliżył się do drzwi prowadzących na wewnętrzny korytarz i dalej na dziedziniec. Zamiast szczęku oręża usłyszał tylko męskie krzyki i śmiechy, a w tle wrzaski kobiet. Wielu kobiet. Romulus służył w różnych armiach wystarczająco długo, aby wiedzieć, co to znaczy. Walka dobiegła końca i rozpoczęły się gwałty. Zacisnął mocno dłonie na trzonku topora, aż zbieleły mu kostki.

Modląc się, żeby mężczyźni stracili czujność podczas oddawania się przyjemnościom, ruszył po cichu korytarzem. Sprawdzał po drodze każdą sypialnię. W kilku z nich widział dziury u powały. Wszystkie były puste. Wydawało się zatem, że jedynym źródłem dźwięków jest centralny dziedziniec, z czego wywnioskował, że Fabiola i obrońcy uczynili z niego ostatni punkt oporu. To było całkiem zrozumiałe, jeśli napastnicy niezauważeni mogli pod dachem z łatwością przedostać się do każdego miejsca w budynku. Jak widać, nawet właściwy wybór ostatniego bastionu nie wpłynął na wynik starcia.

– Obudź się, suko! – aż podskoczył, słysząc gniewny krzyk, który musiał dochodzić z następnej komnaty w korytarzu. Potem rozległ się odgłos uderzenia w policzek, a zaraz za nim przerażony jęk. Romulus sprawdził, czy korytarz jest pusty, po czym przesunął się cichutko pod drzwi pokoju, trzymając topór Tarkwiniusza gotowy do zadania ciosu. Zaryzykował szybkie spojrzenie do środka. Zdążył dostrzec leżącą na łóżku półnagą kobietę, unieruchomioną przez dwóch rozradowanych oprychów. Trzeci, nieco bardziej krępy, właśnie zdejmował swoje ubranie i elementy wyposażenia. – Czekałem na to tyle lat – wysapał – więc teraz zamierzam się tym nacieszyć.

Romulusowi zrobiło się niedobrze. *Czy powinien interweniować, czy może lepiej ruszyć od razu na dziedziniec?* Niewątpliwie tego typu

sceny rozgrywały się i tu, i w całym Lupanarze. Nie wiedział, jak ma odnaleźć wśród ofiar Fabiolę, żeby ją ocalić, i czy tego tutaj łajdaka zostawić w spokoju. Nie wiedział, co zrobić. Przez chwilę bez ruchu obserwował scenę w pokoju.

Kobieta leżąca na łóżku była albo ranna, albo półprzytomna, bo kiedy oprawca rozchylił jej nogi, nawet nie miała siły się opierać. Usłyszał tylko cichy jęk, pełen przerażenia, który spowodował, że do Romulusa wróciły wspomnienia matki leżącej pod Gemellusem. A że niedawno widział znenawidzonego kupca i był świadkiem tego, jak dosięga go ręka sprawiedliwości, nie mógł znieść myśli, że mógłby pozwolić na jakiś gwałt dziejący się na jego oczach. Nie do końca świadomy ruszył do ataku. Musiał działać szybko i uderzyć mocno, żeby zwiększyć swoje szanse w walce z trójką zdrowych przeciwników. Odwrócony plecami do drzwi niedoszły gwałcieł nie zdawał sobie sprawy z rozpaczliwej szarży Romulusa. Jednak dwóch oprychów przytrzymujących kobietę zauważyło go od razu.

Na nic zdały się ostrzegawcze okrzyki. Romulus zdążył już bowiem ciąć potężnie toporem, odrąbując prawe ramię mężczyzny. Z jego gardła wyrwał się ryk bólu i wściekłości. Mężczyzna zachwiał się i przeturlał na bok. Z rany tryskała jasnoczerwona fontanna krwi. Na szczęście dla Romulusa opadł prosto na jednego z bandytów, tym samym uniemożliwiając mu atak. Drugi mężczyzna był tak zaskoczony, że zanim sięgnął po miecz, ostrze topora rozplątało mu czaszkę na połowę. Sunęło dalej, docierając prawie do szczęki. Wytrzeszczone oczy nadały temu, co zostało z jego twarzy, wyraz absolutnego zdziwienia. W powietrze pofrunęły kawałki kości i okrwawione ochłapy. Mężczyzna zwałił się na ziemię, nie wydając z siebie ani słowa.

Uwolniony ostrze, Romulus zwrócił się teraz twarzą w stronę ostatniego przeciwnika, który jeszcze pozostał przy życiu i zdążył uwolnić się od ciężaru niedoszłego gwałcieła. Z grymasem wściekłości mężczyzna zrobił krok w jego kierunku, dzierżąc w dłoni uniesiony miecz. Romulus nie zamierzał się wycofać. Nagle poczuł przenikliwy ból, który uczynił go niemal niezdolnym do obrony. Rana na głowie znów dała o sobie znać, a jego umęczony organizm po prostu dawał za wygraną. Spojrzał na kobietę leżącą na łóżku. *Na bogów! To Fabiola!*

Oszalały z wściekłości umysł Romulusa uruchomił chyba ostatnie rezerwy adrenaliny. Nigdy w życiu nie był tak wściekły! Z nieludzkim okrzykiem rzucił się do ataku.

Skąpany we krwi towarzysza mężczyzna nie czuł się chyba zbyt pewnie, oszołomiony tempem działania człowieka z szaleństwem w oczach, który wpadł z takim impetem do komnaty. Jak tu stawać w szranki z kimś, kto wydawał się opętany przez jakiegoś demona? Wolał salwować się ucieczką. Wystrzelił w stronę drzwi. Gdy uciekał, wzywając na pomoc swoich towarzyszy, jego sandały głośno uderzały o podłogę. Romulus zdawał sobie sprawę, że jeśli ma wyjść z tej opresji cało, musi się spieszyć. Ten skunks wróci z posiłkami, zanim się obejrzy, a wtedy i on, i jego siostra umrą w męczarniach. Chyba że jakimś cudem uda im się opuścić to miejsce, zanim tamci zdążą zareagować. Musi jednak wykorzystać każdą cenną chwilę tego jakże nieoczekiwanego spotkania. Podbiegł do łóżka, ignorując jęki jednorękiego mężczyzny, wykrwawiającego się w kącie. Odłożył topór. Najlepiej, jak potrafił, osłonił delikatnie nagość siostry skrawkiem sukni. Drgnęła ze strachu przed jego dotykiem, co niemal złamało mu serce.

– Fabiola... – wyszeptał. – Fabiola? – Nie było żadnej reakcji. Potrząsnął nią. – To ja, Romulus. Twój brat.

Fabiola otworzyła oczy, w których czaiło się przerażenie. Jej źrenice rozszerzyły się. Z trudem oddychała.

– Romulus?

Rozdział XXIV

Niezgoda



Romulus płakał jak bóbr. Nigdy jeszcze – przez całe te długie lata rozłąki – nie wylało się z niego tyle łez. Gardło miał ściśnięte tak, że nie potrafił wyrzec ani słowa i tylko skinął głową.

– To naprawdę ty! Cały i zdrowy... – Fabiola wyciągnęła drżącą rękę i z niedowierzaniem w oczach pogłaskała go po policzku. – Dziękuję bogom. – Trzęsła się od szlochu, chociaż czuła ogromną ulgę. Patrzyli na siebie, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Po tylu latach rozdzielenia i cierpień bogowie wreszcie pozwolili im się spotkać. To wydawało się niemal zbyt piękne, żeby było prawdziwe. W końcu Romulus uśmiechnął się szeroko. Fabiola również. Ściskali swoje ręce kurczowo, bojąc się je puścić.

– Jesteś sam?

– Tak.

Zmarszczyła brwi.

– Wszyscy moi ludzie są martwi. Teraz ci dranie pewnie gwałcą moje dziewczyny.

– Wiem – Romulus odpowiedział ciężko, wzdychając. – Nic nie poradzimy. Jest nas tylko dwoje. Powinniśmy spróbować stąd uciec. Natychmiast.

– Nie mogę tak po prostu je zostawić. Odpowiadam za nie. Pomóż mi się podnieść.

Romulus pociągnął Fabiolę za ręce, ułatwiając jej przyjęcie pozycji pionowej.

Wtedy wzrok Fabioli padł na rannego, półprzytomnego mężczyznę w rogu komnaty. Gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca.

– Ten skurwysyn jeszcze żyje!

– Już niedługo. – Romulus wskazał ogromną kałużę krwi i ziejącą ranę tam, gdzie kiedyś znajdowało się jego ramię.

Fabiola rozciągnęła usta w uśmiechu pełnym satysfakcji.

– Sekstus został pomszczony.

– Co to za śmieć? – Romulus wskazał głową nieruchomego mężczyznę.

– Scewola – Fabiola splunęła. – *Fugitivarius*. Pracuje dla Antoniusza.

– *Magister equitum* to zaaranżował? – zdziwił się Romulus. – Dlaczego?

Fabiola uznała, że nie mają czasu na wyjaśnienia. Hałas dochodzący z korytarza sprawił, że zamilkli i zaczęli nasłuchiwać. Co dziwne, wydawało jej się, że odgłosy mają dwa źródła – na obu końcach korytarza. To znaczy, że nie mieli nawet gdzie uciekać. Romulus skoczył na równe nogi, ściskając mocniej topór w dłoniach.

– Coście za jedni? – usłyszeli głos któregoś z ludzi Scewoli na dziedzińcu. – Od Antoniusza? Przyszliście zobaczyć, czy dobrze wykonaliśmy zadanie?

– Nie – ktoś odpowiedział pewnym głosem. – Tarcze w górę!

Po chwili Romulus rozpoznał znajomy dźwięk uderzających o siebie krawędzi *scuta* podczas tworzenia ściany tarcz.

– Szybko! Na zewnątrz! – ludzie Scewoli próbowali wydostać się z dziedzińca, który stał się dla nich pułapką.

Gdy rozległ się odgłos podbitych nitami *caligae* na twardych płytkach podłogi za drzwiami, Romulus poczuł, że w jego serce wlewa się nadzieja. A gdy w drzwiach ujrzał głowę w brązowym, poobijanym wojskowym hełmie, niemal krzyknął z ulgą.

– Sekundus!?! – ku jego zdziwieniu Fabiola wykrzyknęła głosem pełnym zachwytu. – Znów przychodzisz z pomocą!

– W rzeczy samej! Gdy Tarkwiniusz powiedział nam, co się tu dzieje, goniliśmy co siłą.

Fabiola rozpromieniła się, a weteran uśmiechnął się do niej

dobrotliwie.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Dziękujemy – odpowiedział Romulus.

Sekundus skinął głową i zostawił ich samych. Romulus ocenił, że przyprowadził ze sobą co najmniej dwudziestu towarzyszy. Powinni z łatwością poradzić sobie z mętami Scewoli. Gdy wydawało się już, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane, znów odezwała się jego ranna głowa. Krzywiąc się, usiadł niepewnie na skraju łóżka.

Fabiola zauważyła, że jego włosy pozlepiane są krwią.

– Co się stało?

– Pamiątka po spotkaniu z Gemellusem – mruknął, unosząc rękę do rany. – Na szczęście nie walnął mnie wystarczająco mocno. Niech Mitrze będą dzięki.

– Widziałeś Gemellusa? – Fabiola aż jęknęła.

– Tak. Wpadłem na niego całkiem przypadkiem. Zobaczyłem, jak wychodzi ze świątyni, a potem dopadłem go w ruderze, którą nazywał swoim domem.

– Dopadłeś? Nazywał? – Fabiola powoli cedziła słowa. – Zabiłeś go?

– Nie. Chciałem. Tyle razy przysięgałem sobie, że to zrobię. Ale nie potrafiłem. Gdybyś go widziała... wyglądał naprawdę żałośnie. Gdybym go wtedy zabił, nie byłbym lepszy od niego.

– I tak po prostu pozwoliłeś mu odejść? – z głosu Fabioli przebijało niedowierzanie.

Romulus skinął głową, widząc, jak w oczach jego siostry budzi się płomień wściekłości. Najwyraźniej jej nie byłoby stać na taką powściągliwość. Ta konstatacja była niepokojąca, ale zmusił się, aby opowiedzieć jej spokojnie o wszystkim, co wydarzyło się tuż przed tym, jak pojawił się w Lupanarze.

– Ale wtedy ten tchórz zaatakował mnie od tyłu. Na szczęście pojawił się Tarkwiniusz. Gdyby nie to, że tak świetnie rzuca nożem, leżałbym teraz w alejce z rozłupaną czaszką.

– Tarkwiniusz? Chyba dzisiaj słyszę o nim już po raz drugi.

– Przyjaciel. Pewnie zaraz go poznasz.

– A zatem Gemellus jest martwy? – Fabiola uśmiechnęła się. – Nie

mogę powiedzieć, że będę tęsknić za tym śmieciem. Szkoda, że przed śmiercią nie powiedziałam mu, że przejęłam jego dom i latyfundium w pobliżu Pompei.

Romulus zdziwił się niepomnie. Myślał, że prowadziła Lupanar.

– Ile taka posiadłość musiała cię kosztować?

Fabiola zachmurzyła się.

– Kupił mi ją mój ukochany. Decimus Brutus.

– Gdzie on jest teraz?

– Mieliśmy małą... różnicę zdań. Odszedł.

Z dziedzina dochodziły odgłosy walki. Szczęk mieczy. Rozkazy Sekundusa i zawrozenie bandytów, którzy uświadomili sobie nagle, że odcięto im drogę ucieczki. Romulus próbował poukładać sobie w głowie to, co mówiła jego siostra.

– Ale co ma z tym wszystkim wspólnego Antoniusz?

– Popełniłam głupi błąd. Miałam z nim romans. Brutus dowiedział się o wszystkim. – Fabiola zarumieniła się.

– Ale mówisz, że ten tu pracował dla Antoniusza? – Romulus wskazał zakrwawione zwłoki Scewoli.

Fabiola zignorowała jego pytanie.

– Tak się cieszę, że cię widzę!

Romulus uśmiechnął się, doskonale zdając sobie sprawę, że jego siostra bezceremonialnie zmieniła temat, nie chcąc odpowiadać na niewygodne pytania. *Czemu się tak zachowuje? Daj spokój. Właśnie spełniło się twoje największe marzenie. Ciesz się!*

– To naprawdę niesamowite – pokiwał głową. – Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, byliśmy jeszcze dziećmi. A teraz? Spójrz na nas. Dorośli ludzie. Matka byłaby z nas dumna.

Fabiola posmutniała.

– Czy Gemellus powiedział ci, co się z nią stało?

– Tak. Prawie straciłem nad sobą kontrolę, gdy to usłyszałem.

Rozorałem mu policzek sztyletem. Przez chwilę nawet sprawiło mi to przyjemność, ale... Co bym nie zrobił i tak nie przywróciłoby to jej życia.

– Nieważne. Teraz jest w Elizjum – oświadczyła zdecydowanym głosem Fabiola. – Jestem tego pewna.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, chcąc uczcić w ten sposób pamięć Welwinny. Hałasy dochodzące z dziedzińca w końcu umilkły, ale teraz wyraźnie słychać było krzyki zaniepokojonych kobiet. Fabiola nie mogła już tego znieść.

– Muszę im pomóc. – Wstała i spośród ubrań wiszących na ścianie wybrała suknię. Gdy zrzuciła porwane szaty i okryła swoją nagość, odwróciła się do Romulusa.

– Chodźmy. Zabiorę cię do innego pokoju, gdzie będziesz mógł odpocząć. Tu jest tyle krwi... Bękart! – splunęła na ciało Scewoli.

Romulus, zaskoczony siłą woli siostry, która przed chwilą sama przecież mogła pożegnać się z życiem, przeszedł za nią na korytarz. *Musiła tu wiele wycierpieć – sprzedana do burdelu w wieku trzynastu lat i zmuszana, by oddawać się mężczyznom za pieniądze. To niewiele różniło się od gwałtu.* Romulus cieszył się, że dla niego los okazał się łaskawszy. Chociaż musiał walczyć i zabijać ludzi, nie stracił przy tym szacunku do samego siebie. Ostatecznie jednak jego siostra przeżyła i wyrosła na inteligentną, pewną siebie kobietę. Był z niej dumny.

– Byłabyś dobrym żołnierzem.

– Sekundus mówi, że mam męzne serce – odpowiedziała, unosząc podbródek. – Choć żołnierkę lepiej zostawić mężczyznom. Przecież tam chodzi tylko o brutalną siłę i wykonywanie rozkazów, ignorując rzeczywistość, prawda?

Romulus zareagował na jej stwierdzenie śmiechem.

– Nie tylko... – zaprotestował. – Spójrz na kogoś takiego jak Cezar. Jest najbardziej utalentowanym generałem, jakiego kiedykolwiek miał Rzym – każde kolejne słowo wypowiadał z coraz większym entuzjazmem. – Ten człowiek jak mało kto potrafi zrozumieć, co dzieje się na polu walki. Przejrzeć zamiary przeciwników. Odwrócić losy bitwy jednym rozkazem. Zwyciężyć wbrew wszelkim przeciwnościom. – Uśmiechnął się do Fabioli. – Poznałem go.

– Ja też... – odpowiedziała krótko, ucinając jego peany.

Romulusa zdziwiła jej reakcja.

– Co takiego powiedziałem?

– Nic. Nieważne – Fabiola mruknęła. Chciała powiedzieć bratu o swoich podejrzeniach wobec Cezara, ale z jakiegoś powodu się

powstrzymywała. Powinna poczekać na właściwą chwilę. Teraz jednak oczywisty podziw Romulusa dla dyktatora napełnił ją złością i zmieszaniem.

– Nie spodobał ci się? Podobno z kobietami postępuje szarmancko. Fabiola nie potrafiła już opanować wściekłości.

– Nie rozumiesz. On próbował mnie zgwałcić – wykrzyczała.

Romulus wytrzeszczył oczy.

– Próbował... co?

– Na szczęście akurat wrócił Brutus, więc ten skurwysyn nie mógł doprowadzić tego do końca. Ale to wystarczyło. Wiem już.

– Wiesz co?

– Kim jest.

Romulus spojrział na nią niepewnie.

Fabiola chwyciła jego dłonie.

– To Cezar napadł naszą matkę.

Romulus nie potrafił zrozumieć, o czym Fabiola mówi.

– Słucham?

Powtórzyła jeszcze raz swoje słowa i żeby nie pozostawić mu cienia wątpliwości, dodała na końcu:

– On ją zgwałcił.

Wstrząśnięty Romulus odsunął się od Fabioli.

– Skąd wiesz?

– Wystarczyło mi spojrzenie w jego oczy. Ten ton. Jego słowa... one... Po prostu wiedziałam – głos jej drżał.

Romulus utkwiał w niej wzrok. Nie bardzo wiedział, co o tym wszystkim myśleć.

– Czyli to znaczy, że my...

– Jesteśmy jego dziećmi. Tak.

– Bogowie! – Człowiek, którego wielbił, miałby być jego... ojcem? Tym samym, który zgwałcił jego matkę? To było niewiarygodne. Nie potrafił w to uwierzyć.

– Zapytałaś go, czy to uczynił?

Spojrzała na niego z pogardą.

– Oczywiście, że nie. Myślisz, że ten drań by się przyznał?

– W takim razie skąd pewność, że to on?

– Wiem to – odparła stanowczo. – Nie było cię tam. Zresztą wystarczy, że spojrzysz w lustro! Nie widzisz podobieństwa?

Romulus przyglądał się siostrze uważnie. Na jej wykrzywionej w złości twarzy pojawiły się nieładne zmarszczki.

– Uspokój się. Wierzę ci – powiedział, cedząc słowa. Wiedział, że jest podobny do Cezara.

– Dobrze – rozluźniła się trochę. – Pomożesz mi go zabić.

Otworzył usta zdumiony.

– Żartujesz...

– Czy wyglądam, jakbym żartowała? – wypaliła. Jej oczy płonęły.

– Czekaj. Przecież nie masz żadnego dowodu.

Fabiola uderzyła się w pierś.

– Wiem to. Tutaj. W głębi serca.

– To nie wystarczy. Republika potrzebuje Cezara. Dzięki niemu wreszcie zapanuje pokój.

– Co mnie to obchodzi! Dlaczego cię to obchodzi? Jesteś niewolnikiem – Fabiola krzyczała. – On zgwałcił naszą matkę!

Wstrząśnięty i walczący z poczuciem winy, że nie podzielał nienawiści do Cezara, Romulus nie odpowiedział.

– Fabiola? – usłyszeli jakiś głos.

Oczy Fabioli zrobiły się okrągłe jak spodki.

– Brutus?

Romulus zerknął nad jej ramieniem i ujrzał mężczyznę o brązowych włosach, w drogiej tunice, zmierzającego właśnie korytarzem w ich kierunku. Miał przyjemną dla oka twarz, na której zagościł teraz wyraz głębokiej troski.

– Jesteś ranna? – krzyknął, zrywając się do biegu. Towarzyszyła mu grupa legionistów, wyglądających na takich, co znają się na rzeczy i umieją walczyć.

– Och, Brutusie! – Fabiola wybuchnęła płaczem. Jej dolna warga zaczęła drżeć, a łzy spływały po policzkach. – Jestem cała. Nikt mnie nie skrzywdził.

Romulus poczuł się jeszcze bardziej zdezorientowany, obserwując zachowanie swojej siostry. *Czy to są jej prawdziwe, czy udawane emocje?*

Najwyraźniej Brutus był pewny, że Fabiola niczego nie udaje. Gdy tylko znalazł się przy nich, przyciągnął ją do siebie i nie wypuszczał z uścisku.

– Wyruszyłem, jak tylko usłyszałem, co się dzieje – wyszeptał łamiącym się głosem. – Dziękuję bogom, że jesteś cała. – Rzucił rozkaz, a jego ludzie zaczęli sprawdzać wszystkie pokoje. – Jeśli jakiś drań jeszcze żyje, to mi go sprowadźcie – zawołał. – Chcę wiedzieć, kto za to wszystko odpowiada.

– To był Antoniusz – odezwała się Fabiola. – Jestem pewna!

Brutus spojrział na nią niespokojnie.

– Nie tak głośno – mruknął, gładząc jej rękę. Spojrział na Romulusa i się uśmiechnął. – To musi być twój brat bliźniak.

Fabiola otarła łzy.

– Tak.

Romulus zasalutował.

– To zaszczyt poznać cię, panie.

Brutus skinął głową.

– Bogowie są dziś naprawdę w dobrym nastroju, co?

– To prawda – zgodziła się rozpromieniona Fabiola. – Skąd wiedziałeś, że to mój brat?

– Pomijając fakt, że jesteście podobni jak dwie krople wody? – Brutus się uśmiechnął. – Powiedział mi o tym mężczyzna z bliźniami, który przyszedł ostrzec mnie o ataku. To twój przyjaciel? – zwrócił się do Romulusa.

– Tarkwiniusz? Tak jest. To mój towarzysz.

– Czeka na zewnątrz – powiedział Brutus. Romulus zrozumiał, co Brutus chce przez to powiedzieć.

– Za pozwoleniem, panie? – Romulus uznał, że powinien zniknąć. Możliwe, że kochankowie się pogodzą, dlatego nie wolno mu było w tym przeszkadzać. Zresztą musiał wszystko przemyśleć. Mogło się okazać, że Cezar jest nie tylko błyskotliwym generałem, lecz także ich ojcem. *A Fabiola chce go zabić. Nie do wiary!* Chociaż sam wiele razy przysięgał sobie, że zrobi to samo, jeśli uda mu się ustalić tożsamość gwałciciela matki, teraz jednak informacja, że może chodzić o Cezara, wstrząsnęła nim do głębi. To był człowiek, który dał mu wolność. Wódz,

pod którego rozkazami pokonał wszelkie przeciwności losu na polach bitew od Egiptu po Azję Mniejszą i Afrykę. Człowiek, którego pokochał. Zrobiło mu się niedobrze na myśl o tym, jak spotkanie z Fabiolą – tak wyczekiwane i wymarzone – zmieniło jego życie.

– Oczywiście. – Brutus spojrział na Fabiolę. – Najlepiej będzie, jak udamy się do mojego *domus*. Romulus może nas później odwiedzić.

– Tylko nie każ nam za długo czekać. – Fabiola wyciągnęła rękę na pożegnanie. – I zabierz ze sobą swojego przyjaciela.

– Dobrze. Nie będę się ościagał.

– Wszyscy wiedzą, gdzie znajduje się mój dom. Na Palatynie.

– Dziękuję.

Romulus znajdował się już w połowie korytarza, gdy usłyszał pytanie Brutusa.

– Kto zgwałcił twoją matkę?

Wyczuł zmianę atmosfery. Zatrzymał się w pół kroku.

– O co chodzi, kochanie? – śmiech Fabioli wydał mu się udawany i mało przekonujący. Chyba jednak tylko dla niego.

– Nie zrozumiałem dobrze ostatnich słów. Mówiłaś coś o kimś, kto zgwałcił twoją matkę. Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

– Oczywiście, że nie – odparła. – To zdarzyło się wiele lat temu.

– Wydawało mi się, że byłaś bardzo zdenerwowana. Kim był gwałciciel?

Romulus spodziewał się usłyszeć słowa: „Juliusz Cezar”. Ku jego zdumieniu Fabiola długo nie odpowiadała.

– Odpowiedz mi, moja miła – Brutus odezwał się delikatnie.

– Nie jestem pewna. Matka nigdy nam tego nie powiedziała.

Mówiłam tylko, że to *mógł być* ktoś taki jak Scewola.

Romulus nie mógł uwierzyć własnym uszom.

Jednak Brutus wydawał się zadowolony.

– Czy ten skurwysyn jest tutaj?

– Tak. Leży tam w kącie. Nie żyje. Mój brat go zabił.

Romulus zastanawiał się, co się tutaj dzieje. Fabiola łągała w żywe oczy. I wtedy doznał olśnienia. Brutus był lojalnym żołnierzem Cezara. Nie chciała mu powiedzieć prawdy, bo nie była pewna, jak zareaguje. *A ja miałby się zgodzić bez mrugnienia okiem na uczestniczenie w planie*

zamordowania Cezara? I to mimo że Fabiola właściwie nie ma jednoznacznego dowodu? Jej teoria opiera się na własnym nieprzyjemnym doświadczeniu, bo Cezar próbował zdobyć ją kiedyś siłą, i na tak mało istotnym szczególe anatomicznym, jak podobne orle nosy. Pewnie wypila tamtej nocy za dużo wina! Romulus zdawał sobie sprawę, że szuka argumentów, aby obalić teorię Fabioli, ale nie mógł nic na to poradzić. Gdy wychodząc z komnaty, spojrzął na siostrę przez ramię, zobaczył, że do niego mrugnęła. Brutus tego nie zauważył.

Zachowanie Fabioli nie uspokoiło Romulusa. Wręcz przeciwnie. Rozzłościło. Jego siostra najwyraźniej z łatwością manipulowała ludźmi, a teraz właśnie jego traktowała w taki sam sposób. Jak człowieka, którego trzeba owinać sobie wokół palca. Po raz pierwszy w jego głowie pojawiła się myśl, o którą nigdy by się nie podejrzewał. *Czy Fabioli można ufać? Oczywiście, że tak, przecież jest moją siostrą. Jesteśmy bliźniakami. Krew z krwi.* – Natychmiast jednak sam sobie odpowiedział. – *Siostrą, która próbuje mnie urobić.* Romulus zachnął się. Ruszył korytarzem. Będą musieli o tym jeszcze porozmawiać. W cztery oczy.

Jeszcze przed kilkoma chwilami czuł się tak szczęśliwy! Teraz te dobre emocje zniknęły. Udał się na poszukiwanie Tarkwiniusza.

Ponowne spotkanie z Tarkwiniuszem spełniło wszystkie oczekiwania Romulusa. A nawet więcej. Droga do mitreum – Tarkwiniusz zasugerował, że właśnie tam powinni się udać – wydawała się wyjątkowo krótka, gdyż opowiadali sobie o tym, co działo się z nimi przez ostatnie miesiące. Zachwycony urwis dołączył do nich, absolutnie przejęty sumą dwudziestu pięciu denarów, które zarobił tego dnia dzięki znajomości miasta. Dla Romulusa to była mała cena, jaką musiał zapłacić za to, że dotarł do Lupanaru na czas i uratował Fabiolę. Później zdał sobie sprawę, że ów chłopiec – który, jak się okazało, nazywa się Mattiusz – wpatrywał się w niego jak w obrazek.

Romulus opowiedział haruspikowi o swoich doświadczeniach w armii, o tym, jak na jaw wyszedł jego prawdziwy status społeczny, oraz o tym, jak odważnie bronił go Petroniusz. Mówił, co czuł, wracając do *ludus*. Zazwyczaj introwertycznie nastawiony Tarkwiniusz westchnął ciężko, usłyszawszy o śmierci Petroniusza, i nie posiadał się ze zdziwienia, gdy dowiedział się, jak Romulus zabił nosorożca.

– Bogowie... Widziałem przecież tę bestię w niewoli i nie dałbym ci najmniejszej szansy na przeżycie spotkania z nim na arenie.

Romulus pokręcił głową. Sam się zastanawiał, jakim sposobem udało mu się zawrócić z drogi do Hadesu.

– To wtedy poznałeś Cezara?

– Tak. – Romulus opowiedział historię swojego uwolnienia.

Mattiusz spoglądał na niego wzrokiem, w którym mieszały się podziw i zdziwienie.

– Niewolnicy nie różnią się od ludzi takich jak ty i ja – Romulus wyjaśnił, uświadamiając sobie, że urwis zapewne uznawał niewolników za kogoś o klasę niższą od siebie. – Mogą wiele dokonać, jeśli tylko da im się szansę. Tak samo jak ty, jeśli tylko faktycznie będziesz tego chciał.

– Naprawdę? – Mattiusz szepnął.

– Spójrz na mnie. Słyszałeś właśnie, ile przygód przeżyłem i jakich czynów dokonałem – Romulus odpowiedział. – A jednak byłem niewolnikiem.

Mattiusz skinął głową z determinacją.

Tarkwiniusz zaśmiał się oszczędnie.

– I zamiast cieszyć się wolnością, zaciągnąłeś się na ochotnika do armii Cezara?

Romulus zarumienił się.

– Uwierzył w moją historię. Wydawało mi się, że powinienem postąpić honorowo.

– Zapewne docenił twoje poświęcenie – powiedział haruspik, uderzając go na pocieszenie w ramię. – To znaczy, że walczyłeś w kampanii afrykańskiej?

– Tak. Pod Ruspina przypomniła mi się bitwa pod Carrhae – przyznał Romulus. – Właściwie nie mieliśmy jazdy, a konnych Numidyjczyków były tysiące. To starcie powinno było zakończyć się masakrą, ale Cezar ani na chwilę nie stracił zimnej krwi. – Opisał uderzenie Petrejusza, które odparli. A potem także bitwę pod Tapsus.

– Słyszałem, że użyte w walce przez pompejańczyków słonie nie sprawdziły się tak dobrze jak te, z którymi przyszło nam walczyć podczas ostatniej bitwy Zapomnianego Legionu.

Poczucie winy za pozostawienie Brennusa powróciło do Romulusa ze zdwojoną siłą. Opowiedział haruspikowi, jak uratował Sabinusa.

Tarkwiniusz słuchał z ponurą miną, a kiedy Romulus skończył, przez kilka chwil nic nie mówili. Szli w milczeniu, aż Romulus zdał sobie sprawę, że haruspik zerka na niebo, szukając wskazówek w powietrzu i wszędzie dookoła. Chciał przekonać się, czy zobaczy jakąś odpowiedź dotyczącą losów Brennusa? Jego serce zaczęło bić znacznie szybciej.

– To za daleko. Nic nie widzę – Tarkwiniusz powiedział w końcu. Wydawał się rozczarowany.

Romulus się zgarbił. Po chwili jednak uniósł brodę i wyprostował plecy.

– Jeśli ja mogłem poradzić sobie ze słoniem, to czego był w stanie dokonać taki siłacz jak Brennus? Może przeżył!?

– Rzeczywiście mógł wyjść z tego starcia zwycięsko – haruspik przyznał.

Romulus zacisnął mocno palce na jego ramieniu.

– Czy kiedykolwiek widziałeś coś, co mogłoby świadczyć o tym, że Brennus żyje?

Tarkwiniusz spojrzał mu prosto w oczy.

– Nie. Myślałem, że spotka swoje przeznaczenie nad Hydaspesem i pomści swoją rodzinę. Nie widziałem nic poza tym.

Romulus skinął głową w geście akceptacji.

– Czy szukałeś nowych wskazówek?

– Nie. – Tarkwiniusz spojrzał na niego przepraszająco. – Kto by pomyślał, że człowiek może pokonać słonia?

Romulus nie mógł znieść myśli o tym, że jego towarzysz, którego pokochał, oraz mentor znosi cierpienia i niebezpieczeństwa w samotności. Przełknął ślinę i zmienił temat.

– Co ci się stało w Aleksandrii? Dlaczego zniknąłeś?

Tarkwiniusz wyglądał na skrępowanego.

– Było mi po prostu wstyd. Myślałem, że nigdy mi nie wybacysz, że nie powiedziałem ci o wszystkim wcześniej. Że zasłużyłem na śmierć.

Ból w jego głosie ranił Romulusa. Ponownie podziękował w myślach Mitrze za to, że ich połączył.

– Jednak to cię nie tłumaczy.

– No cóż, ale w końcu jestem tu. – Końcówki ust Tarkwiniusza uniosły się w górę w niepewnym uśmiechu. – Bogowie jeszcze ze mną nie skończyli. Oczywiście wiedziałem tylko tyle, że któregoś dnia mam wrócić z tobą do Rzymu. Gdy się rozstaliśmy, nie byłem pewien, co robić.

– Składałeś ofiary? Próbowalesz odczytać przyszłość?

– Wiele razy – Tarkwiniusz zmarszczył czoło – ale ciągle widziałem te same wieloznaczne obrazy. Nie potrafiłem niczego z nich wywnioskować, więc próbowałem dowiedzieć się czegoś w Bibliotece Aleksandryjskiej, bo myślałem, że nowa wiedza mi pomoże.

Romulus zamienił się w słuch.

– No i?

– Nic takiego się nie stało. Widziałem niebezpieczeństwo wiszące nad Rzymem, ale nie byłem pewien, czy chodzi o ciebie, Fabiolę, czy kogoś zupełnie innego. – Haruspik westchnął. – Widziałem za to Kleopatę. Jeszcze gdy była w ciąży z dzieckiem Cezara – to ostatnie zdanie wypowiedział ściszym głosem.

Zaskoczony Romulus rozejrzał się wokół. Egipska królowa i jej syn zamieszkali niedawno w jednej z rzymskich rezydencji Cezara. Krążyły dziwne plotki. Dyktator był przecież żonaty, ale publicznie faworyzował swoją kochankę. Romulusowi to wcale nie spędzało snu z powiek, ale rewelacje Fabioli nagle wszystko zmieniły. Jeśli się nie myli, to dziecko Kleopatry będzie ich... rodzeństwem. To mu się nie mieściło w głowie!

Zaniepokojony stwierdził, że Tarkwiniusz przygląda mu się uważnie.

Romulus odwrócił głowę. Nie był jeszcze gotowy, aby podzielić się z nim tą informacją czy powiedzieć mu o tym, co zamierza Fabiola. Potrzebował czasu, aby wszystko sobie dobrze uporządkować i zastanowić się, co powinien zrobić.

Haruspik nie zadawał żadnych pytań. Zamiast tego zaczął opowiadać swoją historię – aż do niecodziennego spotkania z Fabrycjuszem, które spowodowało jego powrót do Italii.

– Nigdy nie myślałem, aby samemu tu wrócić. Chociaż dużo czasu

zajął mi zrozumienie powodów, teraz wiem, że postąpiłem słusznie. To, że znalazłem się w pobliżu akurat wtedy, gdy trzeba było powstrzymać Gemellusa, wydaje się prawdziwym błogosławieństwem bogów.

– Uratowałeś też życie Fabioli – Romulus dodał z wdzięcznością. Haruspik się uśmiechnął.

– Powiniennem się domyślić, że niebezpieczeństwo grozi wam obojgu.

– Mówiłeś, że Gemellus był kiedyś twoim właścicielem – wtrącił się Mattiusz.

– Tak. Maltretował strasznie moją matkę i regularnie bił nas z najbardziej błahych powodów.

– Zupełnie jak mój ojczym – powiedział chłopak ponurym głosem.

– Czy to znaczy, że zasłużył na śmierć?

Romulus spochmurniał.

– Może. Ja jednak cieszę się, że darowałem Gemellusowi życie. Zemsta nie powinna być jedynym sensem bytu.

Mattiusz zamilkł, co kazało się Romulusowi zastanowić, czy sytuacja rodzinna chłopca przypadkiem nie była podobna. Musi go o to wypytać. Później. Teraz skupił się na wydarzeniach dzisiejszego dnia i przegapił pełne pochwały spojrzenie Tarkwiniusza. Bogowie tak go doświadczyli, a mimo to obdarzyli jeszcze raz swoją łaską. Obecnie jedynym jego zmartwieniem były rewelacje Fabioli, których konsekwencje wciąż jeszcze nie do końca do niego docierały. Nie mógł przestać o tym myśleć. Spędził pod rozkazami Cezara wiele czasu – maszerując, walcząc i zabijając dla niego – i teraz nie mógł pogodzić się z myślą, że ten człowiek mógł też zgwałcić jego matkę. *Niech to szlag! Kocham tego człowieka tak samo, jak każdy legionista w jego armii. Ale nienawidzę też drania, który zgwałcił moją matkę.*

Aż się wzdrygnął, gdy Tarkwiniusz położył rękę na jego ramieniu.

– To tutaj.

Romulus zaczął się rozglądać. Znajdowali się wysoko na Palatynie, w zamożnej dzielnicy, i chociaż dom, przed którym się zatrzymali, nie wyglądał na luksusowy, wysokie ściany robiły spore wrażenie.

– Tu jest mitreum? – zapytał ze zdziwieniem, przypominając sobie, że weterani nosili obszarpane, poprzecierane tuniki. Jakoś tu nie

pasowali.

– Ta rezydencja została przekazana wiernym w spadku przez zamożnego oficera, który był wyznawcą Mitry. W środku jest całkiem okazała.

Zastukał w drewniane drzwi serią charakterystycznych uderzeń.

– Kto idzie? – usłyszeli przytłumiony głos.

– Tarkwiniusz i jego przyjaciel.

Drzwi uchyliły się i ujrzeli kamienną twarz weterana legionów.

Po chwili jednak mężczyzna uśmiechnął się na widok Romulusa.

– To musi być brat Fabioli. Wejdźcie!

Romulus pożegnał Mattiusza, który obiecał, że będzie odwiedzał go każdego ranka. Potem wszedł z Tarkwiniuszem do środka. Od razu oczarował go stojący tuż za drzwiami ogromny, jaskrawo pomalowany posąg, który zdominował atrium. Przedstawiał Mitrę, siedzącego w kucki przy powalonym byku. Lampy oliwne, które paliły się w niszach rozmieszczonych wzdłuż korytarza, sprawiały, że Mitra robił groźne wrażenie. Romulus uklonił się nisko i pozostał w takiej pozycji przez kilka uderzeń serca, żeby okazać swój szacunek i podziw.

Pilnujący drzwi weteran przyglądał mu się uważnie, gdy się prostował.

– Na każdym robi podobne wrażenie, a dopełnia je atmosfera panująca w mitreum.

Romulus uśmiechnął się niemal nieświadomie. Już i tak czuł się jak w domu.

– Najpierw się umyjesz. Potem coś zjemy. Zasłużyliśmy na dobry posiłek – odezwał się Tarkwiniusz. – Później mogę zabrać cię do świątyni.

Romulus skinął głową, spoglądając na plamy na ubraniu od krwi Scewoli. Głowa ciągle go bolała i był bardzo zmęczony. Właściwie to czuł się wycieńczony. Jak po bitwie. Przy odrobinie szczęścia przez jakiś czas nie będzie musiał używać broni. *Może powinienem przyjąć zaproszenie Sabinusza i wybrać się z nim do jego gospodarstwa?*

Po tym, jak już rozmówi się z Fabiolą.

Pobył w *domus* weteranów pozwolił mu odzyskać siły. Ponieważ Romulus był wyznawcą Mitry, weterani traktowali go jak swojego.

Wiedząc, że Fabiola będzie potrzebowała czasu, aby popracować nad relacjami z Brutusem, Romulus wykorzystywał każdą chwilę na nadrobienie zaległości we śnie. Próbował też odpowiedzieć sobie na pytanie, jak ma zareagować na propozycję siostry. Mattiusz z radością zgodził się towarzyszyć mu do obozu gwardii honorowej, gdzie wybrał się na krótko w poszukiwaniu Sabinusza i reszty swoich towarzyszy. Chciał tylko dać im znać, że żyje i ma się dobrze. Zapuchnięte oczy, niewyraźne miny i poplamione winem tuniki legionistów jednoznacznie mówiły o tym, że nie próżnowali. Romulus nie miał jednak trudności z wymiganiem się od kolejnych nocnych harców. Wykiął się jakoś, ale obiecał Sabinuszowi, że odwiedzi go na farmie. Potem ruszył z powrotem do domu weteranów. Kilka ostatnich nocy, gdy nie wylewał za kołnierz, zmęczyło go tak bardzo, że nie miał ochoty na żadne tego typu powtórki. Niemal mnisia kontemplacja w świątyni, regularne posiłki, modlitwy i odpoczynek – czuł, że właśnie tego teraz potrzebuje. Oczywiście nie tylko dlatego szukał odosobnienia. Wciąż jeszcze nie wiedział, co powinien czuć do Cezara w związku z informacjami dotyczącymi jego pochodzenia i propozycjami Fabioli uśmiercenia dyktatora.

Po trzech dniach niewiele się zmieniło. Był tylko jeszcze bardziej zdezorientowany.

Jakaś jego część – chyba nawet ta większa, znajdująca się pod wpływem wspomnień z dzieciństwa – kazała mu nienawidzić człowieka, który skrzywdził Welwinnę. Podsuwała mu obrazy tego, jak przebija nożem jego serce. Jednak drugi Romulus, ten obdarzony przez Cezara wolnością i ten sam, który walczył pod jego dowództwem od ponad roku, cenił i szanował dyktatora. Romulus nie mógł zaprzeczyć, że to było uczucie graniczące z miłością. Ba! To *była* miłość! Podobnie jak jego towarzysze rozkoszował się tym uczuciem już wcześniej, ale teraz miał z tego powodu poczucie winy. Może to były synowskie uczucia wobec ojca? Zastanawiał się, jak to możliwe, że targają nim tak sprzeczne emocje? Skąd w ogóle ta rozterka? Gwałt jest zły?

A jednak nie mógł dojść do ładu z samym sobą.

Zakładał, że Fabiola może nie mieć racji. Ale jeśli Cezar faktycznie nie przyznał się do gwałtu, to co sprawia, że jest tego tak pewna? Ich

ojcem mógłby być każdy z tysiąca anonimowych nobili. Im dłużej Romulus o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że tak właśnie było. Za każdym razem, gdy zastanawiał się nad możliwością przyznania racji Fabioli i ewentualnym udzieleniem jej pomocy, zaczynał się denerwować i złościć na samego siebie. Zastanawiał się, jaki związek miała jego decyzja, by nie zabijać Gemellusa, z tym, co myślał na temat ewentualnego wykroczenia Cezara. A czy kupiec nie był o wiele gorszym człowiekiem niż dyktator? Przecież w tym przypadku nie mogło być mowy o pojedynczym przypadku gwałtu, bo Gemellus wykorzystywał ich matkę niezliczoną ilość razy. Jeśli nie zdecydował się odebrać życia takiej miernocie jak Gemellus, to jak miałby teraz mścić się na Cezarze? Romulus był szczerze zaniepokojony pomysłem zamordowania generała. Wściekły na Fabiolę za to, że próbuje zniszczyć idealny obraz człowieka, który powstał w jego umyśle, czuł też wielką pokusę, aby po prostu nie wierzyć w ani jedno jej słowo. Widział już dość, aby się przekonać, że Fabiola manipuluje ludźmi. Długo myślał, analizując różne możliwości, aż znów rozboleła go głowa. Nie doszedł jednak do żadnych ostatecznych wniosków.

Sekundus starał się uszanować to, że Romulus potrzebuje ciszy i samotności. Weterani zostawili go w spokoju. Tarkwiniusz też nie próbował mu przeszkadzać. Jednak zaglądał do niego regularnie, sprawdzając, czy nie ma ochoty porozmawiać. Romulus nie chciał dzielić się z nim swoimi rozterkami. Poza tymi momentami rzadko się widywali. Młody żołnierz nie był jednak aż tak pochłonięty swoimi myślami, żeby nie zauważyć, iż Tarkwiniusz traktuje go jak dorosłego, wolnego człowieka, który sam podejmuje decyzje. Co nie znaczyło, że to mu cokolwiek ułatwiało. Oczywiście haruspik musiał poradzić sobie z własnymi demonami. Pomimo wielu wysiłków wciąż nie udało mu się odzyskać dawnych mocy haruspicji i przywołać dających się zinterpretować obrazów do wróżby. Z zaskoczeniem stwierdził, że obrazy nisko wiszących chmur burzowych nad Rzymem nie tylko nie zniknęły, ale nawiedzały go coraz częściej, przesłaniając wszystkie inne wskazówki. Romulusowi z trudem przychodziło się przyznać, ale właściwie to nawet czuł z tego powodu ulgę. Oznaczało to bowiem, że nie było żadnego sensu pytać Tarkwiniusza o podpowiedzi dotyczące

jego pochodzenia. Tak było lepiej. Romulus postanowił rozwiązać tę zagadkę sam.

Czwartego dnia o poranku uznał, że najwyższy czas zobaczyć się z Fabiolą. Jego siostra już i tak z pewnością zastanawia się, co się z nim stało. Jednocześnie zastanowiło go to, że chociaż wiedziała, gdzie go szukać, nie pojawił się od niej żaden posłaniec. Może faktycznie da się to wytłumaczyć tym, że Fabiola musiała spędzić trochę czasu sam na sam z ukochanym, ale Romulus tak czy inaczej czuł się lekko urażony. Dom Brutusa nie znajdował się daleko.

– Chcesz, żebym z tobą poszedł? – zapytał Tarkwiniusz.

– Nie, dziękuję. – Umyty i ogolony Romulus założył nowiutką wojskową tunikę. Wypolerował swoje *phalerae* na błysk i pokrył oliwą skórę pasa i *caligae*. Może i był zwykłym legionistą, ale to nie znaczy, że nie może się dobrze prezentować. Nie przyszło mu do głowy, żeby zrezygnować z zakładania odznaczeń, na wypadek gdyby Fabiola czuła się obrażona. Bardzo wiele dla niego znaczyły. Chociaż to Cezar wręczył mu *phalerae*, były dla niego czymś więcej niż tylko odznaczeniami. – Muszę to załatwić sam.

Haruspik skinął głową na znak, że rozumie.

– A ty? Co będziesz dziś robił?

Tarkwiniusz wzruszył ramionami.

– To, co zwykle. Spróbuję zajrzeć w przyszłość. Zdobyć jakieś informacje na temat Brennusa.

Zadowolony Romulus pożegnał się z przyjacielem. Podczas krótkiego spaceru do *domus* Brutusa nie myślał już o swoim dylemacie. Całą uwagę poświęcił rozmowie z Mattiuszem. Romulus pragnął wspólnie z siostrą spędzać radośnie czas, tak jak wymarzył to sobie przez ostatnie lata. *Tak właśnie powinien wyglądać ten poranek* – myślał podekscytowany. – *Teraz wszystko się zmieni i będzie jak dawniej, gdy byliśmy dziećmi.* Rozkoszował się myślą, że znów zobaczy Fabiolę, dowie się o niej czegoś więcej. Chciał wiedzieć, jak wiodło się jej w ciągu ostatnich dziesięciu lat, jak wyrwała się ze świata prostytucji i stała się kobietą jednego z najważniejszych dostojników Republiki. Co zrobiła, aby odnaleźć matkę. Bez wątplenia i ona z przyjemnością wysłucha jego historii.

Romulus został brutalnie sprowadzony na ziemię już w chwili, gdy stanął przed domem Brutusa. Najpierw musiał podać swoje imię *optio* dowodzącemu ochroną, żeby zostać wpuszczony do środka. W *atrium* natknął się na posłańca w wojskowym ubraniu, któremu jakiś imponujący posturą oficer właśnie przekazywał zwinięty pergamin.

– Dostarcz to prosto do Cezara. Zaczekaj na odpowiedź.

Żołnierz zasalutował zdawkowo, po czym wyminął Romulusa i popędził na zewnątrz.

Romulus z trudem opanował irytację. Czy musiano mu od razu przypominać o dyktatorze?

– Kim jest ten człowiek?

Pytanie we władczym tonie przywołało go do terażniejszości. Oficer przyglądał mu się podejrzliwie. Romulus poczuł wrzenie gniewu. *Za kogo mnie ten kutas uważa? Zgodnie z zasadami wojskowego regulaminu nie odważył się odezwać i czekał na odpowiedź optio.*

– To brat Fabioli, dowódco. Weteran legionów. Przyszedł w odwiedziny.

– Rozumiem – oficer uniósł brew. – Ten niby nic nieznaczący znak miał siłę większą niż tysiąc słów. Najwyraźniej oficer nim gardził. – Ruszajcie.

Romulus był wściekły. *Arogancki drań.*

Optio poprowadził go przez wielkie *tablinum*. *Czy tak samo będzie mnie traktował Brutus?* Tuż po tej mało pocieszającej myśli pojawiła się kolejna, równie przykra, że może już zawsze będzie musiał znosić takie reakcje ludzi, w których kręgu obraca się obecnie Fabiola. Jednak jeszcze bardziej przeraził go wewnętrzny głos, który podpowiadał mu, że to wszystko może wyglądać zupełnie inaczej, jeśli zostanie uznany za syna Cezara. To było niesamowite. Jeśli Fabiola miała rację, łączyły go z dyktatorem o wiele bliższe relacje niż te pomiędzy Cezarem a Oktawianem, wnukiem siostry dyktatora, uważanym oficjalnie za jego spadkobiercę. *Mogę sobie pomarzyć. Jesteśmy tylko wyzwolonymi niewolnikami i nie wywodzimy się z żadnych arystokratycznych rodzin.*

Wyprowadzony z równowagi Romulus potrafił mimo wszystko docenić piękno ogrodu, ukrytego wewnątrz murów. Zewsząd otaczał go szum wody, która szemrała w wąskich kanalikach, wylewała się z ust

nimfy lub przelewała przez krawędzie oczek fontann, ozdobionych delikatnymi rzeźbami. W rzędach winorośli zauważył również drzewa figowe i cytrynowe. Wśród bujnie kwitnącej flory gdzieś można było zauważyć wykonane z wielką dbałością o szczegóły malowane rzeźby, przedstawiające driady i faunów. To miejsce aż spływało przepychem – podobnie jak przebogato urządzone pomieszczenia, które właśnie minęli.

Z każdym kolejnym krokiem Romulus czuł się bardziej nieswojo. *Optio* poprowadził go do altany ze stołem i krzesłami. Na czerwonych glazurowanych płytkach wyłożono chleb i owoce. Po Fabioli nie było śladu. Uwagę Romulusa przyciągnęła za to niesamowita mozaika, przedstawiająca jakąś scenę bitewną. Za wodzem na koniu podążała armia hoplitów, którym drogę zastąpiły hordy ciemnoskórych żołnierzy, kawaleria i słonie bojowe. Romulus przyglądał się szczegółom mozaiki szczerze zafascynowany.

– To Aleksander Macedoński – odezwał się *optio*.

– Tak właśnie myślałem – odpowiedział Romulus, przypominając sobie, jak bardzo zainteresował się losami greckiego wodza, gdy razem z towarzyszami zmierzał na Wschód po opuszczeniu Seleucji. Nie było mu dane cieszyć się długo tymi wspomnieniami, gdyż jedno spojrzenie na ogromne słonie bojowe wystarczyło, by znów dopadło go poczucie winy z powodu Brennusa.

Optio nie zdawał sobie sprawy z rozterek prostego legionisty.

– To był genialny dowódca. Kto wie, gdzie by dotarł ze swoją armią, gdyby jego ludzie się nie zbuntowali – *optio* się uśmiechnął. – My mamy jednak wodza, który może równać się z Aleksandrem. Cezar jest chyba kimś więcej, co? Plotka głosi, że i on chce wyruszyć na Wschód, gdy wojna domowa dobiegnie końca. To dopiero byłaby przygoda!

Zaskoczony Romulus już miał pociągnąć *optio* za język, gdy pojawiła się Fabiola. Odziana była w suknię z jedwabiu i lnu, podkreślającą jej figurę. Długie, czarne włosy utrefiła z tyłu głowy. Na jej nadgarstkach i palcach błyskały bransolety i pierścionki, zdobione drogimi kamieniami, które podkreślały głęboki błękit jej oczu. Szyję ozdobił naszyjnik z dużych pereł, z których każda warta była tyle, co jedzenie dla biednej rodziny przez cały rok. Tak ubrana Fabiola była

uosobieniem opanowania, piękna i bogactwa.

– Bracie! – krzyknęła, zbliżając się do niego w mgiełce różanych perfum. – Dlaczego tyle musiałam na ciebie czekać?

Romulus zbliżył się do niej niepewnie, nagle uświadomiwszy sobie boleśnie, że jego blizny, zgrzebna tunika i ciężkie skórzane *caligae* nie pasują do takiego ideału piękna, jakim była Fabiola. W porównaniu z nią wyglądał szorstko i surowo.

– Sostro... – odezwał się, cmokając ją w policzek. – Miło cię widzieć w dobrym zdrowiu. – Spojrzał znacząco na *optio*.

Młodszy oficer zrozumiał sugestię i ukłoniwszy się Fabioli, odwrócił się na pięcie i zniknął za zakrętem ścieżki ogrodu.

Fabiola wskazała Romulusowi krzesło przy stole z palisandru.

– Rozgość się. Zapraszam na śniadanie.

Romulus nie odzywał się, czekając, aż słudzy zostawią ich samych.

– Potrzebowałam czasu, żeby odzyskać zaufanie Brutusa. Dlatego czekałem z wizytą aż do teraz. – Chwycił dojrzałą brzoskwinię. Powąchał ją, ciesząc się jej bogatym aromatem. *Takich luksusów nie było w Margianie*. Nie chciał jeszcze wyjawiać prawdziwego powodu, dla którego trzymał się z dala. Zatopił zęby w owocu, udając, że jest całkowicie pochłonięty rozkoszowaniem się słodkimi sokami. Jakaś część jego podświadomości protestowała, bo uświadomił sobie, że właśnie bierze aktywny udział w gierce z własną siostrą. Chciał poczekać i zobaczyć, co ma mu do powiedzenia.

Fabiola obdarzyła go przepięknym uśmiechem.

– Jesteś bystrym obserwatorem. Dziękuję, że ofiarowałeś mi trochę czasu na załatwienie tych spraw.

– Teraz już wszystko jest dobrze?

Fabiola miała minę kota, któremu trafił się spodek pełen najprzedniejszej śmietany.

– Nawet lepiej niż dobrze. Nasze relacje są lepsze niż kiedykolwiek wcześniej. Brutus poskarżył się Cezarowi na Antoniusza. Opowiedział mu o tym, co zaszło w Lupanarze.

– Naprawdę? – Romulus pochylił się do przodu, żeby nie przegapić ani słowa. – I jak zareagował Antoniusz?

– Wszystkiemu zaprzeczył. To było oczywiste. Powiedział, że

Scewola był czarnym charakterem. Samotnym wilkiem, który działał bez jego pozwolenia. – Fabiola wydeła wargi. – Cezar uwierzył Antoniuszowi, ale postanowił nie przedłużyć jego mandatu jako dowódcy jazdy. I tak wiele mówiło się już w mieście o jego pijackich ekscesach.

– Ale nic więcej z tego nie będzie... Typowe.

– No cóż. Zdarzyła się jedna dobra rzecz. Brutus pokłócił się nie na żarty z Antoniuszem. Postawił się mu, przez co niemal doszło do rękoczynów. Sam Cezar musiał interweniować.

Romulus wpatrywał się w nią mało rozumiejącym wzrokiem.

– No i co?

– Brutus złości się i nie rozumie, dlaczego Cezar mu nie uwierzył. Zasadniczy wniosek jest taki, że Antoniusz jest faworyzowany, mimo że dopuścił się oburzających nieprawości. – Uśmiechnęła się. – Dzięki temu mogę przekonać Brutusa do naszej sprawy.

Romulus stracił humor. Nici z radosnych rozmów na temat dzieciństwa czy frapujących opowieści o tym, co przeszli.

– To znaczy do twojej wizji i twojej hipotezy? – westchnął ciężko.

– Tak. – Tym razem to Fabiola pochyliła się do przodu. W jej niebieskich oczach tańczyły ogniki. – Nie udało mi się jeszcze go przekonać, ale zrobię, co w mojej mocy. Dzięki niemu uda nam się odszukać i zjednoczyć wszystkich senatorów i arystokratów, których potrzebujemy do realizacji planu. Wielu z nich musi już być coraz bardziej niezadowolonych z rządów Cezara, który od dłuższego czasu pozwala sobie naginać prawo Republiki.

Zaniepokojony Romulus obejrzał się przez ramię. Za tego rodzaju uwagi można było zostać straconym za zdradę.

– Nie martw się. Brutus właśnie wyjechał na posiedzenie senatu, a wszyscy wiedzą, że nie lubię, jak mi się przeszkadza. Możesz mówić bez lęku.

Beztroskie założenie jego siostry, że przyłączy się do niej bez wahania, coraz bardziej go irytowało.

– A zatem wciąż planujesz go zabić? – zapytał szeptem.

– Oczywiście. – Widząc jego niechętnie spojrzenie, Fabiola zacisnęła usta. – Pomożesz mi w tym czy nie?

– Skąd jesteś taka pewna, że to właśnie on był gwałcicielem? – Romulus wykrzyknął. – Że to właśnie on jest naszym...

– Nawet nie wypowiadaj tego słowa – przerwała mu obcesowo. – Cezar to potwór, któremu trzeba odpłacić za to, co zrobił.

– Zanim zamordujesz człowieka, musisz mieć dowód jego nieprawości. Nie wystarczy przeczucie.

– Próbował mnie zgwałcić, Romulusie.

– To jeszcze nie znaczy, że zrobił to samo z naszą matką – Romulus upierał się z coraz większą pewnością siebie.

Patrzyli na siebie, ciskając gromy. Żadne z nich nie chciało ustąpić.

– A więc to tak... Wracasz. Jakby z martwych. I nawet nie zamierzasz pomścić krzywd wyrządzonych twojej rodzinie?

Dotknięty Romulus skoczył na równe nogi.

– Chociaż awanse Cezara mogły cię dotknąć, to tak naprawdę nic ci nie zrobił. Nie spadł ci włos z głowy. Trudno uznać to za wystarczający powód, aby pozbawić go życia. Znajdź mi dowód, że to on zaatakował matkę, a zrobię, co będziesz chciała. Ale nie zabiję kogoś, kto może być niewinny. Pozbawiałem życia o wiele za łatwo. Za często.

– Więc myślisz, że tylko ty cierpiełaś? – Fabiola podniosła głos. – Czy to, że byłam ladacznicą, że mógł mnie mieć każdy Rzymianin, to nic dla ciebie nie znaczy? Marzyłam tylko o tym, żeby cię odnaleźć i dowiedzieć się, kto zgwałcił matkę. Nienawidziłam każdej chwili w Lupanarze. Tylko pewność, że Cezar jest winny, a także tego, że mogłabym liczyć na twoją pomoc w zemstce, sprawiały mi jakąś przyjemność.

Przerażony jej wyznaniem Romulus odwrócił wzrok. Tego, co przeszedł, nie można było porównywać z jej cierpieniami. Jednak nie zmienił zdania.

– To nie przez Cezara trafiłaś do Lupanaru – powiedział w końcu.

– Sprzedał cię Gemellus. I zapłacił za to najwyższą cenę. Uwolnij się od tego.

– To był Cezar, Romulusie. Wiem to – uderzyła w błagalne tony. – On musi zapłacić za skrzywdzenie matki.

Emocje zamknięte w słowach Fabioli sprawiły, że Romulus musiał na nią spojrzeć. Ze zdumieniem zobaczył, że płakała. Szlochała!

Instynktownie podszedł bliżej, żeby ją uspokoić, a ona wtuliła się w jego ramiona.

– No już... już – odezwał się, niezręcznie poklepując ją po plecach.
– Wszystko będzie dobrze.

Uznał, że potok jej łez wysechł o wiele za szybko. To wzbudziło nową falę podejrzeń.

– Pomóż mi – wyszeptała.

Romulus zacisnął szczęki, a potem ją odepchnął.

– Nie. Nie mogę.

Nieprzelane łzy błyszczały w lodowatych, niebieskich oczach Fabioli.

– Dlaczego nie?

– Mówiłem ci – Romulus odpowiedział, zaskoczony jej nagłymi zmianami nastroju. – Nie masz żadnego dowodu.

Mierzyli się wzrokiem. Czar przysł.

Po kilku chwilach Romulus spuścił wzrok.

– Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Wychodzę.

Fabiola w pierwszej chwili wyglądała na zrozpaczoną, niczym zagubiona w lesie dziewczynka.

– Nie zostawiaj mnie. Proszę.

Romulus odsunął się od stołu i uklonił sztywno.

– Jeśli będę ci potrzebny... W każdej sprawie, poza tą... Wiesz, gdzie mnie szukać.

– Tak – odezwała się z wahaniem, ale nie próbowała go zatrzymać.

Zanim Romulus zrobił kilkanaście kroków, Fabiola zawołała za nim.

– Nie mów nikomu, dobrze?

Romulus się obrócił.

– To tak mnie oceniasz? Myślisz, że pobiegnę teraz prosto do Cezara?

Fabiola zbladła.

– Nie. Oczywiście, że nie.

– To po co to powiedziałaś?

Nie odpowiedziała.

Zdegustowany Romulus opuścił ogród.

Rozdział XXV

Konspiracja



Minęło ponad pięć miesięcy...

Lupanar, wiosna 45 r. p.n.e.

Fabiola siedziała w recepcji i czule spoglądała na Benignusza, który zajmował się instruowaniem nowego ochroniarza, przekazując mu swoje obowiązki. Udało mu się przeżyć mimo straszliwych obrażeń, jakich doznał podczas walki z ludźmi Scewoli. Chociaż jego ciało pokrywała siatka nowych blizn i utykał na jedną nogę, po kilku tygodniach rekonwalescencji sam nalegał, żeby szybko wrócić do pracy. Benignusz wyzdrowiał w dużej mierze dzięki Tarkwiniuszowi, który wykorzystując swoje umiejętności leczenia ran i resztki dziwnego środka ze skórzanego woreczka, jakimś sposobem odratował jej wiernego opiekuna. *Mantar. Tak go nazywał.* Fabiola nie miała najmniejszego pojęcia, co znajdowało się w pachnącym stęchlizną proszku, ale wiedziała, że będzie wdzięczna haruspikowi do końca życia. Bez niego Benignusz umarłby. Gdyby nie jego interwencja, Romulusa też nie byłoby już wśród żywych. Podobnie jak i jej. Gdyby haruspik nie powiadomił Sekundusa i Brutusa o grożącym jej niebezpieczeństwie, nikt nie przyszedłby im z pomocą. To z kolei oznaczało, że nigdy nie pogodziłaby się z Brutusem. Trudno jej było wyobrazić sobie konsekwencje braku udziału Tarkwiniusza w ostatnich wypadkach. Woląла nawet o tym nie myśleć. Była więc żywo zainteresowana stworzeniem jak najlepszych relacji z Tarkwiniuszem.

Początkowo myślała, że to, iż Tarkwiniusz przyjaźni się z

Romulusem, pomoże jej jakoś w pogodzeniu się z bratem. Po kłótni w ogrodzie Romulus więcej się u niej nie pojawił. Fabiolę ogromnie rozżłościła odmowa udzielenia jej wsparcia. Zaciętrzewiła się tak bardzo, że nie wyobrażała sobie nawet, iż mogłaby zrobić pierwszy krok w kierunku pojednania. Jak się później okazało, Romulus również nie należał do tych mężczyzn, którzy łatwo odpuszczają. Opiekujący się Benignuszem Tarkwiniusz pojawiał się jednak w Lupanarze właściwie codziennie. Prowadził z Fabiolą długie rozmowy, dzięki którym poznała wiele szczegółów z życia brata. Nie miała szansy wypytać go bowiem, co się z nim działo. Chociaż słyszała o trudach kampanii w Partii i okropnościach klęski pod Carrhae, nigdy nie myślała, że pozna tę historię od kogoś, kto uczestniczył w tych wydarzeniach, stojąc ramię w ramię z Romulusem. Płakała, słuchając obrazowych opisów deszczu strzał, stosów ciał naszpikowanych pociskami legionistów i ostatecznej klęski w palącym słońcu pustyni. Z trudem wytrzymała opis horroru egzekucji Krassusa, przemarszu Zapomnianego Legionu do Margiany i ciężkich walk przeciwko Sogdyjczykom, Scytom i mieszkańcom Indii.

Opis ostatniej bitwy wywarł chyba na Fabioli największe wrażenie. W pewnej chwili przerwała Tarkwiniuszowi, żeby opowiedzieć, jak przekradła się do podziemnego mitreum i wypijała fiolkę jakiejś halucynogennej substancji, po której wydawało się jej, że przemieniła się w kruka. Unosząc się nad nieznaną krainą, rozmyślała o Romulusie, a potem jej oczom ukazało się pole bitwy, na którym niewielkie siły rzymskie stanęły naprzeciw potężnej wrogiej armii, dysponującej znaczną liczbą słoni bojowych. Jak sądziła, Mitra wyjawiał jej, gdzie znajdował się Romulus, tylko po to, aby potem pokazać, że nie ma żadnych szans w tej konfrontacji. Miała wówczas przemożne poczucie niesprawiedliwości i niemal oszalała z bólu. W rozpacz samobójczo zanurkowała prosto na jedną z tych ogromnych szarych bestii. Kiedy o tym wspomniała, Tarkwiniusz otworzył usta ze zdumienia.

– Mówisz, że byłaś krukiem?

Skinęła głową.

– Niestety, Sekundus wybudził mnie z transu, zanim zdążyłam przekonać się, jaki efekt przyniosło moje działanie.

– Widziałem tego ptaka – mruknął haruspik. – Romulus też! –

Spadał z nieba jak kamień prosto na słońca na czele formacji.
Powiedziałem ludziom, że kruk był znakiem od bogów!

Fabiola dostała gęziej skórki.

– Został wysłany przez samego Mitrę – szepnęła.

– Podobnie jak moja wizja Partów w mitreum – Tarkwiniusz się zadumał. – Miałem w życiu chyba z sześć podobnie wyraźnych wizji. Ostatnią w Margianie. Potem... jakbym stracił ostrość widzenia – westchnął.

Pomimo pesymizmu haruspika Fabiola uznała, że jego interesujące możliwości mogą być naprawdę przydatne. Oto ma przed sobą prawdziwego wróżbitę, tak różnego od wszystkich tych szarlatanów, których pomocy szukała wiele razy w ciągu swojego życia. Gdyby zaskarbiła sobie jego zaufanie i upewniła się co do dyskrecji, mogłaby poprosić go o to, by zapytał bogów o podpowiedzi w kwestii powodzenia jej spisku przeciwko Cezarowi. A jednak to nie było takie proste. Zanim ujawni mu swoje plany, musi wiedzieć, czy można mu zaufać. Tarkwiniusz może przecież równie mocno kochać Cezara, jak jej brat. Zaczęła od poproszenia go, czy nie mógłby wstawić się za nią u Romulusa. Niestety, Tarkwiniusz odpowiedział, że nie chce się mieszać do ich waśni. To straszliwie zirytowało Fabiolę. Właściwie to odmówił jej dość obcesowo: „Poczyniłem już wystarczająco wiele szkód, wsadzając nos w nieswoje sprawy. Ty i twój brat musicie rozwiązać ten problem sami, jak ludzie dorośli”. Zachowanie haruspika sprawiło, że Fabiola odrzuciła myśl o wtajemniczeniu go w szczegóły swojego planu.

Jednocześnie Fabiola nie była gotowa na podjęcie próby naprawy relacji z bratem. Uparła się i wolałaby, żeby to on przyszedł do niej pierwszy, a kiedy tego nie zrobił, czuła się jeszcze bardziej ignorowana. Chociaż domyślała się, że Romulus z pewnością czuje się tak samo, nie potrafiła zmienić swojego nastawienia. Była przekonana, że ma rację. To Cezar zgwałcił ich matkę. Wiedziała, że Romulus kiedyś sam się o tym przekona. Postawa Tarkwiniusza też nie miała wpływu na jej decyzje. Będzie działać. Z pomocą boską czy bez niej i niezależnie od tego, co postanowi jej brat.

Pierwszą poważną próbą – i pierwszym krokiem we właściwym kierunku – było dla Fabioli pojednanie z Brutusem. Mimo wyczerpania

tym, co przeszła, i zasmucenia konfliktem z Romulusem zamierzała wykorzystać słabość Brutusa. Pamiętała, jak szybko pojawił się w Lupanarze. Świadoma, że ma wielką szansę na odzyskanie zaufania kochanka, Fabiola nie wzdrygała się przed wykorzystaniem każdej broni ze swojego arsenału. Łkała jak dziecko, dziękując Brutusowi za pomoc. Gdy zdradziła go z Antoniuszem, zasługiwała przecież tylko na pogardę. W skrytości ducha była jednak zachwycona jego wspaniałomyślną reakcją. Potem powoli przemieniła się w kocicę, dając Brutusowi wyraźnie do zrozumienia, jak mocno za nim tęskniła. Jak bardzo brakowało jej jego życzliwości i uwagi. Lekkie muśnięcia jego skóry na klatce piersiowej spowodowały natychmiastową reakcję, dając Fabioli bardzo potrzebną zachętę do kontynuowania zabiegów. Obiecała mu, że jeśli tylko będzie gotów ją przyjąć z powrotem, poświęci mu całą swoją uwagę do końca ich dni.

Działania Fabioli tylko w części były udawane. Pozbycie się Antoniusza i Scewoli przyniosło jej tak ogromną ulgę, a naprawdę brakowało jej miłego sercu towarzystwa Brutusa. Jednak jej głównym celem było przecież wciągnięcie go do spisku. Naturalnie Brutus nie zdawał sobie z tego sprawy, jednak przekonany zachowaniem, z którego przebijała skrucha, i uległą seksualnością Fabioli, wszystko jej wybaczył. Tej nocy użyła wszystkich znanych jej sztuczek, aby sprawić, by Brutus płonął z pożądania. A potem długo i namiętnie kochali się, jakby świat nie istniał.

Podczas kolejnych dni nie zmieniała taktyki, skupiając się całkowicie na tym, żeby jej kochanek był zadowolony. Brutus po triumfach Cezara, gdy nie spodziewał się na razie, że dyktator wyśle go znów gdzieś z jakąś misją, mógł wreszcie trochę zwolnić tempa. Wieloletni konflikt w Galii zastąpiła wojna domowa, ale Brutus nie musiał przecież brać udziału we wszystkich nowych inicjatywach i wciąż niezmiennie podlegał Cezarowi, wykonując wszystkie jego polecenia tu, na miejscu, w Rzymie. Cieszyli się z Fabiolą swoim towarzystwem, jakby byli młodymi kochankami – spędzali wakacje na wybrzeżu, chodzili do teatru i cyrku, a także organizowali spotkania, na które Brutus zapraszał swoich przyjaciół i sojuszników. Fabiola starała się mówić o Cezarze tylko w samych superlatywach. Pamiętała, że jej

romans z Antoniuszem o mało nie przyniósł jej zguby, dlatego teraz – przed rozpoczęciem realizacji swojego planu – musiała być całkowicie pewna Brutusa. Gdy Brutusa wysłano do Hiszpanii, nie powiedziała złego słowa, zachowując pozory. Wiedziała, że kiedyś nadejdzie odpowiednia chwila.

Do tego czasu postanowiła cierpliwie czekać.

Romulus po raz drugi przemierzał uliczkę prowadzącą do Lupanaru. Mattiusz wybiegał do przodu, by po chwili, zniecierpliwiony, wrócić do niego pędem. Dobrze wiedział, że nie ma sensu ciągnąć Romulusa za język. Nie było powodu, by kwestionować działania swojego sponsora. Wiedział, że ma to coś wspólnego z siostrą Romulusa, ale nic więcej. Dla niego to nie miało znaczenia. Wystarczyło, że mógł uczyć się nowych rzeczy i przebywać w towarzystwie kogoś, kogo uważał za bohatera. Po tym, jak Romulus porozmawiał poważnie z jego ojczymem, ostrzegając go, że jeśli dowie się o jakichkolwiek nadużyciach, gorzko tego pożałuje, Mattiusz nie musiał już martwić się, że dostanie mu się za to, iż spędza za dużo czasu z dala od domu. Jego siostra też już nie zajmowała się oferowaniem przypadkowym mężczyznom swojego niedojrzałego ciała. Sprzedawała chleb u lokalnego piekarza, weterana legionów, do którego Romulus zwrócił się z prośbą o przyjęcie jej do pracy. Ich matka, szczupła, niedożywiona kobieta, przeniosła się z dziećmi do czystego dwupokojowego *cenacula*. Błada i wychudzona, ponieważ oddawała większość swojego jedzenia dzieciom, teraz z każdym dniem nabierała zdrowych rumieńców. Romulus nigdy nie widział siebie jako sponsora ubogich – w końcu sam przecież do niedawna był niewolnikiem – ale kiedy już zaczął pomagać Mattiuszowi, czuł się nie w porządku z myślą, że miałyby ograniczyć się tylko do niego, pomijając jego rodzinę. Pod wieloma względami ta trójka niewiele różniła się od Welwinny, Fabioli i jego sprzed dziesięciu laty. Dobrze było czuć się na tyle bogatym, aby móc pomagać komuś w potrzebie. W ten sposób niemal udało mu się zapomnieć o własnych kłopotach.

Odkąd pokłócił się z Fabiolą, Romulus przychodził tu wiele razy, z monotonną regularnością, ale nigdy jeszcze nie zbliżył się zanadto do Lupanaru. Dzisiejszy dzień nie różnił się od innych. *A niech ją szlag!*

Pięknooka trzpiotka! Czy nie może pierwsza wyciągnąć ręki na zgodę? Dlaczego to muszę być ja? Wiedział już, że Tarkwiniusz opowiedział Fabioli wiele z tego, co się z nim działo od czasu ich rozstania. Usłyszał, że w smutniejszych momentach roniła łzy, a śmiała się, wysłuchując zabawnych historii. Najwyraźniej zależało jej na nim. Tak jak mnie na niej. Jednak nie mogę potulnie zgodzić się na współudział w morderstwie człowieka, który mnie uwolnił.

Mimo wszystkich zastrzeżeń Romulus wciąż obawiał się, że Fabiola może mieć rację. Cezar mógł zgwałcić ich matkę. Buntował się na samą myśl o tym, że to może być prawda. Taki obraz dyktatora stał bowiem w sprzeczności ze wszystkim, co czuł w związku z wodzem, i sprawiał, że gest ofiarowania mu wolności tracił na znaczeniu. A to z kolei zupełnie mu nie pasowało. Romulus nie potrafił dojść do ładu ze swoimi emocjami i nie był w stanie rozwiązać tego problemu. Wiedział za to tyle, że zabicie Cezara – niezależnie, czy był on winny, czy nie – sprawiało, że stawał się równie zły jak Gemellus. A tego wcale nie chciał. Fabiola może sobie podejmować własne decyzje, ale on nie chciał mieć z tym nic wspólnego.

Romulus nie wyobrażał sobie też, że zignoruje dokonania dyktatora. Po dziesięciu latach niepokoju i rozlewu krwi Cezar przyniósł pokój Republice. Bez niego wojna domowa rozgorzeje na nowo i nad Rzymem znów zawiśnie widmo katastrofy. Ile tysięcy niewinnych ludzi zginie w takim konflikcie?

Umiejętności dyktatora okazały się nie ograniczać tylko do tych pochodzących od Marsa. Zamiast spocząć na laurach i korzystać z dobrodziejstw pokoju w Italii, Cezar nie ustawał w wysiłkach, aby uczynić z Rzymu prawdziwe mocarstwo. Pracował nad nowym prawem i ustawami, które będą miały wielkie konsekwencje dla rozwoju państwa. Większość z nich została przyjęta przez senat z zadowoleniem. Liczba biednych mieszkańców Rzymu zmniejszyła się o dziesiątki tysięcy – głównie dzięki nowym koloniom w Galii, Afryce i Hiszpanii. Cezar hojnie obdarowywał obywateli ziemią, dzięki czemu ludzie ci mogli sami zapewnić przyszłość swoim rodzinom, a nie bazować na pomocy państwa. W stolicy ruszyły szeroko zakrojone prace budowlane – zarówno na Campus Martius, jak i w kompleksie nowego forum. Pracę

znalazły tam rzesze obywateli i dzięki temu o ponad sto tysięcy zmniejszono liczbę osób, którym za darmo wydawano ziarno.

Cezar nie zapominał też o swoich żołnierzach i stronnikach. W końcu jego weterani dostawali ziemię, która została im obiecana przed wielu laty. Dyktator dbał wyjątkowo o swoich trybunów i centurionów. Wiedział dobrze, że nic tak nie zjedna mu zwolenników, jak tego typu proste gesty. Ogromna popularność Pompejusza wśród legionistów wynikała właśnie w dużej mierze z hojnych darów dla kończących służbę żołnierzy. Chociaż ani Romulus, ani wielu z jego towarzyszy z gwardii honorowej nie służyło w armii tak długo, aby przysługiwał im przydział ziemi, Cezar zdecydował się zrobić dla nich wyjątek. Ponadto przyznał im ziemię w Italii, czyli w najbardziej pożądanej lokalizacji, a nie w jakimś odległym zakątku imperium.

Tym sposobem Romulus stał się właścicielem małego gospodarstwa w pobliżu Kapui. Bywał tam coraz częściej, zwykle najpierw odwiedzając dom Sabinusza. Na ogół towarzyszył im także Mattiusz. Od czasu do czasu nawet Tarkwiniusza udawało się namówić na spędzenie kilku dni na wsi. Sabinusz był dla Romulusa prawdziwą kopalnią wiedzy na temat prowadzenia gospodarstwa. Szybko polubili wspólne spędzanie czasu: mężczyźni wylegiwali się na trawie, dużo rozmawiając i jeszcze więcej pijąc, podczas gdy Oktawia, żona Sabinusza, trajkotała w tle, a Mattiusz szalał z miejscowymi dziećmi. Gdy mieli już dość, mężczyźni wsiadali na muły i przenosili się do gospodarstwa Romulusa, znajdującego się na południowym stoku piętnaście mil od Kapui. Mattiusz zostawał z Oktawią. Zwykle sam o to prosił. Dla niego życie na farmie – zabawy z rówieśnikami i regularne posiłki – to był prawdziwy raj na ziemi.

Romulus z wdzięcznością przyjął pomoc Sabinusza w kwestii znalezienia odpowiednich ludzi do pracy na gospodarstwie. Zatrudnił sześciu miejscowych wieśniaków i nadzorcę. Ich płace znacznie zwiększyły koszty, ale za nic nie chciałby stać się właścicielem niewolników. To było wbrew jego naturze. Nie mógłby spojrzeć sobie w oczy, gdyby miał korzystać z niewolniczej pracy. Potem kupił muły i narzędzia rolnicze – pług, kosy, siekiery, łopaty i grabie. Wszyscy zajęli się przywracaniem świetności zaniedbanemu budynkowi głównemu i

szopie oraz usuwaniem chwastów, które rozpleliły się na nieobrabianych polach. Było jeszcze za wcześnie, żeby spodziewać się wielkich zysków, ale można było posiać warzywa. Niechybnie w tym roku zbierze pierwsze plony pszenicy i jęczmienia. Z winoroślą było trochę gorzej. Minie wiele miesięcy, zanim pojawią się dobre winogrona.

Sabinusz stał z rękami na biodrach, tłumacząc Romulusowi zawiłości uprawy, pielęgnacji i zbioru. Romulus słuchał jednym uchem, ale rozpraszały go inne myśli. Zastanawiał się, czy naprawdę nadaje się do życia na wsi.

Jako chłopiec marzył, aby stać się nowym Spartakusem i zorganizować powstanie przeciwko Republice. Chciał uwolnić ludzi, którzy budowali jej potęgę, nic w zamian nie otrzymując. Gdy znalazł się w Italii, nie wrócił już do tego pomysłu. Widział, że to były tylko mrzonki. Niewolnictwo stało się integralnym elementem istnienia Republiki. Powstańcy musieliby walczyć z doświadczonymi w wielu wojnach legionistami Cezara, którzy nie przypominali już żołnierzy służby zasadniczej, pokonanych przez Spartakusa. Legiony bez trudu rozbiją i rozproszą teraz nawet największą armię zebranych z całej Italii niewolników.

Zastanawiając się nad zmianą swojego nastawienia do niewolnictwa, Romulus zawsze przywoływał dwa argumenty. Po pierwsze, ulubiony z nowych statutów Cezara, który nakazywał, aby w każdym latyfundium na południu Italii co najmniej jedna trzecia siły roboczej składała się z rzymskich obywateli. Chociaż prawo to wprowadzono w głównej mierze w celu walki z bezrobociem i zwiększenia zatrudnienia, automatycznie zmniejszyła ono zapotrzebowanie na niewolniczą pracę. Po drugie, chociaż przejmował się losem niewolników, nie był odpowiedzialny za ich sytuację. Niczego im nie był winien. W przeciwieństwie do dawnych towarzyszy z armii. Jeśli któryś z nich potrzebowałby pomocy, Romulus gotów był poruszyć niebo i ziemię.

Z zupełnie zrozumiałych powodów wracał myślami do Brennusa: przed bitwą pod Tapsus, gdy sam musiał zmierzyć się z jednym ze słoni bojowych, i w Rzymie, gdy był blisko tych wielkich zwierząt, które uświetniały triumfy Cezara, i wreszcie gdy przyglądał się mozaice w

ogrodzie Brutusa. Często zastanawiał się, czy Gal żyje. Wspominał ten dreszcz podekscytowania, gdy słyszał, że Cezar planuje zebrać armię i wyruszyć do Partii. Za każdym razem, gdy pomyślał o powrocie na ziemię, które znał, gdzie został wzięty do niewoli, czuł dziwne sensacje w brzuchu. Idylliczna Italia nie do końca spełniła jego oczekiwania. Chyba nie tego się spodziewał. To był jego drugi problem. Oczywiście nie myślał o tym, aby urozmaicić sobie życie, walcząc na arenie, ale życie na gospodarstwie... wydawało się takie przyziemnie nudne. Nie zapuścił tu jeszcze korzeni. Nie mógł czerpać z rodzinnych tradycji jak Sabinusz. Romulus wiedział, że w każdej chwili może stąd odejść i nie będzie tęsknił. Rozmowy prowadzone z Tarkwiniuszem tylko pogarszały sprawę, bo dostrzegł w oczach haruspika to samo pragnienie. Podróży na Wschód. Fabiola była jego jedynym powodem *nieopuszczania* Italii.

Tarkwiniusz wolał nie wychodzić przed szereg, choć nie był do końca pewien, dlaczego się tak zachowuje.

Ku frustracji Romulusa nie usłyszał już ani słowa na temat planowanej kampanii w Partii. Do Italii docierały informacje mówiące o ciężkich walkach w Hiszpanii, gdzie Cezarowi przyszło zdławić bunt podniesiony przeciwko jego mało popularnemu gubernatorowi Kasjuszowi Longinusowi. Dwóch synów Pompejusza sprytnie wykorzystało okazję, aby zdobyć sobie lojalność lokalnych plemion i przekonać je do walki w imię ideałów głoszonych przez ojca. Podobno zebrali ogromną armię i Cezar przeżywał naprawdę trudne chwile.

Romulus starał się być na bieżąco i utrzymywać regularne kontakty ze wszystkimi weteranami. Śmiały plan dyktatora pomszczenia klęski Krassusa był kolejnym argumentem przemawiającym za tym, aby sprzeciwić się planowi Fabioli. Jeśli Cezar zostanie zabity, inwazja nie dojdzie do skutku, a on straci ogromną szansę, aby dowiedzieć się, co stało się z Brennusem. Chwilami myślał, że zachowuje się samolubnie... i w ten sposób znów koło się zamykało, a on wracał myślami do swojego sporu z Fabiolą. Z jakiegoś powodu wątpił, czy kiedykolwiek da się jej przekonać.

Romulus zaklął i zawrócił z uliczki prowadzącej do Lupanaru. To było irytujące. Przez wszystkie te lata, gdy przebywał na wygnaniu, zawsze wyobrażał sobie, że powrót do Rzymu będzie szczęśliwym

zakończeniu tej gehenny. Że czeka go tylko czysta radość z odnalezienia Fabioli.

Teraz jednak przewrotny los znów stawiał na jego drodze nowe przeszkody.

Skończyła się wiosna. Nadeszło wczesne lato. Do Rzymu dotarły wieści o oszałamiającym zwycięstwie Cezara w bitwie pod Mundą, gdzie po zaciętej walce, gdy legiony Cezara musiały atakować pod górę przeciwnika posiadającego przewagę liczebną, dyktator po raz kolejny przechylił szalę zwycięstwa na swoją stronę. W pewnym momencie, gdy linie cezarian chwiałały się pod naporem wrogów, Cezar musiał chwycić za miecz i zebrać spanikowanych żołnierzy. Miał świadomość, że losy bitwy może zmienić tylko heroiczny gest. Sam ruszył na wroga, uchylając się przed *pila* i strzałami, które nieprzyjaciel wysyłał w jego kierunku. Wkrótce dołączyli do niego poruszeni jego odwagą oficerowie, a potem fala legionistów. W jednej chwili pełnej szaleństwa Cezar znów zmienił losy potyczki. Po bitwie doszło do prawdziwej rzezi. Zginęło ponad trzydzieści tysięcy żołnierzy pompejańskich, podczas gdy cezarianie podobno stracili zaledwie tysiąc.

Informacje o tym zwycięstwie Cezara umieszczono na każdym skrzyżowaniu dróg w Rzymie. Wściekła Fabiola szukała pocieszenia w zwykłych zajęciach przy prowadzeniu Lupanaru, czekając na powrót Brutusa. Senatorowie prześcigali się w pochwałach, a wdzięczny senat ogłosił, że święto celebrowania wiktorii trwać będzie tym razem pięćdziesiąt dni. Nadano również Cezarowi niezwykły tytuł: *Liberator* – Wyzwoliciel – a także przygotowano plany wybudowania *Templi Libertas*. Cezar otrzymał też prawo do stałego używania zaszczytnego miana imperatora, które dawniej nadawano jedynie zwycięskiemu wodzowi w następstwie triumfu. Na razie Cezar nie wrócił do Rzymu, aby odebrać swoje nagrody, gdyż był zajęty oczyszczaniem Hiszpanii z resztek sił pompejańczyków oraz tworzeniem nowej administracji w podbitej prowincji.

Fabiola czuła się zawiedziona, że Cezar nie został zabity ani pokonany. Najchętniej ujrzałyby go umierającego powolną śmiercią, ale gdy jej marzenie tak długo się nie ziszczało, mogłyby zadowolić się jego śmiercią na polu walki. Niestety, kolejne zwycięstwo wydawało się

znów odsuwać kwestię zemsty na niesprecyzowaną przyszłość. Co gorsza, wyglądało na to, że Cezar został niekwestionowanym władcą Republiki. Nie było już nikogo, kto by mu się opierał. Wszędzie bowiem – od Grecji, po Azję Mniejszą, Egipt i Afrykę oraz Hiszpanię – wszyscy przeciwnicy zostali zgnieceni.

Czasami jednak bywa tak, że cierpliwość popłaca i zostaje nieoczekiwanie nagrodzona. Czy to dlatego, że wojna domowa wreszcie dobiegła końca, czy dlatego, że Cezar przebywał jeszcze w Hiszpanii – nigdy się tego nie dowie – pojawiły się pierwsze oznaki niezadowolenia z rządów dyktatora. Najpierw zwykli ludzie podawali w wątpliwość, czy naprawdę Cezar zasłużył aż na pięćdziesięciodniowe święto dziękczynne, ponieważ byłoby to najdłuższe święto, jakie kiedykolwiek ogłoszono w całej historii Rzymu. Później powątpiewano w słusność nadania Cezarowi przydomka „Wyzwoliciel”. No bo przecież od jakiego ucisku wyzwolił ich Cezar? Wreszcie zwykłym obywatelom nie spodobało się także trwałe nadanie mu prawa imperatora. Fabiola słyszała, że ludzie na ulicy, ale też i bogaci klienci Lupanaru, obawiali się, iż tytuł dawał Cezarowi władzę wykraczającą ponad jego pozycję. Do czegoż on potrzebował takich imponujących tytułów? Kiwając głową w zamyśleniu, Fabiola nie komentowała tych wątpliwości, ale rejestrowała w pamięci tożsamość każdej z tych osób. Sytuacja jeszcze nie dojrzała do rozwiązania.

Jesień zbliżała się ku końcowi, a konflikt Fabioli i Romulusa trwał już prawie rok. Spotykali się przy różnych okazjach i odnosili do siebie raczej miło, choć z dystansem. Wybrali się nawet razem na wycieczkę do Pompei, gdyż Fabiola chciała pokazać bratu swoją willę. Pod wieloma względami wszystko było jak dawniej – gdy jako dzieci dobrze się rozumieli i lubili swoje towarzystwo. Jednak nieporuszany brak porozumienia w kwestii roli Cezara w ich poczuciu zawsze psuł im nastrój i czaił się gdzieś z tyłu ich głów, dając o sobie znać. Do drugiej poważnej kłótni – jeszcze gorszej niż pierwsza – między rodzeństwem doszło zaraz po powrocie Cezara z Hiszpanii. Po raz kolejny Romulus jasno i wyraźnie dał Fabioli do zrozumienia, że nie chce mieć nic wspólnego z jej spiskiem. Rozdarty, zaczął się nawet zastanawiać, czy nie powinien o wszystkim komuś powiedzieć. Jednak ewentualna

denuncjacja skończyłaby się prawdopodobnie egzekucją Fabioli, co uznał za zbyt straszną karę. Przekonywał się, że Fabiola nigdy nie będzie miała dość odwagi ani nawet okazji do wprowadzenia swojego planu w życie. Próbował pogrzebać obawy głęboko w zakamarkach umysłu. Chciał podzielić się swoimi rozterkami z Tarkwiniuszem, ale lękał się tego, co haruspik, uzbrojony w nową wiedzę, może zobaczyć w swoich wizjach. Dlatego nie próbował szukać jego pomocy.

Fabiola również zastanawiała się, czy nie powinna podjąć jakichś kroków, żeby zabezpieczyć się na wypadek zdrady Romulusa. Mimo zaniepokojenia nie wyobrażała sobie jakiegokolwiek brutalnego rozwiązania. Nie była aż tak bezwzględna. A jednak nie rozważała rezygnacji z planu, nawet jeśli miało to oznaczać, że nigdy nie będzie jej dane odzyskać pełnego zaufania Romulusa. Nie, żeby Fabioli to się podobało. O nie. Jakże to tak? Był przecież jej ukochanym braciszkiem, którego zawsze pragnęła odzyskać. Była jednak zdeterminowana i niewzruszona. Zemsta stała się celem jej życia, który ją określał. Teraz, gdy sytuacja zaczęła się zmieniać po ogłoszeniu szczegółów najnowszego triumfu, podchodziła do swojego pomysłu z jeszcze większym entuzjazmem. Tym razem bowiem triumf miał uczcić zwycięstwo w bitwie z wrogiem... rzymskim. Był to godny uwagi wyjątek w porównaniu z czterema poprzednimi paradami zwycięstwa. Oznaczał on jednocześnie haniebne zerwanie z tradycją, co na pewno wzbudzi gniew wielu senatorów. Oczywiście na razie nikt oficjalnie nie ośmielił się głośno oponować. Co ciekawe, słyszała jednak, że nie wszyscy wpływowi ludzie Rzymu siedzą cicho i nie protestują. Poncjusz Akwila, jeden z trybunów, ośmielił się nie wstać ze swojego miejsca, gdy mijał go rydwan Cezara. Oburzony dyktator krzychał, żeby Akwila spróbował raczej osobiście odebrać mu Republikę. To był tylko drobny gest, ale nie można powiedzieć, że mało znaczący. I wiele mówił o rodzajach się nastrojach niezadowolenia.

Jej nadzieje rosły, gdyż przypochlebiający się Cezarowi senatorowie wymyślali coraz to nowe sposoby uhonorowania imperatora, zasypując go zaszczytami. Jego dyktatura została przedłużona do dziesięciu lat. Otrzymał prawo do konsulatu, jeśli tylko by tego zapragnął. Cezar kontrolował całą armię Republiki oraz jej

skarbiec. Podczas oficjalnych spotkań siadywał na krześle z kości słoniowej między konsulami, a podczas uroczystych wydarzeń – na przykład przed ogłoszeniem rozpoczęcia igrzysk – wnoszono jego rzeźbę. Jego wizerunki były umieszczane w pobliżu tych przedstawiających dawnych rzymskich królów, choćby w świątyni Romulusa.

Prominentni zwolennicy Pompejusza, tacy jak Cynceron, czuli się na tyle pewnie, że pozwalali sobie na lekko sarkastyczne komentarze na temat zmian w zachowaniu Cezara, ale zdecydowana większość arystokratów i polityków nadal milczała albo dyskutowała o nich tylko w zaufanym gronie. To nie miało znaczenia dla Fabioli. Ku jej uciesze Brutus był jednym z tych, którzy zaczęli narzekać na Cezara. Jej kochanek zdał sobie sprawę, że uwielbiany wcześniej wódz nie miał zamiaru oddać władzy senatowi. W rzeczywistości właściwie nikt już nie toczył w senacie prawdziwych debat. Dyktator i jego doradcy spotykali się teraz za zamkniętymi drzwiami, podejmowali decyzje, a potem wydawali dekret, rzekomo w imieniu senatu. Brutus z oburzeniem stwierdzał, że taki dokument często zawierał listę osób, które miały niby uczestniczyć w posiedzeniu, chociaż w rzeczywistości wcale ich nie było.

– Ta cholerna wojna wreszcie się skończyła. Nadszedł czas, aby senat odzyskał kontrolę. Senat sprawował władzę w Republice od setek lat. Co Cezar sobie wyobraża?

Fabiola uważnie przyglądała się twarzy Brutusa. Czy powinna wreszcie powiedzieć mu, co o tym myśli? Ziarno, które kiełkowało w jego głowie od czasu bitwy pod Farsalą, teraz miało wydać owoce. Czekala na to tak długo. Martwiła się, że uszło i szeszło, ale słowa Brutusa świadczyły o czymś zupełnie przeciwnym!

– Mówi się, że Cezar ma uzyskać dożywotnią dyktaturę. Tak samo jak prawo do cenzury! I jakby te tytuły nie wystarczały, ma być podobno nazywany *Parens Patriae*. Ojcem Ojczyzny? Krzesło z kości słoniowej też już nie wystarczy. Musi być złote! – ze słów Brutusa wyraźnie przebijało szyderstwo. – Powinienem zauważyć, że dzieje się coś niedobrego, gdy kazał ozdobić swój dom nowym frontonem i kolumnami. Na Jowisza! Co to ma być? Dom przypominający świątynię

nie czyni z niego boga! Ani stworzenie cholernego kolegium kapłanów w zakonie jego imienia.

– Czy Mariusz, Sulla lub Pompejusz zostali kiedykolwiek uhonorowani w podobny sposób? – zapytała Fabiola, sondując poziom gniewu Brutusa.

Jego twarz wykrzywił grymas pełen pogardy.

– Nie! W porównaniu z nim zachowywali się pokornie! Wszystko przez tych płaszczących się przed nim senatorów, których wyznaczył. Gdy Cezar mówi: „Skaczcie”, oni pytają tylko: „Jak wysoko?”. Nie ma szacunku do nikogo. Jako generał zebrał już tak wielką liczbę nagród i wyróżnień, że nawet nie zechciał wstać w naszej obecności. To nie w porządku.

Fabiola czuła coraz większą satysfakcję. Brutus był szczerze zdegustowany. Niedawne zachowanie Cezara w reakcji na wizytę senatorów, którzy przybyli poinformować go o wyróżnieniach, zbulwersowało wielu z nich. Jako dyktator Cezar miał większą władzę niż dwóch konsulów. Z technicznego punktu widzenia wcale nie musiał wstawać, ale w ten sposób okazał pogardę senatorom. To był już drugi czy nawet trzeci raz, gdy Brutus wspomniał o tym incydencie, i Fabiola, chociaż czuła, jak żołądek podjeżdża jej do gardła ze zdenerwowania, uznała, że najwyższy czas wykonać swój ruch. Jeśli nie zacznie działać teraz, może stracić szansę. Ostatnio Cezar coraz więcej uwagi poświęcał planowaniu kampanii w Partii. Chociaż zebranie armii składającej się z szesnastu legionów i dziesięciu tysięcy jazdy wymagało czasu, przygotowania już trwały.

– Pamiętasz, co ci kiedyś powiedziałam? – zapytała cicho. – Po Farsali. – Brutus spojrzał na nią pytająco. – Rzym musi się wystrzegać Cezara.

Jego źrenice rozszerzyły się. Pamiętał.

– Dlaczego użyłaś tych słów?

– Bo Cezar sięgnął po zwycięstwo w bitwie, której nikt inny by nie wygrał – Fabiola się roześmiała. – Nie miałam pojęcia! Potem dokonał jeszcze większych czynów. Egipt, Azja Mniejsza, Afryka i Hiszpania. Teraz wszystkie te dodatkowe uprawnienia. Gdzie to się skończy? Nad brzegami Tygrysu i Eufratu?

– Powiedziałaś wtedy, że Cezar chce zostać królem – Brutus mruknął.

– Już jest królem. We wszystkim, tylko nie z nazwy – Fabiola odparowała. – Jesteśmy teraz jego skromnymi poddanymi.

Jego policzki zarumieniły się z wściekłości. Fabiola zdała sobie sprawę, że korzenie zasianego w jego sercu niepokoju sięgają głęboko.

– Jesteś mądrą kobietą... – westchnął.

Tak niewiele wiesz o moich powodach. Muszę podziękować Mitrze, że te działania przyniosły owoce.

– Tylko co z tym zrobić?

Fabiola zmierzyła Brutusa chłodnym wzrokiem.

– Można zrobić tylko jedno. Pozbyć się tyrana z Rzymu, zanim wyjedzie na Wschód, do Partii.

Zapadła długa cisza, podczas której Fabiola zaczęła się zastanawiać, czy nie przesadziła. Spaliła za sobą mosty, więc pozostało jej tylko uspokoić szybko bijące serce. Czekwała na reakcję.

– Cezar tyranem? Nigdy nie myślałem o nim w ten sposób – przyznał Brutus. – A jednak właśnie się nim stał. Faktycznie nie możemy go poprosić, aby ot tak zrzekł się władzy. Cezar to nie Sulla. On żyje po to, aby prowadzić wojnę.

Fabiola z każdą chwilą była coraz bardziej przekonana, że ta rozmowa idzie w dobrym kierunku.

Zanim Brutus przemówił ponownie, oboje znów długo milczeli.

– Nie widzę żadnej innej możliwości – westchnął ciężko. – I to trzeba zrobić w Rzymie. Nikt nie jest w stanie zaszkodzić Cezarowi, gdy ten znajduje się wśród żołnierzy, a kampania w Partii potrwa co najmniej trzy lata.

Dziękuję ci, Mitro! Przekonałam go!

– Będę potrzebował pomocy. Już nie mówię o tym, że byłbym absolutnie przerażony, gdybym miał działać sam.

– Nie musisz nikomu udowadniać swojej odwagi.

Posłał jej uśmiech pełen wdzięczności.

– To smutne, ale nawet wiem, z kim powinienem porozmawiać. Serwiusz Galba i Lucjusz Basylusz ostatnio nie są zbyt zadowoleni z rządów Cezara. Czują się pominięci przy podziale nagród za swoje

usługi. Słyszałem też skargi Kajusza Treboniusza.

Fabiola poczuła dreszcz podniecenia. Dwóch z trzech wymienionych, Galba i Treboniusz, służyło dla Cezara podczas długotrwałej kampanii w Galii. Byli jego legatami. Jeśli oni gotowi byli zwrócić się przeciwko swojemu dowódcy, to bardzo prawdopodobne, że znajdą się też inni. Następne słowa Brutusa jeszcze utwierdziły ją w tym przekonaniu.

– Mój kuzyn Marek Juniusz Brutus też byłby zainteresowany. Nie wspominając o Kasjuszu Longinusię.

Morale Fabioli rosło.

– Wspominałaś o tym Romulusowi?

Fabiola otworzyła i zamknęła usta niepewna, co ma odpowiedzieć.

– Tak. To znaczy... nie – zająknęła się.

Brutus zmarszczył brwi.

– To w końcu jak? Tak czy nie?

– Może wspomniałam mu coś mimochodem – wymamrotała. Nie była w stanie spojrzeć Brutusowi prosto w oczy.

– I co odpowiedział? – Brutus wyciągnął ręce i objął ją mocno w ramionach. – Powiedz mi!

Fabiola niechętnie podniosła wzrok. Zadrżała pod jego intensywnym spojrzeniem.

– Nie chciał mieć nic z tym wspólnego – przyznała.

– Twój brat nie będzie się angażować – Brutus powiedział ze smutkiem. – To znaczy, że ja też nie powinienem. Szczególnie po tym wszystkim, co zrobił dla mnie Cezar.

– Przekonam go – Fabiola powiedziała odważnie, chociaż wiedziała, że jej próby nie zdadzą się na nic. – Cezar musi zostać zatrzymany. On staje się potworem. Wiesz, że to prawda.

Brutus jakby jej nie słyszał.

– Musi być inny sposób...

Fabiola czuła, że traci kontrolę nad sytuacją.

– Wybiorę się do Cezara osobiście. Przemówię mu do rozsądku.

– Oszalałaś? – spanikowała. Nie chciała stracić Brutusa po raz drugi. – Cezar od dłuższego czasu kierował zawołanymi groźbami wobec Poncjusza Akwili. Kto wie, jak zareaguje, gdy mu się sprzeciwisz.

– To prawda – Brutus przeczesał dłonią swoje krótkie, brązowe włosy. Zastanawiał się.

– Muszę pomyśleć. Złożę ofiarę w świątyni Marsa, prosząc o wskazówki.

– Nie ma zbyt wiele czasu – ostrzegła Fabiola, sfrustrowana jego niezdecydowaniem. – Mówi o opuszczeniu Rzymu zaraz po idach marcowych.

Brutus zmarszczył brwi. Zauważył, że na niego naciska.

– Mówimy o zamordowaniu człowieka! To nie jest kwestia, którą można traktować lekko.

– Wiem, wiem, moja miłości – szepnęła uspokajająco. – Oczywiście, że masz rację.

Ku jej uldze Brutus się uspokoił.

Fabiola przez chwilę zastanawiała się nad swoją sytuacją. *Mam wystarczająco dużo nazwisk, aby zająć się swoją pracą.* Poczowała euforię. Podczas gdy Brutus się wahał, ona mogła działać. Zaprosi tych arystokratów do Lupanaru. Osobno. Przekona ich, wykorzystując wszystkie możliwe środki.

A w tym czasie Brutus sam dojdzie do wniosku, że zabicie Cezara jest jedyną rozsądną opcją.

A nawet jeśli się nie zdecyduje, informacje, które jej zdradził, wystarczą, aby nie musiała się na niego oglądać. I właśnie tak postąpi. To była zbyt dobra okazja, żeby ją odrzucić. Jeśli nie zacznie działać szybko, kolejna taka szansa może nie nadarzyć się przez długie lata.

Nie mogła dłużej czekać.

Bez względu na ryzyko.

Rozdział XXVI

Spisek



Minęły nieco ponad trzy miesiące...

Kapitol, Rzym, wiosna 44 r. p.n.e.

Romulus spojrział z ukosa na Tarkwiniusza, próbując ocenić jego nastrój. Wspinali się we trzech – z nieodłącznym Mattiuszem – na wzgórze kapitolińskie, ku olbrzymiej świątyni Jowisza. Liczne próby odczytania przyszłości podejmowane przez haruspika w mitreum nie przyniosły pozytywnego rezultatu, co frustrowało zarówno jego, jak i Romulusa. Tarkwiniusz czuł, że stanie się coś doniosłego. Mówił o tym w kółko. Jednak zupełnie nie wiedział, czego się spodziewać. Dzisiaj zrobią wszystko, żeby zaskarbić sobie łaskę bogów. No... może nie wszystko. Romulus wciąż wspominał swoją przerażającą wizję z Margiany, przez co zawsze odmawiał, gdy Tarkwiniusz proponował mu podjęcie próby haruspicii. Jednak musiał dowiedzieć się tyłu rzeczy! Czuł, że czas ucieka. Ostatnio jego podejrzania budziła świadomość, że duża grupa mężczyzn odbywa w Lupanarze regularne spotkania. I najwyraźniej nie chodziło tu o pofolgowanie chuciom. Lupanar. Od jakiegoś czasu w obserwowaniu Lupanaru pomagał mu Mattiusz. Poinstruował go dokładnie, na co powinien zwracać uwagę. Wkrótce dowiedział się, że w spisek Fabioli musi być zaangażowana naprawdę spora liczba nobili, w tym prominentni politycy, tacy jak Marek Brutus i Kasjusz Longinus. Co znamienne, chłopak nie widział wśród gości Lupanaru Decimusa Brutusa, mężczyzny Fabioli, z czego Romulus wywnioskował, że nie jest jedynym bliskim jej człowiekiem, który ma

pewne zastrzeżenia do tego planu. Ta świadomość tylko jeszcze bardziej go rozżłościła.

Nie zdecydował się jeszcze na konfrontację z Fabiolą. Z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że ona prawdopodobnie nie przyzna się do żadnego spisku. A po drugie, Romulus nie był pewien, czy może jej ufać. Jeśli rzeczywiście przygotowuje zamach na Cezara, potraktuje go – ona lub jej spiskowcy – jak tylko niewielką przeszkodę na drodze do celu. Zabitych ochroniarzy Lupanaru zastąpili nowi – ludzie wyglądający na prawdziwych brutali, którzy sprawiali wrażenie, że mogą ukreślić mu szyję na jedno skinienie i bez mrugnięcia okiem. Żaden z nich nie zachowywał się szczególnie przyjaźnie, nawet jeśli domyślali się, kim był, co doprowadziło Romulusa do wniosku, że nie będzie raczej mile widzianym gościem w Lupanarze. Jednocześnie czuł wielką niechęć przed obraniem innej, oczywistej drogi – zdradzenia planów Fabioli i innych spiskowców Cezarowi. No bo przecież nie miał żadnej pewności, że jego siostra nie porzuciła swojego planu.

Nawet jeśli się nie mylił, nie mógłby znieść myśli o tym, że jego ukochana siostra zniknie z jego życia na zawsze, gdyby jej intryga się wydała. I znowu... konsekwencje udanego zamachu – śmierć Cezara – wydawały mu się równie złe. Nie pomogła Romulusowi świadomość, że Rzym aż huczał od pogłosek o planach zamachu na dyktatora. Raz mówiło się o Marku Brutusie, innym razem o Dolabelli, jednym z wieloletnich stronników Cezara. Sugerowano też, że Antoniusz ma myśleć o zamordowaniu dyktatora, mimo że był jego najwierniejszym sługą. Rozdarty nietypowym dla niego niezdecydowaniem Romulus musiał wiedzieć, czy groźba wisząca nad Cezarem jest prawdziwa. A jeśli tak, to co powinien zrobić.

Innym drażliwym tematem były oczywiście jego relacje z Fabiolą. Czy da się jeszcze coś zrobić? Nie było ważne, jak bardzo Romulus pragnął zgody, nie wyobrażał sobie pojednania, podczas gdy jego siostra planowała zabicie Cezara. Ta świadomość jeszcze bardziej osłabiała jego poczucie przynależności do miejsca, ale jednocześnie sprawiała, że rosło jego poczucie winy. Musi być jakiś sposób, aby sprawić, by było jak dawniej. Jak wtedy, gdy byli dziećmi, gdy nie mieli nikogo na świecie poza sobą.

Tylko bogowie wiedzieli, jak rozwiązać ten problem. Gdybyż tylko dali mu jakąś wskazówkę!

Romulus chciał również koniecznie wiedzieć, czy Brennus przeżył ostatnią bitwę. Nie mógł jakoś pozbyć się tej natrętnej i ekscytującej myśli. Bo przecież nawet jeśli wielki Gal pokonał tamtego rannego słonia, wcale nie musi być prawdą, że zginął zaraz potem. Zapomniany Legion starł się przecież z wrogiem dysponującym ogromną przewagą liczebną. Ponieważ Romulus i Tarkwiniusz uciekli z pola bitwy, nie znali losów starcia, podobnie jak nie wiedzieli, czy Brennus przeżył. Romulus od czasu bitwy pod Tapsus nie potrafił pozbyć się tej myśli.

Jednocześnie czuł coraz większą pokusę, by wziąć udział w zbliżającej się kampanii Cezara. Ta myśl była regularnie podsycana przez wieści, które docierały do miasta. Tysiące jeźdźców zostało zwerbowanych w Galii, Germanii i Hiszpanii. Ludzie ci zmierzali do Brundisium, głównego portu i punktu wyjścia na Wschód. Do działań przygotowywały się również legiony Cezara, koncentrujące się na południu Italii. Romulus wiedział, że nie będzie miał trudności z ponownym zaciągnięciem się do Legionu XXVIII. Nie miałby też żadnych kłopotów ze znalezieniem w nim miejsca dla Tarkwiniusza. Mimo że haruspik miał już swoje lata, nadal świetnie posługiwał się bronią, a jego wiedza medyczna była równa – jeśli nie przekraczała – wiedzy większości wojskowych medyków. Nie mówiono wprawdzie o Partii, ale Romulus czuł rosnące wzburzenie haruspika. Nie mogli się mylić. Cezar planował pomszczenie legionów Krassusa.

Brak podpowiedzi ze strony Mitry wydawał się jeszcze bardziej frustrujący.

– Może Tinia będzie bardziej łaskawy – powiedział Tarkwiniusz. Zaskoczony Romulus spojrział na przyjaciela z uśmiechem.

– Chodzi ci o Jowisza? Największego i Najlepszego? – poprawił go, używając przy tym tytułu największego rzymskiego boga. Jako że Tarkwiniusz był Etruskim, używał imienia, którym jego lud określał Jowisza. – Miejmy nadzieję, że jest dziś w dobrym nastroju.

Wkrótce dotarli do rozległego kompleksu świątynnego, który znajdował się na szczycie wzgórza. Wybudowany przez Etrusków, był najważniejszym sanktuarium religijnym w Rzymie. Ludzie przyjeżdżali

tu z daleka, aby oddać pokłon Jowiszowi i prosić o jego łaskę. Przed frontem świątyni ozdobionej złotym dachem stał ogromny posąg Jowisza, który spoglądał z góry na miasto. Widział wszystko, bronił Rzymu i groził jego wrogom.

Romulus wymruczał pod nosem modlitwę, tak jak robił to, gdy był jeszcze małym chłopcem. Zwykle codziennie prosił o to, aby bogowie umożliwili mu zabicie Gemellusa. Mimo że nie było mu dane zrealizować tego zadania osobiście, czuł się tak, jakby to zrobił. Bo czy nie doszło do tego zaraz po jego wizycie w świątyni Orkusa? Dziś jego potrzeba była równie wielka. Prosił o wskazówki. Co powinien zrobić z Fabiolą i Cezarem? Czy udanie się do Partii jest dobrym pomysłem? Czy nie powinien najpierw rozmówić się wreszcie ze swoją siostrą? Kątem oka dostrzegł, że Tarkwiniusz również się modli.

Obaj znajdowali się w tej samej łodzi.

Przebili się przez tłum szarych obywateli, straganiarzy i artystów, po czym wspięli się po schodach do *cellae*, pomieszczeń świątynnych, które stanowiły główną część sanktuarium. Było ich trzy. Po jednym dla każdego z bóstw świętej trójcy: Jowisza, Junony i Minerwy. Ponieważ Jowisz był uważany za najznakomitszego rzymskiego boga, jego *cella* znajdowała się w środku. Stanęli na końcu długiej kolejki i cierpliwie, w milczeniu, czekali na swoją kolej. Widzieli kręcących się w środku gładko ogolonych akolitów, kołyszących naczyniami z brązu na długich łańcuchach, z których uwalniały się ciężkie zapachy kadzidła i mirry.

Ze względu na tłum wiernych nie spędzili za dużo czasu w długiej, wąskiej *cella*. Wszystko sprowadzało się do chwili kontemplacji na klęczkach, złożenia ofiary – ze stosiku denarów, miniaturowej etruskiej miseczki i dwóch brązowych asów od Mattiusza – a potem prośby posłanej w kierunku wielkiej kamiennej rzeźby nad ołtarzem. I już musieli opuścić pomieszczenie, żeby dać szansę innym.

Po chwili torowali sobie drogę na zewnątrz, mrugając, żeby ich oczy znów dostosowały się do jasnego światła słonecznego. Od razu spokój i skupienie wyczuwalne w *cella* zostały zastąpione zgiełkiem tłumów, wypełniających otwartą przestrzeń między świątynią a posągiem Jowisza. Okrzyki sprzedawców żywności konkurowały z odgłosami wydawanymi przez akrobatów, nawoływaniem artystów

ulicznych i handlarzy wszelką tandetą. Tu matka karciała krnąbrne dzieci, a tam mizdrzyły się mocno umalowane dziwki, gotowe zrobić wszystko, aby zachęcić ludzi do pójścia z nimi w najbliższą ciemną alejkę. Kalecy, trędowaci i chorzy wypełniali każdą wolną przestrzeń, tworząc las wyciągniętych rąk, licząc, że skapnie im jakiś grosik od kogoś, kto dziś jest w dobrym nastroju na rozdawanie swoich pieniędzy potrzebującym.

– O co prosisz Jowisza? – Romulus zapytał Mattiusza.

– O nic.

– To po co chciałeś z nami iść?

– Żeby podziękować. I żeby spełnić swoją obietnicę. – Romulus rzucił mu pytające spojrzenie. – Wyrwałeś mnie z łap mojego ojczyma. Musiał to sprawić Jowisz – powiedział Mattiusz poważnie. – Modliłem się do niego co noc, prosząc o pomoc. I pomoc nadeszła.

– Rozumiem – Romulus uśmiechnął się pobłaźliwie. Po chwili jednak uświadomił sobie, że wiara chłopca nie różniła się specjalnie od jego wiary. No bo jak inaczej tłumaczyć usunięcie przeszkody, która zatruwa życie? On prosił o przetrwanie rzezi pod Carrhae i powrót do Rzymu, a Mattiusz chciał uciec przed okrutnym ojczymem, który codziennie się na nim wyżywał.

Gdy podniósł wzrok, stwierdził, że Tarkwiniusz kieruje się w stronę sprzedawców zwierząt ofiarnych. Pospieszył za nim, kupując płowe, zdrowo wyglądające kozłę, które przyciągnęło jego uwagę. Haruspik zadowolony się pulchną czarną kurą z jasnymi oczami i z czystym upierzeniem. Potem minęli kilku wróżbitów, którzy natychmiast – widząc trzymane już w rękach zwierzęta – zwrócili się do nich z ofertą przepowiedzenia cudownej przyszłości. Mattiusz podążał ich śladem, zdumiony pogardą okazywaną tym najwyraźniej wszystkowiedzącym augurom. Kilka chwil później aż otworzył usta ze zdziwienia, gdy zrozumiał, że Tarkwiniusz szukał wolnego miejsca między rozstawionymi szeroko stopami Jowisza.

– On jest wieszczem? – zapytał szeptem.

Romulus skinął głową.

– Potrzyj to – Tarkwiniusz wręczył mu kurę, którą Mattiusz przyjął z nerwowym uśmiechem.

Tarkwiniusz musiał najpierw usunąć różne drobiazgi i małe ofiary

pozostawione tam przez obywateli liczących na przebłaganie boga. Potem przyjrzał się krytycznie płytom chodnika, na których wyraźnie widać było mozaikę z ciemnoczerwonej, zastygniętej już krwi. Romulus również zwrócił uwagę na te ślady i zrozumiał cel Tarkwiniusza. Plamy krwi opowiadały swoją historię.

Mimo że sam nigdy nie widział takiej ofiary, wiedział, że zwykli ludzie też przychodzą pod posąg Jowisza i poświęcają jakieś zwierzęta.

Tarkwiniusz wyjął swój sztylet i głęboko wciągnął powietrze.

– Podaj mi ptaka – powiedział głębokim głosem. – Już czas.

Mattiusz zrobił to, o co prosił go haruspik. Zdenerwowany Romulus musiał otrzeć z czoła kropelki potu.

Iuppiter Optimus Maximus, powiedz mi, co robić.

– Witamy, witamy... – Fabiola pochyliła z szacunkiem głowę na widok Kajusza Treboniusza. – Wszyscy już są.

– Dobrze – Treboniusz odparł z uśmiechem. Był niskim, łysiejącym mężczyzną w średnim wieku, ale wciąż mógł się jeszcze pochwalić muskularnym ciałem, jakby należącym do kogoś znacznie młodszego. Jego bystre, brązowe oczy i wysokie kości policzkowe sprawiały, że wyglądał jak kuzyn Cezara, który odróżniał się od niego jedynie większym wzrostem, chociaż ten dodawał mu tylko dystynkcji. Podobnie jak większość rzymskiej arystokracji Tryboniusz nosił się dumnie wyprostowany.

– Co z Brutusem?

Fabiola pokręciła głową.

– Nie może jeszcze do nas dołączyć.

– Szkoda – Treboniusz westchnął. – Tak wielki syn Rzymu bardzo by nam się przydał. Z uprzejmym skinieniem głowy ruszył do największej z komnat, przekształconej w salę konferencyjną.

Fabiola ruszyła za nim. Wciąż nie do końca wierzyła, że ktoś taki, ktoś, kto służył wiernie dyktatorowi – Treboniuszowi powierzono przed rokiem funkcję *consul suffectus* – teraz opowiadał się za pozbawieniem go życia. A jednak był jednym z pierwszych ludzi, którzy dołączyli do spisku. Szybko odpowiedział pozytywnie na jej zaproszenie. Gdy pojawił się w Lupanarze pierwszy raz, Fabiola osobiście zrobiła mu niespieszny masaż. Potem trzy najładniejsze prostytutki powiodły go do

komnaty rozkoszy. Nie protestował. Fabiola wcześniej poleciła kobietom: „Spełnijcie każde jego życzenie. Absolutnie każde”. Żadna się nie sprzeciwiła. Zerkały tylko taksująco na ciężkie mieszki, obiecane im przez Fabiolę.

Nic dziwnego, że kilka godzin później Treboniusz pojawił się w komnacie, w której odbywało się zebranie, w nad wyraz dobrym humorze. Po kielichu przedniego wina, wypitego już w towarzystwie Fabioli na świeżo odnowionym dziedzińcu, szybko wyznał, co myśli o Cezarze.

– Ten człowiek oszalał. Nosi te wysokie czerwone buty, jakby był królem Alba Longa. Co do uzupełniania jego standardowej szaty o pozłacany wieniec laurowy... no cóż... – poklepał przerzedzone już włosy i uśmiechnął się szeroko. – Co bogowie dają, bogowie zabierają. Kimże jesteśmy, aby się im sprzeciwiać i ukrywać przejaw ich woli pod fantazyjnymi nakryciami głowy?

Śmiejąc się z żartu, Fabiola pochyliła się nad stolikiem, aby napełnić jego kielich. Zadbala przy tym, aby nie mógł nie zwrócić uwagi na jej piersi, podkreślone szerokim dekoltem.

– Niektórzy ludzie uważają, że już jest suzerenem – powiedziała, świadomie nawiązując do ostatniego epizodu, kiedy to podczas procesji Cezar został powitany okrzykami „król”. Plotki na ten temat rozeszły się w Rzymie lotem błyskawicy.

Treboniusz się skrzywił.

– Więc my mamy wziąć za dobrą monetę to kłamstwo? Bronił się, że nie jest królem, lecz Cezarem. Tfu! To śmieszne.

Następnie Treboniusz przeszedł do omówienia swoich argumentów za tym, że Cezar powinien zostać powstrzymany. Nie chodziło mu o zachowania dyktatora lub traktowanie przeciwników politycznych, którzy głośno wyrażali swój sprzeciw, bo w tych przypadkach Cezar nadal zachowywał się łagodnie i wszystkim wybaczał. Nawet trybunowie, którzy nakazali aresztowanie człowieka, który pierwszy zakrzyknął „król”, otrzymali tylko lekkie kary. Treboniusz przyznał, że Sulla nie byłby tak wyrozumiały. Ani wszyscy poprzedni dyktatorzy. Chodziło o fakt, że Cezar dysponował władzą absolutną i wyeliminował z gry praktycznie cały senat i wybranych sędziów. Osiągnięcia

demokracji trwającej pół tysiąclecia zostały zanegowane w czasie krótszym niż dwa lata.

Fabiola zastosowała taką samą taktykę, przyjmując w Lupanarze innych wybitnych dostojników, o których wspominał Brutus. Mimo że gotowa była pójść z każdym z nich do łóżnicy, gdyby to okazało się konieczne, na szczęście nie musiała tego czynić, dzięki czemu czuła się nieco lepiej, uznając, że dotrzyma obietnicy złożonej Brutusowi. Wśród arystokracji wzbierała fala nienawiści do Cezara. Potrzebny był tylko katalizator, żeby połączyć wszystkich spiskowców i doprowadzić do eksplozji. Fabiola okazała się właściwym medium. W niecały tydzień udało jej się skaptować Markusa Brutusa, Kasjusza Longinusa, Serwiusza Galbę i Lucjusza Basilusza. Marek Brutus był kuzynem jej mężczyzny, a także synem Serwili, długoletniej kochanki Cezara. Pomimo tych bliskich relacji z dyktatorem Marek Brutus opowiedział się pierwotnie po stronie republikanów i walczył nawet z Cezarem pod Farsalą. Uznany za syna marnotrawnego i przywitany w imperium dzięki wielkoduszności Cezara przekonał dyktatora do przebaczenia również Kasjuszowi Longinusowi, który służył pod Krassusem w Partii. Nie było więc zaskoczeniem, że ta dwójka razem przystąpiła do spisku. Powody, jakimi kierował się Marek Brutus, były łatwe do zidentyfikowania. Podobnie jak Treboniusz uważał, że sposób, w jaki Cezar sięgnął po pełną władzę, nie może być akceptowany, prowadził bowiem do ignorowania roli zdolnych ludzi, za jakiego sam siebie uważał. Jednak podobnie jak Decimus Brutus, wybraniec Fabioli, Marek Brutus pochodził z rodziny, o której mówiło się, że obaliła ostatniego króla Rzymu pięć wieków wcześniej. Ponadto był bratankiem Katona, wielkiego mówcy i stronnika republikanów, który nie godząc się na upokarzające życie pod panowaniem Cezara, popełnił samobójstwo po bitwie pod Tapsus. Akt ten sprawił, że Katon stał się uosobieniem rzymskiego arystokratycznego honoru, a sam Marek Brutus stworzył nawet pamflet opisujący cnoty swojego krewnego. Dołączając do spisku, Marek Brutus mógł wreszcie pokazać swoje prawdziwe oblicze i stanąć po właściwej stronie barykady.

Fabiola pragnęła jednak, aby w spisku brało udział więcej niż pięciu wybitnych przedstawicieli rzymskiej arystokracji. Sława i uznanie

publiczne nie gwarantowały bowiem sukcesu. Co więcej, każdy zamach na dyktatora wiązał się z ryzykiem, że jakiś postronny obserwator zdarzenia przyjdzie Cezarowi z pomocą. Wprawdzie na początku roku Cezar rozwiązał oddział straży przybocznej, składający się z nadzwyczaj lojalnych hiszpańskich elitarnych żołnierzy, jednak społeczeństwo i większość senatorów wciąż kochała go całym sercem i istniało bardzo duże prawdopodobieństwo, że ktoś wystąpi w jego obronie. Trzeba było się z tym liczyć. Dlatego potrzebowała więcej zaufanych ludzi.

Modlitwy Fabioli o pomoc zostały najwyraźniej wysłuchane. Prawie cztery tygodnie wcześniej, podczas Luperkaliów, obchodzonego od dawien dawna rzymskiego święta płodności, Antoniusz wręczył Cezarowi królewski diadem, prosząc w obecności tłumów, aby zgodził się zostać królem. Dyktator dwukrotnie się temu sprzeciwił, sugerując, aby korona trafiła raczej do świątyni Jowisza. Jednak niezdarne próby wyjścia z tej dwuznacznej sytuacji z twarzą sprawiły, że wszyscy mówili teraz o tym, że Cezar aspiruje do miana monarchy. Cezar próbował się jeszcze ratować przepowiednią augura, który miał podobno wieszczyć, że Królestwo Partii padnie tylko pod ciosami króla. Szybko też pojawiły się plotki, że senat zamierza intronizować Cezara, aby władał wszystkimi ziemiami imperium poza Italią, wyłączoną spod jego panowania.

Te wydarzenia wydawały się przelać czarę goryczy. Wkrótce do spisku dołączyło wielu nowych ludzi. Ich pojawienie się sprawiło, że Fabiola była coraz bardziej przekonana, że uda jej się zemścić w końcu na gwałcicielu swojej matki. W jasno oświetlonej komnacie na końcu korytarza zebrało się prawie sześćdziesięciu mężczyzn ze wszystkich partii i frakcji w senacie. Byli tu ludzie sprawujący funkcje konsulów, trybunów i kwestorów, a także zwykli politycy. Wszystkich zjednoczyła troska o losy demokracji. To dobrze wróżyło przyszłości spisku.

Najbardziej rzucała się jednak w oczy nieobecność Brutusa, jej kochanka, który zaczął ostatnio spędzać dużo czasu w różnych świątyniach. Jeśli akurat się nie modlił, to rozmawiał z augurami, szukając wskazówek dotyczących właściwego działania. Zazwyczaj odpowiedzi augurów były ze sobą sprzeczne. Każdy z sówicie opłacanych wieszczów miał dla niego inną radę, co tylko zwiększyło

jego niepewność. Brutus zaczął miewać kłopoty ze snem i coraz częściej przemierzał korytarze *domus* po nocy, prosząc Mitrę i Marsa o podpowiedzi. Oczywiście bogowie okazali się mało przydatni, co tylko powiększało jego irytację i zmęczenie. Brutus dobrze wiedział, że Fabiola organizuje spotkania, na które przybywa wielu ludzi – wolała go o tym uprzedzić i poinformować osobiście – ale nie pytał o ich cel. Nie mówił jednak nikomu o podejrzanej aktywności w Lupanarze, co dawało Fabioli nadzieję, że zanim sprawa dojrzeje do rozwiązania, w końcu go przekona.

Fabiola dotarła do drzwi komnaty spotkań. Zdała sobie sprawę, że mimo iż postanowiła kontynuować realizację swojego planu nawet bez Brutusa, wolałaby mieć go u swojego boku. Gdy Romulus uparł się, że nie będzie się mieszał, odczuwała potrzebę jakiegoś wsparcia psychicznego. Z każdym dniem docierał do niej ogrom tego, co miała zamiar uczynić. Chociaż starała się o tym nie myśleć, Cezar nie był przecież tylko gwałcicielem jej matki. Był największym przywódcą Republiki od wieków, a jego śmierć wstrząśnie jej posadami.

Tarkwiniusz chwycił czarną kurę mocno za szyję i docisnął do płytki chodnika. Podniósł wzrok na posąg Jowisza. Zaczął inkantację.

– O wielki Tinio! Przyjmij tę ofiarę, którą składa twój pokorny sługa. – Jednym pewnym ruchem odciął głowę. Szybko zwolnił ucisk i odwrócił ptaka tak, żeby krew tętnicza pryskała prosto na ziemię. Kura trzepotała skrzydłami w szaleńczym, zupełnie bezsensownym wysiłku, zmierzającym do wyrwania się z objęć śmierci. Stopniowo jednak uspokajała się wraz z uchodzącą z niej krwią. Tarkwiniusz przyglądał się uważnie posoce, tworzącej już na ziemi sporą kałużę.

Romulus obserwował wszystko w napięciu, zwłaszcza kształty, w jakie układały się rozpryski. Przez lata nie śledził ofiarowania z takim zaangażowaniem. Nie starał się sam odczytać żadnych wskazówek. To było coś, co lepiej zostawić ekspertowi. Obok niego siedział w kucki oniemiały Mattiusz.

– Wschód – Tarkwiniusz mruknął po długiej chwili ciszy. – Krew płynie na wschód.

Ton głosu haruspika sprawił, że Romulus poczuł dreszcze na ramionach.

– Czy to dobry znak? – zapytał szeptem.

Tarkwiniusz złożył usta w nieśmiały uśmiech.

– Tak. Na wschodzie mieszkają duchy, które sprzyjają ludzkości.

Moi ludzie także przybyli do Italii ze wschodu.

– Margiana leży na wschodzie – dodał Romulus, drżąc z niecierpliwości.

Tarkwiniusz pokiwał potwierdzająco głową.

– Gdzie to jest? – zapytał Mattiusz.

Haruspik nie odpowiedział. Zajął się skubaniem pierza, aby odsłonić brzuch kury. Za każdym razem, gdy wypuszczał z dłoni pęk piór, przyglądał się, jak opadają i w którą stronę. Większość spadła prosto na ziemię, tworząc zupełnie przypadkowe, chaotyczne wzory, ale inne zaczęły unosić się na wietrze. W takich chwilach Tarkwiniusz koncentrował się na nich całym sobą, wpatrując się w nie z taką uwagą, z jaką jastrząb śledzi polną mysz. Obracające się w powietrzu pióra opadły kilka kroków od posągu. Potem przesunęły się jeszcze dalej. Przez kilka uderzeń serca leżały nieruchomo na ziemi, by po chwili dać się unieść wiatrowi, który szarpnął nimi i wyrzucił wysoko w powietrze. Pierze pofrunęło daleko na wschód, unosząc się nad miastem, aż stracili je z oczu.

Romulus czuł, że serce bije mu coraz szybciej, ale nie ośmielił się przerwać haruspikowi.

Ruchy Tarkwiniusza stały się teraz jakby bardziej uroczyste. Ułożył zabita kurę pomiędzy wielkimi stopami Jowisza, a potem przeciął cienką skórę na brzuchu, uważając, aby nie uszkodzić narządów wewnętrznych. Odłożył nóż, a potem delikatnie wyciągnął jelita niczym zielone wstążki, badając je z wielką starannością. Ku uldze Romulusa wydawał się zadowolony z tego, co widział, ale na razie niczego nie wyjawiał. Jego usta poruszały się bezgłośnie. Otworzył całkowicie brzuch ptaka i wyciągnął z niego małą, ciemnoczerwoną wątrobę. Romulus widział zaokrąglone, równe płaty, o zdrowym kolorze, wolne od pasożytów.

Trzymając wątrobę w lewej ręce, Tarkwiniusz podniósł oczy do nieba i zaczął badać wzory chmur i kierunek wiatru.

– Wielki Tinio, przyjmij tę ofiarę – powiedział w końcu. –

Wypełnij dwóch swoich skromnych wyznawców mądrością, która pomoże im wybrać najlepszą ścieżkę.

– Trzech... – wtrącił Mattiusz. – Ja też wierzę.

Romulus zmarszczył brwi. Obawiał się, że tego rodzaju wtrącenia mogą przeszkadzać haruspikowi.

Tarkwiniusz zareagował jednak dość spokojnie.

– Przepraszam – powiedział do Mattiusza, pochylając głowę.

Spojrzał na posąg. – Nie zapomnij o naszym małym przyjacielu, wielki Tinio.

Zadowolony Mattiusz odchylił się na piętach.

Romulus podziwiał odwagę chłopca. Wielu dorosłych nie odważyłoby się w takiej sytuacji powiedzieć słowa.

Tarkwiniusz obracał wątrobę na wszystkie strony, przyglądając się jej przez długi czas. Tym razem jednak wyglądał na niezadowolonego. Potem zajął się sercem ptaka. Przekroił je, żeby zobaczyć, jaka krew je wypełnia. Następnie obejrzał też resztę ciała kury, od dzioba aż do odbytu. Kiedy skończył, westchnął ciężko. Romulus nie potrafił już się powstrzymać.

– Co widziałeś?

– Niewiele.

– Ale krew pociekła na wschód. Pióra też poleciały w tamtym kierunku! – Romulus krzyknął, gdy poczuł, jak palce paniki zaciskają się na jego wnętrznościach.

– To dobry znak – odpowiedział Tarkwiniusz.

– Czy to znaczy, że i my powinniśmy udać się na wschód?

Tarkwiniusz spojrzał mu prosto w oczy.

– Nie wiem. Nie widziałem żadnego znaku, który mógłby symbolizować Margianę.

– Coś o Cezarze? Albo Fabioli?

Haruspik pokręcił głową z rezygnacją.

Romulus spróbował zapomnieć o swoich obawach i przez kilka chwil sam przyglądał się zabitej kurze. Niczego nie dostrzegł. Walcząc z rozczarowaniem, ponownie spojrzał na Tarkwiniusza.

– Nie widziałem też nic złego, za co powinniśmy być wdzięczni.

– Nic o moim ojczymie? – Mattiusz zapytał nerwowo.

– Nie – Tarkwiniusz odpowiedział, starając się zachować jowialny ton głosu. – Ale też żadnej wskazówki dla mnie ani Romulusa.

Podniesiony na duchu Romulus podciągnął bliżej małego kozła.

– Mamy jeszcze jego.

Haruspik posprzątał bałagan, zbierając pióra i krew, żeby oczyścić cokół pod posągiem.

– Pozbądź się tego – poprosił Mattiusza o pomoc, wręczając mu martwego ptaka. Gdy chłopiec oddalił się, zaciskając obie dłonie na brudnym, okrwawionym zawiniątku, Tarkwiniusz chwycił za postronek kozła i zaczął mu się uważnie przyglądać. Skinął głową z satysfakcją i ustawił się dokładnie w tym samym miejscu, w którym wcześniej zabił kurę. Zwierzę wyczuło krew i zaczęło żałośnie beczeć, chcąc się wyrwać.

– Szybko, żeby za bardzo się nie zdenerwował – Romulus poprosił haruspika o pośpiech. Przytrzymał koźlę i wygiął jego łeb tak, żeby odsłonić szyję. *Jowiszu, usłysz naszą prośbę. Potrzebujemy twojej pomocy.*

Tarkwiniusz wytarł nóż do czysta o tunikę i wymruczał krótką modlitwę. Unieruchamiając szyję zwierzęcia, pociągnął ostrzem po podgardlu na całej szerokości.

– Dziękujemy za twoje życie – szepnął, gdy karmazynowa krew trysnęła na jego palce, spływając na ziemię. Tym razem raczej rozlewała się szeroko, tworząc wielką kałużę, a nie spływała w jakimś konkretnym kierunku.

– To nie powinno mieć znaczenia – Tarkwiniusz oświadczył z przekonaniem. Przerzucił kozła na grzbiet. Rozciął brzuch.

– Wyglądają na zdrowe – powiedział Romulus, gdy pierwsze pętle jelita wyslizgnęły się na ziemię, połyskując na różowo i srebrno.

Tarkwiniusz odchrząknął. W milczeniu macał jelita na całej długości, od odbytu aż po małe żołądki.

– Nic... – oznajmił. Uchwycił zaniepokojone spojrzenie Romulusa i zaśmiał się cicho. – Odwagi! Wątroba i serce zazwyczaj mówią o wiele więcej niż jelita.

Romulus przełknął ciężko, pozbywając się uczucia pieczenia w gardle. Zmusił się, żeby się uspokoić.

Tarkwiniusz wykorzystał teraz czubek noża, żeby uwolnić wątrobę i wysunąć ją z wnęki przy przeponie. Organ był bardziej fioletowy niż czerwony. Nie widać było na nim żadnych skaz czy niedoskonałości. I znowu haruspik uniósł wątrobę ku niebu na otwartej dłoni lewej ręki, po czym zaapelował o pomoc Tinii. Romulus dodał własną prośbę i czekał z zapartym tchem, aż Tarkwiniusz otrzyma jakąś wizję.

Po krótkiej chwili język ciała haruspika uległ zmianie. Zesztywniał lekko, a na jego twarzy malowało się zdziwienie, po czym wciągnął ze świstem powietrze.

– To właśnie dlatego ty i Fabiola zawsze wpadacie z deszczu pod rynnę – mruknął. – Te plotki są prawdziwe.

Przerażony Romulus zajrzał przez ramię Tarkwiniusza, zanim uświadomił sobie, o czym mowa.

– Mówisz o Cezarze? – zapytał szeptem. Rzadko cokolwiek wzbudzało większe zainteresowanie w Rzymie, jak augur lub jego świadek opowiadający o tym, co widział w wizji. Pogłoski o przeniesieniu stolicy Republiki do Aleksandrii prawdopodobnie miały swój początek właśnie w objawieniu jakiegoś augura. Romulus nie chciał być odpowiedzialny za potencjalnie szkodliwe plotki. Ale musiał wiedzieć!

– Powiedz mi!

– Oni naprawdę planują go zabić. Cezar nie jest w końcu bogiem. – Tarkwiniusz spoglądał na Romulusa przenikliwym wzrokiem. Dla niego nie miało znaczenia, czy Cezar przeżyje, ale dla Romulusa... to było coś zupełnie innego.

Romulus czuł coraz większe nudności. Zacisnął pięści.

– Kto?

Haruspik patrzył w dal niewidzącymi oczyma.

– Olenus wiedział, o czym mówi. Niesamowite.

– Twój mentor miał wizję dotyczącą Cezara? – Romulus zawołał zdumiony. – To było pół życia temu.

Tarkwiniusz zabrał się do badania wątroby.

Romulus nie chciał na niego naciskać. O wiele ważniejsze na razie było zebranie wszystkich informacji z ciepłego ciała koźlęta.

– Wielu ludzi jest w to zaangażowanych – odezwał się haruspik

chwilę później. – Arystokraci ze wszelkich środowisk. Byli pompejańczycy i niektórzy z najstarszych zwolenników Cezara. Ponad pięćdziesięciu.

Romulus upadł na duchu. To by wyjaśniało spotkania odbywające się w Lupanarze, o których donosił mu Mattiusz. W wizji Tarkwiniusza nie było żadnej wzmianki o kobiecie, co dawało Romulusowi małą nadzieję. Czy możliwe, że Fabiola nie wiedziała o tych spotkaniach? To było raczej niemożliwe. Przecież Lupanar należał do niej. Znów miał ciężki orzech do zgryzienia. Próbował uspokoić skołatane nerwy.

– Kiedy uderzą? – Cezar miał w ciągu tygodnia wyruszyć do Dacji i dalej, do Partii.

Tarkwiniusz szturchnął wątrobę zaczerwienionym palcem wskazującym.

– Jutro, jak sędzę – powiedział w końcu. – W idy marcowe.

Romulus poczuł, że jego uszy stają się gorące.

– Tak szybko? Jesteś pewien?

Tarkwiniusz spojrział ponownie.

– Tak.

Romulus zareagował natychmiast.

– Muszę go ostrzec.

– Na pewno tego chcesz? – Ciemne oczy Tarkwiniusza zdawały się wiedzieć wszystko i nie po raz pierwszy Romulus zastanawiał się, czy Fabiola wtajemniczyła go w swój plan i czy nie zdradziła, że uważa Cezara za ich ojca. A może Tarkwiniusz widział to przy innej okazji? Teraz nie był już taki zdecydowany. Czy haruspik także wie, co stało się z ich matką? Może Cezar naprawdę *był sprawcą* gwałtu. Romulus nie mógł zmusić się do zadania tego pytania. Jeśli odpowiedź nie będzie po jego myśli, ta świadomość może zmienić przekonanie wynikające z naturalnego instynktu. Musi działać albo grupa nobili zamorduje Cezara z myślą o własnych celach.

– Tak – powiedział po prostu. – Chcę.

Tarkwiniusz zamrugnął, akceptując jego decyzję.

– Idź do domu Cezara jutro rano. Zanim wybierze się na posiedzenie senatu.

– Tam go zaatakują?

Haruspik skinął głową.

Romulus mimowolnie zacisnął palce na klindze sztyletu przy pasie. Będzie musiał uzbroić się również w gladius. Jeśli będzie trzeba, poświęci swoje życie. Tak wiele zawdzięczał Cezarowi.

– Jest coś jeszcze – powiedział nagle Tarkwiniusz tonem, który oznaczał kłopoty. – Ważną rolę w spisku odgrywa kobieta.

Zaniepokojony nagle Romulus spojrzał na swojego przyjaciela. Jego usta złożyły się w słowo, które brzmiało: „Fabiola”.

– Przykro mi. – Haruspik naprawdę wyglądał na zasmuconego.

Romulus ciężko przełknął ślinę. To, czy jego siostra faktycznie weźmie udział w morderstwie, nie było wcale pewne, ale wyobrażał sobie ją, jak przeszywa Cezara sztyletem.

Oslupiały zrobił krok do tyłu. W tym momencie pojawił się Mattiusz.

– Co straciłem? – Zatrzymał się nagle i krzyknął rozemocjonowany na widok niepewnej miny Romulusa.

Ten odwrócił twarz, żeby ukryć emocje. Nigdy w życiu nie czuł się gorzej.

– Nic ważnego – wydusił z siebie. Ignorując wołania Tarkwiniusza, ruszył prosto przed siebie i zniknął w tłumie.

Fabiola jak zwykle brała bardzo mały udział w dyskusji. Dla większości zgromadzonych tu mężczyzn była tylko kobietą. Choć sprytną i piękną, to jednak kobietą. Któryś z nich wyszeptał jej kiedyś do ucha, że zabijanie jest zadaniem dla mężczyzn. Pomyślała sobie wtedy: *Jak niewiele o mnie wiesz*. Nic nie mogło też usunąć w oczach arystokratów plamy byłego niewolnictwa, zwłaszcza gdy chodziło o sprawę tak ważką, jak zamordowanie największego rzymskiego wodza. Na tym etapie jednak Fabiola z satysfakcją zaakceptowała miejsce w tylnym szeregu, skąd mogła uważnie śledzić rozwój wypadków.

Gdy w komnacie pojawił się Treboniusz, zgromadzenie przywitało go cichym pomrukiem zadowolenia. Na środku zatłoczonej sali ustawiono długi stół, otoczony przez prawie dwa tuziny krzeseł. Fabiola zadbała o to, aby na wypolerowanej na lśniąco powierzchni nie zabrakło dzbanów z rozwodnionym winem i bochenków świeżego chleba oraz owoców i oliwek na platerach. Krzeseł nie starczyło dla wszystkich

obecnych, więc przy stole zasiedli tylko najważniejsi członkowie spisku. Reszta stała za nimi. Naturalnie dla Treboniusza czekało specjalnie przygotowane miejsce.

– W końcu... – odezwał się Marek Brutus, stukając palcami w blat stołu. – Proszę cię na słowo, jeśli pozwolisz...

Treboniusz przeciskał się przez ciżbę, przepraszając mijanych mężczyzn. Wkrótce usiadł obok Marka Brutusa, który natychmiast zaczął wykladać mu coś do ucha.

Fabiola odwróciła twarz, aby ukryć rozbawienie. Mimo że Marek Brutus był jednym z ostatnich członków spisku, od razu dołączył do liderów i zachowywał się tak, jakby był zaangażowany w tę intrygę od bardzo dawna. Skinęła głową na Benignusza, który pozostał na zewnątrz, żeby pilnować, aby nikt nie podsłuchiwał rozmowy, po czym cicho zamknęła za sobą drzwi. Usatysfakcjonowana swoją pozycją w pokoju – gdzie nie rzucała się w oczy – powiodła wzrokiem po zgromadzonych. Serwiusz Galba, niski mężczyzna o wyłupiastych oczach, zajmował miejsce obok swojego bliskiego przyjaciela, Lucjusza Basilusza, osiłka o byczym karku. Obaj mieli swoje własne powody, by nienawidzić dyktatora, i obaj szybko przyłączyli się spisku. Z uwagi na bliskie związki z Cezarem – zanim ten jeszcze przekroczył Rubikon – Galba nie otrzymał urzędu konsula. A Basiluszowi – skądinąd całkiem słusznie – odmówiono powierzenia zarządu nad prowincją z powodu jego podejrzanych kontaktów biznesowych. Fabiola nie lubiła żadnego z nich, ale ich niezadowolenie z rządów Cezara uzasadniało to, że byli tu obecni.

Jednym z jej najstarszych znajomych w tej grupie był Kasjusz Longinus, były dowódca w armii Krassusa podczas niesławnej inwazji Partii. Poznała go na bankiecie przed pięcioma laty. Rozmawiała z nim wtedy o bitwie pod Carrhae. To on jako pierwszy opowiedział jej ze wszystkimi szczegółami, jak przebiegała ta masakra. Dowiedziawszy się, że w armii tej służył również brat Fabioli, posiwiwały żołnierz próbował złagodzić jej ból, za co była mu dozgonnie wdzięczna. Uchwyciła teraz spojrzenie Longinusa. Uśmiechnęła się promiennie i została nagrodzona uprzejmym skinieniem głowy. *Muszę przedstawić go Romulusowi.* – Gdy w jej głowie pojawił się ten pomysł, poczuła wyrzuty sumienia. –

Jeśli kiedykolwiek się z nim pogodzę. – Fabiola odepchnęła szybko od siebie tę niepokojącą myśl. – Później się tym zajmę. Teraz skoncentruję się na tej chwili.

Spisek zataczał coraz szersze kręgi i Fabiola mogła mieć duże nadzieje na sukces. Choć niewielu tu było takich, którzy gotowi byli zadać pierwszy cios, można było przewidywać, że pójdą za liderami, gdy nadejdzie właściwa chwila. Jak stado psów, które atakują najsłabszego. Okropne, ale skuteczne. Na szczęście Cezar będzie bezbronny. W miejscach publicznych arystokraci nosili togi i nie mieli ze sobą żadnej broni. Dyktator nie był tu wyjątkiem. Zaniepokojeni pojawiającymi się w mieście plotkami Antoniusz i inni bliscy współpracownicy Cezara prosili go o odtworzenie hiszpańskiej straży przybocznej, ale imperator odmówił, twierdząc, że nie zamierza żyć w strachu lub znosić niewygody stałej ochrony.

Fabiola uśmiechnęła się pod nosem z pogardą. Nie wiedziała, czy to zachowanie Cezara wynikało z jego arogancji, czy przekonania o braku zagrożenia. Przecież zaprowadził pokój i rozpoczął reformy państwa. Nikt nie mógł mu niczego zarzucić. Niezależnie od powodów tego działania dyktator stał się teraz łatwym celem dla grupy zdeterminowanych zabójców.

– Panowie... – Marek Brutus uderzył kilka razy w stół kostkami palców. – Czy możemy zaczynać?

Wszystkie rozmowy ucichły. W powietrzu wyczuwało się napięcie. Żaden ze zgromadzonych nie zdawał sobie sprawy, że Fabioli zależało na śmierci dyktatora chyba bardziej niż komukolwiek z tu obecnych.

– Podczas naszego ostatniego spotkania zgodziliśmy się, że zamach powinien odbyć się w idy marcowe – zaczął Marek Brutus.

– Idy? Ale to już jutro – odezwał się postawny senator, który wyglądał na zdenerwowanego.

– Gratulacje... – Marek Brutus odrzekł kwaśno. Rozejrzyał się. – Czas płynie szybko, ale sprawy zaszły już za daleko.

W pomieszczeniu rozległy się urywane, nerwowe śmiechy.

Zadowolony Marek Brutus opadł na oparcie krzesła. Nikt nie próbował się wycofać.

– Cezar przez kilka ostatnich dni nie czuł się najlepiej – odezwał

się jakiś mężczyzna. – Może nie pojawić się jutro w senacie.

– Obrady dotyczyć będą wielu ważnych spraw i problemów, które muszą zostać rozwiązane przed wyruszeniem do Dacji – Longinus się sprzeciwił. – Cezar nie będzie chciał przegapić tych debat.

– Ten człowiek jest tytanem pracy – zgodził się Treboniusz. – Nie przyjdzie tylko wtedy, jeśli będzie... umierający.

– A może rano wyślemy kogoś do niego, aby mieć pewność, że przyjdzie? – zasugerował Basilusz.

– Dobry pomysł. Jacyś ochotnicy? – zapytał Marek Brutus.

Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, w ciszy, jaka zapadła, dał się słyszeć znajomy głos dochodzący z korytarza.

– Gdzie ona jest?

Fabiola poczuła ucisk w żołądku.

Nie tylko ona rozpoznała ten głęboki basowy głos. Zgromadzeni w pomieszczeniu mężczyźni czekali na rozwój wypadków. Wielu z nich miało wyraz twarzy małych chłopców, złapanych na gorącym uczynku.

Benignusz odchrząknął nerwowo.

– Panie?

– Jest w środku? Odpowiedz mi!

– Tak, panie – wymamrotał osiłek, próbując uniknąć gniewu Brutusa.

– Odsuń się.

Fabiola odsunęła się od drzwi, które otworzyły się jedno uderzenie serca później. Brutus wszedł do środka i oniemiał na widok ludzi znajdujących się w komnacie. Fabiola spojrzała mu prosto w oczy.

– Najdroższy? – odezwała się niepewnie, nie wiedząc, jak powinna zareagować. – Co za niespodzianka.

Brutus w milczeniu rozejrzał się po komnacie. Otworzył usta, dziwiąc się liczbie obecnych na spotkaniu mężczyzn. Od razu rozpoznał wiele wpływowych postaci życia społecznego i politycznego. Wielu z nich nie potrafiło wytrzymać spojrzenia Brutusa, ale Marek Brutus, Longinus i Treboniusz nie spuścili wzroku.

– W samą porę, kuzynie – odezwał się Marek Brutus. – Brakowało nam ciebie.

– Co tu się właściwie dzieje? – wykrzyknął Brutus, spoglądając na

Fabiolę.

– Myślę, że dobrze wiesz – Treboniusz przyszedł Fabioli z pomocą.

Brutus poczerwieniał na twarzy.

– Planujecie zamordowanie Cezara?

– Raczej pozbycie się despoty, który uciska Republikę – Longinus sprostował. – I przywrócenie właściwego porządku rzeczy.

Po komnacie rozszedł się głośny szum zgodnych pomruków.

Brutus przez kilka chwil przyglądał się zebranym nobilem.

– Rozumiem... – odetchnął ciężko.

– Spójrz, ilu ludzi przybyło dziś na to spotkanie, kuzynie – Marek Brutus zaczął delikatnie. – Nie jesteśmy bandą szaleńców. Są tu przedstawiciele wszystkich frakcji. Wszystkich nas łączy nienawiść do tyranii.

Brutus długo wpatrywał się w oczy kuzyna.

– Tyranii? – wyszeptał.

Fabiola czuła, że Brutus walczy ze sobą. Jej serce krwawiło na ten widok. Chociaż bardzo pragnęła, aby się do nich przyłączył, jego niemal fizyczny ból obciążał jej sumienie.

– Tak właśnie – Marek Brutus odpowiedział stanowczo. – To właśnie w ten sposób Cezar rządzi Republiką. Senat jest teraz niczym pusty pojemnik. My staliśmy się kukiełkami w jego teatrze.

Jego komentarz został przywitany gniewnymi pomrukami.

Brutus westchnął.

Mitro w niebiosach! Przekonaj go, proszę. Stała u boku swego ukochanego.

– Wiesz, że to prawda – odezwała się po raz pierwszy. Dzierży w swoich rękach całą władzę.

– Augurowie mówią o złych wróżbach na jutrzejszy dzień, a na każdym rogu ludzie nazywają go królem – wyszeptał Brutus. – Królem Rzymu.

– Czy przyłączysz się do nas? – zapytał prosto z mostu Treboniusz.

Brutus przygryzł wargę. Stojąca obok niego Fabiola wstrzymała oddech.

Marek Brutus odsunął krzesło i wstał.

– Nasi przodkowie pozbyli się z tego miasta ostatniego tyra. Teraz nadszedł czas, aby powtórzyć to bolesne zadanie. To jest nasz obowiązek – oświadczył.

Zapadła długa cisza.

Fabiola bardzo chciała się wtrącić, aby przekonać Brutusa, że czynią dobrze. Powstrzymała się jednak. Choćby nie wiadomo, jak bardzo pragnęła, aby Brutus poparł spisek, to musiała być jego decyzja. Inni też o tym wiedzieli. Czuła to. Czy potrzeba obrony najwyższych ideałów Rzymu bez ucisku władzy absolutnej okaże się ważniejsza niż lojalność Brutusa wobec Cezara?

Marek Brutus wyciągnął prawą rękę.

– Co masz do powiedzenia?

Brutus zawahał się nie dłużej niż chwilę. Chwycił rękę kuzyna.

– Jestem z wami. Dla dobra Republiki.

Wszyscy zgromadzeni odetchnęli z ulgą. Fabiola chyba najgłośniejsz. Na takim etapie spiskowcy nie mogli sobie pozwolić na jakąkolwiek wpadkę. Gdyby Brutus odmówił, podpisałby na siebie wyrok śmierci.

– Kiedy to ma się stać? – Brutus zapytał.

– Jutro – odpowiedział Markus Brutus. – Przed posiedzeniem senatu.

Brutus nawet nie mrugnął, co chyba należało uznać za dobry znak.

– Rozumiem. Ale Cezar jest chory. Jesteś pewien, że będzie uczestniczyć w posiedzeniu?

– Faktycznie może się okazać, iż trzeba będzie go do tego przekonać – przyznał Longinus. – Właśnie zastanawiamy się, kto powinien go odwiedzić z samego rana.

– Ja to zrobię – zaproponował Brutus.

– Jesteś pewien?

Brutus skinął głową stanowczo.

– Dobrze – Markus Brutus uśmiechnął się. – Reszta z nas zbierze się wcześniej w senacie. Mamy już dobry powód. Syn Longinusa ma jutro przyjąć togę.

– Czy powinniśmy zaatakować go zaraz, jak tylko się pojawi? – zastanawiał się Basilusz.

– Myślę, że nie. Nie chcemy, żeby świadkiem zdarzenia był

ktokolwiek z zewnątrz – wtrącił Longinus. – Niech tyran opuści swoją lektykę i wejdzie do budynku.

– Podejdę do niego pierwszy – zgłosił się na ochotnika Cimber, były republikanin. – Poproszę, żeby pozwolił na powrót mojego brata do Italii.

– Możemy go wtedy otoczyć, jakby popierając Cimbera – dodał Marek Brutus. – W ten sposób rozwiejemy wszelkie podejrzenia.

– Potem wyciągniemy broń – powiedział Longinus ze złośliwym uśmiechem. Przekręcił długi drewniany futerał na rysik i wyciągnął sztylet z rękojeścią z kości słoniowej. Dźgnął nim prosto, do przodu. – Wykonać zadanie.

Ludzie wlepiali wzrok w naoliwione ostrze, ale żaden z nich nie powiedział ani słowa sprzeciwu.

– Co z Antoniuszem? – zapytał Brutus chwilę później. – Trudno się spodziewać, że będzie przyglądał się tylko, jak ktoś próbuje zabić Cezara. Czy jego też powinniśmy się pozbyć?

Longinus zmrużył oczy.

– Dlaczego nie? To taki arogancki drań.

– Dobry pomysł – zgodził się Galba. – Jedyne bogowie wiedzą, jak zareaguje, jeśli tego nie zrobimy. – W całej Italii wszyscy znali temperament Antoniusza.

Dziękuję, Mitro! – Fabiola wpadła w zachwyty. – *Za jednym zamachem pozbędę się obu potworów.*

– Nie! – oświadczył głośno Marek Brutus. – Nie jesteśmy grupą bandziorów. Robimy to dla Republiki. Gdy Cezar zostanie zabity, można będzie przeprowadzić wolne wybory i senat odzyska rolę, jaką pełnił od zawsze. Antoniusz nie będzie się temu sprzeciwiać. – Rozejrzał się po pokoju, szukając wzrokiem kogoś, kto chciałby rzucić mu wyzwanie. Mało kto miał tyle siły woli, aby wytrzymać jego spojrzenie.

– Jeśli jesteś pewny... – powiedział Longin, chociaż widać było, że ma duże wątpliwości.

– Jestem – warknął Marek Brutus. – Tak więc potrzebujemy kogoś, aby odciągnąć Antoniusza. Może zatrzymać go na zewnątrz?

– I tu mogę się przydać – zaproponował Brutus.

– Nie chcesz być przy samym zabójstwie Cezara? – zapytał Marek

Brutus.

– Nawet jeśli sędzę, że pozbycie się Cezara jest jedynym słusznym rozwiązaniem, to nie znaczy jeszcze, że chcę sam go przebić ostrzem noża – powiedział Brutus.

– Rozumiem. To uczciwe postawienie sprawy.

– Poczekaj... – Treboniusz zmarszczył brwi. – Przecież wy się nienawidzicie z Antoniuszem.

– Właśnie – odparł zadowolony z siebie Brutus. – Nadszedł czas na przyjacielski pocałunek.

Longinus zaklął.

– Antoniusz nigdy ci nie wybaczy, gdy dowie się, dlaczego to zrobiłeś.

Brutus zaśmiał się gorzko.

– I myślisz, że ja się tym przejmę? Będzie musiał żyć, wiedząc, że mógł uratować Cezara, gdybym go nie zatrzymał.

Fabiola nagle zdała sobie sprawę z rozmiaru szkód, jakie poczyniła swoimi igraszkami z Antoniuszem. Brutus zazwyczaj potrafił ukrywać swoje emocje, ale w chwilach takich jak ta wypływały na powierzchnię. Chwyciła go za rękę.

– Przykro mi – wyszeptała.

Brutus skinął delikatnie głową, co odrobinę złagodziło ból Fabioli. Była ekspertem od odczytywania emocji i dobrze wiedziała, ile kosztowała Brutusa decyzja o przystąpieniu do spiskowców. Jego gniewna reakcja na Antoniusza była po części naturalnym odruchem. Sprawy jednak toczyły się już własnym torem, za szybko na jakąkolwiek refleksję.

– A zatem ustalone. Mój kuzyn przekona Cezara, aby wziął udział w posiedzeniu senatu, a następnie odwróci uwagę Antoniusza – powiedział Marek Brutus z naciskiem. – Kiedy tyran pojawi się w budynku senatu, Cimber podejdzie do niego jako pierwszy, prosząc o łaskę dla swego brata. My zbliżymy się do niego i będziemy udawać, że chcemy poprzeć jego petycję.

– Jakiego sygnału powinniśmy oczekiwać? – zapytał Longinus. – Może jakieś słowo klucz?

– Zedrę mu togę z ramienia – odpowiedział Casca, tęgi

mężczyzna o czerwonej twarzy. – Odsłonię jego ciało tak, żeby wiedzieć, gdzie uderzać.

Wszyscy zgodzili się z tymi propozycjami gardłowymi pomrukami. Fabiola z trudem panowała nad przepelniającą ją euforią. Jej marzenie, z którym tak długo żyła, właśnie miało się urzeczywistnić. Zamknęła oczy i podziękowała z całego serca Mitrze i Jowiszowi. *Matka zostanie pomszczona. Jutro.*

Ale co z Romulusem? Co, jeśli to on ma rację, a nie ja?

Fabiola bezwzględnie odepchnęła od siebie tę myśl. Dopuszczała tylko jedną możliwość: Cezar był winny, a jutro za wszystko zapłaci.

Rozdział XXVII

Idy marcowe



Najpierw Romulus chciał się udać prosto do Lupanaru, aby wreszcie rozmówić się z Fabiolą. Gdy uspokoił trochę nerwy, ogarnęła go zimna wściekłość. *Ależ ta moja siostrzyczka ma tupet!* Musiał jednak przyznać, że nie powinien się dziwić, iż jego siostra ma dość odwagi, aby zrealizować swój plan. Ich matka musiała być niezwykle silna, aby znosić wszystkie trudy nędznego niewolniczego życia. A w żyłach Fabioli płynęła ta sama krew. Welwinna zawsze robiła to, co było najlepsze dla jej dzieci. Wątpił, czy sam potrafiłby znieść to, przez co musiała codziennie przechodzić jego siostra. A jednak Fabiola wytrwała, mimo że przez wiele lat była zmuszana do uprawiania seksu z każdym, kto miał tylko na to ochotę. Takie życie nie mogło nie zostawić śladu na psychice Fabioli, nieodwracalnie zmieniając jej system wartości. Może to właśnie dlatego działała teraz tak bezwzględnie. Przetrwiała chyba tylko dzięki temu, że mogła skupić się na planowaniu zemsty.

Czym innym jednak było rozmyślanie o zemście, a czym innym urzeczywistnienie planu zamordowania przywódcy Republiki! Jak to możliwe, że Fabiola jest tak pewna swojej intuicji, jeśli Cezar nigdy nie przyznał się do zgwałcenia Welwinny? Nie wierzyła chyba, że jest nieomylna? A Romulus po prostu nie wyobrażał sobie, jak można zamordować człowieka pod wpływem przeczucia, zwłaszcza że chodziło o osobę, która miała w sobie tak wiele dobra. Przecież Cezar podarował mu wolność. A jeśli teraz wmiesza się w plany spiskowców, zadrze też z grupą niezadowolonych arystokratów.

Po dłuższym zastanowieniu Romulus ostatecznie uznał, że konfrontacja z Fabiolą na tym etapie jest zbyt ryzykowna. Jeśli była przygotowana do wykonania ostatniego kroku, zabicia Cezara, to z pewnością gotowa jest też na wszystko, łącznie z powstrzymaniem go za wszelką cenę. Tym drabom pilnującym Lupanaru było obojętne, co robią. Nie wiedzieli, kim jest, a on nie chciał skończyć w błocie z poderżniętym gardłem. Tłumiąc gniew, Romulus postanowił zasięgnąć rady Tarkwiniusza, a potem wcześniej rano udać się do *domus* Cezara. Nie wspomni nikomu o udziale Fabioli. Romulus nie chciał, aby jego siostra bliźniaczka została ukarana śmiercią za zdradę stanu. Później coś wymyśli.

Wrócił do domu weteranów i poszedł poszukać Sekundusa. Jednoręki ekslegionista był najwyższym kapłanem mitreum i przywódcą – nie tylko duchowym – ponad pięćdziesięciu niezłomnych żołnierzy, którzy przez wiele lat służyli w legionach. Choć spędził w siedzibie weteranów niewiele czasu, zdążył polubić tego spokojnego, pragmatycznego mężczyznę w średnim wieku, który częściej słuchał, niż mówił. A gdy *pater* już otwierał usta, jego słowa zawsze zawierały w sobie mądrość. W tym aspekcie Sekundus przypominał mu Tarkwiniusza. Romulus nie był zaskoczony, gdy dowiedział się, że ci mężczyźni poznali się już wcześniej. Znalazł Sekundusa na dużym dziedzińcu, gdzie cieszył się promieniami wiosennego słońca.

– Miło mi cię widzieć... – Sekundus się uśmiechnął. – Czy Tarkwiniusz jest z tobą?

– Nie – Romulus odpowiedział niepewnie. – Zostawiłem go w świątyni na Kapitolu.

Sekundus uniósł pytająco brew.

Romulus opowiedział mu o przebiegu wróżby. O krwi z kury płynącej na wschód, pierzu w powietrzu, a także o wnioskach, jakie można było z tego wyciągnąć. O koźlęciu, które kupił. I o zachowaniu Tarkwiniusza, który przeraził się tym, co zobaczył w wątrobie.

Sekundus wyprostował się.

– Czy niebezpieczeństwo jest realne?

– Tak uważa Tarkwiniusz. To ma się stać jutro w budynku, w którym odbywają się posiedzenia senatu. Nie mam zamiaru stać z boku i

wszystkiemu się biernie przyglądać. Muszę ostrzec Cezara.

– Będzie potrzebował ochrony – stwierdził Sekundus. – Co on sobie myślał, rozwiązując straż przyboczną?

– W tej właśnie sprawie przychodzę do ciebie – powiedział Romulus. – Myślałem, że może twoi ludzie mogliby pomóc.

– Oczywiście.

Romulus poczuł ogromną ulgę. Rozmawiał przez chwilę z Sekundusem, analizując sposoby jak najlepszego wykorzystania wsparcia grupy weteranów. Wreszcie zdecydowali, że najlepiej będzie, jak otoczą lektykę dyktatora ochronnym kręgiem w chwili, gdy przybędzie do senatu. Sama ich obecność i determinacja mogą zachwiać pewnością siebie spiskowców, a może nawet zmusić ich do zmiany decyzji. Gdyby jednak doszło do napaści, zamachowcom przyjdzie zapłacić ogromną cenę przy małych szansach powodzenia. Politycy w żaden sposób nie mogą mierzyć się z elitą legionów, jeśli chodzi o walkę wręcz.

Tarkwiniusz pojawił się w świątyni Mitry jakiś czas później, co skłoniło Romulusa do podejrzeń, że jego przyjaciel zobaczył we wnętrznościach kozła coś więcej. Po chwili refleksji załapała go potężna fala wstydu. Brennus! Zupełnie zapomniał o tym, że miał poprosić haruspika o zapytanie bogów o jego losy.

Wymienili z Tarkwiniuszem kilka słów ściszym głosem, ale okazało się, że ten nie widział już później nic interesującego. Romulusowi nie udało się jednak zagłuszyć poczucia winy. Na razie musiał jednak zapomnieć o swoim zaniedbaniu. To, co miało się wydarzyć następnego dnia, było o wiele ważniejsze.

– Dobrze się czujesz? – na pokrytej bliznami twarzy Tarkwiniusza rysowało się zaniepokojenie.

Romulus nie chciał teraz wszystkiego wyjaśniać. Czuł się bardzo zmęczony.

– Potrzebuję snu. To wszystko.

– Wciąż upierasz się, że powinieneś ostrzec Cezara?

– Oczywiście. Nie zgadzasz się z tym?

Tarkwiniusz pokręcił głową.

– Nie mam prawa ingerować w los innego człowieka. Poza tym

Rzym uczynił zbyt wiele strasznych rzeczy mojemu ludowi, abym teraz spieszył z pomocą jednemu z rzymskich przywódców.

– Ale to było setki lat temu.

– To, co się wydarzyło dawno temu, ma bezpośredni wpływ na mnie i moje życie. Teraz – stwierdził Tarkwiniusz smutno. – To przez Rzymian jestem ostatnim etruskim haruspikiem.

– Masz rację. Przepraszam – Romulus coraz lepiej rozumiał nienawiść swojego przyjaciela do Rzymu. A jednak, mimo tych mocnych negatywnych emocji, haruspik nie próbował powstrzymać go przed ostrzeżeniem Cezara, co oznaczało, że postępuje zgodnie ze swoimi zasadami i przekonaniem. To z kolei sprawiało, że Romulus czuł się jeszcze bardziej zobligowany do konsekwentnego działania. Znowu jego myśli popłynęły do Cezara i relacji z Fabiolą. Z zaskoczeniem uświadomił sobie znaczenie kolejnych słów Tarkwiniusza.

– Jeśli potrzebujesz wskazówek, możesz posłużyć się własnymi umiejętnościami.

– Nie... – Romulus wiedział, że jego odmowa zasmuci haruspika.

– Przepraszam. Przewidywanie przyszłości? To nie dla mnie.

Tarkwiniusz uśmiechnął się z akceptacją.

– Człowiek może być tylko taki, jaki sam chce być. Dobry. Lojalny i odważny. Prawdziwy żołnierz. To wystarczy zawiązką.

Zakłopotany, ale dumny Romulus rzucił mu wdzięczne spojrzenie. Zrobi to, co dyktuje mu serce. Jutro ostrzeże Cezara i zapobiegnie zamachowi. Potem będzie musiał pomóc Fabioli. Uważał, że jego siostra nie postępuje właściwie, ale nie chciał, aby ten konflikt przerodził się w nienawiść.

A co, jeśli ona ma rację? – pytał jego wewnętrzny głos. – *Jeśli Cezar zgwałcił naszą matkę, to czy nie zasłużył na śmierć?*

On tego nie zrobił! – drugi Romulus zaciekle bronił Cezara. – *To nie ten typ człowieka.*

Pożegnał się z Tarkwiniuszem i Sekundusem. Mattiusz czekał na niego za bramą *domus* jak wierny szczeniak. Romulus poprosił go, aby pojawił się o świcie następnego dnia. Urwis nie znał szczegółów przepowiedni haruspika, więc Romulus zbył jego pytanie o to, dlaczego ich zostawił, mówiąc tylko, że źle się poczuł. Wiedza, którą zdobyli,

powinna pozostać tajemnicą. Chociaż Mattiusz nie dawał podstaw, aby wątpić w jego lojalność, był jednak tylko małym, gadatliwym chłopcem.

Po krótkiej, niczego niewnoszącej wizycie w mitreum Romulus udał się do swojej małej celi na spoczynek. Zapadał zmrok. Musiał się wyspać, gdyż planował wstać wcześniej rano.

Idus Martiae. Idy marcowe. To już jutro.

Sny Romulusa były niezwykle żywe i równie niepokojące. Widział w nich Cezara, Fabiolę i Tarkwiniusza. Obrazy pojawiały się na przemian, były niewyraźne i zniekształcone, ale pełne przemocy. W efekcie nie spał za dobrze, bo przez niemal całą noc przewracał się z boku na bok. Po obudzeniu stwierdził, że jest cały zlany potem. Niestety, nie zapamiętał żadnego szczegółu ze snów, jeśli nie liczyć tożsamości osób, które widział, i ogólnej atmosfery. Normalnie w takiej sytuacji poprosiłby Tarkwiniusza o pomoc w wyjaśnieniu znaczenia koszmarów. Nie dzisiaj. Niepewny i ciągle jeszcze oszołomiony wyszedł z komnaty, aby zorientować się, która jest godzina. Było jeszcze ciemno, ale na brukowanym podwórzu kręciło się już kilku ludzi Sekundusa, przygotowujących się do wymarszu oraz do ewentualnej walki. Pod zwykłe tuniki zakładali kolczugi. Zrezygnowali jednak z czubatych hełmów z brązu i tarcz, żeby nie rzucać się za bardzo w oczy.

Widząc determinację na ich twarzach, Romulus poczuł się pewniej. Wrócił do komnaty. Przypasał gladius. Zdecydował, że warto też wziąć sztylet, ale nie chciał wkładać żadnego elementu pancerza ani zabierać tarczy. Już i tak miecz mógł przyciągnąć uwagę straży Cezara, a nie chciał sobie pozwolić na niepowodzenie tej misji. Na koniec przypiął do tuniki dwie złote *phalerae*. Może dzięki nim – jego najcenniejszym skarbowi – uda mu się uzyskać audiencję u dyktatora, a także przypomnieć mu, w razie konieczności, o poprzednich trzech spotkaniach. Jeśli Cezar go pozna, będzie bardziej skłonny uwierzyć w jego ostrzeżenie. Romulus nie zdziwił się na widok haruspika z toporem przewieszonym przez plecy, czekającego na niego przy bramie. Wzruszała go jego lojalność. Tarkwiniusz, niezależnie od tego, co czuł do Cezara i Rzymu, zawsze wspierał swojego przyjaciela.

– Powodzenia.

– Dziękuję. Mam nadzieję, że uda mi się dotrzeć do Cezara bez

podejmowania karkołomnych działań.

– Co z Fabiolą? – Tarkwiniusz po raz pierwszy od czasu przepowiedni wypowiedział to imię.

– Nie powiem o niej ani słowa. Nie wiem, jak to się skończy i co się z nią stanie, gdy spiskowcy zostaną aresztowani. – Romulus wzruszył ramionami z rezygnacją. – Wszystko w rękach bogów. Przy odrobinie szczęścia może uda mi się później jakoś ją przekonać, żeby zrezygnowała ze swoich zamiarów.

Z ciemnych jak studnie oczu Tarkwiniusza nie dało się nic wyczytać.

– Do zobaczenia w kompleksie Pompejusza.

Szybko chwycili się za przedramiona i Romulus otworzył szeroko drzwi prowadzące na zewnątrz. Gdy wyszedł na ulicę pogrążoną w zimnych oparach przedświt, stwierdził z zadowoleniem, że Mattiusz już na niego czeka. Ruszyli w milczeniu, ale szybko ciekawość chłopca dała o sobie znać.

– Dokąd idziemy?

– Do rezydencji Cezara.

Oczy Mattiusza zrobiły się wielkie jak spodki.

– Czemu? Czy Tarkwiniusz zobaczył wczoraj coś ważnego?

– Tak – przyznał Romulus, choć nie zamierzał opowiadać mu o szczegółach.

Nie musiał. Rzym aż huczał od plotek, a chłopak był przecież dzieckiem ulicy.

– Ktoś chce zabić Cezara. O to chodzi, prawda? Nie widzę innego wytłumaczenia tego, że idziemy do niego o tej porze. A na dodatek masz u pasa gladius.

Pomimo ponurego nastroju Romulus się uśmiechnął.

– Logiczne. Mucha nie siada – przyznał.

– Wiedziałem! – Mattiusz krzyknął. Potem milczał przez krótką chwilę zaambarasowany. – Idziemy tylko we dwóch? – Romulusowi nie uszło uwagi drzenie w jego głosie. Spojrzał w dół. Chociaż chłopak najwyraźniej się bał, zabrał ze sobą zardzewiały nóż kuchenny, który musiał przez ten czas ukrywać pod tuniką. Urosło mu serce. Ten urwis był odważny. A przecież nie miało dla niego znaczenia, kto rządził w

Rzymie – czy Cezar przeżyje, czy zginie. Był tu z jednego powodu: chciał pokazać solidarność ze swoim przyjacielem. Romulus zatrzymał się w pół kroku.

– Masz mężne serce, chłopcze, ale nie będziemy musieli walczyć – powiedział, poklepując Mattiusza pocieszająco po kościstym ramieniu. – Weterani pójdą z nami. Tarkwiniusz też.

– To dobrze... – Mattiusz skwitował z ulgą. – Chciałem być gotowy na wszelki wypadek.

Romulus przypomniał sobie, jak sam zachowywał się jako młodzieniec. Ukrył uśmiech.

Niedługo później dotarli do *domus* Cezara, rezydencji położonej na Palatynie. Słońce już oświetlało pierwszymi promieniami przebudowywaną właśnie fasadę rezydencji, która teraz przypominała trochę świątynię. Niedawno rozpoczęto remont, więc prawie cały przód budynku był zasłonięty rusztowaniami. Dlatego Romulus i Mattiusz przez długi czas pozostawali niezauważeni. Okrzyknięto ich dopiero wtedy, gdy znaleźli się bezpośrednio przy wejściu.

– Stać! – jeden z czterech żołnierzy przed masywnymi, kutymi żelaznymi drzwiami zrobił dwa kroki do przodu. – Kto idzie?

– Romulus, weteran legionista Legionu XXVIII, i Mattiusz, chłopiec z Celius – odpowiedział Romulus, wychodząc z cienia.

Wartownik skrzywił się nieprzyjemnie.

– Co was tu sprowadza?

Romulus stanął tak, aby jego *phalerae* odbiły światło pochodni. Z zadowoleniem stwierdził, że żołnierz wybałusza oczy. Niewielu legionistów może się pochwalić dwoma złotymi odznaczeniami.

– Chciałem prosić o widzenie z Cezarem.

– Właśnie teraz? – zadrwił drugi strażnik. – Nie ma nawet *hora prima*.

– To sprawa niecierpiąca zwłoki.

– Nie ma szans – odpowiedział pierwszy wartownik. – Odejdź i wróć po południu, a może będziesz miał więcej szczęścia.

– Nie mogę czekać tak długo.

Strażnicy spojrzeli na siebie z niedowierzaniem i po chwili pierwszy z nich zniżył *pilum* tak, że ostrze oszczepu celowało w pierś

Romulusa.

– Proponuję, żebyście obaj, ty i twój mały przyjaciel, spierdalali stąd w podskokach. No już!

Romulus nawet nie drgnął.

– Powiedz Cezarowi, że chce się z nim zobaczyć niewolnik, który zabił etiopskiego byka. Ten sam, któremu dał *manumissio*.

Nadzwyczajny spokój Romulusa i jego kuriozalne żądania wyprowadziły żołnierzy z równowagi. Ta sprawa była jakaś dziwna i chyba lepiej, żeby przekazać odpowiedzialność za nią oficerowi. Pierwszy wartownik skrzywił się z niesmakiem, po czym zrobił w tył zwrot i odszedł, by zameldować o wszystkim *optio*. Kilka chwil później z bramy wyłonił się młodszy oficer, który jeszcze dopinał paski hełmu. Miał zaspany wzrok i wyglądał na rozdrażnionego, ale wysłuchał prośby Romulusa w milczeniu.

– A z jaką sprawą przybywasz?

– To tylko dla uszu Cezara, oficerze – odpowiedział Romulus, starając się zachować neutralny ton. Jeśli nie rozegra tego właściwie, jego misja się nie powiedzie. A nie mógł sobie na to pozwolić.

Optio przyglądał mu się długo i uważnie.

– Gdzie je zdobyłeś? – wskazał *phalerae*.

– Pod Ruspiną i Tapsus.

– Za co?

Romulus opisał krótko swoje dokonania. Oficer szybko zmienił nastawienie.

– Pilnujcie mi go – rozkazał wartownikom, a sam zniknął wewnątrz budynku.

Romulus oparł się o rusztowanie, ignorując gniewne spojrzenia legionistów. Mattiusz trzymał się blisko, chyba bardziej onieśmielony sytuacją niż jego wielki przyjaciel. Czekali może jakieś pół godziny, zanim *optio* pojawił się ponownie.

– Cezar życzy sobie cię zobaczyć – powiedział. – Zostaw tu broń.

Wartownicy wytrzeszczyli oczy. Nie spodziewali się takiego zakończenia tej sprawy.

Romulus pochylił głowę, starając się ukryć uśmiech. Odpiął pas i podał go Mattiuszowi.

– Niedługo wrócę – powiedział. – Pilnuj miecza. Nie mów tym głupcom ani słowa o tym, o czym rozmawialiśmy – dodał już ciszej.

Chłopiec skinął głową, rad z powierzzonej mu odpowiedzialności.

Romulus ruszył za *optio* i po chwili znalazł się w *atrium*.

Zapalonych było tylko kilka pochodni, ale słabe światło wystarczało, aby się przekonać, iż dom został urządony luksusowo. Podłogi pokrywały wzorzyste mozaiki, ułożone z dbałością o każdy szczegół, a pokryte stiukiem ściany zdobiły malowane obrazy, przedstawiające różne niesamowite sceny. W każdej niszy ustawiono piękne greckie posągi, a przez otwarte drzwi *tablinum* Romulus słyszał chlupot wody z fontann w ogrodzie.

Optio poprowadził go do jednego z wielu pomieszczeń otaczających centralny dziedziniec. W porównaniu z innymi ten został urządony iście po spartańsku. Poza wspaniałym popiersiem Cezara znajdowało się tu tylko zarzucone różnymi sprzętami biurko do pracy, krzesło z oparciem obitym skórą i kilka stołów, uginających się pod ciężarem zwojów pergaminu i papirusu. Młody niewolnik rozstawiał akurat lampy oliwne, dzięki którym wewnątrz zalał ciepły, złoty blask.

Optio wskazał gestem, że Romulus powinien stanąć przed biurkiem, po czym wycofał się do drzwi. Czekali kilka chwil w absolutnej ciszy. Myśli Romulusa znów popłynęły do Fabioli. Zastanawiał się, co robi teraz jego siostra. Bez wątpienia czyni ostatnie przygotowania. Czy wybierze się osobiście do budynku senatu? Gdy pomyślał, że może przyjdzie mu bronić Cezara przez Fabiolą ze sztyletem w ręku, ogarnęła go panika. *Jowiszu, nie pozwól, żeby stało się coś takiego!* – modlił się Romulus. – *Tego bym nie zniósł. Jak bym zareagował?* – zapytał siebie samego.

– Legionista Romulus... – usłyszał głos za plecami. – Wcześniej wstajesz żołnierz.

Odwrócił się. Cezar pojawił się w drzwiach ubrany w zwykłą białą togę. *Optio* stojący obok niego przyjął postawę zasadniczą. Romulus uczynił podobnie.

– Przepraszam, panie, że nachodzę cię o tak wczesnej godzinie – odezwał się.

Cezar przeczesał dłonią przerzedzające się włosy, po czym

podszedł do biurka i usiadł.

– Mam nadzieję, że masz dobry powód, żeby żądać widzenia o tej porze. Ledwo świta.

Romulus zaczerwienił się, ale nie przeprosił po raz drugi.

– To prawda, panie.

Przyglądał się rysom dyktatora z żywym zainteresowaniem, wynikającym z wątpliwości, jakie zasiała w nim Fabiola. Z zaskoczeniem stwierdził, że naprawdę znajduje dużo podobieństw. Przekonywał sam siebie, że to musi być zbieg okoliczności. Zwykły przypadek.

– No dobrze. Przejdźmy może do rzeczy, towarzyszu – Cezar poświęcił mu teraz całą swoją uwagę. Szare cienie i worki pod oczyma świadczyły o jego zmęczeniu. Zaczął pokasływać, zasłaniając usta ręką.
– Ten cholerny kaszel... Nie zwracaj uwagi. Mów, z czym przychodzisz.

Romulus spojrział wymownie na *optio* i niewolnika, który teraz zajął się sprzątaniami stołów.

– Wolałbym, żeby to zostało tylko między nami, panie.

– Naprawdę? Na Jowisza! – Cezar potarł podbródek, zastanawiając się, co odpowiedzieć. – W porządku. Zostawcie nas!

Niewolnik posłuchał od razu, ale *optio* ruszył w jego stronę.

– Nie ufaj mu, panie!

Cezar roześmiał się swobodnie.

– Mam wielu wrogów, ale nie sędzę, aby wśród nich był ten człowiek. Dałem mu wolność za jego godne pochwały zachowanie na arenie, gdzie uśmiercił byka z Etiopii. Potem dwukrotnie osobiście odznaczyłem go za odwagę i inteligencję, wykazane na polu bitwy. Nie ma wierniejszego mi żołnierza w całej Republice. Idź i zamknij za sobą drzwi.

Oficer spłoszował, ale nie ośmielił się już odezwać.

– Jest mi oddany jak mało kto, ale podejrzliwy – powiedział Cezar.
– Jak sędzę, powinienem mu być chyba za to wdzięczny...

– Panie? – Romulus nie odważył się skomentować.

Ku jego zaskoczeniu dyktator nie przeszedł od razu do zasypywania go pytaniami na temat przyczyn jego dzisiejszej wizyty.

– Jak ci się wiedzie od czasu odejścia ze służby?

- Bardzo dobrze. Dziękuję, panie.
- Podoba ci się twoje gospodarstwo?
- Tak, oczywiście – powiedział Romulus z takim entuzjazmem, jaki był w stanie z siebie wykrzesać.
Cezar potrafił czytać z mowy ciała. Zaśmiał się cicho pod nosem.
- Uprawianie pól nie jest tak ekscytujące, jak te dłużące się chwile oczekiwania w ścianie tarcz przed walką, co?
- Romulus musiał się uśmiechnąć.
- Nie, panie.
- Zawsze to jednak zdrowsze. Jeśli tylko jesteś w stanie sparować ciosy nudy.
- Jeśli o tym mowa... – Romulus nie potrafił się powstrzymać. – Myślałem właśnie, żeby zgłosić się na ochotnika. Chciałbym uczestniczyć w twojej nowej kampanii, panie.
- Żołnierze tacy jak ty zawsze są mile widziani – Cezar odpowiedział, wyraźnie mile połączony. Jakaś myśl właśnie zaświtała mu w głowie. – Czy przypadkiem nie brałeś udziału w bitwie pod Carrhae?
- Tak, panie – odpowiedział Romulus. Znow wróciły do niego wspomnienia krwawej rzezi. – Nie miałbym nic przeciwko odpłaceniu się Partom.
- To jest morale! A może udałbyś się ze mną do senatu? Wybieram się tam dzisiejszego ranka. Senatorowie powinni wysłuchać, co masz do powiedzenia na temat sposobu walki Partów.
- Będę zaszczycony, panie. Tylko że właściwie jestem tu, by prosić cię, abyś nie brał dziś udziału w posiedzeniu senatu.
- Moja żona też nie bardzo cieszy się z tego, że się tam wybieram.
- Cezar zmarszczył brwi. – Dlaczego miałbym zrezygnować?
- Bo to zbyt niebezpieczne, panie! Planują cię zamordować! Dyktator przyjął tę wiadomość dziwnie spokojnie.
- Skąd o tym wiesz?
- Od przyjaciela, panie.
- Kim jest ten przyjaciel?
- Romulus nie spieszył się z odpowiedzią, obawiając się reakcji Cezara na jego słowa.

– To haruspik...

– Ach... Jeden z tych łgarzy? – Cezar zadrwił. – To kłamcy i oszuści. Gdybym postępował zgodnie z ich rzekomymi przepowiedniami, nigdy nie podbiłbym Galii ani nie zaprowadził porządku w Republice. Właściwie to niczego bym nie dokonał...

– Ten człowiek nie jest szarlatanem, panie – Romulus zaprotestował. – Razem braliśmy udział w kampanii Krassusa. Przewidział klęskę pod Carrhae. I widział wiele innych rzeczy. Wszystkie jego przepowiednie się potwierdziły. Jego zdolności nie mają sobie równych.

– Hmm... – Cezar świdrował go wzrokiem. – No więc co takiego zobaczył?

– Spiskowcy zaatakują cię w obecności senatorów, panie. Mnóstwo ludzi jest w to zamieszanych.

– I mają uderzyć właśnie dzisiaj?

Romulus przełknął gulę w gardle.

– Tak jest. Musisz się strzec *Idus Martiae*.

– Czy twój przyjaciel nigdy się nie pomylił w swoich przepowiedniach? Czy jego wizje nie bywają dwuznaczne?

– Oczywiście bywa i tak, panie. Taka jest natura haruspicii.

Cezar roześmiał się pobłaźliwie.

– Po prostu to uwielbiam! Właśnie tak ci wróżbici tłumaczą to, że zmyślają wszystkie szczegóły. Plotą, co im ślina na język przyniesie. O planach napaści na mnie słyszę od wielu miesięcy, a to wszystko tylko durne plotki. Dlaczego ktoś miałby w ogóle na mnie dybać? Po dziesięcioleciach konfliktów w Republice wreszcie nastął pokój. Twój przyjaciel ma omamy. Ty możesz wierzyć, w co chcesz, Romulusie, ale nie proś mnie o to samo. Dzisiaj w senacie omawiane będą ważne sprawy i nie widzę powodu, żeby nie uczestniczyć w obradach.

Niezrażony Romulus przeszedł do realizacji alternatywnego planu zapewnienia bezpieczeństwa dyktatorowi.

– Pozwoliłem sobie poprosić o pomoc kilku lojalnych weteranów, panie. Około pięćdziesięciu. Powinni teraz zmierzać do budynku senatu.

– Jeden z moich byłych żołnierzy uznał, że warto zebrać grupę ludzi, którzy mogliby pełnić funkcję mojej straży przybocznej, tak? –

zdumiony Cezar pokręcił głową.

Romulus zdał sobie sprawę, że przekroczył granicę.

– Przepraszam... – zawahał się – Nie chciałem wychodzić przed szeregi, ale...

– Z najskromniejszych początków rodzą się największe cnoty – powiedział Cezar jakby do siebie. Uśmiechnął się. – Wręcz przeciwnie. Dobrze zrobiłeś. A ja powinienem ci podziękować.

Romulus odetchnął z ulgą.

– To znaczy, że weterani mogą ochraniać cię, panie, w senacie?

Oczy Cezara zapłonęły gniewem.

– Nie, nie mogą!

– Chyba nie rozumiem, panie – Romulus wyjąkał.

– Twoje motywacje są szlachetne – powiedział Cezar, skinąwszy głową z wdzięcznością – ale nie zapominaj, kim jestem. Jako największy wódz w dziejach Republiki nie mogę pojawić się w senacie eskortowany przez naprędce zebrany oddział podstarzałych wiarusów. To poniżej mojej godności.

– Tylko ten jeden raz, panie. Jeśli nie będzie żadnego zagrożenia, możesz nas wyśmiać, uznając to za wybryk i spontaniczną demonstrację miłości twoich żołnierzy. Ale jeżeli pojawią się jakieś problemy, będziesz wśród nas bezpieczny.

Cezar przez chwilę zastanawiał się nad jego propozycją, co sprawiło, że Romulus już miał nadzieję, że się zgodzi. Potem jednak potrząsnął głową.

– Nie. Nie będę żył w strachu, bo nie ma ku temu powodu.

Romulus stracił rezon. Sekundus i jego weterani mogą i tak zaczekać przed senatem. Przy pierwszych oznakach kłopotów ruszą do środka. To było rozwiązanie bardziej ryzykowne dla dyktatora, ale lepsze niż nic.

– Rozumiem, panie. Czy mam towarzyszyć ci tak czy inaczej? – *Jeden porządny żołnierz jest wart więcej niż dwudziestu otyłych senatorów* – pomyślał Romulus. – *Być może przynajmniej utrzymam ich na dystans, zanim Sekundus i reszta przyjdą z pomocą.*

Romulus przeliczył się. Cezar przewidział jego wybieg.

– Możesz iść ze mną, ale twoi towarzysze mają wrócić do domu.

Niech nie kręcą się w pobliżu, tłumacząc się, że to tylko na wszelki wypadek. Czy to jasne?

Romulus rzucił mu rozpaczliwe spojrzenie.

– Tak, panie.

– Daj mi słowo, że każesz im się rozejść. – Cezar wyciągnął prawą rękę tak, jak uczyniłby żołnierz.

– Skąd pewność, że dotrzymam słowa?

– Bo jesteś prawdomównym człowiekiem z zasadami. Widzę to. Jesteś też moim żołnierzem.

– Niech tak będzie, panie. – Romulus tym razem przeklinał inteligencję dyktatora, który przewidział jego ruch. Chwycił jego przedramię.

– W porządku. Potrzebuję teraz trochę czasu, aby przygotować się na nadchodzący dzień. Zastanów się, co powiesz senatorom na temat Carrhae. Staw się przed kompleksem Pompejusza, zanim nadejdzie *hora sexta*. Wtedy przybędę.

– Panie... – Romulus czuł się bezradny. Zrobiło mu się niedobrze ze zdenerwowania. Tarkwiniusz nie wymyśliłby sobie tego zamachu. Dyktator oczywiście zupełnie nie znał haruspika i potraktował go tak, jak traktuje się lojalnego, ale przesadnie przesądnego żołnierza. Musiał spróbować jeszcze raz. – Ja chciałbym...

– Już ani słowa – powiedział Cezar stanowczo. – Doceniam to, że się martwisz. – Uniósł dłoń do ust. – *Optio!*

Młodszy oficer natychmiast ukazał się w drzwiach, nie dając Romulusowi ani chwili na dalsze przekonywania.

– Tak jest.

– Odprowadź tego tu żołnierza do drzwi. Powiedz majordomusowi, aby wręczył mu dwadzieścia *aurei*.

– Nie trzeba, panie – Romulus zaprotestował. – Nie zrobiłem tego dla pieniędzy.

– Mimo to twoja wierność zostanie nagrodzona. – Cezar machnął ręką, sygnalizując, że uważa spotkanie za zakończone. – Zobaczymy się później.

– Tak jest! – Romulus wyprężył się w salucie i pomaszerował do drzwi.

Skonfundowany *optio* odprowadził go z powrotem do holu, a kilka chwil później Romulus wyszedł na ulicę, ściskając ciężką skórzaną sakiewkę.

W tym czasie wartownicy zdążyli się zmienić, ale Mattiusz czekał na niego tam, gdzie go zostawił. Spojrzał na mieszek sęsim wzrokiem.

– Cezar ci uwierzył?!

– Nie – odpowiedział ponurym głosem Romulus. – Nie chciał mnie słuchać. To za moją lojalność.

Mattiusz posmutniał.

– I co teraz zrobimy?

Romulus musiał się chwilę zastanowić.

– Idziemy do Lupanaru – oświadczył. Jeśli zastanie Fabiolę na miejscu, może uda mu się jednak namówić ją, aby odwołała zamachowców. Szczerze jednak w to wątpił. Znowu pojawiła się obawa, że skończy z nożem w brzuchu. Zdecydował jednak i mógł się teraz wycofać. To było działanie rozpaczliwe, ale nic innego nie mógł zrobić.

Ucieszył się na widok Decimusa Brutusa, który przybył pod rezydencję Cezara i właśnie wyglądał zza kotary lektyki. Nie było go na żadnym ze spotkań w Lupanarze. Romulus miał nadzieję, że mężczyzna Fabioli jest również człowiekiem zasad. Może przybył tu z taką samą sprawą co on?

Wymruczał pod nosem modlitwę do Jowisza, prosząc go, żeby Brutus też zamierzał ostrzec Cezara. Może wspólnymi siłami uda się go przekonać do zmiany zdania.

Gdy Brutus opuścił *domus* i udał się do Cezara, Fabiola rozpoczęła ostatnie przygotowania. Wyglądało na to, że jej mężczyzna już się nie wahał i chciał aktywnie uczestniczyć w zamachu, co jednocześnie ją przerażało i przynosiło ulgę. Obawiając się, że Brutus zacznie podważać swoje wcześniejsze wybory i wycofa się, poprzedniego wieczoru pilnowała go dyskretnie i zadbała, żeby ani na chwilę nie zniknął jej z oczu. Próbowwała też odciągnąć jego uwagę od myśli o spisku. Kazała niewolnikom w kuchni przygotować wystawną ucztę i zamówiła występy najlepszych artystów. Pomędzy kolejnymi daniami ze smakowicie przyrządzonej wieprzowiny, z ryb i różnych rodzajów ptactwa śledzili walkę nagich, wspaniale zbudowanych greckich atletów,

o skórach namaszczonej oliwą, słuchali najnowszych dzieł satyrycznych. Aktorzy prezentowali im krótkie fragmenty komedii, a akrobaci zdumiewali swoimi umiejętnościami. Mogło się wydawać, że wysiłki Fabioli przynosiły pozytywne efekty. Brutus uśmiechał się promiennie i wyglądało na to, że z zadowoleniem śledzi pokazy artystów, ale Fabiola знаła go na tyle dobrze, że widziała, iż coś go trapi. Bez wątpienia wciąż gdzieś głęboko w środku zastanawiał się nad uzasadnieniem zabójstwa Cezara. Fabiola również potrafiła zachowywać pozory, ale musiała przyznać, że nie potrafi skupić się na innych sprawach. Nie ośmieliła się jednak otwarcie sama poruszyć pojawiających się w jej głowie wątpliwości. Brutus też raczej wolał o tym nie rozmawiać.

Chociaż przyznanie się do tego przychodziło jej z trudem, niechęć Brutusa do przyłączenia się do zamachowców sprawiła, że Fabiola zdecydowała się zmierzyć z własnymi wątpliwościami, czającymi się w najgłębszych zakamarkach jej serca. Czy były tam już wcześniej? Przed rozmową z Romulusem, który odmówił jej wsparcia? Nie pamiętała tego. Nie mogła jednak całkowicie zignorować niewzruszonej postawy swojego brata. Zawsze miał głowę pełną wspaniałych pomysłów, w których kluczową rolę odgrywał honor. Marzył na przykład o wyzwoleniu wszystkich niewolników Republiki. Mimo traumatycznych doświadczeń na arenie i w armii Krassusa ta szlachetność zdawała się w nim jeszcze stężeć. Fabiola widziała to w zachowaniu Romulusa w tych krótkich chwilach, które spędzali razem, i bazowała też na tym, co o jej bracie mówił jej Tarkwiniusz. Nawet to, że potrafił zrezygnować z zemsty na Gemellusie, wiele mówiło o jego systemie wartości i moralności.

A ona? Kim się stała? Fabiola często nie potrafiła zasnąć, nie mogąc znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Zrobiła, co mogła, aby wznieść się ponad swój wcześniejszy zdegradowany status, ale teraz musiała przyznać przed samą sobą, że to, co robiła, piętnowało ją na zawsze. Najbardziej oczywistą konsekwencją tych przejść był zupełny brak zaufania do mężczyzn. Lata spędzone w Lupanarze nauczyły ją, że nie można im ufać. Pod żadnym pozorem. Brutus był chyba jedynym wyjątkiem od tej reguły. Wiele razy udowadniał, że można na niego

liczyć i honorowym postępowaniem zasłużył na uznanie Fabioli. Czy w związku z tym może się dziwić, że zaczęła podejrzewać Cezara o najgorsze, gdy próbował ją zgwałcić? Czy może jednak przesadzała?

Nie! – krzyczało jej serce. Nie chodzi tylko o spojrzenie dyktatora, ale o ton jego głosu, o słowa, które przekonały ją o jego winie. Jednak kiedy Fabiola zmusiła się, aby jeszcze raz zastanowić się nad tym, co wydarzyło się tamtego zimowego wieczoru, doszła do jednego tylko wniosku. Cezar do niczego się nie przyznał. *Fakt, że mnie napastował, nie może być dowodem, że był gwałcicielem.* Romulus przynajmniej w tej kwestii miał rację. Czuła ciężar tej świadomości. Leżała, wpatrując się w sufit. Wiedziała, że sprawy zaszły za daleko i nie da się już niczego odkręcić. W plan zamordowania dyktatora zaangażowanych było już zbyt wielu złych i wpływowych ludzi.

Gdy następnego dnia rano przekonała się, że Brutus obudził się rzeński, wypoczęty i zdecydowany zrobić to, do czego się zobowiązał, Fabiola starała się jak najlepiej ukryć swoje prawdziwe, mieszane uczucia. Wyczuł jednak od razu, że coś jest nie tak.

– To jest najlepsze rozwiązanie, moja miłości – powiedział cichym, pewnym głosem. – Dla Rzymu. Dla nas wszystkich.

Fabiola nie odważyła się nawet skomentować jego słów. Jakaś jej część się cieszyła, a druga była przerażona. Wsparta na duchu, w nadziei, że Brutus ma rację, życzyła mu powodzenia i pocałowała na pożegnanie. Teraz jednak, gdy siedziała przy toalecie w pustym domu, znów zaczęły nękać ją wątpliwości. Gdyby tylko mogła sprawdzić, czy Cezar jest naprawdę winny. I mieć pewność, że jej działania nie będą oznaczać pogrążenia Republiki w nowej wojnie domowej. Nagle wpadła jej do głowy pewna myśl. Może Tarkwiniusz przyjdzie jej z pomocą?

Tylko czy będzie chciał to zrobić?

Po chwili wróciła myślami do brutalnej rzeczywistości. Było już za późno na takie środki. Nawet jeśli Tarkwiniusz odkryje, że Cezar jest niewinny w interesującej ją sprawie, spiskowcy nie zrezygnują. Zbyt wielu z nich – nie tylko Marek Brutus – zyska na śmierci dyktatora. Może jej rola w planowaniu zamachu była istotna, ale prędzej czy później i tak ktoś podjąłby próbę zabicia Cezara.

Przekonywała siebie, że jej instynkt się nie myli. Musiała iść do

Lupanaru. Najlepiej zająć się zwykłymi codziennymi obowiązkami tak długo, jak to możliwe. Chociaż chciała być na forum, gdy przybędzie Cezar, nie pragnęła ściągać na siebie niepotrzebnie uwagi. Musiała po prostu przestać się zamartwiać, a najlepszym sposobem rozluźnienia będzie kąpiel w gorącej łaźni. Wchodząc do Lupanaru, powiedziała Benignuszowi, że nie ma jej dla nikogo.

Nie mogła wiedzieć, jakie konsekwencje będzie miało to tak niewinne zdanie.

Romulus pojawił się pod Lupanarem niedługo później. Skierował się prosto ku bramie. Na straży stało trzech ludzi. Przewodził im wielki drab z ogoloną głową i bliznami, które wyglądały na świeże. Romulus rozpoznał najbliższego opiekuna Fabioli Benignusza, który został ciężko ranny podczas ostatniego ataku Scewoli. Mało brakowało, a pożegnałby się z życiem. Przeżył chyba tylko dzięki pomocy Tarkwiniusza. Powitał go przyjaźnie skinieniem głowy.

– Chciałbym rozmawiać z Fabiolą.

– Pani nie przyjmuje gości – Benignusz odezwał się uprzejmie.

Romulus roześmiał się.

– Ale ja jestem jej bratem!

– Wiem, kim jesteś... – Benignusz przesunął się tak, żeby zagrozić wejście.

– No to mnie wpuść!

Wielki osiłek zacisnął zęby i powiedział głosem nieznoszącym sprzeciwu.

– Powiedziałem: żadnych gości – jego towarzysze z groźnymi minami stanęli przy nim.

Romulus zastanawiał się, co powinien zrobić. Jako zawodowy żołnierz miał doświadczenie w walce, ale Benignusz był silny jak tur. Dwaj jego kompani też byli nieułamkami. Nie miał żadnej gwarancji, że wyjdzie z ewentualnego starcia bez szwanku. Nawet jeśli wedrze się do środka siłą, to nie miał pewności, że Fabiola będzie w ogóle chciała go słuchać.

– Nie chcę z tobą walczyć – powiedział. Miał za wiele do stracenia.

– I dobrze...

Chociaż towarzysze Benignusza pozwolili sobie na drwiące

spojrzenia, Romulus z zadowoleniem spostrzegł błysk ulgi w oczach ochroniarza. *Benignusz tylko wykonuje swoją pracę.* Przeklinając Fortunę, która pozwoliła, żeby poróżnił się z własną siostrą, Romulus skinął na Mattiusza, a potem razem ruszyli na Campus Martius. Tak zwane Pola Marsowe znajdowały się na równinie przy północno-zachodnich obrzeżach miasta. Mieli przed sobą co najmniej ćwierć godziny marszu. A zanim w kompleksie Pompejusza pojawi się Cezar, minie jeszcze trochę czasu. Romulus nie bardzo jednak wiedział, co ze sobą zrobić. *Minął już czas modlitwy* – pomyślał, obejmując głównię gladiusa i czerpiąc z tego dotyku pocieszenie. Czekala go kolejna bitwa. Chociaż był teraz wolnym obywatelem, a nie żołnierzem, wiedział, że przyjdzie mu znowu walczyć o życie. Tym razem tu. W Rzymie. Romulus zacisnął zęby. I niech tak się stanie. Nieważne, czy Cezara zaatakuje pięciu, czy pięciuset ludzi. Podjął już decyzję i będzie konsekwentny.

Spojrzał na Mattiusza i zaczął mieć wyrzuty sumienia. Powinien pamiętać, że teraz nie chodzi tylko o niego. *Jeśli umrę, broniąc Cezara, nie minie tydzień, a chłopak wróci do znanej mu już strasznej rzeczywistości.* Chociaż matka urwisa pracowała teraz w warsztacie folusznika, nie było jej stać na zapewnienie bytu dwójce dzieci czy poradzenie sobie z okrutnym drugim mężem, który teraz dał jej spokój tylko dlatego, że Romulus zagroził mu użyciem siły.

Powinien porozmawiać z Sekundusem. Poprosić go o pomoc. Na razie to będzie musiało wystarczyć. Chciał jednak przygotować chłopca na najgorsze.

– Pewnie trudno ci to będzie zrozumieć, ale czasami w życiu zdarza się tak, że mężczyzna nie może się cofnąć z raz obranej drogi. Jeśli ktoś będzie chciał dziś zabić Cezara w senacie, zrobię wszystko, żeby do tego nie dopuścić. Bez względu na koszty.

Mattiusz miał nieszczęśliwą minę.

– Nic ci się nie stanie, prawda?

– Tylko bogowie znają odpowiedź na to pytanie.

– To ja też będę walczyć!

– Nie, nie będziesz – odpowiedział Romulus poważnie – ale mam dla ciebie znacznie ważniejsze zadanie.

Sekundus i jego weterani czekali na nich przed wielką świątynią *Venus Victrix*, w której czasami spotykał się senat. Sanktuarium to znajdowało się w samym środku wspaniałego parku, pełnego egzotycznych roślin, stanowiącego część ogromnego *Lapideum et Pompeii*, którego budowę zakończono dziewięć lat wcześniej. Jego najbardziej popularną częścią był pierwszy w Rzymie teatr wybudowany z kamienia, gdzie Romulus zmierzył się z etiopskim bykiem. Chociaż było dopiero wczesne przedpołudnie, w środku już odbywały się codzienne przedstawienia. Romulus zadrżał na dźwięk znanego mu pełnego żądz krwi ryku tłumu, który powtarzał się w dość regularnych odstępach czasu. Po swoich ostatnich doświadczeniach wolałby już nigdy nie wrócić na arenę.

Sekundus nie wydawał się specjalnie zaskoczony, gdy Romulus powiedział mu o wyraźnym życzeniu Cezara.

– Ten człowiek jest uparty i dumny – skomentował. Romulus naprawdę jednak posmutniał dopiero wtedy, gdy usłyszał, że Sekundus nie chce nawet myśleć o wycofaniu się w jakąś wąską uliczkę, żeby być blisko na wypadek, gdyby jego pomoc okazała się konieczna.

– Każdy sam odpowiada za swój los. Zaproponowałeś naszą pomoc, ale Cezar ją odrzucił. To jest jego prawo i przywilej, a my nie powinniśmy z tym dyskutować.

– Może zostać zamordowany! – zawołał zdesperowany Romulus.

– To jego decyzja – odpowiedział Sekundus ponuro. Wydał rozkazy.

– Co zamierzasz?

– Wracamy do mitreum. Złożymy ofiarę Mitrze, prosząc go o zachowanie Cezara w dobrym zdrowiu.

Cóż miał zrobić Romulus? Wyszeptał kilka słów Sekundusowi do ucha, prosząc go o opiekę nad Mattiuszem. A potem już tylko patrzył niepokieszony, jak weterani ustawiali się w równych szeregach. Wielu z nich kiwało mu przyjaźnie głowami na pożegnanie, ale żaden sam z siebie nie zaproponował, że zostanie. Ich wiara w Sekundusa była absolutna. Silniejsza nawet niż to, czego Romulus doświadczył w armii. Nie mógł mieć do nich pretensji. Ich filozofia poszanowania wolnej woli człowieka miała swoje źródło w tym samym systemie wartości i

przekonań, którego wiernym wyznawcą był Tarkwiniusz, próbujący przekazać go również Romulusowi. Dziś jednak Romulus uznał, że niemożliwe jest zastosowanie tego systemu w praktyce.

Ta myśl spowodowała, że na jego ustach pojawił się sardoniczny uśmiech. Spojrzał na tatuaż na ramieniu. *Może nie jestem godnym naśladowania wyznawcą Mitry.* Nie zamierzał jednak się wahać. Gdyby teraz się wycofał, czułby się tak, jakby po raz drugi zostawił Brennusa na polu bitwy.

Przez jakiś czas obserwował senatorów przybywających na poranną sesję obrad. Mattiusz nie odstępował go na krok. Pytał tylko co chwila o zadanie, jakie mu powierzy Romulus. Ten uważnie przyglądał się wszystkim mężczyznom odzianym w togi, szukając w nich oznak złych intencji. Sfrustrowany niczego takiego nie wyczuwał. Mężczyźni wspinali się po schodach prowadzących do wejścia do kompleksu, ściskając w dłoniach tylko długie pudełeczka z rysikami. Z uśmiechami przyklepionymi do twarzy wysiadali ze swoich lektyk, pozdrawiając znajomych. Romulus rozpoznał tylko kilku z nich. Przechadzając się tam i z powrotem, próbował podsłuchać, o czym rozmawiali, ale i to nie przyniosło żadnych rewelacji, a na dodatek nie mógł tego robić ostentacyjnie, ponieważ wzbudziłby podejrzenia. Większość z tego, co usłyszał, dotyczyła zwykłych plotek lub w jakiś sposób nawiązywała do tematu syna Longinusa, który dziś miał po raz pierwszy założyć togę. Wbrew sobie Romulus nieco się rozluźnił.

Z zainteresowaniem przyglądał się za to człowiekowi, który był jednym z dowódców w armii Krassusa. Wcześniej w Partii widział go tylko raz i to z daleka, ale dobrze pamiętał, z jakim zaangażowaniem Longinus wypytywał go o szczegóły kampanii, zanim Cezar zdecydował się uwierzyć w jego wyjaśnienia. Czuł jakiś związek z tym człowiekiem. Jednak gdy zobaczył go w tym miejscu, poczuł niepokój. Czy bogowie wciąż przypominają mu o Partii, gdyby nie miało to nic wspólnego z nadchodzącą kampanią Cezara? Ta myśl sprawiła, że w Romulusie budziła się niewielka nadzieja, iż Tarkwiniusz może jednak źle zinterpretował wizję.

Późnym rankiem Romulus zaczął wierzyć, że Decimusowi Brutusowi udało się przekonać Cezara, by został w domu. W świątyni

rozpoczęło się poranne posiedzenie. Pomimo wietrznej pogody, która zwiastowała deszcz, przed kompleksem spacerowała jeszcze spora liczba senatorów. *Wszystko to nie ma znaczenia, jeśli Cezar się nie pojawi* – myślał Romulus.

Dlatego posmutniał na widok bogato zdobionej lektyki, przebijającej się przez tłum obywateli, którzy zebrali się tu, aby zobaczyć sławnych i bogatych czy prosić o interwencję w swoim imieniu. Lektykę niosło czterech niewolników w przepaskach biodrowych. Piąty szedł przed nimi, dzierżąc długi kij, którym pomagał sobie w oczyszczeniu drogi z gapiów. Romulus nie widział straży przybocznej czy regularnych żołnierzy. Zerwał się na równe nogi, gdy usłyszał, że pierwszy niewolnik wykrzykuje imię Cezara.

– Już czas – zwrócił się do Mattiusza. – *Lictores* nie dopuszczą mnie za blisko, ale tobie może uda się wślizgnąć do środka tak, żeby cię nikt nie zauważył. Dasz radę?

Mattiusz skinął głową z wyrazem dziecięcej determinacji na twarzy.

– A co mam robić potem?

– Nie spuszczaaj oka z Cezara. Gdy zobaczysz cokolwiek, co mogłoby świadczyć o tym, że jest w niebezpieczeństwie, krzycz głośno, żebym usłyszał. Stanę tak blisko wejścia, jak tylko się da.

– Ale wtedy może być już za późno – stwierdził chłopiec rezolutnie. – Zwłaszcza jeśli *lictors* zatrzymają cię przy wejściu.

– Nic innego nie wymyślimy – stwierdził Romulus, rozkładając bezradnie ręce.

Chwilę później Romulus ujrzał wyłaniającego się z tłumy haruspika.

– Fabiola tu jest – oznajmił cichym głosem.

– Gdzie?

Tarkwiniusz wskazał zakapturzoną, zamaskowaną postać, która ukryła się w cieniu filaru przy wejściu do świątyni. Można było się domyślić, że to kobieta. Ale Fabiola?

– Jesteś pewien? – Romulus nie chciał w to uwierzyć.

Tarkwiniusz uśmiechnął się smutno.

– Czy myślisz, że chciałyby to przegapić?

Romulus poczuł suchość w ustach. Przepowiednia Tarkwiniusza właśnie miała się ziścić. Po cóż innego Fabiola wybrałaby się na posiedzenie senatu? Miał wielką ochotę ruszyć do niej i wszystko wyjaśnić. Przeniósł wzrok na lektykę Cezara, która zatrzymała się u podnóża schodów. Na dyktatora czekała tam spora grupa senatorów. Romulus zaczął panikować. Dostrzegł Longinusa i Marka Brutusa. Chociaż mignęła mu przez chwilę twarz Marka Antoniusza, najbardziej lojalnego z wiernych sojuszników Cezara, wiedział, że zabójcy mogą uderzyć w każdej chwili.

Nie wystarczy mu czasu, żeby porozmawiać z Fabiolą, a potem zbiec na dół, by powitać Cezara i w razie potrzeby go obronić. Rzucił przekleństwo, po czym zaczął przepychać się przez tłum. Mattiusz najpierw ruszył za nim, ale Romulus pokazał mu głową, że powinien zająć się wypełnieniem swojej misji. Mattiusz zrozumiał i natychmiast z uśmiechem zaczął przeskakiwać po dużych, rzeźbionych stopniach kompleksu. Zatrzymał się tuż przy wejściu. Strażnicy go zignorowali. Ot, kolejny podekscytowany młody obywatel chce mieć jak najlepszy widok. Zresztą oni zachowywali się podobnie. Sprytny urwis znał się na rzeczy. Po chwili zniknął w zacienionym wejściu do teatru. Romulus uniósł z satysfakcją kąciki ust. *Przynajmniej to poszło zgodnie z planem.* Miał duże wątpliwości, czy uda się zrealizować pozostałe części planu. Sprawdzał, czy gladius łatwo wychodzi z pochwy, po czym zmówił szybką modlitwę – może ostatnią – do Jowisza i Mitry, prosząc o ochronę i pomoc.

Gdy Cezar opuścił lektykę, rozległy się głośnie wiwaty. Niezadowolenie niektórych polityków nie szło w parze z wielką popularnością dyktatora wśród zwykłych obywateli. Cezar powiódł po tłumie przenikliwym wzrokiem, a potem, uspokojony, zaczął z uznaniem dziękować, kiwając głową i rozdając uśmiechy. Za nim z lektyki wysiadł brązowowłosa mężczyzna. Ku swojemu zdumieniu Romulus stwierdził, że był to Decimus Brutus. Czy to oznaczało, iż ukochany Fabioli należał do spisku? A może, podobnie jak Romulusowi, nie udało mu się przekonać Cezara, aby został w domu, i zdecydował się podążyć za nim, by go chronić? Nie wiedział. Przebijając się jak najbliżej lektyki, stwierdził, że senatorowie uformowali się w dwie linie, dając Cezarowi

możliwość swobodnego przejścia aż do drzwi sanktuarium. Ze wszystkich stron sypały się w stronę dyktatora wylewne pozdrowienia. Romulus nie potrafił już znieść napięcia i rzucił się do przodu, żeby znaleźć się tuż przy boku Cezara.

– Legionista Romulus. Dobrze cię znowu widzieć. – Cezar postawił stopę na pierwszym stopniu. – Wkrótce cię wezwę.

– Dziękuję. – Romulus zasalutował, a przez zęby poprosił ciszej. – Proszę pozwolić mi towarzyszyć sobie w drodze do środka.

Cezar uśmiechnął się.

– To nie będzie konieczne. – Uniósł ręce i wskazał senatorów. – Ci dobrzy ludzie wskażą mi drogę.

– Ale panie... Mój przyjaciel twierdzi...

– To wszystko, żołnierzu – odrzekł Cezar poirytowany. Nie zwykł znosić sprzeciwu.

Romulus nie miał szans na protest. Cofnął się. Zdawał sobie sprawę, że wielu senatorów patrzy na niego z dezaprobatą. Nie dbał o to. Mieszanka strachu i adrenaliny zrobiła swoje. Widział jednak, że na razie nie ma bezpośredniego zagrożenia. Uznał, że spiskowcy zaatakują Cezara w środku. Znów zaczął przedzierać się przez tłum gapiów, aby jak najszybciej dotrzeć do wejścia. Jeśli chciał mieć szansę na uratowanie Cezara, musiał być jak najbliżej. Kątem oka zobaczył, jak Decimus Brutus podchodzi uśmiechnięty do Antoniusza i wita go jowialnie. To wzbudziło jego podejrzenia. Obrócił się. Fabiola twierdziła, że oni się nienawidzili. Tymczasem Brutus kładzie rękę na ramieniu Antoniusza. Były *magister equitum* najpierw wydaje się rozeźlony, a potem, gdy Brutus nie przestaje mówić, na jego przystojnej twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

Cezar tymczasem wspina się po schodach, zostawiając Antoniusza i Brutusa pogrążonych w rozmowie. Nagle objawienie spadło na Romulusa niczym cios młotem Wulkana. To wszystko jest częścią planu. Spiskowcy chcą usunąć Cezara i tylko Cezara, więc musieli postarać się, aby nieodłączny towarzysz dyktatora znalazł się jak najdalej od miejsca zamachu. Chciało mu się krzyczeć. *Czy nikt inny tego nie widzi? Zachowaj spokój. Nie wszystko stracone. Jeszcze nie!* Jak zamierzają zabić Cezara? Togi nie należały do tego typu odzieży, w której można

było nosić normalny pas z mieczem. Może ta została ukryta w budynku? Odrzucił tę myśl po chwili namysłu. Zbyt wielu ludzi – kapłanów, akolitów i wiernych – miało wolny wstęp do świątyni.

Wtedy jego wzrok przyciągnęły charakterystyczne pojemniki kryjące rysiki. Miał taki każdy senator! Żołądek podszedł mu do gardła. Eleganckie drewniane pudełeczka były odpowiedniej wielkości, aby z powodzeniem ukryć w nich noże. Aż zatoczył się na myśl o prostocie tego rozwiązania. Zrozpaczony przeniósł spojrzenie ponad tłumem w stronę kolumnady. Po drugiej stronie szerokich schodów, na tym samym poziomie co on, stała Fabiola. Ich spojrzenia skrzyżowały się. Patrzyli sobie w oczy z nieznośną intensywnością. Po chwili, która zdawała się trwać wiecznie, a w rzeczywistości nie była dłuższa niż kilka uderzeń serca, Fabiola otworzyła usta, składając je w jakieś słowa.

Zanim Romulus zdążył odczytać przekaz z jej ruchu warg, Fabiola została zasłonięta przez grupę senatorów. Mijający ją akurat Cezar mówił coś o wielkim dniu syna Longinusa. Pierwsze założenie togi dla każdego arystokraty było jednym z najważniejszych wydarzeń w życiu. Antoniusz wciąż znajdował się na dole schodów i rozmawiał z Brutusem. Romulus poczuł się zupełnie bezradny. Bogowie dali mu rolę obserwatora.

– Jestem tu – usłyszał za plecami głos Tarkwiniusza.

Niemal krzyknął z ulgą.

– Pójdiesz ze mną?

– Oczywiście. Tego się właśnie oczekuje od przyjaciół, prawda? – odrzekł haruspik, zdejmując z pleców swój topór bojowy z obustronnym ostrzem.

– Możemy zginąć – powiedział Romulus, wskazując sześciu strażników, którzy na razie poświęcali całą swoją uwagę Cezarowi.

– Ileż razy już to słyszałem? – Tarkwiniusz uśmiechnął się. – Tak czy inaczej nie mogę zostawić cię samego.

Romulus odwrócił się plecami do tłumy i wyciągnął gladius z pochwy. Rzucił okiem na Fabiolę, ale była ona zbyt pochłonięta obserwacją dyktatora. Na jej pięknej twarzy widział mieszanekę emocji. Romulus znów pomyślał o matce. *Co, jeśli jego siostra bliźniaczka ma rację?* Znów zadawał sobie to pytanie. Jego instynktowna część od razu

podsunęła odpowiedź. Nawet jeśli tak jest, Cezar nie zasługuje na śmierć niczym owca otoczona przez stado wygłodzonych wilków. Tak więc nie zamierza się teraz wycofać.

Dyktator zniknął mu z pola widzenia. Z zadowoleniem stwierdził też, że czterech z sześciu strażników podążyło za nim do środka, co oznaczało, że przy drzwiach zostało ich tylko dwóch. A te pozostały otwarte.

Teraz wszystko było w rękach Mattiusza.

Romulus zbliżył się na kilka kroków do wejścia, a Tarkwiniusz podążał jego śladem. Na razie żaden ze strażników nie zwrócił na nich uwagi. Rozmawiali ze sobą, zerkając tylko od czasu do czasu na to, co dzieje się w środku. Romulus przesunął się jeszcze kilka kroków bliżej, ślizgając się na kamiennej powierzchni.

– Romulus! – krzyk Fabioli przypominał trzask z bicia w zamkniętym pomieszczeniu. Romulus wbił wzrok w siostrę świadom, że teraz strażnicy na pewno zauważyli ich podchody. – Co ty chcesz zrobić?!

Przed oczyma mignął mu obraz cierpiącej Welwinny, a potem uśmiechniętego Cezara, który podarował mu wolność na arenie, oddalonej nie więcej niż trzysta kroków od miejsca, w którym się znajdowali. Rozdarty spojrzał na Tarkwiniusza.

– Sam wybierasz swoją ścieżkę – szepnął haruspik. – Tylko ty możesz podjąć decyzję.

– Ej! Wy dwaj! – krzyknął jeden ze strażników. – Rzućcie broń! – strażnicy zbliżali się, celując w nich ostrzami włóczni i w tym samym czasie wzywając wsparcie.

Po chwili stanęli jak wryci w reakcji na zwierzęce krzyki dochodzące z wnętrza świątyni.

– Casca, ty głupcze. Co czynisz?

– Pomóżcie mi! Zabić tyrana!

– Romulus! – Romulus rozpoznał głos Mattiusza. – Bywaj tu! Szybko!

Po chwili wszyscy wyraźnie usłyszeli gniewne krzyki, które zbiły się w jeden ryk, a następnie odgłos uderzeń. Nie mógł czekać. Uniósł gladius i skoczył do wejścia, mijając nieruchomych strażników.

Bogowie chyba uznali, że zasłużył na ich łaskę. Strażnicy byli tak zaskoczeni, że nie zdążyli nawet odwrócić głów. Romulus nie chciał niepotrzebnie ranić żadnego z nich. Przekręcił miecz i uderzył najbliższego z nich ręką. Kątem oka dostrzegł, że Tarkwiniusz powalił drugiego metalową końcówką topora. Przeskoczyli powalonych wartowników i czym prędzej popędzili do środka.

Na szczęście pozostali strażnicy, choć znajdowali się kilka kroków dalej, również nie zdążyli im przeszkodzić. Mieli przed sobą wolną drogę do sali posiedzeń. Romulus otworzył szeroko oczy na widok przepięknie urządzonego wnętrza świątyni. Ogromne, wysokie pomieszczenie było dobrze oświetlone dzięki wielu małym szklanym oknom. Oczywiście to nie była najlepsza chwila, żeby przyglądać się wystrojowi czy grupom odzianych w togi senatorów w rzędach pod ścianami. Ci ludzie w większości stali teraz, głośno krzycząc i wskazując na jeden punkt. Najwyraźniej większość spośród sześciuset zgromadzonych tu ludzi nie miała pojęcia o planach zamachu. Romulus czuł złość, że żaden z nich nie próbował interweniować. Biegł dalej, kierując się w stronę środka pomieszczenia, gdzie znajdowały się krzesła konsulów i to należące do Cezara. Od razu zwrócił uwagę na nietypowe zbiorowisko. Zamachowcy ściskali w dłoniach noże, a szaty wielu z nich nosiły ślady krwi. Ich twarze były puste. Wstrząśnięci patrzyli teraz po sobie niepewnie, jakby nagle uświadomiwszy sobie konsekwencje swojego czynu.

Za późno. Udręka szarpała jego duszę niczym pazury drapieżnej bestii. *Tego się obawiałem.* Z jego gardła wyrwał się okrzyk bojowy, w który włożył całą swoją wściekłość. Pędził prosto na zabójców. Tarkwiniusz był tuż obok. Szczupły i siwy, ale przerażający z uniesionym toporem. Romulus zarejestrował też obecność Mattiusza za swoimi plecami. Chłopak próbował dotrzymać im kroku, dołączając swoim dziecinnym głosem do ryku. Ku jego zaskoczeniu ich połączone krzyki wystraszyły zamachowców do tego stopnia, że rzucili się do ucieczki, zrywając się niczym stado ptaków zaatakowanych przez kota. Ich strach był zaraźliwy i w ciągu kilku uderzeń serca wszyscy senatorowie przeskakiwali już rzędy siedzeń, umykając pod ścianami. Byle dalej. Byle wydostać się na zewnątrz. Gdy wokół zrobiło się

luźniej, oczom Romulusa ukazała się krwawa scena aktu morderstwa.

Cezar leżał pod wielkim posągami Pompejusza w kałuży krwi. Cała jego toga pokryta była karminowymi plamami. Każda z nich wskazywała miejsce, w którym w jego ciało zagłębił się nóż zabójcy. Rany były wszędzie. Na klatce piersiowej, na brzuchu, w okolicach pachwin i na nogach. Biała wełniana tkanina została zdarta z jego lewego ramienia. I tam też Romulus zauważył ślady po ostrzu. Cezar, ten wielki człowiek i wspaniały wódz, przypominał teraz zmasakrowaną tuszę wieprzową u rzeźnika. Nikt nie mógł przeżyć po tylu pchnięciach. Romulus opadł na kolana. Dyktator miał zamknięte oczy. Oddychał jeszcze, ale był to drżący, płytki oddech. Jego skóra miała już kolor szarej bladości, który jest charakterystyczny dla ludzi znajdujących się na krawędzi życia i śmierci.

– Co oni najlepszego narobili... – Romulus zawodził. Przepelił go wielki żal. Życie Cezara nie powinno się tak skończyć.

Wstrząśnięty widokiem krwi Mattiusz cofnął się o krok.

– Romulus?

Zaskoczony spojrział na Cezara, który otworzył oczy.

– Panie?

– To ty... – oddech Cezara rzeźił w piersiach.

Romulus stwierdził, że zaciska dłonie na jednej z okrwawionych rąk dyktatora.

– Nie mów nic, panie. Szybko znajdziemy jakiegoś medyka, który cię pozszywa.

Kąciki ust Cezara uniosły się ku górze.

– Jesteś kiepskim kłamcą, legionisto – wyszeptał. – I trzeba mi było cię posłuchać. Nie powinienem był tu przychodzić.

Romulus zwiesił głowę, starając się ukryć łzy. Wszystkie jego wysiłki poszły na marne. Chwilę później poczuł, jak Cezar ściska jego rękę.

– Jesteś dobrym żołnierzem, Romulusie – Cezar dyszał. – Przypominasz mnie... mnie samego, gdy byłem młodszy.

Na te słowa Romulus najpierw poczuł dumę, ale ta nie trwała dłużej niż dwa uderzenia serca. Na jego czoło wyszły krople lepkiego potu. Odsunął rękę, zwalniając uścisk, jakby trzymał w dłoni coś

oślizgłego i nieprzyjemnego w dotyku. Jego umysł wypełniły szalejące wątpliwości.

Cezar nie zdawał sobie sprawy z tego, co działo się w duszy Romulusa. Zachowanie jego żołnierza chyba go trochę zdziwiło. Próbował się unieść, by usiąść, ale z ran natychmiast pociekły nowe strużki krwi. To było dla niego za wiele. Opadł bezwładnie na marmurową posadzkę. Jego oczy patrzyły w dal, jakby wpatrując się już w bramy nieodległego Elizjum. Albo Hadesu.

Romulus pomyślał o Fabioli. Wziął głęboki oddech, chcąc odciąć się od swojego smutku. Zostały tylko chwile, zanim będzie za późno.

– Pewnego wieczoru dwadzieścia sześć lat temu w pobliżu forum piękna niewolnica została zgwałcona przez arystokratę – wyszeptał do ucha umierającego Cezara. Sprawdził, czy dyktator usłyszał i zareagował jakoś na to, co powiedział. Pozwolił swoim słowom wybrzmieć. Otworzyć furtkę w jego pamięci. A po chwili pochylił się nad nim znowu.

– Czy to ty byłeś tym człowiekiem? – patrzył uważnie na twarz dyktatora, ciekawy jego reakcji.

Nie doczekał się żadnej. Musiał sprawdzić, czy ranny jeszcze oddycha. Podsunął wilgotny palec pod nos, a potem nad usta. Najśłabsze ze słabych mięśni powietrza powiedziało mu, że w tym podziurawionym i skrwawionym ciele jeszcze tli się życie. *Jowiszu!* – Romulus modlił się ze wszystkich sił. – *Nie pozwól mu umrzeć, pozostawiając mnie w niewiedzy.* Pochylił się nad dyktatorem, zmuszając go, aby spojrzał na niego raz jeszcze. Nic to nie zmieniło.

– Czy to ty jesteś moim ojcem? – zmusił się do wypowiedzenia tych słów.

Nagle Cezar otworzył szeroko oczy, a jego ciało zeszywniało.

Romulus zajrzał w głąb jego duszy. Zobaczył nagą prawdę.

– Na wszystkich bogów... To ty zgwałciłeś moją matkę – wyszeptał, czując, jak ciężar tej świadomości spada mu na ramiona. Fabiola przez cały czas miała rację. Podobieństwo do Cezara nie było przypadkowe. *Jestem jego synem!*

Co wynikało z tej wiedzy? Czy jego miłość do Cezara brała się nie tylko z oddania typowego dla żołnierza? Nie wiedział. Wszystko mu się

plątało w głowie. Chwilę później dyktator już nie żył. Romulus zapadł się w otchłań przygnębienia, z którym próbował walczyć logiką. Dlaczego miałby się smucić? Ten drań skrzywdził jego matkę. Znow z jego oczu popłynęły łzy na wspomnienie ran, które wydawały się zabliznione, a teraz znowu się otworzyły.

– Nie był tak całkiem zły... – powiedział nagle Tarkwiniusz. – Niech świadczy o tym to, że dał ci wolność.

Romulus poczuł rękę haruspika na swoim ramieniu. Ten pełen empatii dotyk był właśnie tym, czego teraz potrzebował.

– Wiedziałaś?

– Podejrzywałem. Przez długi czas. Ostatnio te podejrzenia przerodziły się w pewność.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś!

Tarkwiniusz westchnął.

– I tak poniosłeś już poważne konsekwencje mojego działania. Skrzywdziłem cię. A nie widziałem żadnej korzyści płynącej z tej wiedzy. W nadchodzących dniach dzieci Cezara znajdą się w wielkim niebezpieczeństwie. Czy dołączyłbyś do spisku Fabioli, gdybyś miał pewność?

Romulus spoglądał na ciało Cezara i długo zastanawiał się nad odpowiedzią. Przez wiele lat wracało do niego pytanie, jak zachowałby się, gdyby kiedykolwiek spotkał swojego ojca. Najczęściej wyobrażał sobie wtedy, że poddaje go torturom. Długim i bolesnym, takim samym, jakie zaplanował dla Gemellusa. A jednak, gdy kupiec był już na jego łasce, wszystko potoczyło się zupełnie inaczej, niż zakładał.

– Nie – powiedział w końcu.

– Dlaczego nie?

– Gwałt jest czymś bardzo złym, ale nie stanowi wytłumaczenia dla morderstwa – Romulus odpowiedział ze smutkiem. Dotknął okaleczonych zwłok Cezara. – Nawet taka zemsta nie przywróci życia mojej matce.

– Niestety... – usłyszał głos Fabioli.

Odwrócił się. Jego siostra stała tuż za nim. Spojrzeli na siebie nieufnie. Pierwszy odezwał się Romulus, który chciał się podzielić całym swoim smutkiem. Musiał.

– Miałaś rację... – przyznał.

Fabiola uśmiechnęła się niepewnie, a potem dotknęła jego ramienia.

– Przyznał się, że zgwałcił matkę?

– Zapytałem go... Ten wyraz jego oczu, gdy usłyszał pytanie...

Był winny. Jestem tego pewien.

– Mówiłam! – Fabiola popatrzyła na zakrwawione ciało Cezara i roześmiała się głośno. – Ten skurwysyn zapłacił za wszystko. Chwalcie bogów!

Romulus zwiesił głowę. Przytłaczała go świadomość, że nie podziela radości Fabioli.

Wyczuła jego zdezorientowanie.

– Nie cieszysz się?

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– I tak... i nie...

– Jakich więcej potrzebujesz dowodów? – Fabiola wyrzuciła z siebie gniewnie. – Matki, która wstanie z grobu i zidentyfikuje go dla ciebie?

– Oczywiście, że nie – odpowiedział Romulus, przyjmując obronną postawę. – Ale to skomplikowane, siostró. Dał mi *manumissio*. Gdybyś zabiła go kilka lat temu, nie stałbym tu teraz przed tobą. – Romulus wyobraził sobie kogoś innego na miejscu editora tamtych igrzysk. Zabicie nosorożca jedynie opóźniłoby wtedy jego śmierć. – Trafiłem na arenę jako *noxius*. Dobrze wiesz. I gdyby nie Cezar, moje kości białaby teraz na Eskwilinie.

Fabiola nie odpowiedziała.

Przybiegł Mattiusz, który wcześniej wycofał się do wyjścia.

– Na zewnątrz zaczyna się zbierać spory tłum – oznajmił.

Romulus się ożywił.

– Gdy zobaczą, co się stało, zapragną krwi. Musimy uciekać.

Zostawili ciało Cezara pod posągami Pompejusza, jego odwiecznego rywala, i ruszyli do wyjścia. Milczeli. Każdy próbował ogarnąć umysłem ogrom konsekwencji tego, co się stało, i ciężar niewypowiedzianych słów, które ich dzieliły. Ciemne oczy Tarkwiniusza błędziły od Romulusa do Fabioli i z powrotem, ale haruspik nie

próbował interweniować. Mattiusz był jeszcze zbyt młody, aby zrozumieć przyczyny tej napiętej atmosfery.

Na szczęście strażników również ogarnęła panika i pozostawili samym sobie nieprzytomnych towarzyszy leżących pod masywnymi drzwiami. Romulus był przekonany, że senatorowie rozpowiedzieli już, że Cezar został zamordowany. Nie mylił się. U podnóża schodów zbierał się tłum. Ludzie wciąż jeszcze za bardzo się bali, aby udać się na miejsce zbrodni, ale wszędzie wokół nich rozbrzmiewały krzyki i płacz. Nawoływano do działania. Romulus dobrze wiedział, jak może skończyć się wejście w drogę oszalałemu motłochowi, nad którym nikt nie panował. Wszystko wtedy zwykle toczy się szybko, a konsekwencje są przerażające. Nikt się nie zatrzyma, aby wysłuchać, co mają do powiedzenia. Nikt nie uwierzy, że akurat oni próbowali uratować Cezara. I nawet Mattiusz nie zostanie oszczędzony.

– Za mną. Nie patrzcie nikomu w oczy – odezwał się Romulus. – Tarkwiniuszu, ty zabezpieczasz tyły. – Uniósł miecz i zaczął schodzić po schodach. Nikt nie protestował.

Szybko ich zauważono. Od razu poleciały w ich kierunku pytania i gniewne okrzyki.

– Czy to prawda? – spytał brodaty mężczyzna w tunice robotnika.
– Czy Cezar został zamordowany?

– Tak – odpowiedział Romulus, nie zatrzymując się.

Jakiś nieartykułowany ryk pełen gniewu uniósł się nad zebranymi pod schodami obywatelami miasta. Romulus wyczuł, że Fabiola aż się wzdrygnęła.

– Ruszaj się... szybciej! – wysyczał do niej.

– Kto to zrobił?

– Grupa senatorów – odpowiedział Romulus. – Poznacie ich po tym, że mają spryskane krwią togi.

– Widziałem takiego! – ktoś krzyknął.

– Ja też! – zawył ktoś inny.

Twarz robotnika wykrzywiła się z wściekłości.

– Którędy poszli?

– Tam!

W jednej chwili tłum stracił nimi zainteresowanie. Ludzie

popędzili w dół uliczki, która prowadziła do zielonych ogrodów kompleksu Pompejusza i dalej do miasta.

– Za nimi! – ryczał robotnik.

Odpowiedziało mu potężne wycie, a fala wezbrała i odpłynęła. Ludzie grozili zabójcom zaciśniętymi pięściami i bronią.

– Nie zazdroszczę temu, kogo uda się im złapać – powiedział Tarkwiniusz.

Fabiola nie miała najszcześniejszej miny, bo dobrze pamiętała nieprzyjemne doświadczenie, gdy zagarnął ją tłum protestujących po tym, jak zabito Klodiusza Pulchera.

Romulus zignorował jej reakcję. To nie była też najlepsza chwila, aby zajmować się różnicami w ich poglądach.

– Pójdziemy w tamtą stronę – powiedział, wskazując na arenę. – Będziemy mogli wejść do miasta przez inną bramę.

Zrobili zaledwie z tuzin kroków, gdy z niewielkiej furtki w murze amfiteatru wyłoniło się kilkoro ludzi. Romulus zmrużył oczy i zeszywniał. To byli gladiatorzy. Instynktownie zwiększył tempo marszu, licząc, że uda im się pierzchnąć i pozostać niezauważonymi.

Nic z tego. Gladiatorzy dostrzegli ich i ruszyli biegiem, chcąc odciąć im drogę w kierunku miasta.

– Stójcie... – Romulus stwierdził, że ucieczka nie ma sensu. *Czego mogą chcieć ci ludzie?* Razem z Tarkwiniuszem stanęli w obronnych pozach przed Fabiolą i Mattiuszem. Czekali. Wkrótce mogli już przyjrzeć się wyposażeniu gladiatorów. Dwóch *murmillones* i para traków. Wszyscy mieli pełne wyposażenie: hełmy, miecze i tarcze. Romulus zastanawiał się, kim są, i żałował, że ma przy sobie tylko gladius. Za nimi biegł mężczyzna w białej todze. Decimus Brutus! Romulus zerknął na Fabiolę. Wydawała się zadowolona. Poczł ulgę. Walka z czterema uzbrojonymi po zęby gladiatorami nie skończyłaby się dla nich dobrze.

– Tak właśnie myślałem, że to ty, kochanie – Brutus krzyknął z daleka. – Niech dzięki będą Jowiszowi, że jesteś bezpieczna. Skąd ty tutaj?

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Byłam w świątyni. Musiałam mieć pewność, że Cezar nie żyje.

Brutus się skrzywił.

– Zabrałem ze sobą gladiatorów, żeby zabrać jego ciało.

Chciałbym, żeby potraktowano je z godnością. Na tyle zasłużył.

W Romulusie krew zaczęła się gotować.

– To trochę za późno – warknął. – Może lepiej byłoby, gdybyś stał przy jego boku, a nie odciągał Antoniusza.

– Jak śmiesz mnie oceniać?! – zawołał Brutus. – To nie jest takie proste.

Romulus był tak wzburzony, że nie zważał na różnicę ich statusu.

– Naprawdę? To może wyjaśnisz, jak to możliwe, że przysięgasz komuś wierną służbę, a potem planujesz jego zadżganie?

Usta Brutusa ściągnęły się z wściekłości.

– Odpowiadam ci tylko dlatego, że Fabiola jest twoją siostrą. On stał się tyranem, który gardził Republiką.

– Cezar zakończył dekady walk i lata wojny domowej – odparł Romulus z pogardą. Ten głupiec uległ czarowi Fabioli, podczas gdy powinien zachowywać się jak żołnierz. – Cezar był gwarantem najlepszej przyszłości Rzymu. I ty to wiesz. Wydawało mi się, że byłeś jego zagorzałym sojusznikiem.

– Romulusie... – Fabiola podeszła bliżej – Proszę cię...

Romulus nie potrafił już opanować buzujących w nim emocji. Podświadomie wiedział, że po części za wszystko obwinia Fabiolę – i siebie samego – ale nie dbał już o nic.

– I ty nazywasz się żołnierzem? Pieprzony tchórz!

– A ty jestem zwykłą szumowiną. Nikim. Tylko przefarbowanym niewolnikiem!

– Szumowina, co? Przynajmniej próbowałem ochronić Cezara, a ty nawet nie miałeś jaj, żeby spojrzeć mu w oczy, gdy wbijałeś sztylet zdrady w jego plecy.

Teraz Brutus zdenerwował się nie na żarty. Wyciągnął dłoń i wskazał palcem Romulusa.

– Zabijcie tego śmiecia! Jego przyjaciela też.

Gladiatorzy ruszyli do przodu ze złośliwymi uśmiechami na twarzach. Nie obchodziło ich, kim jest młody żołnierz i jego towarzyszy.

– To mój brat! – Fabiola płakała.

– Nie obchodzi mnie, kim jest – odpowiedział Brutus. Żyły na jego szyi spęczniały. – Żadna szmata nie będzie mówiła do arystokraty w ten sposób, a na pewno nie przeżyje, aby o tym opowiadać.

– Odsuń się, Fabiolo – powiedział wstrząśnięty Romulus.

– Nie – Fabiola uniosła ręce w błagalnym geście. – Proszę, uspokój się, moja miłości. Tyran nie żyje. Tylko to się liczy. Nie ma powodu, aby kontynuować rozlew krwi.

– Ty słyszysz, co mówisz? – Romulus przelał teraz swoją kipiącą wściekłość na siostrę. – Mówisz, że był tyranem? Co cię to w ogóle obchodzi? Chciałaś tylko zemsty na człowieku, który zgwałcił naszą matkę.

Brutus zbladł.

– Taka była twoja motywacja?

Fabiola wyprostowała się dumnie.

– To prawda. Dlatego wybrałam ciebie, a nie któregośkolwiek z tych głupców odwiedzających Lupanar.

Brutus spojrział na nią oszołomiony.

– Ale... wybrałem cię pierwszy.

– Może i tak. Tyle że potem to ja wszystko zaplanowałam.

Gwarantowałam mi drogę do Cezara, a ja gotowa byłam uczynić absolutnie wszystko, aby mieć pewność, że się ode mnie uzależnisz.

Brutus uniósł rękę, próbując odepchnąć słowa, które go raniły.

– Nie... Opowiadasz niestworzone historie!

– Dlaczego miałabym kłamać? – Fabiola splunęła. Kropelki śliny zalśniły na jej ustach. – Tylko myśl o zemście utrzymywała mnie przy zdrowych zmysłach, gdy oddawałam się nie tylko tobie, ale i setkom innych. I przez cały czas nie myliłam się co do tego drania!

Cierpienie Fabioli znalazło drogę prosto do serca Romulusa.

Brutus aż zatoczył się pod ciężarem słów Fabioli.

I wtedy wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko.

Gładiatorzy uznali, że ogólna konsternacja jest najlepszym momentem do ataku. Uderzyli. Było ich czterech na dwóch i dysponowali lepszą bronią, dlatego mogli liczyć, że błyskawicznie zakończą walkę, zanim się na dobre rozpocznie. Rozemocjonowana swoim wybuchem Fabiola znalazła się teraz między młotem i kowadłem.

Romulus rzucił się ku niej, próbując zagarnąć ją ramieniem i przesunąć za plecy. Udało mu się, ale w tym samym czasie odsłonił swój bark i nie mógł się bronić. Kątem oka dostrzegł rozmyty obraz poruszającego się jak zjawa Tarkwiniusza z labrysem w dłoni. Ściągnął na siebie uwagę aż trzech gladiatorów. Czwarty jednak nie zatrzymał się i uderzył Romulusa w klatkę piersiową umbem tarczy. Impet szybko poruszającego się mężczyzny zwałił go z nóg, a potężny cios oszołomił. Leżał na ziemi, z trudem wciągając powietrze. Mógł tylko biernie patrzeć na to, co robi *murmillo*.

Gladiator ryknął z satysfakcją i odprowadził do tyłu prawą rękę, aby zadać śmiertelny cios.

– Nie! – Romulus usłyszał krzyk Fabioli. Rzuciła się do przodu, aby znaleźć się na drodze ostrza miecza.

Romulus do końca swoich dni będzie pamiętać sekwencję zmieniających się jakby w zwolnionym tempie obrazów. Siostra, która zasłoniła go swoim ciałem. Ostrze wchodzące głęboko w jej klatkę piersiową. Pysznic ciepłej krwi zraszający jego twarz. Ciężar bezwładnego, miękkiego ciała Fabioli. Przez chwilę nie mógł pojąć, co się stało. Gdy dotarła do niego straszna prawda, objął siostrę w pół, a z jego ust wyrwał się niekontrolowany ryk niezmiernego bólu, który trwał i trwał, dopóki Romulus zupełnie ochrypnął. Zagubiony w morzu smutku niejasno zdawał sobie sprawę, że *murmillo* nie zadał drugiego ciosu. Ktoś krzyczał.

– Romulusie... – usłyszał cichy głos Tarkwiniusza. – Puść ją. Podnieś się.

Romulus usłuchał, chociaż poruszał się sztywno niczym lunatyk. Poczuł, że ciało Fabioli przesuwają się niżej. Usiadł i stwierdził, że jego tunika jest cała przesiąknięta krwią siostry. Teraz ciało Fabioli opadło na jego kolana. Piękna, jak zawsze, ale z otwartymi bezwładnie ustami. Jej błyszczące zazwyczaj oczy zaszły mgłą. Nie było już w nich życia. Odeszła.

– Dlaczego? Dlaczego to zrobiła?

– Byłeś jedynym naprawdę bliskim jej człowiekiem. Rodziną. Czy ty nie zrobiłbyś tego samego dla niej?

– Oczywiście, że tak... – Romulus zaszlochał.

Tarkwiniusz objął go ramieniem.

– To powinieneś zrozumieć. Była kobietą, ale miała lwie serce.

– Fabiola?

Romulus uniósł wzrok. Ujrzał pochylającego się nad nimi Brutusa. Rozejrzał się. Jeden trak leżał na ziemi i wył z bólu. Zaciskał rękę na kikucie prawej ręki, która musiała zostać odrąbana toporem Tarkwiniusza. Dwaj pozostali gladiatorzy próbowali mu pomóc, podczas gdy *murmillo*, który zabił Fabiolę, leżał na brzuchu ze sztyletem Brutusa w tylnej części karku. Tuż za nim kucał Mattiusz – do końca wierny – z nożem w rękę, gotowy do działania.

– Ona nie żyje... – Romulus odezwał się do Brutusa głosem pełnym nienawiści. – Przez ciebie!

Tym razem Brutus nie zareagował. Ukląkł. Rysy jego twarzy zniekształcił ból. Uniósł zakrwawione ciało Fabioli. Kołysał ją w ramionach, jakby chciał utulić, głośno lamentując.

Gniew Romulusa gdzieś wyparował, gdy zobaczył, jak nieukojoony był smutek Brutusa. Bez wątpienia ten mężczyzna kochał Fabiolę. Przez tę miłość stał się dla niej łatwym celem. Bo przecież umiejętność manipulowania ludźmi była jej główną bronią. Romulus pokiwał ze smutkiem głową. Jego siostra dawniej nie była taka. Wcześniej nie do końca rozumiał, przez co musiała przejść, ale jej ostatnie wyznanie sprawiło, że wreszcie to do niego dotarło. Teraz patrzył na wszystko z zupełnie innej perspektywy. Musiała znosić cierpienia i ludzi korzystających z jej ciała dzień po dniu, dlatego skoncentrowała całą energię na planowaniu zemsty na Cezarze. Tylko to utrzymywało ją przy zdrowych zmysłach.

Chociaż życie nie oszczędzało też Romulusa, wiedział, że podjął właściwą decyzję, nie przyłączając się do Fabioli. Zabijał. Zabił wielu ludzi, z zimną krwią wypełniając rozkazy dowódców. Ale już tego nie zrobi. Ponadto, chociaż Cezar postąpił źle, w pewnym sensie zadośćuczynił mu poprzez *manumissio*. Był to akt znamionujący tę jego dobrą stronę. Fabiola nie otrzymała takiego daru, a dyktator na dodatek próbował ją zgwałcić. Własną córkę! Czy można się dziwić, że była tak zdemoralizowana i tak zgorzkniała?

I wtedy pomyślał o tym, z jaką łatwością Fabiola dobrowolnie

poświęciła swoje życie, żeby go uratować. To znaczy, że miała też inny powód, by przetrwać piekło Lupanaru. Miała jego. Romulusa. Na myśl o tym prostym przejawie więzi krwi z jego oczu znów ciurkiem pociekły łzy. Obraz Fabioli i pragnienie odnalezienia jej pomogły mu przetrwać okropności Carrhae i pomagały wiele lat później. Nawet sobie z Fabiolą nie zdawali z tego sprawy, że byli w tym tak bardzo podobni do siebie.

Tarkwiniusz długo stał bez ruchu obok dwóch mężczyzn szlochających jak dzieci nad ciałem Fabioli. Kiedy się już odezwał, w jego niskim głosie pobrzmiwał ton pilności.

– Musimy iść. Ktoś się zbliża.

Romulus uniósł głowę i chwilę nasłuchiwał. Rzeczywiście. Od strony drogi prowadzącej do centrum miasta słychać było gniewne okrzyki dużej grupy ludzi. Spojrzał na swoje ręce i nogi. Był cały umazany krwią siostry. Podobnie jak Brutus.

– Rozszarpia nas... – odezwał się Brutus.

– Zanieście ją na arenę – rozkazał dwóm gladiatorom, którzy nie odnieśli żadnych ran.

Romulus wiedział, że nadszedł czas, aby odejść. Nie tylko stąd, z Rzymu. Z Italii. Cezar nie żyje. Nie ma żadnych obowiązków wobec Republiki. Za spadkobiercę dyktatora powszechnie uważano Oktawiana Augusta, ale to nie znaczyło, że Romulus chciałby brać udział w kolejnej wojnie domowej. Nie będzie już walczył. A na pewno ani dla Oktawiana, ani dla kogokolwiek innego, kto będzie rządził Rzymem. Wstał i spojrzał na Brutusa.

Ten instynktownie czuł, o co chce zapytać.

– Jej pogrzeb odbędzie się za osiem dni.

Romulus skinął głową. Pomimo różnicy zdań, która doprowadziła do tego nieszczęścia, wiedział, że Brutus nie będzie miał nic przeciwko jego obecności na ceremonii pogrzebowej Fabioli. Przynajmniej tyle był mu winien.

Brutus zebrał swoich ludzi i po chwili już go nie było. Ranny trak stracił za dużo krwi. Zostawili go.

Nie zwlekając, Romulus i jego towarzysze skręcili w najbliższą wąską alejkę. Nie chcieli mieć problemów z przedostaniem się przez tłum i dotarciem do miasta. Tarkwiniusz podał Romulusowi swój

płaszcz.

– Lepiej nie zwracać na siebie uwagi i nie prowokować nikogo do zadania niewygodnych pytań.

Zakładając płaszcz, Romulus zastanawiał się nad swoją sytuacją. Osiem dni z nawiązką wystarczy, żeby uporządkować wszystkie sprawy. Co potem? Bez Cezara kampania w Dacji i Partii stanie pod znakiem zapytania. Jednak myśl o powrocie na wieś zupełnie do niego nie przemawiała. Ryk słonia dochodzący z pobliskiej areny sprawił, że Romulus był już pewien, iż nigdy nie zazna szczęścia w Italii. Nie wtedy, gdy istniała najmniejsza szansa, że Brennus żyje. Złapał spojrzenie Tarkwiniusza. Świetnie wiedział, że haruspik czyta z niego, jak z otwartej księgi. Ale co z Mattiuszem? Nie musiał mu jeszcze nic mówić.

– Mattiuszu, mam dla ciebie nowe zadanie.

– O co chodzi?

– Pędź do mitreum i opowiedz Sekundusowi, co tu się wydarzyło.

Następca Cezara może w ciągu najbliższych dni potrzebować pomocy.

Mattiusz powtórzył jego wiadomość, a potem kiwnął głową.

Odwrócił się i ruszył biegiem.

Romulus obserwował Mattiusza, dopóki nie stracił go z oczu.

Wielki Mitro, czuwaj nad jego drogą – modlił się. – Iuppiter Optimus Maximus, spraw, żeby nic mu się nie stało. Będzie musiał porozmawiać z człowiekiem uczonym w prawie, którego polecał mu Sabinusz. Powinien przepisać gospodarstwo na rzecz chłopca i jego matki. Romulusa bolało serce, że będzie musiał go zostawić, ale Partia i Margiana to nie były najlepsze miejsca dla dziecka. Tu, w Rzymie, pod opieką Sekundusa Mattiusz będzie przynajmniej miał szansę na jakąś pomyślną przyszłość. Dostanie lepszą szansę niż on i Fabiola.

Haruspik uniósł wzrok na kłębiące się bałwany chmur, przesuujące się nad ich głowami. Po kilku uderzeniach serca na jego poznaczonej bliznami twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Naprawdę mam ruszyć na wschód. Znowu!

Romulus spojrzał ze smutkiem tam, gdzie zniknęli gladiatorzy niosący Fabiolę, a potem w kierunku świątyni, w której zapewne ciągle jeszcze leżało ciało Cezara. W ciągu jednej godziny stracił siostrę i ojca.

Ta świadomość była druzgocąca. Ale jego matka została pomszczona. To oznacza, że Tarkwiniusz i Brennus, jeśli ten ostatni jeszcze żyje, są jego jedyną rodziną. W jakiś dziwny sposób ta świadomość sprawiła, że poczuł się wolny. Jak nigdy dotąd.

Wystarczyła godzina, aby Rzym przestał być dla niego centrum świata.

Stolica rzymskiego imperium znaczyła dla niego jednak mniej, niż myślał.

– Chyba zabiorę się z tobą...

Komentarz autora

Bez wątpienia wielu Czytelników dobrze zna historię wojny domowej w Rzymie oraz wydarzenia, które doprowadziły do śmierci Cezara. Tam gdzie było to możliwe, starałem się być wierny przebiegowi zdarzeń znanych z historii. Gdybym tego nie zrobił, miałbym poczucie winy: tamte fascynujące zdarzenia aż proszą się o to, aby na ich kanwie napisać powieść.

Opis nocnej bitwy w Aleksandrii i dramatycznej ucieczki Cezara, który musiał skoczyć do wody i przebył ją wplaw, starając się nie zamoczyć ważnych dokumentów, ocalał w annałach historii i relacjach świadków.

Wprawdzie do stolicy Egiptu Cezar zabrał wówczas ze sobą tylko przetrzebiony Legion XXVII (a nie XXVIII), na potrzeby fabuły Romulus musiał zostać żołnierzem legionu, który walczył w bitwie pod Ruspina (tak jak Legion XXVIII), dlatego świadomie zmodyfikowałem skład oddziału wydzielonego w Egipcie.

Żołnierze Farnakesa podobno naprawdę kastrowali rzymskich obywateli, których udało im się złapać.

Chociaż użycie rydwanów bojowych wyposażonych w ostrza na piastach (między innymi) pod Zelą jest zgodne z prawdą, nie znamy dokładnego składu całej armii pontyjskiej. Dlatego opisałem oddziały typowe dla tego obszaru i tej epoki historycznej.

Zazwyczaj peltaści i *thureophoroi* spełniali rolę lekkich harcowników, a nie regularnej piechoty, która miałaby jakiekolwiek szanse w bezpośrednim starciu z rzymskimi legionami. Biorąc jednak pod uwagę fakt znacznej przewagi liczebnej, jaką dysponował Farnakes, uznałem za prawdopodobne, że zostali oni użyci w dużych grupach w nadziei przełamania linii i osłabienia morale. Cezar sięgnął po zwycięstwo tak szybko, jak opisałem to w książce.

Rzym pod koniec istnienia Republiki nie był wcale tak czystym i schludnym miastem, jak można by sądzić na podstawie współczesnych filmów i programów telewizyjnych. Niewiele domów dysponowało

jakimkolwiek systemem sanitarnym. Większość ludzi używała toalet publicznych lub wyrzucała ekskrementy w dużych wiadrach prosto do specjalnie przeznaczonych do tego celu dołów. Wszystkie rzymskie ulice – poza dwiema głównymi – były węższe niż 3,1 m, a większość z nich była nieutwardzona. Budynki trzy-, cztero- i pięciopiętrowe przysłaniały tym samym niebo i sprawiały, że przez większą część dnia ulice pogrążone były w cieniu. W przeciwieństwie do czasów imperium, gdy kwartały miejskie podzielono tak, aby oddzielić klasy społeczne, ludzi bogatych i biednych, w Rzymie okresu Republiki obywatele mieszkali w sąsiadujących ze sobą budynkach.

Umieszczanie różnych klątw i życzeń dla wrogów na kawałkach metalu, które potem składano w świątyniach, było praktyką powszechną i typową, o czym może się przekonać każdy, kto odwiedzi niesamowite rzymskie łaźnie w Bath w Anglii. Znalezione tam dziesiątki ołowianych pasków z tekstami, które przetłumaczono, dzięki czemu stały się dla nas zadziwiającym oknem, przez które można zerknąć w przeszłość.

Wbrew powszechnej opinii większa część ogromnej Biblioteki Aleksandryjskiej nie została zniszczona podczas nocnej bitwy z Rzymianami, ponieważ zbiory zgromadzono w dwóch miejscach w mieście. Niestety, to, co nie powiodło się Rzymianom, udało się oszalałemu tłumowi chrześcijan cztery wieki później. Biblioteka w Aleksandrii została wówczas spalona i zrównana z ziemią. W ten sposób zniszczono najbardziej fascynujący zbiór wiedzy o czasach starożytnych, jaki kiedykolwiek istniał.

Według mojej wiedzy Legion VI nie towarzyszył Cezarowi podczas jego podróży do Italii po bitwie pod Zelą. Nie zorganizowano też wielkich uroczystości po zwycięstwie dyktatora w Azji Mniejszej. Za to sposób, w jaki poradził sobie ze zbuntowanymi legionistami, jest jak najbardziej prawdziwy.

Do Rzymu trafiały nosorożce sprowadzane przez handlarzy zwierząt na areny i naprawdę nazywano je etiopskimi bykami. Często właśnie *noxii* przychodziło się z nimi zmierzyć. Trudno ocenić, czy nosorożca można zabić włócznią, a moje próby dowiedzenia się tego skończyły się absolutnym fiaskiem. Gdy spróbujesz wyszukać w Internecie strony zawierające takie słowa kluczowe, jak „nosorożec”,

„zabić”, „włócznia”, zapewne nie znajdziesz ich o wiele więcej ode mnie! W tym aspekcie nie pomogła mi nawet lektura książki napisanej przez pewnego wielkiego myśliwego. W końcu zdecydowałem, że muszę polegać na mojej wiedzy z zakresu weterynarii. I ponieważ praktycznie serca wszystkich ssaków znajdują się za mięśniami lewej kończyny, uznałem, że właśnie tam powinien mierzyć Romulus. To, czy ktokolwiek byłby w ogóle w stanie zabić nosorożca w takich okolicznościach, jak te opisane, jest oczywiście sprawą dyskusyjną. Niemniej jednak sądzę, że jest to *możliwe*!

Gdy dowiedziałem się o istnieniu mechanizmu z Antykithiry (jest to właśnie ów pudełkowaty obiekt, który Tarkwiniuszowi niemal udało się zobaczyć na Rodos), czułem się zobowiązany nawiązać do niego w *Drodze do Rzymu*. Chociaż ten artefakt został odnaleziony przed przeszło stu laty, dopiero około dziesięć lat temu historycy i archeolodzy poznali jego prawdziwe znaczenie i budowę! Dzięki ogromnemu aparatowi rentgenowskiemu (ważącemu osiem ton) wykonano serię zdjęć, dzięki którym można odtworzyć ze wszystkimi szczegółami wewnętrzny mechanizm. Urządzenie nazywane „starożytnym komputerem” powstało prawdopodobnie około 150–100 r. p.n.e. gdzieś w rejonie Syrakuz i naprawdę służyło do wykonywania skomplikowanych obliczeń, o których mowa w tej książce. Co ciekawe, technologia pozwalająca wykonać i połączyć w jeden mechanizm te wszystkie drobne elementy i koła zębate, została ponownie wynaleziona dopiero ponad tysiąc pięćset lat później. Pojawia się pytanie: jeśli Grecy potrafili tworzyć takie przedmioty, to czego jeszcze o nich nie wiemy? Jakże niesamowita jest świadomość, że przypadkowe odkrycie poławiacza gąbek może powiedzieć nam tak wiele o dawnych cywilizacjach. Nie wiemy, gdzie mechanizm z Antykithiry był transportowany i dlaczego znalazł się na dnie morza. Jedna z popularnych teorii głosi, że został zrabowany przez Rzymian ze słynnej greckiej szkoły stoickiej na Rodos. Powszechnie bowiem znany był zwyczaj grabieży skarbów z podbitych terenów w celu podkreślenia świetności zwycięstw wodzów podczas ich triumfów.

Mój opis przebiegu bitwy pod Ruspina w dużej mierze odpowiada relacjom historycznym. Na początku kampanii sztormy rozproszyły flotę

Cezara, a jego kawalerzyści naprawdę byli zmuszeni do karmienia koni suszonymi wodorostami. Scypion ukrywał swoją jazdę aż do ostatniej chwili, a Cezar rzeczywiście musiał poradzić sobie ze spanikowanym chorążym, by potem dzięki swojej odwadze i geniuszowi odwrócić losy bitwy. Labienus został zaatakowany przez doświadczonego legionistę – weterana, a nie oficera w randze starszego centuriona.

Marek Petrejusz, który pojawił się już w *Srebrnym orle*, walczył pod Ruspina i prawdopodobnie został podczas tej bitwy ranny. Za to fikcją literacką jest scena, w której dzieje się to podczas ostatniego starcia tego dnia, a rana zostaje zadana przez Romulusa.

Przed bitwą pod Tapsus kilka kohort cezarian zostało specjalnie przeszkolonych do walki ze słoniami bojowymi. Co ciekawe, elitarne legiony Cezara naprawdę nie mogły się doczekać walki z wrogiem, a żołnierze zaatakowali siły pompejańskie, nie czekając na rozkaz.

Jednym z najciekawszych odkryć podczas zbierania materiałów do *Drogi do Rzymu* był opis starcia pewnego legionisty z *Legio V Aludae* ze słoniem, który miał pochwyć jakiegoś cywila z obozu. Legionista podobno pokonał słonia, zmuszając go do porzucenia niedoszłej ofiary. Czułem, że powinienem wpleść tę sekwencję do powieści, mimo że w pewnym sensie wpływała ona na nieuchronność (lub nie?) tego, co stało się z Brennusem.

Cezar rzeczywiście uczestniczył jesienią 46 r. p.n.e. w czterech triumfach, a oszałamiającą skalę każdego z nich możemy sobie tylko wyobrażać. Dobrze znana i udokumentowana jest hojność dyktatora wobec swoich żołnierzy i rzymskiego społeczeństwa jako całości.

Jego gwardia honorowa, złożona z żołnierzy wszystkich dziesięciu legionów, jest moim wymysłem, dzięki czemu mogłem sprowadzić Romulusa do Rzymu. To właśnie podczas tych parad, a nie pod Ruspina, jego ludzie podobno śpiewali sprośną piosenkę o „łysym podrywaczu”.

Nie ma wielu dowodów, że twarz zwycięskiego generała malowano na czerwono, podobnie jak na to, że pokrywano posąg Jowisza krwią (lub czerwonym naturalnym pigmentem), ale zdecydowałem się dodać ten element dla zwiększenia dramatyzmu.

Bitwa pod Mundą miała tak niezwykły przebieg, jak to opisałem, podobnie jak oszałamiające wyróżnienia dla Cezara, które zostały mu

przyznane po powrocie do Rzymu.

Marek Antoniusz z *Drogi do Rzymu* był wyjątkowym człowiekiem. Ten urodzony żołnierz, utalentowany dowódca był znany również z wielu słabości: do alkoholu, kobiet i hulaszczego trybu życia. Istnieją zapisy mówiące o tym, że wymiotował przed całym senatem, i o tym, że lubił przemieszczać się po mieście w swoim brytyjskim rydwanie bojowym. Chociaż ponosi odpowiedzialność za brutalne potraktowanie buntujących się w Italii żołnierzy, gdy Cezar przebywał w Aleksandrii, nie ma żadnych dowodów, iż angażował się w imieniu Cezara w jakieś brudne rozgrywki, wykorzystując ludzi pokroju fugitivariusza.

Oczywiście Fabiola w roli katalizatora spiskowców to czysta fikcja literacka, podobnie jak Lupanar jako miejsce spotkań zamachowców. Marek Junius Brutus był rzeczywiście wśród tych, którzy dołączyli do spisku na końcu, choć szybko stał się jednym z liderów grupy. Jak wyjaśniono w nocy do *Srebrnego orła*, jego towarzysz, Gajusz Kasjusz Longinus, jest postacią fikcyjną, będącą połączeniem dwóch postaci historycznych: mężczyzny o tym samym imieniu i nazwisku oraz jego brata (lub kuzyna), Kwintusa Kasjusza Longinusa.

Wszystkie znaki, które poprzedzały zabójstwo Cezara w czasie id marcowych, są udokumentowane. Wróżbici mieli dla niego niedobre przepowiednie, a Kalpurni, żonie Cezara, śnił się podobno koszmar, w którym Cezar został zamordowany. Wydaje się, że dyktator zdecydował się naprawdę zostać w domu tamtego ranka, ale czy chciał uczynić to pod wpływem jej ostrzeżeń, czy naprawdę czuł się źle, tego nie wiemy.

Skład nowej armii Cezara, a także przebieg planowanej kampanii w Partii są dobrze udokumentowane. Poranna wizyta Romulusa w jego rezydencji jest oczywiście *licentia poetica*, ale Decimus Brutus naprawdę odwiedził dyktatora rano przed posiedzeniem senatu i ostatecznie przekonał go do uczestniczenia w nim. Chociaż straż przyboczna składająca się z żołnierzy z Hiszpanii rzeczywiście została rozwiązana przez Cezara, nie ma dowodów na to, że jacyś weterani próbowali chronić dyktatora tego ostatniego, feralnego dnia.

Gdy zamachowcy zaatakowali Cezara w kompleksie Pompejusza, podobno dwóch senatorów próbowało przyjść mu z pomocą, ale nie byli w stanie dotrzeć do niego na czas z powodu tłoku. Oczywiście spotkanie

Romulusa i Fabioli nad jego ciałem jest moim wymysłem, ale obecność Decimusa Brutusa w towarzystwie gladiatorów w bezpośredniej bliskości areny już nie. Czy to mógł być przypadek? Spiskowcy nie rozproszyli się natychmiast po zamordowaniu Cezara, ale zatknęli na drągu czapkę zakładaną zazwyczaj przez uwolnionego niewolnika i z tym drągiem pomaszerowali na Kapitol, pokazując w ten sposób obywatelom, że uwolnili Republikę od ucisku tyrana.

Do zamieszek, które opisałem, doszło naprawdę, ale zaczęły się one kilka dni po zamachu i po pogrzebie Cezara. W tym czasie tłum oblegał domy należące do konspiratorów, próbując się do nich wedrzeć, a pewien lojalny wobec Cezara polityk został przypadkowo zabity, ponieważ pomyłono go z wrogiem dyktatora.

Z powodu znikomej liczby źródeł nasza wiedza na temat świata starożytnego wciąż jest pełna luk. Chociaż pozwoliłem sobie zmienić kilka drobnych szczegółów znanych z historii, starałem się jednak przedstawiać realia życia w I w. p.n.e. najdokładniej, jak to możliwe. Mam nadzieję, że efekt końcowy zostanie uznany przez Czytelników za interesujący i niezbyt rażący, to znaczy bez zbyt wielu błędów. Za wszystkie błędy, które uważni Czytelnicy dostrzegą, bardzo przepraszam.

Chciałbym przekazać również moje serdeczne podziękowania wielu autorom, bez których prac powstanie tej książki byłoby niemożliwe. Na pierwszym miejscu listy bezcennych źródeł wymienię *Dzieje Rzymu* autorstwa M. Cary'ego i H.H. Scullarda oraz *Armie rzymską na wojnie* i pracę zatytułowaną *Cezar. Życie giganta* Adriana Goldsworthy'ego, a także *Armies of the Macedonian and Punic Wars* Duncana Heada i *The Roman triumph* Mary Beard oraz liczne świetne pozycje ukazujące się nakładem wydawnictwa Osprey Publishing.

Jeszcze raz dziękuję użytkownikom serwisu www.romanarmy.com za szybkie, bezcenne odpowiedzi na moje pytania. Ten serwis jest po prostu jednym z najlepszych zasobów referencyjnych, jakie można sobie wyobrazić.

Chciałbym także podziękować mojemu staremu przyjacielowi Arthurowi O'Connorowi za konstruktywną krytykę i pomoc przy wszystkich trzech książkach serii. Arthur, tak jak ja, jest lekarzem

weterynarii. Został obdarzony przez bogów bystrym, wnikliwym umysłem, który przydaje się przy pisaniu powieści, i często pomaga mi zobaczyć „las spomiędzy drzew”.

Bardzo dziękuję również mojemu kolejnemu staremu przyjacielowi, również weterynarzowi, Killianowi Ó Móráinowi, za świadczone przez niego podobne usługi.

I wreszcie dziękuję też mojemu niesamowitemu agentowi, który znalazł się na końcu tej listy, choć zdecydowanie nie jest najmniej ważny. Charlie Viney, dziękuję Ci za niestrudzoną pracę w moim imieniu.

Do Rosie de Courcy, mojej cudownej redaktorki: zawdzięczam Ci tak wiele. Bez Twoich wnikliwych uwag byłbym zgubiony.

Dziękuję Nicoli Taplin, mojej redaktor naczelnej, i Richendzie Todd, doskonałej adiustatorce – wielce sobie cenię wkład tych dwóch ważnych osób dla projektu postaci.

Jestem również ogromnie wdzięczny Claire Wheller, mojej fizjoterapeutce, za utrzymanie w ryzach różnych schorzeń typu RSI, których mógłbym nabawić się podczas pisania.

Mojej żonie, Sarze, i dzieciom, Ferdii i Pippie – mam wobec Was wielki dług, gdyż dajecie mi miłość, której potrzebuję.

Słowniczek

acetum – kwaśne wino, napój alkoholowy często serwowany rzymskim żołnierzom. Tym samym słowem określano ocet powszechnie używany przez rzymskich medyków jako środek do dezynfekcji. Ocet dobrze radzi sobie z eliminacją bakterii i był powszechnie stosowany w zachodniej medycynie aż do końca XIX w.

Aesculapius – Eskulap, syn Apolla, bóg zdrowia i patron lekarzy.

amphora (l. mn. *amphorae*) – duże gliniane naczynie z dwoma uchwytnymi i wąską szyjką, używane do przechowywania wina, oliwy z oliwek i innych produktów. W starożytności służyło także jako standardowa jednostka pojemności, równa ok. 26 l wina.

aquilifer (l. mn. *aquiliferi*) – chorąży opiekujący się *aquila*, czyli orłem legionu. Noszenie insygnium było bardzo odpowiedzialnym zadaniem i wielkim wyróżnieniem. Współczynnik śmiertelności *aquiliferi* był wysoki, ponieważ chorąży z orłem legionowym często znajdował się w miejscach, gdzie toczyły się najcięższe walki lub wręcz w pierwszej linii. Na zachowanych do naszych czasów źródłach chorąży z orłem legionu nie ma żadnego nakrycia głowy, co sprawia, że można sądzić, iż było tak zawsze. Jednak wydaje się, że podczas bitwy taki brak osłony na głowie byłby bardzo niebezpieczny i możemy zakładać, że *aquilifer*, zachowując się racjonalnie, jednak zakładał hełm. Nie wiemy, czy *aquilifer* nosił skórę zwierzęcą, tak jak *signifer*, zatem jest to tylko moja interpretacja. Zapewne często osłonięty był zbroją łuskową i małą tarczą, która nie wymagała użycia dwóch rąk. W okresie późnej Republiki orzeł legionowy wykonywany był ze srebra i ścisnął w pazurach złotą błyskawicę. Drzewce insygnium było ostro zakończone, tak żeby można je było łatwo wbić w ziemię. Czasami drzewce wyposażano w uchwyty ułatwiające noszenie. Nawet gdy orzeł został uszkodzony, nie wolno go było zniszczyć. Naprawiano go zawsze z wielką dbałością o szczegóły. Jeśli zdarzyło się, że podczas bitwy *aquila* trafiał w ręce wroga, Rzymianie robili, co mogli, aby odzyskać insygnium. Odzyskanie orłów Krassusa przez Augusta w 20 r. p.n.e.

zostało uznane za wielki sukces rzymskiej dyplomacji.

as (l. mn. *asses*) – zdawkowa moneta miedziana, pierwotnie o wartości jednej piętnastej sesterca. Od 23 r. n.e. bito ją w miedzi.

atrium – w domach mieszkalnych w starożytnym Rzymie (łac. *domus*) było to duże pomieszczenie, znajdujące się zaraz przy wejściu. Najczęściej *atrium* urządzano z przepychem jako centrum społeczne i religijne domu. W dachu *atrium* znajdował się otwór, a jego nieodzownym elementem był basen (łac. *impluvium*), w którym zbierała się deszczówka.

aureus (l. mn. *aurei*) – niewielka złota moneta warta 25 *denarii*. W czasach Republiki i do czasów wczesnego imperium aureusy wybijano raczej w niewielkich ilościach i nieregularnie.

ballista (l. mn. *ballistae*) – rzymskie maszyny miotające, które wyglądały jak wielkie kusze z dwoma ramionami na statywie. Urządzenie to działało jednak na nieco innej zasadzie niż kusza, tj. z wykorzystaniem energii ciasno skręconej liny konopnej, przytrzymującej ramię wyrzucające. *Ballistae* różniły się wielkością – mogły być na tyle nieduże, że żołnierze byli w stanie je sami transportować (w częściach, w wersjach mobilnych), mogły też być ogromnymi urządzeniami, wymagającymi wozów i mułów do transportu. Pociskami stosowanymi w *ballistae* były strzały lub kamienie, trafiające w cel z wielką siłą i precyzją. Ulubionym typom tych maszyn nadawano potoczne nazwy, takie jak: „onager” (tj. dziki osioł azjatycki, znany z uporu i potężnego kopnięcia) czy „skorpion” (pajęczak wyróżniający się śmiertelnościami kolcem jadowym).

basilicae – ogromne kryte hale targowe, które budowano na rzymskich forach. W budynkach tych znajdowały się także sale, w których obradowały sądy, ustawiano stoiska handlowe i pracowali urzędnicy miejscy. W *basilicae* zbierały się sądy w czasie publicznych rozpraw, a uczeni w prawie, skrybowie i lichwiarze rozstawiali niewielkie stragany. W nich podawano do wiadomości wiele oficjalnych komunikatów.

bestiarius (l. mn. *bestiarii*) – łowca dzikich zwierząt, które wykorzystywano na rzymskich arenach. Choć to zajęcie zaliczało się do wyjątkowo niebezpiecznych, było również bardzo lukratywne. Im

egzotyczniejsze udało się złapać zwierzęta – słonie, hipopotamy, żyrafy czy nosorożce – tym więcej można było na nich zarobić. Trudno sobie obecnie wyobrazić, jak wielkich nakładów pracy wymagało takie zajęcie i jakie były związane z nim zagrożenia. Zwierzęta trzeba było złapać i przetransportować w dobrym zdrowiu wiele setek mil z ich naturalnych siedlisk do Rzymu.

bucina (l. mn. *bucinae*) – trąbka wojskowa. Rzymianie używali wielu typów instrumentów muzycznych, takich jak np. *tuba*, *cornu* czy *bucina*. Były one wykorzystywane do różnych celów: budzenia wojska każdego ranka, nakazywania szarży, przekazywania rozkazów, zatrzymywania jednostki lub rozpoczęcia odwrotu. Nie mamy pełnej wiedzy na temat tego, jak w praktyce stosowane były różne instrumenty muzyczne, np., czy wszystkie razem, czy jeden po drugim. Dla uproszczenia przekazu opisuję użycie tylko jednego z nich – *bucina*.

caldarium (l. mn. *caldaria*) – w rzymskich łaźniach pomieszczenie, w którym panowała bardzo wysoka temperatura. Pełniło funkcję analogiczną do współczesnych saun. W większości *caldaria* znajdował się również basen z gorącą wodą. *Caldarium* ogrzewano gorącym powietrzem, które przepływało przez wydrążone cegły w ścianach i pod podłogą. Źródłem ciepła było *hypocaustum*, gorący piec z ogniskiem, którego pilnowanie było obowiązkiem niewolników.

caligae – ciężkie skórzane sandały noszone przez rzymskich żołnierzy. Buty wykonane były z trzech warstw: podeszwy, wkładki i części górnej. Przypominały otwarte sandały współczesne. Paski można było regulować, tak żeby ściślej obejmowały stopę. Dziesiątki metalowych ćwieków na podeszwie dawały sandałom dobrą przyczepność, można je było również wymieniać w razie potrzeby. W chłodniejszych strefach klimatycznych (np. na terenach obecnej Wielkiej Brytanii) legionieści używali także specjalnych onuc, przypominających skarpetki.

cella (l. mn. *cellae*) – prostokątna, centralnie położona komnata bez okien w świątyni poświęconej bogu. Zwykle w środku znajdował się posąg odpowiedniego bóstwa oraz ołtarz.

cenacula (l. mn. *cenaculae*) – zob. *insula*.

Cerberus – wielki trzygłowy pies, który strzegł wejścia do Hadesu.

Nie zabraniał duchom zmarłych wejścia, ale żadnego nie wypuszczał.

consul – jeden z dwóch najwyższych rangą urzędników rzymskich wybieranych co roku, powołanych przez obywateli Rzymu i akceptowanych przez senat. W praktyce ludzie na tym stanowisku współrządzili Rzymem przez dwanaście miesięcy, decydując o większości spraw cywilnych i wojskowych. Konsul dowodził także wojskami Republiki podczas wojny. Każdy konsul mógł sprzeciwić się decyzjom podjętym przez drugiego, ale obaj mieli wykonywać wolę senatu. Nikt nie mógł pełnić funkcji konsula więcej niż jeden raz, ale do końca II w. p.n.e. wpływowi arystokraci, tacy jak Mariusz, Cynna i Sulla, w praktyce sprawowali tę funkcję przez wiele lat. Ten zwyczaj niebezpiecznie osłabił rzymską demokrację, a w czasach triumwiratu Cezara, Pompejusza i Krassusa stał się jedną z podstawowych przyczyn upadku Republiki.

contubernium (l. mn. *contubernia*) – grupa ośmiu legionistów, którzy mieszkali w tym samym namiocie lub pomieszczeniu w koszarach, a także wspólnie odbywali przygotowania i spożywali posiłki.

denarius (l. mn. *denarii*) – denar, podstawowa moneta Republiki, bita ze srebra i równa 4 sestercom albo 10 asom (później 16 asom). Rzadziej używany, złoty aureus był wart 25 denarów.

domus – willa zamożnego Rzymianina. Zazwyczaj była skierowana do wewnątrz, tzn. projektowano ją tak, aby na zewnątrz widoczne były tylko okalające ją mury. *Domus* zbudowany był na planie długiego prostokąta, z dwoma źródłami światła słonecznego – z wewnętrznego *atrium* z przodu i otoczonego kolumnami ogrodu w tylnej części domu. Części te rozdzielało duże pomieszczenie zwane *tablinum*. Wokół *atrium* znajdowały się sypialnie, biura, magazyny i kapliczki poświęcone przodkom, a izby wokół ogrodu zwykle służyły do organizowania przyjęć i przyjmowania gości.

editor (l. mn. *editores*) – sponsor *munus*, turnieju gladiatorów. Dawniej walki gladiatorów były obowiązkowym rytuałem ku czci zmarłych, później – już za czasów Republiki – stały się jednym ze sposobów uzyskiwania poparcia ludu rzymskiego. Przepych takiego spektaklu szedł w parze z pragnieniem *editora*, aby zadowolić tłumy.

Felicitas – bogini powodzenia i sukcesu.

Fortuna – bogini szczęścia i pomyślności. Podobnie jak wszystkie bóstwa, często bywała kapryśna.

fossa (l. mn. *fossae*) – rowy obronne, które otaczały rzymskie obozy, zarówno tymczasowe, jak i stałe forty. W zależności od typu obozu i poziomu zagrożenia oddziału armii *fossae* różniły się liczbą, szerokością i głębokością.

fugitivarius (l. mn. *fugitivarii*) – osoby zarabiające na życie ściganiem zbiegłych niewolników.

gallicinium – Rzymianie dzielili noc na osiem części, podczas których żołnierze pełnili wartę: cztery przed północą i cztery po północy. *Gallicinium* to druga część z czterech ostatnich, czyli pomiędzy godziną drugą i czwartą w nocy.

gladius (l. mn. *gladii*) – niewiele wiadomo na temat „hiszpańskiej” (łac. *gladius hispaniensis*) wersji miecza używanego przez legionistów armii Republiki, wyróżniającej się przewężeniem ostrza w kształcie liścia. Dlatego w książce odwołuję się do „wzoru pompejańskiego”, którego kształt wydaje się znany większości czytelników. Była to broń krótka, o prostym ostrzu, liczącym 420–500 mm, zakończonym sztychem w kształcie litery „V”, i szerokości w granicach 42–55 mm. Gladius był bardzo dobrze wyważoną bronią, służącą zarówno do kłucia, jak i cięcia. Rękojeść, wykonana z kości, zabezpieczona była głowicą i drewnianą okładziną. Miecz zwykle noszono po prawej stronie, a tylko centurionowie i wyżsi oficerowie mieli prawo nosić go po lewej stronie. Łatwo było wyciągnąć go z pochwy prawą ręką, a prawdopodobnie dlatego wisiał na pasie po prawej, aby uniknąć problemów z przeszkadzającą w tej operacji *scutum*.

haruspex (l. mn. *haruspices*) – haruspik; wróżbita, wieszcz. Człowiek przeszkolony do przepowiadania przyszłości na wiele różnych sposobów: ze zwierzęcych wnętrzności, kształtów chmur i lotu ptaków. Wątroba – uważana w czasach średniowiecznych za narząd produkujący krew, a zatem samo źródło życia – była także podstawowym źródłem wiedzy haruspików. Co więcej, wiele naturalnych zjawisk przyrody – takich jak grzmoty, błyskawice, wiatr – mogło być wykorzystywanych do interpretacji teraźniejszości, przeszłości i przyszłości. Wątroba z brązu, wspomniana w poprzedniej książce cyklu, naprawdę istnieje.

Została znaleziona na polu w pobliżu Piacenzy we Włoszech w 1877 r.

hora prima – czas według rachuby rzymskiej dzielił się na dwa okresy dwunastogodzinne – dzienny i nocny. Pierwsza godzina dnia, *hora prima*, zaczynała się o wschodzie słońca. Posługując się tym systemem, trzeba było się liczyć z pewnymi problemami w synchronizacji czasu. Podstawowym instrumentem służącym do określania pory dnia był zegar słoneczny, co oznaczało, że godzina zależała również od lokalizacji, tj. szerokości geograficznej miejsca pomiaru. W związku z tym czas rzymski różnił się od tego na Sycylii, leżącej daleko na południu. Ponadto różne długości dnia, zmieniające się w ciągu roku, oznaczały, że letnia godzina była dłuższa niż godzina w zimie. Musimy więc przyjąć, że w czasach starożytnych bardzo elastycznie podchodzono do kwestii ustalania czasu. Rzymianie opracowali również klepsydrę, czyli tzw. zegar wodny. Umieszczając wodę w przezroczystym naczyniu połączonym, o mierzalnej, regularnej wartości odpływu, możliwe było oznaczenie zmiany poziomu wody podczas każdej godziny dnia, a następnie wykorzystanie urządzenia do pomiaru upływającego czasu w nocy lub we mgle.

imperator – łacińskie słowo oznaczające w czasach Republiki „dowodzącego”. Później termin ten stał się jednym z tytułów rzymskich cesarzy. Jest oczywiście bazą do stworzenia słowa angielskiego (i w wielu innych językach).

insula (l. mn. *insulae*) – wysoki (trzy-, cztero- lub nawet pięciokondygnacyjny) budynek mieszkalny. W *insulae* mieszkała większość rzymskich obywateli. Już w 218 r. p.n.e. Liwiusz zapisał historię o wołu, który uciekł z rynku i wspiał się po schodach *insula* na trzecie piętro, wyskoczył i nie przeżył upadku. Na najniższym piętrze takich budynków często znajdowała się jakaś *taberna*, czyli sklep, do którego można było wejść prosto z ulicy dzięki otwieranym na oścież dużym, zwieńczonym łukiem drzwiom. Sprzedawca i jego rodzina mieszkali i spali w pomieszczeniach znajdujących się nad sklepem. Wyżej były *cenaculae*, czyli mieszkania przeznaczone dla plebejuszy. Ciasne, słabo oświetlone, ogrzewane tylko dzięki opalanym indywidualnie przez najemców piecykom i często niebezpieczne z punktu widzenia konstrukcji *cenaculae* nie zapewniały ani bieżącej

wody, ani urządzeń sanitarnych. Do mieszkań tych można było dostać się po lekkich schodach, osadzonych na ścianach budynku.

intervallum – szeroka przestrzeń pomiędzy murami lub palisadą a pierwszymi budynkami wewnątrz rzymskiego fortu lub obozu. Miała nie tylko chronić koszary legionistów przed ostrzałem, ale w razie konieczności służyła jako miejsce zbiórki oddziałów.

Iuno – Junona, siostra i żona Jowisza, bogini małżeństwa i kobiet.

Iuppiter – Jowisz, często określany jako *Optimus Maximus* (Największy i Najlepszy), był najpotężniejszym z bogów rzymskich, rządził pogodą, sprowadzał burze. Był bratem i mężem Junony.

lanista (l. mn. *lanistae*) – trener gladiatora, często właściciel *ludus*, szkoły gladiatorów.

latifundium (l. mn. *latifundia*) – latyfundium, duża nieruchomość rolna z gospodarstwem, zazwyczaj własność rzymskiego arystokraty, w której wykorzystywano do prac licznych niewolników. *Latifundia* zaczęły powstawać w II w. p.n.e., kiedy rozległe obszary Italii zostały skonfiskowane przez Rzym kosztem innych podbitych nacji, takich jak Sannici.

legatus (l. mn. *legati*) – legat; oficer dowodzący legionem, którego wybierano z grona senatorów. W czasach późnej Republiki legaci byli wybierani przez generałów, takich jak Cezar, spośród członków ich rodzin, grona przyjaciół lub sojuszników politycznych.

licium – lniana „bielizna” noszona przez rzymskich nobili. Bardzo prawdopodobne, że wszyscy rzymscy obywatele nosili jakieś wersje takiej bielizny, w odróżnieniu bowiem od Greków Rzymianie nie uważali za stosowne pokazywać się publicznie nago.

lictor (l. mn. *lictores*) – straż przyboczna wyższych urzędników rzymskich. Pracę w niej mogli otrzymać tylko dobrze zbudowani i sprawni fizycznie obywatele rzymscy, ponieważ polegała ona zasadniczo na ochranianiu konsulów, pretorów i innych wysokich rangą urzędników. *Lictores* stale towarzyszyli dostojnikom podczas publicznych wystąpień. Liczba strażników różniła się w zależności od funkcji pełnionej przez ochranianego. Każdy *lictor* niósł *fascēs* – symbol sprawiedliwości – wiązki różg z wsuniętym między nie toporem. Do innych obowiązków liktorów należały aresztowania i karanie

złoczyńców.

ludus (l. mn. *ludi*) – szkoła gladiatorów.

manica (l. mn. *manicae*) – osłona ręki (tzw. naręczak)

wykorzystywana przez gladiatorów. Zazwyczaj wykonana z trwałych materiałów, układanych z kilku lub kilkunastu warstw, takich jak wytrzymałe płótno i skóra lub metal.

mantar – słowo pochodzące z języka tureckiego oznaczające „pleśń”. Wykorzystałem jego egzotyczne brzmienie dla nazwania specyfiku, który Tarkwiniusz wykorzystał podczas leczenia Benignusza.

manumissio – w okresie Republiki podarowanie wolności niewolnikowi było w rzeczywistości dość skomplikowane. Wyzwolenia można było dokonać na jeden z trzech sposobów: przez wniosek do pretora, podczas organizowanej co pięć lat ceremonii ofiarowania *lustrum* lub w testamencie, odczytywanym po śmierci właściciela niewolnika. Niewolnik nie mógł zostać wyzwolencem, zanim nie osiągnął wieku co najmniej trzydziestu lat. Co więcej, nawet po uwolnieniu miał pewne obowiązki wobec swojego byłego właściciela. W czasach imperium akt ten bardzo uproszczono. Możliwe stało się wyzwolenie niewolnika poprzez ustne oświadczenie podczas uczyty, gdy goście mogli zostać świadkami.

Mars – bóg wojny. Wszystkie łupy wojenne konsekrowano dla niego, a żaden rzymski dowódca nie rozpoczynał kampanii bez wcześniejszej wizyty w świątyni Marsa w celu poproszenia o ochronę i błogosławieństwo.

Minerva – bogini wojny, a także patronka mądrości.

mithraeum (l. mn. *mithraea*) – podziemne świątynie wyznawców kultu Mitry. W tej książce opisane zostało wnętrze świątyni rzeczywiście istniejącej. Świątynie tego typu można znaleźć na całym obszarze opanowanym przez Rzymian, od Rzymu (jedna z nich znajduje się w podziemiach kościoła, zaledwie pięć minut drogi od Koloseum) po wał Hadriana (m.in. w Carrawburgh).

Mitra – perski bóg, który narodził się w jaskini w czasie zimowego przesilenia. Nosił czapkę frygijską z opadającym czubkiem. Mitrę wiązano z kultem słońca, stąd wzięło się jego imię *Sol Invictus* (Niezwyciężone Słońce). Jego ofiara z byka (przy współudziale innych

zwierząt) – mit stworzenia – stała się początkiem życia na ziemi. Dzielenie się winem i chlebem oraz uściśnięcie rąk prawdopodobnie zostały zapożyczone właśnie z rytuałów mitraizmu. Niestety, nie dysponujemy zbyt wielką ilością źródeł na temat tej religii. Wiemy, że istniały poziomy wtajemniczenia z obrzędami przejścia. Mozaika w mitreum w Ostii zawiera fascynujące wskazówki na temat siedmiu poziomów inicjacji. Z uwagi na uwielbienie takich cech, jak odwaga, siła i honor mitraizm stał się bardzo popularny wśród żołnierzy, zwłaszcza w czasach imperium. Później jednak ta pełna tajemnic religia była konsekwentnie zwalczana przez wyznawców chrześcijaństwa i w IV w. p.n.e. została niemal całkowicie wyrugowana.

modius (l. mn. *modii*) – oficjalna rzymska miara objętości produktów suchych równa ok. 8,6 l. Aby uniknąć nadużyć, wszystkie miary i wagi (mokre i suche) w Rzymie zostały ujednoczone.

murmillio (l. mn. *murmillones*) – jedna z najbardziej znanych klas gladiatorów. Wykonany z brązu hełm *murmillio* był bardzo charakterystyczny. Wyróżniał się szerokim rondem, wypukłą płytą czołową z otworami kratownicy w okolicach oczu. Hełm był często zdobiony na grzbiecie piórami lub miał kształt ryby. *Murmillio* osłaniał prawe ramię *manica*, a na lewą nogę zakładał nagolennik. Podobnie jak legionista, posługiwał się w walce ciężką prostokątną tarczą i gladiusem. Ubrany był jedynie w *subligaria*, czyli misternie składaną płócienną bieliznę, oraz *balteus*, szeroki pas ochronny. W czasach republikańskich najczęściej jego przeciwnikiem na arenie był *secutor*, a później *retiarius*.

noxius (l. mn. *noxii*) – kryminalista skazany za najgorsze zbrodnie; jeniec wojenny, niewolnik, zdrajca czy dezertor, skazany za swoje występki na śmierć na arenie ku uciechu tłumów. Najczęściej *noxii* umierali po ukrzyżowaniu, rozszarpywani przez dzikie bestie lub paleni żywym ogniem. Współcześnie tego typu metody mogą wydawać się brutalne, ale Rzymianie uważali, że kara musi być odpowiednia do wykroczenia.

palus (l. mn. *pali*) – drewniana kolumna o wysokości 182 cm, mocno osadzona w ziemi. Korzystali z niej szkolący się w walce mieczem gladiatorzy i legionieści.

optio (l. mn. *optiones*) – podoficer w stopniu niższym od

centuriona, zastępca dowódcy centurii.

Orkus – bóg podziemnego świata, znany także jako Pluton lub Hades. Uważa się go za brata Jowisza. Orkus był jednym z bogów, który wzbudzał strach.

papaverum – morfina. Substancja wytwarzana z makówek maku lekarskiego. Znana jest od co najmniej 1000 r. p.n.e. Rzymscy medycy używali jej podczas długich operacji. Wykorzystanie morfiny w roli środka przeciwbólowego w książce jest w pewnym sensie naturalną konsekwencją udokumentowanego zastosowania.

peltasta (l. mn. *peltastae*) – lekkozbrojny piechur w starożytnej Grecji i Anatolii. Do obrony służyła mu jedynie tarcza, a zależnie od pochodzenia uzbrojony był w *rhomphaiai* lub oszczepy, a czasami zwykle włócznie i/lub noże. Najczęściej wykorzystywany do nękania ciężkiej piechoty wroga w roli harcownika.

phalera (l. mn. *phalerae*) – rzeźbiona płytką, będąca odpowiednikiem medalu nadawanego za odwagę. Noszona zwykle przez rzymskich żołnierzy na pasie piersiowym na zbroi. *Phalerae* były najczęściej wykonywane z brązu, ale także z metali szlachetnych. Medale i wyróżnienia miały także formy naszyjników, pierścieni i bransoletek.

pilum (l. mn. *pila*) – rzymski oszczep. Składał się z długiego drzewca (ok. 120 cm) i cienkiego żelźca (ok. 60 cm), zakończonego hartowanym sztychem w kształcie stożka lub piramidki. Oszczep był bronią ciężką i po wyrzucie punkt ciężkości znajdował się za sztychem, co po uderzeniu w cel przekładało się na jego wielką siłę penetrującą. Mógł przebić tarczę i zranić chroniącego się za nią człowieka lub utkwąć w niej, czyniąc ją bezużyteczną. Zasięg *pilum* wynosił ok. 30 m, choć skuteczny zasięg był prawdopodobnie mniejszy, ok. 15 m.

Priapus – bóg ogrodów i pól, symbol płodności. Był często przedstawiany z ogromnym penisem we wzwodzie.

primus pilus – starszy centurion legionu i (być może) starszy centurion pierwszej kohorty. Żołnierz sprawujący tę funkcję odgrywał ważną rolę w legionie. Zwykle stanowisko to powierzano weteranowi w wieku ok. 40 lub nawet 50 lat. Po zakończeniu sprawowania tej funkcji *primus pilus* miał prawo starać się o przyjęcie do grona ekwitów.

principia – kwatera główna legionu, znajdująca się przy Via Praetoria. Stanowiła centrum życia legionu w obozie marszowym lub w forcie. W *principia* podejmowano wszystkie decyzje administracyjne, tam też przechowywano *aquila* – orła legionowego. Przez masywną bramę kwatery przechodziło się na otoczony kolumnadą i wybrukowany dziedziniec, wokół którego znajdowały się biura. Na tyłach dziedzińca zwykle wznoszono *aedes*, tj. kaplicę z wysokim dachem, w której przechowywano m.in. legionowe insygnia, w niej znajdował się główny skarbiec (łac. *aerarium*) i prawdopodobnie dodatkowe pomieszczenia administracyjne. Bardzo prawdopodobne, że na dziedzińcu organizowano również parady i tu też starsi oficerowie przemawiali do swoich żołnierzy.

pugio – krótki sztylet rzymski. Znajdował się w wyposażeniu dodatkowym rzymskich żołnierzy. Przydawał się podczas codziennych czynności (m.in. w czasie posiłku, przy przygotowywaniu jedzenia) oraz w walce w zwarciu.

retiarius (l. mn. *retiarum*) – sieciarz, gladiator z trójzębem i siecią (nazwa pochodzi od *rete*, czyli sieci), również jedna z łatwo rozpoznawalnych klas gladiatorów. *Retiarius* nosił tylko *subligaria*, a jego jedyną ochroną był tzw. *galerus*, metalowy naramiennik, który łączył się z noszonym na lewym ramieniu naręczakiem, zwanym *manica*. Posługiwał się obciążoną ciężarkami siecią, trójzębem i sztyletem. Dzięki temu, że nie obciążała go broń, sieciarz był znacznie bardziej zwinny i mobilny niż wielu innych gladiatorów, a bez hełmu był również łatwo rozpoznawalny. Słabe uzbrojenie mogło wynikać z jego niskiego statusu wśród gladiatorów.

rhomphaia (l. mn. *rhomphaiai*) – rodzaj broni drzewcowej. Niezwykle groźna z powodu długiego, lekko zakrzywionego ostrza, zamocowanego na drzewcu; zdecydowanie dłuższa od miecza. Choć najczęściej posługiwali się nią Trakowie, wersja zwana *falx* używana była także przez Daków. Broń ta charakteryzowała się ogromną siłą cięcia. Gdy rzymskim legionistom przyszło ścierać się z Dakami, konieczne okazało się wprowadzenie zmian (jedyne udokumentowane) w konstrukcji hełmów, które zostały wzmocnione.

rudis – drewniany gladius, symbol wyzwolenia gladiatora, który

spodobał się edytorowi lub który odniósł na arenie wystarczająco dużo zwycięstw, aby zostać uwolniony. Nie wszyscy gladiatorzy umierali na arenach. Zwykle nikt nie uwalniał jeńców wojennych czy przestępców, ale niewolnicy, którzy popełnili jakieś wykroczenie, mogli otrzymać *rudis*, jeśli przeżyli trzy lata w *ludus*. Po kolejnych dwóch latach mogli liczyć na całkowite wyzwolenie (przestawali być niewolnikami).

scutum (l. mn. *scuta*) – wydłużona, owalna tarcza rzymskiego legionisty, o wymiarach 120 cm wysokości i 75 cm szerokości. Wykonywana z dwóch warstw drewna, które ustawiano prostopadłe do siebie, a potem pokrywano płótnem lub skórą. *Scutum* była ciężką tarczą, o wadze 6–10 kg. W środku tarczy znajdowało się duże, wzmocnione wybrzuszenie, zwane *umbo*, chroniące uchwyt znajdujący się po jej drugiej stronie. Na powierzchni tarczy często malowano różne dekoracyjne motywy, a gdy nie była używana (np. podczas marszu), chroniono ją skórzaną osłoną.

secutor (l. mn. *secutores*) – „ścigający”, klasa gladiatora. *Secutor* – inna nazwa: *contraretiarius* – walczył zazwyczaj z sieciarzem. Właściwie jedyną różnicą między *secutor* a *murmillo* było używanie hełmu o gładkiej powierzchni, bez wystających krawędzi i tylko z małym grzebieniem, co prawdopodobnie miało utrudniać zadanie sieciarzowi (łac. *retiarius*), rzucającemu siatką. W przeciwieństwie do innych klas gladiatorów jego hełm miał tylko niewielkie otwory na oczy, co dość mocno ograniczało pole widzenia. Możliwe, że taki hełm miał też na celu zwiększenie szans w walce słabszego, nie tak dobrze opancerzonego, sieciarza.

sestertius (l. mn. *sestertii*) – sesterce, za czasów Republiki moneta srebrna o wartości równej czterem asom lub ćwierci denara, lub jednej setnej aureusa. Jej nazwa „dwie jednostki i pół trzeciej” wywodzi się od pierwotnej wartości, tj. dwóch i pół asa. *Sestertius* stawał się w ostatnich latach Republiki monetą coraz bardziej powszechną.

signifer – chorąży odpowiedzialny za insygnia kohorty lub centurii w randze młodszego oficera. *Signifer* był żołnierzem cieszącym się wielką estymą, jednym dla każdej centurii. Często *signifer* nosił zbroję łuskową i futro jakiegoś dzikiego zwierzęcia okrywające hełm, który czasami wyróżniał się bogato zdobioną osłoną twarzy. Do osłony miał

małą, okrągłą tarczę, a nie tradycyjne *scutum*. Jego *signum* (insygnia) składało się z drewnianego drzewca, zakończonego uniesioną, otwartą dłonią lub końcówką włóczni, otoczoną liśćmi palmowymi. Na poprzeczce poniżej wisiały metalowe ozdoby lub kawałki kolorowego materiału. Drzewce *signum* ozdabiano *phalerae*, półksiężycami, taranami lub symbolami dokonań i osiągnięć jednostki, które mogły odróżniać jedną centurię od drugiej.

stadium (l. mn. *stadia*) – słowo z języka greckiego. Miara długości równa 630 stopom (ok. 192 m) i jednocześnie dystans biegu podczas igrzysk olimpijskich w 776 r. p.n.e. Od tego słowa pochodzi termin *stadion* (obiekt sportowy).

stola – długa, luźna tunika z rękawami lub bez rękawów, noszona przez zameżne kobiety. Niezameżne kobiety nosiły tuniki o innym kształcie, ale dla ułatwienia rezygnuję z tego podziału w książce.

tablinum – izba znajdująca się za *atrium*. *Tablinum* zwykle przechodziło płynnie w zamknięty, otoczony kolumnami ogród.

tesserarius – jeden z młodszych oficerów centurii, do którego obowiązków należało dowodzenie strażą. Nazwa wywodzi się od *tessera* – tabliczki, na której zapisywano hasło obowiązujące w danym dniu.

testudo – (żółw) powszechnie znana formacja w rzymskiej armii, tworzona przez legionistów, którzy unosili tarcze nad głowami towarzyszy, podczas gdy żołnierze znajdujący się na bokach odpowiadali za utworzenie ściany tarcz. *Testudo* używano w celu ochrony żołnierzy przed ostrzałem lub podczas operacji pod murami miast w oblężeniu. Wytrzymałość ściany tarcz była podobno nietypowo testowana w czasie szkolenia wojskowego żołnierzy, którzy musieli utrzymać na tarczach wóz ciągnięty przez muły.

thraex – jak większość innych klas gladiatorów także i ta wywodzi się od wojowników, z którymi niegdyś mierzyła się armia rzymska. Mowa o Trakach, zamieszkujących tereny obecnie należące do Bułgarii. Wojownik, osłonięty małą kwadratową tarczą o wypukłej powierzchni, nosił nagolenniki na obu nogach i od czasu do czasu także *fasciae* – ochraniacze na udach. Prawa ręka *thraex* była osłaniana przez *manica*, a głowa przez hełm typu greckiego, z zakrzywionym grzebieniem, zakończonym ozdobnym gryfem, w którym niekiedy można było

umocować długie pióra.

thureophoros (l. mn. *thureohoroi*) – pieszy wojownik podobny do peltasty. *Thureohoroi* pojawili się na polach bitew, zastępując peltastów, a jednocześnie stali się jedynymi z najbardziej powszechnych typów żołnierzy najemnych w całym wschodnim obszarze Morza Śródziemnego od III w. p.n.e. Przedstawienia *thureohoroi* znajdujemy na stelach w Grecji, Anatolii, Bitynii i Egipcie. *Thureohoroi* nosili owalne lub prostokątne tarcze (nie okrągłe) i hełmy w stylu macedońskim oraz wyróżniali się wielobarwnymi tunikami. Ich uzbrojenie składało się z długich włóczni, oszczepów i miecza.

tribunus – trybun, starszy stopniem oficer legionów, a także jedno z dziesięciu stanowisk politycznych w Rzymie, które obejmowali ludzie nazywani trybunami ludowymi, mający bronić praw plebejuszy. Trybunowie mogli zawetować decyzje senatu lub konsulów (jeśli nie były to decyzje podjęte w czasie wojny). Trybun ludowy w okresie swojej rocznej kadencji był święty i nietykalny (*sacrosanctus*).

trierarch – kapitan triremy, pierwotnie stopień w greckiej flocie. Termin został zapożyczony z łaciny na określenie oficera rzymskiej floty.

triplex acies – standardowy szyk przyjmowany przez legion podczas bitwy, składający się z trzech linii, ustawionych w określonych odstępach. Cztery kohorty zajmowały pozycje w pierwszej linii, a w drugiej i trzeciej stały po trzy kohorty. Nie ma pewności, jaki dystans dzielił poszczególne linie, ale zapewne legioniści ćwiczyli różne warianty ustawień i umiejętnie przechodzili z jednej formacji do drugiej, wykorzystując właśnie ową wolną przestrzeń pomiędzy liniami.

triremis – rzymski okręt wojenny, poruszany siłą pojedynczego żagla i dzięki trzem rzędom wiosła. Każde wiosło obsługiwane było przez jednego mężczyznę, który urodził się wolny (nie był niewolnikiem). Triremy były wyjątkowo zwrotne i mogły osiągać prędkość do ośmiu węzłów pod żaglami lub na krótkich odcinkach podczas wiosłowania. Posiadały taran dziobowy wykonany z brązu, którym można było uszkodzić lub zatopić okręt wroga. Na pokładzie często montowano także katapulty. Każda trirema miała załogę składającą się z maksymalnie trzydziestu marynarzy i dwustu wiosłarzy

oraz mogła zabierać na pokład do sześćdziesięciu legionistów (zredukowana centuria), co oznaczało, że na okręcie było stosunkowo ciasno (biorąc pod uwagę wielkość jednostki). W efekcie triemy miały raczej niewielki zasięg, a wykorzystywano je do transportu wojsk i obrony wybrzeża.

valetudinarium – szpital w forcie legionu. Budynek *valetudinarium* miał zwykle kształt prostokąta z centralnym dziedzińcem. W budynku mogło znajdować się do sześćdziesięciu czterech pomieszczeń, przypominających pomieszczenia w barakach legionistów dla *contubernium*.

velarium – markiza z materiału znajdująca się nad siedziskami arystokratów na trybunach areny. Chroniła przed promieniami słonecznymi i pozwalała kobietom zachować jasną skórę, która była wysoko ceniona przez mężczyzn.

venator (l. mn. *venatores*) – wyszkolony zawodnik, który specjalizował się w walce z dzikimi zwierzętami. *Venatores* polowali też na antylopy, dzikie kozice i żyrafy albo na bardziej niebezpieczne zwierzęta, takie jak lwy, tygrysy, niedźwiedzie i słonie. Zazwyczaj *venatores* uważano za najniższą klasę w *ludus*, a ich zadaniem było rozgrzanie publiczności przed główną atrakcją dnia, czyli walkami gladiatorów.

Venus – rzymska bogini macierzyństwa i opiekunka domowego ogniska.

vexillum (l. mn. *vexilla*) – charakterystyczna, zazwyczaj czerwona, flaga, która wskazywała stanowisko dowódcy w obozie lub na polu bitwy. *Vexilla* były również wykorzystywane przez oddziały wydzielone, operujące niezależnie od swoich jednostek macierzystych.

vilicus – nadzorca niewolników lub osoba odpowiedzialna za pracę niewolników w latyfundium. Choć na ogół funkcję tę powierzano niewolnikom, pełnili ją też czasem opłacani wolni ludzie, których zadaniem było dbanie o to, aby gospodarstwo rolne przynosiło jak największe profity. Najczęściej sprowadzało się to do brutalnego zmuszania niewolników do pracy ponad siły.

Tytuł oryginału

The Road to Rome

Copyright © by Ben Kane 2010, 2011

First published as THE ROAD TO ROME by Preface

Projekt okładki

Adam Pietrzyk

Ilustracja na pierwszej stronie okładki

Steve Stone

Opieka redakcyjna

Krzysztof Chaba

Opracowanie redakcyjne

Bogusława Wójcikowska

Korekta

Irena Gubernat

Ilustracje wewnątrz książki

Adam Pietrzyk

Opracowanie typograficzne i łamanie

Graphito studio graficzne, www.graphito.pl

Copyright © for the translation by

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak Sp. z o.o., 2016

ISBN 978-83-240-4152-7

Znak Horyzont

www.znakhoryzont.pl

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul.
Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail:
czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink

woblink.com

